



ARTUR
URBANOWICZ

GRZESZNIK

GWORK

ARTUR URBANOWICZ

GRZESZNIK

Zło bierze się z egoizmu



PRZEDMOWA

Pozwólcie mi na samym początku sprostować jedną rzecz: w moich ukochanych Suwałkach w rzeczywistości nie ma żadnej mafii. To piękne, rozwijające się i spokojne miasto, a powieść powstała w wyniku puszczenia wodzy fantazji. Co działałoby się, gdyby w Suwałkach rzeczywiście grasowała duża grupa przestępcza? Jak wpłynęłoby to na życie zwykłych suwałczan? A gdyby tak ktoś wpadł na pomysł, by wykorzystać jedyne w Polsce duże miasto graniczące z trzema różnymi krajami do przeprowadzenia jakiegoś grubszego szwindlu?

Wszelkie występujące w tej powieści postacie, ich pseudonimy, rysopisy, należące do nich lokale rozrywkowe i inne nieruchomości, brutalne praktyki oraz pozostałe opisane sytuacje są fikcyjne. Wszelkie ich podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe. W świecie przedstawionym stworzyłem w Suwałkach kilka nieistniejących w rzeczywistości obiektów, z pubem należącym do głównego bohatera na czele.

Kiedy można zostać opętanym? Czym jest opętanie? Opętana może zostać osoba, która trwale żyje w grzechu i poróżnieniu z Panem Bogiem, lub dobrowolnie i z własnej woli przyjmuje Szatana i opętanie (...).

Krzysztof Cukierski
Egzorcyzmy i opętania – czy Szatan istnieje naprawdę?

POCZĄTEK

28 czerwca 2013

Na północ od Suwałk mieści się tak zwany Las Szwajcarski. Miejsce o tak porywej historii, że nawet sobie tego nie wyobrażacie.

Suchy również zapisał jej ładnych parę kart.

Wystarczyło, że upodobał sobie ten las do wywożenia pechowców na brutalne rozmowy wychowawcze. Naprzemiennie z Pustynią – ogromnym, pokrytym piachem, choć niepozbawionym pojedynczych drzew i krzewów obszarem mieszczącym się niedaleko żwirowni w Sobolewie, na południowy wschód od miasta. Obie lokacje zapewniały konieczny przy tej robocie spokój, co czyniło pertraktacje z klientami znacznie łatwiejszymi.

Zgarnięcie Misiaka spod samego nosa barmana piwiarni Warka na Chłodnej poszło zaskakująco gładko. Zważywszy, że było to ściśle centrum Suwałk, piątek wieczór, samiuteńki początek wakacji – gdyż tenże właśnie piątek zupełnie przypadkowo okazał się dniem zakończenia roku szkolnego – co oznaczało, że cała suwalska młodzież ze zdwojonym entuzjazmem wyszła na miasto, gładziej by się chyba nie dało. Tym bardziej, że Misiak siedział przy barze i zrobili to na oczach tejże właśnie młodzieży. Jakaś kobieta zapytała nawet nieśmiało: „Przepraszam, co się tutaj dzieje?”. Szast, prast i po krzyku. Rybka w sieci. Co prawda płotka, a nie wieloryb czy inny rekin finansjery, ale czasem należało zarzucić wędkę również i na takie.

Szafie i Rudemu się udało. Trzymając Misiaka pod ręce z obu stron, wyprowadzili go z pubu, po czym we trójkę, niczym syjamskie rodzeństwo połączone ze sobą klatkami piersiowymi, wsiedli na tylne siedzenie auta. Zobaczywszy to z oddali, Suchy odpalił swój samochód.

BOGINKA

Przez nikogo nie niepokojona kolumna czterech samochodów wyjechała z Suwałk i po jakimś czasie dotarła do niepozornego zjazdu z krajowej ósemki. Po minięciu kilku posiadłości po obu stronach polnej drogi (które były „posiadłościami” tylko z nazwy, gdyż w rzeczywistości służyły czemuś zupełnie innemu), zmieniła ona bieg. Od tego momentu prowadziła już pod górę, do lasu.

Tego lasu.

Zatrzymali się na rozstaju dróg, tuż obok czerwonej tabliczki z napisem „REZERWAT PRZYRODY CMENTARZYSKO JACWINGÓW”. Było tam wystarczająco dużo wolnej przestrzeni, by zostawić samochody. Kilkanaście osób bez słowa wysiadło z aut (choć, by zachować stuprocentową precyzję, jedna z nich nie wysiadła, lecz została wywleczona siłą) i skierowało swe kroki właśnie ku temu pradawnemu miejscu pochówku plemienia, które zamieszkiwało Suwalszczyznę w średniowieczu.

Po kilku minutach marszu zatrzymali się na skraju cmentarzyska, tuż przy ścianie lasu – tak, aby ktoś, kto na swoje nieszczęście postanowił spacerować tego dnia pod płaskowyżem, nie mógł ich zobaczyć. Ludzie Suchego siłą zmusili Misiaka do ukłęknięcia, a boss stanął nad nim i w końcu się odezwał:

– Co tam, misiu-pysiu?

Karol Misiak nie odpowiedział. Patrzył tylko na swojego adwersarza tymi pełnymi nienawiści i jednocześnie strachu oczami. Oddychał bardzo szybko. Chłopaki już w samochodzie trochę rozgrzewali go przed właściwą zabawą. Z kącika ust spływała mu kropelka krwi. Wyglądał jakoś tak niesymetrycznie z tą jedną czerwoną kreską, więc gdy Suchy kopnął go w twarz, starał się trafić dokładnie w ten sam punkt, ale z drugiej strony. Trafił idealnie. Doświadczenie wyniesione z rekreacyjnego grania w ukochany futbol robiło swoje.

– Żartowałem. I tak mnie to nie interesowało. Pytanie numer dwa: wiesz, po co cię tu przywiozłem?

Misiak dalej milczał, więc Suchy dalej kopał. Za cel tym razem obrał nos.

– Pytam uprzejmie jeszcze raz. Ostatni, zapewniam. Czy... wiesz... po... co... cię... tu... przy-wio-złem? – dokończył zdanie powoli i podkreślając wyraźnie słowa, jakby rozmawiał z niedorozwiniętym dzieckiem.

– Nie wiem – skłamał Misiak.

Odważny jest – pomyślał Suchy. – I głupi jak but.

– Panowie, słyszeliście. Pan Karol nie wie, po co tu z nami przyjechał. – Suchy spojrział na pozostałych i teatralnie rozłożył ręce. – Zapomniał biedaczek. Demencja chyba. Postępująca, na moje oko, mniej więcej od urodzenia. Zresetujcie mu więc, proszę, twardziela. Akupunkturą – polecił znużonym tonem. Wyciągnął z paczki papierosa. Pomimo protestów Misiaka kilku mężczyzn unieruchomiło go i zaczęło wbijać igły pod paznokcie.

A Karol? Cóż... Ryczał z bólu jak ranny łoś.

Suchy odwrócił się do tej sceny plecami i ukląkł. Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Myślał. Dał sobie i temu idiocie trochę czasu. Sam się o to prosił, więc niech trochę pocierpi. Nic mu się nie stanie. Ludzkie ciało to taki cudowny twór natury, że można je niszczyć i przyprawiać o nieznośny ból właściwie w nieskończoność. O ile robi się to oczywiście z odpowiednio długimi przerwami.

Słuchając wrzasków Misiaka, uśmiechnął się.

Zawsze jest tak samo. Najpierw zgrywają odważniaków poprzez milczenie. Czasem zgrywają odważniaków poprzez pyskówki. Zdarzały się też przypadki, że lepsi zgrywali odważniaków poprzez groźby. Standardowe „jeszcze pożałujesz”, nieśmiertelne „jeszcze ci pokażę, nie wiesz z kim zadzierasza” lub idiotyczne „jeszcze spotkamy się na mieście”. Idiotyczne, jeżeli brało się pod uwagę fakt, że pod pojęciem „miasto” krył się nie kto inny, jak właśnie Suchy.

A potem? Potem wołają o pomoc. Gdy i to nie odnosi skutku, pozostaje jedynie błaganie o litość.

Niedoczekanie.

Suchy podniósł się i tym razem wymierzył Misiakowi cios pięścią w brzuch. Ten zakrztusił się na moment, ale zaraz potem wrócił do wycia.

W końcu Suchy uznał, że jego kontrahent jest już gotowy do drugiej tury negocjacji.

– Dobra, na razie dosyć.

Uwolniony Misiak padł na ziemię i, głośno kwiląc, przycisnął do siebie poranione palce. Prawie zemdlął z bólu. Nie przeszkodziło mu to jednak wyjąkać:

– Ty skurwysynie. Bandyto jebany.

Suchy westchnął.

– Dobra, wysiliłeś się na ripostę godną ciebie, ale na dziś wystarczy, bo się jeszcze, gamoni, zesrasz z wysiłku...

– Ty kurwo! Ty dziwko jebana! – Nie przestawał Misiak.

– Karol, dobrze ci radzę, przymknij się. Nie chce mi się wdawać z tobą w pojedynek na inteligencję. Wbrew pozorom empatyczny ze mnie człowiek i szkoda mi atakować bezbronnych.

Suchy dopalił papierosa, rzucił go na ziemię, przydeptał niedopałek i kucnął tuż przy drżącym ciele swojego rozmówcy, opierając sobie ręce na udach.

– Coś ci wytłumaczę, więc słuchaj uważnie. Spróbuj skojarzyć fakty. To wbrew pozorom nie jest takie trudne. Uważasz? No to jedziemy. Czy ostrzegałem, co się stanie, jeżeli nie zwrócisz mi długu w terminie? Tak. Czy to ja w naszej umowie jestem tym, który dotrzymał wszystkich warunków? Tak. Czy to ja w trudnym czasie podałem ci rękę i pomogłem? Tak. Czy to ja okazałem się altruistą i pożyczyłem ci forszę, kiedy wypięły się na ciebie wszystkie tutejsze banki, a nawet lombardy? Tak.

Zamilkł na moment. Natomiast Misiak najwyraźniej zapowietrzył się z wrażenia, bo nic nie odpowiedział.

– Tak, tak, tak i tak! Cztery razy tak! Prawie jak w *Mam Talent!* Pomogłem ci, dałem ci nie tak znowu dużą górę papieru i jedyne czego wymagałem, to żebyś w określonym terminie zwrócił mi trochę wyższą kwotę. Proste zasady uczciwego kontraktu! Co z tego, skoro ty sprawiasz wrażenie, jakbyś ich nie rozumiał.

Misiak wciąż szlochał z bólu, jednak w końcu zdołał się odezwać.

– Czego ode mnie chcesz?

– Jednak jesteś głupi, bo wciąż zadajesz głupie pytania. Przecież już powiedziałem. Dopełnienia kontraktu.

– Wiesz, że nie mam takiej kasy.

– Ta, wiem. Wróble ćwierkają, że przerżnąłeś wszystko u buka.

Karol nie odpowiedział. Suchy uznał to za potwierdzenie. Zresztą i tak wiedział, że to prawda. Dorobił się znajomych w każdym punkcie bukmacherskim w Suwałkach. Odpowiednie kontakty to nie mniej cenny kapitał niż pieniądze. Informacje też dają władzę.

– Nie wstyd ci, że trzeba cię pilnować jak dzieciaka? Wydawałoby się dorosły facet, jaja już dawno pokryte włosiem, a zamiast mózgu orzeszek. Jak u stegozaura. Taki dinozaur, powinieneś kojarzyć. Roślinożerny, ze śmiesznymi pionowymi płytkami na plecach i kolczastym ogonem. Ogromne bydłę, ale głupie jak but.

– Nie kojarzę – odburknął obrażonym tonem Misiak.

– Nie jestem zaskoczony, szczerze mówiąc. Mniejsza z tym. Mam dla ciebie niespodziankę. – Suchy pozwolił sobie na kolejną mającą wzbudzić napięcie pauzę. – Będiesz wniebowzięty. Po raz kolejny wyciągam do ciebie rękę. – Jak powiedział, tak zrobił. Jednak Karol instynktownie odchylił się jak najdalej poza zasięg jego ramion. Nóg zresztą też. Na wszelki wypadek. – Nie bój się! Nic ci nie zrobię. Zobacz. – Suchy otworzył dłonie. – Nie mam szpilek.

Nadal przyciskając sobie do ciała pulsujące bólem i krwawiące palce, Misiak spojrział na adwersarza. Tym razem z niemałym zdziwieniem i zarazem podejrzliwością.

– Wstawaj. Nie wydurniaj się już. – Suchy machnął zachęcająco ręką. Karol zerkał niepewnie to na niego, to na dłoń swojego oprawcy, to na resztę obserwujących tę scenę mężczyzn. Wreszcie ostrożnie uniósł swoją rękę. Obyło się bez nieprzyjemnych niespodzianek. Suchy pomógł mu wstać i energicznie otrzepał z ziemi.

– Dobra, pogadaliśmy, pośmialiśmy się, a teraz pora na konkrety. Od dziś robisz dla mnie, rozumiałeś?

Oczy Misiaka rozszerzyły się w jeszcze większym zdumieniu.

– Co się tak na mnie gapisz jak na czubka? Mam wyjaśnić prostszymi słowami? Robisz dla mnie. Odpracujesz dług. W tej firmie zawsze znajdzie się miejsce dla nowych rąk do pracy. Witamy na pokładzie i w elitarnym gronie.

Karol całkiem dobrze radził sobie z ukrywaniem radości, ale i tak wyglądał teraz na najszcześliwszego człowieka na świecie. Kiedy wynosili go z tego pubu, naprawdę obawiał się najgorszego.

– Spłacisz mnie i jeszcze wyjdiesz na swoje. Spodoba ci się – ciągnął Suchy.

– Dziękuję – wymamrotał Misiak i dygnął lekko. Wyglądał żałośnie. Zgarbiony, z drżącymi nogami, stopami skierowanymi do środka jak u człowieka z płaskostopiem i za wszelką cenę unikający wzroku swojego rozmówcy.

Platfus – pomyślał Suchy.

– Ale! – Uniósł do góry palec wskazujący. – Od razu ustalamy, że masz bana na hazard do odwołania. I donosisz mi o wszystkim, co robisz. Kiedy i gdzie wychodzisz, z kim się spotykasz, co jesz na śniadanie, kiedy robisz kupę, kiedy się podcierasz, o ile to robisz, kiedy wieszasz pranie i tak dalej. Wszystko! Zrozumiano?

– Tak – mruknął z pokorą Misiak.

Suchy zaśmiał się w duchu. Skończyło się tak jak zawsze. Potulny jak bara-

nek. Zaczynało go to nawet z lekka nużyć. Z co bardziej krewkimi interesantami idzie co prawda trudniej, mimo to przynajmniej stanowią wyzwanie. Lubił wyzwania.

– Czy muszę dodawać, że jeżeli coś odwalisz, nie wiem, rozprujesz się na psiarni albo nie wykonasz z należytą starannością jakiegoś zlecenia, albo znowu objawi ci się Jezus i przepowie, że Legia przegra z Pegazem Piecki, więc postawisz na to wszystkie moje pieniądze, to się pogniewamy i przyjedziemy tutaj na wycieczkę? Wyjazd integracyjny, twój i zakopanych tu sympatycznych Jaćwingów. Wiesz, ilu takich jak ty sprzątnięto w tym lesie?

– Słyszałem... – zaczął Karol, ale Suchy natychmiast mu przerwał.

– I bardzo dobrze, że słyszałeś. Z jakiegoś powodu ten las od zawsze robił za ulubioną miejscówkę mafii. Zwłaszcza na przełomie wieków, kiedy kilka grup walczyło w tej okolicy o wpływy. Różne kawałki nieszczęśników tu odnajdywano. Czasem nawet odcięte głowy.

Suchy zauważył kątem oka, że Knizio, jeden z jego żołnierzy, poruszył się niespokojnie i rozejrzał po lesie. Rozpoznał w tym gest albo lekkiego zniecierpliwienia, albo... czegoś innego. Z tego powodu uznał, że będzie się streszczał.

– W największym skrócie: pracujesz od teraz dla mnie, robisz wszystko, co ci każę, bez żadnej dyskusji, trzymasz się z dala od hazardu. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powtórz.

– Pracuję teraz dla...

– Dobra, wierzę, że zapamiętałeś. – Suchy machnął ręką. – Wódz rzekł. *Howgh!* Czekaj na telefon. Panowie – zwrócił się do pozostałych – mamy piątek wieczór. Zapraszam do Beermy na zasłużone piwko.

Na to odezwał się jeden z gangsterów, z charakterystyczną, zaczesaną na bok blond grzywką:

– Zapomniałeś dodać: „Nie mylić z Bramą”!

– Racja – przyznał Suchy. – Zapomniałem dodać: „Zamknij dziurę, Rubik”!

Już mieli rozpocząć marsz z powrotem do aut, gdy wtem coś sobie przypomniał i powtórnie zwrócił się do Misiaka.

– Aha. Jeszcze jedno. Jak ty mnie tam nazwałeś na samym początku?

Nim zaskoczony Karol zdążył jakkolwiek zareagować, zarobił kolejny cios w żebra. Tym razem nogą. Podczas gdy wił się na ziemi, kwiląc żałośnie jak zranione ciele, Suchy dodał jeszcze:

– Zapamiętaj sobie, że na przełożonych nie mówi się brzydko. Takie są zasady w tej firmie. Jakaś hierarchia i idące za nią tak zwane *behavior codes* muszą się zgadzać.

Ruszył różnym krokiem przed siebie, trochę utykając, gdyż pobolewająca go od jakiegoś czasu po kopaniu klienta stopa na nowo dała o sobie znać. Pozostali podążyli za nim. Podwózka Misiaka na cmentarzysko Jaćwingów nie zawierała opcji powrotnej, więc od tej pory musiał radzić sobie sam.

Suchy potrzebował dać bolącej nodze trochę odpoczynku, więc pozwolił się wyprzedzić większości towarzyszy, aż zrównał się z idącym na końcu Kniziem.

– Co jest?

– Generalnie nic.

– No mów, przecież widziałem. Wyglądałeś, jakbyś zobaczył ducha.

– Prawdę mówiąc, generalnie jakoś dziwnie się tu czuję.

– To znaczy?

– No, ten las... Nie masz tak?

– Fajna miejscówka, co?

– Może i fajna, ale przyprawia mnie o ciary. Nie chciałbym wylądować tu kiedyś sam. Nawet za dnia.

– Oj, Areczek, Areczek. – Suchy poklepał go po plecach. – Widzę, że porwała cię moja historyjka. Nie powiem, łechta to moją próżność utalentowanego mówcy. Jeżeli cię to uspokoi, to przyznam się, troszku ją podkolorowałem dla należytego efektu. To nie była do końca prawda. Miejskie legendy robią swoje.

– No, skoro tak.

– Już? Syneczek spokojnie zaśnie czy tatuś ma z nim jeszcze trochę posiedzieć i ukołysać do snu? A może podetrzeć pupcię?

– Może i by zasnął, gdyby nie...

– No weź, Arek! Co z tobą? – Zaśmiał się Suchy.

– Nie no, nieważne. Może coś mi się tylko zdawało.

– Co ci się zdawało?

Knizio westchnął i spuścił wzrok.

– Ja wiem, co sobie pomyślisz, ale mi naprawdę w pewnym momencie wydawało się, że gdzieś tam po drzewach coś sobie biega i lampi się na nas z ukrycia – wypalił.

– Biega? – upewnił się kpiącym tonem Suchy.

– Może źle się wyraziłem. Skacze z drzewa na drzewo, pełza, wije się. Nie wiem, jak to dobrze opisać. Jak jakaś nienaturalnie szybka małpa. Albo ogromna wiewiórka. Nie wiem, jaszczurka? Wydawało mi się, że to słyszałem, a kątem oka może i widziałem.

– Co widziałeś?

– Za ciemno było, ale jakby... kobietę?

Suchy drgnął niezauważalnie. Najprawdopodobniej przysłużył się temu słaby, lodowaty wietrzyk, który właśnie w tym momencie przetoczył się przez las i wyraźnie chciał mu się dostać za kołnierz. Najprawdopodobniej. Uznał jednak, że na dziś wystarczy już bzdur i nawet tę myśl zwerbalizował:

– Matka wie, że ćpiesz?

– Dobra, mówiłem przecież, że coś mi się pewnie przywidziało.

– I bardzo dobrze mówiłeś! Do auta i spadamy stąd. Ale już! Nie wiemy, czy to nie jest zaraźliwe. Może jakieś gówno unosi się w powietrzu?

– Marek...

– Zgrywam się, chłopie! Nie spinaj się tak. Piwko dobrze ci robi. Potem zalecam ci zerżnięcie jednej ze swoich podopiecznych albo chociaż okład z młodych piersi. Prowadzisz. – Rzucił mu kluczyki.

Jak tylko wsiedli do samochodu i, zgodnie z poleceniem Suchego, siedzący za kierownicą Arek skierował auto z powrotem do Suwałk. Jako pierwszy odezwał się Pepe:

– Nie boisz się trochę?

– Czego? – Suchy i Knizio, nie wiedzieć czemu, pomyśleli dokładnie o tym samym.

– Wpuszczać go w ten biznes. Przecież to nieudacznik życiowy.

No tak, Misiak.

– To będzie powolny proces, Pepcio – odpowiedział już zupełnie rozluźniony Suchy. – Nikt nie zaczynał od jazdy na rowerze. Każdy musiał kiedyś nauczyć się raczkować, chodzić i tak dalej.

– Na co dzień uwielbiam słuchać twojego filozoficznego nawijania makaronu, ale teraz mnie nie przekonuje. On się nawet raczkować nie nauczy. Ja bym się bał dać mu do ręki nawet spinacz biurowy. Znając go, pewnie sam zrobiłby sobie krzywdę.

– Zacniemy od czegoś naprawdę prostego, na przykład może sprzedawać nasze szlugi na bazarze. To chyba najprostsze, co może być. Stoi, uśmiecha się ładnie do ludzi, trzyma w ręce kilka paczek, pilnuje reklamówki, w której ma

ich więcej. Zarabia dla nas „piniondze” i daje nogę, jak tylko zobaczy, że nadchodzą ci co zawsze, w niebieskich mundurach. Myślisz, że to zbyt skomplikowane nawet jak dla niego? Jakby co, może sobie wszystko zapisać na dłoni. Chyba się zmieści.

– Się okaże. Wciąż nie sprzedałeś mi jego osobowości, mistrzu kitu... – Gdy tylko Pepe to sobie przypomniał, urwał swoją wypowiedź. – Ej, moment! Przecież szlugi to moja działka! Ma pracować dla mnie? Chyba ci już do reszty mózg wyżarło! Sam go sobie pilnuj!

– Oj tam, oj tam. – Suchy rzucił swoją ulubioną uniwersalną odpowiedzią, którą niezmiennie uważał za zabawną. – Nie przeżywaj tak. Jasne, mój pomysł, ja go pilnuję. Nie zrobiłbym ci tego, tłuscioszku ty mój. – Posłał w jego stronę udawanego całusa. Pepe złapał go w dłoń i ostentacyjnie wytarł ją sobie o krocze, co wywołało ogólną wesołość wśród pasażerów auta.

– W zależności od tego, jak będzie sobie radził, kroczek po kroczeniu będziemy mu dawać poważniejsze zadania – ciągnął Suchy. – Tak jak mówiłem, ręk do pracy nigdy za wiele. Na pewno ma jakieś ukryte talenty. Trzeba je tylko odkryć, wydobyć i pielęgnować.

– Ja na razie widzę tylko jeden. Wygląda na takiego przygłupa, że nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że robi dla nas. Bo to byłby aż wstyd.

– Karol Misiak, gamoń wesołej kompanii. Specjalność: wygląd idioty. Dobrze i to.

Po tej puencie temat Misiaka został wyczerpany i przez jakiś czas jechali w milczeniu. Po chwili ciszy niespodziewanie odezwał się Rudy:

– Marek.

– No?

– Tak sobie myślę.

– No?

– Weź ty mi powiedz, kto to są „ci co zawsze, w niebieskich mundurach”?

MARTYNA

– Martynka! Piwko dla wszystkich! – rzucił Marek dziarskim tonem, klepiąc parę razy otwartą dłońią o drewniany blat baru, po czym razem z chłopakami ruszył do zarezerwowanego dla nich stolika w głębi lokalu. Choć jego głos ledwo przebijał się przez głośną muzykę, Martyna zrozumiała go doskonale. Wystarczył jej sam ruch ust Suchego. Uśmiechnęła się do niego i skinęła głową.

Uśmiechnęła się też do swoich myśli.

Aktualny dobry nastrój jej niejednokrotnie wybuchowego szefa oznaczał bowiem tylko jedno: intensywną noc w pozycji leżącej.

Co więcej, ten dzień był wyjątkowy z jeszcze jednego powodu...

Jeszcze zanim go w ogóle zauważyła, od razu po wejściu do pubu Marek odszukał ją wzrokiem. Wyglądała pięknie, jak zwykle. Wysoka, szczupła, delikatnie opalona brunetka z włosami spiętymi w koński ogon. Co prawda piersi mogłaby mieć trochę większe (nienawidził sztucznych, zatem problem pozostawał nierozwiązywalny), niemniej stanowiło to w zasadzie jej jedyny defekt. Diamentowy, mały kolczyk nad wargą po prawej stronie służył za idealny substytut seksownego pieprzyka. Dziś ubrała się w czarną mini, doskonale podkreślając jej niesamowite, długie nogi, i wysokie, czarno-białe szpilki na platformie, które Marek wprost uwielbiał.

Ktoś mógłby uznać to za zbyt odważny ubiór dla barmanki, prowokujący wręcz, ale każdy gość Beermy wiedział, że od której jak której dziewczyny za ladą, ale od Martyny należy trzymać się z daleka. Dla swojego dobra. Inne barmanki, również całkiem, całkiem, w porządku – droga wolna, oczywiście w granicach rozsądku. Natomiast od niej wara. Była to jasna jak słońce niepisana reguła, tajemnica poliszynela.

Nawet jak znajdował się jakiś prawdziwek, który nie wiedział, jak ma się zachować, to prędzej czy później dowiadywał się w ten czy inny sposób. Na przykład za pomocą „profilaktycznego liścia”. To w zupełności wystarczyło, by w mig przyjąć do wiadomości pewne zasady.

A konkretnie jedną. Martyna należała do Suchego. Na wyłączność. Na zawsze.

WESOŁA KOMPANIA

Martyna przyniosła wypełnione kufle do stołu, przy którym siedzieli, i odeszła. Suchy jeszcze długo wodził wzrokiem za jej kręcącym się zachęcająco i zapewne nieprzypadkowo tyłeczkiem. Obraz ten zakotwiczył mu się w umyśle tak mocno, że w końcu nie wytrzymał. Po wypiciu pierwszego piwa wstał i po raz kolejny podszedł do baru. Dziewczyna akurat przecierała szklanki.

- Za godzinę? – zapytał z uśmiechem.
- Jasne. – Zamrugła i również się uśmiechnęła.
- Wyglądasz obłądnie, skarbie.
- Dziękuję – odpowiedziała z miną speszzonej dziewczynki.
- Daj mi jeszcze jedno piwo.

Gdy wypełniła jego polecenie, wziął kufel i, jakby nigdy nic, odwrócił się tyłem do baru. Omiótł wzrokiem cały lokal, ten wypełniony po brzegi klientami klejnot w jego koronie, który nie dorobił się w okolicy żadnej konkurencji, z czym Suchy naturalnie nie miał nic wspólnego (ha, ha!).

Nazwanie Beermy podobnie do jednego z dotychczas popularniejszych pubów w mieście, Bramy, okazało się strzałem może nie w dziesiątkę, ale gdzieś tak w okolice siódemki, ósemki na pewno. Brama mieściła się w zupełnie innej części Suwałk, więc nie wchodzili sobie w paradę. Grunt, że bardzo często ludzie, umawiając się w Bramie, przez pomyłkę lądowali w Beermie i taki obrót zdarzeń bardzo Suchemu odpowiadał.

W przeciwieństwie do sytuacji, gdy działo się zgoła odwrotnie.

Sądząc po dzisiejszej frekwencji, najwyraźniej nie stało się tak tym razem.

Spojrzał na parkiet, gdzie zwłaszcza jeden młody człowiek wywijał tak energicznie, że aż był cały mokry od potu. Suchy uśmiechnął się pod nosem i pociągnął okazały łyk piwa.

Znowu zerknął na swoich chłopaków, którzy niezrażeni tym, że opuścił towarzystwo, kontynuowali rozmowę. Stanowili najgłośniejszą grupę w całym lokalu. Wesoła Kompania Suchego. Tradycyjnie brylował w niej zawdzięczający pseudonim charakterystycznemu uczesaniu Rubik, który właśnie tłumaczył coś wszystkim pozostałym, energicznie przy tym gestykulując. Uwielbiający słuchać jego trafnych przemyśleń i historii z życia wziętych Marek skupił się,

by odczytać słowa z samego ruchu jego ust. Nie darowałby sobie, gdyby to przegapił.

– Zapamiętajcie, chłopcy, tę jedną, podstawową mądrość: jeżeli facet pracuje w sklepie z ubraniami i wygląda na geja, to jest gejem!

Marek parsknął śmiechem tak intensywnie, że prawie zakrztusił się piwem. Cały Rubik. Jego największym atutem, nie licząc cudownych, lśniących blond włosów z dłuższą, zaczesaną na bok grzywką, był właśnie talent do szeroko pojętego gadania, dzięki któremu jako naczelny paser i dostarczyciel dragów gangu przynosił mu sporo kapusty. Mistrz negocjowania ceny nie do przebicia.

Obok niego, z wyrazem twarzy jak zawsze nieskażonym jakąkolwiek myślą, siedział Rudy. Też zawdzięczał ksywkę fryzurze – był łysy. Rola w grupie? Z racji swoich ograniczonych możliwości intelektualnych, używany przez Suchego głównie jako klocek od zadań siłowych.

Dalej Pepe, zwany też niekiedy Spoconym Jankiem, grubym na bramkę albo, pieszczotliwie, wieprzkiem, choć tak naprawdę urodził się Piotrem. Oprócz kontrolowania suwalskiego czarnego rynku papierosów, znany głównie z rozmiaru swojego bebecha. Balastu jak w ósmym miesiącu ciąży. Na nieszczęście Piotrka powodował on, że nikt z kumpli, z Suchym i Rubikiem na czele, nie traktował go do końca poważnie. Tym bardziej, jak brało się pod uwagę jego aparycję zasiedziałego w swoim zawodzie taksówkarza z łysiną w stylu Pawła Kukiza oraz obiektywnie większymi i ładniejszymi cyckami niż te, którymi szczyciła się Martyna.

Marek zaśmiał się pod nosem. Działał tak na niego sam widok. Nie, już nawet nie widok. Sama myśl o tym pociesznym człowieku.

Kolejne dwa miejsca na ławie zajmował Szafa. Bez błędu – dwa, a nie jedno. Wielki, ponad dwumetrowy i najprawdopodobniej z dwustukilogramowy facet. Chyba trafniej byłoby ochrzcić go „Górą”, ponieważ ilekroć podnosił się na nogi, zapadała ciemność. Jednoosobowo powodował zaćmienie słońca. Tak ogromny King Kong, że posiadał własne pole grawitacyjne. To gwiazdy kręciły się wokół niego, a nie odwrotnie. To on odpowiadał za wszelkie przyprływy, odpływy i tsunami na świecie (na przykład w sytuacjach, kiedy nieco mniej delikatnie siadał). I choć w walce wręcz był raczej cienki, wolny i poruszający się z gracją wagonu z węglem, to jego potworna siła w połączeniu z umiejętnością wzbudzania respektu samym wyglądem stanowiły bezcenny kapitał. Nie mogło zatem dziwić, że w kompanii piastował stanowisko naczelnego windykatora. Niezawodny w kwestiach odzyskiwania cudzych długów,

pozyskiwania funduszy z haraczy i rozwiązywania problemów społecznych typu: „Moi sąsiedzi za bardzo hałasują, da się coś z tym zrobić?”. Stawka za takie zlecenie – promocyjna. Trzysta złotych i problem zniknął.

Dalej Sokół. Niski chudzielec z jajowatą głową, długą szyją i nienaturalnie prostą, śnieżnobiałą, zębną klawiaturą w ustach wiecznie wykrzywionych zawodniackim uśmiechem. Irytujący cwaniaczek. Irytujący epatującym niesamowitą pewnością siebie sposobem chodzenia, irytujący stylem bycia i niezadkim pajacowaniem. Szwindel miał we krwi. Krążyły legendy, że znalazł sposób nawet na wycykanie jednorękiego bandyty w salonie z automatami. Mistrz oszukiwania i dojenia desperatów. Świadomy zdolności Sokoła Marek zabraniał mu uczestnictwa w partyjkach pokera na niemałe pieniądze, które często rozgrywali dla przyjemności. Pomimo że Sokół zarzekał się, iż nigdy, przenigdy by go nie oszukał.

„Co ty, Marek! Ja? Ciebie? W życiu!”

A świstak siedzi i zawija je w te sreberka. Śmichy chichy, ale ostatnie, co Suchy powiedziałby o najlepszym szulerze i kombinatorze, jakiego znał, to że pod tym względem mu ufa. Niemniej wciąż znajdowali się frajerzy, którzy ten błąd popełniali. I gdyby nie fakt, że Maciek regularnie odpalał Suchemu sowi-tą dolę ze swoich interesów, za co otrzymywał ochronę, to pewnie dawno skończyłby co najmniej na wózku inwalidzkim.

Poznali się jeszcze w piaskownicy, ale, w odróżnieniu od Marka, Sokół poszedł na studia, które skończył w całości na ściągach, jak na zawodowego oszusta przystało. W trakcie nauki nie tracił czasu, tylko pielęgnował w sobie inne talenty. Zapalony bukmacher i hazardzista. W przeciwieństwie chociażby do Misiaka, z konkretnymi sukcesami. Zawsze dobrze poinformowany jeżeli chodzi o ustawione mecze, nawet te rozgrywane na najbardziej egzotycznych zadupiach, i potrafiący przykładowo zamienić tysiąc złotych na trzydzieści, grając w oficjalnie nielegalne w Polsce internetowe zakłady na żywo. W jedną noc!

Bywały momenty, w których także i Marek pożyczał Maćkowi sporą kasę na tak zwane „pewne” zakłady, niemniej dla własnego zdrowia psychicznego nigdy nie pytał konkretnie na co, toteż nigdy nie śledził nawet wyników. I nie musiał, bowiem „pewne” zakłady zawsze okazywały się pewne nie tylko z nazwy.

Suchy omiół wzrokiem prawie wszystkich siedzących przy stole i w wyliczance pozostała mu jedna osoba. Jak zawsze na uboczu i nieudzielający się zbytnio w rozmowie Arek „Generalnie” Knizio. Człowiek orkiestra. *Executive*

manager wszystkich suwalskich złodziei, najbardziej zaufany żołnierz Marka od drobnych, prywatnych czarnych robót, w szczególności od zdobywania informacji, i jednocześnie alfons jedynych dwóch prostytutek w Suwałkach. Przyjmowały na mieszkaniówce w samym centrum. Szczupły, przystojny brunet niskiego wzrostu z dużymi, błękitnymi oczami, zaczesanymi na bok, umodelowanymi emulsją, krótkimi włosami i trochę chłopięcą urodą. Jak zawsze ubrany bardzo elegancko – dziś w szarą marynarkę, czarną koszulę, wyprasowane w kant spodnie i pantofle wypastowane tak starannie, że aż błyszczące się jak psu jajca.

Suchy rozejrzał się po sali jeszcze raz i dostrzegł siedzącego w samotności mężczyznę o wyglądzie przywodzącym na myśl Gargamela ze *Smerfów*. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i bez zastanowienia ruszył w jego kierunku.

– Witam, trenerze – przywitał się, podał mu rękę i nie zapytał nawet, czy może się przysiąść, po prostu to zrobił.

– A witam, witam. – Trener Czerwieński, przez swój wygląd zwany w środowisku piłkarskim pieścotliwie „Garym”, skłonił się nieznacznie w pozycji siedzącej.

– Widzę, że kufel pan już prawie opróżnił...

– Smaczne piwo macie, to i szybko mi idzie. Lubię z beczki. Niepasteryzowane, to jest to! Ta goryczka! Nic mu nie dorówna – powiedział z entuzjazmem.

– Pan wybaczy, ale nie mogę pozwolić, by u mnie w lokalu jakikolwiek kufel był pusty. Rozumie pan, zwyczajnie brzydko to wygląda. – Suchy odwrócił się w stronę baru i korzystając z faktu, że Martyna akurat mu się przyglądała, poprosił ją gestem, by przyniosła jeszcze jedno piwo.

– Na koszt firmy.

– A dziękuję bardzo.

– Ostatni mecz w sezonie, dobrze pamiętam? – Marek od razu przeszedł do sedna.

– Tak.

– A jak sytuacja w tabeli? Zapomniałem zapytać Adasia.

– Pierwsze, ale Włókniarz Białystok ma tyle samo punktów, więc dla świętego spokoju trzeba jutro wygrać.

– A z kim mecz, bo zapomniałem?

– Z Warmią Grajewo. Nie będzie łatwo. Nie mają już szans na mistrza, ale są trzeci, a do tego zawsze nam się z nimi ciężko grało. Mają zwłaszcza dwóch

takich nieprzyjemnych, silnych biegusów w ataku.

– Aha, aha. – Suchy udawał, że cokolwiek go to obchodzi.

– Jak zagramy swoje, to wygramy. Tyle panu powiem. – Trener Czerwieński pociągnął okazały łyk piwa.

– Ta, nie wątpię. A jak z Adasiem? Zagra?

– Jeszcze nie wiem.

Ależ on jest perfidnym kłamcą – pomyślał Marek. – *Prawie jak ten prawdziwy Gargamel.* Powstrzymał się jednak, by tej bezczelności trenerowi nie wypomnieć. Nie o to tu chodziło.

– Niech mu pan da zagrać – powiedział wprost.

Mężczyzna drgnął niespokojnie. Tkwił między młotem a kowadłem. Jego aktualnego położenia nie dałoby się naprawdę lepiej określić. Aby zyskać na czasie, wziął jeszcze jeden przesadnie duży łyk piwa, tak okazały, że aż się prawie zakrzuszył. Przez cały ten czas Suchy nie odrywał od niego wzroku. Nawet nie mrugnął.

– To zależy – wymamrotał w końcu odważnie trener.

– Od czego?

– Od wyniku.

– Proszę pana, bardzo uprzejmie, jeszcze raz, niech pan da mu zagrać. Niezależnie od wyniku. Bardzo mi na tym zależy. Jemu też. To ambitny chłopak. Bardzo przeżywa te mecze, proszę mi wierzyć.

– Nie mogę... – zaczął trener.

– Czego pan nie może? – przerwał mu Marek.

– Nie mogę nikogo faworyzować. Tym bardziej, że...

– Tym bardziej, że co? – Suchy uniósł się lekko, po czym z satysfakcją obserwował, jak jego rozmówca staje się coraz bardziej zagubiony. Co jak co, ale sztukę tego typu konwersacji miał w małym palcu.

Trener Czerwieński był teraz jak otwarta książka i nie musiał nic mówić, bowiem jego język ciała aż wrzeszczał: „o kurde, ile bym teraz dał, żeby stąd spieprzyć”. Bał się aż miło. Milczał przez moment, nerwowo wodził wzrokiem wokół i bawił się swoimi dłońmi.

– Że są od niego lepsi. Co będę pana oszukiwał – zakończył prawie szeptem, gapiąc się w kufel.

Gdyby brać pod uwagę wyłącznie twarde, niezbite fakty, Suchy przegrał tę dyskusję z kretesem. Jednak tu kontekst był nieco inny, to on miał ostatnie słowo i skrzętnie z tej możliwości skorzystał.

– Będę jutro na meczu. Przyjdziemy kibicować chłopakom całą rodziną. Po raz ostatni bardzo pana proszę, niech mu pan da zagrać. Nie pożałuje pan. – Swego czasu wynalazł taki oto nowatorski sposób na powiedzenie „albo zrobisz to, co ci mówię, albo pożałujesz”. Niby ten sam wydźwięk, niby to samo znaczenie, a zupełnie inaczej brzmi. Prawda?

Na szczęście trener nie musiał już ani wypijać kolejnego łyku piwa, ani brać przesadnie głębokiego oddechu. Suchy, bez powiedzenia tego wprost, dał mu czas na podjęcie decyzji do jutra. Do meczu. Zrozumieli się bez słów.

Wstał i uniósł swój kufel.

– Za Wigry Suwałki. Najlepszy klub na świecie!

Czerwieński nie odpowiedział, tylko także nieśmiało uniósł swoje piwo. Stuknęli się szkłem, po czym Marek dopił napój do końca, wytarł z ust resztki piany i rzekł:

– Znikam.

– Dobranoc.

– Ja też życzę panu dobrej nocy. I owocnej, jeżeli chodzi o plany taktyczne. Ma pan tak czasem, że najlepsze pomysły przychodzą panu do głowy w czasie snu i żeby ich nie zapomnieć, musi pan wstać i je sobie zapisać? Tak podobno robią najlepsi trenerzy piłki nożnej na świecie. Życzę zatem takiej właśnie nieprzespanej nocy.

Odstawił kufel na stół i gdy ruszył z powrotem do baru, by zwolnić dziś Martynę wcześniej z pracy, przeszedł przez parkiet. Minąwszy wciąż robiącego na nim furorę młodzieńca, uśmiechnął się przyjaźnie i uniósł dłoń w geście przybicia piątki. Chłopak z początku trochę się tym zdziwił, lecz, koniec końców, odpowiedział mu tym samym.

TAJEMNICZY GOŚĆ

Tymczasem inny mężczyzna, który siedział samotnie w kącie i uważnie obserwował Suchego od samego jego wejścia do pubu, także uśmiechnął się pod nosem i także uniósł do ust kufel z wysmienitym, chłodnym piwem.

Wiele zmieniło się w mieście pod jego nieobecność, ale przynajmniej jedna rzecz pozostawała taka sama – ktoś musiał w nim rządzić. Tym razem padło na Marka Suchockiego. Jedni odchodzą, przychodzą następni. Jednak czasem jest tak, że ci, którzy odeszli, wracają.

Czasem.

– Cześć. – Jego rozmyślania przerwała nieznajoma, atrakcyjna kobieta, która zniecka przysiadła się do jego stolika.

– Słucham panią? – zapytał, mimo że było to właściwie zbyteczne. Wiedział, co za chwilę usłyszy. Po prostu posiadał w domu tak oczywisty przedmiot jak lustro. Poza tym w pubie panował półmrok.

– Nigdy cię tu nie widziałam, jesteś stąd? – zapytała kokieteryjnie i pochyliła się przed nim, niby przypadkiem eksponując swój efektowny dekolt.

– Tak. Tylko wróciłem z dalekiej podróży. Kilkunastoletniej.

– Brzmi ciekawie. Opowiesz mi o tym?

– Średnio mi się chce, szczerze mówiąc.

Trochę straciła rezon, nie dało się tego nie zauważyć. Nie zamierzała się jednak poddać.

– Postawisz mi drinka?

– Dlaczego miałbym?

– Eee... No, byłoby miło, nie sądzisz?

– Miło? Mam pomysł w takim razie. Ty postaw mi drinka, co ty na to? Będzie mi bardzo miło.

Wstała.

– Frajer.

– Frajer? Bo co? Bo inwestuję w ciebie wyłącznie swój czas, a nie czas i pieniądze? Czyli dokładnie tyle samo, co ty we mnie? Co ty masz mi do zaoferowania poza cyckami?

Nie odpowiedziała. Z obrażoną miną poszła do innego stolika, do, delikatnie mówiąc, nieco mniej przystojnego faceta niż on.

Nie udało się z pierwszym upatrzonym celem, to trzeba próbować z kolejnymi na liście. Takie życie. Selekcja naturalna, wieczne szukanie, dopasowywanie swój do swego. Mężczyzna pomyślał, że w gruncie rzeczy jej determinacja była godna podziwu.

Uniósł kufel do ust. To już trzecia kobieta, którą dzisiaj splawił. Nie interesowały go takie znajomości. I miał ku temu powód.

Zmartwiło go za to co innego. Czy naprawdę ze swoim nowym wizerunkiem aż tak bardzo rzucał się w oczy? Niedobrze. Może jednak odpicowanie się na glanc było błędem?

Nawet ta przepiękna barmanka (jak podejrzewał, kochanka Suchockiego) przyglądała mu się z zaciekawieniem częściej, niż należałoby to uznać za naturalne.

Tyle dobrego, że wzbudzał zainteresowanie tylko wśród kobiet. Ledwo się powstrzymywał, by nie parsknąć śmiechem. Bo było to bardzo zabawne, kiedy niektórzy z tych gangsterów, których znał tak dobrze, jakby byli jego synami, szli do tamtego stolika, rzucał mimochodem na niego okiem i w żaden sposób nie reagowali.

Nie zdawali sobie z niczego sprawy, durnie. Nie mieli najmniejszego pojęcia, kogo im tu na powrót przywiodło. Kogoś, kto w swoim życiu, delikatnie mówiąc, sporo nagrzeszył.

– Cześć. Nigdy cię tu nie widziałem. Jesteś tu nowy? – Ktoś znowu brutalnie przerwał rozmyślania mężczyzny. Tym razem szczupły, ubrany w różową koszulę i obcisłe rurki facet, który (o zgrozo) starannie uczesane blond włosy miał przyozdobione brokatem.

I który (co jeszcze bardziej napawało zgrozą) właśnie zajął miejsce uprzednio zajmowane przez tamtą kobietę.

STRACH

W nocnej ciszy dało się usłyszeć jedynie rytmiczny oddech Marka.

Martyna nie spała. Leżała na boku z głową opartą na ręce i spoglądała na Suchego. Tak naprawdę nie była skupiona na nim, a na swoich myślach. Nie potrafiła zmrużyć oka. Zresztą przez cały wieczór była jakby nieobecna i nawet on to zauważył. Gdy o to zapytał, odpowiedziała coś wymijająco i uśmiechnęła się sztucznie, na co, na szczęście, dał się nabrać. Teraz, kiedy już zasnął, miała o to do siebie pretensje. I to spore.

Stchórzyła.

Tak to należało nazwać. Bez owijania w bawełnę. Milczała, kiedy powinna była mówić. W rezultacie jej szef i kochanek w jednym nadal nic nie wiedział. A powinien.

Westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Tylko po to, by nie mieć śpiącego obok niej Marka Suchockiego w zasięgu wzroku.

Zamknęła oczy.

MECZ

– Dawaj, Adek! Jedziesz z nimi!

Marek oderwał wzrok od boiska i zerknął na swoją żonę Kasię oraz siedzącą obok córkę Iwonkę. Ależ one były do siebie podobne! Niesamowite. Te same odrobinę kręcone blond włosy, te same niebieskie oczy i zadarte noski, te same ładne buźki i ta sama miłość do smartfonów.

– No co ty? – zapięła z entuzjazmem Kasia do kogoś, z kim rozmawiała przez telefon już dobre kilkadziesiąt minut. – Spałaś z nim?!

Iwonka zaś nie odkryła jeszcze przyjemności plotkowania przez telefon i póki co wolała używać go do innych celów. Na przykład, tak jak teraz, do pochłaniającego ją bez reszty grania w jakąś wybitnie nieedukacyjną gierkę. W przeciwieństwie do Marka, obu ani trochę nie obchodziło to, co dzieje się na boisku.

Z kolei Adaś – pierworodny rodziny Suchockich – biegał właśnie po murawie. I był na ustach wszystkich pozostałych widzów.

„Trenerze, zmień go!”

„Co to ma być, do cholery?! Kto mu w ogóle dał korki?!”

„Jezu, jaki ten konus jest słaby!”

Wzbudzał emocje o nie mniejszym kalibrze niż prawdziwe gwiazdy tego sportu, trzeba mu to było oddać. Także w Marku. Suchy z pozoru zachowywał spokój, ale wewnątrz aż nim trzęsło.

No cóż, ojcowska miłość ojcowską miłością, niemniej chyba nadszedł ten moment. Chwila przyjęcia do wiadomości brutalnej prawdy. Z bólem serca, a jeszcze większym dupy.

Jego ukochany, nastoletni syn, Adam Suchocki, był słabym piłkarzem.

Mało powiedziane.

Niech to szlag, ależ on był beznadziejny! Nie-wy-obra-zał-nie!

Dzisiaj wybitnie robił za dwunastego zawodnika gości. Psuł wszystkie możliwe zagrania. Zaplątywał się w zbyt duży jak na niego strój. Nie wygrał ani jednego dryblingu, podawał wyłącznie niecelnie, spóźniał wślizgi o co najmniej kilka sekund i zdążył nawet zarobić żółtą kartkę. Po dwudziestu minutach gry! Co więcej, to po jego stracie padła bramka dla Grajewa – czyli robił za pośmiewisko i przynosił wstyd rodzinie. Nawet z wysokości trybun nie

dało się nie zauważyć, że od pewnego momentu reszta drużyny grała tak, jakby nagle wyparował z boiska, ale szczerze? Suchy nie miał o to do nich żadnych pretensji i sam, im więcej minut spotkania mijało, tym rzadziej okazywał dopingiem, że łączą go z tym chłopakiem jakiegokolwiek więzy krwi.

Oho, jakiś nieszczęśnik chyba się zapomniał i przez pomyłkę znowu do niego podał. Rezultat? Kolejna strata i Warmia jedzie z kontrą. Jezu Chryste.

Marek pochylił się, oparł łokcie o kolana, złapał się za głowę i w zażenowaniu gapił się na ziemię. Na co dzień żywo reagujący na wydarzenia na boisku trener Czerwieński, dzisiaj dziwnym trafem nie odzywał się ani słowem i od samego początku meczu siedział na zadaszanej ławce rezerwowych (trybuna, na której usadowiła się rodzina Suchockich mieściła się za nią, nie mogli go więc widzieć). Suchy nie miał wątpliwości, że szkoleniowiec trwa właśnie w dokładnie tej samej pozycji, co on.

W końcu Marek podjął męską decyzję, wstał i podszedł do barierki odgradzającej siedziska od murawy.

– E, młody!

W pobliżu rozgrzewał się inny, chudy jak patyk nastoletni piłkarz. Po okrzyku Marka rozejrzał się za właścicielem głosu i, zdziwiony, wskazał na siebie w pytającym geście.

– Tak, ty. Cho no tu z łaski swojej.

Podszedł, a Suchy poprosił, by zawołał do niego trenera. Po kilkunastu sekundach Czerwieński ruszył w stronę barierki. Szedł z pochyłą głową, jak na ścieżce. W porównaniu do wczoraj wyglądał, jakby schudł o pięć kilogramów, a postarzał się o co najmniej dwa razy tyle lat.

– Niech pan go zmieni – rzucił Marek, starając się, by nie powiedzieć tego zbyt głośno.

Czerwieński wyglądał przez moment, jakby już naprawdę ostatkami silnej woli powstrzymywał się od wykrzyczenia mu prosto w twarz czegoś w stylu „jest pan zadowolony z zasugerowanych mi wczoraj rozwiązań taktycznych, panie Suchocki?!”, ale koniec końców wychrypiał tylko „dziękuję!” i z kontrastowym wobec poprzedniego tempem czym prędzej pobiegł z powrotem do ławki rezerwowych, po drodze wołając jeszcze do stojącego w pobliżu chłopaka: „Łada, wchodzisz, szykuj się!”. Tymczasem Marek, wracając z zażenowaną miną na swoje miejsce, zdał sobie sprawę, że tenże właśnie rzeczony Łada intensywnie rozgrzewał się już od pierwszego gwizdka sędziego.

Mecz zakończył się remisem jeden-jeden, a Wigry zdobyły mistrzostwo podlaskiej ligi juniorów starszych, ponieważ Włókniarz niespodziewanie przegrał swój mecz ze Spartą Augustów trzy do czterech.

DOGRYWKA

Nie chcąc wprowadzać Adama w jeszcze bardziej kłopotliwą sytuację, Marek zarządził, że będą czekać na niego na parkingu, nie bezpośrednio przed budynkiem klubowym, o czym poinformował syna stosownym SMS-em. O dziwo, nie żałował tego nawet wtedy, gdy zobaczył u niego podbite oko.

– Adaś? Co ty? Co się stało?! – zapiszczała Kasia i czym prędzej ruszyła na spóźniony ratunek synowi.

– Zostaw mnie, nic się nie stało – odburknął i nim zdążyła złapać go za głowę, odepchnął ją od siebie, wrzucił torbę do bagażnika, wsiadł do samochodu i z całej siły trzasnął drzwiami.

Marek zaś zirytował się, lecz nie zachowaniem syna, a idiotycznym pytaniem żony, bo z jego punktu widzenia brzmiało jak zadane przez kogoś, kto kompletnie nie rozumie sportu.

Ech, i tym sposobem uzyskujemy odpowiedź, czemu one żyją statystycznie kilka lat dłużej niż mężczyźni.

„Co się stało?”

„Jak to co, mamuniu? Jak mogliście zobaczyć na własne oczy, kolejny raz w życiu udowodniłem, że najlepsza dla mnie pozycja na boisku to pozycja siedząca. Oczywiście potem w szatni ktoś mi to przypomniał, nie omieszkując zapewne dodać, że trener pije z moim ojcem i dlatego w ogóle dzisiaj zagrałem. Ponieważ mój tatuś ma poważanie na mieście, jestem odważniejszy, niż powinienem. Przez to ciągle zapominam, że ze swoim metrem pięćdziesiąt sześć wzrostu raczej nie wzbudzam respektu. Pożarłem się z kimś, kto jest ode mnie o dwie głowy wyższy i jak zwykle dostałem w papę.”

A idealnym zakończeniem i zarazem podsumowaniem jakże odkrywczego dialogu byłoby to wybitnie nieszczerze i kończące kwestię „jejku!” ze strony Kasi.

Kim jak kim, ale „dobrą matką” to Marek raczej by jej nie nazwał...

Babskie pogaduchy z koleżankami, salon piękności, manicure, fryzjer, siłownia, fitness w Guaranie, spa w aquaparku i wiele innych. Zbyt napięty grafik.

W sumie nie potrafił nawet powiedzieć, dlaczego ją kochał. Zadziałała chyba zwierzęca część ludzkiej osobowości, którą każdy w jakimś stopniu ciągle

posiada. Niewyjaśniony magnetyzm w połączeniu z instynktem. Kasia miała charakterek. Była piękna. Świetna w łóżku. No i rozkoszna w byciu nastawioną wyłącznie na czerpanie wredną żołą. Dzięki temu Marek mógł mieć pewność, że żona nigdy go nie zostawi. Wystarczyło.

Ach, no i jeszcze obdarowała go dwojgiem dzieci.

Z których jedno wybitnie nie odziedziczyło talentu do futbolu po ojcu, a ulubionym wyrażeniem drugiego było...

– To moje! Zostaw! – zawołała Iwonka, kiedy Adam, potrzebujący w ramach wyładowania złości dokuczyć komuś, zabrał jej smartfon. Zaczęła kotłować się w swoim fotelu, machając nóżkami w bezsilnej złości.

– Cisza! – rzucił Marek.

– Ale tato, on mi zabrał!

– Adek, oddaj jej to! Nie zaczepiaj – warknął i nie sprawdzwszy nawet, czy syn wykonał polecenie, odpalił swoje luksusowe, czarne porsche, które nawet jak stało, to samym swoim wyglądem prosiło się o mandat za przekroczenie prędkości, i resztę drogi do ich mieszczącego się na osiedlu Hańcza efektownego domu spędzili w milczeniu.

ZAGINIĘCIE

Karol Misiak – świeżo namaszczone „gamoń” grupy Suchego – zaginął i nikt nie wiedział, gdzie on się mógł właściwie podziewać.

Prywatne śledztwo Marka dodatkowo utrudniał fakt, że facet był tak ogromną życiową porażką. W zasadzie nic dla nikogo nie znaczył i nawet jego żona była szczerze zdziwiona tym zniknięciem. Nie grała, nie kłamała, nie kryła go, naprawdę nic nie wiedziała. Marka zaczęły nawet dręczyć wyrzuty sumienia, kiedy przekonał się o jej prawdomówności po tradycyjnych torturach z igłami i paznokciami w roli głównej. Tym razem na niej. I choć po wszystkim grzecznie przeprosił, kobiecina biła rekordy w ilości inwektyw na minutę. Naturalnie pod jego adresem.

Nie omieszkał też podjechać razem z chłopakami z powrotem na cmentarzyisko Jaćwingów w obawie, że Misiak zwyczajnie umarł od odniesionych w tamten piątkowy wieczór obrażeń. Nie znaleźli jednak żadnego ciała. O tym, że nie natrafił na nie wcześniej jakiś przypadkowy spacerowicz, Marek dowiedział się z kolei od kupionego przez siebie psa, który pracował w wydziale kryminalnym suwalskiej policji.

Hau, hau, nikt nie zgłosił, że znalazł jakiegokolwiek zwłoki.

(krótkie, szybkie gwizdy) Dobry piesek, masz tu kostkę, aport!

(odgłosy dyszenia z wystawionym językiem i ślinienia się)

Wszystko to zebrane do kupy oznaczało tak naprawdę jedno.

Karol Misiak, ten ostatni półgłówek, okazał się sprytniejszy od Suchego i jakimś cudem udało mu się prysnąć.

Z wciąż niespłaconym długiem.

SEN

Gdziekolwiek Marek się nie rozejrzał, widział piach.

Nie taki klasyczny, usypany w górzyste wydmy jak w stereotypowym obrazie pustyni, lecz ubity. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się wokół niego ogromna, piaszczysta równina z wystającymi tu i ówdzie pozostałościami po uschniętych roślinach oraz szkieletami zwierząt różnej wielkości. Przetaczał się przez nią słaby, świszczący wiaterek i wyłącznie on przerywał ciszę. Choć wiszące wysoko na czystym, błękitnym niebie słońce świeciło oślepiającym blaskiem, o dziwo, w odczuciu Suchego, temperatura powietrza nie była jakoś szczególnie wysoka. Co więcej, odnosił wrażenie, że każdy oddech sprawia mu ból. Delikatny, niemal niezauważalny, ale ból.

Marek postanowił iść przed siebie tak długo, aż dokądś dotrze. Wydawało mu się to najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. Tak jak w każdym śnie, nie zastanawiał się jak i po co znalazł się w tym miejscu. Po prostu szedł. Z jakiegoś powodu nogi ciążyły mu niemiłosiernie i każdy kolejny krok sprawiał coraz większą trudność. Od pewnego momentu wręcz nie podnosił stóp. Miał siłę tylko na to, by sunąć nimi po podłożu jak łyżwami. W ten sposób wzbijał za sobą małe chmury pyłu. Podczas gdy mozolnie posuwał się naprzód, piasek szeleścił mu pod butami.

Po kilku godzinach marszu, które doprowadziły go do skrajnego wyczerpania i piekącego z pragnienia gardła, uniósł głowę i po raz kolejny spojrzął prosto przed siebie. Fatamorgana czy też nie – wydało mu się, że dojrzał cienką, zieloną linię, która ciągnęła się przez cały horyzont, od lewej do prawej. Przyspieszył kroku. W miarę jak z każdym następnym pokonanym metrem zbliżał się do niej, stawała się coraz wyraźniejsza.

Z bliska obiekt okazał się szeroką, solidnie wykonaną brukowaną drogą, po której obu stronach ciągnęły się pasy przepięknych, ukwieconych żywopłotów. Marek przeskoczył jeden z nich. Postanowił od tej pory przemieszczać się zgodnie ze szlakiem i, w odniesieniu do dotychczasowego kierunku marszu, wybrał skręt w lewo. Co dziwniejsze, w miarę upływu czasu, zamiast coraz bardziej ślaniać się na nogach, szedł coraz szybciej i przychodziło mu to coraz łatwiej. Nie zwrócił przy tym uwagi, że droga, prowadzi stopniowo w dół.

Nachylenie było jednak tak łagodne, że z perspektywy Suchego praktycznie nie dało się go zauważyć.

Wtem Marek potknął się o coś i stracił równowagę. Upadł.

OSTRZEŻENIE

– Jezus Maria! – rozległ się krzyk Kasi. Marek obudził się natychmiast. W mig odzyskał pełną przytomność, zapomniał o swoim śnie i od razu zrozumiał przyczynę, która tak brutalnie wyrwała całą jego rodzinę z objęć Morfeusza.

Zrozumiał, chociaż jednocześnie jej nie rozumiał. Zerwał się z łóżka i czym prędzej pobiegł za hałasem. Zapalił światło.

Ze zdumieniem wpatrywał się w rozbite okno w tak zwanym „niebieskim pokoju” (nazwa wzięła się od koloru farby na jego ścianach), w którym tej nocy na szczęście żadne z nich nie spało, ponieważ w założeniu przeznaczono go dla gości. Na podłodze, pośród kawałków szkła, leżał okazały kamień. Po chwili otępienia spowodowanego tym widokiem, Marek odzyskał rezon i podbiegł do okna, przy okazji boleśnie kalecząc sobie stopy odłamkami.

– Kurwa – syknął.

– Oszalałeś?! Załóż jakieś kapcie! – rozbrzmiał za nim denerwujący sopran żony.

No co ty nie powiesz? Serio?

Kuśtykając, Marek wrócił do pokoju, zabezpieczył swoje nogi i po raz kolejny podszedł do rozbitej szyby. Na swoją żalosną zabawę z kapciami stracił chyba jednak wystarczająco dużo czasu, by ich tajemniczy prześladowca zdołał się ulotnić. Na ulicy panowała cisza jak makiem zasiał. Żadnych kroków. Suchy wyteżał wzrok, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego.

Chociaż?

Kiedy patrzył na, w tej chwili tylko częściowo, oświetloną ulicę, zwrócił uwagę, że istnieje na niej coś w rodzaju wyraźnej granicy pomiędzy jasnością, a gęstą jak atrament ciemnością. Innymi słowy, gdyby ktokolwiek stał w zaciemnionej strefie, Marek nie miał praktycznie żadnych szans go zobaczyć.

I odnosił wrażenie graniczące z pewnością, że ktoś tam jest.

– Widzisz coś? – Wzdrygnął się, gdy ponownie usłyszał głos Kasi.

– Nie. – Odwrócił się. Chyba powiedział prawdę. Przynajmniej na to liczył.

– Kto to rzucił? – wyjąkała wystraszona Iwonka, która przed chwilą dołączyła do rodziców. Schowała się za matką. Garbiła się i przyciskała sobie obie piąstki do brody. Adam z kolei milczał, wyraźnie zaniepokojony. Biedne, zszokowane dzieci.

Od samego ich widoku, dopełnianego piskami Kaśki, ogarniała Marka coraz większa irytacja. Wiele hałasu o nic! Robią aferę, jakby na dom spadł co najmniej meteoryt. Życie gangstera. Zdarza się!

– Nie wiem. Nieważne. Idźcie spać. Nie ma po co tutaj stać ani na co patrzeć. Koniec przedstawienia.

– Oszalałeś? Jakże nieważne?!

– Kaśka...

– Marek! Ktoś nam wybija szybę w środku nocy i ty ot tak...?

– Kaśka, proszę cię...

– Dzwon na policję! – Wpadła w coś w rodzaju hysterii.

Suchy zagotował się wewnątrz. Wypowiedziała zakazane słowo na „p”. Niedoczekanie.

– Kaśka. – Wziął głęboki oddech. – Wierz mi, że tego nie odpuszczę i kogośkolwiek to zrobił, pożałuje.

– No, ale...

– Pomyśl trochę! Mózgu używamy! Co zrobi policja? Przyjedzie, spisze zeznania, pokiwa mądrze głowami, poudaje, że ich ta sprawa jakkolwiek rusza, rzuci może nawet jakimś żarciem w stylu Strasburgera. Skłamię jak zawsze, że będzie szukać sprawców i na koniec zamknie śledztwo po tygodniu, oczywiście nikogo nie znajdzie. Nic dziwnego, że nie znajdzie, bo nawet nie zacznie szukać!

A do tego zacznie zadawać idiotyczne pytania, jak choćby: „nie narobił pan sobie przypadkiem ostatnio jakichś wrogów, panie Suchocki?” – pomyślał.

– Jaki jest więc sens po nich dzwonić? – dodał.

– Wezwij policję!

Oho, czyli wygrał dyskusję i zaczęła się u Kaśki typowo kobieca część pod tytułem „bo tak!”. Uniwersalny argument nie do zdarcia.

Jakby tego było mało, swoje trzy grosze musiała jeszcze dorzucić Iwonka.

– Tato, ale ja się boję. A co będzie, jak ten ktoś rzuci w moją szybę?

Córeczka mamuni, cholera jasna. Jak dwie krople wody, tylko jedna mniejsza od drugiej. Identyczne pod każdym względem.

Marek zacisnął zęby i przypomniawszy sobie, że od zawsze preferował bezstresowe metody wychowywania dzieci, odpowiedział jej uspokajającym tonem:

– Nie rzuci, Kiwi. Obiecuję. Nawet jeżeli to zrobi, to zapewniam cię, że ta-

tuś już się tym odpowiednio zajmie. Tatuś nikogo się nie boi i nie pozwoli cię skrzywdzić.

Cała trójka w dalszym ciągu nie wyglądała na przekonanych, a jego nagle uderzyło, jak bardzo ten obraz jest dziwny. Postanowił odłożyć te rozważania na później, na czas, kiedy wreszcie wróci do łóżka. Teraz przede wszystkim chciał się ich stąd jak najszybciej pozbyć.

– Idźcie spać, mówię. Sprzątnę tu. Nic się nie stało. Już. Koniec. Do łóżka!

– Chodźcie. – Kasia objęła Iwonkę i skierowała się do pokoju córki. Adam jednak pozostał na miejscu. Co gorsza, wyręczył psy w zadaniu tego pieprzonego pytania.

– Masz jakichś wrogów? Ktoś cię nie lubi? – wypalił.

– Adek, do kurwy nędzy, won mi stąd! – Dopiero po tak stanowczym postawieniu sprawy chłopak wreszcie powlókł się w swoją stronę.

Podczas gdy Kasia nadal zajmowała się uspokajaniem ich ośmioletniej córki, Marek zszedł na dół, z duszą na ramieniu przebył ten korytarz i wyjął spod zlewu szufelkę. Następnie w drodze powrotnej ponownie przebył z duszą na ramieniu ten korytarz, wszedł na piętro i dokładnie oczyścił podłogę ze szkła.

Nie dotrzymał swojego wcześniejszego postanowienia i zaczął myśleć już w trakcie sprzątnięcia. Albowiem wraz ze słowami Adama zrozumiał, dlaczego widok ich przestraszonych twarzy wyglądał aż tak dziwnie.

Ponieważ przy takiej okazji widział coś podobnego pierwszy raz w życiu.

Rządził tym miastem już od blisko dekady i nic. Ot, od czasu do czasu bójki, przebite opony czy koślawe inwektywy napisane sprayem na Beermie. Nic nowego. Norma, codzienność w życiu takich jak on. Nie ruszało go to ani trochę. Ryj nie szklanka i wiele stempli jest w stanie przeżyć. Z kolei o najbliższych się nie martwił, bo choć wielu go nienawidziło, to w świecie szanujących się gangsterów od zawsze panowała niepisana zasada: rodzin nie ruszamy. Koniec, kropka.

Panowała. Dobre słowo. W formie przeszłej.

KORYTARZ LUSTER

Choć kusiło go, by poczekać z tym do rana, po dokończeniu sprzątania odniósł szufelkę na miejsce, pod zlew. Jak zawsze w nocy, po drodze do kuchni zapalił w tym korytarzu wszystkie możliwe światła. Jak zawsze w nocy, w drodze do kuchni starał się też nie patrzeć w ani jedno z mijanych przez siebie dwóch ogromnych luster, zamontowanych w ustawionych równolegle, zasuwanych szafach. Choćby kątem oka. Nie powstrzymał tym jednak ponownego pojawienia się ukłucia niemałego niepokoju. Jak zwykle zresztą. I ani trochę nie chodziło o tę zbitą szybę.

Wzdrygnął się. Jakoś udało mu się dotrzeć do celu, ale musiał jeszcze wrócić na piętro.

Wziął głęboki oddech i, po zgaszeniu po kolei wszystkich światel, prawie wbiegł po schodach na górę.

TELEFON

Jeszcze tej samej nocy brutalnie wyrwał go ze snu dzwonek leżącego na komodzie telefonu. Ekran jaśniał w ciemności tak intensywnie, że patrząc na niego, Marek zmrużył zaspane oczy. Mimo tego nie potrafił odczytać, kto do niego dzwoni. Niezgrabnie przesunął po wyświetlaczu palcem i odebrał. W tym samym czasie Kasia wzięła głęboki oddech i przewróciła się na drugi bok.

– Halo? – wymruczał. Był tak nieprzytomny, że nawet nie zdążył się zdenerwować na późnonocne połączenie. Mało tego, jako że nikt mu nie odpowiadał, niewiele brakowało, a zasnąłby z powrotem, z telefonem przy uchu. Wtem dotarło do niego, że z głośniczka dobiega czyjś cichy oddech, co sprawiło, że wszystkie wydarzenia z tej nocy złożyły mu się w jedną całość. Błyskawicznie rozbudził się i usiadł na łóżku.

– Halo! – warknął. Jego wzrok przyzwyczał się nieco do blasku, więc spojrzął na ekran. Numer zastrzeżony. Tak jak się spodziewał. Tani chwyt, który sam z powodzeniem stosował setki razy. Chwyt z taaaką brodą.

– Bawi cię to, pajacu?! – syknął. – Niezależnie, czy jesteś brudasem spod budki z piwem, czy nawet angielską królową, znajdę cię i zajebię za to okno! Przysięgam! Nie odpuszczę. Masz to jak banku!

Odpowiedziała mu cisza. Ponownie spojrzął na ekran. Połączenie zakończone.

– Kutas jebany – burknął, po czym rzucił telefon z powrotem na komodę. – O Jezus Maria – jęknął i walnął się plecami o poduszkę. Głośno wciągnął powietrze nosem i zamknął oczy.

Prawie podskoczył, gdy po pokoju po raz kolejny rozniósł się dzwonek smartfona. Numer zastrzeżony.

Przeklął i sięgnął po urządzenie.

– Czego, do chuja?! – Odebrał.

Ponownie cisza.

– Jesteś już martwy, człowieku. I połamany. Jesteś tak połamany, że aż mi ciebie szkoda – oświadczył ze spokojem, przecierając oczy. Nie dał mu jednak satysfakcji zakończenia połączenia jako pierwszemu i sam to zrobił. Potem zaś, jeszcze zanim odłożył telefon na miejsce, na wszelki wypadek go wyłączył.

Wzdrygnął się, gdy irytująco za głośny dźwięk komórkowej melodyjki rozległ się tym razem za jego plecami.

Dzwonił telefon Kasi. Obudziła się i sięgnęła po niego, ale Marek był szybszy. Na ekranie widniało powiadomienie „numer zastrzeżony”. Odrzucił połączenie i wyłączył smartfon.

– Marek, co się dzieje? Kto to był?

– Nikt, skarbie, ktoś robi sobie jaja z zastrzeżonego numeru. Nie przejmuj się. Wyłączyłem. – Położył komórkę z powrotem na jej nocną szafkę.

Wtedy usłyszał coś, co go zmroziło.

Gdzieś na piętrze rozległa się melorecytacja: „Mam dryg do gry, drybluję jak Totti, waleczny jak Szkoci, sprawdź to, co ci szkodzi”..., a więc pierwsze wersy hiphopowego utworu *Futbol* autorstwa Meza i Pana Duże Pe. Utworu, który Adam wieki temu ustawił sobie na dzwonek.

– Marek? – wymamrotała niepewnie Kasia, podczas gdy on wystrzelił z łóżka i pobiegł do pokoju syna.

– Halo? – odebrał zaspany chłopak, ale Suchy wyrwał mu smartfon z ręki. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, bo z sąsiedniego pokoju dobiegł ich pisk Iwonki. Także i jej telefon zaczął dzwonić, czym przestraszył i tak wystarczająco mocno złęknioną tej nocy dziewczynkę. Marek spojrzał z ogłupiałą miną na trzymaną przez siebie komórkę Adama. Połączenie dla odmiany nie zostało przerwane.

Czyli jest ich więcej? Czy jakiś cwaniaczek korzysta z dwóch telefonów naraz?

W mig znalazł się w pokoju córki. Iwonka siedziała skulona na łóżku i z przestachem spoglądała na jaśniejący ekran swojego samsunga. Nie miała odwagi po niego sięgnąć. Wściekły Marek chwycił telefon, odebrał i przyłożył do prawego ucha, podczas gdy do lewego zbliżył komórkę Adama.

– Idę po ciebie, pizdeczko. Nie znasz dnia ani godziny – wysyczał do obu aparatów.

– Czekam. Znajdź mnie, jeśli potrafisz, Suchy. – Ku swojemu zaskoczeniu, z obu głośniczków usłyszał w odpowiedzi głos, wyraźnie przetworzony przez jakąś aplikację. Brzmiał nisko, mrukliwie, ale kryła się w nim też duża pewność siebie. Marek poczuł wewnątrz dziwne ukłucie zimna. Niby tania zagrywka i nie powinna była zrobić na nim najmniejszego wrażenia, lecz z nieświadomego powodu przyprawiła go o ciarki. Podobnie jak fakt, że do przeprowadzenia tego manewru wykorzystano telefony jego dzieci. Nie zdążył jed-

nak nie odpowiedzieć, oba połączenia przerwano bowiem w tym samym momencie.

Perfekcyjnie jednocześnie.

Przez moment oniemiały patrzył na dwa ekrany. Kurwa, jak? Skąd?

– Tato? – zapiszczała Iwonka, czym wyrwała go z otępienia. Drgnął i wyłączył oba telefony. Koniec na dziś.

– Już dobrze, Kiwi, ktoś robi sobie żarty – zapewnił. Starał się nadać swojemu głosowi jak najbardziej uspokajający ton, co w obliczu faktu, że kłamał jak najęty, sprawiło mu pewną trudność.

– Ale...

– Już po wszystkim. Wyłączyłem. Śpij.

– Kto to był? Miał straszny głos – wyszeptwała, a jemu ponownie zjeżyły się włosy na karku. Aż tak dobrze to słyszała?

– To tylko jego trik. Tak naprawdę nie ma takiego głosu. – Marek włączył lampkę przy jej tapczaniku i usiadł na nim. Pogłaskał córkę. Czym prędzej wgramoliła mu się na kolana, objęła obiema rękami i mocno ścisnęła za szyję, stosując swój charakterystyczny sposób przytulania się, który wskazywał jej predyspozycje do udanej kariery zapaśniczki. Marek podejrzewał, że ilość siły, którą włożyła w ten chwyt, była wprost proporcjonalna do strachu. O mało co nie kaszlnął. – Myśli, że się przestraszymy, ale my się nie boimy, prawda, żabko? – powiedział, krztusząc się. Puściła go i spojrzała mu w oczy złęknionymi ślepiami.

– Ja się jeszcze trochę boję. – Zadrzała.

– Nie ma się czego bać, Kiwi. Tata tu jest. – Pocałował ją w czoło.

– Zamknęliście wszystkie okna na dole?! – zapytała w panice.

– Oczywiście. Okna zamknięte, rolety opuszczone, drzwi zamknięte na klucz. A jeżeli to za mało, to mogę jeszcze włączyć alarm z czujnikiem ruchu na parterze. Chcesz?

– Chcę.

Kurwa, czyli znowu będę musiał przechodzić koło tych luster – pomyślał.

– Dobra. Włączę. A ty do spania! Ale już! – Zmierwił jej włosy i wstał.

– Tato – odezwała się za jego plecami, gdy już wychodził z pokoju. Odwrócił się. – Oddaj mi telefon. Jest mój! – Wymownie wyciągnęła rączkę.

– Dobrze, tylko nie włączaj go na razie, ok?

– Ok!

Powrót córki do ulubionych nawyków uznał za potwierdzenie, że mimo

wszystko udało mu się ją uspokoić.

W przeciwieństwie do siebie.

Skąd? Skąd oni wzięli ich numery?

Oddał jej smartfon i zgodnie z wcześniejszą obietnicą zszedł na dół.

Jak zawsze i bez wyjątku, przebył ten korytarz z duszą na ramieniu .

Kiedy wrócił do swojej sypialni, Kasia siedziała na łóżku, oparta plecami o ścianę i ze skrzyżowanymi rękami.

– Już po wszystkim – oznajmił i położył się.

Nie odpowiadała, tylko ostentacyjnie wlepiała w niego wzrok. Pomimo ciemności rozpoznał jej naburmuszoną minę.

– No co?! – zapytał nieco bardziej pełnym pretensji tonem niż zamierzał. Wspomnienie po ostatnim przejściu przez korytarz luster wciąż było zbyt świeże.

– Nie no, nic, wszystko jest przecież w najlepszym porządku. Noc jak każda inna. Modelowa wręcz – odszczekała jadowitym tonem.

– O co ci chodzi?

– O nic.

– No to jak o nic, to idźmy spać – uciął prowokacyjnie i przewrócił się na bok, plecami do niej. Już dawno obiecał sobie, że nie będzie dawał się wciągać w jakiegokolwiek kobiece fochy i w procesie komunikacji z dowolną niewiastą na tym świecie będzie używał języka polskiego. Polskiego. Żadnego innego.

Po polsku „o nic” znaczy „o nic”. Zero. Null. Próżnia. Nicość. Czyli nie ma tematu.

– To chyba dobry moment – burknęła.

O, czyżby jednak nie chodziło „o nic”?

– Dobry moment na co?

– Na rozmowę.

– O tej porze?

– Tak, o tej porze!

– Ciszej! Straszysz dzieciaki.

– Ja straszę dzieciaki?! – zawołała jeszcze głośniej.

– A kto, ja?

– Tak, bo to ja narobiłam sobie wrogów, którzy robią szturm na mój własny dom i wydzwanają po nocach. W co ty się znowu wpackowałeś?

– Znowu?

– Nie udawaj durnia, Marek!

– Nie rozumiem, o co się tak sadzisz. Zdarzyło się, trudno. Bywa. Załatwię to wszystko od razu z rana. Wykonam kilka telefonów i problem się rozwiąże.

– Tak, załatwisz. Rozwiąże. Jak zwykle. W twoim stylu.

– O co ci chodzi? – powtórzył – Jak mówię, że się rozwiąże, to się rozwiąże. Zatrudnię Szafę i Rudego do stania na straży. Zadowolona? Uspokoi cię to?

– Jeżeli twoje, jak ty to nazywasz, „interesy” powodują, że musimy się bać we własnym domu, to coś jest chyba nie tak, nie sądzisz? Dopóki nie dotyczyło to nas bezpośrednio, to machałam jeszcze na to ręką, ale teraz...

– Oczywiście, że machałaś ręką – mruknął. *Wygodnie ci było szastać kasą na prawo i lewo bez żadnego ale, co?* – dodał w myślach.

– Słucham?

– Coś za coś, Kaśka. Jak mniemam, podoba ci się obecne życie. Konkretnie jego standard. Czy czegoś ci brakuje?

– Co mi po standardzie, jak zwyczajnie się teraz o to życie boję? Dociera to do ciebie, człowieku?

– Dobra, to zapytam inaczej: czego teraz ode mnie oczekujesz? Słucham? Co mam zrobić, żebyś była zadowolona? Zerwać z tym? Po wejściu w ten biznes nie da się ot tak z niego wyjść. Nie zdawałaś sobie z tego sprawy?

– Nie zdawałam – odparła lodowato.

– No, to cię oświecam, nie da się. Tu przeszłość ciągnie się za człowiekiem aż do śmierci i nie da się przed nią uciec. Przykro mi. Doskonale wiedziałaś, za kogo wychodzisz. Weź więc odpowiedzialność za swoje czyny i słowa, a konkretnie za jedno wypowiedziane swego czasu „tak” i przestań histeryzować, bo to naprawdę nie jest nam teraz do niczego potrzebne. Tylko spokój może nam pomóc. Nie ma sensu przejmować się na zapas. Nic poważnego się nie stało.

Nie odpowiedziała. W świetle latarni sączącym się do pokoju z okien Marek dostrzegł, że oczy Kasi zrobiły się nienaturalnie mokre. Rozczulił się trochę. Miał słabość do tej żoły i nie mógł nic na to poradzić.

– Chodź no tu, tygrysyco. – Objął ją i przytulił. Nie okazała mu wzajemności, ale przynajmniej pozwoliła się dotknąć. – Zauważ, że staram się trzymać was od tego jak najdalej. Nieprzypadkowo. Nie mówię o niczym, co robię, ale

też, dla waszego dobra, nie powinno was to obchodzić. To ja wystawiam się na ostrzał. Doskonale wiem, jakie są konsekwencje drogi, którą wybrałem i nie płacę z tego powodu.

– Tak, tylko, że jak ktoś będzie chciał ci naprawdę porządnie zaszkodzić, to myślę, że ani trochę nie zawaha się wykorzystać do tego nas. Nie pomyślałeś o tym?

– Oczywiście, że pomyślałem, ale uwierz mi, że wasze dobro i bezpieczeństwo stoją na pierwszym miejscu. Zawsze będą. Nie pozwolę was skrzywdzić. Jeżeli coś wam się stanie, to odpowiedzialnego za to dupka powieszę za jaja.

– No wiem, ale...

– Zaufaj mi. A temu idiocie, który wybił szybę i dzwonił, pozostało już naprawdę niewiele...

Spojrzała na niego.

– Co zamierzasz?

– Na początek go znaleźć. Spodziewam się, że to nie potrwa długo. Rozpuszczę wici i w mig wypłoszymy myszkę z dziurki. Potem coś się wymyśli. Puszczę wodzę fantazji.

– Rób, co chcesz, bylebyśmy już nigdy nie musieli się bać.

– Nie będziecie, obiecuję.

I tak mu nie uwierzyła. Podczas gdy zasypiał, ona jeszcze bardzo długo rozmyślała.

Następnego dnia już z samego rana Marek zlecił Kniziowi znalezienie winnego wybicia szyby i autora nocnych telefonów w jednym, a szklarzowi wypełnienie ubytku w oknie. W tej właśnie kolejności.

SAMIEL

Jako że właśnie tego wieczoru wypadła jego cotygodniowa gierka w piłkę z kumplami na sztucznym boisku przy ulicy Dwernickiego, liczył, że dzięki temu choć trochę wyładuje złość.

Przeliczył się, niestety.

Zaczęło się źle. Mimo że boisko było objęte rezerwacją, zajęli je jacyś krewcy gówniarze, którzy pomimo uprzejmych próśb nie zamierzali zejść z murawy. Marek znał paru z nich z widzenia i doskonale wiedział, że niektórzy odważnie poczynają sobie w czasie rozrób w tych mniej ekskluzywnych lokalach rozrywkowych w Suwałkach i okolicach, ale ani trochę się tym nie przejmował. Skojarzył, że jeden z młodych robił dla nieobecnego tego wieczoru Knizia. Włamy do domków na ogródkach działkowych, piwnic i tym podobne. Generalnie płotka. Gołodupiec. Nic szczególnego. Zaprosił go na bok, na małą rozmowę wychowawczą, podczas której wytłumaczył, kim jest, i którą zakończył jakże treściwym słowem na „w” w trybie rozkazującym, mającym aż nadto unaocznic komu trzeba, że nie jest tu zbyt mile widziany (i nie chodzi wcale o „wyjdz”). Po tym zagniewanych młodocianych dziwnym trafem opuściła odwaga i posłusznie zeszli z boiska. Pierwszym zgrzytem wieczoru było więc te kilka minut zmarnowanych na pertraktacje.

Kolejny problem pojawił się, kiedy Marek zdał sobie sprawę, że zapomniał z domu spodenek. Oczywiście nikt z chłopaków nie posiadał przy sobie zapasowych, bo i po co. Suchy nie miał jednak na tyle odwagi i śmiałości, by grać w samych bokserkach, a wycieczka do domu w obie strony zajęłaby mu bezcenne pół godziny. Postanowił zostać i poświęcić swoje nowiutkie dzinsy, w których przyszedł na boisko i w których pocił się jak mysz.

Co gorsza, już za chwilę wyszło na jaw, że na meczyk przyszło tylko jedenaście osób. O jedną cholerną za mało. Musieli więc grać pięciu na sześciu.

No i wciąż dokuczwała mu nieszczęsna noga. Bolała tak bardzo, że parę razy autentycznie musiał dać jej odpocząć i na swoją prośbę stawał na bramce. O powadze sytuacji najlepiej świadczył fakt, że Marek „Suchy” Suchocki stojący na bramce (!), na swoją prośbę (!!) i to jeszcze kilka razy w ciągu jednego meczu (!!!) to zjawisko o częstotliwości porównywalnej chyba jedynie ze spotkaniem Yeti. Nie dziwota, że pozostali patrzyli na niego jak na kosmitę. Obie-

cał sobie mniej więcej po raz setny w ciągu ostatnich kilku tygodni, że pójdzie do lekarza.

Mecz zakończył się niesamowitym blamażem jego zespołu (nie była to ani przegrana, ani porażka, ani nawet klęska – po prostu blamaż) i kiedy wydawało się, że tradycyjny, nowy suchar Rubika w trakcie przebierania się („Jaki jest szczyt lenistwa? Położyć się na panience i czekać na trzęsienie ziemi”). będzie ostatnim dramatycznym wypadkiem, jaki go dziś spotka...

Na boisko przyjechał Knizio.

– Siema. Jak tam?

– Daj spokój – odburknął.

– Aż tak źle?

– Poniżenie takie, że od razu jadę na piwo. Pepcio i spółka zjedli nas na śniadanie. To, co ja dzisiaj zagrałem, to była istna bajka. Jezioro Łabędzie.

– Może więc jezioro Bajkał w ramach kompromisu? – Uśmiechnął się Arek.

– A weź. Pora kończyć karierę. Starzeję się.

– Ba! Generalnie jeszcze nigdy nie byłeś tak stary jak dzisiaj! A poza tym karierę to miał Ronaldo. Ty to masz co najwyżej przygodę z piłką. – Zaśmiał się. Stał po cienkim lodzie, ale Marek opanował się i wziął kilka głębokich wdechów. To tylko gra. Nie warto było się o nic spinać.

– Czemu nie przyszedłeś? Zepsułeś nam gierę. Mieliśmy tylko jedenastu.

Arek spojrzał znacząco na pozostałych, zbierających się do opuszczenia boiska chłopaków, a Suchy w mig zrozumiał, że Knizio ma mu do powiedzenia coś przeznaczonego wyłącznie dla jego uszu. Przeciągnął więc w czasie swoją zmianę koszulki, skarpet i butów, aż w końcu zostali sami.

– Mam dla ciebie kilka niusów.

– Ja też mam dla ciebie niusa – przerwał mu Marek, który przypomniał sobie o wydarzeniach sprzed półtorej godziny. – Mieliśmy o kilka minut krótsze granie, bo jakieś szczyły nie chciały zejść z boiska.

– No i?

– Jednego z nich rozpoznałem i to był jakiś chłopaczek z twoich gamoni.

– Jak wyglądał?

– Dosić wysoki, krótko ścięty, tatuaże Polski Walczącej na ramionach. Ewidentnie wyglądał mi na początkującego bywalca siłowni, może nawet koksuje, bo i wzrok miał jakiś taki lekko rozmarzony.

– Dobra, wiem kto to. Cycek. Pogadam z nim i masz moje słowo, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Teraz posłuchaj mnie, bo mam naprawdę ważne

wieści.

– No to mów.

– Pojawiło się nowe potencjalne źródółko, które raczej nie powinno nam prędko wyschnąć.

– Mianowicie?

– Jakiś koleś buduje duży zajazd w Magdalenowie nad Wigrami.

– No i?

– Nie to jest najciekawsze. Najciekawsza jest jego przeszłość. Kiedyś sporo pożyczał od mafii. Zwracał na czas, więc nie sprawiał problemów, ale teraz już pracuje wyłącznie na własny rachunek. Ukradł pierwszy milion, a aktualnie generalnie niby czyściuteńki jak łąza. Na pewno można wyciągnąć z jego życiorysu coś, co pomoże nam utargować dobrą stawkę.

– Dobra wiadomość – przyznał Suchy. – Pojedziemy tam i pogadamy z nim o interesach. Jak już raz wdepnął w to gównó, to go z buta nie wyczyści. Tacy są najprzyjemniejsi w rozmowie, bo i piesków z natury nie wzywają. Niechęć do organów ścigana wyssana z mlekiem matki komuny.

– No właśnie wiem. Dlatego uznałem, że powinienes wiedzieć.

– Cenne info. Dzięki.

– To była ta dobra wiadomość i celowo zacząłem od niej.

– Czyli masz jeszcze jakieś złe?

– Na to wygląda. To znaczy mam jeszcze jedną dobrą, a reszta to same złe.

– Wal.

Knizio jeszcze raz rozejrzał się niespokojnie i w końcu nachylił się ku Suchemu.

– Mówiłeś chłopakom o tym, co wydarzyło się w nocy?

– No pewnie. Wszystkim. Ufam im.

– No dobra. Stało się, ale w sumie skąd mogłeś wiedzieć.

– A co?

– Pytałeś, czemu nie przyszedłem. Myślałem, że to oczywiste. Robiłem to, co mi kazałeś. Szukałem informacji. To chyba ważniejsze niż gierka.

– Chyba że tak. W takim razie odpuszczam ci grzech nieobecności i już nie musisz przynosić zwolnienia od rodziców.

– Cieszę się, że nie opuszcza cię dobry humor.

– Dobra, już kończę i zamieniam się w słuch. Dowiedziałeś się czegoś?

– Kto to konkretnie zrobił, nie. Są jednak pewne fakty, które mogą nam wskazać całkiem wiarygodnych podejrzanych. I to jest ta dobra wiadomość.

Ich krąg zawężamy właściwie do jednej osoby.

– Ameryki żeś nie odkrył, stary. Tyle to i ja wiem. I nawet wiem do kogo. Misiunia nasza kochana. Karolek M.

– Karolek M? – Arek zawiesił się na moment, ale zaraz potem skojarzył. – Nie no, może. Nie o niego mi chodziło. I powiem ci szczerze, jakbym miał wybierać, to o wiele bardziej wolałbym, żeby to był on, niż...

– Niż kto?

Knizio ponownie się rozejrzał i nachylił się jeszcze niżej.

– Marek... Przeoczyliśmy, że Samiel niedawno wyszedł na wolność – niemal wyszeptał.

– Kto?

– Samiel, Marek... Przez durnych pismaków bardziej znany opinii publicznej jako Grzesznik. – Knizio wpatrywał się w Suchego i, najwyraźniej nie dostrzegając u rozmówcy spodziewanej reakcji, raczył go kolejnymi podpowiedziami. – A przez mamusię i tatusia ochrzczony jako Grzegorz Samielewicz – dodał. – Grzechu Grzesznik. Jak? Dalej nic ci to nie mówi? – upewnił się, widząc, że Marek wciąż nie pojmuje wagi słyszanych słów.

– Coś mi świta, ale teraz ci nie powiem. A powinno? – mówiąc to, Suchy zabrał się za zakładanie butów.

– A mówi ci coś określenie „facet, który trząśł Suwałkami przed tobą”? – warknął już porządnie zirytowany Knizio.

Suchy przerwał manipulowanie sznurówkami i wyprostował się.

– Pieprzysz...

– Chciałbym ci tak teraz powiedzieć, ale nie. Wypuścili go trzy miesiące temu. Podobno ze względu na zły stan zdrowia.

– Gdzie siedział?

– W Czarnem.

– Czarnem?

– Miejscowość nazywa się Czarne. Tak się śmiesznie odmienia.

– Gdzie to w ogóle jest? Pierwsze słyszę.

– Mniej więcej w środku trójkąta Trójmiasto, Bydgoszcz i Szczecin.

– Znamy tam kogoś?

– Tak, i to właśnie od niego wiem, że wyszedł.

– Wrócił do Suwałk?

– Tego jeszcze nie wiem, ale już poczyniłem kroki, żeby się dowiedzieć. W sumie byłoby to dosyć dziwne z jego strony, gdyby tego nie zrobił, nie są-

dzisz? Gdzie indziej musiałby zaczynać wszystko od nowa. Na pewno są jeszcze w tym mieście ludzie, którzy go pamiętają i w niektórych kręgach wciąż cieszy się sporym poważaniem. Generalnie stara gangsterska szkoła z lat pięćdziesiątych i PRL-u. To nie był byle kto. Miał silne związki z Pruszkowem.

Tym razem to Suchy rozejrzał się wokół.

– Skoczę tylko do domu, wezmę szybki prysznic i za pół godziny widzimy się w Bramie.

– Bramie?

– Tfu! Beerme oczywiście!

– Ok. – Knizio słusznie zrozumiał, że kontynuacja rozmowy ma nastąpić w pubie, więc wstał i ruszył do samochodu. Kiedy znalazł się już kilka metrów od bramki na parking, Marek przypomniał sobie o czymś jeszcze.

– Areczek?

– No?

– Czemu nie chciałeś powiedzieć tego wszystkiego przy chłopakach? Chyba dobrze byłoby, żeby też o tym wiedzieli?

Arek znowu rozejrzał się na wszystkie możliwe strony, zastanowił się przez moment, tak jakby targał nim krótkotrwały dylemat, co należy teraz zrobić, i w końcu cmoknął z dezaprobatą. Podbiegł z powrotem do Suchego. I dopiero, gdy mu to półgłosem oznajmił, Marek zrozumiał, dlaczego Knizio musiał po raz kolejny do niego podejść.

Dlaczego bał się po prostu zawołać z miejsca, w którym wtedy stał.

– Ponieważ kilku z nich wcześniej pracowało dla niego. Jakbym miał zgadywać, jeżeli na nowo skrzykiwałby sobie dawną ekipę, to istnieje spore ryzyko, że oni wszyscy już o tym wiedzą. I milczą.

Ponieważ był środek tygodnia, Beerma oszczędziła im typowego dla piątku tłoku i bez trudu znaleźli sobie miejsce w kącie, z dala od wścibskich uszu. W miarę jak ich długa rozmowa posuwała się naprzód, Marek odświeżył sobie w pamięci historię, którą poznał po raz pierwszy wiele lat temu i uzyskiwał odpowiedzi na coraz więcej pytań. Dzięki Knizowi nawet na te, które wcześniej nie przysłyby mu do głowy.

Grzegorz Samielewicz, pseudonim „Samiel”, piastował stanowisko niekwestionowanego króla suwalskiego półświatka w latach dziewięćdziesiątych. Trudnił się właściwie tym samym, czym Marek i jego grupa. Przemyt, wymuszenia haraczy, odzyskiwanie długów, narkotyki, paserstwo, kradzieże samochodów na części i cała reszta. Żaden brudny pieniądz w przygranicznych rejonach północno-wschodniej Polski nie miał prawa przejść przez niego niezauważony. Na swojej działalności dorobił się w końcu niezłego majątku.

Wpadł na przełomie wieków, w związku ze sprawą brutalnego morderstwa suwalczanina Jacka Kmicika, pseudonim „Kmicic”. Genezę porachunków stanowiły najprawdopodobniej długi, a dłużnik postanowił pokazać wierzycielowi, że nie zamierza ich spłacać. Jak to w mafii. Rutyna. Codziennosc.

Najpierw przeprowadzono zamach. I, jak mawiał klasyk, „mieli rozmach, skurwisyny”. W samym środku weekendowej zabawy w klubie Samiela ktoś, korzystając z chwili przebywania z bossem sam na sam w toalecie, oblał mu twarz kwasem. Działo się to wszystko tak szybko, że Grzegorz nie zdołał zorientować się, z kim ma do czynienia. Po wszystkim napastnik uciekł przez okno i tyle go widziano. Samielewicz przeżył, ale doznał przerażających obrażeń twarzy. Przeprowadzono na nim kilka prymitywnych operacji przeszczepu skóry, po których, z racji ówczesnych możliwości medycyny, i tak wyglądał jak z koszmarnego snu. Po tym wypadku zniknął na jakiś czas i nikomu się nie pokazywał, nawet swojej rodzinie, przez co narastały coraz bardziej niedorzeczne legendy na jego temat. Głównie złowieszcze, nierzadko zahaczające o motywy rodem z horrorów, co tylko potęgowało respekt środowiska przed tą postacią.

Samiel – gangster pełną gębą – nade wszystko zapragnął zemścić się na wrogach za doznane krzywdy. Nie przebierał w środkach, nie szczędził pieniędzy. Nie brał bezpośredniego udziału w akcjach, nadzorował wszystko ze swojej tajnej kwatery, którą okazał się specjalnie na ten cel wynajęty dom na Mazowszu. Dał żołnierzom wolną rękę. Zadanie było proste. A raczej prosto sformułowane. Dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stoi – zarówno zleceniem, jak i wykonaniem.

Ludzie Samiela najpierw przejrżeli monitoring z feralnego wieczoru, a potem torturowali każdą osobę, którą podejrzewali o choćby najmniejszy wkład w zamach. Nie oszczędzili nawet przypadkowych świadków zdarzenia. W końcu ustalili, że w chemika zabawił się Kmicic – były żołnierz wojska polskiego, wtedy pracujący dla konkurencyjnej grupy.

Bez żadnych skrupułów zaatakowali jego dom i porwali go na oczach rodziny. Operację tę zaplanowano na tyle dobrze i przeprowadzono tak sprawnie, że natychmiast wezwana na miejsce zdarzenia policja miała związane ręce. W drodze na Mazowsze ludzie Samiela na wszelki wypadek kilkakrotnie wymieniali zarówno środki transportu, jak i kierowców. Dostarczenie przesyłki do adresata przebiegło więc bez żadnych problemów.

Kmicic przebywał w domu wynajętym przez Samiela przez dłuższy czas. Tak naprawdę nikt nie wiedział, co się tam właściwie działo, ponieważ boss uparł się, by zostawiono go z przyszłą ofiarą (nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości) sam na sam. Według jedynej pewnych informacji, które uzyskał Knizio, były to dalsze, wymyślne tortury. Arek nie znał jednak żadnych szczegółów. Prawdopodobnie nie znał ich nikt, oprócz ich dwóch.

Ostatecznie gangster pozbawił Kmicica życia i zakopał jego zwłoki w lesie.

Nie zakończył jednak krucjaty przeciwko swoim wrogom, ponieważ dotychczas rozliczył się tylko z wykonawcą i przyszła pora na zleceniodawców, których tożsamość Kmicic potwierdził mu tuż przed śmiercią w nadziei, że dzięki temu jednak zostanie oszczędzony. Odpowiadali za to dwaj bracia Szufliccy, pseudonim „Szufła” (dzielony przez obu, w środowisku nazywani po prostu „duży” i „mały”). Swego czasu Samielewicz pożyczył im ogromne pieniądze. Nieuchronnie zbliżał się termin spłaty długu, więc postanowili pokazać mu, że nie należy dochodzić roszczeń. O dziwo Samiel potraktował ich nieco łagodniej niż Kmicica, ale i tak boleśnie. Zmusił braci do zrzeczenia się majątku, na który składała się między innymi mała suwalska sieć sklepów monopolowych, na jego rzecz. Zażądał też wypłaty całej brudnej gotówki, jaką tylko posiadali. Nie zostawił im nawet złotówki.

Co oczywiste, tej wendety nie dało się ukrywać w nieskończoność. Śledczy w końcu doszli, kto odpowiada za porwanie i bestialski mord Kmicica. Tym bardziej, że na psiarni pod przymusem rozpruł się jeden z ludzi bossa biorących udział w porwaniu. Samiel został zatrzymany. Przy okazji wyszła też na jaw sprawa jego porachunków z braćmi S. i „kilka” innych „grzeszków” z codziennej działalności. Słowo „grzeszki” szczególnie mocno zapadło Markowi w pamięć, gdyż nawet teraz kojarzył krzykliwy tytuł na pierwszej stronie jednej z lokalnych gazet:

Grzesznik wreszcie zatrzymany!

Cóż, może i redaktora trochę poniosła fantazja, ale jeżeli zamierzał nadać opisanej historii nieco więcej dramatyzmu, to dopiął swego. Inne media podjęły narrację w tym stylu i tak właśnie narodził się „Grzesznik” – nowy pseudonim Grzegorza, nadany mu na cześć jego brutalnych i bezkompromisowych dokonań, a do tego ładnie współgrający z imieniem. Ksywka ta stała się o wiele bardziej rozpoznawalna niż „Samiel”, choć oryginalnej nadal używano w gangsterskich kręgach.

W sprawie Samielewicza toczyło się kilka procesów, ale zwłaszcza oba dotyczące zemsty za zamach przypominały jeden wielki kabaret. Za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem miał dostać dwadzieścia pięć lat więzienia, i taką też karę przyznał mu suwalski sąd, niemniej apelacja w Białymstoku złagodziła wyrok do zaledwie piętnastu lat. Co dziwniejsze, po tym wydarzeniu suwalska prokuratura nie próbowała składać kasacji do Sądu Najwyższego. Sprawa i kontrowersyjny werdykt odbiły się echem po Polsce. Jak głosiła jedna z plotek, podejrzanym zachowaniem sędziów i prokuratorów zajęło się ponoć CBS. Czym się to jednak skończyło – tego już Knizio nie wiedział.

Druga sprawa, dotycząca zagarnięcia majątku Szuflickich, przebiegała nie mniej komicznie. Prokurator domagał się kary kilku lat pozbawienia wolności, ale, ku osłupieniu wszystkich, oskarżyciel reprezentujący poszkodowanych niespodziewanie poprosił o karę w zawieszeniu.

– Zastraszył ich. Sam bym tak zrobił – stwierdził Suchy. Kończył już drugie piwo. Jakoś bardzo potrzebował się teraz napić. Za ten przyływ pragnienia nie odpowiadał bynajmniej sromotnie przegrany mecz w piłkę.

– Tego nie wiem, ale moi informatorzy wspominali też, że może się po prostu po cichu dogadali. Taka dżentelmeńska umowa: ja wam z powrotem waszą forszę i spokój, wy mi wolność.

– Jak to się w ogóle stało, że wyszedł? Przecież zostało mu jeszcze ładnych parę lat.

– Ciągle występował do sądu o przerwę w karze. Ten się nie zgadzał, ale w końcu nadszedł rok, w którym mógł się ubiegać o przedterminowe zwolnienie. Miał też dobry argument, powody zdrowotne, bo nie zapominajmy, że jego ryj generalnie wciąż bardziej przypominał bigos niż normalną facjatę. I dostał warunkowe zwolnienie. Prokuratura niby to zaskarżyła, ale znając polski wymiar sprawiedliwości, gównem to da.

– Masz jakieś jego zdjęcie? Aż wstyd się przyznać, ale już nawet nie pamiętam, jak on wygląda. Tyle lat minęło. Po wypadku i tak go nie widziałem.

– Coś tam znalazłem, ale teraz i tak jest bezużyteczne.

– Dlaczego?

– Ponieważ zwolniono go na operację plastyczną. Kumas, Marek? On totalnie zmienił sobie buźkę! Zrobił ją sobie na nowo. Od zera. Oczywiście nie tak, że wygląda normalnie. To niemożliwe. Podobno teraz jego facjata przypomina maskę. Bardzo realistyczną, ale jednak maskę.

Suchy poczuł charakterystyczne tąpnięcie w żołądku.

– To nie ma jakichś aktualnych zdjęć?

– Nie ma. Przynajmniej w źródłach, do których mamy dostęp. Oczywiście nie jest tak, że kompletnie nikt nie wie, jak on wygląda. W razie gdyby znowu rozrabiał, jego nowy wizerunek został zaaprobowany i udokumentowany przez tych, którzy mają go pilnować. Problem w tym, że to tajemnica prawie że rangi państwowej. Nikt nie ma do tego wglądu.

– Niedobrze.

– Się nie dziwię. Skoro ze swoimi wpływami potrafił zmniejszyć sobie karę za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem z ćwiartki do piętnastaka, to generalnie takie coś jest dla niego jak pierd.

– No i co? Jak rozumiem, dochodzimy do wniosku, że wrócił i chce przejąć władzę w mieście, tak? Stąd wydarzenia ostatniej nocy? Dupek chce doprowadzić do rozkminki, tak? – Z każdym kolejnym słowem Marek nakręcał się coraz bardziej. Nie takiego zakończenia tej z pozoru niewinnej historii się spodziewał i delikatnie wytrąciło go to z równowagi. Drżącą od gniewu ręką uniósł kufel do ust, aż szkło cicho zadzwoniło mu o zęby.

Czy to aby na pewno tylko od gniewu?

Cholera, chyba się nie bał?

Arek uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Nie wiem, Marek. Naprawdę. Pamiętajmy, że to zwolnienie warunkowe i to o najostrejszym możliwym kalibrze. Dostał też podobno dozór kuratora. Czyli wystarczy, że raz przejdzie na czerwonym świetle i wraca do kicia.

– Ile trwa ten okres warunkowy?

– Do końca jego początkowej kary, czyli do lutego dwa tysiące szesnastego.

– Mniej niż trzy lata. Niewiele.

– Jak dla mnie sporo. Spróbuj wytrzymać tyle bez tego, co kochasz robić. Spróbuj odzwyczaić się od pewnego standardu życia. Myślisz, że to takie proste? – Uśmiechnął się Knizio.

– Rozumiem, że masz jakiś plan? – Pewność siebie rozmówcy podziałała

rozluźniająco również i na Suchego. Poczuł nawet coś w rodzaju wstydu. Skoro Arek nie robił z tego powodu w gacie, to niby dlaczego akurat on miałby się bać? Zwyczajnie nie przystawało.

– Postaram się go znaleźć i przy okazji zdobyć jego nową buźkę. Popytam też tu i tam, czy przypadkiem po cichu nie skrzykuje dawnych ludzi. Jeżeli tak rzeczywiście jest, odwiedzę go osobiście i równie osobiście sprzedam profilaktycznego liścia. Może niepotrzebnie się martwimy i pan Grzegorz tak naprawdę został zresocjalizowany, jest przykładnym mężem i ojcem, chodzi do kościoła i, zauroczony urokliwą miejscowością Czarne, zaraz po wyjściu na wolność postanowił tam osiaść. Kto wie, może nawet założył uczciwy biznes w postaci osiedlowego sklepu spożywczego, a za twoje okno rzeczywiście odpowiada ta pinda Misiak.

– Mów do mnie jeszcze.

– W razie gdyby się stawiał, musi pamiętać, z kim ma do czynienia. Co my, ogórki jesteście? Z takimi plecami, jak nasze, każdy musi się porządnie zastanowić, zanim nam podskoczy – stwierdził Arek, mając na myśli potężny gang Polipa z Warszawy, z którym to grupa Suchego miała silne powiązania, nie tylko biznesowe, ale i towarzyskie. – Mamy tę przewagę, że nas nie zamkną za kradzież batonika z Biedronki, a jego tak.

– Dobrze się spisałeś, stary. Jestem twoim dłużnikiem. – Suchy wstał i, mijając Arka, poklepał podwładnego po ramieniu. Czuł się znacznie lepiej niż na początku tej rozmowy. Na tyle dobrze, że z miejsca nabrał ochoty na Martynę. Zanim jednak podszedł do baru, przypomniał sobie o czymś jeszcze i zapytał:

– Jeszcze jedno. Mówiłeś, że część chłopaków kiedyś dla niego pracowała. Którzy to byli?

Knizio zastanowił się moment i w końcu odparł:

– Na pewno Rubik, Pepe, Sokół, Gienek, Nowy i Rydzu. Co do nich jestem stuprocentowo pewien. Co do reszty, nie dam głowy.

– Dzięki.

Kiedy Arek opuścił Beerkę, Suchy przełknął ślinę. Jego względny powrót do normalnego samopoczucia sprzed zaledwie minuty był teraz czymś równie odległym jak czasy, w których nigdy niczego nie ukradł.

Wciąż jednak zamierzał zaprosić Martynę na małe co nieco. Zmienił jednak znacząco plany co do przebiegu ich spotkania.

Zamiast zwykłego seksu, miała ją czekać dominacja.

HARACZ

Niezależnie od wyników prywatnego śledztwa Arka, Marek nie zamierzał siedzieć jak mysz pod miotłą i nie wyściubiać nosa poza dom. Bez względu na to, co zamierzał bezimienny napastnik, życie toczyło się dalej. Każda kolejna godzina spokoju sprawiała, że nastrój rodem z podwójnego okresu zdawał się opuszczać nawet jego żonę. Niemniej, aby zapewnić rodzinie nieco bezpieczeństwa, przynajmniej dopóki sprawa się nie wyjaśni, porzyszył ją po Polsce. Kasia pojechała do Warszawy, do siostry. Z kolei Adasia i Iwonkę szczęśliwie udało mu się wysłać na kolonię organizowaną przy jeziorze Garbaś, niedaleko Bakałarzewa, około dwadzieścia kilometrów od Suwałk.

Do Magdalenowa pojechał w interesach jeszcze tego samego dnia, w którym pozbył się z domu dzieciaków. Operację przeprowadził rutynowo. Jak zwykle postawił na efektowność i w kolumnie luksusowych samochodów przyjechał z prawie wszystkimi swoimi ludźmi, fundując właścicielowi niedokończonego zajazdu, Marianowi Zabłockiemu, istny najazd na wioskę. I chyba wywarł odpowiednie wrażenie, gdyż tych kilku pracujących na budowie robotników nie zadawało żadnych pytań, tylko od razu dało w długą w stronę pobliskiego lasu, jeszcze zanim Suchy i reszta w ogóle wysiedli z aut. Z kolei pan na interesującej wszystkich włości, człowiek w podeszłym już wieku, nie miał w sobie tyle życiowej energii, choć gwoli ścisłości z początku stawiał opór i nie zmiękł nawet po dobrych kilku minutach gangsterskiej pracy pięściami i nogami. Dopiero, kiedy przekonująco zagrozili mu, że wywiozą go do lasu i tam będzie musiał sam wykopać sobie grób, zaproponował układ.

- Mów – rozkazał Marek.
- Dla kogo pracujecie? Kto was tu przysłał?
- Mieliśmy rozmawiać o układzie. To go nie dotyczy. Nie rób ze mnie idioty, stary durniu.
- Dotyczy. Sam znam paru ludzi z miasta.
- Kogo znasz? No, pochwal się.
- Szefa. Trzęsie całym środowiskiem.
- Aż tak? – Marek udał zdziwienie tak bezczelnie, że w jego opinii tamten musiał pojąć, iż nie jest traktowany do końca poważnie. Tymczasem on chyba naprawdę tego nie zrozumiał.

– Naprawdę.

– Jak na niego mówią? Imię i nazwisko albo ksywka. Dawaj.

Facet zbladł i zamilkł. To wiele tłumaczyło. Rozbawiony Marek postanowił mimo wszystko mu pomóc. Szykował się niezły ubaw.

– Widzę, że wiek robi swoje i pamięć już nie ta – rzucił, a jego kumple zanieśli się szyderczym śmiechem. – Podpowiem ci. Czy jego ksywka zaczyna się na „S”?

– O, tak, tak! To było coś na „S” – strzelał stary. Zdolności aktorskich to on nie posiadał.

– To jak go nazywają? Przypomnij sobie. Podpowiedź numer dwa: to nie Shrek.

Znowu śmiech. Mimo to dziadek dalej grał tę swoją żalosalną komedię.

– S... S... S...

– Su...? – znowu podpowiedział mu Marek.

– Su... Su... Suuu... Proszę, na pewno to sobie przypomnę.

– Byle dziś. Su...?

– Su...

– ...chyyyy! – Marek komicznie przeciągnął ostatnią sylabę.

– Tak! Tak! To jego znam! Przypomniałem sobie! To on! – Stary wyraźnie odzyskał wigor. Marek spojrzał znacząco po pozostałych, z trudem zachowując powagę. Z początku chciał dalej pytać Zabłockiego o jego serdecznego przyjaciela Suchego, na przykład jak wygląda, lecz postanowił rozegrać to inaczej.

– Szczęściarz z ciebie. Masz dobre plecy. Suchy to gruba ryba na mieście. Wszyscy się go boją. Co w takim razie chciałeś zaproponować?

– Jeżeli zadzwonię do niego i on każe wam stąd iść, to pójdziecie. Jak każe mi płacić, to wam zapłacę.

– Dobra. Dzwon.

– Nie mam telefonu przy sobie.

– To zadzwon z mojego. – Marek wyciągnął komórkę.

– Nie pamiętam numeru. Mam go w swoim telefonie, ale tak to nie pamiętam.

Spryciula – pomyślał Suchy.

– Ja mam do niego numer... – zaczął Pepe, ale Marek powstrzymał go ruchem ręki.

– Dobra, idź po ten telefon. Czekamy.

Dał mu jakieś trzydzieści sekund, a potem, nawet nie patrząc w stronę nie-

dokończonego budynku, rzekł:

– Pepcio, zrób coś dla swojego bebecha i przetruchtaj się za panem. Nieładnie jest tak wychodzić po angielsku w samym środku imprezy.

Jak zwykle się nie mylił. Staruszek istotnie wszedł na teren budowy, ale potem od razu wyszedł z jej drugiej strony i rzucił się do ucieczki w tym samym kierunku, co wcześniej robotnicy. Zaskakująco niewiele czasu zajęło Piotrkowi dogonienie mężczyzny i przyprowadzenie go za fraki przed oblicze Suche-
go.

– Przedstaw mnie – zwrócił się do Pepego.

– Niezmiernie miło jest mi przedstawić. Suchy, pan Zabłocki. Panie Zabłocki, Suchy.

Po okolicy rozniósł się chóralny wybuch śmiechu. Marek jako pierwszy spoważniał.

– Do rzeczy.

Znaczyło to „postaw go przede mną na kolana”, które Pepe zrozumiał bez żadnych problemów. Wykręcił starcowi ręce i siłą zmusił do ukłęknięcia. Zabłocki zakwilił żałośnie.

– Znamy twoją przeszłość, stary pryku. Nie udawaj świętoszka...

– Dajcie mi spokój.

– Nie przerywaj! Nie chlap jęzorem, to szybciej skończymy. Umowa jest prosta. Kończysz sobie jak gościu budowę, kosisz kapuchę na klientach, a my bierzemy ten lokal pod opiekę. Nikt ci w nim nie robi awantury, nie wybije szyb, nie podpali, nawet psy nie będą miały prawa naszczać, żeby oznaczyć teren. Masz gwarancję spokoju. A cena tej gwarancji to pięć kafli miesięcznie. Stoi?

Dziadek milczał. Oddychał tylko bardzo szybko i patrzył pod nogi.

– Pytałem, czy stoi. – Marek ukląkł i, złapawszy Zabłockiego jedną ręką za brodę, zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

– Stoi – wyjąkał starzec.

– Super! I o co tyle krzyku? Po co ta ucieczka? My porządne chopy jesteśmy. Wystarczy z nami pogadać. – Marek wyprostował się i skinął do Pepego, a ten puścił mężczyznę. Spojrzał na niedokończony budynek. – Wydaje się, że będzie wielki, sukinkot. Kiedy planowane zakończenie budowy? – zapytał przyjaznym, życzliwym i niesamowicie beczelnym tonem.

– Nie wiem. Rok, dwa, półtora – odpowiedział na wpół obrażonym, a na wpół roztrzęsionym głosem wciąż klęczący na ziemi Zabłocki. W przypląwie

empatii Marek uznał, że nie będzie go dobijał. W końcu w podeszłym wieku stres nie jest szczególnie wskazany. Zresztą, porozumienie zostało zawarte. W dżentelmeńskiej umowie ustnej. Wedle polskiego prawa takie też muszą być respektowane, nieprawdaż?

– Przyjedziemy na odbiór budowy. Nie martw się. Będziemy wiedzieć, kiedy – powiedział i skinął głową na chłopaków, po czym wszyscy posłusznie ruszyli w stronę aut.

TURNIEJ BEACH SOCCERA

Następna sobota była dla Suchego bardzo intensywna, od rana aż do samej późnej nocy. Kiedy po raz pierwszy tego dnia opuszczał dom, nawet nie podejrzewał, jak wiele dramatycznych wypadków go jeszcze czeka. Zaczęło się niewinnie: od odebrania dzieci z obozu i późniejszej krótkiej podróży nad jezioro Wigry, do Gawrych Rudy, gdzie mieli się złączyć z resztą chłopaków. Zamierzali wziąć udział w dorocznym turnieju plażowej piłki nożnej organizowanym przez zajazd „U Jawora”.

Gdy tylko Marek, jak na kapitana przystało, zgłosił drużynę (wszyscy zgodzili się, że najfajniej brzmi nazwa „Rubik i przyjaciele”), od razu zakupił sobie i towarzyszom kilka puszek piwa. Słońce prażyło niemiłosiernie. Ponieważ pierwszy mecz mieli grać w zasadzie jako ostatni, gangsterzy rozsiedli się na plaży i oddali relaksowi nad jeziorem.

– No, panowie. Walka o obronę tytułu! Wielka misja przed nami!

– Proszę cię, naprawdę sądzisz, że ktoś nam tu zagrozi? Rok temu pokazaliśmy, kto jest debeściak.

– Ta, bo Suchy w swoim stylu porozmawiał z organizatorami na temat regulaminu. Jak dziś pamiętam. Gdyby nie to, przy równej liczbie punktów nie awansowalibyśmy z grupy.

Na wspomnienie tego Marek zaniósł się głośnym rechotem i jeszcze przez długi czas nie potrafił się uspokoić. Śmiał się tak intensywnie, że aż poczuł ból w mięśniach brzucha, a z oczu pociekły mu łzy.

– Oj tam, oj tam. W regulaminie było sporo luk. Ja tylko pomogłem im go doprecyzować. Miałem swoje racje, sami przyznacie. Sprawiedliwiej jest, jak liczy się bezpośredni mecz, a nie bilans bramek.

– Oczywiście.

– No, więc trzeba było jakoś przekonać do tego organizatorów. Nic więcej nie zrobiłem.

– Ta, „jakoś”. Chyba pomyliło ci się z „jakość”. A „zaraz cię połamię, a mordę przerobię na Sarajewo” to rzeczywiście argument, któremu nie sposób się oprzeć.

Marek rechotał tak głośno, że aż skupił na sobie uwagę ludzi wokół.

– Tato? – Poczul jak ktoś trąca go z boku. Otarł łzy z oczu. Iwonka.

– Słucham cię, żabko.

– Mogę się pokąpać w jeziorze?

– Oczywiście, kochanie. – Po tych słowach od razu pobiegła w stronę mostu. – Tylko ostrożnie! – zawołał za nią. – Adaś – zwrócił się do syna. – Weź, idź z nią i popilnuj. My zaraz gramy.

Adam, który z bólem duszy w oczach obserwował właśnie jeden z meczów, westchnął, podniósł się z ociąganiem i powlókł za siostrą.

Suchy także skupił się na boisku i stwierdził, że czekała ich niezła zabawa. I wyzwanie. W turnieju, oprócz nich i wielu innych zespołów, brała też bowiem udział drużyna złożona po części z profesjonalnych piłkarzy suwalskich Wigier, która właśnie wycierała podłogę jakimiś chłopaczkami. Wynik? Już pięć-zero. Po dziesięciu minutach gry! W osiągnięciu tak wysokiego rezultatu nie przeszkadzał nawet brak siatek w bramkach, który powodował, że po każdym strzale trzeba było się sporo nabiegać po piłkę.

Pierwsze spotkanie gangsterzy grali przeciwko młodym facetom, których Marek za bardzo nie kojarzył, co było równoważne temu, że gwiazdozbiór o nazwie „Rubik i przyjaciele” wychodził na piasek z łatką faworyta w tym meczu. I istotnie, przebieg rozgrywki to potwierdził. Już na samym początku, po perfekcyjnym podaniu z autu Suchego, Pepe strzelił gola głową. Nad Wigami rozniósł się ryk radości.

– Czemu nie z przewrotki?! – zakrzyknął prowokacyjnie Marek, gdy w następnej akcji, po zbyt wysokim podaniu, jeden z zawodników drużyny przeciwnej, pomimo najwyższego możliwego wyskoku, nie zdołał nawet musnąć piłki głową.

– To pokażesz mi następnym razem, jak się to robi, ok? – odparł spokojnie chłopak, choć tak naprawdę wewnątrz aż gotował się ze sportowej frustracji. Po tym Suchy przestał się uśmiechać i spojrzał mu głęboko w oczy, ale nic nie odpowiedział. Do końca spotkania nie powiedział też nic więcej. Wynik nie zmienił się już do ostatniego gwizdka sędziego. Dopiero po nim podszedł do tego chłopaczyny i złapał go za ramię.

– Panie kolego, nie życzę sobie takich odzywek. Jasne? – oświadczył ze spokojem.

– Skończ wreszcie gadać, to nie będę – odparł bez owijania w bawełnę młody. Suchy spojrzał na niego z politowaniem. Na oko jakieś dwadzieścia parę lat, włosy postawione na żel, szczupła sylwetka, braki w żółtym uzębieniu. Typowy wiochmen. Prawie pewne, że spoza Suwałk. To tłumaczyłoby ab-

solutnie niedopuszczalną, zawstydzającą wręcz niewiedzę chłopaka na temat lokalnych elit.

– Nie jestem z tobą na „ty”, gówniarzu.

– A ja z tobą jestem na ty?

– Grzeczniej, synek. Z szacunkiem proszę. Bo jeszcze powiesz coś, czego będziesz potem żałować. – Marek trącił go w ramię, na co ten silnie odepchnął jego rękę.

– Bo co? Kim ty, kurwa, jesteś, że będziesz mi mówić, co mam robić?

– A kim ty jesteś? Myślisz, że możesz się stawiać, pionku?

– Mogę, kto mi zabroni? Ty?

Chłopak czuł się bardzo pewnie, mając za sobą swoich kolegów. Pepe, Sokół i Rubik widzieli oczywiście zajście, lecz póki co trzymali się z dala.

– Ja ci zabronię. Nie wiesz kim jestem? To się zaraz dowiesz. Jeszcze słowo, a...

– Jak chcesz, to możemy pójść zaraz w jakieś ustronne miejsce i tam wyjaśnić sobie wszystko. – Chłopak wyprostował się, pochylił wyzywająco głowę i rozłożył ręce.

Samobójca – pomyślał Marek.

– Panowie, uspokójcie go. Niepotrzebna nam ta cała spina – zwrócił się do Pepego i reszty drugi chłopak z zespołu młodziaków, najwyraźniej rozsądniejszy od kolegi. – Radek, ty też odpuść – rzucił do agresywnego znajomka i stanął pomiędzy nim a Suchym.

– Młody ma rację. Marek, spokojnie, jesteśmy tu, żeby się bawić, a nie de nerwować. Dajże już chłopakom spokój. – Rubik objął Suchego ramieniem.

– Jeszcze jeden taki wyskok i masz pograne, synek! – rzucił Marek w stronę Radka, ale koniec końców pozwolił odprowadzić się kumplowi. Na swoje szczęście adresat tej groźby ugryzł się w język i już nic więcej nie powiedział.

– Gnojek ledwo się od ziemi oderwał, a będzie mi się stawiał! – warknął Marek i położył się na kocu. Dalej nie zadawał sobie trudu, by wyrażać swoją złość szczególnie cicho. Chciał wręcz mieć pewność, że tamten go słyszy. Tym bardziej, że wciąż na niego patrzył.

– Spokojnie, człowieku. Po co się tak spinasz? Wyluzuj.

– Wkurwił mnie szczył.

– Mam pomysł. Wiem, co ci dobrze zrobi. – Rubik wstał. – Ktoś jeszcze chce piwko? Ja go generalnie nie lubię.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Nie lubię, więc leję je w pysk – zażartował po swojemu i tym samym rozładował nieco atmosferę. – Marek za to od piwa chyba jeszcze bardziej nie lubi wyszczekanych gnojków. Bo też by ich najchętniej bezustannie lał w mordę.

Odpowiedział mu gromki śmiech pozostałych. Nawet Suchy się trochę uśmiechnął.

– Źródółko nam wyszło. Pójdę kupić – powiedział Rubik i ruszył w stronę pobliskiego sklepu.

Marek rozłożył się na kocu i zamknął oczy, licząc, że nikt nie będzie go zagadywać. Jakoś tak, wbrew swojej naturze, aktualnie nie miał zbytnej ochoty na gadanie. Wziął głęboki oddech i spróbował się wyluzować.

– Zobacz tego gostka, wygląda zupełnie jak Grzegorz... – Drgnął, gdy usłyszał to w rozmowie chłopaków w tle i otworzył oczy. – Krychowiak! – powiedział Pepe do Sokoła i wskazał na jednego z zawodników, którzy aktualnie grali swój mecz. Maciek spojrzał za jego palcem, po czym przyznał koledze rację. Suchy na powrót zamknął powieki. Z delikatnym zażenowaniem, o którym na szczęście nie wiedział nikt oprócz niego.

Grzegorz Samielewicz – pomyślał.

Grzesznik.

Dupek.

Marek próbował skupić się na swoich myślach, ale wybitnie nie potrafił. Po chwili zdał sobie sprawę, że to przez kwakanie ukrytej w pobliskich trzcinach kaczki, która nadawała tak bez przerwy, od kiedy tylko rozłożyli swoje toboły na trawie.

– Kaczor Donald – mruknął, sięgnął po leżący w pobliżu kamień i cisnął nim w stronę sitowia. Nie widział zwierzęcia, więc rzucił na ślepo. Nie odniosło to pożądanego skutku. Pozostali spojrzeli na niego.

– Nie denerwuje was ta kaczka? Właśnie zdałem sobie sprawę, że naparza tak, od kiedy tu jesteśmy.

– Bez kitu. Nie zwróciłem uwagi, ale masz rację.

– No zaraz ją normalnie...

– O radości, iskro bogów! Widzę oazę! Nasza wędrówka po tej Saharze dobiega końca! – Sokół wskazał na wracającego do nich Rubika, niosącego po całym zapas puszek.

Marek doznał dziwnego uczucia.

Sahara. Pustynia? Wędrówka? Skąd on to kojarzył? I co go tak nagle uderzy-

ło w tym motywie? Jakby sam w czymś podobnym niedawno uczestniczył. Dziwne wrażenie. Jakby *déjà vu* i to niemające nic wspólnego z Pustynią pod Suwałkami, jego drugim ulubionym odludziem przeznaczonym do rozmów z petentami.

Plus niepokój. Inny niż ten wywołany przypomnieniem sobie o Samielu.

Jakby nawet bardziej intensywny.

Rubik odłożył piwo na bok i ponownie się wyprostował.

– Idę się odlać – rzucił, po czym ruszył w stronę trzcin.

Marek spojrzał na Pepego i Sokoła, którzy owijali ręcznikami swoje wracające znad wody dzieciaki. Złapał się na tym, że bardzo chciał przeczytać teraz ich myśli. Pozbyć się wszelkich wątpliwości.

Lojalność. Ciężki temat. Ciężki jak żywot gangstera.

Grupa przestępcza przypomina... hmm, organizm. O, dobre porównanie! Podobnie jak w prawdziwym, brutalne wyrwanie z niego jednego narządu skutkuje poważnymi następstwami, niejednokrotnie wręcz śmiercią. Jeszcze gorzej, gdy wewnątrz dostanie się jakieś paskudztwo, bakteria lub wirus – działające po cichu, mnożące się, drażące coraz głębiej, mącące, nastawione tylko i wyłącznie na niszczenie. Kiedy nosiciel w końcu zdaje sobie sprawę z ich obecności, jest już dawno za późno.

Z zamyślenia wyrwał go śmiech Pepego.

– Słyszycie?

Suchy zamrugał i wyteżył słuch, ale z początku nie skojarzył, o co mu chodzi. A bardzo chciał, ponieważ Piotrek dostawał coraz większej głupawki.

– Co jest? – Marek uśmiechnął się. Nie dało się nie zarazić nastrojem Pepego, tym bardziej jak patrzyło się na jego pocieszne, okrągłe oblicze.

– Kaczkę zatkało!

Suchy wsłuchał się w otoczenie i od razu zrozumiał. Również zaniósł się śmiechem, a wszystko przez stojącego tyłem do nich Rubika, który oddawał mocz w okolicach trzcin.

– Nie no! Moje uszanowanie, Rafałek!

Wywołany z imienia, odwrócił się w ich stronę ze zdziwioną miną.

– Zrobiłeś czymś ogromne wrażenie na kaczkach! Pytanie tylko czy to podziw, czy zdziwienie. A może rozczarowanie? Jeden Bóg raczy wiedzieć.

– Jedno wiemy na pewno, twoje klejnoty rodowe są nieprzeciętne! – dodał Sokół.

– O co wam biega? Kurwa! – Rubik skupił się na kierowanych w jego stro-

nę okrzykach tak bardzo, że z nieuwagi zaczął sikać sobie na stopy, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Nie wytrzymam – jęknął zwijający się na kocu Pepe, po czym niezgrabnie wstał. – Idę też się odlać, bo nie wyrobię.

Kaczka jak ucichła, tak nie odezwała się tego dnia już ani razu.

No, może jeszcze jeden raz.

Ale o tym za moment.

Drużyna „Rubik i przyjaciele” wygrała wszystkie swoje mecze grupowe z wynikami jeden-zero i przeszła do dalszej fazy turnieju z pierwszego miejsca. Jako że akurat wypadała pora obiadowa, organizator całkiem rozsądnie zarządził godzinną przerwę w rozgrywkach i wszyscy mogli uraczyć się zasłużonym, zamówionym w zajazdowej restauracji posiłkiem. Smakującym tym lepiej, że odbył się po intensywnym wysiłku fizycznym. Tradycyjnie Rubik nie przepuścił okazji, by dogryźć Pepemu. Gdy wszyscy przeglądali menu, on, patrząc znacząco na Piotrka, zapytał:

– Co macie dzisiaj na obiad? Bo ja wieprzowinę.

Tradycyjnie też, Iwonka – najukochańsza, rozkoszna córeczka Marka – doprowadziła ojca do szewskiej pasji i praktycznie nie tknęła zamówionego przez siebie hamburgera. Tłumaczyła się w swoim stylu, że jest za duży i ona nie wie, od której strony ma się za niego zabrać. Dziwnym trafem rozmiar równie wielkiej porcji lodów w ramach deseru nie stanowił już dla dziewczynki żadnej przeszkody. Oczywiście nie podzieliła się z bratem i pochłonęła ją w całości samodzielnie, mówiąc: „jeżeli też chcesz lody, to sobie kup, bo te są moje!”.

Mecz ćwierćfinałowy był bardzo zacięty, ale ekipa Marka zdołała go wygrać. Wynik zszedł jednak na dalszy plan ze względu na dramatyczne wydarzenie tuż pod koniec spotkania.

Pepe zawstydził bowiem samą reprezentację San Marino. Zawstydził każdego słabego boksera na tym świecie, nawet takiego, który szczyci się rekordem zero-zero-pięćdziesiąt.

Po prostu sam się pokonał.

Podczas gdy gonił krytego przez siebie zawodnika, przez nikogo nie atakowany źle stanął. Ludzki staw skokowy, podobnie jak, dla przykładu, winda, ma

określoną nośność. Piotrkowy nie wytrzymał i skończyło się silnym skręceniem. Leżąc na przyklejającym się do spoczonej twarzy piasku i trzymając się za obolałą stopę, wył tak głośno, że aż przepłoszył wszystkie okoliczne ptaki, w tym zapewne doskonale znaną ekipie kaczkę. Koledzy pomogli mu wstać, wzięli z obu stron za ramiona i zaprowadzili na koc, gdzie potem leżał bez ruchu i ciężko oddychał.

Choć Marek niewątpliwie po kumpelsku współczuł Piotrkowi, dokumentnie zmroziło go co innego. Zdał sobie nagle sprawę, że kompletując skład na turniej, nie wziął pod uwagę ewentualności kontuzji i nie miał żadnego rezerwowego.

Żadnego... Poza Adamem.

Do końca meczu zostały co prawda dwie minuty.

Ale to przecież Adam! Ten Adam Suchocki!

Ale zawsze istniało większe prawdopodobieństwo, że jakiś strzał trafi prosto w niego i tym samym chłopak zapobiegnie utracie bramki, niż jakby miałyby go na boisku nie być.

Z kolei znając jego boiskowe szczęście, prędzej po jakimś wybiciu na oślep piłka odbije mu się od pleców i wpadnie nie do tej bramki, co trzeba.

Cholera, i tak źle, i tak niedobrze!

Obiektywnie rzecz biorąc, gdyby ktoś sporządził porównanie przydatności tych dwóch zawodników do drużyny, to wyglądałoby ono następująco: (1) Pepe w formie, (2) Pepe bez formy, (3) Pepe kontuzjowany, (4) Pepe po zrobieniu pół litra na śniadanie... (184) Pepe bez nogi. (185) Adaś. Marek wiedział jednak, że nie zdoła namówić Piotrka nawet na te dwie minuty, więc podjął męską decyzję i przywołał do siebie syna. Nie chcąc jednak ryzykować wprowadzania go na boisko, zdjął z bramki Sokoła i przesunął go do przodu, a z Adama zrobił prowizorycznego bramkarza.

Z jego perspektywy czas pozostały do końca meczu rozciągał się w nieskończoność. Jeździł na dupie, walczył jak lew, by nie dopuścić do choćby jednego strzału i blokował wszystko całym ciałem, ani trochę nie oszczędzając bolącej stopy. Jego koledzy z pola chyba umieli czytać mu w myślach, bowiem grali w dokładnie identyczny sposób.

Wreszcie rozległ się upragniony gwizdek, który zabrzmiał w uszach Marka jak muzyka Mozarta. Koniec. Dwa-jeden. Półfinał. Suchy padł wyczerpany na ziemię, niemniej zaraz przypomniał sobie, że nie ma czasu do stracenia i bły-

skawicznie zerwał się z piasku. Jeszcze w drodze do koca, na którym leżał między innymi jego telefon, dopadł go Rubik.

– Marek...

– Wiem! Dzwonię do Knizia.

Jak powiedział, tak zrobił. Swój mecz ćwierćfinałowy grali jako pierwsi z kolei. Od półfinału dzieliło ich jeszcze około godziny, czyli istniała duża szansa, że Arek zdąży dojechać. Marek chodził w tę i z powrotem, paląc papierosa po papierosie, i wpatrywał się w jezdnię tak intensywnie, że w pewnym momencie aż zaczęły piec go oczy. Na szczęście kumpel zdołał dotrzeć na miejsce tuż po rozpoczęciu ostatniego ćwierćfinału.

Stopa Piotrka spuchła jak balon. Nie pomogło nawet to, że posadzili go na brzegu jeziora, by mógł ją włożyć do względnie chłodnej wody. Nie działały też magiczne zaklęcia: „kurwa” i „ja pierdołę”, które raz za razem powtarzał.

Półfinał poszedł im zaskakująco gładko i zakończył się łatwym trzy-zero. Na pewno duży udział w tym zwycięstwie miał fakt, że już na samym początku, po ostrym wejściu Marka jeden z przeciwników doznał ciężkiego zbitia łydki i nie był w stanie dalej grać. Ta drużyna także nie dysponowała rezerwowymi, a Suchy – pomimo gorących próśb organizatora – nie zgodził się ani na dołączenie do niej kogoś z innych zespołów, ani na zejście z boiska członka swojej ekipy celem wyrównania sił.

Zgodnie z przewidywaniami, ich finałowym przeciwnikiem okazała się drużyna z profesjonalnymi piłkarzami SKS Wigry w składzie. Grzmocili wszystkich do zera, jak leciało.

Dość nieoczekiwanie „Rubik i przyjaciele” objęła prowadzenie już w pierwszej minucie meczu. Knizio zdecydował się na niespodziewany i zaskakująco mocny jak na jego możliwości fizyczne strzał z dalszej odległości, który bramkarz „Galacticos” odbił przed siebie. Marek nie kalkulował, tylko od razu wszedł wślizgiem na stykową piłkę, która jakimś cudem zdołała wtoczyć się do bramki. Zauważył też, że w tej sytuacji golkeeper wyraźnie nie dał z siebie wszystkiego, co mógł, by zapobiec utracie gola i od razu zrozumiał, dlaczego.

Przecież to zawodowi piłkarze! Oni zarabiają swoimi nogami! Nie będą ryzykować szczególnie ostrych wejść, by nie zrobić sobie krzywdy!

Ta myśl jeszcze bardziej zwiększyła jego determinację. Zero kompromisów... Nawet kosztem *fair play*.

– Nasza! – Uniósł rękę, choć doskonale wiedział, że to on jako ostatni do-

tknął piłki, zanim ta wyleciała na aut. Sędzia wskazał w stronę bramki „Galacticos”, co oznaczało, że prawo do rozpoczęcia gry nabywała drużyna Suchego.

– No eeej! – zawołał wysoki, dobrze zbudowany dryblas. – Co jest? Nasza jest! No przecież... – Wskazał Marka.

– Kłamczuszek – mruknął szyderczo Suchy. Nie na tyle głośno, by usłyszał to arbiter, ale wystarczająco, by dotarło do tych uszu, co trzeba. Facet spojrzał na niego ze złością, lecz nic nie powiedział. Idąc tyłem i wciąż się w niego znacząco wpatrując, wrócił do obrony.

Już w następnej akcji Marek poczuł, że jest zahaczany przez tego zawodnika i z teatralnym padem, połączonym z jeszcze bardziej teatralnym krzykiem, wyładował na piasku.

Sędzia ponownie dał się nabrać. W podjęciu decyzji w żadnym wypadku nie pomogły mu kolejne głośne protesty zawodników „Galacticos”. Dyskusja z arbitrem zaabsorbowała ich tak mocno, że nawet nie zauważyli, jak Suchy szybko rozpoczął grę, a Knizio spokojnie pokonał bramkarza po raz drugi. Marek darł się z radości nawet głośniej, niż to było konieczne i ostentacyjnie wpatrywał się z szerokim uśmiechem w zdenerwowanych piłkarzy drużyny przeciwnej.

Dwa-zero stanowiło już w miarę bezpieczny wynik, więc strategia rozegrania tego meczu została zmieniona na typowo polską myśl taktyczną pod hasłem: „obrona Częstochowy, na hurra i aby dalej”. W pewnym momencie Marek podbiegł z piłką do linii bocznej, zatrzymał się i... bezczelnie, z całej siły wybił ją hen daleko do jeziora.

– No co jest?! Co ty robisz, człowieku?! – Doskoczył do niego nażelowany młodzieniec. Marek tymczasem ze złośliwym uśmiechem obrócił się na pięcie i spokojnie wrócił na swoją połowę.

– Palant...

– Nie przeżywaj. Wasza jest. – Marek odwrócił się, a jego słowa podkreślił jeszcze śmiech Rubika i Sokoła.

– Bardzo proszę kogoś z drużyny o pójście po piłkę – zwrócił się do niego sędzia i zatrzymał czas.

– Chyba cię pojebało! Ich jest! Odwrócone prawo Pascala: „kto wybił, ten nie zapierdala”!

– Bardzo proszę.

– Nie zrobiłem niczego niezgodnego z zasadami gry. Jest aut, ich piłka, niech oni po nią idą! – Marek uniósł ręce w prowokacyjnym geście. Sędzia

chyba wreszcie zdał sobie sprawę, że nic nie wskóra, bowiem spojrzał na piłkarzy znacząco i zarazem prosząco.

– Nie mogę. Co za patola – westchnął jeden z nich, zdjął koszulkę, podbiegł do jeziora i czym prędzej popłynął po piłkę.

– Wigry Suwałki!!! – wrzasnął śpiewnie Marek i w charakterystycznym, stadionowym takcie zaklaskał nad głową sześć razy. Dopiął swego. Gdy futbolówka ponownie znalazła się na boisku i wznowiono grę, wyprowadzeni z równowagi piłkarze rzucili się do szaleńczego ataku, ale z braku skupienia mylili się w najprostszyc zagraniach. Jego zespół mógł więc wyprowadzać groźne kontry. Po jednej z nich wpadła kolejna bramka.

Trzy do zera i wesoła kompania żegna frajera.

Prawdziwa zabawa miała dopiero nadejść. Jeżeli cały mecz porównałoby się do kobiecyc piersi, to jego finał stanowiłyby sutki, czyli najlepsze możliwe zakończenie. Po kolejnym przechwycie Rubik szybko zagrał wszerz boiska do zamykającego akcję Suchego. Ten uderzył bez przyjęcia na pustą bramkę, ale przez nierówne podłoże piłka podskoczyła tuż przed nim, przez co oddał bardzo nieczysty strzał piszczelem, zakończony haniebnym pudłem zaraz przy słupku. Już miał złapać się za głowę, gdy przypomniał sobie, że w bramkach nie ma siatek i coś go tknęło. Zaczął więc cieszyć się tak, jakby jednak trafił.

– Jeeeeee!

Ku jego zadowoleniu i nawet delikatnemu zdziwieniu, sędzia, albo zdający sobie sprawę, kim jest Marek, albo zwyczajnie ślepy, wskazał na środek boiska. Gol został uznany! Tego było już jednak za wiele dla graczy „Galacticos”, z których każdy co do jednego widział, jak było naprawdę.

– Nie wierzę!

– Ślepy jesteś? Co ty, mecz sprzedałeś, do chuja?!

– Parodia jakaś! Przecież ty sędziować nie umiesz! Nie było gola! Co to ma być?

Marek przebiegł kawałek za bramkę, wziął piłkę i z szyderczym uśmiechem podał ją bramkarzowi drużyny przeciwnej.

– Czego się szczerzysz, jakbyś właśnie wrócił z koncertu disco polo? – warknął tamten.

– Się tam uspokój, ziemniaku – odparł spokojnie Suchy, nie przestając się uśmiechać i lekko machając przed sobą wyciągniętymi, opuszczonymi rękami. Przez to wyglądał z daleka, jakby nie prowokował, a uspokajał zdenerwowanego mężczyznę.

– Jebany nurek i oszust. Żenicie, jak ja pierdolę. Normalnie nie potraficie wygrać!

– Oj tam, oj tam.

– Spierdalaj!

Dobry nastrój nie pozwolił Markowi się zdenerwować. Spokojnie wrócił na swoją połowę i tylko obserwował, jak piłkarze naskakują na sędziego, który bezskutecznie próbował ich uspokoić. Arbiter w żadnym wypadku nie poprawił też swojej sytuacji, gdy po wyznaniu jednego z zawodników, co sędzi o jego matce, ukarał go czerwoną kartką. Pomimo pozostałych do końca meczu regulaminowych kilku minut, wyglądało, że ten zakończył się właśnie teraz. Rozeźleni zawodnicy byli coraz bardziej agresywni i między nimi a sędzią dochodziło nieomal do rękoczynów. Do całej sytuacji wmieszał się też organizator.

Suchy spontanicznie uznał, że nowych wrażeń nigdy dość.

– Panowie, wyluzujcie – powiedział głośno i nad wyraz spokojnie. – Przebraliście mecz. Zdarza się.

– Weź ty się wreszcie zamknij, bo ci zara, kurwa, wyjebię!

– We, bo mi zara, kurwa, wyjebiesz! – przedrzeźniał go Marek.

– Zajebię tej szmacie. – Jeden z piłkarzy o dość sporych gabarytach momentalnie zapomniał o arbitrze i błyskawicznie ruszył w stronę prowokatora, nie zważając na głosy kolegów, którzy krzyczeli za nim: „Adrian, zostaw!”. Trochę tym Marka zaskoczył, więc nim zaatakowany zdołał wykonać unik, napastnik pchnął go z całej siły, czym spowodował jego upadek.

– No i co teraz? Taki jesteś cwany? – Piłkarz pochylił się nad Markiem i tak wczuł się w mówienie, że aż go niechcący trochę opluł. Suchy uniósł rękę w obronnym geście i szybko przeturlał się po piasku.

– Panowie! Uspokójcie się, bo wezwę policję! – zawołał właściciel zajazdu i czym prędzej podbiegł do zbiegowiska. Wybrał na to chyba ostatni możliwy moment, gdyż reszta, zarówno ludzi Marka, jak i kolegów piłkarza, już zmierzała na pomoc obydwu zainteresowanym.

Na dźwięk zakazanego słowa Suchy i Adrian wyraźnie się uspokoili, ale wciąż nie odrywali od siebie wzroku.

– Marek, chodź. Nie róbmy wiochy. Serio. Nie warto. – Rubik złapał go za ramię. Suchy rzucił tamtemu ostatnie groźne spojrzenie i wkrótce obie grupy rozeszły się bez słowa w swoje strony. Zaś organizator i sędzia w trzecią.

Mruczeli pod nosem coś o bydle. Wyglądało na to, że uroczystej ceremonii zamknięcia turnieju i wręczenia nagród nie będzie.

Gangsterzy wrócili do swojej kwatery na plaży, gdzie na jednym z koców siedział, a raczej leżał śmiejący się do rozpuku Pepe.

– Czego rżysz, jebany tłusciochu? – zapytał pozornie ostro Marek. Pozornie, gdyż tak naprawdę śmiech Piotrka znowu zarażał niczym dżuma i dzięki niemu Suchemu stopniowo wracał dobry humor. W końcu wygrali turniej.

– Żeś odstawił teatrzyk jak nigdy. Jesteś moim mistrzem. Pojechałeś na pełnej. I tak się dziwię, że panowie tak długo wytrzymali. – Pepe już prawie płakał, a jego wesołość udzieliła się reszcie.

– No co? Jak by nie patrzeć, to dzięki mnie wygraliście. – Marek uśmiechnął się szelmowsko.

– Dlatego brawa dla tego pana. MVP imprezy! – Zaklaskał ironicznie Rubik.

– Do twarzy ci z tą czynnością. Jeszcze jakbyś tak zaczął śpiewać *Niech mówią, że to nie jest miłość*, to już w ogóle.

– Wal się! – odpysknał mu Rubik, rozbawiając resztę nawet bardziej.

– Julka! – zawołał Pepe w stronę taplającej się przy brzegu córki. – Dość na razie! Z wody!

– Kiwi! – zawtórował mu Marek, zagwizdał i wskazał na koc.

– Ty! Nie odgapiaj! Odezwał się troskliwy tatuś.

Marek nie odpowiedział na kolejną zaczepkę Rubika, tylko spojrzał na zbierających się do wyjazdu piłkarzy Wigier. Najbardziej agresywny z nich, Adrian, zanim wsiadł do samochodu, zmierzył go jeszcze zimnym spojrzeniem. Suchy wytrzymał je bez mrugnięcia okiem i zadbał, by to nie on jako pierwszy odwrócił wzrok. Gdy auto z piskiem opon wyjechało na drogę, przeczytał jego tablicę rejestracyjną i od razu podjął decyzję. Schylił się i wyjął z plecaka komórkę. Następnie odszedł na stronę i wykonał krótki telefon.

MARIA SUCHOCKA

Czas spędzany nad jeziorem mijał tak przyjemnie, że postanowili zabawić tam do wieczora. Marek korzystał z dobrodziejstw łagodnych promieni zachodzącego słońca, gdy usłyszał swój telefon. Spojrzał na ekran, mrużąc oczy. Zdziwił się trochę, ponieważ nie dzwonił do niego ani Szafa, do którego wykonał ostatnie tego dnia połączenie, ani Kasia, ani Martyna, ani nikt z partnerów w interesach. Na wyświetlaczu widniał napis „Matka”.

– Halo.

Cisza.

– Halo – powtórzył.

– Halo. – Miała dziwny głos.

– No, co chcesz?

– Czy rozmawiam z Markiem? – Zrozumiał, że nie rozmawia z matką. Zaniepokoił się trochę. Tylko trochę, ponieważ głos po drugiej stronie należał do wiekowej kobiety.

– Tak, a o co chodzi?

– Słuchaj mnie, chłopcze, uważnie. Twoją mamę zabrało pogotowie.

– Słucham?

– Zadzwoiła do mnie, mówiła, że strasznie źle się czuje, więc przyszedłem do niej. Leżała na łóżku i płakała. Mówiła, że nie może wytrzymać z bólu. Nie mogłam nic poradzić, wezwałam karetkę i wzięli ją do szpitala.

– Próbowwała pani dzwonić do Ulki, mojej siostry? To ona zazwyczaj...

– Ula jest teraz na wakacjach, poza Polską, to zadzwoniłam do ciebie – odparła kobieta irytująco pewnym siebie, mentorskim tonem emerytowanej nauczycielki.

– Ale co ja mogę...

– Ona mówi, żebyś do niej przyjechał. Leży na neurologii.

Westchnął.

– Dobra. Zaraz przyjadę – zadeklarował i zakończył połączenie.

– Złe wieści? – zapytał Knizio.

– Moja matka. Zabrali ją do szpitala. – Marek wstał i zaczął się ubierać.

– Coś poważnego?

– Jakbym miał zgadywać, to nie. Ona zawsze miała skłonności do przesady. No i zażyczyła sobie, żebym do niej przyjechał. Siostrzyczki nie ma w Suwałkach, więc to ja muszę robić za niańkę.

– Kiedyś chyba o niej rozmawialiśmy. Mówiłeś, że jest chora na coś nieuleczalnego. Już nie pamiętam.

– Ta, na Parkinsona. Adek! Kiwi! Jedziemy! – zawołał do dzieci, które wciąż oddawały się przyjemności kąpieli w Wigrach.

– Już?! – odkrzyknęła zawiedziona dziewczynka.

– Już! Babcię zabrało pogotowie i muszę jechać do szpitala.

– Marek, spoko, zostaw dzieciaki, ja je odwiozę – zaproponował Arek.

– Tak?

– Żaden problem. Posiedzimy jeszcze trochę i niech sobie pływają, jak mają ochotę. O nic się nie martw. Tylko nie zapomnij mi zostawić klucza od domu.

– Racja. – Suchy ponownie odszukał w małej kieszonce plecaka klucz i podał go kumpłowi. – Dzięki, stary. Na razie, pany! – rzucił z ledwo wyczuwalną ponurą nutą i powłóczył się do samochodu.

Letnia, wieczorowa pora nadawała posępnemu, sporemu budynkowi suwałskiego szpitala nieco złowieszczy wygląd. Wewnątrz panował półmrok, niemniej na zewnątrz wciąż było na tyle jasno, by nie włączać świateł. Hol tuż przy wejściu świecił pustkami. Ani żywej duszy.

Prawie.

– A pan dokąd? – Marek drgnął, gdy tuż obok niego rozległ się czyjś głos. Okazało się, że to ochroniarz. Młody, bardzo wysoki, przysadzisty, z fryzurą na grzybka, trochę za szeroki w pasie i za cienki w klatce piersiowej. Śmierdzący niezmięzionymi od wielu dni skarpetkami. Wieśniak. Kartofel. Burak cukrowy. Rolnik szuka żony.

– Właśnie przywieziono moją matkę na neurologię i idę do niej – oznajmił wyzywająco Suchy.

– W porządku. – Uśmiechnął się tamten. Podobnie jak Radzio, młodociany kozak z boiska, też miał w ustach kilka czarnych przerw.

Jezu, zrobilibyście coś z tymi zębami, bo to aż wstyd – pomyślał Marek.

Otworzył drzwi na korytarz, którym szło się do wind i, choć zamierzał pokonać go szybkim krokiem, zwolnił, gdy na nowo poczuł ból w prawej stopie.

Wjechał na odpowiednie piętro, upewnił się, że po wejściu na oddział należy skręcić w lewo i udał się w tamtą stronę. Przechodząc powoli obok kolejnych sal, wyglądał w nich tej znajomej postaci. Postaci, którą ze wszystkich w swoim życiu znał najdłużej.

Zatrzymał się od razu, jak tylko ją dojrzał. Leżała na łóżku, tuż przy oknie, przez które wpadały do sali promienie powoli zachodzącego słońca. Roztaczał się z niego efektowny widok na tuzin potężnych wiatraków do wytwarzania energii elektrycznej, postawionych na okolicznych wzniesieniach. Matka jeszcze go nie zauważyła i tylko patrzyła tępo przed siebie. Marek wstrzymał oddech, zastanowił się ostatni raz, czy chce to w ogóle robić, i w końcu wkroczył do pomieszczenia.

– Cześć.

Spojrzała na niego z miną, która wyrażała raczej zdumienie zmieszane z pewnym otępieniem, bo na pewno nie radość. Wyglądała z nią dosyć dziwnie. Nie tak, jak ją pamiętał.

– Cześć – wychrypiała.

– Jak tam? Już w porządku? – zaryzykował.

– Nie. O Jezus, jak ciężko. Myślałam, że nie wytrzymam z bólu! Rzuciło mną strasznie. Cała zeszywniałam. Nie mogłam nawet ruszyć ręką.

Tak, nie mogłaś ruszyć ręką, a po telefon jakoś zdołałaś sięgnąć. Chryste, po co ja w ogóle pytam – pomyślał Marek.

– Dali ci jakieś zastrzyki przeciwbólowe?

– Tak.

– No to powinno być już ok. – Suchy chciał jak najszybciej zakończyć ten bezsensowny dialog i wracać do domu. Nie bardzo rozumiał, jak jego obecność tutaj miałyby pomóc matce.

– Oni chyba myślą, że jestem wariatką – oznajmiła mu prawie szeptem po chwili ciszy.

– Bo co?

– Przyprawdzili do mnie psychiatrę.

– I co ci powiedział?

– Że moje bóle są niby wymyślone i coś sobie wmawiam.

– A badania coś pokazały?

– Nic! Nic nie wiedzą. Kiedy to naprawdę jest straszny ból! Ja chyba lepiej wiem, jak się czuję.

– Rozumiem – skłamał. Wcale nie zdziwiło go, że lekarze wysyłali jego

matkę do czubków. Znali ją doskonale, ponieważ nie pierwszy raz zapewniła sobie darmowy nocleg w szpitalu. Przyczyny jej dolegliwości w dalszym ciągu pozostawały nieznane.

– To czemu mam rozmawiać z psychiatrą? Co ja, chora na głowę jestem?

– Nie każdy, kto rozmawia z psychiatrą, jest wariatem. Aczkolwiek uważam, że on ma rację. Skoro badania nic nie pokazują. – Marek pozwolił sobie na nieostrożną chwilę szczerości.

– A idźcie wy wszyscy do diabła! Nic mi się nie wydaje. To jest choroba! Jak będziecie w moim wieku, to zobaczycie.

– Dobra, już. – Machnął ręką. – Chciałaś coś ode mnie? Bo mi się trochę spieszy.

– Tak. Trzeba kotce wymienić wodę i dać saszetki z jedzeniem. I zrobić zakupy.

– Jakie zakupy?

– Do jedzenia. Trzeba kupić cukier, mąkę, olej, jajka, twaróg.

Trzeba kupić – pomyślał ze złością Marek i zapytał kpiąco:

– Po co ci mąka i olej, skoro leżysz w szpitalu?

W świecie jego niedołężnej matki nie istniało już coś takiego jak logika i wiedział to nie od dziś.

– Już, już! Jaki mądrała się zrobił! – Kobięcina podniosła głos i zamachała ręką, jakby odganiała się od muchy. Ton jej głosu świadczył o zirytowaniu i zniecierpliwieniu faktem, że syn nie pojmuje tak oczywistych rzeczy. Marek uznał, że dalsza dyskusja jest zbędna, westchnął i rzucił dla świętego spokoju:

– Dobra, kupię.

– Kwiatki jeszcze trzeba podlać.

– Coś jeszcze? – Ledwo się powstrzymywał, by każdego kolejnego zdania nie cedzić przez zęby. Koncert życzeń.

– Żwirek kotce wymienić.

– Dobra, to ja jadę. – Odwrócił się, by przerwać tę wyliczankę i się ulotnić.

– Śmieci wyrzucić! – zawołała za nim jeszcze, gdy wściekły wychodził z sali.

MIA

– Kurwa mać! – zaklął Suchy. Akurat doczłapał na trzecie piętro bloku, gdzie mieszkała Maria, ale pogrążony w myślach zupełnie zapomniał o kocie, tak naprawdę jej jedynym towarzyszem po śmierci męża przed wielu laty. Jak tylko otworzył drzwi od mieszkania matki, zwierzę dało dyla na zewnątrz. Wściekły niemal rzucił niesionymi przez siebie zakupami o podłogę i wrócił na schody.

– Kocie! – wołał zwierzaka. Nic posłusznie nie przybiegło, ale go to nie zdziwiło. Po kilku latach obcowania z Mią dawno nauczył się, że koty to nie psy i mają głęboko w dziurze pod ogonem to, że ktoś je woła.

Najpierw zbiegł na dół, aby sprawdzić, czy kocica nie ukrywa się przypadkiem gdzieś w okolicach drzwi do piwnicy. Lub, co gorsza (na samą myśl poczuł nieprzyjemne ukłucie w żołądku), nie ma chrapki na wycięcie komuś identycznego numeru co jemu, tylko tym razem osobie wchodzącej na klatkę schodową z podwórka.

Już słyszał to pełne pretensji: „Ja cię zamorduję! Gdzie jest Kitka?!”.

Kitki nie znalazł jednak ani przy drzwiach do piwnicy, ani na zewnątrz, zarówno tych na parking, jak i tych na wewnętrzne podwórko blokowiska. Pospiesznie wrócił więc na górę i skierował się na ostatnie, czwarte piętro.

– Tu jesteś, ty niedorobiony pingwinie!

Czarne futerko z gdzieniegdzie białymi plamami dostrzegł pomiędzy stalowymi szczebelkami poręczy. Podeszedł do kota i chwycił go ostrożnie obiema rękami. Na szczęście pazury najwyraźniej miały dzisiaj urlop.

Wrócił do mieszkania i dla odmiany niemal rzucił o ziemię zwierzęciem. Z głośnym trzaskiem zamknął drzwi.

– Nie wierzę – jęknął. Ponieważ matką na co dzień zajmowała się głównie Ula, minęło trochę czasu, od kiedy gościł w tym mieszkaniu. Już prawie zapomniał, że unosi się w nim intensywny zapach nieświeżego żarcia dla kotów.

Prawie zapomniał. Teraz przypomniał to sobie dobitnie. Wszystkimi pięćdziesięcioma milionami komórek receptorowych w nosie. Obrzydliwość. Wkroczył do sypialni. Jak się spodziewał, gnijąca zawartość saszetki z jedzeniem dla Mii wypełniała jedną z miseczek leżących zaraz przy drzwiach. Tyle razy mówiło się tej kobiecie, żeby opróżniała najpierw połowę opakowania, jak nie ćwiartkę, a dopiero gdy kot to zje, raczyła go ewentualną dokładką.

Nie, zawsze po swojemu, zawsze źle, zawsze z marnotrawieniem forsy. I zawsze z tym obrzydliwym odorem na końcu.

Zawsze. Nie-re-for-mo-kurwa-walna.

Wziął miseczkę i ruszył do kuchni celem opróżnienia jej w koszu na śmieci.

– Nie wierzę! No po prostu, kurwa, nie wierzę! – powtórzył. W jednej sekundzie zebrało mu się na wymioty. Pochylił się, kaszlnął i naciągnął koszulkę na nos. Obraz, jaki zastał w jadalni, działał jednak na niego na tyle mocno, że by to czuć, ani trochę nie potrzebował zmysłu węchu. Całą robotę z nawiązką odwalił wzrok.

Na rogu nakrytego stołu, przy którym często odwiedzająca to mieszkanie rodzina Urszuli Giedrojć, z domu Suchockiej, jadała obiady, pośród ułożonych we wzorowym ładzie wraz ze sztućcami talerzy, leżał mały, podłużny, brązowy, niezmiernie apetyczny stolec Mii. Marek pewnie nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że częściowo zakrywał go nienaturalnie uniesiony róg obrusa.

– Sprzątnęłabyś po sobie, jak już jesteś taka cwana, żeby ukrywać grzeszki! – wrzasnął w nieokreślonym kierunku.

Starając się, by przepełniona koszulka broń Boże nie zsunęła mu się z nosa, znalazł w kuchni rolkę papierowych ręczników i wyrwał z niej aż trzy listki. Usunięcie ze stołu kocich fekaliów zajęło mu trochę czasu, tym bardziej, że starał się im nie przyglądać i wciąż walczył z intensywnymi mdłościami. Po wszystkim na czerwonym obrusie i tak pozostała mała, ledwo widoczna brązowa plama, ale machnął na nią ręką.

Smacznego, siostra! Chciałaś mieć w domu kotka, to sobie miej. Wraz z zawartością! – pomyślał w złości.

Wypakowanie zakupów ograniczyło się właściwie do średnio delikatnego opróżnienia torby na blat w kuchni. Motywacji do podlania kwiatów, które nie wiadomo po co znajdowały się dosłownie w każdym z pomieszczeń mieszkania, wystarczyło mu zaledwie na jeden pokój, po czym mruknął do siebie: „w dupie to mam”. Tak jak się spodziewał, spełnienie prośby matki o opróżnienie do miseczki kolejnej saszetki z żarciem dla kotów mogłoby służyć za idealny przykład czystego marnotrawstwa, ponieważ zwierzę dysponowało całą górą suchej karmy. Wypełniała ona trzecie z plastikowych naczynek. Czyli z głodu nie umrze.

Wodę mu jednak wymienił.

Żwirku w kuwecie już nie, bo się mu nie chciało.

Hat-trick „nie wierzę!” dopełnił się, gdy w sypialni Marii dostrzegł wiszący na krześle obrzydliwy, spruty sweter. Na sto procent zrobiony przez nią osobiście na drutach w czasach średniowiecza i tak okropny, że Marek wstydziłby się go użyć jako szmaty. Była to kolejna irytująca cecha starej Suchockiej. „Nie wyrzucaj! Przyda się jeszcze!”.

A właśnie że wyrzucę – pomyślał. W razie czego mógł zwalić winę na Ulkę. Wedle jego wiedzy często pozbywała się z mieszkania różnych, drobnych gratów, oczywiście tak, by ich właścicielka się o tym nie dowiedziała.

Nie dbając też zupełnie o to, że kosz na śmieci wypełniony jest zaledwie w połowie, wyjął z niego worek i wsadził nowy. W końcu sama tego chciała. Zresztą, z niego też trochę cuchnęło.

Fajrant.

– Myślisz, że jesteś taka cwana? – warknął. Mia patrzyła na niego obojętnymi oczami, machając ogonem. Chyba wyczuła, że zamierza zaraz wyjść, ponieważ czekała na niego pod drzwiami, gotowa ponownie czmychnąć. Marek pomyślał przez moment, a na jego twarzy zagościł złośliwy uśmiešek. Wrócił do kuchni i chwycił za małą konewkę, której wcześniej używał do podlewania kwiatów. Wciąż znajdowało się w niej trochę wody. Bez słowa podszedł do kota i skierował ku niemu cienki wylot pojemnika. Głupie zwierzę kompletnie nie zdawało sobie sprawy z jego zamiarów. Zamiast odejść, z tym większą ciekawością wystawiło pyszczek do przodu, jakby próbując zajrzeć w tę małą dziurkę, z której po kilku sekundach bez żadnego ostrzeżenia poleciał na nie zimny strumień.

Marek nie mógł powstrzymać śmiechu, gdy przemoczona na głowie Mia, ślizgając się po mokrych panelach i przewracając raz za razem, uciekła do drugiego pokoju.

– To cię nauczy! – zawołał za nią.

Spokojnie otworzył drzwi, wziął worek ze śmieciami i sweter, po czym zamknął mieszkanie. Gdy zapalił światło na klatce schodowej, żarówka z kondygnacji, na której aktualnie przebywał, świeciła może dwie sekundy i zgasła, podczas gdy na pozostałych piętrach w dalszym ciągu wszystko działało jak należy.

Nawet żarówkom już druciki opadają, jak widzą, co się wyrabia pod szóstką – pomyślał.

Na zewnątrz już zupełnie ciemniało. Po opuszczeniu klatki schodowej Marek od razu ruszył różnym krokiem w stronę zadaszzonego i zabezpieczonego

kratami śmietnika. Na szczęście ten był otwarty, więc aby się do niego dostać, nie musiał używać klucza.

– Przepraszam pana.

Marek spojrzął za siebie. Niepostrzeżenie podszedł do niego jakiś śmierdzący alkoholem (i wieloma innymi rzeczami), brodaty kloszard. Mogło zadziwić, że Suchy nie wyczuł (dobre słowo) jego obecności wcześniej.

– Czego?

– Jestem głodny, od kilku dni nic nie jadłem. Poratuj mnie pan złotówką?

– Nie.

– Ale bardzo pana proszę.

– Nie dam ci pieniędzy. I tak kupisz sobie za to piwsko. Taki scenariusz aż czuje się w powietrzu. – Marek wskazał swój nos. – Myślisz, że rozmawiasz z idiotą?

– Kiedy ja naprawdę...

– Nie obchodzi mnie to. Poszedłbyś do roboty zamiast zawracać dupę. Gdziekolwiek, na kasę w Biedrze, na babcie klozetową, do zamiatania chodników albo przetykania kanałów własnym ciałem. Jest na tym świecie tyle możliwości dla ludzi z twoim wykształceniem!

– Przepraszam w takim razie. – Włóczęga chwycił rączkę wózka na złom i od razu się odwrócił, chcąc odejść w swoją stronę. Marka zaskoczył taki obrót spraw. Spodziewał się, że spławienie natręta zajmie mu trochę więcej czasu i że będzie musiał użyć nieco radykalniejszych metod.

– Poczekaj! – zawołał za nim. Kloszard zatrzymał się i spojrzął na niego.

– Chcesz sweter? – Suchy uniósł wytwór rąk swojej matki. Mężczyzna spojrzął na niego z zaciekawieniem, ale też i delikatną nieufnością. Wyglądało jednak, że Marek zabrzmiał wiarygodnie. Tym lepiej, bo tym razem chciał tak zabrzmieć i nie miał żadnych złych zamiarów.

– Przyda się. Dziękuję panu bardzo. – Bezdomny podszedł i wziął od niego sweter.

– Zostawię otwarte. Jak chcesz, to sobie wejdź i poszukaj puszek. Tylko nie narób bałaganu. – Po wyrzuceniu pozostałych śmieci, Marek od razu ruszył do samochodu.

– Bardzo dziękuję! – zawołał za nim kloszard. Suchy nic już mu nie odpowiedział, o odwróceniu się nie wspominając. Wsiadł do auta, wyciągnął telefon i w wirtualnej książce telefonicznej błyskawicznie zjechał do literki „M”.

Kończył się właśnie dzień pełen wrażeń i należało mu się po nim coś od ży-

cia. Nie wiedział jednak, że prawdziwe perypetie miały dopiero nadejść.

OBLĘŻENIE

– Kiwi, kolacja! – nawoływał Adam.

Nie odpowiedziała. Poszedł na górę.

– Ej, mała! Zrobiłem grzanki. Jesz? – Wszedł do pokoju siostry. Dziewczynka leżała w ubraniu w łóżku, bez prześcieradła, pod kołdrą.

– Kiwi!

Nie odpowiedziała. Tylko przewróciła się na drugi bok.

– Co ci? – Podeszedł bliżej. Teoretycznie patrzyła na niego, ale tak naprawdę nie dawała jakkolwiek po sobie poznać, czy w ogóle odbiera jego obecność. Pomachał jej ręką przed oczami.

– Zostaw mnie – jęknęła.

– Co ci? Jesteś chora?

– Źle się czuję. Nie chcę jeść.

Dotknął czoła siostry. Rzeczywiście, była przeraźliwie rozpalona.

– Za dużo się kąpałaś w jeziorze i jeszcze jadłaś te wielkie lody. To pewnie dlatego.

– Nie chcę jeść. Zgaś światło i idź stąd.

– Chodź, zjesz i dam ci jakieś tabletki.

– Nie chcę.

– Chodź. No już! – Pociągnął ją za rękę.

– Zostaw mnie! To moja kołdra! Nie dotykaj! – krzyknęła.

– Jakby tata tu był, to też by ci kazał zjeść. No chodź, bo się zmarnuje.

– Ale ty nie jesteś tata i wcale nie muszę się ciebie słuchać!

Adam westchnął w niemal identyczny sposób, jak jego ojciec w podobnych sytuacjach.

– Dobra, leż sobie tutaj, jak chcesz. Ja idę jeść. – Zgasił światło i zbiegł na dół. Jakby na zawołanie, tuż po jego wyjściu odezwał się pusty żołądek Iwonki i poczuła nieznośne łaknienie. Podniosła się z ociąganiem. Gdy tylko wygramoliła się z łóżka, jej ciałem targnęły dreszcze, więc owinęła się kołdrą i, ciągnąc ją za sobą, zaczęła iść ku schodom. Zejście na parter sprawiło jej niemałą trudność, zważywszy, jak bardzo łamało ją w kościach. Usiadła przy stole w kuchni i ledwo przytomna patrzyła, jak brat do niego nakrywa.

Nagle zamarła. Podobnie zresztą jak on. Popatrzyli na siebie z niepokojem. Adam ostrożnie postawił keczup na stół i raz jeszcze otworzył drzwi od lodówki, po czym zamknął je z identyczną siłą jak poprzednio. Chciał przekonać się, czy stukanie, które przed chwilą usłyszeli, wynikało z tej właśnie czynności.

Nie potrafił tego stwierdzić z całą pewnością.

Otworzył więc drzwi jeszcze raz. Tym razem zamknął je mocniej.

Nie, to chyba jednak nie lodówka.

A skoro nie ona, to...

Patrzyli na siebie. Bali się nawet spojrzeć w najbliższe okno, tradycyjnie o tej porze zakryte roletami, podobnie zresztą jak wyjście na taras tuż za plecami Iwonki. Rolety te miały jednak jeden mały, irytujący defekt. Mianowicie, złącza pomiędzy plastikowymi listwami posiadały pełno małych dziurek, które umożliwiały bezproblemowy wgląd do wnętrza domu z podwórka...

Znieruchomieli. Zesztywnieli. Nasłuchiwali.

Gdy tylko dobiegł ich odgłos, jakby ktoś z drugiej strony próbował siłą podnieść rolety, chłopak jako pierwszy zaczął biec. Dotarcie do schodów na piętro zajęło mu zaledwie kilka sekund.

– Adek! – zapiszczała Iwonka.

– Chodź, szybko! – zawołał ją w panice. Gorączkowo poszukiwał w swojej pamięci wspomnienia, w którym po tym, jak wujek Arek odwiózł ich do domu, on zamknął drzwi na klucz. Chyba tak się stało. Nie potrafił tego przysiąc z ręką na sercu. Modlił się o taki scenariusz, ponieważ wybitnie nie miał ochoty tego teraz sprawdzać.

Iwonka także przybiegła na schody i silnie objęła go za korpus. Czuł, jak siostra drży i bynajmniej mu to nie pomagało.

– Chodź, wezmę kij od strychu – szepnął, mając na myśli zakończony haczykiem drewniany drąg służący do otwierania klapy w suficie na piętrze. Było to teraz ich jedyne, potencjalne narzędzie obrony. Jedyne, o którym wiedzieli, rzecz jasna. Ich ojciec nigdy nie pokazał im, że trzyma w domu pistolet i w najbliższej przyszłości nie miał takiego zamiaru.

Nie włączali światła na klatce schodowej. Jak na złość, posiadała denerwującą liczbę małych, kwadratowych okienek, na które, z kolei z lenistwa, nigdy nie zaciągali rolet. Wbiegli na piętro.

Adam usilnie zmuszał się, by nie spojrzeć w żaden z tych małych kwadracików, które mijali, ale w końcu zrobił to wbrew sobie.

Natychmiast tego pożałował. Dokładnie wtedy, kiedy w jednym z nich przez dosłownie ułamek sekundy mignęło mu coś czarnego.

TAJEMNICA MARTYNY

Cios był tak silny, że aż upadła.

Oddychała bardzo szybko, zaraz poczuła też w ustach posmak krwi. Powoli uniosła głowę i, coraz mocniej drżąc, spojrzała na stojącego nad nią mężczyznę. Czerwony ślad po uderzeniu na jej policzku wydawał się jeszcze wyraźniejszy pośród splątanych, czarnych włosów.

– Możesz powtórzyć? – zapytał Marek. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nie wiedziała, co robić. Bała się choćby odezwać. Nagle ruszył na nią jak rozjuszony byk. Jeszcze zanim spadł na nią kolejny cios, zaniósł się pełnym strachu jękiem.

– Możesz mi, kurwa, powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałaś? – syknął i z całej siły kopnął ją w nogi. Zakwiliła jak ranne zwierzę i zaczęła płakać. Jego reakcja okazała się nawet gorsza niż w jej najbardziej koszmarnych obrażeniach.

– W jakiej ciąży?! – Pochylił się nad nią, chwycił od tyłu za włosy i odchylił jej głowę. Jęknęła żałośnie. Jej oczy już wcześniej wypełniły się łzami, które stopniowo rozmywały makijaż, a oddech przyspieszał z każdą sekundą.

– Mów do mnie, dziwko! – wrzasnął i po raz kolejny uderzył ją otwartą dłońią w twarz.

– Jestem z panem w ciąży... – wyjąkała, choć doskonale wiedziała, że za pierwszym razem usłyszała to bez najmniejszego problemu. Nie miało to jednak znaczenia. Robiła to, co jej kazał. I czekała na następny cios.

– Jak to w ogóle jest możliwe?! Który miesiąc?

– Drugi. Wtedy, kiedy pękła nam gumka...

– Przecież mieliśmy umowę, że codziennie bierzesz piguły antykoncepcyjne!

– Brałam! Przysięgam! Wtedy miałam problemy żołądkowe przez kilka dni i może się po prostu nie wchłonęły.

Marek przetwarzał te informacje, choć jego aktualny stan emocjonalny nie sprzyjał trzeźwemu, logicznemu myśleniu. To nie mogła być prawda. Celowo zabezpieczał się podwójnie – i tabletkami, i prezerwatywą – by uniknąć takiej sytuacji. Akurat w tej sprawie chciał zachować szczególną ostrożność. Małżeństwo z Kaśką jeszcze mu nie obrzydło. Wątpił, by kiedykolwiek do tego doszło. Mimo to...

Nie, to był zdecydowanie zbyt duży zbieg okoliczności.

– Ty szmato! Chciałaś mnie wkłócić w dzieciaka?! Liczysz na alimenty, jebana kurwo? – Wciąż trzymając za włosy, rzucił nią o podłogę. Martyna nie przestawała szlochać. – Może to ty przedziurawiłaś ten kondom? Wszystko sobie zaplanowałaś, co?

– Nie... Przysięgam!

– Nie wciskaj mi kitu! – Kopnął ją w pośladki. Zasyczał, ponieważ znowu poczuł ból w prawej stopie. Paradoksalnie, trochę go to ostudziło.

A może bardziej wściekłym już zwyczajnie nie dało się być?

– Błagam, niech pan przestanie – jęknęła słabo.

Marek dokuśtykał do kanapy, usiadł i złapał się kciukiem oraz palcem wskazującym za skronie. Przyciskał z całej siły i stopniowo przesuwając opuszki palców w kierunku oczu, potem zatok. Drżały mu ręce. Wziął głęboki oddech i próbował się skupić.

– Usuniesz to. Słyszysz? – powiedział wreszcie.

Martyna ostrożnie doczołgała się tyłem do ściany, o którą oparła się plecami. Patrzyła na niego przez łzy, ale nic nie odpowiadała.

– Jutro załatwiam ci tabletki wczesnoporonne i masz wziąć ich tyle, aż zaczniesz nimi rzygać. Choćbyś miała srać krwią. Mam to gdzieś. Zrozumiano?

Wciąż milczała, niemniej ledwo zauważalnie kiwnęła głową. Trudno było jednak rozstrzygnąć, czy był to po prostu histeryczny odruch, czy rzeczywiście wyraziła zgodę.

– Jeśli to nie zadziała, pójdziemy na zabieg. Nawet za niego zapłacę. Jak za wszystko, co kiedykolwiek ode mnie dostałaś, żałosna ruco.

Wstał, podszedł do niej i ponownie przy niej przykucnął. Chwycił ją jedną ręką za żuchwę. Z początku trochę się opierała. W końcu po raz kolejny mu uległa.

– I niech ci nawet nie przyjdzie do głowy jakkolwiek przy tym mącić. Jeżeli mimo wszystko jakimś cudem urodzisz, to zabiję i ciebie, i to coś, co z ciebie wyjdzie. Ale najpierw to drugie. Na twoich oczach. Chcesz tego?

Dziewczyna próbowała kręcić wciąż unieruchomioną przez Suchego głową. Czyli chyba się zrozumieli. Miał dodać coś jeszcze, gdy poczuł, jak w kieszeni wibruje mu telefon. Wyprostował się i wyciągnął komórkę.

Adam.

– No co tam, Adaś? – odebrał i zapytał najnormalniejszym w świecie głosem, ale to, co usłyszał, zmroziło mu krew w żyłach. Po drugiej stronie jego

syn oddychał bowiem w dokładnie identyczny sposób jak teraz Martyna.
– Tato... Ktoś się do nas dobija! Ktoś próbuje wejść do domu!

CZARNY PAN

Marek przeklął, używając najpopularniejszego polskiego słowa. Żeby tylko. Z całej siły kopnął w drzwi swojego porsche. Tak mocno, że aż poczuł to w stawie skokowym i, oczywiście, w i tak wystarczająco bolącej go stopie. Padł na ziemię i przez moment trzymał się za obolałe miejsce, głęboko oddychając. Następnie sięgnął po telefon.

– No, co tam? – Knizio odebrał po czterech sygnałach. Sądząc po jego przytomnym głosie, jeszcze nie spał.

– Arek, musisz mi pomóc. Jest draka i to spora.

– Co się dzieje?

– Jestem na mieście i mam w furze cztery kapcie, a ktoś właśnie robi najazd na mój dom. Dzieciaki są przerażone. Dzwoniły do mnie.

– Co?!

– Słuchaj, nie przerywaj! – Zdenerwował się Suchy. – Jedź tam natychmiast i sprawdź to. Kogokolwiek tam nie spotkasz, ma leżeć w piachu, choćby nawet okazał się samym prezydentem albo sułtanem kalifatu Kala-Fioru. Zrozumiałeś?

– Jasne, Marek, pewnie.

– Zadzwońię do Szafy, żeby ci skrzydłował. Weź – ściszył głos, choć wydało się, że na parkingu pod osiedlem Serce Suwałk, w którym mieściło się mieszkanie Martynty, aktualnie nie przebywał nikt poza nim – kłamkę.

– Jasne. Załatwione. Jadę.

– Dzięki, Arek.

– A ty?

– Jakoś sobie poradzę. Wezmę takse albo coś. Jedź już, nie zamulaj! – warknął i natychmiast się rozłączył. Jak oznajmił Kniziuowi, od razu spróbował dozwonić się do Szafy, ale odpowiadał mu tylko irytujący, kobiecy głos, który wybitnie nieszczercze przeproszał, „ale wybrany numer w tej chwili nie odpowiada. Proszę spróbować później”.

Podniósł się, ignorując przeszywający ból i raz jeszcze otworzył spis numerów. Z jego perspektywy każdy ruch palca po ekranie trwał trzy razy dłużej niż zazwyczaj. Do tego, jak na złość, dwa razy pomylił się w wyborze kontaktu i cały proces musiał zaczynać od nowa, czego nie omieszkiwał komentować

kolejnymi soczystymi, wystękanymi przekleństwami. W końcu udało mu się dozwonić do radio taxi. Samochód przyjechał po niego już po kilku minutach.

– Gołdapska pięćdziesiąt jeden! I dajesz pan po gazie na pełnej! Płacę podwójnie. – Z ciężkim oddechem wgramolił się na tylne siedzenie. Taksówkarz spojrzał na niego ze zdziwieniem. Na szczęście nie zadawał żadnych niepotrzebnych pytań. Pod dom, przed którym stał już samochód Knizia, dotarli błyskawicznie. Marek nawet nie spojrzał na licznik, tylko bez słowa rzucił mężczyźnie sto złotych i wysiadł. Spojrzał na swój mały dworek. Przez opustoszałe, pogrążone w zupełnej ciszy osiedle przetoczył się delikatny wiaterek, co przypawiło Suchego o ciarki. Wewnątrz budynku panowały egipskie ciemności. Skupiony, by wyłapać choćby jeden podejrzany dźwięk, Marek ostrożnie wszedł na posesję.

Przeklął, gdy ciszę nocy rozdarło głośnie skrzypienie zawiasów metalowej bramki. Zabawne, że człowiek zwraca na to uwagę dopiero przy takich okazjach. Rozejrzał się niespokojnie i nasłuchiwał. Nie zarejestrował jednak niczego odbiegającego od normy. Zbliżył się do ściany domu i zaczął skradać się wzdłuż niej w kierunku ogródka i tarasu.

Wtem znieruchomiał. Usłyszał kroki. Ktoś szedł w jego stronę, ale że czynił to mało ostrożnie, Suchy się rozluźnił. I nie pomylił się. Zza rogu wyszedł bowiem Knizio.

– Czysto, Marek.

– Jesteś pewien?

– Tak, ani śladu. Tylko raz o mało co nie zesrałem się w gacie, bo jak tylko podszedłem do tej waszej skrzynki na narzędzia ogrodnicze, to wyskoczył zza niej kot. Strasznie wielki dachowiec. Prawie bym zastrzelił bydlę.

– Ale nie strzeliłeś, mam nadzieję?

– Nie.

– Arek – Suchy zacisnął zęby. Trzymające go napięcie ustępowało fali furii. – Zlecam ci właśnie najważniejsze zadanie w twoim życiu. Weź ze sobą tylu młodych gniewnych, ilu tylko potrzebujesz. Masz zacząć teraz, zaraz i nie wracaj do mnie, dopóki go nie ukończysz. Nie przyjmę tłumaczeń, że coś się nie udało. Ma się udać. Rozumiesz?!

– Tyle że... Co ma się udać?

Marek zreflektował się. Myślał o czymś tak intensywnie, że nawet nie zauważył, iż nie wypowiedział tego na głos.

– Masz znaleźć Samielewicza i doprowadzić go do mnie. Ten problem musi

zniknąć!

– Skąd wiesz, że to on?

Suchy westchnął ze zniecierpliwieniem, niemal identycznie, jak jego syn podczas niedawnej rozmowy z siostrą.

– Według ciebie czyja to robota? Jakiegoś mojego psychofana? Mózgu używamy! – wskazał ogromną, wymalowaną czerwonym sprayem literę „S” na pobliskim fragmencie elewacji.

– Ok, masz rację – przyznał zażenowany swoim niedopatrzeniem Arek.

– Numer stary jak świat. Gościu to stary wyjadacz i jednocześnie śmierzdzący, tchórzliwy półpedał. Jego plan jest prosty jak konstrukcja cepa. Ukrywa się, nie wychyla nosa poza swoją norę i do wszystkiego wysyła jakichś leszczy. Chce mnie zrobić naokoło, nie uderzając bezpośrednio. Jeszcze nie wie, z kim zadziera. To się dowie! – Marek przerwał na moment, aby przetrzeć twarz dłonią. Tak bardzo wczuł się w mówienie, że z ust zaczęła kapać mu ślina. – Masz przeczesać całe miasto i wszystkie wiochy wokół. Choćby nawet ulokował swą brudną dupę w jakimś kanale, masz go znaleźć. Choćby nawet nabył w pierdłu magicznej umiejętności zamieniania się w mysz, masz go odczarować. Choćby nawet...

– Dobra, wyraziłeś się już wystarczająco jasno. – Knizio uniósł rękę.

– To do roboty! – Marek odwrócił się i już zaczął kuśtykać do drzwi wejściowych, gdy Arek zawołał za nim jeszcze:

– Marek?

– No?

– A co, jak się będzie stawiał?

Suchy spojrział w okno od pokoju Iwonki. Dziewczynka stała w nim wraz z Adamem. Najwyraźniej od samego początku wspólnie obserwowali ich nieudaną obławę w ogródku. Wciąż mieli w oczach strach. Dziecięcy, naiwny, pewnie przez to trochę wyolbrzymiony, za to jak najbardziej szczerzy. Widział to pomimo panującej ciemności.

– Poślij Grzesznika tam, gdzie jego miejsce – powiedział w końcu. – Pod ziemię.

Marek walnął klatką piersiową o podłogę.

Jęknął i z trudnością podźwignął się do pozycji na czworaka. Wszystkie zakończenia nerwowe udowodniały mu, że bruk, na którym przed chwilą leżał, wykonano z twardego, solidnego kamienia.

Wstał i ponownie podjął wędrówkę traktem z dwoma rzędami ukwieconych żywopłotów na poboczach. Znowu nie zachował należytej ostrożności i zaplątał się w coś, co poskutkowało jeszcze jednym upadkiem.

– Co jest? – mruknął. W skupieniu obejrzał swoje nogi. Na pierwszy rzut oka naprawdę trudno to było dostrzec, lecz po dokładniejszym zbadaniu zauważył, że zarówno za pierwszy, jak i drugi upadek odpowiadają cienkie, niemalże niewidzialne żyłki, rozciągnięte w poprzek drogi i bardzo mocne. Ostrożnie uwolnił z nich swoje kostki, po raz kolejny wstał i idąc dalej, tym razem wolniej, starał się uważnie patrzeć pod nogi. Jako że przy tym sposobie chodzenia odrobinę rozłożył ręce, poczuł nagle, jak jedna z nich zaplątuje się w kolejny rząd żyłek, które wisiały w powietrzu niczym jakiś ciągnący się znikąd fragment pajęczyny. Odruchowo potrząsnął ramieniem. Tym samym popełnił błąd. Przestał patrzeć pod nogi i poczuł, jak na nowo traci równowagę. Co gorsza, jego ręka w dalszym ciągu pozostawała uwięziona. Wreszcie przewrócił się i syknął z bólu, bo żyłki wbiły mu się w skórę dłoni, która pokryła się licznymi, krwawymi liniami.

Walcząc z bólem i głęboko oddychając, bardzo ostrożnie dźwignął się z powrotem na nogi. Z największym skupieniem uwolnił rękę z sideł, po czym, by choć trochę ulżyć kończynie, schował ją pod pachę.

Choć szedł najwolniej, jak tylko się dało, znowu dał się zaskoczyć. Z nawet dotkliwymi efektami niż wcześniej. Kolejna pułapka znajdowała się bowiem na wysokości jego oczu. Linka wbiła mu się w powiekę, na szczęście nie dotarła do gałki ocznej, gdyż w porę odskoczył od niej jak oparzony. Niestety, tym razem w sidła zaplątały mu się obie ręce.

Cóż, chyba nadszedł ten moment, by...

– Ratunku! – wrzasnął, gdy padł na kolana z uniesionymi w powietrzu, unieruchomionymi rękami. W tej samej chwili poczuł, jak coś z niewyobrażalną siłą ściąga te linki do ziemi i już po chwili leżał na plecach. Zdał też sobie sprawę, że nie może ruszać nogami. Wyglądało to, jakby żyłki owijały się wokół wszystkich jego kończyn jak jakieś mordercze, żyjące własnym życiem pnącze. Próbował dalej krzyczeć, ale z przerażeniem stwierdził, że kolejna seria żyłek teraz owija mu się wokół głowy i szyi. Że stopniowo się na nich zaciska i coraz bardziej utrudnia mu oddech.

Rozejrzał się, gorączkowo szukając ratunku. Na brukowanej drodze, tuż obok niego, leżał sporych rozmiarów nóż, którego wcześniej nie zauważył. Nie zastanawiał się, jak on się tam właściwie znalazł. Wziął głęboki oddech i z przeraźliwym rykiem szarpnął ręką w jego kierunku. Zdołał złapać go końcówkami spuchniętych, okaleczonych palców i stopniowo udało mu się go chwycić pewnie całą dłonią.

Nagle zamarł, życząc sobie z całej siły, by to, co poczuł, nie było tym, o czym myślał. Kolejny ruch pozbawił go jednak wszelkich wątpliwości. I nadziei. Wszystkie owinięte wokół niego linki były do czegoś przymocowane. I to coś właśnie teraz zaczęło je ciągnąć. Gwałtowność szarpnięcia spowodowała, że nóż wyslizgnął mu się z ręki. Marek z przerażeniem zauważył, że w żywopłocie, nieopodal niego, w niewyjaśniony sposób wytworzyła się przerwa, przez którą ciągnęła się wiązka przyczepionych do niego nitek. Znikały one w widocznej w oddali przepaści.

Marek spanikował. Nie dlatego, że obawiał się upadku z dużej wysokości. Paradoksalnie, w ogóle o tym nie myślał. Z jakiegoś powodu bał się ujrzeć to coś, co ciągnęło za żyłki. Bo nie miał żadnych wątpliwości, że to żyło, oddychało i... odczuwało głód. W desperacji próbował łapać się bruku końcówkami palców, niemniej tylko łamał sobie na nim paznokcie, wrzeszcząc jeszcze przeraźliwiej.

Niespodziewanie spostrzegł, że na drodze pojawił się kolejny nóż. Dając niesłychany pokaz refleksu, chwycił go, nim ten na dobre znalazł się poza zasięgiem jego rąk. W ogóle nie myślał nad konsekwencjami swoich czynów, wbił ostrze w więzy.

Przebijając również sam nadgarstek.

Uderzył piorun, a Marek poruszył się niespokojnie i tym samym obudził. Jęknął. Od niewygodnej pozycji niemiłosiernie bolał go kark. Nadal był nieźle pijany. Butelka wódki, którą opróżnił w połowie, zanim zasnął na siedząco w fotelu w salonie, wciąż stała przed nim na stole. Na jego senność złożyły się chyba wszystkie możliwe rodzaje zmęczenia: psychiczne, emocjonalne i fizyczne.

Choć uważał się za samca alfa w najczystszej postaci, musiał przyznać, że tego dnia wydarzyło się zdecydowanie zbyt wiele. Pękł. Nie wytrzymał. Mu-

siał odreagować. Nie dało się całkowicie wyczyścić własnej pamięci, ale mógł chociaż próbować złagodzić dyskomfort i osłabić tę lawinę myśli, która spadała na jego głowę. Jednocześnie, choć nie miał na to najmniejszej ochoty, musiał myśleć dalej. Rozważyć wszystko na chłodno, rozplanować dalsze działania. Zarówno pora, jak i stan, w którym się znajdował, były do tego najlepsze. Co więcej, bardzo pomagał mu w tym kojący szum deszczu oraz ciemność. Należał do niej, stanowił jej integralną część, co sprawiało, że z jakiegoś powodu czuł się bezpieczniejszy. Co za tym idzie, spokojniejszy.

Pogrążony w mroku salon rozświetliła kolejna błyskawica. Marek nie pamiętał już, kiedy ani po co podniósł rolety. Przez krótki moment jasności zobaczył pistolet, który leżał na stole po jego prawej stronie. Sam go w tym miejscu położył, jeszcze zanim wyjął z zamrażarki zero siedem soplicy.

Wziął go w dłonie, ważył to w jednej, to w drugiej.

Jego berło. Insignium władzy. Nieodłączny atrybut każdego szanującego się gangstera. Ten nabył swego czasu od pewnego Rosjanina, partnera w interesach. Sprawdził magazynek. Naładowany, zostały dwa naboje. Bez wyraźnego powodu odbezpieczył pistolet i wycelował nim w ciemność. Wyobraził sobie, że ktoś w niej stoi. Bez ruchu, jak posąg. Mężczyzna. Na oko gdzieś koło pięćdziesiątki, może trochę więcej. Nie wyróżniający się niczym szczególnym. Przeciętny wzrost, normalna budowa ciała, zwykły ubiór. Tylko ta zmasakrowana twarz, a właściwie jej brak. Ta ziejąca pustką niczym krater dziura w głowie.

Grzesznik.

Marek nie obawiał się jednak. To on panował nad sytuacją. To on celował, to on znajdował się po tej stronie lufy, co trzeba.

Natomiast dla tego jegomościa nie było żadnej nadziei. Wydał na siebie wyrok śmierci z klauzulą natychmiastowego wykonania.

Marek oddał wyimaginowany strzał w ciemność i uniósł pistolet. Dokładnie w tym momencie uderzył piorun, który na krótką chwilę znowu rozświetlił salon.

– Jasna cholera! – Suchy podskoczył jak oparzony. Na szczęście, choć postać mignęła mu przed oczami na ułamek sekundy, wystarczyło to, by ją rozpoznał.

– Dziecko! Nie strasz tak ojca! – wydyszał tylko na wpół żartobliwie, gdyż serce wciąż waliło mu jak młotem.

Iwonka powoli podeszła do niego, a on w tym czasie, licząc, że dziecko nie

zdołało zobaczyć broni, szybko zabezpieczył pistolet. Potem niezgrabnie próbował schować go sobie za plecami. Okazało się to jednak zbędne. Kiedy dziewczynka zbliżyła się do niego na tyle, by mógł ją przytulić, kolejna błyskawica ukazała mu jej twarz. Iwonka nie wyglądała na do końca przytomną, prędzej na przeraźliwie zmarnowaną, mimo to chyba nie lunatykowała.

– Tato... – jęknęła.

– Co się dzieje, skarbie? Czemu nie śpisz?

– Boję się.

– Nie ma czego, żabko. Już po wszystkim. Tata cię pilnuje. Siedzi na straży jak...

– Przy moim łóżku stoi jakiś czarny pan.

Jeszcze jeden błysk i grzmot.

Marek milczał przez moment, ale wcale nie z powodu odgłosów z zewnątrz.

– Coś ci się przyśniło, kochanie.

– Nie, on tam stoi. Cały czas.

– Mówił coś do ciebie?

– Nie mówił. Tylko stoi. Nie widzę jego buzi. Boję się go. Czuję, że on chce mi coś zrobić.

Brak twarzy?

Co, do cholery?

Marek westchnął, pogłaskał córkę i w mig zrozumiał. Biło od niej gorąco niczym z rozżarzonych węgli, do tego była cała mokra od potu. Zaklął siarczyste w myślach. Od jego dotyku przeszedł ją silny dreszcz.

Kurwa mać, co za dzień – pomyślał.

– Źle się czujesz, żabko?

– Tak, boli mnie głowa i gardziółko – zaczęła płakać. Przytulił ją i zmierwił mokre, sklezione potem włosy z tyłu głowy dziewczynki.

– Chodź, damy ci jakiś syropek.

Zapalił światło w kuchni, zajrzał do domowej apteczki i dał jej dwie łyżeczki syropu, a następnie tabletkę do ssania na gardło. Niestety, tym samym wyczerpał skromne zapasy tych leków.

– Do łóżka. Masz się wygrzać i spocić najbardziej, jak się da, ok? – Wziął ją za rękę i zaczął iść w kierunku schodów, ale ku jego zdziwieniu Iwonka nie ruszyła się z miejsca i dalej tkwiła niczym kołek w tym samym punkcie. Zachwiał się lekko.

– Nie chcę tam iść.

– Żabko, musisz wrócić do łóżka. – Wysiłił się na jak najbardziej opiekuńczy i pełen miłości ton, ale wewnątrz czuł, jak na nowo wzbiera w nim zniecierpliwienie.

– Boję się tego czarnego pana, tato. Nie chcę tam spać. – Znowu pociekły jej łzy i z całej siły przytuliła się do nogi ojca. Ciepło jej drżącego, rozpalonego ciała skutecznie ostudziło irytację Marka.

– Dobra, to zrobimy tak. Pokaż mi tego pana. Tata go stamtąd wygoni i już nie będzie cię straszył. Umowa stoi?

W odpowiedzi spojrzała tylko na niego z przestraszeniem. Teraz wyglądała z kolei na zupełnie przytomną. Wzięła go za rękę. Uznał to za aprobatę.

Tylko czemu, do ciężkiej cholery, właśnie teraz musiał uderzyć kolejny piorun?

Razem przeszli przez korytarz luster, który prowadził do schodów i w tym konkretnym momencie odczuwali równie silny lęk, choć każde z innego powodu. Napięcie opuściło Marka dopiero wtedy, gdy postawił nogę na pierwszym z prowadzących na górę stopni. Ponieważ wciąż trzymał Iwonkę za rękę, ich wędrówka na piętro dłużyła się w nieskończoność. No i ta pieprzona burza, które powodowała miganie żarówek. Kiedy w końcu stanął z córką przed wejściem do jej pokoju, zdał sobie sprawę, że od dobrych kilkunastu sekund nie oddychał.

Zapalił światło.

I wypuścił powietrze.

– Nikogo nie ma. Widzisz?

Nie odpowiedziała.

– Do łóżka, ale już. – Popchnął ją delikatnie. Iwonka po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut zdawała się być przyśrubowana stopami do paneli.

– O co chodzi? – zapytał Marek. Milczała. Klęknął przed nią. Nawet gdy jego twarz znalazła się na wysokości oczu dziewczynki, ta zdawała się nie patrzeć na ojca, a jakby przez niego, w kierunku pomieszczenia za plecami Suchego. Miała rozszerzone oczy i otwarte usta. Jej małe serduszko biło chyba rekord uderzeń na minutę. Prawie je słyszał.

– Nie widzisz go? – wychrypiała w końcu.

– Kogo? – Odwrócił się i omiół spojrzeniem cały pokój. Nieprzyjemne, słabe światło nierozgrzanej żarówki męczyło wzrok, więc po chwili intensywnego skupienia poczuł, jak zaczynają boleć i łzawić mu oczy. Tak czy inaczej, niczego dziwnego nie zauważył.

– Kogo mam widzieć, żabko? – Potrząsnął lekko córką. Nie odpowiadała, wciąż gapiła się na wprost.

I właśnie wtedy...

Tak, uderzył kolejny piorun. Światło w pokoju zgasło na ułamek sekundy, by już po chwili na nowo rozbłysnąć. A Suchy, jak na ironię, poczuł suchość w ustach.

Powoli rozprostował nogi i przełknął ślinę. Chwycił Iwonkę za rękę.

– Dobrze, ok. Skoro się boisz, to dzisiaj będziesz spała ze mną. Chodź.

Zgasił światło i szybkim krokiem zaprowadził ją do małżeńskiej sypialni.

Choć burza skończyła się dobrą godzinę temu, a przytulona do niego Iwonka bardzo szybko zdołała zasnąć – pośród nocnej ciszy roznosił się teraz jedynie dźwięk jej spokojnego oddechu – Marek nie potrafił zmrużyć oka. Paradoks nad paradoksy. Czuł niesamowite znużenie i zmęczenie, lecz od pokładów adrenaliny w organizmie jednocześnie aż go nosiło. Jedyne, z czego się cieszył, to z nieobecności Kaśki. Ostatnie, czego teraz potrzebował, to miauczenie i wyrzuty. Jakby brakowało jeszcze powodów do niepokoju, jakby mało było problemów, jak na złość na dokładkę musiał pojawić się jeszcze ten cholerny...

Podniósł się gwałtownie. To nie miało żadnego sensu. Musiał zejść na dół po dodatkową dawkę alkoholu.

Chociaż... korytarz luster.

Szlag by to trafił!

Przewrócił się na drugi bok.

ONI

– Tato...

Marek nie potrafił rozstrzygnąć, czy rzeczywiście spał, czy przez cały ten czas miał tylko zamknięte powieki i rozpaczliwie próbował zasnąć. W każdym razie nie podobało mu się, że po raz kolejny musiał je unieść.

– Co się stało, żabko?

– Idą po ciebie.

Otworzył szerzej oczy.

– Co?

– Idą po ciebie – powtórzyła Iwonka. Siedziała na klęczkach na łóżku i trochę pochylała się nad ojcem. W świetle latarni z zewnątrz Marek dojrzał jej nieprzytomny wzrok i kropelki potu spływające po czole. Mimo to nie mógł się powstrzymać. Zapytał:

– Kto?

– Oni.

– Jacy oni?

– Oni.

– Ale kto, żabko? – Usiadł.

– Widziałam ich. Jest ich bardzo dużo. Idą tutaj.

– Kto idzie?! – zirytował się. Wstał i podszedł do okna. Tak jak się spodziewał, nie zobaczył na błyszczącej od wody ulicy niczego niepokojącego.

– Nikogo tu nie ma, zobacz!

– Widziałam.

– Żabko, jesteś chora, coś ci się po prostu przyśniło. – Wrócił do łóżka i pogłaskał ją po twarzy. Dłoń w mig zrobiła mu się wilgotna, zupełnie jakby dotknął przed chwilą oślizgłej ryby. Iwonka nie reagowała. Pomachał jej przed oczami. Również nie przyniosło to żadnego rezultatu. Lunatykowała? Jeżeli tak, to z dwojga złego cieszył się, że robiła to na siedząco.

– Kiwi, połóż się i śpij. – Popchnął ją niezbyt silnie. Na szczęście już się nie bronila. Położyła się, zamknęła oczy. Pośród nocnej ciszy, jakby nigdy nic, ponownie rozległ się jej równomierny oddech.

Marek spoczął obok niej i, choć okrył się ciepłą kołdrą, jego ciało przeszył dreszcz.

GRZESZNICE

Już po dziewiątej rano obudził go telefon. Chwycił za urządzenie i przekrwionymi oczami spojrzął na wyświetlacz.

Czyli z kwartetu osób, do których czuł autentyczną niechęć i które w ostatnim czasie panoszyły się samowolnie w jego życiu, brakowało mu już tylko, jako czwartego do brydża, jakiegoś psa. Ciągłe siedzieli mu na głowie matka, Samielewicz i... ona.

– Słucham cię. – Przyłożył komórkę do ucha i znowu zamknął oczy. W międzyczasie usłyszał jak obok niego na łóżku porusza się Iwonka.

– Cześć, brat. – Jak tylko usłyszał jej głos, głowa, która aż nadto dawała mu odczuć, że całkiem niedawno porządnie dał w szyję, zaczęła go boleć ze zdwojoną siłą.

– Cześć siostra. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Co z mamą?

– Żyje.

– A coś więcej?

– Żyje i jest nieco bardziej mamowata niż zazwyczaj.

– Marek...

– Jezus! Jak zwykle zrobiła...

– Nie łam drugiego przykazania, bracie. Tym bardziej, jak w Niego nie wierzysz – przerwała mu.

– Dobra, skończ już.

– No, więc co z mamą?

– No więc zrobiła z igły widły i postawiła w stan gotowości wszystkich, kogo tylko się dało. Leży w szpitalu i jest pod opieką psychiatry. Nie, nie robię sobie jaj teraz. Sama mi powiedziała.

– Dzwoniła do mnie pani Halinka. Mówiła, że z tobą też rozmawiała.

– Tak, gadałem z nią.

– Jesteśmy już w Warszawie. Za jakieś pięć-sześć godzin powinniśmy być w Suwałkach.

– Przylecieliście specjalnie z wakacji, bo mama typowo dla siebie zajęczała, że źle się czuje? – zapytał Marek, używając najbardziej pełnego politowania tonu, na jaki tylko mógł się zdobyć.

- Rozumiem, że sam wolisz się nią zajmować?
- Tu go miała.
- W życiu.
- Ja myślę. Pojedź do niej. Sprawdź, czy czegoś jej nie brakuje.
- Ta, czegoś na pewno...
- We łbie.

Iwonka wciąż czuła się bardzo źle i zanosiło się, że spędzi cały dzień, płacząc w łóżku. Co mogło cieszyć, wreszcie zgodziła się położyć do swojego. Czarny pan bowiem cudownie rozpląnął się w powietrzu. Marek nakazał Adamowi przez cały dzień grać na komputerze i pilnować siostrzyczki, aż do powrotu Kasi, która miała przyjechać popołudniowym pociągiem. Sam zaś miał tak wiele do zrobienia, że aż musiał wypisać to sobie na kartce.

Pomoc drogowa i wymiana opon w aucie, szpital, tabletki dla Martyny, tabletki dla Iwonki, tabletki dla siebie na kaca, zakupy, Knizio i sprawa tego palanta... Wpadł też na świetny pomysł, by najzwyczajniej w świecie założyć w domu monitoring, co miałyby w jakiś sposób ułatwiać rozwiązywanie drobnych problemów, takich jak ten wczorajszy. Postanowił od tego zacząć i z miejsca wyszukał w Internecie odpowiedni numer telefonu. Z racji niedzieli facet trochę pomarudził, pojęczał, ale po tajemnym hasle „zapłacę podwójnie” dziwnym trafem zmienił zdanie i obiecał przyjazd z ekipą w ciągu najbliższej godziny. Następnie Marek wykonał jeszcze po jednym krótkim telefonie do Rudego i Szafy, którym zlecił przyjęcie majstrów i jednocześnie obserwowanie domu pod jego nieobecność. Po tym zamknął oczy, wziął głęboki oddech i w skupieniu zastanowił się, czy przypadkiem czegoś na swojej liście nie pominął.

W końcu uznał, że to wszystko.

Gdy dźwigał się z fotela, syknął z bólu i przeklął. Chwycił więc kartkę i dopisał na niej: „ortopeda w poniedziałek”.

– No co tam, miszczu?

- Rafał, pilna sprawa. I od razu zastrzegam, że rozmawiamy „w cztery uszy”.
- To może lepiej nie róbmy tego przez telefon.
- Spokojnie, nie chodzi o to, co zawsze.
- Chyba, że tak. To o co?
- Potrzebuję tabletek na poronienie.
- Czego?
- Tak jak usłyszałeś. Nie zadawaj pytań.
- Nawet nie miałem zamiaru. W coś ty się wpakował?
- Zwróciłeś, kurwa, uwagę, że przed chwilą zaprzeczyłeś sam sobie?
- A, bez kitu.
- Dobra, do rzeczy. Jesteś mi w stanie załatwić to na lewo? Zależy mi na dyskrecji.
- Wszystko da się załatwić. Na kiedy to ma być?
- Na wczoraj.
- Rozumiem. Podzwonię, popytam. Jeszcze dzisiaj dam znać.
- Dzięki, stary. Pamiętaj, nikomu ani mru mru!
- Wiadomka, Marek. Sprawa musi być poważna, skoro po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nazwałeś mnie po imieniu. – Rubik wysilił się na żart, który tym razem ani trochę Suchego nie rozśmieszył, i rozłączył się.

- Cześć. – Marek beznamiętnie wkroczył do szpitalnej sali. Jego matkę tak pochłonęło oglądanie wiadomości w lokalnej, suwalskiej telewizji TVS, że nawet go nie zauważyła.
- Cześć! – powtórzył głośniej. Dopiero wtedy na niego spojrzała.
- Cześć – wychrypiała. Znowu miała niezbyt przytomny wzrok. Do Suchego dotarło, że pacjentka najprawdopodobniej jest po prostu świeżo po pokaźnej porcji leków.
- Jak zdrówko? – zapytał prowokacyjnie. W gruncie rzeczy, jakby tak na to spojrzeć bez emocji, z zewnątrz, to jego matka była tak niesamowicie pocieszona, że głowa mała. Rozkoszna, pierdołowata, dzieciinniała, nieporadna starszuszka. Mameja. Melepetka. Babcia. Busia. Pani Bułeczka.
- Zręcząca, pozbawiona choćby podstawowego logicznego myślenia, przemądrzała, irytująca wiedźma.

– Mdli mnie i kręci mi się w głowie. – Odbiło jej się.

Czyli bez zmian – pomyślał Marek.

– Mówili ci coś lekarze?

– Że dziś po południu mnie wypiszą.

– To chyba dobrze?

– Dobrze. Moja kiteczka pewnie tęskni. Dałeś jej saszetki?

– Tak – skłamał. – Ulka do mnie dzwoniła, że już jedzie do Suwałk. Za kilka godzin powinna być na miejscu.

– I bardzo dobrze. Więcej osób będzie do pomocy. Jutro trzeba pojechać na działkę. Dawno nie było podlewane. Wszystko mi uschnie.

Trzeba pojechać... – jęknął w duchu Marek.

– W nocy spadło milion litrów wody na metr kwadratowy, a ty jeszcze chcesz podlewać? Słyszysz ty siebie, kobieto?

– Ach, prawda – zreflektowała się.

– Zresztą nieważne. Będę chciał z tobą i Ulką poważnie porozmawiać.

– O czym chcesz porozmawiać?

– O opieku... – zaczął, ale przerwała mu jedna z kobiet, które leżały w sali z Marią:

– Przepraszam bardzo, ale jak nie ogląda teraz, to może wyłączy? Trochę głośno.

– Oglądam! Zaraz syn sobie pójdzie! – zaszczekała Suchocka. O wiele ostrzej niż wymagała tego sytuacja.

– Chcemy się pomodlić, ale jest trochę za głośno – dodała druga staruszka.

– A ja nic nie słyszę, jak jest ciszej!

– Mamo – Marek uniósł ręce w uspokajającym geście – panie mają rację. Ścisz chociaż, jak na razie nie oglądasz – powiedział i wziął z jej szafki pilota. W tym samym momencie spikerka mówiła coś o brutalnym pobiciu piłkarza Wigier, Adriana Prześlakiewicza. Podobno zeszłego wieczoru, kiedy wracał rowerem ze spotkania ze znajomymi, zaatakował go niezidentyfikowany napastnik z kijem bejsbolowym i połamał obie nogi. Zawodnikowi groziło inwalidztwo.

Marek przez chwilę patrzył na znajomy wizerunek piłkarza na ekranie, lecz w żaden sposób nie zareagował. Maksymalnie wyciszył dźwięk.

– Dziękujemy. Bardzo pan miły. – Uśmiechnęła się jedna z kobiet.

– Nie ma sprawy. A poza tym – Suchy ponownie pochylił się nad Marią i przyciszył głos – może pomodliłabyś się razem z nimi? Na pewno ci to nie

zaszkodzi. A może i pomoże.

Tak naprawdę już dawno wyrósł z wierzenia w takie rzeczy, a jego obcowanie z Kościołem ograniczało się właściwie wyłącznie do kurtuazyjnego wpuszczania do domu księdza po kolędzie. Na prośbę Kaśki, która strasznie przejmowała się tym, co ludzie powiedzą. Teraz z kolei chodziło mu bardziej o siłę sugestii. Skoro mamcia do perfekcji opanowała wmawianie sobie bólów, analogicznie powinna poradzić sobie z uwierzeniem w ich brak.

Maria spojrzała mu głęboko w oczy z wyrazem twarzy pełnym politowania, a usta wyduła maksymalnie na kształt odwróconej podkowy. Dałby jednak głowę, że nie robiła świadomie ani jednej, ani drugiej rzeczy. I wyglądałaby nieco komicznie, gdyby nie to, co mu po chwili powiedziała:

– Niech one modlą się o przebaczenie. Grzesznice.

– Mamo! – zdenerwował się Marek i spojrzał za siebie, ale na szczęście obie kobiety z tak wielką celebrą i zaangażowaniem zajęły się swoimi różańcami, że chyba nawet jej nie usłyszały. Obie miały też zamknięte oczy.

– Co ty za głupoty wygadujesz? Czemu jesteś taka niemiła dla nich? Zrobiły ci coś?

– Miła czy niemiła, moja rzecz! Jaki mądrała się z ciebie zrobił!

– Bo są jakieś granice. Uspokój się! – syknął.

– Słyszałam. Widziałam. – Jako że Marek w środku nocy usłyszał identyczne słowo, i to w dość złowieszczych okolicznościach, automatycznie wywołało w nim nieprzyjemne uczucie niepokoju. Nie kontrolował tego, jego organizm sam zareagował na bodziec.

– Co widziałas?

– Jak to robiły.

– Co robiły?

– Słyszałam w nocy... Modliły się, ale nie do Boga, a do samego diabła. Nie mogłam przez to spać. Więc niech teraz nie udają takich świętych.

– Dobra, skończ już. Coś ci się chyba przyśniło. – Dotknął jej głowy – Dobrze się czujesz? Bełkoczesz już przez te leki.

– Podnieś mnie i pomóż mi wstać. Chcę do toalety. – Wyciągnęła rękę. Marek, który normalnie ostentacyjnie by na to westchnął, tym razem się powstrzymał. W duchu cieszył się, że ten nedorzeczny temat został zmieniony tak szybko i bezboleśnie. Chwycił ją za dłoń i z niemałym trudem pociągnął do siebie. Jej ciało było bezwładne, więc musiał w to włożyć sporo siły. Gdy prostowa-

ła się na łóżku, to zaskrzypiało tak głośno, że właściwie nie wiedział, co wydało ten dźwięk: materac, czy może ona i jej starcze stawy.

KOMUNISTA

Jak na niedzielę przystało, większość aptek było zamkniętych. Dyżurna znajdowała się na drugim końcu miasta. Na szczęście Marek przypomniał sobie, że małe stoiska z podstawowymi lekami przeciwbólowymi mieszczą się przy kasach w każdym dyskoncie spożywczym i to do jednego z nich skierował swój samochód. Chciał przy okazji zrobić zakupy do domu. Po wypełnieniu koszyka niezbędnymi produktami, ustawił się w kolejce do kasy. Zarówno w trakcie jazdy przez Suwałki (po raz pierwszy w życiu przeszło mu przez głowę, że rzucanie się w oczy jego sportowego auta nie jest błogosławieństwem), jak i podczas żmudnego spaceru pomiędzy sklepowymi półkami, nie mógł się powstrzymać, by od czasu do czasu uważnie się nie rozejrzeć. W pewnym momencie pojął, że robi to niezależnie od siebie. Jakie to było dziwne uczucie. Nieznane. Nawet nie potrafił go nazwać. Dawno czegoś takiego nie doświadczył, o ile w ogóle.

Pogrążony w myślach, dopiero po jakimś czasie rozpoznał mężczyznę, który właśnie teraz, wraz z żoną, stał na czele kolejki.

Stary, zgrzybiały dziadyga, były komunistyczny urzędnik i konfident w jednej osobie, który wieki temu mieszkał pod nim i Kasią w jednym z suwalskich bloków. Nie mógł uchodzić za wzór bezproblemowego sąsiada. Na wspomnienie, jak staruch raz za razem przyprawiał go o złe emocje, wypełniające Marka uczucie zagrożenia...

O! A więc jednak potrafił je nazwać!

...ustąpiło złości.

Konfitura – pomyślał, gapiąc się na niego z wściekłością.

Spojrzał na jego zakupy. Emeryturka najwyraźniej była godna, ponieważ pas transmisyjny przewożący produkty do kasy wypełniały teraz wyłącznie te należące do niego i jego żonusi. Po zeskanowaniu wszystkiego przez kasjera, na ekraniku pojawiła się kwota dziewięćdziesiąt siedem złotych i dwadzieścia trzy grosze.

– To nie, to jeszcze wezmę jeden napój – mruknęła kobieta i jakby nigdy nie zaczęła przeciskać się obok czekających za nią w kolejce ludzi z powrotem do marketu. Zirytowany samym widokiem tej parki Marek dodatkowo skojarzył, że akurat odbywała się w tym dyskoncie jakaś loteria i za każde wydane pięć-

dziesiąt złotych otrzymywało się zdrapkę. Ta myśl podziałała na niego jak iskra podpalająca lont.

– Co jest?! – wrzasnął, a każda co do jednej osoba w pobliżu skupiła na nim uwagę, z kasjerami i klientami z innych kolejek włącznie. Ale tylko na moment, bowiem wszyscy oni od razu odwracali wzrok i udawali, że nic się nie dzieje. Swoim wzrostem, posturą, ubiorem i urodą podręcznikowego gangstera Marek, jako stały bywalec siłowni, wzbudzał należyty respekt. A jak się do tego dodało agresję...

– No co jest?! – powtórzył, precyzyjnie się do przodu i rozłożył ręce przed kasjerem. – Ludzie czekają, koleś!

– Spokojnie – utemperował go dziadek.

– Jak ci zaraz przylutuję w mordę, to się nogami nakryjesz! – Suchy odwrócił się w jego stronę.

– Taki odważny jesteś? – Ton, którego używał starzec, pozostawał spokojny, lecz tym razem dziadek zdradził nerwowo wodzący po sklepie za żoną wzrok.

– Zatkaj się tam, lamusie. – Suchy urwał, gdy zza jego pleców ponownie wyłoniła się tamta kobieta, tym razem niosąc jakiś mały napój w plastikowej butelce. Kasjer przeczuwał, co się za chwilę wydarzy, bowiem gdy brał go do ręki i skanował kod, minę miał nietęgą. Istotnie, cena napitku wciąż nie wystarczała, by ze wszystkim dobić do stu złotych.

– A, to jeszcze... – staruszka wykonała taki ruch, jakby zamierzała zrobić jeszcze jedną rundkę za kolejkę, ale mąż powstrzymał ją.

– Dobra, zostaw. Weźmiemy coś stąd. – Nie zastanawiając się długo, złapał pierwszy produkt jaki mu się nawinął pod rękę, którym okazała się paczka gumy do żucia.

– Przecież ty już zębów nie masz, staruchu! Myśl trochę! Mózgu używamy! – Na te słowa Marka zreflektował się, odłożył opakowanie i tym razem sięgnął po jakiś batonik. Suchy wrócił na swoje miejsce w kolejce, niemniej wciąż nie przestawał mówić. – Król i królowa wybrali się na zakupy! Jaśnie państwo. Jeszcze tylko, kurwa, karocy i lokaja brakuje!

Kasjer skasował batonik i już miał podać do wiadomości ostateczną kwotę do zapłaty, gdy nagle zbladł.

– Kurczę. Ale to i tak... Alkohol nie wlicza się do promocji. Nie dolicza się go do tych zakupów, za które można dostać kupon.

Oczy Marka i staruszka spotkały się jeszcze raz.

– Dobra, już trudno. Płacimy.

Choć Suchy nie powiedział nic więcej, patrzył za starym tak długo, jak tylko się dało, dopóki ten nie wyszedł ze sklepu. Wcale się nie zdziwił, że dziadek unikał jego wzroku jak ognia. Gdy wreszcie stanął ze swoimi zakupami nad kasjerem, ten zachowywał się tak, jakby bał się je choćby dotknąć, a należność wypiszczwał głosem sugerującym, że ktoś jednym skutecznym ciachnięciem właśnie pozbawił go jąder. Marek zapłacił, wziął torby w obie ręce i opuścił sklep. Po wyjściu z dyskontu, mniej więcej w połowie drogi do auta, uświadomił sobie coś jeszcze i siarczyście przeklął.

Zapomniał kupić leki przeciwbólowe!

Jakby tego było mało, zdał sobie sprawę, że gdyby je wtedy kupił, też dostałby zdrapkę.

URSZULA GIEDROJĆ

– Podaj mi rękę, bo upadnę.

Marek bez słowa chwycił za pomarszczoną i pokrytą znaczną ilością plam wątrobowych dłoń i ruszył do przodu.

– Wolniej, bo upadnę!

– Idę najwolniej jak mogę – wycodził przez zęby niezgodnie z prawdą.

– Akurat! – zawołała Maria z charakterystycznym dla niej, irytującym naciśkiem akcentu na ostatnią sylabę, po czym dodała, krzywiąc się: – Ale ręka mnie boli. Jedna i druga.

Spodziewając się tego jakże romantycznego spaceru za ręce ze swoją mamuszką, zawczasu przezornie zrobił wszystko, by go skrócić i zaparkował tak blisko wejścia do szpitala, jak tylko dał radę, niezależnie od znaku zakazu zatrzymywania się i postoju. Podprowadził Marię do drzwi przy siedzeniu obok kierowcy. Puściła go, oparła się o auto w taki sposób, że otwarcie go stało się niemożliwe, po czym stanęła jakby w oczekiwaniu.

– Tu, bliżej! – warknął i pociągnął ją w stronę tylnej części porsche.

– Jaki grzeczny! – zapiała ironicznie.

– Bo skakanie nad tobą to wcale nie jest dla mnie przyjemność, mamo!

– Ale mi wielka robota! Strasznie się przepracujesz!

– Tak, właśnie! To jest właśnie twój problem. Ty w ogóle nie dostrzegasz, ile trzeba się przy tobie narobić! To drobnostka! Nic, w ogóle! Nic, że trzeba cię wszędzie prowadzić za rączkę, pomóc się ubrać, założyć buty, otworzyć coś, podać to, przynieść tamto, pozamiatać tu, podlać tam, zawieźć. Wsiadaj! – Otworzył jej drzwi i wskazał siedzenie.

– A już tam, już tam...

Znowu typowy argument. Po co ty, człowieku, z nią dyskutujesz? Równie dobrze możesz gadać do poręczy – pomyślał ze złością.

Maria odwróciła się tyłem do siedzenia, wypięła pośladki i stanowczo za wolno zaczynała obniżać je w stronę fotela. Patrząc na to, Marek przez jeden krótki moment naprawdę walczył z pokusą, by z całej siły ją popchnąć. W końcu Suchocka niezgrabnie walnęła tyłkiem o fotel i uniosła lewą nogę, ale ledwo udało jej się oprzeć piętę o próg auta.

– Pomóż mi, bo nie dam rady.

Suchy złapał ją za obie kostki i niemal wrzucił je do środka. Siedząc już przodem do maski, Maria chwyciła jeszcze za uchwyt tuż nad drzwiami i z jego pomocą, z miną jakby stanowiło to jedną z najbardziej wyczerpujących rzeczy na świecie, poprawiła swoje usadowienie się w siedzisku.

Marek zamknął za nią drzwi. Wyglądało, że ciężka misja usadzenia jej łaskawego zadania w samochodowym fotelu zakończyła się sukcesem. Wsiadł do porsche z drugiej strony i odpalił je.

– Nie zapomniałeś o czymś? – Maria zwróciła się do niego tonem rodzica życzliwie ubolewającego nad nieumiejętnością myślenia u swojego dziecka. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Zapnij mnie, bo nie mogę dosięgnąć.

Wychylił się nad nią i chwycił pas nad jej prawym ramieniem, nie do końca uważając, czy przypadkiem nie drażni jej twarzy górnym fragmentem tasiemki. Po przypięciu Marii do fotela, odczekał moment w oczekiwaniu, czy jaśnie pani Suchocka nie ma przypadkiem jeszcze jakichś życzeń, lecz ich potok chyba już wysechł i nareszcie mogli wyruszyć.

– Wolniej, bo mi niedobrze.

Marek wziął głęboki oddech i zwolnił.

– Otwórz okno, bo mi gorąco.

– Klimat pracuje.

– Ale ja chcę, żeby był przeciąg, bo mnie mdli!

Nie miał nawet siły z nią dyskutować. Pobił właśnie jakiś rekord świata. Choć zegarek wskazywał zaledwie trzynastą, on czuł się już tak zmęczony, jakby nie spał co najmniej od tygodnia. Dla świętego spokoju otworzył matce okno, tak jak chciała. Oparła głowę o zagłówek, przechyliła ją w stronę przeciągu, zamknęła oczy, znowu uformowała usta w kształt odwróconej litery „U” i pozwoliła ciepłemu, letniemu powietrzu na intensywne atakowanie jej twarzy.

Dojazd ze szpitala pod blok zajął im około piętnastu minut. Po dotarciu na miejsce Marek odpiął matce pas, otworzył drzwi, pomógł wstać i poprowadził ją do wejścia do klatki schodowej. Wszystkie te czynności wykonał zgodnie z rozkazami, które gromko rozbrzmiewały tuż przed każdą z nich.

– Poczekaj. – Żmudna wędrówka na górę trwała całe wieki, a Suchy całkiem porządnie odczuł ją w swoim przedramieniu, którym to ciągnął swoją matkę po schodach niczym worek kartofli. Już na trzecim piętrze puścił Marię

i oparł o poręcz. Głośny trzask otwieranego zamka rozniósł się echem po całej klatce schodowej, więc nie było siły, by za drzwiami nie czekała na nich...

– Kitka! Już idę do ciebie! – zawołała Suchocka.

Jeszcze zanim otworzył drzwi, Marek obniżył do poziomu podłogi torbę z matczynymi rzeczami, chcąc utworzyć z niej dla zwierzęcia barierę nie do przejścia. I słusznie, bowiem kot także i tym razem nabrał przemożnej ochoty na zwiedzanie klatki schodowej, a jego pyszczek ukazał się w szparze w drzwiach niemal natychmiast po ich uchyleniu.

– Zapomnij.

Zapora składająca się z torby i ludzkich nóg zdała egzamin i wkrótce zdołał przegonić Mię do jednego z pokoiów.

– Dobra, wchodź!

Po chwili z klatki schodowej dobiegł odgłos denerwującego, głośnego szurania, które brzmiało tak, jakby jego wytwórcę dzielił zaledwie krok od wyłączenia gębą na ziemi. Maria wreszcie znalazła się w swoim mieszkaniu, puentując to zamknięciem drzwi ani trochę nie grzeszącym delikatnością. Wraz z tym trzaśnięciem, tak jakby stanowiło pewien znak, dotarło do Marka, że tak naprawdę dopiero teraz zakończył proces przetransportowania matki ze szpitala do domu. Proces, który, nie licząc wszystkich niezbędnych do wykonania czynności jeszcze zanim drugi raz tego dnia do niej pojechał, zajął mu jakieś czterdzieści pięć minut. Trzy kwadransy wyjęte z życia, zmarnowane na coś, co normalnie powinno zajmować jeden.

„Ale mi wielka robota! Strasznie się przepracujesz!”.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk przychodzącego SMS-a. Rubik.

Mam te piguły Marek. Gdzie ci to dostarczyć?

Suchy uznał, że najszybciej będzie, jak załatwi tę sprawę osobiście, od ręki, więc odpisał: *Jesteś w domu? Sam po nie przyjadę.*

Tak.

– Muszę na chwilę gdzieś podjechać. Poradzisz sobie póki co? – Stał w drzwiach od sypialni, w której stara Suchocka spędzała pewnie z siedemdziesiąt procent swojego czasu. I zastał tam typowy dla niej obrazek. Leżała na łóżku i oglądała telewizję. Nastawiła głośność odbiornika na chyba najwyższy możliwy poziom, a pseudoaktorzy z kolejnego odcinka *Trudnych Spraw* darli się tak, że aż puchły uszy.

– Poradzę. Chyba nie mam innego wyboru – odparła.

– Wrócę za jakieś pół godziny.

– Poczekaj. Jeszcze przynieś mi coś do picia.

Marek pokonał odległość do jadalni niemal biegiem. Tak jak zawsze, stało tam kilka plastikowych butelek z wodą. Wziął jedną, napełnił szklanekę i zaniósł do pokoju.

– Pamiętaj, żeby wziąć leki na południe! – rzucił, zanim wyszedł, ale nie usłyszał już żadnej odpowiedzi, o ile w ogóle takowa się pojawiła.

Ponieważ nie musiał słuchać „wolniej, bo mi niedobrze”, cała akcja z dostarczeniem Martynie tabletek przebiegła szybko i sprawnie. Nawet nie uprzedzał o swoim przybyciu, tylko bez żadnego skrupowania wkroczył do mieszkania. Po uprzejmym przywitaniu się krótko i zwięźle oznajmił dziewczynie, co jest zobligowana zrobić z przyniesionym przez niego prezentem. Oczywiście nie omieszkał przy tym jeszcze raz przypomnieć, jakie będą konsekwencje nieposłuszeństwa.

Martyna słuchała go tylko i potakiwała. Nic nie mówiła. Wyglądała fatalnie. Od wczoraj nawet nie zmieniła stroju. Miała włosy w strasznym nieładzie, rozmyty całonocnym płaczem makijaż i przeraźliwie opuchnięte oczy. Gdy brała od niego opakowanie, drżała jej dłoń.

– Liczę na raport z efektów naszej tajnej operacji, agentko „M”. – Marek wysilił się na odrobinę czarnego humoru. Tak szybkie załatwienie tej sprawy wyraźnie poprawiło mu nastrój. Jak twierdził Rubik, istniała możliwość, że Martyna pozbędzie się płodu już po kilku pierwszych dawkach. Być może nawet jeszcze dzisiaj.

Nie odpowiedziała, tylko wciąż wpatrywała się w niego, trzymając kartonik w obu przyciśniętych do mostka dłoniach, tak jakby robił za nieodłączny atrybut modlitwy. Marek więc tylko pożegnał się z nią i szybko opuścił Serce Suwałk.

– Jestem! – ponownie wkroczył do mieszkania Marii. Nie odpowiedziała. Zajrzał do jej pokoju. Spała. Był pełen uznania dla jej zdolności, ponieważ telewizor wciąż naparzał jak sto pięćdziesiąt. Po cichu wkroczył do pomieszczenia i za pomocą pilota zgasił odbiornik.

Spojrzał na matkę. Spała na plecach, z wyciągniętymi ku podłodze nogami i otwartymi ustami, z wargami naciągniętymi na protezy. Pochrapywała. Wyglądała tak pociesznie, że Marek aż zachichotał pod nosem. Cała złość przeszła mu wraz z dobrymi wieściami od Rubika, więc zaczął nawet trochę żałować swojego wcześniejszego zachowania wobec rodzicielki. Bądź co bądź, była to Maria Suchocka. Osoba, która wydała na świat tak wspaniałą, wszechstronnie utalentowaną osobę jak on. Musiała więc nosić też w sobie trochę tych dobrych genów.

Postanowił, że posiedzi w jej mieszkaniu i poczeka, aż zmieni go Ulka. Usiadł więc w salonie i, włączwszy drugi w tym domu telewizor, poszukał jakiegoś sportowego kanału.

Po jakiejś godzinie usłyszał wreszcie, jak w korytarzu otwierają się drzwi, po czym rozległo się gromkie:

– Dzień dobry!

Wstał.

– Ciszej. Śpi.

– O! Kogo ja tu widzę! Nie spodziewałam się, że zostaniesz i poczekasz!

Jego odjazdowa młodsza siostrzyczka nabyła zadziwiającej zdolności do sprawiania wrażenia kpiącej sobie ze swojego rozmówcy, nawet jeśli mówiła o pogodzie, ale Marek przyzwyczał się już do tego na tyle, że chyba nie robiło to na nim wrażenia.

Chyba.

– Tak. Zostałem. Masz coś przeciwko? – Spojrzał jej głęboko w oczy i tym samym rozpoczął niezły pojedynek na spojrzenia. To plus cięty język Ulki to były chyba jedyne dziedziny, w jakich miałyby szansę w pojedynku z nim. Jeżeli chodzi o cechy fizyczne, stanowili totalne przeciwieństwa. Choć w młodości ich wspólni znajomi twierdzili, że są do siebie niesamowicie podobni, Marek nigdy nie potrafił tego fenomenu zrozumieć. On wysoki, ona niska. On zaczynał już delikatnie tyć w okolicach mięśnia piwnego i tyłka, ona wciąż pozostawała szczupłą. U niego pojawiał się już stopniowo drugi podbródek, podczas gdy jej szyja niezmiennie była tak cienka jak Adam na boisku piłkarskim. No i najważniejsza różnica, włosy. U niego kruczoczarne, zmierzwiłone, z pojawiającymi się już zakolami nad czołem, u niej natomiast w kolorze tak jasnego blondu, że niemal białe. Krótkie, z postawioną na baczność fryzurą na chłopczycę.

I oni naprawdę byli rodzeństwem? To niemożliwe. Ktoś musiał kogoś pod-

mienić przy porodzie.

- Ja również się cieszę, że cię widzę, bracie – odparła z przekąsem.
- Sama zaczęłaś, kochanieńka.
- Nie, ja tylko kontynuuję to, co ty zaczęłaś wieki temu, mój skarbenku.
- Nie wiem, o czym mówisz, misiaczku.
- Nie udawaj głuptasa, puciulku.
- Puciulku? Co to w ogóle miał być za pojazd?
- Wygrałam!
- Co niby?
- Jako pierwszy się wyłamałeś!

– Dobra, skończ już pieprzyć i siadaj. Mam z tobą do pogadania.
– Tak myślałam. Może chodźmy do jadalni? Nawet nie weszłam do domu, jak odwoziłam rodzinę, tylko od razu przyjechałam tutaj. Zrobię sobie jakąś herbatę.

Jak zaproponowała, tak zrobili. Po napełnieniu kubka Uli usiedli naprzeciw siebie przy stole. Marek ledwo się powstrzymał, by się nie uśmiechnąć, gdy zauważył, że siostra położyła łokieć w dokładnie tym samym miejscu, w którym Mia całkiem niedawno oznaczyła teren. Spoważniał jednak, gdy przypomniał sobie, o czym mają rozmawiać. Tym bardziej, że Ula chyba domyśliła się tego i sama zaczęła:

- Jak tam weekend z mamą?
- Gorszy niż wakacje z duchami.

– A widzisz! To teraz pomyśl sobie, że ja mam tak z nią codziennie. Dzień w dzień.

– Nikt ci nie każe tak nad nią skakać. Wydaje mi się, że strasznie ją rozpieściłaś i to właśnie dlatego zachowuje się teraz jak rozkapryszone dziecko. We wszystkim jej trzeba pomagać, choć przy odrobinie dobrej woli dałaby sobie radę sama. Jestem tego pewien.

- Mama nam się brzydko starzeje, nie ma co ukrywać.

– Nie. To twoja wina. Na moje oko za bardzo jej ulegasz i jesteś na każde zawołanie. Przyzwyczała się do wygodnictwa i tego, że wszyscy robią rzeczy za nią. Wmawia sobie, że nie jest w stanie wykonać pewnych czynności, podczas gdy to nieprawda! Dalsze pomaganie jej w ten sposób stworzy tylko błędne koło i będzie coraz gorzej.

– Marek – Ula wciąż aż tchnęła spokojem – wszystko zależy od punktu widzenia. Mamie już niewiele pozostało i...

– I co, na wszelki wypadek spędzasz z nią każdą wolną chwilę, bo zaraz może zejść z tego świata? – zapytał kpiąco.

– Poniekąd. Ale przede wszystkim chodzi tu o coś zupełnie innego.

– O co niby?

– Trzeba jej pilnować, żeby nie robiła głupot.

– Przecież to jest dorosły człowiek.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Trzeba być przy niej, nawet jak bierze leki, bo nawet przy tym potrafi się pomylić.

– Jak pomylić? Przecież ma te plastikowe kubeczki z wyraźnymi napisami, o której porze dnia ma brać.

– Ano widzisz. I okazuje się, że to za mało.

– Bo co?

– Codziennie wieczorem albo ja, albo pani Halinka rozkładamy jej do każdego z kubeczków leki na następny dzień. Któregoś razu, jak brała te na noc, zobaczyła, że kubeczki na rano, południe i wieczór są pełne i pomyślała, że po prostu zapomniała je wcześniej opróżnić. Rozumiesz? Zapomniała, że już tego dnia brała leki!

– I co? – zapytał Marek, a na plecach coraz wyraźniej czuł zimne palce.

– I wzięła wszystkie cztery porcje naraz! Na szczęście niedługo po tym przyjechałam, żeby u niej nocować. Od razu zobaczyłam, że coś jest nie tak. Dziwnie się zachowywała. Dziwnie do mnie mówiła. Jakby rozmawiała ze mną przez sen.

Marek nie odpowiedział i na moment zapadła między nimi cisza.

– I ty mi mówisz, żebym zostawiała ją samą? – zapytała w końcu Ula. – Nie ma mowy. To jak dać dziecku zapalki. Wystarczy, że za każdym razem, jak tylko kogoś przy niej nie ma, mam psychozę, czy właśnie wtedy sobie czegoś nie zrobi. Na szczęście od czasu do czasu udaje mi się namówić dzieciaki na nocleg tutaj. Nawet pozwalam im za to korzystać z dobrodziejstw tego domu i oglądać do późna głupie kreskówki. Byleby jak najdłużej mieli ją na oku. Coś za coś. Są już wystarczająco duzi, żeby zareagować, jak coś nie gra. Najgorsze, że czasem nawet oni mają jej dość. To co ja mam powiedzieć, jak spędzam u niej każdą wolną chwilę?

– A pani Halinka?

– Ona i tak wiele robi. Też czasem tu do niej zagląda, by chociaż trochę dostrzymać jej towarzystwa. Robi jej zakupy, czasem przygotowuje do snu. Bardzo mi pomaga. Gdyby nie ona i dzieciaki, to pewnie już dawno bym ocipiała. –

Spojrzała znacząco na Marka. Ten jednak nie dał się sprowokować i przeszedł do sedna.

– Jej jest potrzebna po prostu porządna opiekunka, Ulka.

– Już próbowałam z jedną.

– I co? Co znowu poszło nie tak?

– Uczuliłam ją, by uważała na wszelkie dziwactwa i miała oczy szeroko otwarte. Żeby nie wpuszczała żadnych akwizytorów i tak dalej. To skończyło się tak, że czegokolwiek mama się nie dotknęła, to ona natychmiast do niej doskakiwała i powstrzymywała ją przed zrobieniem najprostszej czynności. Obojętnie jakiej. A finał tej akcji przebił wszystko. W pewnym momencie mama po prostu wybiegła na klatkę schodową i zaczęła wrzeszczeć do sąsiadów: „Zabierzcie ją ode mnie!”.

Po wizualizacji tej sytuacji w swojej wyobraźni, Marek uśmiechnął się. Na pewno było zabawnie.

– Skąd wzięłaś tę babkę?

– To jakaś znajoma znajomej. Bezrobotna. Nieprofesjonalna. Na inną mnie nie stać.

– To załatw jakąś porządną, która zajmuje się tym zawodowo. Ja ją opłacę.

– Ty? – Ula wyprostowała się z dziwnym spojrzeniem.

– No ja, ja. Co w tym dziwnego?

– Będziesz prał brudne pieniądze na swojej matce? Wstydu nie masz?

Marek tylko na to czekał. Normalnie tylko czekał, aż zaczną się wyrzuty z powodu jego profesji. Wyrzuty, które prędzej czy później pojawiały się przy każdej dłuższej rozmowie pomiędzy nim a siostrą. Niezależnie od jakiego tematu zaczynali: czy to od polityki, czy to od planów wakacyjnych, czy to od mistrzostw świata w bierkach podwodnych. Już obawiał się, że tradycji nie stanie się zadość.

– Urszulo, puciulku, powtarzałem ci już z milion razy, ale najwidoczniej to jeszcze do ciebie nie dotarło, więc powtórzę po raz milion pierwszy – oznajmił spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. – Moje życie zawodowe nie powinno cię ani trochę obchodzić. Tak będzie lepiej dla ciebie.

– Zawsze będzie mnie obchodzić, Marek. Bo choć, wybacz bezpośredniość, za bardzo za tobą nie przepadam, jesteś moim bratem.

– Dobra, skończ już, naprawdę! Ta dyskusja jest bez sensu! – Wstał i zaczął chodzić wzdłuż stołu w tę i z powrotem. – O tym też już gadaliśmy milion razy. Jestem dorosłym człowiekiem. Świadomym. W pełni zdaję sobie sprawę

z tego, jaką drogę życia wybrałem. Sam wiem, co jest dla mnie najlepsze. Kocham swoje obecne położenie. Możesz to zaakceptować lub nie. Trudno.

– Nigdy tego nie zaakceptuję, możesz być tego pewien.

– Chryste! – Celowo użył tego słowa, by jeszcze bardziej wyprowadzić swoją siostrę, zadeklarowaną katoliczkę, z równowagi. – Czy ja cię z czegokolwiek rozliczam? Czy ja cię oceniam? Nie. Zauważ, że w przeciwieństwie do ciebie nigdy tego nie robiłem. To ty przypieprzałaś się do mnie przez całe życie. Cokolwiek robiłem, tobie zawsze się coś nie podobało. Twoje życie mnie nie obchodzi. Ty żyjesz na swój sposób, ja na swój. Nie wcinam się w twoje sprawy. Nie umrzesz za mnie, więc nie mów mi, jak mam żyć.

– Człowieku, ale ty zwróć uwagę, jak na przestrzeni lat diametralnie przestawił ci się system wartości i tolerancja na zło. To jest aż przerażające. Coś, co dla zwykłego człowieka jest patologią, dla ciebie jest normą. To chore.

– Nie wiem, o czym mi tu chrzaniś teraz.

– Doskonale wiesz. Obracasz się w środowisku przemocy, kłamstwa, terroru i braku poszanowania dla cudzej własności. Mało tego, otaczają cię ludzie, którzy również uważają to za coś normalnego. I tak jestem szczerze zdziwiona, że im ufasz. Skoro kłamią, kradną i oszukują przez cały czas, to czemu niby nie mieliby tego robić także tobie? Tacy ludzie nie przestawiają się nagle z jednej ideologii na drugą. To niemożliwe.

– Jesteśmy zespołem, który dobrze funkcjonuje. Współpracujemy w słusznej sprawie. Mamy ten sam cel.

– Wyłumacz mi, co to za słuszna sprawa, bo od lat nie potrafię tego zrozumieć.

– To oczywiste. Władza, pieniądze i szacunek.

– Raczej nie szacunek, a strach.

– Być może. Nazywaj to jak chcesz, ale skutek tego jest dokładnie taki sam. Kręci mnie to. I zapewnia godziwe życie.

– A gdzie miejsce na takie wartości jak rodzina, dobro, Bóg?

– Moja rodzina jest dla mnie najważniejsza.

– Twoja. No właśnie... I tu jest pies pogrzebany.

– Wyrażaj się jaśniej z łaski swojej, a nie półsłówkami. Denerwuje mnie to.

– Wiesz, z czego bierze się zło, Marek?

– Nie mam pojęcia.

– Z egoizmu. Takiego jak twój.

– Mój? Że niby tylko ja jestem egoistą? Każdy nim jest, Ulka.

– Czyli według ciebie nie istnieje coś takiego jak bezinteresowna empatia?
– W moim słowniku nie ma takiego wyrażenia.
– Właśnie wiem. Inaczej docierałoby do ciebie, co czują na przykład dzieci, których ojców okradasz i zastraszasz.

– Sram na to.

– Albo co poczułaby twoja żona, gdyby dowiedziała się, że ją zdradzasz.

Marek zatrzymał się.

– Nie zdradzam Kaśki – mruknął po chwili. Odrobinę za późno. I stanowczo za cicho.

– Kogo ty chcesz oszukać, bracie? Widzisz? O tym właśnie mówię! Nawet mnie teraz okłamujesz. Wpadłeś w spiralę, z której nie ma już odwrotu. To dla ciebie normalność. Pryszcz. Jeszcze jedno kłamstwo w tę czy we w tę.

– Nie zdradzam Kaśki – powtórzył.

– Tak? A ta twoja śliczniutka barmanka to zaszła z tobą w ciążę, bo buszowała w waszym śmietniku, znalazła twoją zużytą prezerwatywę i z nudów wsadziła ją sobie w cipę? – Ula teoretycznie nadal mówiła to ze stuprocentowym spokojem, niemniej ani trochę nie pasowało to do jej powiększających się rumieńców, zaciskających się pięści, nabrzmiewających tętnic i coraz bardziej wilgotnych oczu.

Marek stał jak sparaliżowany. Zaskoczyła go. Owszem, wiele osób na pewno podejrzewało, że między nim i Martyną coś się święci, ale w życiu nie pomyślałby, że informacja ta dotarła także do jego siostry, która generalnie trzymała się od niego i jego środowiska najdalej jak tylko się da. A już zwłaszcza fakt ciąży, o której oficjalnie wiedziało tylko dwie i pół osoby. Ojciec i matka dziecka oraz Rubik, który pewnie coś tam podejrzewał, ale niekoniecznie musiał w tej swojej blondwłosej głowie cokolwiek na ten temat rozstrzygać. Żadne z nich nie znało osobiście pani Giedrojć. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Skąd więc?

– Skąd?

– Wiesz co, Marek? Masz rację. Kończę. Nie będę cię z niczego rozliczać. To twój świat i twoje zabawki. Twoje życie i twoja odpowiedzialność za nie. Powiem ci jedno. Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Wierz mi, nie ma lepszego sposobu na uświadomienie sobie, czym jest zło, niż doświadczenie go na własnej skórze. Tak jak mówi się, że wszystko dobre, co uczyniłeś, wraca do ciebie, tak samo dzieje się ze złym. Całe zło, które wyrządziłeś w swoim życiu, w końcu zostanie ci zwrócone.

Z nawiązką. Bo zło zawsze wraca ze zdwojoną siłą. I w przeciwieństwie do dobra boli. Bardzo.

– Uuu. – Uniósł ręce Marek – Czy to klątwa? Brzmi groźnie.

– Bo tak ma brzmieć.

– Wciąż nie działa, siostra. Musisz się bardziej postarać.

– Właśnie doszłam do wniosku, że żadne moje argumenty na ciebie nie działają.

– Lepiej późno niż wcale.

Obydwoje przerwali, gdy zwrócili uwagę, że w drzwiach od jadalni stoi Maria. Nawet nie zauważyli, kiedy się tam pojawiła, a tkwiła tam chyba od jakiegoś czasu.

– Cześć, mamó. – Ula starała się wrócić do swojego normalnego tonu i ukradkiem wytarła oczy.

Suchocka nie odpowiedziała. Stała nieruchomo i wpatrywała się przed siebie. Wyglądała złowieszczo. Odrobinę pochylona, ze spuszczonej bezwładnie rękami, nieprzytomnym wzrokiem, jednym okiem zmrużonym i śliną ciekącą z kącika uchylonych ust.

– Mamó? Wszystko w porządku? – zapytała Ula.

– Gdzie jest mój sweter? – zapytała Maria dziwnym, powolnym głosem.

– Jaki sweter?

– Niebieski. Na drutach go zrobiłam i zawiesiłam na krześle przy łóżku.

– Nic na ten temat nie wiem.

– Cholera, Ulka, myślisz, że ja nie widzę, jak wyrzucasz moje rzeczy na śmietnik i nic mi nie mówisz?!

– Nie brałam żadnego swetra, przysięgam!

– A idźcie wy wszyscy w cholerę! – zawołała Suchocka i, szurając stopami o podłogę, wróciła do swojego pokoju.

– O, widzisz. – Ula zwróciła się do Marka ściszym głosem. – To też jej ciekawa cecha. Zapomina, kiedy ostatni raz wzięła leki, ale że gdzieś w domu leżał jakiś nikomu niepotrzebny śmieć, to pamięta. Nie ogarniesz tego umysłem.

– Zdania nie zmieniam. Trzeba jej wynająć profesjonalną opiekunkę.

– A co, jak się jej z jakiegoś powodu nie spodoba? Choćby i nam na złość? Myślę, że byłaby do tego zdolna. Co wtedy?

– Będziemy szukać do skutku.

– Poza tym myślisz, że opiekunka będzie chciała jechać z nią na działkę?

– Ta cholerna działka to też nie wiadomo po co. Wypieprzyłbym ją w diabły.

– Też nie lubię tam jeździć, jednak tu właśnie chodzi o tę empatię, wczucie się w stan drugiej osoby. Nie ma co zastanawiać się nad logiką. To jej konik. Obsesja. Potrzebuje tego. W sumie lepsze to, niż jakby miała dzień w dzień siedzieć na tyłku przed telewizorem i myśleć o swojej chorobie. Tak przynajmniej się rusza. Niedługo od nas odejdzie. Dla mnie to wszystko składa się w „jechać tam z nią i jej pomagać”. Czasem dla świętego spokoju trzeba ulegać.

Marka uderzyła nagle dziwna pewność. Ona nie umrze tak szybko. Będzie starzeć się w nieskończoność, a co za tym idzie, będzie coraz bardziej nieznośna. Będzie dokręcać im śrubę coraz głębiej, tak długo, aż w końcu sami popadną w szaleństwo.

– Znowu dochodzimy to tego samego. Za bardzo jej ulegasz! Może trochę by pomarudziła, ale, koniec końców, pogodziłaby się z tym, że ta działka jest nikomu niepotrzebna? Użyj mózgu!

– A może wpadłaby w taką rozpacz, że spowodowałoby to jej przedwczesną śmierć?

I dobrze!

Wtem Marek zreflektował się. Naprawdę pomyślał coś takiego o własnej, rodzonej matce? Zagryzł wargę i oparł ręce na biodrach. Wyłączył się na jakiś czas, więc Ula w końcu wstała od stołu i powiedziała:

– Idę zobaczyć, co u niej.

Wyszła z pokoju.

Marek chodził po jadalni i myślał. Próbował ułożyć sobie plan działania, lecz nie przychodziło mu do głowy nic sensownego.

Empatia...

Śmiechu warte.

– Marek! – po mieszkaniu rozniósł się głośny krzyk Uli, który wyrwał go z zamyślenia.

– Co jest?

– Pozwól tu na moment.

Powłóczył za jej głosem. Siedziała w sypialni Marii. Staruszka ponownie leżała z zamkniętymi oczami na łóżku, ze spuszczonej ku ziemi nogami, w pozycji jakby ledwo usiadła i od razu zasnęła.

Albo umarła.

- Co się dzieje?
- Byłeś przy niej, jak brała leki?
- Nie – odrzekł i od razu przypomniał sobie, dlaczego podczas ich niedawnej rozmowy na ten temat czuł niepokój.
- Właśnie o tym mówiłam, cholera!
- Co się dzieje?
- Znowu wzięła dwa kubeczki naraz!
- Przepraszam – wypowiedział słowo, którego już dawno w swoim życiu nie używał. I to szczerze. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że wycina takie numery.
- Mamo! Słyszysz mnie? – Ula potrząsnęła staruszką. Maria uniosła powieki, a Marek poczuł przyjemne ukłucie ulgi. Utkwił wzrok w siostrze, a konkretnie jej oczach pełnych nieopisanej, szczerzej troski. Musiał to przyznać, podziwiał ją za cierpliwość.
- Ulka?
- Słucham.
- Muszę już jechać. Zaraz przyjeżdża Kaśka pociągiem z Warszawy i muszę ją odebrać.
- W porządku.
- Obrócił się na pięcie. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się.
- I jeszcze...
- Tak?
- Dobra, postaram się trochę ci pomóc. Postaram się spędzić z mamą trochę więcej czasu.
- Uśmiechnęła się słabo.
- Dzięki, brat.
- Spoko, siostra.

WYPADEK

– Nie, Marek.

– Już tak szybko to przemyślałaś?

– Nie muszę o tym myśleć ani sekundy. Nie zamierzam spędzać czasu z twoją matką. Nie lubię jej, to stara zrzęda. Wiecznie narzeka i jedyne, o czym można z nią porozmawiać, to czy tym razem boli ją noga czy ręka. Nie smakuje mi jej kuchnia. Na jej działkę pojechałam raz w życiu i było to jedno z najbardziej traumatycznych wydarzeń, jakie mi się przytrafiły. Nie chcę do tego wracać. Chcę o tym zapomnieć.

Marek i Kasia jechali właśnie samochodem do domu.

– Ulka wyniszcza się psychicznie. Szkoda mi jej trochę.

– A od kiedy aż tak przejmujesz się swoją siostrzyczką? Zawsze mówiłeś o niej nie do końca pochlebnie. I ja się z tobą zgadzałam, bo to dziwna kobieta.

– Bądź co bądź siostra. Wciąż. – Marek starał się mówić w miarę spokojnie, mimo że przeczuwał, jak się ta rozmowa zakończy. Należało przygotować gardło na wrzaski albo przezornie wiać.

– Co z tego, że siostra? To wariatka. Przesadnie wierząca katoliczka, ma piątkę dzieci, które dziwnie wychowuje...

– Dziwnie?

– No, na przykład w ich domu w ogóle nie ma telewizora. Nie uważasz, że to dziwne?

– Dobra, nie o tym teraz rozmawiamy.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że ilość ich dzieci jest miarą tego, ile razy ona i jej mąż uprawiali seks. Sam tak kiedyś mówiłeś.

– Kaśka!

– W końcu według Kościoła jakakolwiek forma antykoncepcji jest czymś złym.

– Kaśka, nie o tym teraz rozmawiamy! Zejdź z niej.

– Nie poznaję cię normalnie! Coś się nagle taki potulny zrobił? Nie zachowuj się tak lepiej przy swoich chłopakach, bo jeszcze uznają, że jesteś miękki.

– Dość! – zagrzmiał.

– Zdania nie zmienię. Na mnie nie licz. Nie chcę się z nią zadawać. Ani z nią, ani z twoją matką. Chore osobowości powinny obcować wyłącznie z chorymi osobowościami. Tylko z takimi się dogadają. Ja do nich nie należę.

– To się, kurwa, nie zadawaj – warknął Marek. Akurat dotarli pod dom.

– No, tak lepiej. Takiego właśnie cię poznałam i pokochałam. Twardego, umiającego postawić na swoim faceta, a nie miękką faję. – Otworzyła drzwi, wysiadła i spojrzała na niego. – A ty co? Nie wsiadasz?

– Nie. Twardy, umiający postawić na swoim facet i bynajmniej nie miękka faja, jak na niemiękką faję przystało, stawia na swoim i jedzie do swojej matki. Bez względu na to, co powie żoźła, która jest jego żoną.

Kasia spojrzała na niego z niedowierzaniem i otwartymi ustami. Chyba jeszcze nigdy nie zwrócił się do niej w taki sposób.

– Poza tym nie chce mi się słuchać twojego miauczenia, kiedy już odkryjesz, że Kiwi leży w łóżku z silnym przeziębieniem. Byliśmy wczoraj nad jeziorem i za długo siedziała w wodzie. Jest rozpalona i boli ją gardło. Czuje się tak źle, że ma nawet jakieś halucynacje ze stojącym przy jej łóżku czarnym widmem włącznie. Tu masz dla niej tabletki. – Ostentacyjnie rzucił żonie pod nogi niedawno kupione opakowania z lekami, po czym wychylił się w jej stronę i zamknął za nią drzwi z wciąż otwartym oknem.

– Zamontowano też u nas dzisiaj monitoring, bo ostatniej nocy ktoś znowu zaatakował nasz dom i między innymi zabazgrał go sprayem. Zapoznaj się, z łaski swojej, z instrukcją obsługi, a potem mnie przeszkolisz. Buziaczki! Miłego popołudnia! – zapiał złośliwie i, nie czekając na odpowiedź Kasi, ruszył ulicą z piskiem opon.

Marek ziewnął. Kolejna huśtawka nastrojów, której tego dnia doświadczał, na nowo wyczerpywała jego kondycję psychiczną. Bardzo potrzebował się teraz przespać i obiecał sobie, że zrobi to w mieszkaniu matki.

Gdy do niego wszedł, zastał tam jeszcze jedną starszą kobietę. Choć dotychczas obcował z nią niewiele razy, rozpoznał ją. Siedziała w sypialni Marii i wspólnie z Ulą oglądały telewizję. Starej Suchockiej zaś nigdzie nie dostrzegł.

– Dzień dobry! Ach matko i córko! Nie poznałabym! Kopę lat! – zawołała dziarsko pani Halinka.

– Dzień dobry. Rzeczywiście. Trochę się zeszło. Aż tak bardzo się zmieniłem? – odpowiedział. Ula spojrzała na niego i uśmiechnęła się ciepło. Chyba miło zaskoczył ją swoją obecnością.

– I to jak! Jak młody Wałęsa teraz.

– Wałęsa? – zaśmiał się. – Skąd takie skojarzenie? Przecież nie noszę wąsów.

– Nie o wąsach mówię, a o pucach na buźce. – Pani Halinka poklepała się obydwiema dłońmi po policzkach. – Powodzi się chyba, co? Lubi sobie pojeść?

Markowi nieźle zrzędała mina. Ula zaniósła się głośnym śmiechem.

– Jak lubi to dobrze, bo akurat wpadł idealnie na rodzinny obiad! – dodała pewnym siebie tonem staruszka.

– Rodzinny z udziałem przyjaciół rodziny, jak rozumiem? – Uśmiechnął się Marek. Z jakiegoś powodu życiowa energia i cięty język tej kobiety robiły na nim pozytywne wrażenie. Znacznie bardziej preferował to, niż wieczne pieszczczenie się ze sobą i zrzędenie.

– Nie, wpadłam tylko na moment, żeby zobaczyć, czy z Marysią wszystko w porządku. Idę już i nie przeszkadzam! – Kobieta podniosła się z krzesła.

– Pani Halinko, niech pani zostanie! Będzie nam bardzo miło – powstrzymała ją Ula.

– Nie mogę. I do mnie przychodzi dzisiaj rodzinka. Między innymi wnuczka, którą chcę kiedyś wyswatać z twoim Mateuszkiem – odparła stanowczo, chwyciła torebkę i żwawym krokiem skierowała się do wyjścia. – Ale nie martw się, jeszcze będzie okazja. – Nałożyła buty. – No to, jak to mówi moja wnuczka, nara! – Pomachała im i wyszła.

Ula wybuchnęła śmiechem po raz kolejny.

– Fajna babka. Strasznie ją lubię. I chyba poważnie mówi z tym Matim. Nazywa go już wręcz „swoim wnuczkiem kochanym”.

– Co za różnica w porównaniu do... wiesz kogo. À propos, gdzie ona jest?

– W kuchni. Robi obiad.

– Robi obiad? – Uśmiech błyskawicznie spełził z twarzy Marka. – Czy to aby na pewno dobry pomysł?

– Już nie naciskałam. Jak chce, to niech robi. Potrzebuje czuć się potrzebna.

– No niby tak, ale... – Westchnął. Przynajmniej w jednej rzeczy zaskakująco zgadzał się z Kaśką. On także nie miał uznania dla talentu kulinarnego Marii,

który im więcej lat mijało, tym bardziej stawał się czymś w rodzaju mitu. Czyli „dawno, dawno temu” i „może tak było, ale bez pewności”.

Jakby w odpowiedzi, z głębi mieszkania dobiegło ich ostre:

– Ulka, Marek, do stołu! Obiad!

– Powrót do przeszłości, bracie. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz jedliśmy coś we wspólnym gronie. – Siostra zaprosiła go gestem.

– Zanieś garnek – wydała rozkaz Maria. Jej syn chwycił go obydwoma rękami za uchwyty i zajrzał do środka. Krupnik. Czyli nie tak źle. Akurat tę zupę umiała jeszcze robić w miarę sensownie. Gdy zdał sobie sprawę z rozmiarów naczynia, poczuł jednak kolejne ukłucie irytacji. Mamcia tradycyjnie zrobiła porcję jak dla połowy amerykańskiej armii.

– Po co tak dużo? Przecież jest nas tylko trójka.

– A Sławek i dzieci?

– Mamo – westchnęła Ula – Sławka i dzieciaków nie będzie. Mówiłam ci przecież!

– Mówiłaś, że będą!

– Nie mówiłam! Mówiłam właśnie, że nie przyjdą, że wolą iść na pizzę. Znowu wszystko pomieszałaś.

– A już tam! – warknęła Maria. – Trudno. Będzie na jutro. Albo kotce dam.

– Mamo! Nie możesz jej dawać takiego jedzenia! Nie możesz! Już o tym rozmawialiśmy! Potem będzie rzygać.

Albo srać po stołach – pomyślał Marek.

– Tyle się tobie tłumaczy, a ty nic! Grochem o ścianę! Jak do słupa! Zawsze wiesz lepiej!

– Dobra, nie gadaj tyle już. Do stołu!

Zgodnie uznali, że dalsza dyskusja nie ma sensu, więc Marek postawił garnek na podstawce i usiedli. Maria naturalnie potrzebowała pomocy Uli, która dosunęła jej krzesło. Suchy zaś rozlał wszystkim po talerzu zupy.

– Ja dziękuję. Nie jestem głodna – wypaliła znienacka Suchocka.

– Słucham?

– Już się najadłam.

– Kiedy?

– W szpitalu. Dali mi duże śniadanie.

– Przecież minęło od niego już dobrych kilka godzin!

– I co z tego?!

– To tym bardziej: po co zrobiłaś tak dużo tej zupy? Po co? Wy tłumacz mi.

Jaka logika tobą kierowała? Podaj mi choć jeden argument.

– Dobra, Marek, już przestań – przerwała mu zmęczonym głosem Ula. – Jak nie chce, to nie chce.

– No, ale mówi się do niej milion razy, powtarza się jak katarynka, że to marnowanie pieniędzy i nic nie dociera! Nic! Zero! Niereformowalna! Może ty zapisz to sobie na jakiejś samoprzylepnej karteczce i przyklej nad kuchenką?

Maria siedziała odrobinę skulona i patrzyła na niego beznamiętnie, bez słowa, spode łba. Niczym uczeń siedzący w kozie, który słucha reprimendy nauczyciela. Po chwili wreszcie się odezwała:

– Moja rzecz! Może miałam taki kaprys.

Niech ktoś mnie zastrzeli, błagam – Marek miał już dosyć.

– Dobra, twoja emerytura, twoje pieniądze, rób sobie z nimi co chcesz. – Machnął ręką. Usiadł i zabrał się za zupę. No cóż. Jak by to powiedzieć? Pamiętał czasy, w których Suchocka ewidentnie była w lepszej kulinarnej formie.

– Macie odkurzacz samochodowy? – Maria zapytała nagle. Marek i Ula spojrzeli na siebie znacząco.

– A po co ci odkurzacz samochodowy, jeżeli można wiedzieć?

– Mi niepotrzebny, ale może wam się przyda.

– Kupiłaś odkurzacz samochodowy?!

– Nic nie kupiłam! Nie krzycz! I nie wydám na to ani grosza. Dostanę za darmo.

– Za darmo, ta? Za darmo to nie można nawet dostać w...

– Trzeba mnie tylko zawieźć do jednego hotelu – przerwała mu. – Dzwonili do mnie, że jest takie spotkanie i każdemu, kto przyjdzie, dają za darmo odkurzacz samochodowy, więc może...

– Zapomnij. Znowu chcą ci wcisnąć jakieś gówno, a ty to łykasz jak młody pelikan – warknął Marek.

Temat został więc brutalnie ucięty i przy stole na jakiś czas zapadła niezręczna cisza. Wtedy, choć nikogo za bardzo to nie interesowało, Maria zaczęła opowiadać o jakiejś nawiedzanej sąsiadce-dewotce ze swojej działki. Pokusa, by dogryźć przy tej okazji Ulce, była bardzo silna. Ostatecznie Marek wspaniałomyślnie nie odezwał się ani słowem.

Już miał pakować do ust kolejną łyżkę krupniku, gdy to zobaczył.

– Normalnie zaraz jasny szlag mnie trafi! – wrzasnął, rzucił łyżkę do talerza i wstał. Zarówno Maria jak i Ula spojrzały na niego ze zdziwieniem. – Obrzydliwość!

– Uspokój się! O co chodzi?!

– O to! O to mi chodzi! – Ponownie wziął do ręki sztuciec i wskazał palcem larwę mola spożywczego, która rozkosznie zażywała gorącej kąpieli w zupie. Po tym spojrział z powrotem do talerza i z każdą sekundą dostrzegał ich coraz więcej.

– To już się w pale nie mieści! Ty w ogóle spojrziałaś do tej kaszy?!

Ula również zaczęła badać łyżką swoją zupę i wkrótce też znalazła w niej kilka robali. Bez słowa odłożyła sztuciec. Oparła tylko głowę o rękę, zakryła sobie usta dłonią i gapiła się na obrus, choć niewątpliwie nie myślała teraz ani o nim, ani o kunszcie hafciarskim jego wytwórcy.

– Jak już nie jesteś w stanie porządnie gotować, to się za to nie zabieraj! Wszyscy na tym dobrze wyjdziemy! – Marek wyszedł z jadalni i spuścił zawartość swojego talerza w ubikacji.

– Marek... – zaczęła Ula.

– Nie będę tego jeść! Koniec dyskusji! – przerwał jej, po czym, jakby nigdy nic, poszedł do dużego pokoju i ponownie odpalił sobie kanał sportowy. Nie skupiał się jednak na tym, co widział na ekranie. Ani trochę. Gdy usłyszał za sobą kroki, nawet nie spojrział. Jego siostra prowadziła Marię z powrotem do łóżka. Czyli wyglądało, że odnośnie rodzinnego obiadu podjęła tę samą decyzję co on. Czyli jedyną słuszną.

– Szybko wyłysiejesz, bracie. Stresująca praca, stres w domu, stres w życiu osobistym, dam głowę, że na boisku też się tak drzesz – usłyszał głos Uli.

– Przymkniesz się wreszcie?

– To zachowuj się normalnie.

– Zachowałem się normalnie. Normalnie w zupach nie ma robali, więc normalnie ludzie ich nie jedzą. Normalnie takie coś budzi w ludziach obrzydzenie. Normalnie, jak ktoś jest tak niedołączny jak ona, to powinien to wreszcie zauważyć i przyjąć ten fakt do wiadomości. Normalnie człowiek niedołączny nie wykonuje na siłę czynności, które go przerastają! – krzyczał Marek, nic sobie robiąc z faktu, że w każdym zakamarku mieszkania słyszano go doskonale. W tamtej sypialni również.

– Rozpłakała się przez ciebie.

– Trudno.

– Uważasz, że twoja reakcja była adekwatna do sytuacji?

– Dokładnie tak uważam. Masz jeszcze coś do dodania?

– Zastanów się trochę.

– Czyli nie masz. W takim razie opuść z łaski swojej ten pokój. Nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

– Ale...

– Ulka, dobrze ci radzę.

Westchnęła i zgodnie z jego poleceniem wyszła z salonu.

Marek jeszcze przez jakiś czas wpatrywał się tępo w telewizor i myślał. Kalkulował, rozważał wszystkie za i przeciw. Wreszcie podjął decyzję, wstał i po krótkich poszukiwaniach odnalazł swoją siostrę w pokoju, który zajmowała w dzieciństwie. Czytała książkę.

– Jedź do domu.

Uniosła głowę ze zdziwieniem, jakby go nie dosłyszała.

– Jedź do domu – powtórzył. – Będę u niej nocować.

Ku jego zdziwieniu rozszerzyła oczy, ale nie w konsternacji jego deklaracją, a w... strachu?

– Jesteś pewien? – odezwała się w końcu. Miała bardzo dziwny głos. W międzyczasie usłyszeli, jak dzwoni telefon stacjonarny Marii, ale zignorowali to, gdyż dała radę go odebrać. Stał na małym stoliku, tuż obok jej łóżka.

– Jestem. Zostaję na noc. Rozłóż jej tylko leki, bo ja się na tym nie znam, i wracaj do rodzinki. Odpocznij sobie. W końcu oficjalnie powinnaś być na urlopie, na plaży.

– Ale...

– Spokojnie, poradzę sobie. I obiecuję, że nie będę się na nią darł. Zadowolona?

Ula zagryzła wargę.

– Marek. To nie jest dobry pomysł, uwierz mi.

– Poradzę sobie – powtórzył. – Położę ją do spania, zrobię kolację, nawet podleję te cholerne kwiatki i dam kotu jeść. To nic trudnego.

– Nie o to mi chodzi – przerwała mu, po czym zrobiła taką minę, jakby właśnie przyłapano ją na czymś zakazanym.

– To o co? Będę cierpliwy, obiecuję.

Patrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała mu przekazać jakiś sygnał. Wyglądało to bardzo dziwnie. Jakby usilnie pragnęła mu coś powiedzieć, ale nie mogła, jakby jej tego zabroniono. On jednak nie zastanawiał się nad tym. Miał do wyboru albo opiekę nad matką, albo kolejną noc u Martyny, której nie chciał za bardzo widzieć (i pewnie *vice versa*), albo noc przy zrzędzącej Kaśce i, co

gorsza, jęczącej od choroby Iwonce. Przypominało to wybór pomiędzy dżumą, AIDS i cholera. Wybrał dżumę. Postanowione.

– Zostaję – oświadczył stanowczym tonem.

– No dobra. – Ula, z wciąż malującym się na jej twarzy poważnym zaniepokojeniem, wstała, podeszła do regału i wyjęła ukryty pod książkami pojemniczek z rozłożonymi na cały tydzień lekami. Następnie zaczęła rozsypywać je kolejno do plastikowych kubeczków. Każdy z nich miał naklejkę z odpowiednim napisem: RANO, POŁUDNIE, WIECZÓR i NOC.

– O której mam jej dać ten nocny?

– Jak się obudzisz w środku nocy, obojętnie o której. Nawet jak będzie spała. Po prostu wtedy ją też obudź.

– No to chyba wsio. Wiem już wszystko.

Ula bez słowa spakowała książkę do torebki, minęła go, unikając jego wzroku, i poszła jeszcze do pokoju, aby pożegnać się z Marią, która dosłownie chwilę wcześniej zakończyła swoją rozmowę telefoniczną. W tym czasie on napisał dwa szybkie SMS-y do Szafy i Rudego, oba o tej samej treści:

Czujesz też dziś przez nockę. Wynagrodzenie – pięćset.

Po tym odprowadził ją do drzwi. W nich zatrzymała się jeszcze i odwróciła w jego stronę.

– Marek. Jesteś pewien, że chcesz tu zostać?

– Chryste, Ulka. Tak, jestem pewien. O nic się nie martw. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przypadkiem nie umarła – zażartował. Ula nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się tylko w niego z wyrazem twarzy, na którym próżno było szukać choćby cienia uśmiechu, i w końcu powiedziała:

– Uważaj na siebie. Cześć. – Otworzyła drzwi.

– Wszystko będzie dobrze. Miłego wieczoru ci życzę.

Gdy tylko Ula wyszła na klatkę schodową, w kieszeni Marka zabręczała komórka. O dziwo, zamiast dwóch SMS-ów, których się spodziewał, przyszły trzy. Odczytał je kolejno, a z każdym następnym, uśmiech na jego twarzy stawał się coraz większy.

Jasne szefie.

Robi się, Marek. Za dnia wszystko poszło git. Monitoring założony, w okolicy czysto.

Czuję już pierwsze skurcze...

Ten ostatni przysłała Martyna. Nim Suchy schował telefon do kieszeni, napisał jeszcze lakoniczne „nocuję u matki” do Kasi, po czym, zgodnie ze swoim

wcześniejszym postanowieniem, poszedł do jadalni, aby tam wyłożyć się na tapczanie i trochę przekimać. Po chwili znowu usłyszał na korytarzu szuranie połączone z mlaskaniem samoistnie ruszającej się od choroby Parkinsona szczęki.

– Proszę, to wszystko co mam. Ulka zabrała mi kartę od bankomatu. – Maria wkroczyła do pokoju i ku jego zdziwieniu wręczyła mu sto złotych.

– Po co mi to dajesz? Nie chcę od ciebie pieniędzy. Po prostu następnym razem uważaj, jak gotujesz i sprawdzaj te składniki. Przepraszam, że się tak uniosłem. – Odsunął od siebie jej dłoń z banknotem.

– To nie dla ciebie.

– To dla kogo w takim razie?

– Dla Adasia. Podobno potrzebuje, to niech ma.

– Adam? O czym ty mówisz? Nic o tym nie wiem.

– Przed chwilą do mnie dzwonił i powiedział, że potrzebuje pieniędzy i że przyjdzie po nie jakiś jego kolega. To pomyślałam, że skoro tu jesteś, to szybciej będzie, jak dam je tobie i sam mu je przekażesz. No, weź! – Raz jeszcze podsunęła mu stuzłotówkę. Marek od razu zrozumiał co tu się kraje.

– Musiałaś coś źle zrozumieć, mamo. Nie trzeba. Sam dam mu te pieniądze ze swoich. Ale dzięki za chęci.

– Jak tam chcesz – odparła obojętnie i powlokła się z powrotem do łóżka. Marek czym prędzej sięgnął po telefon i wybrał odpowiedni numer.

– No? Co tam? – Po drugiej stronie rozbrzmiał głos, który Suchy chciał usłyszeć.

– Sokół, ty skończony idioto...

– O co chodzi? Co znowu zrobiłem?

– Nie zrozum mnie źle. Nie odbieraj tego, jakbym się czepiał na siłę, bo generalnie twierdzę, że super utalentowany z ciebie oszust i bardzo się cieszę, że lojalnie odpalasz mi dołę ze swoich szwindli metodą na wnuczka, ale na liłość! Z łaski swojej sprawdzaj wpierw osoby, do których dzwonisz!

– Ups! To twoja matka była? Nie gadaj.

– Dokładnie tak, baranie.

Marek wrzasnął z bólu, a z jego nadgarstka zaczęła obficie sączyć się krew. Tyle dobrego, że równie łatwo, co ze skórą, nóż poradził sobie z sidłami, które

więziły jego dłoń. Instynktownie przełożył go do drugiej ręki i utrzymał w niej pomimo kolejnego szarpnięcia nitek, które w dalszym ciągu uczipione były do jego pozostałych kończyn i szyi. Tym razem jednak, w zaskakującej jasności umysłu, zadbał, by przeciąć same żyłki, co mu się w końcu udało. Czując, że pierwsza z uwolnionych rąk stopniowo drętwieje mu od upływu krwi, powtórnie przełożył nóż do drugiej i tym razem pozbył się nitek ze swojej szyi. Na samym końcu uwolnił zaś nogi.

Na jego oczach cienkie sznurki w mig zniknęły za przepaścią na horyzoncie, jakby ciągnięte przez coś o potwornej sile.

– O Jezus Maria! – jęknął, po czym wyłożył się z rozłożonymi rękami i nogami na brukowanej drodze, próbując dojść do siebie i ciężko oddychając. Po chwili przypomniał sobie o prawej ręce. Zaczynała już sinieć, więc ściągnął koszulkę i obwiązał nią sobie krwawiący nadgarstek. Prowizoryczne rozwiązanie zdało egzamin i udało mu się choć trochę zatamować krwawienie. Wstał, podniósł z ziemi czerwony od krwi nóż i, trzymając go z całej siły w drugiej ręce, podjął dalszą wędrówkę pomiędzy dwoma ukwieconymi żywopłotami. Szedł bardzo powoli, wciąż w skupieniu lustrując otoczenie, ale na szczęście wyglądało na to, że już nic więcej go nie zaatakuje.

Po dłuższym czasie mozolnego człapania zwrócił uwagę, że żywopłoty stopniowo obumierają. Kwiaty obrastały je coraz rzadziej, a na ich miejsce spośród liści zaczynały wystawać coraz gęstsze ciernie. Oprócz tego krzaki, przedtem całe w żywej, kompletnie niepasującej do pustynnego widoku wokół zieleni, stawały się wysuszone, bezlistne, jakby spalone przez słońce. W miarę jak Marek posuwał się naprzód, poruszanie się po trakcie stawało się też coraz trudniejsze, bowiem zeschnięte, martwe gałęzie, a niekiedy nawet całe fragmenty krzaków, wały się również na drodze i w pewnych miejscach czyniły ją wręcz nie do przebycia.

Z czasem zmieniła się też sceneria i płaska pustynia przekształciła się w ściany wąskiego, niesamowicie stromego wąwozu, po którego dnie poruszał się Marek. Choć szlak, jak okiem sięgnąć, ciągnął idealnie prosto, w dalszym ciągu nie sposób było dojrzeć, dokąd prowadzi. Nie ułatwiały tego też kolejne przeszkody: nierówności, głębokie koleiny, ogromne głazy i wystające z ziemi ostre, strzeliste skały. W swoim wyczerpaniu Marek dopiero teraz zdał sobie sprawę, że droga od samego początku stawała się coraz bardziej spadzista i aktualnie osiągnęła w tej kwestii największą możliwą skrajność.

A więc stała się już prawie pionową ścianą.

Po tej myśli po raz kolejny stracił równowagę i upadł. Jednak tym razem nie przez sidła, a przemęczone nogi, które po prostu odmówiły mu posłuszeństwa. Gdy z trudnością się podnosił, wręcz usłyszał, jak trzaskają mu wszystkie możliwe stawy. Podjął marsz, ale po kilku takich upadkach w końcu zdecydował się na krótki odpoczynek. Usiadł, spuścił głowę i ciężko oddychał. Stopniowo powiększała się mała kałuża skapującego z niego potu.

Po chwili coś go tknęło i, po raz pierwszy od początku swojej wędrówki, spojrzął za siebie.

Włosy zjeżyły mu się na głowie.

Szlak był tak stromy, poszarpany i najeżony różnego rodzaju ostrymi kamieniami, że Marek aż zaczął zachodzić w głowę, jakim cudem udało mu się go w ogóle przebyć. Jednocześnie nie wyobrażał sobie, jak w swoim aktualnym stanie psychofizycznym miałby pokonać drogę powrotną. Jedyna więc, jaka mu pozostała, to w kierunku, w którym do tej pory podążał.

Czyli w dół.

Zebrał się w sobie i wstał. Trakt stał się jednak tak stromy, że zachowanie na nim równowagi praktycznie graniczyło z cudem. W pewnym momencie poczuł, jak znowu upada, tym razem w inny sposób niż do tej pory. Odnosił wrażenie, jakby od tyłu napierał na niego silny wiatr albo odwrotnie – od przodu przyciągał go z daleka jakiś wielki, abstrakcyjny magnes. Chcąc za wszelką cenę uniknąć kolejnego upadku, z całej siły napiął zmęczone mięśnie nóg. W pewnym momencie złapał się nawet za jeden z tych ostrych, wystających z podłoża kamieni, lecz ten tak boleśnie kaleczył mu palce, że koniec końców Marek się poddał. Gdy pogodzony z losem dał porwać się tej tajemniczej, działającej na niego sile, z przerażeniem stwierdził, że zamiast spadać, wciąż unosi się w powietrzu.

Nie to było jednak najgorsze.

Bez żadnej kontroli zaczął lecieć do przodu, przed siebie, z każdą sekundą coraz szybciej i szybciej. Jakby spadał, z tą różnicą, że działo się to nie w pionie, a w poziomie. A prawo grawitacji obowiązywało nie w tę stronę co trzeba.

Marek gwałtownie poruszył nogami, co spowodowało jego przebudzenie. Był złany potem i jeszcze przez moment cały drżał. Dopiero po chwili zauważył,

że wszystko wokół niego wypełnia ciemność. Ze zdziwieniem stwierdził, że nastąpiła już noc, o czym dodatkowo upewnił się po zerknięciu na wyświetlacz swojego telefonu.

Ba, noc. Sam jej środek! Dochodziła pierwsza.

Przeklął pod nosem. Przypomniawszy sobie, że wbrew swoim zapewnieniom ani nie zrobił Marii kolacji, ani nie podał jej wieczornych leków, ani nie położył jej do spania. No, ale kto mógł się spodziewać, że aż tak mocno zmorze go sen? Panująca w całym mieszkaniu cisza świadczyła o tym, że Suchocka najprawdopodobniej potrafiła poradzić sobie sama.

Oczywiście, o ile znowu nie wzięła wszystkich leków naraz i nie leży właśnie bez życia na łóżku. Postanowił to sprawdzić i usiadł na tapczanie.

Wtem usłyszał nieokreślony dźwięk. Wyteńczył słuch. Kroki z głośnym, niepotrzebnym szuraniem po panelach i odgłosy przypominające niesamowicie szybkie mlaskanie. Wstał.

– Co ty robisz? – zapytał. Maria stała w korytarzu, zgarbiona tak bardzo, że niemal zgięta wpół. Podpierała się o wyłożoną boazerią ścianę. Była ubrana normalnie, nie w koszulę nocną.

– Idę do kuchni – odparła zupełnie przytomnie. Prawie wyzywająco.

– Po co?

– Moja rzecz.

– Po co idziesz do kuchni o tej porze?

– Zrobić ciasto.

– Zrobić ciasto?!

– Czego krzyczysz?

– Ty wiesz w ogóle, która jest godzina?

– Która?

– Pierwsza!

– Pierwsza? – powtórzyła ze szczerym zdumieniem.

– Tak, pierwsza. Nie masz zegarka tam u siebie w pokoju?

Nie odpowiedziała.

– Wzięłaś wieczorne leki?

– Już nawet nie wiem. Nie pamiętam.

– Wracaj do łóżka. Zaraz dam ci nocne.

– Widziałaś Kitkę? Nie mogę jej znaleźć.

– Nie widziałem. Poszukam jej, a ty idź do łóżka.

Ku jego uldze już z nim nie dyskutowała, tylko odwróciła się i zaczęła nie-

zgrabnie kroczyć z powrotem do swojej sypialni, wołając przy tym w nieokreślonym kierunku „Mia!”. Marek poczłapał do pokoju Uli, gdzie na półce leżały kubeczki z lekami. Maria najwyraźniej nie wzięła wieczornych, gdyż tabletki na tę porę dnia wciąż znajdowały się w swoim naczynku.

– Miiia!

– Zostaw ją już. Ja jej poszukam. Na pewno się znajdzie! – zawołał. Wszedł do sypialni Marii i położył kubeczek na stoliku przy łóżku.

– Proszę wziąć leki.

Maria wzięła wszystkie tabletki, jakie tylko jej przyniósł i, wciąż leżąc, włożyła je sobie do ust. Całą garść naraz, co do jednej pigułki. Następnie drżącą od choroby ręką sięgnęła po kubek z resztką nie pierwszej już świeżości herbaty i popiła je malutkim łyeczkiem. Marek był pod niemałym wrażeniem, bowiem nawet tak mała ilość napoju w zupełności wystarczyła, by tabletki dotarły do celu, czyli maminego żołądka.

– Kitkę mi znajdź.

– Już! Idę.

Jak powiedział, tak zrobił. Zaczął krążyć po pokojach.

– Kocie!

Obszedł wszystkie pomieszczenia, zajrzał pod każdy możliwy stół czy biurko, nie omieszkał nawet sprawdzić szaf w przeczuciu, że Maria nieświadomie zamknęła gdzieś swoją ulubienicę, ale chyba nic takiego się nie wydarzyło. Po zajrzeniu również na balkon poddał się. Kot wsiąkł gdzieś jak kamień w wodę. Marek już miał położyć się do łóżka, gdy dobiegło go:

– Znalazłeś?

Westchnął.

– Nie.

– Trzeba ją znaleźć!

Trzeba znaleźć... Ciągle coś „trzeba”...

– Poszukam jej jutro z rana. Jest środek nocy, błagam cię.

– To śpij sobie, a ja sama poszukam.

Już to sobie wyobrażał. On próbujący zasnąć i ona szurająca stopami po podłodze, mlaskająca tą swoją samoistnie ruszającą się szczęką i wołająca raz za razem „Kitka!”. A najlepiej jeszcze, jakby w którymś momencie nogi odmówiły jej posłuszeństwa, przewróciłyby się i na przykład złamała rękę.

Mareczek! O Jezu! Pomóż mi!

Nie, to nie mogło się udać.

– Ja to zrobię. Idź spać.

Wstał i, przeklinając pod nosem, raz jeszcze obszedł całe mieszkanie. Zajrzał drugi raz w te same miejsca co poprzednio, niemniej rezultat poszukiwań pozostał taki sam. Zastanowił się moment. Bez sensu! To na pewno jej wina. To ona musiała coś z nią zrobić i teraz tego nie pamięta. Gdzie ona mogła wpieprzyć to kocisko? Jedyne, co wiedział, to że w ciągu dnia przebywała w swoim pokoju i... w kuchni?

W ogóle nad tym nie myśląc, poszedł do drugiego z wymienionych pomieszczeń i, nie wiedząc właściwie z jakiego powodu, z miejsca ruszył w kierunku stojącej pod ścianą ławy, która pełniła też rolę skrzynki na brudy. Ledwo uniósł wieko, a kot wyskoczył z niej jak oparzony.

Nie wierzę. Po prostu nie wierzę – pomyślał.

Nie miał już ani ochoty, ani siły na rozmowę na ten temat, więc po prostu powlókł się z powrotem do jadalni. Do upragnionego tapczanu.

– Gdzie była? – Dobiegł go z oddali głos.

Westchnął.

– Zamknęłaś ją w skrzynce na brudy.

– Ach, prawda! Rzeczywiście! Bo mi przeszkadzała w robieniu obiadu!

Już leżąc, Marek ukrył twarz w dłoniach.

Rozumiał. Wszystko już rozumiał. Czemu Ulka momentami ledwo powstrzymywała się od płaczu, czemu nawet jej dzieciaki nie chciały tu nocować i to nawet kosztem nieograniczonego dostępu do Cartoon Network. Aż za dobrze.

– Chodź, Kitka, chodź, połóż się. Moja kochana. Tak, grzeczna dziewczynka moja, śliczna. Połóż tu główkę na poduszeczce, tak. Śpij. – Po mieszkaniu rozległ się słodki aż do obrzydzenia ton.

Marek nie mógł już tego słuchać. Wstał i zamknął drzwi od pokoju, ale już po chwili pomyślał, że może jednak lepiej będzie, jak zostawi je otwarte, w razie gdyby w tym domu nagle pojawił się kolejny nierozwiązywalny problem, na przykład „pomóż mi wstać, bo nie dam rady”. Rzucił przekleństwem, raz jeszcze wstał i otworzył je. Gdy ponownie kładł się do łóżka, jęknął.

Postanowił, że z samego rana poszuka w Internecie jakiejś porządnej opiekuńki. Nawet kilku. Tak, by ktoś przebywał z Suchocką dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pieprzył zdanie Ulki na ten temat. Pranie czy nie pranie, przynajmniej Marek pozbędzie się problemu i pobudzi trochę gospodarkę. Same pozytywy.

Zamknął oczy.

Otworzył je. Nawet nie wiedział, czy w ogóle zasnął. Chyba tak, ponieważ od ostatniego przebudzenia minęło trochę czasu, a nad Suwałkami całkiem odważnie poczynały już sobie pierwsze promienie wschodzącego słońca. Wciągnął powietrze nosem i od razu wyczuł intensywny, słodki zapach świeżego ciasta. Po chwili usłyszał też brzęk.

Kurwa mać!

Wstał i od razu poszedł do kuchni.

– Co ty wyrabiasz, do cholery?!

Maria jakby nigdy nic stała właśnie przy kuchence i wrzucała do zupy po-
każny kawał żeberek.

– Obiad.

– Widzę, że robisz obiad, ale po co? I o której godzinie? Czy ktoś cię o to prosił? Komu to robisz?

– Nikt nie musiał mnie o nic prosić! Robię dla siebie.

Marek spojrzał na garnek, który rozmiarem przebijał chyba nawet ten wczoraj-
szy.

– Dla siebie taki ogromny garniec? Jak masz zamiar to zjeść?

– Zjem! Odczep się! Daj mi spokój!

– Wiesz co? To w sumie nie jest taki zły pomysł. Potąd mam już tego
wszystkiego! – Narysował palcem wskazującym linię na poziomie czoła. – Idę
do domu. Niech Ulka sama się z tobą męczy, bo ja wysiadam. Żegnam ozie-
ble – rzucił i odwrócił się na pięcie w kierunku wyjścia. Kiedy założył buty,
usłyszał:

– Śmieci wyrzucić!

– Jakie śmieci?

– Normalne.

– Przecież ostatnio wyrzucałem!

– No, i już się nazbierało od nowa.

Zawrócił i raz jeszcze wszedł do kuchni. Miała rację. Pomimo że zaledwie
półtora dnia temu opróżnił ten sporych rozmiarów kosz, teraz znowu wypełnia-
ły go śmieci. Ba, i to po brzegi. Gdy dostrzegł, ile wśród odpadków jest zmar-
nowanego jedzenia, na nowo wzrosło w nim ciśnienie.

Niereformowalna.

Jako że nie dało się zawiązać worka, musiał chwycić go obiema rękami za brzegi.

– Jak to mówi wnuczka pani Halinki, nara! – warknął i nawet nie czekając na odpowiedź, ruszył półbiegiem do drzwi wejściowych. Jak zwykle, jakby w tym nadmiarze szczęścia brakowało jeszcze rzeczy, które mogłyby go bardziej zdenerwować, przy nich czekała na niego Mia. Nie myśląc wiele, podszedł do niej i kopnął ją w zadek, na co zareagowała przeraźliwym miauknięciem doprawionym potem agresywnym sykiem, i uciekła do drugiego pokoju. Wciąż trzymając w obu rękach worek, Marek otworzył drzwi łokciem, wyszedł, po czym zamknął je nogą tak silnie, że z całą pewnością obudził tym cały blok. Zapalił światło, także i tym razem używając łokcia. Na trzecim piętrze wciąż nie wymieniono żarówki i w dalszym ciągu panował na nim półmrok.

Kurwa jebana, dziwka, szmata...

Sam nie wiedział, czy w głowie rozkwitają mu zwykle, nieokreślone bluzgi, które miały mu pomóc, czy też może po prostu nazywał kogoś po imieniu.

Gdy dotarł na parter i do wyjścia pozostało mu zaledwie kilka kroków, fragment mało solidnego worka na śmieci porwał mu się w rękach. Poskutkowało to tym, że część odpadków, w tym puste słoiki po jakichś konfiturach, których Maria najpewniej użyła do ciasta, z hałaśliwym łoskotem rozsypała się po podłodze.

– Kurwa jebana, dziwka, szmata! – wrzasnął. W tym samym momencie na klatce schodowej zgasło światło, ale było w miarę jasno i nie musiał zapalać go raz jeszcze. Zresztą, w swojej wściekłości i tak nie miał teraz do tego głowy.

Klnąc pod nosem, zaczął zmusznie zbierać śmieci z posadzki, lecz nie dało się już ich wszystkich zmieścić w pozostałościach po plastikowym worku. Tak na oko czekały go jeszcze co najmniej dwie rundki do kosza i z powrotem.

Wypełnił zniszczony worek na tyle, ile tylko mógł, po czym znowu użył łokcia, tym razem do otwarcia drzwi na podwórko. Dystans do śmietnika pokonał niemal biegiem. Na szczęście bramka była otwarta, toteż od razu wrzucił odpadki do kontenera. W drodze powrotnej do klatki schodowej ponownie siarczyście przeklął. Zdał sobie bowiem sprawę ze swojej głupoty. Mógł przecież wyrzucić same śmieci, a worka użyć jeszcze raz, dzięki czemu zaoszczędziłby jedną wycieczkę do śmietnika. Szlag by to jasny trafił!

Wypełniał go teraz jeden wielki, niesamowity gniew. Furia. Na wszystko

i wszystkich. Na matkę, na Ulkę, na Kaśkę, na Martynę, na Iwonkę, na Mię, na producenta worków na śmieci, na wynalazców takiej rzeczy jak ciasto. Na całą cholerną rzeczywistość.

I najpewniej to właśnie z tego powodu zupełnie nie zwrócił uwagi, że na klatce znowu pali się światło.

Wziął w ręce tyle odpadków, ile mógł, przy okazji brudząc je sobie obrzydliwymi, gnijącymi już resztkami jedzenia, i rozpoczął wypad do śmietnika numer dwa. Kiedy wrócił, światło już zdążyło zgasnąć. Pochylił się i zaczął zbierać z ziemi resztki.

Wtem znieruchomiał. Nie do końca wiedział z jakiego powodu. Czy to dlatego, że ktoś właśnie teraz ponownie zapalił światło na klatce schodowej, czy może dlatego, że poczuł na plecach czyjś wzrok. Wciąż trzymając w ręku pusty słoik, bardzo powoli rozprostował nogi.

– Dzień dobry...

– ...panie Suchocki. – Dobiegły go z tyłu dwa głosy. Odwrócił się gwałtownie. Zza rogu, z korytarza, który prowadził na wewnętrzne podwórko blokowiska, wyszło dwóch młodych mężczyzn. Blondyn i brunet. Obaj uśmiechali się nienaturalnie szeroko. Obu Suchy widział pierwszy raz w życiu, ale nie to go najbardziej niepokoiło, tylko fakt, że obaj byli niesamowicie wielcy. Jakies jedenaście na dziesięć Szaf w skali muskulatury.

Przełknął ślinę.

– Dzień dobry. Słucham panów – odrzekł ze spokojem. Jeszcze.

– Mamy sprawę...

– ...nie cierpiącą zwłoki. – Znowu jeden z nich zaczął zdanie, a drugi je dokończył.

– Proszę w takim razie skontaktować się z moją sekretarką. Myślę, że za jakieś pół roku znajdzie się dla panów termin spotkania. Wyraźnie oddzielam pracę od życia prywatnego. Teraz akurat mam wolne, tak się składa.

– Dokładnie tak, jak mówił Samiel. Wyszczekany piesek. – Brunet uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Samiel... Samiel... Kto to może być? Gdzieś już tę ksywkę słyszałem. – Marek podparł głowę ręką w teatralnym geście zastanawiania się.

– Twoje talenty aktorskie są równie marne jak jakość worków na śmieci używanych przez twoją matkę, Suchy.

– Grzeczniej, synek. A tak przy okazji, mówił ci już ktoś, że uśmiechasz się jak Grinch?

Marek wciąż dzielnie używał w miarę spokojnego tonu głosu, mimo że jednocześnie czuł, jak słoik stopniowo wyslizguje mu się z mokrych od potu dłoni. Gorączkowo próbował ułożyć sobie w głowie jakikolwiek plan działania, do tego potrzebował zaś czasu. Musieli więc gadać z nim jak najdłużej. Niemniej w tym momencie żadna strategia nie wyglądała na sensowną. Mężczyźni zapewne nieprzypadkowo odgradzili mu obie drogi ucieczki na zewnątrz.

Drgnął, gdy zrobili krok w jego stronę.

– Nie ma gdzie uciec... – zaczął brunet.

– ...ani gdzie się ukryć – dokończył blondyn.

– Dobra, może skończymy się już miziać i powiecie mi, czego, kurwa, chcecie? Bo jak widzicie, jestem trochę zajęty.

Suchy kalkulował: *Mam w ręce jeden słoik, czyli jeden rzut. Mało, zatrzymam co najwyżej tylko jednego. Ale może mi to dać bezcenną sekundę przewagi. Ucieknę na górę i może uda mi się zamknąć w mieszkaniu mamy.*

– Nie ma gdzie szukać pomocy... – kontynuował blondyn i zrobił kolejny krok.

– ...a twoi żołnierze są daleko stąd i śpią – podsumował brunet.

– Macie jeden mózg podzielony na pół czy co?

– Twój telefon jest w tylnej kieszeni spodni...

– ...i nie masz jak po niego sięgnąć tak, byśmy tego nie widzieli.

Ruszyli na niego. Marek zamachnął się i cisnął słoik w kierunku blondyna. Ten jednak wykonał błyskawiczny unik i pojemnik rozbił się z głośnym łoskotem o ścianę. Od razu po rzucie Marek zaczął biec na górę. Nie pokonał jednak nawet kilku stopni, gdy poczuł, jak coś z potworną siłą chwyta go za nogę. Stracił równowagę i upadł na schody. Zabrakło mu tchu, lecz zachował na tyle przytomności umysłu, by mocno machnąć uwięzioną kończyną i uwolnić się z uścisku. Korzystając z refleksu, w jednej sekundzie wstał i raz jeszcze podjął bieg. Kiedy dotarł do miejsca, w którym schody zawracały pod górę, poczuł nagle, jak jeden z napastników niesamowicie silnie kopie go wyprostowaną nogą w plecy. Impet tego ciosu pchnął Marka prosto na ścianę. Rozbił nos. Nie zdążył upaść, bowiem chwycili go od tyłu za fraki, wykręcili ręce i siłą zmusili do ukłęknięcia. Splunął krwią.

– Jeżeli myślicie, cwele, że będę was teraz błagał o litość, to jesteście w dużym błędzie – wycharczał.

– Nie chcemy, byś nas błagał o litość. Chcemy się tylko upewnić co do jednej rzeczy. Czy przyjmujesz do wiadomości, że Samiel na powrót przejmuje

biznesy w tym mieście. Tylko tyle musimy wiedzieć i dajemy ci spokój.

– Nie przyjmuję.

– Zła odpowiedź – stwierdził blondyn i silnym, boksterskim sierpowym wymierzył Markowi cios pięścią w twarz. Na pewno trenował sztuki walki, o czym dobitnie świadczyła świetna technika tego uderzenia. Suchy wypluł swój ząb.

– Zapytam jeszcze raz...

– Oszczędź sobie języka, szmaciarzu. Nigdy tego ode mnie nie usłyszysz. Musielibyście mnie zabić.

– Czyżby?

– Nie złamiesz mnie w taki sposób. Nie jestem pierwszym lepszym pizdukiem, którego można zastraszyć. W przeciwieństwie do was, brudasy, mam swój zasrany honor.

– Więc pewnie się ucieszysz, bo boss zabronił cię zabijać. Jakby nie dało się po dobroci, to mieliśmy zastosować plan B.

– A jakież to genialny plan wykiełkował w umyśle tego pajaca?

– Prosty. Doprowadzić cię przed jego oblicze i on już sam zdecyduje, co z tobą zrobić.

– Przepraszam bardzo, co się tu dzieje? – niespodziewanie gdzieś w pobliżu rozległ się nieśmiały, piskliwy, kobiecy głos. Wszyscy trzej odwrócili głowy w jego stronę. U szczytu schodów stała jedna z sąsiadek Marii i wpatrywała się w nich z niepokojem. Marek uznał, że albo teraz, albo nigdy. Użył całej siły, jaką posiadał, i wyrwał się z uścisku bruneta, który, zaskoczony obecnością kobiety, na moment stracił koncentrację. Suchy zaczął zbiegać na dół, do wyjścia z klatki schodowej, ale któremuś z oprawców po raz kolejny udało się go dopaść. Poczul nagle na plecach niesamowicie mocne pchnięcie, które okręciło go o sto osiemdziesiąt stopni, i zaczął spadać tyłem w dół schodów. Jeszcze w trakcie lotu usłyszał wrzask kobiety, która wzywała pomocy i krzyczała coś o bandytach. Nie dotarło jednak do niego nic więcej, bowiem już w następnym momencie uderzył o podłogę głową i stracił przytomność.

Zapadła ciemność.

Marek wciąż spadał.

Nie, nie spadał. Leciał. Lekko w dół, ale i tak prawie poziomo, niczym wsysany przez ogromny odkurzacz. Pod nim rozciągało się zejście do mrocznej doliny, ku której zmierzał i którą mógł wreszcie zobaczyć w całej okazałości. Zbocze, na którym przed chwilą stracił równowagę, wciąż pokrywały coraz ostrzejsze skały, które praktycznie uniemożliwiały poruszanie się po nim pieszo. Nie zwrócił też uwagi, kiedy słoneczne do tej pory niebo zamieniło się w wypełnione ciężkimi, burzowymi chmurami, pośród których raz po raz rozbrzmiewały złowieszcze grzmoty. Nie podobało mu się to. Podobnie jak fakt, że prędkość, z którą leciał, tylko się zwiększała.

Zmrużył drażnione ciężkim powietrzem, załzawione oczy i spojrzał przed siebie. Na samym dole zbocza, u wlotu doliny, jego oczom ukazał się ogromny, szary, betonowy budynek i wyglądało na to, że to właśnie ku niemu leciał. Z murów budowli wydobywał się gęsty, zielonkawy dym, a wejście do niego znajdowało się dokładnie naprzeciw tej prowizorycznej, ale niezmiennie idealnie prostej drogi, nad którą unosił się Marek. Nie były to jedyne drzwi, całą budowlę wyposażono w nie bowiem całkiem szczodrze, jednak niewątpliwie zbliżał się do tych głównych, największych i najważniejszych. Gdy dzieliło go od nich zaledwie kilka metrów i z przerażeniem oczekiwał na śmiertelne uderzenie o potężną, drewnianą bramę, które miało rozczłonkować go na tysiące kawałków, ta niespodziewanie otworzyła się przed nim sama i, niczym paszcza ogromnego potwora, pochłonęła go ciemność.

CIAŁO

Ciałem Marka targnął wstrząs, który go obudził. Momentalnie poczuł przeraźliwy ból w głowie. Nie mógł też nią poruszyć, zupełnie jakby coś unieruchamiało mu szyję. Był tak otępiały i z jakiegoś powodu przerażony, być może z powodu snu, którego już nie pamiętał, że potrzebował trochę czasu, by w ogóle zarejestrować fakt, iż leży w łóżku.

– Mamo! Mamo! Obudził się! – rozległ się nieprzyjemny dla jego uszu, stanowczo za głośny pisk Iwonki, który tylko zwiększył u niego pulsujący ból głowy. Jego wzrok wciąż przyzwyczajają się do światła, więc póki co nie potrafił rozpoznać ani jednej z czterech osób, które stały przy jego łóżku.

– Adaś! Zawołaj pana doktora! Szybko! – zawołała Kasia.

Aha, czyli jego rodzinka w komplecie. Ale kto jeszcze?

– Chryste, Marek! Dzięki Bogu!

Knizio.

Chcąc cokolwiek powiedzieć, Suchy otworzył usta, ale zakreśliło mu się w głowie tak bardzo, że z miejsca poczuł najsilniejsze mdłości, jakich w życiu doświadczył i bez żadnej kontroli zwymiotował na klatkę piersiową. Poczul, że krztusi się własnymi rzygami i zaczął żałośnie zawodzić, niemniej poskutkowało to tylko kolejnymi skurczami żołądka i dalszym zwracaniem.

– Siostro, szybko, pomocy! On nam się tu zaraz udusi! Niech ktoś mu pomoże! – krzyknął Arek. – Dalej, posadźmy go, bo zaraz...

Więcej słów Marek nie zdołał dosłyszeć. Nim na powrót stracił przytomność, zdążył jedynie poczuć na ramionach dwie pary rąk i dojrzeć, jak do sali szpitalnej wbiegają jeszcze co najmniej dwie osoby.

„Panie Suchocki, słyszy mnie pan?”

„Proszę się obudzić!”

„Panie Suchocki, niech pan walczy, do cholery!”

Męski głos docierał do niego echem, jakby z oddali, ale z każdym kolejnym słowem stawał się coraz wyraźniejszy i głośniejszy. Sprawiało to też, że

czaszkę Marka na powrót przeszywał ten makabryczny, dotkliwy ból. Wtem uniesiono jedną z jego powiek i oko zostało oświetlone małą, lekarską latarką.

– Co z nim?

– Chyba wszystko w porządku, ale muszę mieć jakiegokolwiek potwierdzenie od niego. Panie Suchocki, słyszy mnie pan?

– Tak – jęknął Marek i po raz kolejny zwymiotował.

– Siostró, nerkę na wymioty i metoclopramid dożylnie. Szybko!

Po chwili Suchy poczuł na brodzie nieprzyjemny chłód aluminiowego pojemnika i całe jego ciało paradoksalnie przeszył dreszcz. Paradoksalnie, biorąc pod uwagę jego rozpalenie i, co za tym szło, ilość potu na ciele. Następnie ktoś zrobił mu szybki, tak wprawny, że praktycznie bezbolesny zastrzyk na zgięciu lewej ręki. Po tym mdłości wyraźnie zelżały, co oczywiście nie oznaczało, że zupełnie znikły.

– Już. Spokojnie. Już dobrze – uspokajał go lekarz.

– Tato! – zapiszczała Iwonka. – Proszę pana, niech pan go uratuje!

– Już wszystko dobrze, tata będzie żył. – Doktor wyprostował się. – Nieźle nas pan przestraszył, panie Suchocki.

– Błagam – wybełkotał Marek. – Czy może pan mówić ciszej, albo w ogóle się przymknąć? Zaraz się znowu porzy... – Zwymiotował.

– Tato!

– Spokojnie. Przy tak silnym urazie mechanicznym mózgu to normalne. Nic na to nie poradzimy, musi przez to przejść. Za chwilę leki powinny zacząć działać.

– Działają – mruknął Marek i znowu skrzywił się z bólu.

– A widzi pan! Nie było tak źle!

– Ciszej, człowieku!

– Jak się pan czuje?

– Rewelacyjnie wręcz! Jak nowonarodzony! – Marek zeszywniał i ze zboląłą miną walnął się na poduszkę, ciężko oddychając. Kołnierz ortopedyczny na szyi bynajmniej nie zapewniał mu komfortu.

– Cięty język działa jak należy! Będzie pan zdrow jak rybka!

– Arek – jęknął Suchy, licząc, że kumpel zrozumie go bez słów i nie zawiódł się.

– Panie doktorze, na litość, niech pan już da mu spokój. Możemy prosić o chwilę na osobności z pacjentem?

– No nie wiem – zaczął prowokacyjnie lekarz, ale Knizio, najwyraźniej, po-

dobnie jak Marek, średnio skory teraz do żartów, od razu mu przerwał:

– Wyjdź! Powiedziałem coś!

Choć możliwości fizyczne miał takie sobie, Arek wciąż posiadał ten groźny, gangsterski błysk w oku, który tamten raczej rozpoznał. Doktor wyraźnie zgasł, mruknął coś niezrozumiałego pod nosem i wraz z pielęgniarką posłusznie podążył we wskazanym przez Knizia kierunku, czyli do wyjścia.

Marek cierpliwie zniósł czułości Iwonki, która przytuliła się do niego najmocniej, jak tylko się dało, a także nieustające pytania Kasi o jego samopoczucie, przeplatane z milczącym, podejrzliwym łypaniem okiem. Niemniej, im częściej spotykał się wzrokiem ze znaczącym spojrzeniem Arka, tym bardziej się niecierpliwił. Nie do końca wiedział też, jak ma odbierać fakt, że pomimo mijającego czasu, wciąż od nikogo nie padło to magiczne pytanie o jego wypadek.

Wypadek, z którego zaskakująco pamiętał każdy szczegół. Co do jednego. Schody, śmieci, dwa osiłki, słoik, wrzeszcząca kobieta, upadek z wysokości. Nie znał się na medycynie mózgu, ale zazwyczaj chyba tak to nie działało.

W końcu nie wytrzymał i w samym środku rozmowy z Iwonką przerwał jej:

– Żabko, przepraszam cię, ale czy moglibyście z mamą i Adasiem zostawić nas na jakiś czas samych z wujkiem Arkiem?

– No wiesz?! – oburzyła się Kasia.

– Kochanie, błagam cię, nie zadawaj pytań. Muszę pogadać z Arkiem. To bardzo ważne.

– Czemu nie możecie pogadać przy nas?

– Kaśka...

– Chyba mamy prawo wiedzieć?!

– Kaśka, proszę cię.

– Ja też chcę wiedzieć! – zawołała Iwonka.

– Dość! – wrzasnął Marek, po czym głowa rozboleła go podwójnie i aż jęknął. – Nie obchodzi mnie to! Proszę was, byście stąd wyszli! Wszyscy, oprócz Arka. Bez dyskusji!

Wspomniani „wszyscy, oprócz Arka” patrzyli na niego z niedowierzaniem.

– Nie będę powtarzać! Dajcie nam jakieś pół godziny – dopełnił swój rozkaz Suchy.

Kasia zmierzyła go zimnym wzrokiem, objęła Iwonkę za głowę i skierowała się ku wyjściu.

– Dobrze, chodźcie. Skoro wasz tatuś skrywa mroczne tajemnice nawet

przed własną rodziną.

– Idźcie, nie gadajcie już! – podniósł głos Marek, czym sprawił, że śpiący do tej pory w łóżku obok staruszek, jego jedyny towarzysz niedoli w tej sali, poruszył się niespokojnie.

– Zastanów się, jak ty się zachowujesz, człowieku – mruknęła z dezaprobatą Kasia, wyprowadziła dzieci za drzwi i trzasnęła nimi z całej siły, co spowodowało jeszcze jeden spazm tamtego mężczyzny. Marek spojrzał na niego. Jego obecność tutaj też była wybitnie niepotrzebna.

– Spokojnie. Podobno to już jego ostatnie podrygi. Praktycznie nie kontaktuje – stwierdził Arek, jakby czytając w myślach Suchego.

– Skąd wiesz?

– Stary, chyba z tydzień byłeś nieprzytomny! Siedzieliśmy tu z twoją rodziną praktycznie bez przerwy, więc generalnie znam już historię choroby tego gościa prawie na pamięć. Nowotwór złośliwy, liczne przerzuty, chyba ma w sobie teraz nawet więcej tego gówna niż normalnego ciała. Nawet nie jest w stanie samodzielnie wstać z łóżka i nie chodzi do klopa, tylko doją go jak krowę.

– To dobrze.

– Żebyś wiedział, że dobrze. Generalnie podobno straszne z niego ścierwo. Przypadkiem usłyszałem rozmowę pielęgniarek. No i przez ten tydzień nikt dziadka nie odwiedził. Ani razu, na łożu śmierci, czaisz?

– Dobra, nie chrzań mi tu teraz o nim, bo mnie obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg. Powiedz mi lepiej coś, co powinienem wiedzieć. Na przykład: ile wie Kaśka i dzieciaki?

– Tylko tyle, że zleciałeś ze schodów i puknąłeś się w łeb.

– A okoliczności?

– Zero. Zastraszili tę kobietę, żeby nie wzywała psów i milczała o tym, co się wydarzyło. Pozwolili jej jedynie wezwać karetkę do siebie.

– Bez sensu. Po co? Przecież w tym stanie mieli mnie w zasadzie na talerzu. Czemu mnie porzucili? – zapytał Marek i od razu przypomniał sobie słowa potężnego bruneta. – Tuż przed tym gadali coś w stylu, że doprowadzą mnie do Samiela i on sam zdecyduje, co ze mną zrobić. Że zabronił im mnie zabijać i mają mu mnie dostarczyć. Czemu tego jednak nie zrobili?

– Nie mam pojęcia, stary. Naprawdę. Ale czy to teraz takie ważne? Jesteś tutaj, żyjesz. Tylko to się liczy. Serio, baliśmy się najgorszego.

Zapadła chwila ciszy, którą jako pierwszy przerwał Marek:

– On wrócił...

– Wiem.

– Arek... – Po usłyszeniu ostatniego słowa z ust Knizia, Suchego naszła zmienacka pewna myśl. W całej tej historii nie zgadzał mu się jeden istotny szczegół i był rad, że w ogóle go zauważył. Czyli główka pracowała jeszcze w miarę wydajnie. W kontekście stanu jego czerepu, mogło to napawać pewnym optymizmem.

– À propos. Skoro nikt poza tymi dwoma goryłami, tą kobietą i Samielem nie wiedział o wydarzeniach na klatce, to jak ty się dowiedziałeś?

Knizio spuścił wzrok.

– Nawaliłem, Marek.

– Wiem, trudno, nieważne teraz. Wzięli nas naokoło. Stało się. Grunt, byś ty i chłopaki... Byście pomogli mi to odkręcić.

– Nie rozumiesz. Nie o to chodzi.

– Czego nie rozumiem?

– Nie wkurwiał się na mnie, ja naprawdę...

– Już daj spokój, nie czas teraz na to.

– Nie przerywaj mi, tylko słuchaj! Po mnie też przyszli.

W sali znowu zapadła głucha cisza, zaburzana jedynie cichym, charczącym oddechem dogorywającego dziadka w tle. Marek poczuł zaś, jak po plecach spływają mu lodowate krople potu.

– Jak to przyszli po ciebie?

– Normalnie. Szukałem go, tak jak mi kazałeś. Przysięgam, szukałem najlepiej, jak mogłem. Uruchomiłem wszystkie możliwe kontakty. Starałem się. Jedynie przerwy, jakie robiłem, to na spanie, jedzenie i urzędowanie w kiblu.

– Rozumiem, Arek, i nie mam do ciebie pretensji. Sam dałem się zaskoczyć. Nie spodziewałem się, że zaatakują nas tak bezczelnie i prosto z mostu. No, ale mów! Przyszli i co? Poradziłeś sobie jakoś? Żyjesz przecież i gadasz ze mną jakby nigdy nic.

– Zwierzyna jako pierwsza upolowała myśliwego. Generalnie zaskoczyli mnie w domu. Włamali się i już tam na mnie czekali. W kilku chłopów. Nie miałem żadnych szans. Uśpili mnie chloroformem.

– Pieprzysz?

– To nie wszystko. Dobrze, że leżysz, bo to, co ci zaraz powiem... Ty wiesz, gdzie ja się obudziłem?

– Gdzie?

– W Beermie.

– Co?! – Marek poczuł, jak włosy na zabandażowanej głowie stopniowo stają mu dęba.

– W Beermie! W twojej jebanej Beermie i to nie w przestrzeni dla normalnych klientów, a w pokoju na zapleczu. Tam, gdzie gramy w pokera.

– Co ty? Jak to?

– Marek, posadzili mnie na krześle, przy biurku, jak na jakimś... Nie wiem, przesłuchaniu, albo innej rozmowie kwalifikacyjnej. Było ciemno, paliła się tylko jedna lampka. Wokół mnie kilku kulturystów. A naprzeciwko... – Marek spojrzał na ręce Knizia. Bawił się nimi nerwowo, ale zważywszy, jak bardzo mu drżały, sprawiało to Arkowi niemałą trudność. – Naprzeciwko mnie siedział on.

– Samiel? – Kiedy Suchy wymówił ten pseudonim, Knizio drgnął, a do tego wydał z siebie coś w rodzaju nerwowego, cichego jęku.

– Tak.

– Co dalej? Mów!

– Przepraszam, Marek.

– Uspokój się i wykrztuś to z siebie w końcu.

– Marek. Ja musiałem... Ja musiałem przysiąc, że od teraz pracuję dla niego. Nie mogłem inaczej. Jakbym tego nie zrobił...

– Trudno. Rozumiem, że był to blef?

Knizio milczał.

– Arek?

– Nie, to nie był blef – odparł w końcu.

– Zmusili cię?

– Nie.

– Torturowali?

– Nie.

– Szantażowali?

– Nie!

– Kupili?!?

– Nie!

– To dlaczego, Arek? Kurwa, dlaczego? Spieprzasz z tonącego okrętu? Jak szczur?

– Ty nic nie rozumiesz.

– Ciągłe mi to powtarzasz jak katarynka! I wiesz co? Masz rację! Nie rozumiem! Nie rozumiem, jak mogłeś spuścić w kiblu swój honor! Jak mogłeś za-

chować się jak karykatura tchórzofretki? Miałem cię za charakternego gościa, a ty ot tak...

– Nie o to chodzi.

– To mi wyjaśnij, o co chodzi, chociaż wątpię, żeby ci się to kiedykolwiek udało.

– Ten gość... Tego się nie da wytłumaczyć. Ten gość... On... Kurde, sam nie wiem, jak ci to opisać. Musiałbyś sam to przeżyć. Poczynając od tej jego nieruchomej jak maska gęby...

– Dalej ci nie idzie.

– Marek, to była chyba najbardziej ryjąca banię rozmowa w moim życiu.

– Wciąż czekam.

– Ja... Ech, nie potrafię tego wyjaśnić, ale miałem wrażenie, że on wręcz prześwietla mnie na wylot. Jakby czytał mi w myślach i wiedział o mnie więcej niż ja sam. Jakby bezbłędnie przewidywał wszystko to, co powiem i zrobię. To było... Ja pierdolę, to było przerażające.

– Na pewno. Powiem ci, co było przerażające. Najzwyczajniej w świecie dałeś dupy, by dołączyć do konkurencyjnej grupy. Jesteś śmierdzącym, tchórzliwym sprzedawczykiem – syknął Suchy, celując palcem w rozmówcę. – Mi też kazali ustąpić, myślałeś, że nie? Oczywiście, że tak! Pobili mnie. Nawet jeden z tych złamasów wybił mi ząb. – Pokazał Kniziowi lukę w swoim uzębieniu. – Nie dałem się! Musieliby mnie zabić. To nas różni, przyjacielu. Nic nie jest w stanie mnie złamać. Mam swoje zasady.

– Marek...

– Wiesz co? Już nawet nie chce mi się słuchać twojego jęczenia.

– Ale...

– Wynoś się stąd. Wypierdalaj.

– Marek, jak ty nic nie rozumiesz.

– Ale obiecuję ci jedno, szcurku – znowu mu przerwał – jeszcze nas popamiętasz. Masz to jak w banku. Ty i twój nowy szefuńcio.

– „Nas”?

– Nas, nas. Mnie i resztę chłopaków. W sumie to dobrze, że nas opuściłeś. Miękkich drutów nam nie potrzeba, a bez ciebie będziemy nawet silniejsi, bo bez słabego punktu, jakim się okazałeś. Nie poddamy się tak łatwo. Nie lekceważcie nas. To miasto ciągle jest nasze. Moje.

– Marek, nie ma już żadnych „nas”. Nie ma „miasto jest nasze”, nie ma „ciebie i reszty chłopaków”.

– Bo niby co?

– Nie tylko po mnie przyszli. Przyszli po wszystkich. Co do jednego. Od Sokoła po Szafę. Pepe, Rubik, Rudy. Wszyscy najważniejsi! Wszyscy!

Na dnie markowego żołądka wylądował pokaźny kamień. Nawet nie kamień, a gład. Meteoryt. I chyba tylko wcześniejszemu wyrzuceniu całej zawartości brzucha zawdzięczał fakt, że nie zrobił tego po raz kolejny.

– Chcesz mi powiedzieć, że wy wszyscy... A młodzi?

– Urodziłeś się wczoraj? A jak myślisz? Przecież młodzi to chorągiewki i bez zadawania żadnych pytań zawsze pójdą za tym, kto aktualnie lideruje stawce. I poszli! On to wszystko załatwił, jak leżałeś tu nieprzytomny. Błyskawicznie. Wiem to.

– To niemożliwe. Nie wierzę w to.

– Zrozumiesz, o co mi chodzi, jak się z nim spotkasz. Wiem, że tak się stanie. – Arek nerwowo spojrział na zegarek. – Sorry, ale rzeczywiście muszę już się stąd wynosić.

– Nie stanie się. Mówiłem ci, prędzej dam się zabić, niż się tak poniżyć. To ja decyduję, kiedy się z kimś spotykam, a kiedy nie. A na pogawędkę z tym dupkiem aktualnie nie mam najmniejszej ochoty.

– Nawet jak zagrozą, że zabiją albo będą torturować twoją żonę i dzieciaki?

– Czy to groźba? Przekazujesz mi wiadomość? Robisz teraz w kompanii Samiełowicza za posłańca? Twoja nowa ścieżka kariery? W porównaniu do tego, co robiłeś do tej pory, raczej degradacja, nie sądzisz?

– Nie groźba, tylko ostrzeżenie. Nie wiesz, z kim igrasz. Ja też nie wiedziałem. Ucz się na cudzych błędach. Mówię ci to jako wciąż twój kumpel. Chcę dla ciebie dobrze.

– Wynoś się.

– I tak miałem już iść. – Arek podniósł się i skierował do wyjścia. Patrząc na jego relatywnie drobne plecy, Marek zagotował się. Nie zważał nawet na to, że znowu powoduje tym nasilenie dotkliwego bólu głowy. Został on jednak skutecznie wyparty przez przeogromną wściekłość Suchego. Rozbudzoną tym bardziej dlatego, że Marek pojął, co Arkadiusz Knizio tu właściwie robi.

– Ty jesteś tu służbowo, zgadza się? Nie przyszedłeś zobaczyć, czy wszystko ze mną w porządku, tylko dlatego, że ci kazano. Nie siedziałeś tu cały tydzień, bo tak się o mnie martwiłeś, tylko na zlecenie tego piździelca pilnowałeś, żebym przypadkiem nie uciekł! No powiedz mi, że tak właśnie jest! Wiem, że tak jest.

Arek zatrzymał się, ale wciąż się nie odwracał.

– Zlecono ci zadanie! I już je wykonałeś, dlatego zwiewasz w podskokach. Powiedziałeś mi już wszystko, co ci nakazano? Zabroniono ci mówić cokolwiek więcej, cioto? – dodał kpiąco i zarazem triumfalnie Marek. Knizio spojrział na niego ze zrezygnowaniem.

– Kiedyś zrozumiesz. Zobaczysz.

Wyszedł.

– Klakier jebany! – krzyknął za nim Suchy i walnął się z powrotem na łóżko. Co mogło trochę dziwić, przez całą ich głośną rozmowę leżący obok Marka staruszek nie poruszył się nawet o centymetr.

Marek drżał. Wziął głęboki oddech i bezskutecznie próbował się uspokoić. Nie wierzył w to. To nie mogła być prawda. To musiało być jakieś pieprzone *Śmiechu warte* albo *Mamy cię*. Jakaś jedna wielka, cholerna ściema.

Czym prędzej sięgnął po leżącą na szafce komórkę i zadzwonił do Rubika. Głucho. Napisał więc SMS-a z prośbą, by Rafał oddzwonił do niego tak szybko, jak tylko to odczyta. Identyczne sekwencje czynności wykonał wobec każdego ze swoich ludzi, a każdy kolejny nieodebrany telefon tylko wzmagił w nim niepokój. W pewnym momencie przyszła mu wręcz do głowy hipoteza, że może nikt nie jest w stanie przyjmować od niego połączeń przychodzących i SMS-ów, więc sprawdził to, dzwoniąc do matki. Odebrała. Nawet jej nie odpowiedział, tylko rozłączył się od razu, jak tylko usłyszał jej „halo?”.

A co, jeżeli...?

Kurwa.

– Czy szanowny pan łaskawie przyjmie nas na audiencję czy w dalszym ciągu mamy spadać na drzewo? – U progu sali stanęła Kasia z dziećmi. Spojrzał na nią bez słowa i z miejsca postanowił, co jej zaraz powie.

I właśnie wtedy usłyszał dźwięk przychodzącego SMS-a. Czym prędzej odblokował komórkę.

Nic z tych rzeczy.

Poczuł stopniowo narastającą gulę w gardle i z niewyjaśnionej przyczyny od razu przypomniał sobie niedawne słowa Knizia.

„Jakby czytał mi w myślach. To przerażające”.

Wiadomość przyszła od Arka:

Nie mów swojej rodzinie, żeby stąd wyjechała. To bez sensu. Tylko ich niepotrzebnie zaniepokoisz. Jak uciekną, oni i tak pojedą za nimi. Są wszędzie. Wiedzą wszystko. Kto jest dla Ciebie ważny, a kto nie. Obserwują Cię. Cały czas.

– Marek? – Suchy wciąż nie odpowiadał, więc Kasia odezwała się po raz kolejny. Spojrzał na nią i dzieciaki, po czym głośno przełknął ślinę.

Spędzili z nim godzinę. Marek, oprócz ciężaru w żołądku, zaczął odczuwać też wyrzuty sumienia. W końcu rodzina chciała dla niego jak najlepiej i nie zasłużyła sobie na takie traktowanie. Usiłując nie okazywać im swojego zaniepokojenia, przez resztę czasu, jaki z nim spędzili, starał się grać wzorowego męża i ojca. Nie bronił się nawet przed czułościami Iwonki, po której nie było już widać ani śladu choroby sprzed tygodnia.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – zapytała Kasia, gdy zbierali się już do wyjścia.

– Póki co wystarczy to, co przyniosłaś. Dzięki.

– No to zdrowiej, mężu. Z tego co mówił lekarz, powinni cię wypisać za parę dni. Tylko błagam, nic nie kombinuj i ich słuchaj. Jak będzie trzeba, żebyś poleżał tutaj trochę dłużej, to leż. Oni wiedzą lepiej, co jest dla ciebie dobre.

– Nie będę kombinował i będę słuchał. Uważajcie na siebie!

– Pa!

Gdy tylko wyszli, czym prędzej sięgnął po telefon i odpisał Arkowi:

Jeżeli zrobicie im krzywdę, zajebię każdą męską dziwkę, która maczała w tym palce. Gołymi rękoma. Przysięgam.

Odpowiedź przyszła po około minucie.

Wątpię, by ktokolwiek z nich przejął się twoimi groźbami. Ale nie martw się. Z tego co wiem, nie zamierzają ich skrzywdzić.

Po przeczytaniu tego, Suchy poczuł mimowolną ulgę. Ale wtedy przyszedł kolejny SMS.

Ale generalnie tylko przez jakiś czas.

Marek leżał jak na szpilkach. Spotykała go chyba najbardziej idiotyczna ze wszystkich możliwych sytuacji. Czuł, że powinien być teraz tam, na zewnątrz, i działać, ale jednocześnie w swoim aktualnym stanie i idącym za nim osłabieniu nie wiedział, czy da radę choćby samodzielnie pójść do ubikacji. Przeklinając pod nosem, obsesyjnie powtarzał ciąg: Rubik, Pepe, Szafa, Sokół, Rudy. W pewnym momencie zaczął wręcz dzwonić do osób z nieco niższego szczebla w grupowej hierarchii, niemniej także i one ignorowały jego telefony, podobnie jak barmanki z Beermy z Martyną włącznie. Jeszcze raz sprawdził, czy jego smartfon aby na pewno działa jak należy, i tym razem zadzwonił do Adama. Odebrał. Tego połączenia Marek nie zakończył brutalnie bez słowa, tylko wymyślił na poczekaniu jakąś pierdołę, byle tylko jakkolwiek uzasadnić fakt wybrania numeru do syna. W pewnym momencie poczuł przy głowie wibrację dopełnioną dźwiękiem świadczącym o wyładowywaniu się baterii i skrzętnie z tego skorzystał, by jednak przerwać rozmowę.

Nie przestając przeklinać pod nosem, podłączył komórkę do ładowania. Już miał rozpocząć kolejny ciąg telefonów, gdy w spisie numerów rzucił mu się w oczy „Pan Zakrzewski”.

Bardzo dawno nie dzwonił pod ten numer. Nie musiał.

Zawahał się.

Polip, najpotężniejszy boss w Polsce, który go chronił i krył się pod tym fałszywym nazwiskiem w jego telefonie, z pewnością dysponował środkami, by załatwić to wszystko jednym telefonem, mailem albo SMS-em. Jednym pstryknięciem.

Hmm. Nie.

Marek uznał, że takie sprawy należy załatwiać samodzielnie. Donoszenie tatusiowi na Grzeška z sąsiedniego podwórka, który zaczepia i kradnie zabawki z piaskownicy, byłoby oznaką desperacji i słabości. I strachu. A on się nie bał. Co to, to nie.

Chyba.

Pogrążony w myślach zacisnął pięść na telefonie, który nieświadomie wciąż trzymał przy uchu, pomimo że nawet nie wykonał następnego połączenia.

– Proszę odłożyć ten telefon! – Wzdrygnął się, gdy z otępienia wyrwał go donośny głos przybyłej przed chwilą do sali pielęgniarki.

– Dlaczego niby? Chyba mam prawo.

– Jak najbardziej ma pan prawo, ale wiedział pan, że każda rozmowa przez komórkę podnosi panu temperaturę mózgu? Po co chce pan go sobie dodatko-

wo obciążać czymś takim? Samo wstrząśnienie to za mało?

– Dobra, już, odkładam! Niech pani wyluzuje – przerwał jej Marek i jak powiedział, tak zrobił. Podczas gdy odkładał telefon, pielęgniarka zaczęła zajmować się mężczyzną obok niego.

„Zajmować się”.

– Podnosimy się! – warknęła i z delikatnością słonia pociągnęła staruszka mocno za rękę. Naprawdę trudno było stwierdzić, czy facet jeszcze cokolwiek kontaktuje, gdyż w żaden sposób nie zareagował.

– Sikamy! – podniosła mu kołdrę i użyła kaczki tak brutalnie, że staruszek aż jęknął. – Sikaj, powiedziałam! – syknęła.

– Spokojnie, sestro! Delikatniej! I tak zaraz zejdziesz z tego świata, z tego co wiem. Po co te nerwy? – wciął się Marek.

– Nie pana sprawa!

– Moja, bo z tego co widzę, paniusiu, to nie zajmujesz się pacjentem zgodnie z nakazami Hipokratesa. Nie znam gościa, nieważne, ale tak się nie robi. Co to w ogóle ma być? To ma być opieka? Za coś ci chyba płacą.

– Widzę, że pan go nie zna, bo gdyby pan znał, to mówiłby pan zupełnie inaczej.

– No to słucham. Czym sobie zasłużył?

Spojrzała w stronę drzwi, po czym pochyliła się nad Markiem i ściszyła głos.

– To jest ojciec mojej przyjaciółki. Pieprzony bydlak i pedofil. Gwałcił, bił ją, wyzywał, poniżał. Zrobił jej z życia piekło. Powinam wlać mu do kroplówki morfinę i tyle. I tak traktuję go lepiej, niż na to zasługuje.

– Rozumiem. W takim razie nie ma tematu. Nic nie widziałem, ani nie słyszałem. – Marek uniósł rękę.

– Sikamy! – Kobieta jeszcze raz wstrząsnęła bezwładnym, wychudzonym, przypominającym worek z kośćmi ciałem.

– Dobra, już niech da mu pani spokój. Nie sika, to może nie ma z czego – stwierdził Suchy.

– Może i nie. Cholera jasna! – zawołała nagle.

– Co się stało?

– Ma. Jak najbardziej. I właśnie zasikał prześcieradło.

Marek z całej siły zacisnął zęby, by nie parsknąć śmiechem.

– A niech gnije w swoich szczytach. Nie będę mu wymieniać – warknęła z odrazą kobieta i wyszła z sali. Dopiero po tym Suchy zaniósł się głośnym re-

chotem, po czym jęknął z bólu, jako że zbyt gwałtownie poruszył głowę. Potem jeszcze raz, gdy dotarł do niego obrzydliwy zapach moczu z łóżka obok.

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział czy hałas, czy nieostrożny ruch śpiącego obok niego starego, czy może sen, którego nie pamiętał. W sali panowała ciemność, ale przez otwarte drzwi wpadało do niej dość jasne, trochę oślepiające światło z korytarza. Szpital wypełniała głucha, wręcz nienaturalna cisza.

Marek przewrócił się na plecy. Zesztywniały kark bolał go jak jasna cholera. Przeklął pod nosem i obiecał sobie, że jutro, z samego rana, zapyta lekarza, czy noszenie kołnierza ortopedycznego jest aby na pewno wciąż konieczne.

Wtem kątem oka dostrzegł obok siebie ruch. Już miał spojrzeć w tamtą stronę, gdy zniemacka uderzył go potężny atak bólu głowy. Jęknął i złapał się za skronie.

– O żesz ty.

Ból był makabryczny. Jak jakaś tytaniczna migrena. Tak silny, że aż zaburzał mu ostrość widzenia. Oczy Marka zaczęły obficie łzawić.

Trzymając się za głowę, zaczął niespokojnie wic się w swojej pościeli. Gdy, walcząc z uciskiem pod czaszką, przewrócił się na prawy bok, zobaczył między palcami, że ruch, który wcześniej zarejestrował, najpewniej był podnoszeniem się faceta na sąsiednim łóżku, bowiem ten wciąż na nim siedział. Nieruchomo, wyprostowany jakby połknął kij, wpatrując się tępo w ścianę przed sobą.

– Nie wytrzymam – zawodził Marek.

Mężczyzna obok zupełnie nie zwracał uwagi na jego jęki. Jakby nigdy nie spuścił nogi na podłogę, wstał i wolnym krokiem ruszył ku wyjściu z pomieszczenia. Poruszał się bezszelestnie. Marek wciąż widział go nie do końca wyraźnie, gdyż odbieranie doznań wzrokowych utrudniały mu łzy plus to swoiste pulsowanie rzeczywistości zsynchronizowane z kolejnymi ukłuciami bólu pod czołem. W pewnym momencie zaczął też słyszeć w głowie stopniowo narastający, wysoki szum i towarzyszący mu nieprzyjemny pisk.

Choć dolegliwości niemal w całości zajmowały jego uwagę, wciąż półprzymkniętymi oczami patrzył na mężczyznę, który doszedłszy do wyjścia, zatrzymał się w nim i stał tam bez ruchu przez dobrą minutę. Nagle zaczął bardzo powoli

odwracać się w stronę Marka. Z każdym kolejnym pokonanym przez niego stopniem w tym rozwartym kącie ból, pulsowanie, szum i pisk w głowie Suchego przybierały na sile i stawały się coraz głośniejsze.

– Panie! Wezwij pan pielęgniarkę, bo nie wyrobię! – zawołał Marek w stronę ciemnego konturu w drzwiach. Mężczyzna nie odpowiedział. Nawet się nie poruszył.

– Pomocy! Ratunku! Kurwa, co za ból!

W swojej agonii Marek znowu przewrócił się na prawy bok i zmarł. Zapomniawszy na krótki moment o swoim cierpieniu, raz jeszcze spojrzął ku wyjściu z sali, w którym stał mężczyzna, a potem raz jeszcze na jego łóżko, w którym wciąż leżało jego ciało.

– Co, do... – zaczęła i wrzasnęła, gdy uderzył go chyba najsilniejszy ból, jaki tylko ludzkie nerwy są w stanie przetworzyć. – Błagam, niech ktoś mi pomoże! – krzyknęła i zwymiotowała na podłogę.

– Co się dzieje? – Do sali szybkim krokiem wszedł dyżurujący tej nocy lekarz, a za nim pielęgniarka. Zapalili światło. Błady jak ściana, mokry od potu i drżący na całym ciele Marek spojrzął najpierw na nich, a potem za ich plecy, ku wyjściu na korytarz. Nikt już w nim nie stał.

– Boli... Boli... O Jezu, jak mnie boli! Błagam!

– Proszę podać pacjentowi duży ketanol, dożylnie! Szybko! – zarządził lekarz, po czym pielęgniarka wybiegła z sali i po kilkunastu sekundach wróciła ze strzykawką.

– Może trochę zabołec.

– A teraz to co się niby dzieje?! Kłuj pani! – jęknął Marek. Wystawił rękę i już po chwili poczuł na niej ukłucie, którego i tak w żaden sposób nie dało się porównać z mordęgą, której doświadczył wcześniej. Po tym ból zaczął stopniowo ustępować.

– Oesu! – westchnął Suchy i zagłębił się w wilgotnej od jego potu i śmierdzącej z tego samego powodu pościeli.

– Lepiej? – zapytał doktor.

– Lepiej. Dziękuję. Ale mogliście przybiec trochę szybciej.

– Nie żebym pana straszył, ale po tak silnym urazie mózgu jak pański... No cóż. Takie nasilenia bólu mogą się zdarzać.

– A coś jeszcze? – zapytał nagle Marek.

– Nie rozumiem?

– Czy po moim wypadku mogą wystąpić jeszcze jakieś inne, dziwne powi-

klania?

– Na pewno zawroty głowy, czasem nudności.

– A na przykład halucynacje?

Lekarz i pielęgniarka spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Wie pan, cała nasza percepcja zmysłowa, to co widzimy, słyszymy, czujemy i tak dalej, wszystko to przechodzi przez mózg, który przetwarza te informacje według własnego widzimisię.

– Przejdź pan do sedna! Mogą się zdarzyć czy nie?

– Mogą. A jakże. Na pewno pan wie, jak pana komputer jest porządnie zepsuty, ale jeszcze działający, to obraz na ekranie może być zniekształcony. Ta sama zasada. To wszystko chemia. Reakcje chemiczne w mózgu.

– Założmy hipotetycznie – zaczął ostrożnie Marek – że taka halucynacja mi się zdarzy. Co powinienem wtedy zrobić? Są na to jakieś leki?

– Jeżeli coś takiego by się panu hipotetycznie zdarzyło... No cóż. Jako że już dawno przebadaliśmy pana neurologicznie i nic na tyle poważnego nie stwierdziliśmy, ja bym chyba wtedy poszedł z tym do psychiatry. Oni się takimi rzeczami zajmują.

– Poważnie pytam, do cholery!

– A ja poważnie panu odpowiadam.

– Do jakiego psychiatry?! Co ja, wariat jestem? Pytam o coś innego.

– Nie każdy, kto chodzi do psychiatry, jest chory na umyśle. Zresztą wszystkie choroby psychiczne wynikają dokładnie z tego samego. Mózg jest z różnych powodów w pewien sposób uszkodzony. Czasem ze zbyt dużego, długotrwałego stresu i przewlekłego doświadczania złych emocji, czasem po wypadku takim jak pański, a czasem na przykład od nowotworu. Nie działa tak, jak powinien. I tym się zajmują psychiatrzy.

– Ja jebię – mruknął do siebie Suchy.

– Dlaczego pan się unosi? Dlaczego pan mówi o sobie? Myślałem, że rozmawiamy ogólnie, hipotetycznie. Widział pan coś dziwnego?

Marek zamilkł i ostrożnie spojrzął na łóżko obok. Zastanowił się moment, czy jest w ogóle sens o tym mówić, ale w końcu uznał, że na pewno nie ma sensu niczego ukrywać, skoro i tak zdradziło go to, gdzie przed chwilą zerkał. Skinął głową w tamtą stronę i powiedział:

– Niech pan go sprawdzi.

– Co mam sprawdzić?

– Czy jest sens, by tu jeszcze w ogóle leżał.

– To znaczy?

– Nie wiem! Puls niech pan mu sprawdzi! Walnie w twarz, połaskocze, wsadzi palec w dupę, cokolwiek. Jak w *Oстрым dyżurze* albo *Doktorze Housie*. Mam was uczyć waszego zawodu?

Lekarz rzucił na Marka niepewne spojrzenie, po czym podszedł do łóżka staruszka.

– Panie Rodziewicz? – Trącił go. Zero reakcji. – Halo? – Poruszył nim mocniej, po czym nasmarował śliną wierzch dłoni i podsunął mu go pod nos i usta. Następnie nachylił się i skierował ucho najpierw w to samo miejsce, co wcześniej rękę, a potem ku klatce piersiowej mężczyzny, po lewej stronie.

Wreszcie, zgodnie z jakże emocjonalnie wyrażoną sugestią Suchego, sprawdził puls.

– Nie żyje. – Wyprostował się. – Skąd pan to wiedział?

– Męska intuicja – odparł Marek i przewrócił się na drugi bok. Starał się to powiedzieć z typowym dla siebie przekąsem, ale średnio mu wyszło. Cieszył się za to, że leży teraz odwrócony do lekarza i pielęgniarki plecami, co oznaczało, że nie mogą zobaczyć niepokoju malującego się na jego twarzy.

W przypadku tego dreszczu, który zaraz potem targnął jego ciałem, tak bardzo pewien być już nie mógł.

ŚCIANY

Marek po przebudzeniu od razu sięgnął po telefon i sprawdził godzinę. Nieco po piątej rano. Za oknem już całkiem świtało. Usiadł. Spojrzał na łóżko po swojej prawej stronie. Było puste i nic dziwnego, skoro sam potem słyszał, jak pozbywali się z niego ciała tamtego faceta. Ostrożnie okręcił się na pośladkach i spuścił nogi na ziemię. Zaciśnął zęby, wziął głęboki oddech, dźwignął się i stanął. Zimno podłogi pod bosymi stopami sprawiło, że odrobinę się wzdrygnął, ale wytrzymał to. Nie zbierało mu się na mdłości. Nie tracił poczucia równowagi. Tylko głowa zaczęła go delikatnie pobolewać, bo zbyt szybko się wyprostował. Odetchnął i zrobił pierwszy krok. Udał się, więc zrobił drugi, a potem trzeci. Wszystko było we względnym porządku.

Z miejsca podjął więc męską decyzję.

Ubrawszy się w swoje rzeczy, ostrożnie wyjrzał na korytarz. Pusto. Nie czekał ani chwili dłużej, tylko najszybciej i jednocześnie najciszej jak tylko mógł ruszył ku windom. Już miał nacisnąć przycisk, jednak zdał sobie sprawę, że zamykając się w tym jeżdżącym w górę i w dół pudle, odcina sobie jakąkolwiek drogę ucieczki. Co więcej, ryzykuje spotkaniem osób, które nie powinny go widzieć. Po lewej stronie od wind znajdowało się wejście na klatkę schodową, więc postanowił z niej skorzystać. W skupieniu stawiał kolejne kroki po stopniach i nasłuchiwał. Ze dwa razy istotnie usłyszał kogoś na dole. O zgrozo, kiedy raz konspiracyjnie wyjrzał ze swojej kryjówki, w jednej z hałasujących na niższych piętrach osób rozpoznał pielęgniarkę z oddziału, z którego właśnie dawał dyla. Mało brakowało.

W końcu, po trwającej w jego perspektywie całe wieki wędrówce, dotarł na parter. Od upragnionego wyjścia dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt metrów. Podążył ku niemu śmiało. Wtem, na tle szyby automatycznych drzwi do szpitala zobaczył przemieszczający się ciemny kontur o ludzkim kształcie.

Kurde, zapomniałem – zrugął się w myślach.

Ochroniarze szpitala także dyżurowali przez całą noc. I dzielnie trwali na posterunku. Ten, którego dostrzegł Suchy, kroczył właśnie ku automatowi

z kawą stojącemu w holu. Ta droga ucieczki chyba odpadała, tym bardziej, że Marek wciąż miał na sobie podejrzenie wyglądający kołnierz ortopedyczny i zabandażowaną głowę. Poza tym piąta rano niewątpliwie nie była zbyt wygodną porą na wypisywanie się ze szpitala.

Bez wykonywania gwałtownych ruchów zawrócił i podążył z powrotem w głąb budynku.

Nagle przypomniał sobie kolejne z wczorajszych słów Knizia.

„Obserwują cię. Cały czas”.

Jeżeli Arek nie kłamał, to jakaś delegacja Samielewicza musiała pilnować głównego wyjścia. To prawie pewne. Czyli dochodził kolejny dobry powód, by z niego nie korzystać. Marek ucieszył się, że zdał sobie z tego sprawę.

Zastanowił się. Na wygodnym parkingu mogli sobie pilnować głównego wejścia do usranej śmierci, lecz zakrytych przez spore zadaszenie drzwi na oddział ratunkowy, do których bezpośredni dostęp miały jedynie karetki, na pewno nie. To brzmiało jak dobry plan.

Dotarł do miejsca, w którym strzałki na wiszących pod sufitem tabliczkach informowały, że cel jego tułaczki i sąsiadująca z nim izba przyjęć znajduje się niedaleko. Otworzył wskazane przez nie drzwi i znalazł się w kolejnym, wąskim korytarzu.

Gdy tylko wyszedł z za rogu, jego oczom ukazał się mały tłumek rozrzuconych po szerokim holu ludzi, których noc przyprawiła o drobne obrażenia. Czekali na rejestrację. Nie zwrócili na niego większej uwagi, więc podbudowany tym Marek szedł raźnie przed siebie. Tak, jakby jego obecność stanowiła w tym miejscu najnormalniejszą rzecz na świecie. Od upragnionego wyjścia na wolność dzieliło go tylko kilkanaście metrów.

Na zewnątrz dostrzegł jakieś zamieszanie. Najpewniej ledwo co przyjechała karetka i właśnie wypakowywano z niej kolejnego pacjenta. Suchy zatrzymał się i, by zbytnio nie rzucać się w oczy, stanął pośród innych. Patrzył. Wyglądało to na coś poważnego. Ratownicy niemal wbiegli do szpitala, ciągnąc ze sobą z obu stron szpitalny wózek, na którym leżało ciało mężczyzny.

– Proszę nas przepuścić! Mamy brutalne pobicie! Proszę zejść z drogi!

Marek spojrział na poszkodowanego, zbrukanego krwią na opuchniętej twarzy i pojął, że im bardziej wózek się do niego zbliżał, tym głośniejszy stawał się ten wysoki pisk w połączeniu z szumem w jego głowie. Znowu. W pewnym momencie zaczął wręcz mieć problemy w rozumieniu, co krzyczą ratownicy. Złapał się za skronie. *Błagam, nie teraz* – pomyślał. Na szczęście tym razem

dźwiękom nie towarzyszył żaden szczególny ból. Nie zmieniało to jednak faktu, że sam hałas wewnątrz czaszki należał do średnio przyjemnych.

Nieoczekiwanie Marek zeszywniał. Gdy jeszcze raz spojrzął na faceta, który znajdował się już bardzo blisko niego, zauważył, że ten jest przytomny. Mało tego! Że patrzy prosto na niego. Żeby jeszcze bardziej udziwnić tę sytuację, robi jednocześnie taką minę, jakby na moment zapomniał o przenikliwym bólu i właśnie kogoś w Suchym rozpoznał. Rozpoznał kogoś, ale jednocześnie nie mógł sobie przypomnieć kogo.

Co najśmieszniejsze, po spojrzeniu mu w oczy Marek pomyślał dokładnie to samo. Utkwił wzrok w znajomym-nieznajomym mężczyźnie i patrzyli na siebie nawzajem, dopóki tamten nie zniknął za drzwiami którejs z pobliskich sal wraz z ratownikami.

Kto to jest? – pomyślał Marek. Był tak zaintrygowany, że na moment zapomniał o swojej ucieczce ze szpitala. Nawet nie zauważył, że kiedy facet zszedł mu z pola widzenia, w głowie zupełnie zniknął mu połączony z piskiem szum.

Dałby głowę, że skądś kojarzył tę twarz. Na sto procent. Tylko skąd? No i to pobicie spuentowane makijażem z pomocą żyłki. Kolesz zapewne nie dostał za darmo i doskonale wiedział za co. To musiał być ktoś z gangsterskiej branży! Kiedyś na pewno się spotkali. Nie było innej możliwości.

Marek próbował sobie przypomnieć, skąd zna tajemniczego mężczyznę, tak intensywnie, że aż zakręciło mu się głowie. Nie była jeszcze gotowa na tak ciężką pracę. Poczł też, że traci równowagę. Pochylił się i oparł o ścianę.

Porównałby to do porażenia prądem. Do dotknięcia gołą ręką rozżarzonego kawałka stali albo włożenia jej prosto do naczynia pełnego rozgrzanego do czerwoności oleju. Do wylania na dłoń kwasu solnego albo nakłucia jej setkami igieł. Z początku Marek trochę nie dowierzał i ze zdumieniem spojrzął w tamtą stronę, ale gdy już w następnym ułamku sekundy zakończenia nerwowe przesłały jego mózgowi pełną informację o bólu, którego właśnie doświadczył, wrzasnął. Wszyscy wokół spojrzeli na niego z zaskoczeniem i obserwowali jak, głośno wyjąc, trzymając się za obolałą dłoń i przyciskając ją sobie do ciała, klęka na kolana. Wydierał się jak opętany.

– Przepraszam. Co panu jest? Wszystko w porządku? – Ostrożnie podeszła do niego jakaś kobieta. Opamiętał się i spróbował opanować. Zacisnął zęby i, głęboko oddychając przez nos, zmusił się do spojrzenia przez łzy na tę dłoń. Jęknął. W miarę upływu czasu coraz obficie spływały z niego kolejne krople potu.

Ręka wyglądała, jakby się poparzył. Pokryta czerwonymi bąblami i opuchnięta. Z niedowierzaniem zlustrował ścianę, której dotknął. Wydawała się najnormalniejsza na świecie. Płaska. I biała. Biała jak... ściana.

– Proszę pana? Szybko, wezwijcie lekarza! – Z każdą sekundą powiększała się liczba osób, które zauważały fatalny stan jego ręki.

– Nie! – Marek błyskawicznie podniósł się na nogi. Znowu zrobił to zbyt szybko i zakreśliło mu się w głowie, ale wziął się w garść. – Nie chcę lekarza! Poradzę sobie.

– Ale przecież pan...

– Nie chcę! Nie wzywaj nikogo! – krzyknął i, zataczając się jak pijany, czym prędzej ruszył w kierunku wyjścia. Schował sobie dłoń pod pachę i głośno odychał przez nos z zaciśniętymi zębami. Ból w dalszym ciągu nie ustępował. Przez łzy i zawroty głowy wciąż nie widział do końca wyraźnie. Jakimś cudem udało mu się jednak dotrzeć do drzwi i zaraz znalazł się na zewnątrz, a uderzenie rześkiego, porannego powietrza sprawiło, że o mało nie zemdlął.

– Kurwa. Co jest? Co się ze mną dzieje? – jęknął do siebie. Rozejrzał się. Nie zarejestrował niczego podejrzanego, więc od razu zaczął iść w stronę przepływającej niedaleko suwalskiego szpitala Czarnej Hańczy. Niezgrabnie przemierzył ulicę i dotarł do rzeki po jakichś trzech minutach. Czym prędzej ukląkł przy brzegu i wsadził obolałą rękę do wody.

Znowu jęknął, tym razem w błogiej rozkoszy.

Chłód zadziałał niesamowicie kojąco. W pewnym momencie Marek niemal położył się na tej mokrej od rosy trawie i postanowił, że nie wyjmie ręki z wody, dopóki zupełnie nie pozbędzie się bólu. Stopniowo uspokajał oddech, a i kropelki potu z czasem spływały mu po wysokim czole coraz rzadziej. W końcu, po jakichś piętnastu minutach, podniósł się. Dłoń wciąż wyglądała fatalnie, lecz przynajmniej tak nie bolała. Zdjął plecak, wyjął z niego spodnie od piżamy i owinał je sobie wokół ręki. Następnie wyciągnął telefon i zadzwonił po taksówkę. Postój mieścił się rzut beretem od niego, zaraz pod szpitalem, więc Marek czekał zaledwie kilkadziesiąt sekund.

– Dokąd? – zapytał zdziwiony kierowca, gdy Suchy z trudnością wgramolił się na tylne siedzenie.

– Na Gołd... Nie. Na osiedle Serce Suwałk poproszę.

– Robi się, kierowniku.

KREW

Ponieważ nie miał przy sobie klucza do mieszkania Martyny, nie miał też wyboru i skorzystał z domofonu. Ku jego zdziwieniu, dziewczyna otworzyła mu niemal natychmiast i to bez żadnych pytań, kto odwiedza ją o tak wczesnej porze. Po dostaniu się na klatkę schodową wszedł na górę i przez całą drogę na wszelki wypadek trzymał się poręczy. Mieszkanie Martyny mieściło się na ostatnim, czwartym piętrze. Zadzwoił do drzwi. Gdy przez dłuższy czas nie otwierała, nacisnął klamkę. Zdziwił się nawet bardziej niż tam na dole, przy domofonie.

Drzwi były otwarte. Zaniepokoiło go to.

– Martyna? – Ostrożnie wkroczył do mieszkania i najciszej, jak tylko mógł zamknął za sobą drzwi. Nie odpowiadała.

– Martyna? Gdzie jesteś?

Wciąż cisza. Uważnie się rozglądając, wszedł głębiej. Mieszkanie nie było zbyt duże. Ot, wystarczające dla samotnej dziewczyny, do której od czasu do czasu wpadał kochanek. Salon połączony z kuchnią, jedna sypialnia, łazienka i korytarz. Czyli niewiele zakamarków, w których ktoś mógłby się ukryć.

– Marty...? – urwał. W tym samym momencie dostrzegł bowiem kałużę krwi w salonie. Samej krwi. W dalszym ciągu nigdzie nie widział żadnego ciała.

Wytrzeszczył oczy i bardzo powoli wkroczył do pomieszczenia. Szkarłat pokrywał nie tylko podłogę, ale też spory fragment ściany. Choć z początku Marek tego nie zauważył, z plamy prowadziły stopniowo urywające się, czerwone ślady kobiecych stóp. Prosto do miejsca, w którym teraz stał.

– Martyna! – zawołał. Wciąż bez żadnej odpowiedzi. Uważnie rozejrzał się po salonie, lecz nigdzie nie dostrzegł dziewczyny. Czy to w całości, czy w kawałkach. Zajrzał też do sypialni i łazienki. I tam jej nie znalazł. Zaczął szukać we wszystkich innych, mniej oczywistych miejscach, w których mogła (albo ktoś mógł jej pomóc) się ukryć. Sprawdził wszystkie szafy, pod łóżkiem, nie omieszkał sprawdzić nawet absurdalnych zakamarków, takich jak pojemnik na pościel w kanapie czy lodówka (stary gangsterski numer, poćwiartowane zwłoki w zamrażarce). Pusto. Przynajmniej mógł mieć pewność, że w mieszkaniu nikt na niego nie czyha.

Właśnie wtedy to sobie przypomniał, a po ciele na nowo zaczęły spływać mu lodowate kropelki potu.

Skoro jej tu nie ma, to kto wpuścił mnie na klatkę schodową?

Z miejsca doskoczył do drzwi i zamknął je na zasuwkę. Dopiero po tym wyjrzał na zewnątrz przez wizjer. Pieprzony poranek. Półmrok niemal uniemożliwiał zobaczenie czegokolwiek na klatce. Po chwili jednak wyraźnie dostrzegł na schodach jakiś nieokreślony ruch.

Jestem w pułapce! Dałem się podejść jak dziecko! Zagonili mnie w kozi róg!

Ostrożnie odszedł od drzwi, gorączkowo myśląc. Zaczął od znalezienia w kuchni największego możliwego noża, jaki tylko posiadała Martyna. Następnie skorzystał z jej apteczki i obwiązał sobie poparzoną dłoń świeżym, czystym bandażem.

To mu od razu coś przypomniało.

Spojrzał niepewnie na ścianę w salonie, ale nie w miejsce przyozdobione ludzką krwią, a inne, białe, czyste, nietknięte. Podskórnie obawiał się tego jak cholera, mimo to nie miał innego wyboru. Naprawdę musiał przekonać się, czy nie powinno się go już zwyczajnie zapakować w kaftan bezpieczeństwa i odizolować od świata.

Na własnej skórze. W tej sytuacji bardziej trafego wyrażenia chyba nie dało się użyć.

Podszedł do ściany. Nie spieszył się. Czy celowo? Sam nie wiedział. Im bardziej zbliżał dłoń do płaszczyzny, tym bardziej drżała. Postanowił, że dotknie ściany zaledwie czubkiem palca i tylko na ułamek sekundy. Wziął głęboki oddech. Trzy. Dwa. Jeden.

– Ja pierdolę! – krzyknął, a dotarcie do zlewu zajęło mu chyba mniej czasu, niż samo dotknięcie. Odkręcił wodę i czym prędzej schłodził obolały palec. Tym razem, pomimo że ból ustępował, Marek zaczynał czuć coraz większy niepokój.

Co się ze mną dzieje? O co tu chodzi? Co jest nie tak? – pomyślał ze łzami w oczach. Wciąż trzymając dłoń pod kranem, odwrócił głowę i raz jeszcze spojrzał na tę ścianę.

Co za bzdura! Idiotyzm! Absurd!

Nie mógł się powstrzymać.

– Kurwa! – Kolejne dotknięcie zakończyło się identycznie jak poprzednio.

Mógł się już wyżyć wszelkich wątpliwości.

Dwie, a właściwie, licząc ze szpitalną, trzy próby musiały mu w zupełności wystarczyć. Na kolejne nie miał już odwagi.

Po kilku minutach chłodzenia sobie obolałych dłoni, wyjął z szafki szklanę i wlał do niej trochę wody. Następnie podszedł do ściany i wylał na nią zawartość naczynia.

Nic się nie wydarzyło. Żadnego wrzenia, syku ani gwałtownego parowania. Na ścianie widniała najzwyklejsza w świecie mokra plama. I tyle.

Patrzył na to i dygotał. Próbował się uspokoić, ale bezskutecznie. Wziął nóż i pospiesznie podszedł do plecaka, który uprzednio położył na ziemi. Wyciągnął telefon. Dłonie drżały mu tak mocno, że upuścił urządzenie, co skwitował jeszcze jednym siarczystym przekleństwem. Na szczęście nie zepsuł komórki. Podniósł ją i odblokował. Wybrawszy numer do Martyny, usiadł po turecku na podłodze, na samym środku pokoju, jak najdalej od otaczających go ścian.

Nie odbierała. W mieszkaniu nie rozlegał się też dźwięk dzwonka jej smartfona. Zatem ten, kto ją stąd wyniósł (Marek nie miał już co do tego żadnych wątpliwości), zadbał o wszystkie możliwe detale. Suchy przeczuwał też, że ta kałuża krwi miała służyć za sugestywną wiadomość dla niego. Dla niego właśnie, nikogo innego. Spodziewali się, że prędzej czy później zawita do tego mieszkania.

„Jakby bezbłędnie przewidywał wszystko to, co powiem i zrobię. To było... Ja pierdolę, to było przerażające”.

Choć czuł, że to nic nie da, po raz kolejny spróbował dodzwonić się do wszystkich swoich kumpli. W dalszym ciągu nie odbierali. Gdy desperacko przeszukiwał wzrokiem swoją wirtualną książkę telefoniczną w próbie znalezienia jakiegokolwiek kontaktu, który mógłby mu teraz pomóc, na moment zatrzymał się przy „Ulce”.

Kusiła.

Ręka aż świerzbiła go, by nacisnąć „dzwon”. Pomogłaby mu. Na sto procent. Niechętnie, ale jednak. Dla bezpieczeństwa siostry zaniechał jednak tego pomysłu.

Westchnął, ponownie przeleciał wzrokiem listę w telefonie i w nagłym impulsie, w ogóle się już nad tym nie zastanawiając, zadzwonił do Knizia.

– Halo?

– Arek. Potrzebuję pomocy.

– Gdzie jesteś?

Zawahał się lekko. Co by nie powiedzieć, zaczęło się od dziwnego pytania.

– W Sercu Suwałk.

– Co? Wypisali cię tak szybko? I co ty tam robisz? Przecież powinieneś leżeć i się kurować! Człowieku, ledwo wczoraj wybudziłeś się z tygodniowej śpiączki!

– Nie wypisali. Sam zawiąłem się ze szpitala. Musiałem się dowiedzieć, co się dzieje.

– Pojechało cię do reszty?!

– Nie! Nikt nie odbiera ode mnie telefonów! Nic nie wiem.

– Nic dziwnego.

– Co „nic dziwnego”?

Cisza.

– Nic dziwnego, że nie odbierają? Samiel im zabronił?

Dalej nie odpowiadał.

– Arek, do chuja pana!

– Nie mogę o tym gadać, zrozum.

– Ale ty odebrałeś.

– I dla twojej wiadomości, tym samym zrobiłem bardzo ryzykowną rzecz.

– Musisz mi pomóc.

– Niby jak mam to zrobić?

– Zagonili mnie w ślepią uliczkę. Jestem w mieszkaniu, a ktoś czeka na mnie na klatce schodowej. Nie mam jak uciec.

– Jesteś pewien, że ktoś tam jest?

– Widziałem ruch przez wizjer. A do tego, choć mieszkanie jest puste, ktoś otworzył mi domofonem drzwi na dole. Mało tego! Ono samo też było otwarte. Chcesz więcej ciekawostek? W nim przywitała mnie kałuża krwi.

– Czyje to mieszkanie? Twoje?

Marek zamilkł. No tak. Przecież nikt nie wiedział, że zafundował ten apartament Martynie. Przynajmniej oficjalnie. Akurat ten szczegół nie miał teraz żadnego znaczenia.

– Moje. Dodatkowe. Nie zadawaj więcej pytań.

– Co mam zrobić?

– Na początek przyjedź i sprawdź czy jest czysto. Znasz już ich przynajmniej z widzenia?

– Człowieku, zdajesz sobie sprawę, do czego mnie teraz namawiasz? Nie znam ich wszystkich z widzenia, ale za to możesz być pewien, że oni wszyscy znają mnie.

– Pomóż mi. Muszę dostać się przynajmniej do domu, gdzie mam kławkę. Tylko tyle.

– Ale to nie przejdzie. Oni od razu się domyślą, że przyjechałem ci pomóc. Wtedy generalnie i ja będę mógł pakować graty na tamten świat.

– To co mam robić?! Masz jakiś inny pomysł?

Knizio milczał przez moment.

– Może na początek upewnij się, czy aby na pewno jest się czym martwić.

– Przecież mówiłem, że...

– Sprawdź jeszcze raz.

Marek westchnął ze zniecierpliwieniem i ponownie podszedł do drzwi. Wyrzwał na zewnątrz przez judasza. Tym razem nie dostrzegł żadnego ruchu. To oczywiście o niczym nie świadczyło. Mogli po prostu stać poza jego polem widzenia. Bezszelestnie odszedł od drzwi i szepnął:

– Nikogo nie widzę.

– Otwórz drzwi i sprawdź.

– Co?!

– Zrób to tak, by w razie czego błyskawicznie wrócić do mieszkania i na nowo się w nim zamknąć. Które to piętro?

– Czwarte, ostatnie.

– No to się ciesz ze swojego fuksa. Mogą cię zaskoczyć tylko z jednej strony.

– Arek...

– Nic innego ci teraz nie doradzę. Chyba że wolisz wezwać psiarnię do tej kałuży krwi, o której mówiłeś. Wtedy na pewno ich wypłoszysz z tej klatki. Na bank. O ile tam są, oczywiście – odparł kąśliwym, zniecierpliwionym tonem Knizio.

– Znasz takie powiedzenie, że na bank to gołębie srają? – warknął Marek.

– To była ironia, człowieku! Po prostu otwórz te drzwi i zobacz!

Suchy milczał przez moment, kalkulując sobie to wszystko w głowie, i w końcu rzucił:

– Nie rozłączaj się. Zrobię to.

– Czekam.

Marek schował telefon do kieszeni i wrócił do salonu po leżący na podłodze nóż. Następnie podszedł do drzwi, raz jeszcze upewnił się przez wizjer, że nikt nie stoi bezpośrednio za nimi, i powolutku, milimetr po milimetrze, zaczął przekręcać pokrętło na zasuwce, modląc się przy tym, by w którymś momencie

głośno nie trzasnęło. Na szczęście w miarę nowe drzwi nie odmówiły współpracy. Wsadził nóż w tylną kieszeń spodni i, nauczony złodziejskim doświadczeniem, chwycił klamkę w obie dłonie, tym samym czyniąc proces otwierania drzwi o wiele cichszym. Wstrzymał oddech. Wy tężył słuch.

Na klatce schodowej panowała idealna cisza. Zrobił ostrożny krok w stronę schodów i wyrztał zza nich nieco w dół. Pusto. Poszperał w kieszeni. Swego czasu wymyślił skuteczny sposób na sprawdzenie, czy w takich sytuacjach nikt na niego nie czyha. Zawsze działał. Wyciągnął grosz i rzucił go w dół tak, by pieniądz czynił jak najwięcej hałasu. Jeżeli po tym pojawiłby się jakikolwiek inny nieokreślony dźwięk, Marek wiedziałby już wszystko.

Problem (lub nie) w tym, że nic takiego się nie stało.

Nadal zachowując szczególną ostrożność, Suchy zaczął powoli schodzić po schodach. Nikogo nie zastał na swojej drodze. I tak nie mógł pozbyć się nieznosnego wrażenia bycia obserwowanym.

Nagle zrozumiał dlaczego.

Apartamentowiec to nie tylko klatka schodowa. Jak sama nazwa wskazuje, to przede wszystkim apartamenty.

Nie zastanawiał się już ani chwili dłużej, tylko zaczął zbiegać w dół. Wcale się nie zdziwił, gdy już po kilku sekundach usłyszał nad sobą otwieranie którychś drzwi, a potem szybkie kroki. Przyspieszył. Wybiegł na podwórko, rozejrzał się nerwowo i zaczął biec w stronę licznie zaparkowanych pod Sercem Suwałk samochodów. W porę udało mu się ukryć za jednym z nich. I to w takim miejscu, że koleś, który miał mu się zaraz ukazać w drzwiach do klatki schodowej, praktycznie nie mógł go widzieć. Natomiast on dostrzegłby go bez żadnych problemów.

Nic z tego nie rozumiał.

Pomimo mijających sekund, nikt się nie pojawiał, a drzwi w dalszym ciągu pozostawały zamknięte. Gra w czekanie? Próba cierpliwości? Kto jako pierwszy ujawni swoją kryjówkę?

Chromolić to.

Pojął, że i tak jest na straconej pozycji. Zza drzwi co prawda nie było go widać, ale z dziewięćdziesięciu procent okien wychodzących na ten parking jak najbardziej. Wyciągnął telefon.

– Jesteś?

– No?

– Udało mi się wybiec na zewnątrz i ukryć. Na klatce było czysto, ale cze-

kali na mnie w którymś z mieszkań. Gonili mnie, ale nikt nie wychodzi. Pewnie czekają, aż się pokażę.

– I co teraz zrobisz?

– Pozostanę w ukryciu, wezwę taksówkę, a gdy już przyjedzie, wybiegnę, wsiądę i damy w długą.

– Chryste. Jesteś pewien?

– Tak, nie mam wyboru.

– Zadzwoń po wszystkim.

– Zadzwonię – zapewnił Marek i przerwał połączenie. Jak powiedział, tak zrobił. Samochód przyjechał po pięciu minutach. Suchy przytomnie zaczął w kryjówce, aż kierowca wykręci tak, by stać przodem do wyjazdu z parkingu, i dopiero wtedy wybiegł z za auta.

– Na Gołdapską. Szybko! – wydyszał i z trzaskiem zamknął drzwi. Jak tylko taksówkarz ruszył z piskiem opon, Marek spojrzał za siebie.

Z klatki schodowej w dalszym ciągu nikt nie wychodził.

W dalszym ciągu nic z tego nie rozumiał.

CZARNY KAPELUSZ

Słońce było już całkiem wysoko na niebie, gdy po rozliczeniu się z kierowcą Marek stanął pod swoim domem. Pot leciał z niego ciurkiem, za co odpowiadał nie tylko stres, którego doświadczał, nie tylko bandaż i kołnierz ortopedyczny ciasno opinające jego głowę i szyję, ale też po prostu ciepły, parny poranek. Rozejrzał się po okolicy, lecz nigdzie nie zauważył samochodów, których do tej pory nie kojarzył z widzenia. Teoretycznie powinno go to być trochę rozluźnić. Nic z tych rzeczy. Wszystko przez nieobecność auta Kasi.

Jako że żona zostawiła mu w szpitalu jeden klucz, użył go i czym prędzej dostał się do domu. Po otwarciu drzwi przywitał go dźwięk uruchomionego alarmu, który Suchy musiał rozbroić w ciągu pół minuty sześciocyfrowym kodem. Gdyby tego nie zrobił, to irytujący, donośny pisk najpewniej obudziłby całe osiedle Hańcza. Poradził z tym sobie, zamknął drzwi od wewnątrz, zdjął buty i wszedł do holu. Z racji dość wczesnej pory nie spodziewał się spotkać swojej rodziny przy śniadaniu. Zresztą i tak nie mogło ich tam być, o czym świadczył włączony alarm, toteż od razu wszedł na górę.

To, co tam zobaczył wcale mu nie pomogło. Co prawda nie trzy kałuże krwi, ale brak w łóżkach i Kasi, i Adama, i Iwonki stanowił równie złowieszczy widok. Jak tylko Marek się upewnił, że nigdzie w domu ich nie ma, wyciągnął telefon i wybrał numer żony.

– Halo? – odpowiedział mu zaspany głos. Odetchnął z ulgą.

– Cześć. Martwiłem się. Gdzie jesteście? Dlaczego nie ma was w domu?

– A, to ty. – Głos Kasi zabrzmiał nagle zupełnie inaczej, jakby bardziej pobudzony. – Już cię wypisali? Tak szybko?

– Tak, wypisali – skłamał. – I od razu przyjechałem taksówką do domu. Gdzie jesteście? Dzieciaki są z tobą?

– Są, są. Pojechaliśmy na kolację do moich rodziców i zostaliśmy na noc. Wybacz, że ci nie powiedziałam, ale uznałam, że to bez znaczenia, skoro miałeś leżeć w szpitalu jeszcze kilka dni.

– W porządku.

– Jak się czujesz, mężu?

– Będę żył. Z każdą minutą coraz lepiej. A wy? Wszystko w porządku? – zapytał ostrożnie. Miał nie lada zagwozdkę. Jak wypytać ich o coś niepokojące-

go, tak by nie domyślili się, o co pyta, a jednocześnie powiedzieli mu najszerszą prawdę.

– Wszystko ok.

– To super. Czekam na... Ożeż ty! – wrzasnął. W trakcie rozmowy zapomniał się i nieostrożnie oparł ramieniem o ścianę. Szczęściem w nieszczęściu jego ubranie trochę osłabiło wynikające z tego obrażenia i ból z nimi związane. Niemniej, upuścił telefon. Kilka tysięcy złotych wydanych na jego kupno zwracało się i urządzenie ponownie przeżyło to bez większego szwanku.

– Marek? Co się dzieje?! – Dobyło się z głośnika, podczas gdy Suchy ze łzami w oczach trzymał się za obolały triceps. Zazgrzytał zębami, podniósł smartfon i całą siłą woli zmusił się, by odpowiedzieć jej najnormalniejszym tonem na świecie.

– Nic się nie stało, kochanie. Uderzyłem się tylko małym palcem u nogi o szafkę i upuściłem telefon.

– Aj. Boli?

– Jak jasna cholera – wydyszał.

To było chore.

Nienormalne.

Obłąkane.

Kompletnie nie wiedział, co myśleć. Czuł się prawie zupełnie w porządku (w normie człowieka, który tydzień temu przeżył tak silne uderzenie w głowę, że aż stracił przytomność). Nie miał żadnych zwidów czy halucynacji, praktycznie opuściły go mdłości, nawet ten makabryczny ból głowy robił jedynie za odległe, nieprzyjemne wspomnienie. Czyli wszystko byłoby super, gdyby nie fakt, że którejkolwiek ściany by nie dotknął, czuł się tak, jakby ktoś właśnie potraktował go kwasem solnym. I co najbardziej popieprzone, rzecz dotyczyła się tylko ścian. Nie podłóg, nie drzwi, nie klamek, nie mebli, nie foteli samochodowych.

Niczego innego!

Po wypaleniu kilku papierosów, które ani trochę mu nie pomogły, od razu włączył komputer i wpisał w Google „choroby psychiczne ból przy dotykaniu ścian”. Nie znalazł niczego sensownego. Z jednej strony trochę go to uspokoiło, ale z drugiej...

Jeszcze raz spojrzął na biel obok siebie, usilnie walcząc z pokusą, by znowu jej nie dotknąć. Nadal nie mógł w to uwierzyć.

Chcąc czym prędzej się uspokoić i zająć myśli czymkolwiek innym, postanowił zrobić pierwszą rzecz, jaka tylko przyszła mu do głowy, i dla świętego spokoju sprawdzić swoje szwajcarskie konta. Sprawdzić, upewnić się i zapamiętać.

Wydawałoby się, dla formalności.

– Co jest?! – zakrzyknął i poczuł rosnący ciężar w żołądku. To musiała być jakaś pomyłka. Jakiś błąd w systemie. Wolne ładowanie się strony albo coś w tym stylu. To niemożliwe żeby... – Co jest, do chuja?! – powtórzył, a ręce na powrót zaczęły mu drżeć.

No cóż. Jeżeli chciał wymyślić czynność, która skutecznie odwiodłaby jego myśli od ścian i skutków ich dotykania, to chyba zupełnie niechcący odkrył właśnie najlepszą, jaką tylko się dało.

Jego gangsterskie oszczędności życia, niemal cała brudna forsa, jaką tylko zarobił przez lata przestępczej działalności... wszystko wyparowało. Zniknęło. Na wszystkich rachunkach widniała okrągła liczba zero. Nawet na lokalach. Były czystutkie jak łza. Świeżutkie, nieużywane. Jak pupcia niemowlaczka.

– Co to ma być? – Marek wciąż nie przestawał mówić do siebie. Czym prędzej kliknął w historię konta. Według niej pieniądze zniknęły jeszcze zanim w ogóle zdarzył się jego wypadek. Po jednym zgrabnym przelewie z każdego z kont. Każdy z nich miał jednak innego adresata i inny docelowy numer konta. Mało tego, odpowiadał im nie tylko inny numer, ale także i inny bank! Ale żadne z nazwisk adresatów nie brzmiało Samielewicz. Nie było też żadnego, które by znał albo chociaż kojarzył ze słyszenia.

Jego ciało przeszła fala stopniowo rozlewającego się po nim zimna.

Tak wysokie przelewy nie mogłyby zostać wykonane ot tak prosto, przez jedno kliknięcie. Wymagany był do tego jego osobisty podpis tam, na miejscu, w oddziale szwajcarskiego banku. W ten sposób, uzgadniając to przy założeniu konta, teoretycznie zabezpieczał się przed sytuacjami takimi jak ta.

Teoretycznie.

– Jak oni to zrobili? – pytał bezgłośnie, zszokowany patrząc w ekran i zaciskając drżące, zbolałe po przygodach ze ścianami dłonie tak mocno, że aż trzaśkały mu knykcie. Chwycił za telefon i czym prędzej wybrał specjalny, przeznaczony tylko dla niego numer do obsługi banku. Jako że ubijał sporo dobrych

interesów z Litwinami, angielskim posługiwał się biegle. Na nic to się nie zdało. Irytujący, nagrany głos poinformował go po niemiecku, że aktualnie żaden konsultant nie jest dostępny. Biorąc pod uwagę wczesną godzinę, nie było to wcale niczym dziwnym.

Marek nie wytrzymał.

– Kurwa mać! – wrzasnął i z całej siły cisnął telefonem o ścianę. Urządzenie rozleciało się na kilka kawałków.

W swoich gorączkowych myślach Suchy odpłynął tak daleko, że nawet nie dosłyszał, jak na dole, po otwarciu drzwi wejściowych, rozbrzmiewa piskliwy, informujący o tym fakcie odgłos, który był jedną z funkcjonalności alarmu.

– Zawsze uważałam, że ładnie ci w koszulkach z kołnierzykiem. – Wzdrygnął się, gdy zniecka rozległ się za nim głos Kasi. Spojrzał na nią. Z początku nie zrozumiał o co jej chodzi, ale gdy tylko się poruszył i kołnierz ortopedyczny nieznacznie potarł mu skórę, skojarzył.

– Co jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Zastanowił się moment.

Nie.

– Nic. Szukałem tylko w necie leków, gdzie jest najtaniej. Wciąż jeszcze przez jakiś czas muszę je brać. – Wymyślił na poczekaniu.

– Najtaniej? Od kiedy ty szukasz najtańszych ofert? To do ciebie niepodobne – zażartowała Kasia. A on tylko gapił się na nią bez słowa.

Na nią, a konkretnie jej ramię, którym to spokojnie opierała się o jedną ze ścian.

Jego obecny stan podchodził z jednej strony pod przekleństwo, z drugiej pod błogosławieństwo. Przekleństwo, ponieważ wciąż nie czuł się na tyle pewnie, by samodzielnie pojechać do Beermy, a więc ostatniego miejsca, które należało sprawdzić. Błogosławieństwo, bo dzięki niemu nie był skazany na towarzystwo swojej rodziny. Powiedział im po prostu, że musi trochę odpocząć i położyć się do łóżka. Grunt, że miał ich przy sobie i wiedział, że są w miarę bezpieczni. Ale rozmawiać z nimi, słuchać irytującego pisku Iwonki i po raz tysięczny odpowiadać na pytania o samopoczucie... Nie miał najmniejszej ochoty.

Jak powiedział, tak zrobił. Po pozbyciu się z głowy bandaża i kołnierza ortopedycznego, a następnie błyskawicznym zjedzeniu adekwatnego do jego stanu emocjonalnego i idącego za nim braku apetytu śniadania, położył się do łóżka. Na komodzie obok spoczął zapasowy telefon. Jako że nie wszystkie lombardy w tym mieście płaciły Suchemu haracze na czas, miał takich zabawek na pęczki. W dalszym ciągu nie mógł dodzwonić się do banku, więc po kilkunastu próbach poddał się, mając również w pamięci niedawne słowa pielęgniarki na temat mało zdrowych skutków używania komórki. Postanowił więc w spokoju obmyślić strategię na najbliższe dni, ale myśli kotłowały mu się w głowie tak gęsto i bez jakiegokolwiek porządku (moi ludzie, Samiel, kasa, Beerma, Martyna, krew, ściany, Kaśka, dzieciaki, moi ludzie, Samiel, kasa, Beerma, Martyna, krew), a wszystkie wydarzenia tego dnia (ostatniej, praktycznie nieprzebranej nocy zresztą też) tak wyczerpały go psychicznie, że niemal natychmiast zapadł w sen.

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział, czy był to hałas telewizora z dołu, na którym Kasia, Iwonka i Adam oglądali film, czy jakiś inny odgłos, czy może sen, którego nie pamiętał. Musiał być naprawdę zmęczony, bowiem według stojącego na komodzie elektronicznego zegarka wybiła właśnie dwudziesta trzecia, a za oknem panowała już noc. Spał więc bite kilkanaście godzin. Co najśmieszniejsze, wcale nie czuł się wyspany.

Krótki błysk się powtórzył, a on zdał sobie sprawę, że to jego telefon, który takimi sygnałami dawał mu znać, iż czekał na niego nieprzeczytany SMS lub nieodebrane połączenie. Sięgnął po smartfon i odblokował go. SMS. Nieznany numer.

Wyjrzyj przez okno.

Marek wyostrzył zmysły i, najciszej jak tylko mógł, wstał z łóżka. Ostrożnie podszedł do okna, na którym na szczęście były zasunięte firanki. I przełknął ślinę tak głośno, że nawet tych dwóch tam, na zewnątrz, musiało to usłyszeć.

Stali na parkingu, tuż pod jego domem. Nieruchomo, jak posągi. W identycznych pozycjach, wyprostowani, ze spuszczoneymi bezwładnie, grubymi jak pniaki rękami. Dwóch po obu stronach efektownego, terenowego, czarnego range rovera. W takim miejscu, że latarnie za nimi uniemożliwiały dostrzeżenie w całości ich twarzy, ale Marek i tak ich rozpoznał. Blondyn i brunet.

Wielcy. Ci sami, z którymi miał przyjemność rozmawiać podczas swojej niedawnej przygody na klatce schodowej, zakończonej wypadkiem. I nie wiedział, czy dopowiedziała mu to jego wyobraźnia, czy też naprawdę to dojrzał, ale dałby sobie rękę uciąć, że obaj mężczyźni uśmiechają się szeroko i patrzą prosto w jego okno. Że szczerzą się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy spotkał ich ostatni raz. I doskonale wiedzą, że ich obserwuje. Świadczyły o tym kształty ciemnych konturów ich policzków oraz te małe fragmenty twarzy, które oświetlał blask ulicznych lamp.

Marek zeszywniał. Wyglądali jak dwa manekiny i przez cały ten czas nie poruszyli się o centymetr. Ostrożnie odszedł od okna. Ledwo zrobił krok w stronę szafki, w której trzymał pistolet, a po pokoju już rozniósł się dźwięk kolejnego SMS-a.

Nawet nie myśl o szukaniu klamki.

I następny, tuż po tym, jak odczytał poprzedniego.

Zapraszamy na dół.

Raz jeszcze podszedł do okna. Dwa olbrzymy w dalszym ciągu się nie poruszały. Żaden z nich nie trzymał też w ręce komórki, niemniej blondyn w końcu wyciągnął z kieszeni swoją i napisał jeszcze jedną wiadomość:

Masz na wyjście minutę. Jeżeli do tego czasu tego nie zrobisz, to pójdziemy tam po ciebie osobiście. I przy okazji spuścimy wpierdol twojej rodzinie, a córeczce jeszcze dodatkowo potniemy twarz. Wybieraj, co wolisz?

Marek myślał gorączkowo, ale działało się to zaledwie przez krótki moment.

Westchnął. I odpisał:

Schodzę.

Po dotarciu na dół miał już taką gulę w gardle, że nawet nie zarejestrował, kiedy przeszedł przez korytarz luster. Tym razem obyło się bez strachu. Z salonu dobiegł go serdeczny śmiech Iwonki po kolejnym gagu w komedii, którą akurat we trójkę oglądali. Przez chwilę rozważał nawet, czy nie poinformować ich, że wychodzi, ale jeszcze niedawno, kiedy wszystko w jego życiu szło jak po maśle, nigdy tego nie mówił, po prostu bez słowa opuszczał dom. Jeżeli miał więc udawać, że wszystko jest w porządku, to musiał trzymać się starych reguł.

Z drugiej strony, jeżeli miałby już nigdy nie wrócić, to może wypadałoby się chociaż pożegnać?

Nałożył buty i prędko wyszedł na podwórko. Kiedy jednak zbliżał się do tych dwóch czarnych, ogromnych ludzkich posągów, zwolnił kroku. Częściowo

po to, by nie sprawiać wrażenia zbytnio przestraszonego, a częściowo dlatego, że ponownie poczuł ból w stopie i zwyczajnie nie był w stanie szybciej iść.

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – zaczął brunet, a blondyn uśmiechnął się jeszcze szerzej i tradycyjnie dopowiedział:

– Zapraszamy. – Otworzył tylne drzwi auta, po czym, niczym szofer dbający o wygodę dostojnego gościa, zaprosił Suchego gestem do środka. Jak tylko Marek wsiadł, blondyn zamknął za nim drzwi i zajął miejsce obok niego, podczas gdy brunet usiadł za kierownicą. Niemal równo z momentem, w którym odpalił samochód, na przedniej szybie zaczęły pojawiać się pierwsze krople deszczu. Oczywisty związek przyczynowo-skutkowy stał się faktem. Niesamowity ukrop tego dnia musiał się tak wreszcie skończyć.

Marek milczał. Patrzył tylko przez okno i, obserwując coraz intensywniej lejący się z nieba deszcz, popadał w trans. Nie myślał absolutnie o niczym. Nie musiał nawet zastanawiać się, dokąd go wiozą, gdyż doskonale wiedział gdzie i w jakim celu. Dwaj mężczyźni na szczęście nie zmuszali go do mówienia. Nie rozmawiali nawet między sobą.

Wreszcie, po około dziesięciu minutach jazdy, brunet zatrzymał samochód i rzekł:

– Wielki moment w twoim życiu...

– ...coś jak stracenie dziewictwa. Zapraszamy – dodał blondyn i wysiadł. Marek zaś, zanim opuścił range rovera, jeszcze przez kilka sekund wpatrywał się w żółty, jaskrawy napis, trochę zniekształcony przez krople deszczu na szybie. Napis, którego w tej sytuacji nie dałoby się już pomylić z podobnym, w innej części miasta.

„Beerma”.

Wstrzymał oddech i otworzył drzwi samochodu.

Jak na środek tygodnia, w pubie panował zaskakująco duży ruch. Gdy tylko Marek przekroczył próg, z miejsca uderzył go gwar i intensywny zapach piwa. Wszystkie stoły były zajęte. Spojrzał po klientach. Najzwyklejsi ludzie na świecie. Typowi bywalcy lokalu, w którym można miło spędzić czas. Śmiali się, rozmawiali i beztrąsko pili alkohol, zagryzając go słonymi paluszkami, orzeszkami i chipsami. Młodzi i starsi. Nie przestępcy. Po prostu uczciwie

pracujący na co dzień ludzie, którym po godzinach należało się coś przyjemnego.

Jakże bardzo im teraz zazdrościł. Tego nie dało się nawet opisać słowami.

Braku problemów, braku napięcia, jakie mu teraz towarzyszyło, braku tej niepewności wypełniającej ostatnimi czasy każdą sekundę jego życia. Bezcenego kapitału tych ludzi. Szczęścia, z którego w tym momencie nawet nie zdawali sobie sprawy i którego nie dałoby się kupić za żadne pieniądze. On im go zazdrościł. Jak cholera.

W odróżnieniu od wielu innych rzeczy na świecie, akurat tej nie mógł nikomu ukraść.

Odebrać? A i owszem, robił to przecież wielokrotnie. Samemu w ten sposób wejść w jej posiadanie? Nie mógł. Aktualnie jedynym, co mu pozostało, było patrzeć na nich i bolesna frustracja. Zaciskanie pięści w bezsilnej złości, że w przeciwieństwie do niego, im dane jest być takim zwyczajnym. Przeciętym. Niczym się niewyróżniającym. Z mieszkaniem na stacji, stanem konta nie przekraczającym pięciu, a niejednokrotnie nawet i czterech cyfr, umową śmieciową i używanym samochodem po czwartym właścicielu. Zazdrościł im tych braków, niedoboru rzeczy, które stanowiły dla niego codzienność i które sprawiały, że byli wolni od jego problemów. Tej biedy.

Zazdrościł im wielu rzeczy. Tego braku kamienia w żołądku też.

Zerknął za bar. Wszystkie barmanki pracowały. Za wyjątkiem Martyny, naturalnie. Gdy tylko go zobaczyły, jak na sygnał odwróciły wzrok. Nie z jakąś pogardą, wstrętem czy brakiem szacunku. Prędeż z niepokojem. One już od dawna doskonale wiedziały, co się tutaj dzieje i mogły jedynie udawać, że nic się nie stało i po prostu odbębniają kolejny dzień w kieracie. Przynajmniej przed klientami. To, co najgorsze, rozgrywało się bowiem za zamkniętymi drzwiami, z dala od wścibskich uszu postronnych.

– Powodzenia. – Blondyn otworzył przed Markiem drzwi na zaplecze, tym razem wcielając się w rolę kogoś w rodzaju kamerdynera. W pomieszczeniu panował półmrok. Oświetlała je tylko jedna, niezbyt jaskrawa lampka na stojącej przy oknie komodzie. Z racji pomarańczowego koloru ścian dawało to dość osobliwy efekt. Tak czy inaczej, złowieszczy. Pomimo słabej widoczności, Marek dostrzegł jednak postacie potężnie zbudowanych facetów, którzy niczym osobliwi strażnicy stali pod każdą ze ścian, w tym także za biurkiem.

Biurkiem, za którym jako jedyny w tym pokoju siedział...

– Witaj, Marku.

Suchy nie odpowiedział. Nie zamierzał bawić się w sztuczne uprzejmości. Nie miał nic do stracenia. W tym lokalu to on w dalszym ciągu dzierżył tytuł pana na włościach. Gospodarza, którego wygodny fotel, prawie że prywatną, osobistą przestrzeń, zajmował właśnie jakiś intruz. Zwrócił jednak uwagę, że Samielewicz podczas niedawnej, krótkiej rozmowy z nim odbytej na telefonach jego dzieci nie używał żadnej aplikacji do zmieniania głosu. Jego prawdziwa, słyszana na żywo barwa brzmiała dokładnie tak samo jak tamta, którą wtedy zarejestrował. Niska, mrukliwa, głęboka, mocna i jakby znudzona.

Marek nie widział jeszcze jego twarzy. Podobnie jak w przypadku tych dwóch na parkingu pod domem na Gołdapskiej, światło lampy, która stała trochę za Samielem, po prawej stronie, praktycznie uniemożliwiało jakikolwiek wgląd w jego facjatę. Suchy mógł jedynie stwierdzić, że mężczyzna przywdziewał czarny, młodzieżowy kapelusz i elegancką koszulę tego samego koloru, a także, co bardzo kontrastowało zwłaszcza z dwoma goryłami za nim i mogło zaskakiwać, nie dysponował zbyt wielką posturą.

– Spocznij. – Samielewicz wskazał przed siebie. Marek dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przed biurkiem stoi coś jeszcze. Taboret. Nie fotel, nie krzesło, a taboret. Kuchenny. Tak mały, że człowiek rozmiarów Szafy najpewniej zgniótłby go tyłkiem jak puszkę po coli.

– To nie moje miejsce. Mój fotel jest za biurkiem – odparł spokojnie.

– Wygodny. Masz gust.

– Wiem.

– Spocznij, proszę. – Mężczyzna w kapeluszu raz jeszcze wskazał na taboret.

– Nie zamierzam. Postoję.

– Dobrze – powiedział Samiel, po czym zrobił zgrabny, sygnalizujący coś ruch obydwoma rękami. Nim Marek zdążył się choćby odwrócić, od tyłu dopadły go dwie pary potężnych, niedźwiedziich łap ludzi Samielewicza, które siłą doprowadziły go do siedziska. Nie bronił się, zresztą i tak wiedział, że nie ma żadnych szans. Starał się jednak zachować spokój i nie odezwał się ani słowem. Nawet pomimo poniżenia, które raz za razem spotykało go od mniej więcej dwudziestu minut.

– Dwa razy zawsze proszę po dobroci. A dopiero gdy nie dostaję tego, czego chcę, używam siły. To mój znak rozpoznawczy i zarazem pewien ukłon w stronę rozmówcy. Ma wybór, w jaki sposób woli dać mi to, co i tak prędzej

czy później mi da. Uprzejmie, bez zgrzytów, czy jednak inaczej, mniej przyjemnie – stwierdził Grzegorz.

– Fascynujące. Widzę, że niezły z ciebie filozof jest. Brakuje tylko, żebyś chwycił w rękę czaszkę lub jabłko i ubrał się w jakieś prześcieradło.

– Jak się masz? – Samiel zignorował jego zaczepkę, splótł dłonie na biurku, po czym odrobinę się nad nim pochylił, a Suchy mógł wreszcie zobaczyć jego twarz. Zaledwie sekunda wystarczyła, by Marek rozszerzył oczy w szczerym zdumieniu.

Grzegorz Samielewicz miał rozmach, trzeba mu to było przyznać.

Jeżeli naprawdę wcześniej ze swoją buźką wygrywałby castingi do filmów o zombie, tak teraz spokojnie zrobiłby karierę modela. Przed Markiem siedział właśnie co prawda dojrzały, ale za to niesamowicie przystojny mężczyzna. Mało powiedziane. Jakby żywcem wyjęty z jakiejś reklamy. Nawet nie. Lepszy. Trudno było ocenić, czy odpowiadało za to słabe oświetlenie, czy też naprawdę miał on tak doskonałą, nieskazitelną, idealnie proporcjonalną twarz. Jakby wyretuszowaną w programie graficznym i oczyszczoną z wszelkich defektów. Z tą różnicą, że tu Suchy nie patrzył już na zdjęcie, a na człowieka z krwi i kości. Samielewicz pozbył się z twarzy nawet pieprzyków!

To wciąż była maska. Ale doskonała.

– Bezczelne pytanie. Widzę też, że z ciebie niezły jajcarz jest, Grzegorz. Co raz lepiej cię poznaję – odpowiedział mu Marek i dodał: – Ładny kapelusz. Pasuje ci do mordki. Trochę pedalski.

– Jestem rad, że ci się podoba oraz że mówisz o tym w taki sposób. Wiesz dlaczego?

– Wal.

– Ponieważ świadczy to, że ani trochę nie uczysz się na błędach. Wciąż mnie lekceważysz. A ja uwielbiam sprawiać pozory w oczach takich jak ty, ponieważ od razu stawia mnie to w uprzywilejowanej pozycji. I dzięki temu zwyciężam. To właśnie jest moja tajemnica.

– Pewny siebie jesteś, koleżko.

– Najważniejsze, że nie arogancki, tak jak ty. Warto to odróżniać. Choć pojęcia te są bardzo do siebie zbliżone, istnieje pomiędzy nimi wyraźna granica.

– Jaka?

– To biurko. – Samiel wskazał na stojący pomiędzy nimi mebel. – W dużym uproszczeniu. Zobacz, dokąd zaprowadziła cię twoja arogancja, a dokąd mnie moja pewność siebie. I uzyskasz odpowiedź na swoje pytanie.

– Nie jest powiedziane, że już przegrałem. Tu jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte.

– Tak? W takim razie oddaję ci głos i słucham. Na czym opiera się z kolei twoja pewność siebie... pardon. Arogancja? Jakie masz zaplecze?

Marek milczał.

– Powiem ci, na czym na pewno opierała się do tej pory – odpowiedział za niego Grzegorz. Jego twarz była kompletnie nieruchoma i poruszał jedynie ustami. – Bo miałeś swoją małą armię karków, dzięki którym czułeś się panem tego świata. Jak w korporacji. Hierarchia, wyraźny porządek, każdy wiedział, co ma robić. Wydawałeś polecenia, twoi podwładni wykonywali je z lepszym bądź gorszym skutkiem. Tymczasem ja odebrałem ci ich w kilka dni. Wszystkich, co do jednego. Pozostając przy porównaniu z korporacją, to tak, jakby wszyscy pracownicy Pepsi nagle przenieśli się do Coca Coli, zostawiając samemu sobie jedynie szefa wszystkich szefów. Jak sądzisz, czy wtedy Pepsi dalej funkcjonowałyby, jakby nic się nie stało?

– A na czym opiera się twoja pewność siebie, Grzegorz? – Marek czuł, że jego adwersarz nabrał w tym pojedynku na inteligencję pewnej przewagi. Należało to jak najszybciej zmienić.

Samieł rozłożył ręce i ukazał otwarte dłonie.

– Rozejrzyj się wokół. Jak sądzisz, dlaczego te wszystkie byczki, jak tylko mnie poznały, błagały wręcz, by dołączyć do mojej grupy? Przecież fizycznie nie mam z nimi szans. Stara gangsterska szkoła uczy, że szacunek zdobywa się demonstracją siły. Krótko mówiąc, spuszczeniem łomotu tej osobie, której trzeba.

Marek rzucił okiem wokół. Mężczyźni wciąż obserwowali ich dialog z kamiennymi, pokerowymi twarzami. Mogło to trochę dziwić, zważywszy, że boss wyraził się o nich bądź co bądź trochę lekceważąco. Żaden gangster tego nie lubi.

– Bo jesteś z nich najładniejszy? – zapytał kpiąco.

– Zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego to człowiek, a nie silniejsze i znacznie groźniejsze od niego w walce wręcz zwierzęta panują nad tą planetą? Czemu my, a nie na przykład nasze lokalne niedźwiedzie polarne, które mogą wyrwać nam głowę jednym uderzeniem łapy, albo wielokrotnie szybsze i bardziej wygimnastykowane od nas dzikie koty? – Samiełowicz znowu zignorował jego zaczepki. Od początku tej rozmowy nie okazał ani jednej, choćby śladowej złej emocji. Choćby odrobinki. Być może dlatego, że zwyczajnie nie

potrafił już poruszać mięśniami twarzy, a może dlatego, że i tak tego nie potrzebował.

– Nie.

– To przez intelekt. – Samiel popukał się palcem w skroń. – To właśnie intelekt jest największym atutem człowieka. Rozwijając go i ćwicząc, jesteś w stanie zapanować nad praktycznie wszystkim na tym świecie. Tym bardziej nad takimi bestiami, jak ci dżentelmeni obok nas. Każdy z nich doskonale zdaje sobie sprawę, że choć fizycznie mi do tego daleko, to biorąc pod uwagę całość, jestem od nich znacznie silniejszy. Sprytniejszy. Że zawsze będę dwa kroki przed nimi i bezbłędnie przewidzę wszystko, co zaplanują. Zaś obserwowanie języka ciała umożliwia mi praktycznie czytanie w myślach danej osoby. Bo czego jak czego, ale akurat tego w zasadzie nie jesteś w stanie kontrolować. Możesz próbować, ale prędzej czy później i tak zawsze znajdzie się coś, co cię zdradzi. Podsumowując, żaden z nich nie odważyłby się jakkolwiek mi podskakiwać, bo doskonale wie, że skończyłoby się to dla niego tragicznie.

– Poczytaj mi więc w myślach, Grzegorz. Powiedz, co mi teraz chodzi po głowie. – Marek pochylił się nad biurkiem tak nisko, że aż prawie dotykał go brodą. Wlepił wzrok w mężczyznę przed sobą, usilnie starając się nawet nie mrugnąć.

– To bardzo proste. Czujesz strach i próbujesz nieudolnie grać odważniaka.

– Zła odpowiedź, panie jasnowidzu. Wcale nie jestem obsrany przed tobą.

– Masz rację. Nie jesteś obsrany. Nie jesteś nawet obszczany. To nie jest ani dwójka, ani jedynka. To trójka. Czyli jedynka i dwójka naraz, półpłynny produkt, efekt najgorszego możliwego bałaganu, jaki tylko może panować w twojej głowie.

– Teraz to ja się cieszę, że jesteś tak bardzo o tym przekonany, bo to oznacza, że ty mnie lekceważysz.

– Dlaczego złożyłeś ręce na piersi i schowałeś obie nogi pod taboret? – zapytał nagle Grzegorz.

Marek spojrzał na siebie. Rzeczywiście przyjął taką pozycję. Zrobił to jakiś czas wcześniej, nieświadomie, uprzednio się wyprostowawszy.

– Bo mi tak jest wygodnie.

– Przyjęcie takiej pozycji na siedzisku tego rodzaju nie wygląda zbyt naturalnie.

– Wybacz, ale chyba to ja lepiej wiem, czy jest mi wygodnie, czy nie.

– Oczywiście, że wiesz, ale widzisz tylko to, że „jest ci wygodnie”, podczas

gdy ja widzę „dlaczego jest ci tak wygodnie”. Ty widzisz tylko skutek, a ja przyczynę.

– I co to za przyczyna? Oświeć mnie.

– Już mówiłem. Strach. Czujesz dyskomfort, więc przyjąłeś taką pozycję, by się go względnie pozbyć. Mówisz: „tak mi wygodnie”. Ja bym dodał: „tak ci wygodnie w twoim aktualnym stanie emocjonalnym”. Naturalnie, że tak. Boisz się, a w ten sposób stworzyłeś ze swoich rąk coś w rodzaju bariery między tobą a tym, czego się lękasz, bo biurko to najwidoczniej za mało. Twoje nogi z kolei, a konkretnie twoje stopy, nieprzypadkowo zacierają właśnie w stronę wyjścia z tego pomieszczenia. Jako że nogi to narządy mieszczące się najdalej od naszego mózgu, najtrudniej jest nam świadomie kontrolować ich odruchy. To coś jak kompas wskazujący miejsce, w którym najchętniej byś się teraz znalazł. Czyli z dala ode mnie. Podsumowując, tak, dzięki tej pozycji podświadomie czujesz się bezpieczniej. I wygodniej. Każdy w takiej sytuacji poczułby się lepiej. Masz rację, tak ci wygodnie. I ja mam rację, tak ci wygodnie, bo się boisz.

Marek od razu rozłożył ręce i ponownie postawił stopy przed sobą.

– Tak lepiej?

– Najlepiej. Sam wiesz najlepiej, że to udawanie.

– Dobra, skończmy już ten bełkot i przejdźmy do rzeczy. Powiem ci, na czym opieram swoją pewność siebie. Skoro zrobiłeś tak dobre rozeznanie co do mojej osoby, to doskonale wiesz, że są ludzie, którzy mnie chronią. Potężni ludzie. Z kontaktami na całym świecie, także w najwyższych szczeblach władzy. I mogą o wiele więcej niż ty i twoje kloce.

– Tak sądzisz?

– Ja nie sądzę, ja to wiem.

– Mam propozycję. Zadzwoń do niego. Tu i teraz.

Marek drgnął. Już rozumiał, o co chodziło Kniziowi. To nie był ogórek. Trafnie przewidywał. Wyprzedził tą propozycją co najmniej dwie wymiany zdań, jakie Suchy planował przed przejściem do tego sedna.

– A co? I jego przekonałeś, by nie odbierał ode mnie telefonów?

– Nie, nawet z nim nie rozmawiałem. Zadzwoń.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Swego czasu Marek zadbał, by dobrze wytłumiono je przed odgłosami z zewnątrz, więc jedyne, co mogli usłyszeć wszyscy obecni, to tykanie stojącego na biurku zegara i delikatny szum padającego deszczu. Samielewicz rozsiadł się wygodnie w fotelu i patrzył wy-

czekująco na Marka, z przechyloną trochę w prawo głową, lekko znudzonym wzrokiem i delikatnie opuszczonymi powiekami.

Suchy podjął decyzję. Dobrze! Skoro szanowny pan prosi!

Z uśmiechem wyciągnął telefon, odblokował go i wybrał ten numer. Gdy przyłożył sobie urządzenie do ucha, spojrzał siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie prosto w oczy. Po raz kolejny wytrzymał ten wzrok bez mrugnięcia. Skupił się na tym tak bardzo, że nawet nie zwrócił uwagi, jak wiele sygnałów już usłyszał. Nikt nie odbierał. Grzegorz wyglądał na kogoś, kogo w żadnym wypadku to nie zaskoczyło. Oczywiście, o ile ze swoją nowiuteńką buźką był jeszcze kiedykolwiek w stanie tak wyglądać.

– Przez tydzień leżałeś odcięty od świata, więc w sumie nie dziwię się, żeś niczego nieświadomy. Mam ci to wyjaśnić, czy chcesz popробować jeszcze parę razy? Po twoim wypadku częste używanie komórki jest raczej niewskazane.

– Słucham cię uważnie. – Marek uznał, że nie ma sensu tracić czasu i schował telefon do kieszeni.

W odpowiedzi Grzegorz sięgnął do szuflady w biurku i rzucił przed Suche-
go dzisiejsze wydanie jakiegoś tabloidu. Po całym pomieszczeniu rozniósł się majestatyczny huk, zupełnie jakby w papierze ukryto sporej grubości gałąź. Na pierwszej stronie widniał duży tytuł:

„Tak skończył Polip”.

Po przeczytaniu nagłówka Marek poczuł, jak jego serce zaczyna przyspieszać. Chwycił za gazetę i pobieżnie przeleciał wzrokiem tekst. Z każdą linijką jego oczy rozszerzały się tak, jakby oczodoły nagle nabyły właściwości rozciągania się.

W największym skrócie: Polip nie żyje, popełnił samobójstwo, to nie była egzekucja ani porachunki, rodzina wspomina coś o depresji.

– Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałaś? – zapytał Grzegorz.

– Dość dawno. Pierwsze słyszę o tej depresji. Zachowywał się zupełnie normalnie. Nikt z jego ludzi też mi nic o niej nie wspominał.

– Oczywiście, że nie wspominał, bo ta depresja to tylko kaczka dziennikarska. Podejrzewam, że tak naprawdę nawet nikogo o nią nie spytali. Albo – zamilkł na moment – że ten tekst powstał na czyjeś zlecenie.

– Chcesz powiedzieć, że to ty?

Samiel pochylił się.

– Powiem ci, ale pod jednym warunkiem. Nie sprzedasz mnie psom? – za-

pytał poważnym, przystającym do jego nieruchomej twarzy tonem, ale w rzeczywistości ledwo powstrzymywał się od śmiechu, o czym świadczyły ogniki w jego oczach. Marek nie odpowiedział.

– To jest właśnie przykład czegoś, na czym opiera się moja pewność siebie, Marku – podsumował.

Suchy milczał. Jeżeli to była prawda, to jego ostatnia deska ratunku właśnie poszła się kochać.

– Co zrobiliście z Martyną? – zapytał zniechęcony, niezależnie od siebie.

– Z Martyną? – Samiel wydawał się szczerze zaskoczony.

– Z moją barmanką...

– ...i kochanką w jednym. Tak, tak, od początku wiedziałem o kim mówisz. Moje zdziwienie wynika stąd, że nie wiem, o co ci chodzi.

– Co z nią zrobiliście? – powtórzył Marek. Tracił panowanie nad sobą.

– Nic, dlaczego pytasz?

– Nie rób mi tu z prawdy kurwy!

– Przysięgam ci, że nic o tym nie wiem. Nic jej nie zrobiliśmy.

– To gdzie ona jest? I skąd wzięła się ta kałuża krwi w jej mieszkaniu?

– Nie mam pojęcia. Nie mam z tym nic wspólnego. To nie jest pytanie do mnie.

– Łżesz – Suchy wycelował w niego palcem. – Zabiłeś ją. Niewinną dziewczynę. Nic ci nie zrobiła.

– Wprowadźmy troszeczkę logiki w te nasze rozważania, Marku, bo z każdym kolejnym słowem coraz bardziej się pograżasz. Masz jakieś nienaruszalne wartości w swoim życiu? Czy zmieniasz poglądy niczym polski polityk w zależności, od której strony zawieje wiatr elektoratu?

– Mam swoje zasady. Sztywne, niezmiennie.

– Tak? Dlaczego w takim razie krytykujesz mnie za to, że rzekomo brutalnie rozprawiłem się z twoją zabawką, skoro ty robisz dokładnie to samo od dawien dawna? Z tą różnicą, że w twoim wypadku z każdym człowiekiem, który tylko może przynieść ci jakiegokolwiek korzyści, ale na swoje nieszczęście nie chce współpracować. To także byli niewinni ludzie. Często tacy, którzy doszli do swojego majątku ciężką, uczciwą pracą z wyrzeczeniami.

– Dobra, zamknij już pizdę z łaski swojej.

– Innymi słowy, krytykujesz mnie za to, że ewentualnie, podkreślam, ewentualnie zrobiłem coś, co sam robisz od lat. To nie jest posiadanie zasad, Marku. To hipokryzja. Nawet gdybym naprawdę zrobił krzywdę twojej laluni, nie

miałbyś prawa mnie za to krytykować. A że jednak to robisz, wniosek nasuwa się jeden. Chłapiasz ozorem. Nie bierzesz odpowiedzialności za swoje słowa. Nie masz zasad. Mówisz jedno, a robisz drugie.

– Dość!

– Sam zacząłeś temat. – Samiel uśmiechnął się ledwo zauważalnie.

– Czemu ma służyć ta rozmowa? Czego ty ode mnie chcesz, człowieku? Po co mnie tu ściągnąłeś?

– To proste. Chcę po raz drugi, podkreślam, drugi zadać ci to samo pytanie, które swego czasu zadali ci Czarny i Biały, a na które uparcie nie chciałeś odpowiedzieć.

– Przypomnij mi je, bo jakoś wyleciało mi z głowy. Wiesz, mój mózg ostatnio przechodził ciężki okres – odparł prowokacyjnie Marek.

– Ustępujesz po dobroci czy ustępujesz pod przymusem? Szkoda byłoby, żeby w Beermie zdarzyła się jakaś awantura. Albo małe pożarek. Ludzie mogliby przestać przychodzić.

– Szantażujesz mnie?

– Daję ci wybór. Tak jak każdemu z twoich ludzi. Byli rozsądni.

– Co jeżeli odmówię?

– Jeżeli odmówisz – zaczął Samiel i celowo poprzedził swoje dalsze słowa krótką pauzą – zrobię ci najgorszą rzecz, jaką tylko mógłbym zrobić. Nawet nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie zabiję cię. Nie będę też cię torturował. To przeżytek. Zrobię ci coś o wiele gorszego.

Marek milczał. Czekał. Patrzył mu w oczy.

– Odbiorę ci każdą rzecz, która kiedykolwiek wywołała w tobie uczucie szczęścia. Każdą, co do jednej. Na razie zacznę od tego lokalu. To za karę, że się stawiasz. Poza tym podoba mi się. Ma fajną atmosferę.

Nim Suchy zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Grzegorz dodał jeszcze:

– Wynoś się. Na ostateczną odpowiedź daję ci dwadzieścia cztery godziny. Do tego czasu masz spokój. Ani chwili dłużej.

Marka znowu chwyciły z obu stron dwie pary grubych, zwierzęco silnych rąk. Został błyskawicznie wywleczony z biura i, na oczach wszystkich gości Beermy, a także własnych barmanek, wyrzucony na ulicę. Stracił równowagę i wylądował twarzą prosto w pokażnej kałuży. Krztusząc się i plując, dźwignął się na czworaka. Przeszkłone drzwi od jego pubu zamknęły się za nim z trzaskiem tak głośnym, że przebijającym się nawet przez odgłosy burzy. Zobaczył przez szybę, że pozostało przy nich dwóch karków Samiela. Pilnowali, by

przypadkiem nie wślizgnął się do środka ktoś, kto nie był tam zbyt mile widziany.

Aneksja Beermy stała się faktem.

BÓL

Krople deszczu były tak ostre, że zadawały mu ból. Już po paru sekundach zrobił się zupełnie mokry. Nie miał przy sobie ani kurtki, ani parasola, a jego pozostałe pod domem ciepłe, suche porsche wydawało się teraz niemożliwym do spełnienia, utopijnym marzeniem. To jednak nie ziąb ani przemoknięcie do suchej nitki bolało go w tej chwili najbardziej.

Upokorzenie. Bezsilność. Frustracja. Samotność. A do tego niesprzyjanie losu. Gdy wyciągnął swój smartfon, okazało się, że jest rozładowany. Musiał więc samodzielnie dojść na najbliższy postój taksówek, który mieścił się przy parku Konstytucji Trzeciego Maja.

Ulica Chłodna, deptak, którym się teraz poruszał, o tej porze zupełnie opustoszała i rozświetlały ją jedynie niskie, ozdobne latarnie. Ich słaby blask wydawał się jakby tłumiony przez wszechobecną ciemność. Jakby już ledwo żył, dogorywał i dosłownie za moment miał zupełnie zniknąć.

Marek wzdrygnął się. Choć dało się odczuć, że letnie powietrze jest wciąż relatywnie ciepłe, zimny deszcz bardzo z nim kontrastował. Działał jak zanurzenie się w lodowatej wodzie zaraz po wyjściu z sauny.

Gdy Suchy doszedł do ulicy Kościuszki, przy której znajdował się park, był tak zrezygnowany, że nie miał nawet siły na kolejne przekleństwo. Na postoju taksówek nie zastał bowiem ani jednej. Całe miasto przypominało o tej porze jeden wielki pustostan. Po ozdobnym bruku ulicy Kościuszki nie jechał nawet jeden samochód. W zasięgu wzroku próżno było szukać choćby jednego piesszego, którego Marek mógłby poprosić o skorzystanie z komórki. Włożył więc zziębnięte dłonie pod pachy i podjął jedyną słuszną decyzję o powrocie do domu piechotą. Chcąc na siłę doszukiwać się pozytywów sytuacji, w której się znalazł: przynajmniej zyskiwał trochę czasu na przemyślenie wszystkiego na spokojnie. Tylko gdyby nie ten cholerny, nasilający się ból prawej stopy.

Ech.

...boli...

Zatrzymał się i uważnie rozejrzał. W swojej wędrówce dotarł właśnie do urzędu miasta. Nie potrafił stwierdzić, czy nie spotkał go właśnie jakiś dziwny słuchowy omam, ale dałby głowę, że przed chwilą dość wyraźnie usłyszał to

słowo. Niemożliwe, biorąc pod uwagę, że w pobliżu próżno było szukać kogokolwiek oprócz niego.

Podjął marsz.

Pomyślał o Polipie. Choć Samiel właściwie nie przyznał mu się do niczego konkretnego, Marek nie wątpił, że to on zlecił morderstwo warszawskiego bossa. Nie wierzył w dziennikarskie bzdury o samobójstwie. Grzesznik zabił. Suchy był tego pewien tak samo jak tego, że Marię Suchocką właśnie teraz coś boli.

...o Jezu, jak boli...

Znowu się zatrzymał. Tym razem słuch go nie mylił i zarejestrował te słowa wyraźniej niż poprzednio. Znowu się rozejrzał, by na koniec spojrzeć za siebie. Podobnie jak w przypadku Chłodnej, jasność światła latarni przy ulicy Kościuszki pozostawiała wiele do życzenia. Przez niesamowicie gęstą ścianę wody Marek nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, ale w pewnym momencie wydało mu się, że dojrzał w oddali czyjąś rozmytą sylwetkę. Jej właściciel, zdaje się, podążał w tym samym kierunku co on.

Nieważne.

Wrócił do swoich rozmyślań.

Śmierć Polipa brzmiała z jednej strony na złą, a z drugiej na dobrą wiadomość. Złą, ponieważ zginął ktoś, kto roztaczał nad Suchym parasol ochronny. Dobrą, bo Marek nie musiał już odpalać bossowi doli z kręcenia lodów. Nie musiał się dzielić z nikim, przynajmniej do momentu, w którym upomni się o to ktoś, kto obejmie przestępczy tron w Polsce. Ta gałąź gospodarki nie uznawała bezkrólewia.

Nagle doznał olśnienia.

Samielewicz nie zadawałby sobie tyle trudu, by zabijać najpotężniejszego polskiego gangstera po to, by dowalić Suchemu. Za dużo zachodu. Tym samym odniósł jedynie dodatkową korzyść. Tak naprawdę chodziło tu o coś zupełnie innego. Na to wyglądało.

On chce stworzyć w Suwałkach nowy Pruszków! I to kto wie, może nie tylko w skali krajowej. Dlaczego nie pójść za ciosem i nie zagarnąć od razu Obwodu Kaliningradzkiego, Litwy i przynajmniej części Białorusi? Suwałki, jako centralna baza dowodzenia taką firmą, nadawały się do tego jak znalazł. Gdyby mu się udało, stworzyłby jedną z najprężniej działających grup współczesnej Europy. I taplałyby się w forsie jak mało kto.

...zimno mi...

Uderzył piorun, a Marek aż podskoczył. Znowu się odwrócił. Wzrok go nie mylił, na pewno ktoś za nim szedł. Przez gęsty deszcz wciąż nie widział tej postaci do końca wyraźnie, ale zbliżała się do niego. Na sto procent. I to ona wypowiadała słowa, które od czasu do czasu docierały do jego uszu.

Wtem zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Przemoknięte włosy i tak stały mu dęba. Tuż za plecami tego kogoś, niczym w jakiejś podwodnej czeluści, panowała nieprzenikniona ciemność. I nie chodziło tu wcale o to, że gęstość deszczu uniemożliwiała zobaczenie latarni. Nie, wyglądało to tak, jakby tajemniczy osobnik wyznaczał przesuwającą się granicę między jasnością a mrokiem, czego potwierdzenie Marek otrzymał jak na tacy. Na jego oczach, ledwo minięta przez kroczącą za nim postać, zgasła kolejna latarnia. Za nią nie można było zobaczyć już absolutnie nic.

Lawina ciemności. Fala. Niczym przeraźliwie gęsta, prąca naprzód chmura smogu. Przed nią ten ktoś.

A może coś?

Czerń zbliżała się do Marka z każdym krokiem nienaturalnie szczupłej postaci. Ten element wyglądu osobnika stanowił jedyną rzecz, którą można było na jego temat stwierdzić z całą pewnością, ponieważ słabe światło nie ułatwiała zadania. Trudno było rozstrzygnąć, czy to mężczyzna, czy też kobieta. To coś szło na dwóch nogach, nieco chwiejnym, ale dość szybkim. Szybszym niż Marek, tym bardziej, że wciąż dokuczał mu ból stopy.

Nagle Suchy poczuł niepokój.

Zdał sobie sprawę, że im bardziej postać się do niego zbliżała, tym bardziej w jego głowie narastał ten znany ze szpitala wysoki szum połączony z piskiem. Co gorsza, w przeciwieństwie do ostatniego razu, teraz obu tym dźwiękom towarzyszył straszny, powiększający się migrenowy ucisk wewnątrz czaszki.

Marek odwrócił się z powrotem w kierunku swojej wędrówki i ruszył jak najszybszym krokiem przed siebie. Z jakiegoś powodu czuł, że pod żadnym pozorem nie powinien dopuścić, by to coś za nim go dogoniło.

Boli, boli. O Jezu, jak boli!

Ból, szum i pisk stawały się coraz intensywniejsze i przez nie, podobnie jak w przypadku ze starym Rodziewiczem, Suchy zaczynał coraz mniej wyraźnie widzieć. Świat wokół pulsował w idealnej synchronizacji z uderzeniami w jego głowie. Przez nieostrość w stawianiu kolejnych, szybkich kroków, Marek niespodziewanie potknął się i upadł na mokry chodnik. Nie odważył się

jednak raz jeszcze spojrzeć za siebie. Wstał i czym prędzej podjął marsz. Od-
dychał głęboko i krzywił się, gdyż stopa odmawiała mu posłuszeństwa.

Zimno... Zimno mi, o Jezu, jak mi zimno.

Słyszał kroki tego czegoś za sobą. Słyszał słowa. Mógł też stwierdzić nieco
więcej o barwie tego głosu. Brzmiał jak kobiecy, ale Marek czuł, że to coś na
pewno nie jest kobietą. Mężczyzną bynajmniej też nie. Czuł, że to coś jest nie
z tej rzeczywistości. Utwierdzały go w tym przekonaniu niecichnące pstryknię-
cia za plecami, odpowiadające kolejnym gasnącym latarniom. Wszystko to –
słowa, kroki, pyknięcia i ciemność – zbliżało się do niego w zatrważającym
tempie.

No i ten strach. Narastające w nim przerażenie, którego już ani trochę nie
kontrolował.

W końcu poddał się. Wyczerpanie i lęk wysały z niego resztki sił. W do-
datku, jako że zwyczajnie nie był w stanie dalej iść, musiał dać odpocząć sto-
pie. Do tego ogarnęły go mdłości połączone z zawrotami głowy od hałasów
i bólu wewnątrz czaszki.

Zatrzymał się. Ale wciąż nie śmiał się odwrócić.

Pstryk.

Pstryk.

Pstryk. Ostatni.

Następna latarnia umiejscowiona była już zaledwie kawałeczek przed nim.

Wziął głęboki oddech i obrócił się.

Po raz pierwszy w życiu widział coś takiego. Ścianę gęstej jak atrament
ciemności przemieszaną ze ścianą wody. Obie tak nieprzeniknione i mroczne,
że nie potrafił w nich dostrzec nawet tej kroczącej za nim postaci, która znaj-
dowała się teraz mniej więcej kilka metrów od niego. Wiedział, że tam jest
i także się zatrzymała. O jej obecności świadczyły trzy niezawodne symptomy.

Cholerny szum, pieprzony pisk i ten okropny, makabryczny ból.

Gdy to się wydarzyło, nie zdążył w żaden sposób zareagować. Postać zrobi-
ła kilka błyskawicznych kroków w jego stronę i chwyciła go zdeformowanymi,
sinymi dłońmi za policzki. Spojrzał na jej zniekształconą, pokrytą pojedynczy-
mi kępkami długich włosów głowę, przypominającą połączenie Golluma ze
zmasakrowanym trupem pozbawionym nosa. Wrzasnął i odskoczył do tyłu, łą-
dując pośladkami w kolejnej kałuży.

– Boli mnie! Tak bardzo mnie boli! Nie chcę już żyć! Błagam – zajęczała za-
łośnie poczwara, stopniowo się do niego zbliżając. Próbował wstać, ale nogi

odmawiały mu posłuszeństwa. Jedyne, co mu w tej chwili pozostało, to czołgać się do tyłu. Próbował patrzeć na tę postać, ale przez nieprzystające mu dokuczające dolegliwości wciąż nie widział jej ostro, podobnie jak całej reszty obiektów wokół siebie. Na pewno była naga, zgarbiona, trupio blada, przeraźliwie wychudzona, jak kobieta w ostatnich, najgorszych stadiach anoreksji, i miała nienaturalnie długie kończyny.

– Tak bardzo mi zimno. Błagam. Nie chcę już tego czuć. Muszę to skończyć.

– Zostaw mnie w spokoju! Nie dotykaj mnie! – krzyknął Marek. Przemógł się, dźwignął na nogi i najszybciej jak tylko mógł, zaczął biec drogą wyznaczaną przez światło dotychczas jeszcze niewygasłych latarni. Nie patrzył za siebie. Nie myślał o niczym innym, nie myślał o bolącej nodze. Tylko o tym, by uciec tej istocie. By jej nie słyszeć, by nie czuć jej obecności za sobą, by nie dać jej się znowu dotknąć. Ani razu.

Zatrzymał się dopiero przy kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła, który mieścił się naprzeciwko suwalskiego stadionu lekkoatletycznego. Ciężko oddychając, pochylił się i oparł ręce o uda, podczas gdy lodowaty deszcz nieprzerwanie atakował jego plecy. Gdy dochodził do siebie, spojrzał spode łba w kierunku, z którego właśnie przybiegł, ale na szczęście latarnie wciąż świeciły tak, jak powinny. Żadna z nich nie gasła, nawet te najdalej w zasięgu wzroku. Trochę go to uspokoiło. Znajdował się w zasadzie bardzo niedaleko swojego celu, czyli ciepłego, bezpiecznego domu i jeszcze cieplejszego łóżka w jeszcze bezpieczniejszych objęciach żony.

Kiedy poczuł się pewniej, wyprostował się i zaczął iść, tym razem przez parking pod kościołem, prosto ku zaczynającemu się za nim osiedlu Hańcza.

Zrozumiał swój błąd mniej więcej w połowie ścieżki biegnącej przez sąsiadujący ze świątynią cmentarz. Nie pomyślał o tym, ponieważ w pewien chory sposób przyzwyczał się już do ostrzegających go szumu, pisku i bólu, które nie ustały nawet, gdy uciekł tamtej istocie. Nie bez powodu wciąż je słyszał i czuł. Teraz, kiedy szedł przez pograżony w kompletnej ciemności, nieoświetlony choćby przez znicze cmentarz, gdzie pomiędzy niektórymi grobami stały ciemne, nieruchome ludzkie sylwetki, już wiedział dlaczego.

Zacisnął zęby. Starał się nie oglądać na boki. Nie wykonywał gwałtownych ruchów, tak jakby miało to sprowokować te postaci do ataku. Wpatrywał wyjścia z cmentarza, które znajdowało się teraz jakieś dwadzieścia metrów przed nim. Liczył w myślach każdy dzielący go od niego krok i być może to właśnie dlatego droga niemiłosiernie mu się dłużyła. Na wszelki wypadek

szedł bardzo wolno, jakby licząc, że stwory go nie zauważą, choć i tak wiedział, że wszystkie skupiają się właśnie na nim. Tylko i wyłącznie. Jak wataha drapieżników czekających na odpowiedni moment, by zaatakować swoją ofiarę. Czuł to. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Jak tylko przekroczył bramę cmentarza, znowu zaczął biec. Nie zatrzymał się ani razu do momentu, gdy bardziej spocony niż mokry od deszczu wbiegł na posesję przy ulicy Gołdapskiej.

ŚMIECHY I KROKI

Otworzył drzwi do domu i zamknął je za sobą z trzaskiem. Oparł się o nie plecami, ciężko dysząc. Ból, szum i pisk w jego głowie niemal całkowicie zniknęły. Nie wiedział, czy ma się z tego cieszyć, czy nie.

Albo mu już totalnie odbijało, albo...

Nie, nawet nie chciał o tym myśleć.

Oderwał się od drzwi, pozostawiając na nich ogromną, wilgotną plamę. Kiedy szedł w głąb domu, na swojej drodze pozapalał wszystkie możliwe światła. Błyskawicznie pozbył się obficie nasiąkniętego wodą i upaćkanego błotem ubrania. Niemal przebiegł przez korytarz luster i szybko pokonał stopnie na piętro. Nie gasił za sobą świateł. Zabrakło mu odwagi.

Kasia, Adam i Iwonka już spali. Marek po cichu wszedł do sypialni, gdzie wyjątkowo nie zapalił lampki, ubrał się w cudownie suchą piżamę i wsunął do łóżka obok żony. Światło z korytarza trochę raziło go w oczy, ale nie dbał o to. Szczelnie opatulił się kołdrą, a głowę nakrył poduszką. I, choć wkrótce na powrót pokrył go pot, drżał.

Ze strachu. Dokładnie tak. Ze strachu i niepokoju. Nie próbował nawet temu zaprzeczać. Grzegorz Samielewicz przeczytał go pod tym względem bezbłędnie.

Niemniej, w jednym boss się pomylił. To nie jego Marek bał się teraz najbardziej.

Jakiś czas potem obudził go dzwonek telefonu. Wciąż mając zamknięte oczy, nieprzytomny sięgnął po urządzenie. Przez to nie zauważył dwóch rzeczy. Po pierwsze, że za jego plecami, w świetle wyświetlacza smartfona, przesunął się po ścianie bezkształtny cień, który przypominał wielkiego, pełzającego kleksa. Po drugie, że wszystkie światła, które do tej pory zapalił, były zgaszone.

Przeczytawszy, kto do niego dzwoni, przeklął. Usiadł na łóżku.

– O co chodzi? – zapytał szeptem i odwrócił się plecami do Kasi.

– Mareczek? – odezwała się Maria Suchocka.

– A kto inny może używać mojego telefonu? O co chodzi? Jest druga w nocy!

– Musisz mi pomóc – zajęczała.

– O co chodzi?

– Nie mogę wstać.

– I tylko z tego powodu budzisz cały mój dom?

– Proszę cię. Przyjedź. Nie mogę nawet pójść do toalety. Nie dam rady – zaczęła płakać.

– Mamo, nie możesz stawiać nas na nogi o dowolnej porze dnia i nocy tylko dlatego, że nie możesz wstać! A poza tym na pewno możesz, jak zwykle się pieścisz!

– Kiedy ja naprawdę nie mogę. Nic nie rozumiesz. Umrę zaraz – załkała.

Marek westchnął. Zamknął oczy i zaczął przecierać je sobie palcami. Był w kropce. Jeżeli nie przyjedzie, ta stara idiotka bez żadnych wyrzutów sumienia zadzwoni na przykład do pani Halinki. Biedna, sympatyczna staruszka do niej przyjdzie. Przyjdzie, a jakże! Zerwie się z łóżka, rzuci swoją koronkową, przedpotopową koszulę nocną, czy co tam ma, ubierze pachnący starością sweterek i przyjdzie wyłącznie po to, by pomóc tej zrzędzie wstać. Miała zbyt dobre serce. Nie mógł na to pozwolić.

– Dobra, do nikogo już nie dzwoń. Przyjadę.

– Tylko szybko, bo nie wytrzymam.

– Najszybciej jak się da. Czekaj na mnie – powiedział i zakończył połączenie.

Gdy odłożył telefon, znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Z początku słyszał jedynie oddech Kasi, lecz po chwili dźwięk, który zarejestrował, powtórzył się.

Kroki. Szybkie.

I dopełniający je cichy, cienki chichot.

Marek wstał i wyprostował się. Zrobił to tak wolno, że trzasnęły mu wszystkie możliwe stawy.

Tym razem nie zabronił mu tego żaden SMS, więc podszedł do szafki i wyjął z niej pistolet. Bardzo cicho odbezpieczył go i powoli ruszył ku źródłu podejrzanych hałasów.

Tup, tup, tup... Hi, hi, hi, hi... Tup, tup, tup... Ha, ha, ha, ha, ha...

Gdy dotarł do połowy rozległego korytarza, już wiedział. Nie poprawiło to jego samopoczucia. Tajemnicze odgłosy dobiegały bowiem nie z niebieskiego

pokoju, nie ze sporej łazienki, nie ze znajdującej się nad garażem suszarni. Ani z pokoju rekreacyjnego, w którym jeszcze do niedawna często spędzał czas z chłopakami przy wódeczce, piłkarzykach i bilardzie. Nawet nie z garderoby wielkości małego magazynu, w której osiemdziesiąt procent ubrań należało do Kaśki.

Nie.

Śmiechy i kroki dobiegały z pokoju Iwonki. Z miejsca, w którym stał, Marek nie mógł zobaczyć, co się w nim dzieje. Ostatnie kilka metrów dzielące go od drzwi pomieszczenia pokonał ze wstrzymanym oddechem.

Wreszcie stanął u progu.

Pokój całkiem rozświetlały jaskrawe, ledowe latarnie z zewnątrz. Prawie nic nie odbiegało od normy. Pod tym względem Suchockim mógł pozazdrościć córki niemal każdy inny rodzic na tym świecie, ponieważ sumiennie dbała, aby jej drogocenne rzeczy – skarby, którymi mogła chwalić się ze swoim nieodłącznym „a to jest moje!” – leżały na swoim miejscu. Czy to chodziło o ubranka, czy o pokaźną kolekcję zabawek, książeczek i gier planszowych, czy o kredki i ryzę papieru do rysowania. Absolutnie wszystkie z wymienionych obiektów znajdowały się tam, gdzie powinny.

Nie znaczyło to jednak, że wszystko się zgadzało. Zauważenie tego zajęło Markowi zaskakująco sporo czasu.

W zasadzie nie „tego”, a „jej”.

Zastał Iwonkę w najbardziej zacienionym kącie pokoju. Nie w łóżeczku, nie na podłodze. Zwisiała z sufitu głową w dół, siedząc do góry nogami, na czworakach. Bez ruchu, jak posąg. Wyglądała jak jakiś gigantyczny owad, mucha albo pajak. Jak ogromne, przyklejone do sklepienia gniazdo os albo kokon. Jak pieprzona, dziewczęca imitacja Spider-Mana ubranego w piżamę jego córki.

Marek zeszywniał. Opuścił broń. Widok był tak abstrakcyjny, że zabrakło mu języka w gębie.

Iwonka zachichotała, poruszyła się i z niewiarygodną szybkością zaczęła pełzać na czworakach, najpierw po suficie, a potem po ścianie. Uciekała przed czymś. Suchy zrozumiał, że w tej scenie występuje jeszcze jedna postać. Do tej pory jej nie widział, ponieważ ukrywała się tuż nad wejściem do pokoju. Tuż nad Markiem, idealnie poza polem jego widzenia.

Podczas gdy dwoje jego dzieci jak gdyby nigdy nic oddawało się zabawie w berka po wszystkich możliwych płaszczyznach tego pomieszczenia, on stał jak sparaliżowany i gapił się na to w niemym szoku.

Wreszcie odzyskał głos.

– Adaś? Kiwi?

Drgnął, kiedy równocześnie się zatrzymali i spojrzeli na niego, jakby dopiero teraz zauważyli jego obecność. Obydwoje siedzieli na suficie, obok siebie, zwisając z niego głowami w dół na tle okna rozświetlonego przez uliczne lampy. Jak dwa ogromne nietoperze.

Nagle, perfekcyjnie synchronicznie, zaczęli pełznąć w jego stronę z zawrotną szybkością i ze złośliwym, cichym śmiechem. Marek stał jak zamrożony. Nie mógł się ruszyć. Stracił czucie w nogach. Wciąż nie odrywając wzroku od zbliżających się postaci, instynktownie sięgnął lewą ręką do kontaktu, który w pokoju Iwonki znajdował się zaraz przy drzwiach. Kiedy w poszukiwaniu włącznika nieostrożnie dotknął ściany, jego dłoń rozpałił przenikliwy, ostry ból, ale nie poddawał się.

– No dalej. Dawaj, włącz się! – mruknął przez zaciśnięte zęby, wpatrując się jak zahipnotyzowany w te istoty, które dzielił teraz zaledwie metr, półtora od niego.

Wreszcie odnalazł dłonią upragniony przycisk.

Jak tylko pokój rozświetliła żarówka, on, jakby dzięki temu, odzyskał czucie w nogach. Automatycznie odskoczył do tyłu i stracił równowagę. Już po upadku instynktownie uniósł prawą rękę w obronnym geście. Zmrużył oczy, nieprzyzwyczajone jeszcze do tak jasnego światła.

Nic się nie wydarzyło, a on od razu przypomniał sobie o bólu lewej dłoni, którego dotkliwość sprawiła, że z miejsca zapomniał o wszystkim innym.

Przeklął, jęknął, usiadł i wsadził sobie rękę pod pachę. Głęboko oddychał. Pistolet wylądował z łoskotem na ziemi, ale na szczęście nie wystrzelił. Jeszcze by tego brakowało.

– Co...? O co chodzi? – rozległ się sopran Iwonki, po którym Marek przypomniał sobie o jej obecności. Spojrzał przed siebie.

Dziewczynka leżała w łóżku. Normalnie, tak jak zawsze, pod kołdrą. Opierała się na łokciach i wpatrywała się w Suchego z mieszkanką strachu i zdziwienia, zupełnie jakby wredny ojciec przyszedł do jej pokoju i złośliwie, bez żadnego powodu włączył jej światło. I jeszcze doprawił to rzuceniem na podłogę jakiegoś ciężkiego przedmiotu, co poskutkowało oczywistym w takim układzie przebudzeniem dziecka.

– Tata?

Marek nie odpowiedział. Spoglądał na nią z niedowierzaniem, sapiąc

z bólu. Drżał jak osika. Od czasu do czasu odrywał od niej wzrok, by nerwowo rozejrzeć się po suficie i ścianach.

– Co ci jest?

Prawie podskoczył, gdy tuż za nim rozległ się głos Adama. Jego syn stał w drzwiach od swojego pokoju, który mieścił się naprzeciwko sypialni Iwonki. Marek zmierzył go od stóp do głów przekrwionymi oczami i wciąż nieprzytomnym wzrokiem.

– Marek? – Na scenie naturalnie nie mogło zabraknąć również i obudzonej hałasami Kasi, która stanęła w progu sypialni. Zapaliła światło w korytarzu.

Wszyscy troje od razu spojrzeli na pistolet, który swoim czarnym kolorem zdecydowanie rzucał się w oczy na tle paneli. Suchy porwał go z ziemi i zabezpieczył.

– Co ci jest? Dlaczego jesteś taki przerażony? Po co ci ten pistolet? Co ci się stało w rękę?

Marek w dalszym ciągu nie odpowiadał. Czuł ogromny dyskomfort, skupiając na sobie spojrzenia bliskich i nie wiedząc, gdzie samemu podziąć oczy.

– Co ci jest? Postrzełeś się? Pokaż. – Kasia ostrożnie podeszła do męża.

– Nic mi nie jest! Zostaw mnie! – krzyknął wysokim, piskliwym, niepasującym do niego głosem i odsunął od siebie jej dłoń.

Po jego wrzasku zarówno ona jak i Adam cofnęli się z zaniepokojeniem. Iwonka zaś wciąż leżała w łóżku, nie mając odwagi nawet drgnąć. Kasia jeszcze raz spojrzała na Marka, na pistolet, potem w kierunku drzwi od pokoju córki, znowu na Marka, znowu na pistolet, po czym zrobiła taką minę, jakby nagle zrozumiała wszystko.

– Marek... Chcę ci tylko pomóc. Wszyscy chcemy ci pomóc. Bardzo cię proszę. Odłóż ten pistolet – wymamrotała drżącym głosem.

Popatrzył ze zdziwieniem na jej wykrzywioną lękiem twarz i zrozumiał.

– Ty myślisz, że ja chciałem...? To nie tak.

Teraz to on ruszył w jej stronę, ale i Kasia, i Adam zareagowali na to gwałtownym wycofaniem się w kierunku sypialni. Obydwoje położyli też dłonie na klamkach.

– Kasia, kochanie... To nie tak, ja...

– Oddaj pistolet! – zawołała, a z oczu zaczęły cieknąć jej łzy.

– Dobrze, oddaję.

Nie miał wyboru. Jeżeli chciał, by mu uwierzyli, musiał robić, co mu kazali. Upewnił się, że pistolet jest zabezpieczony i przesunął go po podłodze do

żony. Kasia ostrożnie podniosła go i chwyciła w obie dłonie.

– Nie chciałem jej skrzywdzić, przysięgam.

– Jesteś po wypadku.

– Tak, wiem, ale zapewniam was, że nie chciałem...

– Możesz nie myśleć do końca jasno.

– Ależ myślę, skarbie! Myślę normalnie. Wszystko jest w porządku.

Prawie – dopowiedział sobie w myślach.

– Każdy z nich tak twierdzi.

– Z nich...?

Ku jego zdziwieniu, odbezpieczyła pistolet i wycelowała go prosto w niego.

– Kaśka! Co ty wyrabiasz?!

– Po co tam z tym poszedłeś?

– Kaśka...

– Odpowiadaj!

– Już! Spokojnie! – Marek czuł się idiotycznie. Prawie tak, jakby stał przed nim jakiś glina. Uniósł dłonie. Ten gest bynajmniej nie polepszył jego sytuacji. Choć wydawało się to niemożliwe, Kasia rozszerzyła oczy jeszcze bardziej.

– Co ci się stało w dłonie? Dlaczego masz je takie poparzone?

Marek przeklął w myślach.

Kusiło go, by powiedzieć prawdę, lecz dla pomyślnego i jak najszybszego zakończenia nieszczęsnej rozmowy zaniechał tego pomysłu. Postanowił powiedzieć coś mocnego, wiarygodnego i niby ukrywanego, co odwróciłoby jej uwagę przynajmniej od dłoni.

– Porachunki. Goście z konkurencyjnej grupy polali mnie kwasem solnym. Już jest ok, załatwiłem to i nie ma tematu. Zadowolona?

– Po co poszedłeś do jej pokoju z pistoletem?

Marek w duchu odetchnął z ulgą. Kupiła to. Przynajmniej to.

– Usłyszałem dziwne odgłosy i chciałem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Po ostatnich wydarzeniach nie chciałem ryzykować.

– Dlaczego nie spałeś? Zawsze śpisz jak zabity. To ja mam słaby sen i nic nie słyszałam.

– Ta idiotka, moja matka, obudziła mnie. Zadzwoiła – zaczął i nagle poczuł się raźniej – bo nie może wstać z łóżka. Nie chciałem, żeby obudziła połowę Suwałk, więc powiedziałem jej, że przyjadę. Mogę ci pokazać historię połączeń.

- Pokaż.
- Telefon leży na komodzie.
- Przynieś go.
- Kaśka, zachowujesz się, jakbym...
- Przynieś!

– Idę. – Wstał i powoli ruszył ku niej. Odsunęła się na bezpieczną odległość i przepuściła go w drzwiach, wciąż nie przestając w niego celować. Kiedy ją mijął, spojrzął na żonę z mieszaniną zdziwienia i niepokoju.

Wziął komórkę i zamarł. Była wyłączona. Rozładowana. Nic dziwnego, w końcu po tym, jak wrócił z Beermy, nie podłączył urządzenia do ładowania. Nie miał wtedy głowy do takich rzeczy. To oznaczało, że nie mógł przez nie z nikim rozmawiać.

– No? Pokaż.

– Rozładowała się – powiedział w końcu. W głowie gorączkowo szukał wiarygodnej wersji zdarzeń.

– Rozładowała się, tak? – zapytała Kasia tonem, w którym pobrzmiwała zarówno nuta pokpiwania, jak i poważnego roztrzęsienia.

– Tak, wygląda na to, że właśnie teraz.

– To podłącz ją do ładowania.

– Kaśka, ale serio, ty naprawdę myślisz, że bym coś jej zrobił?

– Nie dyskutuj, podłącz!

Posłusznie wziął ładowarkę i użył jej, pilnując, by znowu przypadkiem nie dotknąć ściany. Po kilkunastu sekundach telefon ponownie nadawał się do włączenia. Gdy Marek otwierał historię połączeń, na dłoń spadła mu kropelka potu z czoła.

Spis przychodzących rozmów świecił jedną wielką pustką. Nie powinno to jakkolwiek dziwić, w końcu od kiedy włożył kartę do zapasowej komórki, nie kontaktował się z nim nikt poza Marią Suchocką. Oraz, SMS-owo, dwójką gangsterów. Jednym o blond, a drugim o czarnych włosach.

– Pusta – mruknął zgodnie z prawdą. Musiał.

– Czyli?

– Rozmawiałem z nią. Przysięgam ci. Historia połączeń jest pusta. Musiała się zresetować, jak padł mi telefon – skłamał. Musiał.

Kasia milczała. Wyglądała, jakby chciała mu uwierzyć, ale brak sensownego wytłumaczenia tego, co widziała, na to nie pozwalał.

– Daję ci ostatnią szansę. Zadzwoń do niej. Teraz. Niech potwierdzi twoją

wersję.

Z punktu widzenia Marka propozycja ta nie brzmiała aż tak źle. Jednocześnie czuł dziwny niepokój. Więcej, nawet pewność, że jego niedołączna matka nie będzie tego pamiętać. Spodziewał się po niej również i takich numerów. Ostatnio zdecydowanie nie cierpiał na nadmiar szczęścia.

– Jak chcesz – zaczął i w tym samym momencie poczuł, jak telefon wibruje mu w dłoni. SMS. Ucieszył się w duchu. To na pewno od operatora, z informacją, że w czasie, kiedy miał wyłączoną komórkę, ktoś zamierzał się z nim skontaktować. Że stara Suchocka powtórnie chciała wyjęć mu w słuchawkę „co tak długo, ja tu nie wytrzymuję z bólu!”. Na pewno to! Na sto procent.

Zamarł.

Nieznany numer.

Nieznany, ale Suchy z jakiegoś powodu wiedział, kto to napisał. Wiedział dosko-kurwa-nale.

Tik tak, tik tak, tik tak.

– Kto to? – zapytała Kasia.

– Pepe, z jego nowego numeru. Debil robi sobie żarty. Dupek. Mówiłem mu, żeby tego nie robił – skłamał Marek. Musiał. Po trzykroć musiał.

– Dzwon.

Ciesząc się w duchu, że po raz kolejny kupiła jego bajeczkę, wybrał numer do Marii.

– Ustaw na głośnik – poleciła Kasia.

Zrobił, jak powiedziała.

– Halo? – rozległ się zaspany głos.

– Cześć mam, jak się czujesz?

– Kto mówi?

– Marek. Twój syn.

– Marek, cholera, o co chodzi? Czemu dzwonisz? Jest noc. Obudziłeś mnie.

Drgnął.

– To ty dzwoniłaś do mnie dziesięć minut temu. Że nie możesz wstać i że-
bym przyjechał.

– Ja?

– No ty, ty!

– Na pewno nie. Spałam.

– Mam! Dzwoniłaś! Musiało ci się przysnąć i zapomniałaś.

– Na pewno nie dzwoniłam! Już nie przesadzaj, pamiętałabym coś takiego.

Przeklinając w myślach, Marek wpatrywał się w telefon, a kątem oka obserwował Kaśkę i dzieciaki, które wyglądały zza drzwi.

– Mam przyjechać?

– A po co? Na służbę? Jak się dobrze czuję, to was nie męczę.

Szlag – pomyślał – *lepiej to zakończyć, bo będzie tylko gorzej.*

– Dobra. Skoro już nie potrzebujesz pomocy, to dobranoc.

Rozłączyła się pierwsza, bez pożegnania, jak to miała w denerwującym zwyczaju.

Marek westchnął. Nie miał odwagi spojrzeć żonie w oczy.

– I co ja mam z tobą teraz zrobić? – Kasia nie przestawała w niego celować. Łzy na powrót zaczęły cieknąć jej z oczu cienkim strumieniem.

– Kochanie, ja naprawdę sobie tego nie wymyśliłem. Nigdy w życiu nie skrzywdziłbym żadnego z was.

– Chciałabym w to wierzyć.

– Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła? Powiedz. Zrobię wszystko.

Przez moment patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami, nie przestając płakać.

– Jedź do niej.

– Do kogo?

– Do matki. Pomieszka tam trochę. I przez ten czas się do nas nie zbliżaj.

– Ty żartujesz teraz? Przecież...

– Póki co nic innego nie przychodzi mi do głowy. Muszę to przetrwać. Nie ufam ci.

– Wyrzucasz mnie z własnego domu? – Niedowierzenie Marka ustępowało coraz większej fali gniewu. W końcu był niewinny! Nie zasłużył sobie na to.

– I idź do psychiatry. Niech on oceni, czy wszystko z tobą w porządku.

– Wszystko jest ze mną w porządku!

– Jeżeli on tak powie, to wtedy ci uwierzę. I przeproszę.

– Chyba was wszystkich... – Zrobił krok w jej stronę, ale Kasia mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu.

– Marek, proszę, nie utrudniaj tego. Powiedziałam ci, co musisz zrobić. Ledwo co obiecałeś, że zrobisz wszystko. Weź odpowiedzialność za swoje czyny i słowa. Przestań histeryzować, bo to naprawdę nie jest nam teraz do niczego potrzebne – powtórzyła zdanie, które całkiem niedawno sam jej powiedział.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu.

– Jebał to pies – warknął w końcu. – Przepuść mnie, muszę się ubrać i wziąć ciuchy.

Wciąż będąc na muszce, spakował do sportowej torby trochę ubrań i bielizny. Wziął też swój laptop, podstawowe kosmetyki i szczoteczkę do zębów, po czym zszedł na dół. Był tak wściekły i rozżalony, że odechciało mu się чуłych pożegnań. Tak czy inaczej, ani ze strony Kaśki, ani dzieciaków się takiego nie doczekał.

– Zostaw swój klucz od domu. Sama cię wpuszczę, jak będzie trzeba.

Odechciało mu się też dyskusji na ten temat. I tak była bezcelowa. Nie patrząc na żonę, wyciągnął klucz z kieszeni dżinsów i położył na półce przy wyjściu. Następnie wziął kluczyki od samochodu i z najgłośniejszym możliwym trzaskiem drzwi opuścił dom. Choć podświadomie liczył, że jednak tego nie usłyszy, szczęknięcie zamka, które już po paru sekundach rozległo się za jego plecami, wygrało konkurs na jeden z najgorszych dźwięków, jakie w życiu zarejestrował.

A może nawet najgorszy?

W każdym razie na pewno najbardziej bolesny.

Westchnął, otworzył porsche, w złości rzucił z całej siły torbę na siedzenie obok kierowcy, odpalił auto i z piskiem opon odjechał spod domu.

Na parkingu pod blokiem matki, póki pamiętał, zapisał nieznany numer jako nowy kontakt.

Samiel.

MOLE, PAZURY I NÓŻ

– Mareczek – rozległ się słaby, płaczliwy jęk. Jego adresat otworzył oczy. Chyba w ogóle nie zasnął tej nocy.

– Co tam?

– Chodź tu do mnie. Nie wytrzymam.

Marek westchnął. Mlaskanie od choroby Parkinsona było tak głośne, że sły-
szał je z drugiego końca mieszkania. Dźwignął się na nogi.

– Co się dzieje?

Wszedł do pokoju matki. Leżała pod kołdrą na skotłowanej, niczym wyjętej
psu z gardła pościeli. Miała niesamowicie zboląły wyraz twarzy, zamknięte
oczy i skrzywione usta. Od płaczu oczywiście. Chyba nawet nie zauważyła, że
jej syn właśnie nad nią stoi.

– Co się dzieje? – powtórzył.

– Nakryj mnie kołdrą i kocem. Nie mogę ruszyć ręką – zaszlochała.

Bez zbędnego komentarza wykonał polecenie.

– Nalej mi gorącej wody i zrób herbatę. O Jezus, jak mi niedobrze – jęknęła,
wskazując na termofor i ponownie zalała się łzami. Mia leżała rozwalona na
jednym z regałów i obserwowała swoją panią z obojętnym wyrazem pyszczka.

– Wzięłaś poranne leki?

– Wzięłam, ale nic nie pomaga. Nic mi już nie pomaga. Chyba umrę.

Sprawdził, czy mówi prawdę. Kubeczek z napisem „RANO” był pusty,
więc uznał, że tak. Bez słowa chwycił za termofor i powlókł się do kuchni.
Napełnił czajnik wodą i włączył. W czasie gdy urządzenie robiło to, co do
niego należało, wyjął z półki nad zlewem pusty kubek, a z kartonika z herbatą
jedną torebkę. Z tego co pamiętał, Maria słodziła dwiema łyżeczkami cu-
kru. Jak na złość, pusta cukiernica nie zawierała go nawet tyle. Zaczął przesu-
kiwać kolejne szafki. W końcu sam niedawno kupił jej zapas cukru jak na zimę
stulecia.

Na jednej z półek widok zasłaniał mu okazały słoik, więc wyjął go i posta-
wił na kuchennym blacie. Przeklął i już po chwili zrobiło mu się tak niedobrze,
że aż kaszlnął. Od samego tego widoku. Czysta obrzydliwość.

Słój wypełniał bowiem wielki rój moli spożywczych. Zarówno apetycznych
larw, jak i zdrowych, dorosłych okazów. Było tam nawet więcej tego paskudz-

twą niż oryginalnej zawartości, czyli zdaje się kaszy kuskus, choć Marek nie potrafił tego stwierdzić z całą pewnością. Nie zamierzał się co do tego upewniać.

– Chora. Ona jest po prostu chora na łeb – mruknął.

Wygrzebał jakąś reklamówkę i ostrożnie umieścił w niej słoik. Zamierzał wyrzucić go na śmietnik przy pierwszej możliwej okazji. W tym samym czasie czajnik zakończył swoją pracę, więc Marek napełnił wodą termofor i zalał herbatę.

– Proszę. – Wrócił do pokoju Marii i podał jej obie rzeczy.

– Połóż mi gdzieś. Już sama nie wiem, gdzie. Wszystko mnie boli. Na brzuch – załkała i odkryła się.

Położył termofor tam, gdzie chciała.

– Przesuń mnie trochę na środek. Podłóż poduszkę pod głowę, żebym miała wyżej.

Przesunął. Podłożył.

– Przewróć mnie na prawy bok.

Przewrócił.

– Przykryj mnie kołdrą. Tylko same nogi, pleców nie.

Przykrył. Tylko same nogi, pleców nie.

To był chyba jakiś rekord świata. Pięć sekund w jednej pozycji.

– Nie idź. Posiedź ze mną. Źle się czuję. Chyba zaraz umrę.

Nie miał na to najmniejszej ochoty. Zmienił temat.

– Gdzie trzymasz cukier? Nie ma już nic w cukierniczce, a potrzebuję do twojej herbaty.

– Już się skończył.

– Jak to się skończył?!

– Wczoraj zużyłam cały. Zrobiłam ciasto.

– Po co?

– Dla gości.

– Dla kogo niby?

– Jasia Stefanowiczowa przychodzi, Halina, Zosia Andruczyk.

– Na pewno?

– Na pewno!

– Na którą się z nimi umówiłaś?

– Na obiad. – Jako że Maria rozdzieliła te słowa pokazną pauzą, Marek wiedział już wszystko.

– Na obiad? – powtórzył kpiącym tonem.

– Tak. Moja rzecz. Przyjdą.

– Idę po zakupy. – Podniósł się. Zauważył, że po zmianie tematu dziwnym trafem cierpienie opuściło ją jak ręką odjął. Czyli w normie.

– Wątróbki kotce kup! – zawołała za nim.

– Kupię.

Spojrzał na naścienny zegar. Było już po siódmej. Czyli osiedlowy lewiatan powinien być już otwarty. Ubrał się, wziął pustą reklamówkę oraz tę ze słoi-kiem do wyrzucenia i ruszył w stronę drzwi.

Mia czekała na niego na stojącej w pobliżu komodzie pod lustrem.

– Nawet o tym nie myśl – burknął. Nie odrywając od niej wzroku, ostrożnie otworzył drzwi. Kiedy wydawało się, że zwierzę nie zdąży mu już przez nie zwiać, odwrócił się do niego plecami.

Tym samym popełnił błąd. Błąd jak...

– Sukinsyn! – wrzasnął. Zdążył jedynie usłyszeć krótkie, wysokie miauknięcie. Zaczął wywijać bezwładnie rękami, ale Mia wbiła mu się pazurami w grzbiet akurat w takim miejscu, gdzie nie mógł jej za bardzo dosięgnąć. Machnął całym ciałem i dopiero wtedy oderwała się od niego, robiąc mu przy tej okazji kilka pokaźnych dziur w koszulce, a następnie lądując z głośnym syk-kiem na (a jakże!) czterech łapach.

– Te, Garfield. Jak ci zaraz... – warknął i ruszył z furią na kota, który od razu uciekł w podskokach i po kilku susach znalazł się na najwyższej szafie w pokoju niegdyś należącym do Ulki.

– Nie ujdzie ci to na sucho! Możesz być tego pewna! – Wściekły, pogroził palcem zwierzęciu.

Czerwone ślady na plecach piekły go jak sto pięćdziesiąt. Zgrzytając zębami ze złości i przeklinając pod nosem, powtórnie podjął próbę opuszczenia mieszkania i tym razem udało mu się to bez żadnych problemów. Trzasnął drzwiami.

Po wyrzuceniu słoika (przez moment miał dylemat, gdzie go umieścić – w szkle, czy może w odpadach organicznych) zgodnie z postanowieniem udał się do lewiatana. O tej porze na szczęście nie zastał zbyt wielu klientów. Zgodnie z rozkazem (bo nazwanie tego prośbą stanowiłoby błąd merytoryczny) matki poszedł też na stoisko z mięsem, które obsługiwała całkiem ładna, młoda ekspedientka. Właśnie z jej powodu wcale nie narzekał na małą kolejkę. Podziwianie walorów dziewczyny znacznie umiliło mu oczekiwanie.

Nadawałaby się – pomyślał, ostentacyjnie się na nią gapiąc. Zauważyła to, delikatnie się zarumieniła i odwróciła wzrok.

Gdy przyszedł jego kolej, z szelmowskim uśmiechem powiedział jej, po co tu przyszedł. Miał ochotę na świeże (młode), panierowane (w koronkowym biustonoszu) piersi (piersi) z kurczaka (tej kobiety). Poprosił o to w pierwszej kolejności. Odważyła odpowiednią ich ilość, zapakowała w foliowy worek i podała mu, starannie przy tym dbając, by nie dotknął jej dłoni.

– Czy coś jeszcze? – zapytała z niepewną miną.

– Oj tak, mam ochotę na jeszcze wiele rzeczy – odparł, znacząco się w nią wpatrując.

Dziewczyna nie odpowiedziała i tylko spuściła wzrok.

– A tak poważnie, chcę jeszcze dwadzieścia deko tych wątróbek.

Zamilkł. Zamrugął. Spojrzał na nią jeszcze raz, a potem znowu na jej odbicie w szybie nad chłodnią. To samo, które do tej pory brał za fragment lodówki, gdzie leżały drobiowe wątróbki.

Odbicie to naprawdę trudno było odróżnić od stosu krwistych, oślizgłych kawałków surowego mięsa. Nie widział tam twarzy, tylko zmasakrowaną, bezkształtną, krwawą masę nieprzypominającą w żadnym stopniu ludzkiej głowy.

Jeszcze raz spojrzął na dziewczynę, nie dowierzając temu, co spostrzegł. Tym razem wpatrywała się prosto w niego, w inny sposób niż do tej pory. Niewzruszenie, z dużą pewnością siebie, niemalże triumfalnie. Bez choćby jednego mrugnięcia powiekami. Jej hipnotyzujące oczy prześwietlały go na wylot. W dalszym ciągu wyglądała normalnie i jej twarz nie miała z tym odbiciem nic wspólnego. Niemniej, wizerunek na szybie wciąż pozostawał niezmienny. Przerażający. Makabryczny.

– Przepraszam, może zdecyduje się na coś wreszcie? Ludzie czekają! – odezwała się z pretensją w głosie stojąca za Markiem w kolejce staruszka. W zasadzie jej nie słyszał. Ale i tak powiedział:

– Ja dziękuję. Już wszystko.

Dziewczyna za ladą wciąż nie odrywała od niego beznamiętnego wzroku. Czuł go na sobie, co powodowało u niego ciarki, nawet kiedy już odwrócił się do niej plecami. Czuł go na sobie, gdy stał przy kasie i płacił za zakupy. Czuł go na sobie, kiedy wyszedł z marketu i marszobiegem wracał do bloku matki.

Po prostu go czuł. Cały czas.

Prawie wbiegł na górę. Jeszcze w drodze postanowił, co zrobi. Musiał wreszcie z kimś o tym porozmawiać. O absolutnie wszystkim. O żrących ścianach, duszach opuszczających ciała, podążających za nim w deszczu poczwarach, stojących nieruchomo przy grobach cieniach, widzeniach, w trakcie których jego dzieci stawały się gigantycznymi owadami i za nic miały sobie prawa fizyki, oraz o demonicznych twarzach pięknych dziewczyn, nawet jeżeli rejestrował je wyłącznie w odbiciach na szybie. Ostatnimi czasy coś nie grało z jego odbiorem rzeczywistości i wyraźnie nie zamierzało samo wrócić do normy. Nie mógł dłużej udawać, że nic się nie dzieje.

Jedyną osobą, która przychodziła mu do głowy w kontekście szczerzej rozmowy, był Knizio. Knizio lub Ulka. Nikt inny się do tego nie nadawał. Kaśka miała go za wariata, więc tym bardziej musiał ukrywać przed nią wszelkie dziwactwa. Martyna najpewniej nie żyła. A chłopaki? Cóż. Nawet gdyby odbierali od niego telefony, to i tak jakoś sobie tego nie wyobrażał. „No siema, Pepcio. Muszę ci coś powiedzieć. Widzę jakieś idiotyzmy rodem z horrorów. Czekał. Nie przerywaj! Jestem normalny! Wiem, że ostatnio pokaźnie puknąłem się w łeb, ale to nie ma nic do rzeczy. Serio! Przysięgam. Dobrze się czuję. Mam do ciebie prośbę, chodźmy razem na cmentarz albo do lewiatana na Konopnickiej i powiesz mi, czy ty też je widzisz. Chodzi o to, by sprawdzić, czy to ze mną, czy to może ze światem ostatnio jest coś nie tak. Pepe? Piotrek? Halo?”

Maria siedziała na rozkładanym, biwakowym krześle na balkonie i grzała sobie nogi w letnim, porannym, ale porządnie prażącym słońcu. Właśnie pochylała się i robiła zamaszyste ruchy prawą ręką. Najpewniej kombinowała coś z kwiatkami, które stały na podłodze w jednej z wielu prostokątnych doniczek. Suchocka zawsze samozwańczo szczyliła się tym, że posiada najpiękniejszy balkon w całym bloku, choć z prawdą od dawna nie miało to za wiele wspólnego.

„Ach, jakie mam piękne kwiatki, a kurza melodia!”

Wyglądało, że na razie go nie potrzebowała. Marek postanowił wykorzystać ten moment i sięgnął po smartfon. Zdecydował się zacząć mimo wszystko od Ulki. Pomimo jej niechęci do brata, istniało znacznie większe prawdopodobieństwo, że w sprawach wyglądających na duchowe uwierzy mu siostra-katol, a nie przyjaciel-gangster.

Wybrał jej numer. W porównaniu do telefonów, które wykonywał do tej pory, sygnały były cichsze i jakby gorzej słyszalne.

– Halo? – odezwała się w końcu. Miała dziwny głos. Albo tak mu się wydawało, ponieważ podobnie jak w przypadku sygnałów, jakość połączenia pozostawiała wiele do życzenia. Jakby dzwonił daleko za granicę.

– Cześć.

– No, cześć – przywitała się wyraźnie zdziwionym tonem.

– Muszę z tobą pogadać.

– Ze mną?

– Tak, z tobą.

– Cóż to za nagła odmiana, braciszku. Lepiej późno niż wcale. Jak rozumiem, nic nie dzieje się bez przyczyny. Co się stało?

Zamilkł na moment.

– Ostatnio spotykają mnie... niepokojące rzeczy i muszę się komuś wygadać – zaczął ostrożnie.

– Czy to coś związanego z twoim zawodem? Jeżeli tak, to od razu mówię: na mnie nie licz. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Nie, nie! Chodzi o coś zupełnie innego.

– O co?

– Ja... Widzę dziwne rzeczy.

– To znaczy?

– Długo by opowiadać, Ulka. Wolałbym to zrobić na żywo, w spokoju, twarzą w twarz. Przyjdiesz dziś do mamy?

– Hmm, nie bardzo mam czas. Mam dziś wyjątkowo szalony dzień.

– Czyli odpada nawet spotkanie na mieście?

– Niestety, przykro mi.

– A gdybym do was wpadł? Choćby zaraz?

– To odpada nawet bardziej. Zapomniałeś już, że mój mąż cię nie znosi?

– Wiem, ale...

– Poza tym, szczerze, nie chcę, żebyś do mnie przychodził. Nie chcę, żeby ludzie widzieli, że się z tobą zadaję. Albo, co gorsza, żeby jacyś twoi wrogowie widzieli, że ty zadajesz się ze mną.

– Skąd wiesz, że mam wrogów?

– Marek, do cholery! A nie masz? A ten twój wypadek ostatnio to dlatego, że poślizgnąłeś się na skórce od banana, jak mniemam?

– To po nim to się zaczęło – zmienił temat. Nie chciał się z nią kłócić. Za dużo miał do stracenia.

– To znaczy?

- No, zacząłem... Zacząłem widzieć te rzeczy.
- Idź do psychiatry.
- Ulka, czuję się normalnie! Nic mi nie jest!
- Gdyby nic ci nie było, to nie dzwoniłbyś do mnie teraz i nie błagał o spotkanie. Musi być na rzeczy coś poważnego.
- Bo jest na rzeczy coś poważnego. To jak? Spotkamy się?
- Dziś na pewno odpada. Jutro w sumie też. Właściwie to jestem zawałona robotą i dziećmiakami do końca tygodnia. Nie dam rady.
- A mama?
- Mówiłeś, że mi pomożesz. Uznałam to za „tak, ukochana siostrzyczko, odciążę cię trochę i sam się nią zajmę. Przynajmniej przez jakiś czas”.
- Bo to miałem na myśli, ale nie w nieskończoność!
- Zajmowałam się nią w ten sposób kilka lat, od kiedy wyraźnie jej się pogorszyło. Jeszcze wiele wody w Czarnej Hańczy musi upłynąć, żebyś mi dorównał. W ten sposób spełnisz swój synowski obowiązek.
- Czyli rozumiem, że już w ogóle nie masz zamiaru do niej przychodzić?
- Tego nie powiedziałam. Od czasu do czasu zajrzę, oczywiście. À propos, jesteś teraz u niej?
- Tak.
- Co słychać? Wszystko w porządku?
- Tak, siedzi na balkonie i coś tam kombinuje z kwiatkami.
- Daj mi ją do telefonu.
- Już. Mamo, Ulka chce z tobą rozmawiać... Co ty wyrabiasz, do cholery?! Nawet na niego nie spojrziała, tylko w dalszym ciągu piłowała sobie nożem do papieru te obrzydliwe, szerniałe paznokcie u stóp. Niektóre z nich obcięła w ten sposób do połowy ich zwyczajowej długości, a z części ubytków już sączyła się krew. To właśnie to Maria robiła przez cały czas, kiedy Marek myślał, że pracowała nad swoim małym, balkonowym ogrodem.
- Oszalałaś? Oddaj mi to! – Wyrwał jej nóż z ręki.
- Marek? Co się dzieje? – rozległ się z głośniczka telefonu głos Ulki.
- Jej kompletnie odbiło! Obcinała sobie paznokcie u nóg nożem do papieru! Ty myślisz w ogóle?! – zwrócił się do matki. – Ty wiesz, co ty robisz?
- Oddaj! Wielka mi rzecz! Nic się nie stało! – zaszczekała Maria. Miała minę, jakby przerwał jej najnormalniejszą czynność na świecie.
- Zapomnij. – Czym prędzej poszedł do drugiego pokoju i, korzystając z faktu, że jego niedołączna matka nieprędko wstanie z krzesła (o ile w ogóle

bez jego pomocy) i tym samym nie zobaczy, co zamierzał zrobić, położył nóż na jednej z półek, najwyżej jak tylko się dało.

– Marek!

Zignorował jej krzyki. Ponownie przyłożył do ucha telefon.

– Ona się kiedyś zwyczajnie zabije. Albo kogoś. Jest niebezpieczna dla otoczenia.

– Sam widzisz. Spróbuj być tak cierpliwy przez cały czas i podchodzić do tego z miłością.

– Z miłością?

– W sensie: inaczej niż krzycząc. Spróbuj jej spokojnie i racjonalnie wytłumaczyć, że robi głupotę.

– I to ma niby zadziałać?

– To był sarkazm.

– Marek! – po raz kolejny dobiegł go krzyk Marii. Ula chyba też go usłyszała, ponieważ zaproponowała:

– Daj mi ją do telefonu. Ja spróbuję.

– Powodzenia.

Ponownie wszedł do pokoju i zatrzymał się. Suchocka wciąż siedziała w drzwiach od balkonu, odwrócona do niego tyłem, a obok niej, już na zewnątrz, unosiła się regularnie rosnąca, szara chmura. Dopiero po chwili Marek uświadomił sobie, że było to nic innego, jak rój moli, który wydostawał się z uprzednio wyrzuconego przez niego na śmietnik słoja. Otwarty pojemnik stał teraz na zewnętrznym parapecie, tuż przy wyjściu na balkon.

– Do chuja wafla. – Suchy poczuł, jak stopniowo traci panowanie nad sobą. To, czego ostatnio doświadczał w tym mieszkaniu, przechodziło ludzkie pojęcie.

– Marek? – Znowu wydobyło się nieśmiało z jego telefonu, ale nie dbał już o to. Ani trochę.

Trzy, dwa, jeden.

– Co ty wyrabiasz, kobieto?! – wrzasnął tak głośno, że aż zatrzęsł w posadach całym blokiem. – Wyjęłaś ten słoik ze śmietnika?

– Wyjęłam! – odpowiedziała wyzywająco. – Myślicie, że nie widzę, jak wyrzucacie moje rzeczy bez pytania?

– Ale po co to zrobiłaś? Po co?

– Moja sprawa.

– Wytłumacz mi, do ciężkiej cholery, po co ci słoik pełen moli? Co masz za-

miar z nimi zrobić? Jeść je chcesz?!

– Już, już! Uspokój się! – Machnęła ręką.

– Wyłumacz mi! Słucham!

– Jeszcze się przyda. Duży, dobry słoik. Mole wylecą i będzie dobry do użycia.

– Nie wierzę. No po prostu, kurwa, nie wierzę. – Marek przeorał obydwoma dłońmi po twarzy, od czoła aż po sam koniec brody. To nie działa się naprawdę. To nie mogło działa się naprawdę. I to jego Kaśka wysyłała do zębów. Jego!

– Nie wytrzymam z tobą! Ty naprawdę nie możesz przyjąć do wiadomości, że już nie myślisz logicznie i to my wiemy lepiej, co jest dla ciebie dobre? Że jesteś chora? Ile by kosztował taki nowy słoik? Złotówkę? Dwa?

– To nie wytrzymuj! Idź sobie stąd. W cholerę! Ja sama wiem lepiej, co mi się przyda.

– Nie wiesz! Właśnie, kurwa, nie wiesz! Trzeba cię pilnować jak dziecko! Bo albo się potniesz, albo zapomnisz wyłączyć gaz, albo weźmiesz za dużo tabletek, albo nie będziesz umiała sama wstać, albo coś jeszcze innego! Z twoimi talentami to mieszkanie to jedna wielka pułapka!

Im dłużej na nią wrzeszczał, tym bardziej jej twarz się krzywiła. Maria w końcu załała się łzami.

– Idź stąd. Nie chcę cię widzieć. Nie potrzebuję cię.

– No jasne! Nie potrzebujesz! No pewnie, że nie! Ty wiesz lepiej! Sama sobie poradzisz! Będiesz tak myśleć do momentu, w którym znowu będzie cię trzeba posadzić na łóżku, przynieść herbatę, rozłożyć leki, zrobić zakupy, sprzątnąć mieszkanie, dać kotu jeść, podlać kwiatki i jeden Bóg wie, co jeszcze. A ty mówisz, że sobie poradzisz. Otóż nie! Nie poradzisz sobie! – krzyczał. – Kompletnie nie zauważasz, ile się dla ciebie robi! I zero wdzięczności. Zero! Czy to dla mnie, czy dla tej biednej pani Halinki, czy dla Ulki, czy dla kogokolwiek innego. Jesteś obrzydliwą egoistką. Myślisz, że celem życia wszystkich wokół jest ciągle nad tobą skakać? Że to jest jakiś nasz obowiązek?! Mylisz się. I to grubo. Każdy z nas ma znacznie ciekawsze zajęcia, niż użeranie się z tobą.

Nie odpowiadała. Nawet nie próbowała mu przerywać. Po twarzy ciągle ciekły jej łzy. Marka jednak ani trochę to nie ruszało. Jeżeli ktoś płakał z częstotliwością kilku razy dziennie, to prędzej czy później musiało to przestać robić na innych wrażenie. Bez słowa wyszedł z pokoju, nałożył buty, wziął swo-

ją torbę i opuścił mieszkanie. Nie zamierzał w nim przebywać ani chwili dłużej.

– Marek?

Dopiero jak to usłyszał, przypomniał sobie, że nie zakończył połączenia.

– Tak? – zapytał bezczelnie. Miał to gdzieś.

– Co to było?

– Krzychałem dosyć głośno, więc myślę, że udało ci się doskonale zrozumieć każde słowo – odparł jadowicie.

– Jak mogłeś jej coś takiego powiedzieć?

– Powiedziałem prawdę. Prosto z serca. Byłem szczery. Możesz to zaakceptować lub nie. Zwisa mi to.

– A co z opieką? Ktoś musi ciągle przy niej być! Nie może siedzieć sama, a ja teraz naprawdę nie mogę...

– I tak twierdziła, że ma zaraz gości – rzucił z przekąsem.

– Kogo?

– Misia Gogo. Wymyśliła to sobie, żeby usprawiedliwić upieczenie kolejnego nikomu niepotrzebnego ciasta. Nikt do niej nie przyjdzie.

– Czyli będzie sama?

– Zatrudnię opiekunkę. Nawet dwie albo trzy, jeśli będzie trzeba. Teraz, zaraz. I powiem im, by od razu do niej przyszły. I tak, opłacę je ze swoich pieniędzy zarobionych na przemyśle i wymuszeniach. Z tych właśnie! I to, co na ten temat powiesz, też mi zwisa.

– Przecież ty już nie masz żadnych pieniędzy.

Zatrzymał się. Zaskoczyła go kompletnie.

– Skąd...? – zaczął. Odpowiedziała mu cisza. Ula zakończyła połączenie.

Stał na klatce schodowej i gapił się na telefon jeszcze przez dobrych kilkadziesiąt sekund.

ROZMOWA DRUGA

Ledwo się powstrzymał. Bardzo niewiele brakowało. Dzielił go już dosłownie krok od zrobienia czegoś niedobrego. Przez moment jedyne czego chciał, to kopnąć swój samochód najmocniej, jak tylko się da. Wybić szyby, porysować karoserię, podpalić. Nadmiar szczęścia. Szlag by to trafił!

Wszystko przez to, że zapomniał wziąć z mieszkania kluczyki.

Nowy plan na ten dzień brzmiał prosto i konkretnie: załatwić Marii opiekunkę, wziąć z domu na Gołdapskiej zapasowe klucze od mieszkania Martyny (w swoim teraźniejszym szale miał serdecznie gdzieś czy Kaśka go wpuści, najwyżej wybiłby szybę na tarasie) i to właśnie w nim zorganizować sobie tymczasową kwaterę. I tak musiał się tam udać, żeby pozbyć się kałuży krwi, o której zupełnie zapomniał po wydarzeniach w Beermie i tych późniejszych, z których wspomnień nie chciał już sobie przywoływać. Jeżeli jednym z asów w rękawie Samielewicza & Company miało być wrobienie go w morderstwo barmanki, to dawno zgarnęłyby go psy. Tak się jednak nie stało, niemniej należało pozbyć się jego rzekomych śladów, takich jak ta czerwona plama na podłodze. Po posprzątaniu miał zamiar skontaktować się z Samielem i zagrać przestraszonego gangstera, pokornie ulegającego przed terrorem silniejszej grupy i dobrowolnie zgadzającego się na obniżenie swojego statusu w hierarchii przestępczego świata Suwalszczyzny. Trochę miał się tym poniżyć, również w oczach chłopaków, ale trudno. Teraz będą mogli się z niego nabijać. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Ważne, że on wiedział, jak było naprawdę.

Gdyby udało się to rozegrać szybko i bezboleśnie, nie istniałyby już żadne przeszkody, by Knizio na legalu wpadł do niego na wódę. W końcu należałoby do tej samej grupy. Narodowy czterdziestoprocentowy trunek ma to do siebie, że przy pomyślnych wiatrach po jego spożyciu można uwierzyć nawet w Latającego Potwora Spaghetti, a co dopiero w tak przyziemne zjawiska, jak duchy i demony.

Dzień zapowiadał się więc bardzo dobrze. Zapomnienie kluczy od auta tylko to psuło i spowalniało realizację planu. Jednak jakkolwiek wkurzony Marek by nie był, nie miał innego wyboru. Musiał po nie wrócić na górę.

Potężny wybuch rozdarł przedpołudniową ciszę Suwałk dokładnie w momencie, w którym Suchy pokonał równo połowę drogi na trzecie piętro. Niemal poczuł pod nogami, jak trzęsie się ziemia, a szyby w oknach na sekundę ugięły się pod naporem fali uderzeniowej. Zaniepokojony, czym prędzej doskoczył do jednego z nich i wyrzwał na zewnątrz. Miał złe przeczucia.

I nie pomylił się.

Jego czarne porsche, jego ukochana, lśniaca i pachnąca jeszcze nowością fura płonęła żywym ogniem. Marek wybiegł z powrotem na parking. Jeszcze zanim dotarł do auta, doszło do kolejnego, mniejszego wybuchu. Było już za późno.

Śmierć jego samochodu stała się faktem. Pacjent zmarł. Wykitował. Z nim spłonęło kilkaset tysięcy złotych. Tyle papieru wyrzuconego w błoto.

W szoku Marek nie odbierał żadnych odgłosów dochodzących z otoczenia. Nie słyszał wycia alarmów kilku pozostałych samochodów zostawionych na tym parkingu. Na szczęście stały na tyle daleko od porsche, że żaden nie ucierpiał od wybuchu. Nie słyszał zbliżającego się wycia syren, którym wkrótce rozbrzmiało całe miasto. Nie słyszał głosów stopniowo powiększającej się liczby gapiów. Nie słyszał nic poza ciszą. Nawet jego serce zdało się przestać bić.

– Wezwaliście straż pożarną?

– To pana samochód?

– O kurde, ale jazda!

– Co to było? Bomba?

Nie chciało mu się ich nawet stamtąd wyganiać. Nie chciało mu się im grozić, nie chciało mu się kazać im milczeć ani nie wzywać policji. Nie chciało mu się stamtąd uciekać. Było mu wszystko jedno. Wyciągnął tylko papierosa, zapalił, zaciągnął się z całej siły i gapił się na to dzieło zniszczenia, które, jak każde dzieło sztuki, powstało w celu wywołania emocji. I wywołało. Mieszankę złości, upokorzenia, frustracji i bezsilności. Nie wątpił, że wybuch i idący za nim widok służył wyłącznie temu. Wszystko to świetnie wyreżyserowano i Markowi wcale nie było przeznaczone zginąć w eksplozji.

Nawet nie zauważył, kiedy na miejsce dojechała policja i straż pożarna.

– Sierżant Modzelewski się kłania. To pana samochód? – Podeszedł do niego jeden z funkcjonariuszy.

– Mój – odparł beznamiętnie.

– Jasna cholera, co tu się stało?

- Pompa paliwowa.
- Pompa? – zapytał z połączeniem sceptycyzmu i pokpiwania policjant. – Wybuch rodem z zamachu terrorystycznego, a pan mi tu coś chrzani o pompie? Jakież porachunki? O co tu chodzi?
- Nie twoja sprawa.
- Nie tym tonem, jeśli łaska.
- Będę używał takiego tonu, jaki mi się podoba. Zróbcie to, co do was należy i do widzenia. Nie mam w tej kwestii nic więcej do powiedzenia.
- Panie, żeby to było takie proste, to nie bylibyśmy na tym świecie potrzebni.
- Życie ci niemiłe? Albo twojej rodziny? – Marek podszedł do policjanta i powiedział mu to cicho prosto w twarz. W aktualnym stanie emocjonalnym nie myślał do końca racjonalnie i zbyt nie analizował konsekwencji swoich czynów. Za to na pewno miał wielką ochotę wyładować na kimś swoją wściekłość. – Wiesz kim ja jestem? Założę się o kilogram pedigree, że nie.
- Koles, choćbyś był nawet premierem, to są groźby karalne względem funkcjonariusza służby państwowej. Zapraszam do radiowozu.
- Zapomnij.
- Jarek. – Policjant spokojnie zwrócił się do swojego partnera. Ten zrozumiał go bez żadnych dodatkowych pytań.
- Proszę z nami.
- Głusi jesteście? Nigdzie nie idę. Spierdalaj z łapami! – Marek energicznie odepchnął rękę policjanta, który wcześniej położył mu ją na ramieniu.
- Dobrze, skoro nie po dobroci – zaczął Jarek i obaj zaskakująco sprawnie obezwładnili Suchego i skuli kajdankami. Jakiś czas próbował się jeszcze bronić, lecz, koniec końców, wobec przewagi liczebnej musiał się poddać.
- Idziemy. Powoli. I bez numerów. – Na oczach gapiów siłą zmusili go do pójścia w kierunku radiowozu. Już mieli wpakować go na tylne siedzenie, gdy wtem na parking z piskiem opon wjechał wielki, czarny, lśniący w słońcu range rover z przyciemnianymi szybami. Wysiedli z niego Biały i Czarny i ruszyli w stronę zbiegowiska.
- To oni podłożyli bombę! To ich powinniście aresztować, a nie mnie! – warknął rozpaczliwie Marek. Dwaj wielcy mężczyźni jakby nigdy nic podeszli do policjantów i szepnęli im coś do ucha. Trwało to nie dłużej niż minutę. Po tym gliniarze patrzyli na Marka w zupełnie inny sposób. Jakby z miną dzieci,

które po zrobieniu psoty zdają sobie sprawę, że lada moment czeka ich lanie od rodziców.

– Bardzo przepraszam. Nie wiedziałem, że pan pracuje dla Samielewicza – odezwał się w końcu ten, który podszedł do Suchego jako pierwszy i czym prędzej rozkuł go z kajdanek.

– Niech straż pożarna ugasi pożar, a potem pozbądźcie się wraku. Awaria pompy paliwowej i pożar w baku. Zrozumieliśmy się? – upewnił się Biały.

– W zupełności! – zsalutował Jarek.

– I rozgońcie tych gapiów. Są tu niepotrzebni. Byle szybko – dodał Czarny.

– W tej sekundzie!

– A ty idziesz z nami – mruknął Biały do Marka, a ten ze spuszczoną głową powlókł się pomiędzy nimi ku luksusowemu samochodowi. Sukinsyny rozegrały to po mistrzowsku. Prosty wybór: albo aresztowanie, albo „ratunek”. Trzeciego wyjścia nie było.

– Proszę się rozejść! Nic się nie stało! Dajmy pracować straży pożarnej! – rozległ się w tle głos policjanta. Marek już nawet na to nie patrzył, tak bardzo pochłonęło go teraz liczenie kolejnych kostek brukowych na swojej drodze.

– Dał mi dwadzieścia cztery godziny. Do tego czasu miałem mieć spokój – odezwał się w końcu, kiedy range rover dotarł (co wcale go nie dziwiło) w okolicy Beermy.

– Powiedział ci też, że lubi stwarzać pozory. Właśnie się o tym przekonałem. – Siedzący obok niego na tylnym siedzeniu Biały wyszczerzył zęby w śnieżnobiałym uśmiechu.

– Skurwysyny...

– Nie becz. Będziesz mógł się osobiście poskarżyć szefowi. Dziś ma dzień przyjmowania interesantów. Skargi i wnioski.

Marek nie odpowiedział. Nawet nie myślał.

W Beermie panował niemalże wieczorny półmrok. Jeszcze nie nadeszła godzina jej otwarcia, więc próżno było w niej szukać choćby jednego klienta. Jak poprzednim razem, Czarny i Biały zaprowadzili Marka do pomieszczenia na zapleczu. Jak poprzednim razem, pod każdą ze ścian stało w nim kilku ogromnych facetów. Jak poprzednim razem, przed biurkiem, za którym siedział Grze-

gorz Samielewicz, czekał na Marka mały stołeczek. W pokoju także niezmiennie królowały mroczne barwy. Zasunięto w nim zasłony.

– Masz jakąś awersję do światła słonecznego, czy jak? – zaczął Marek i zajął miejsce na taborecie. Tym razem z własnej, nieprzymuszonej woli.

– W ten sposób działałam na wyobraźnię ludzi, z którymi rozmawiam. Mrok zawsze wzbudza swego rodzaju niepokój.

– Podobnie jak czarny kolor? – Suchy wskazał na jego ubranie. Grzegorz znów ubrany był kompletnie na czarno, z kapeluszem włącznie. – Wzbudzasz skojarzenia? Czarny charakter i te sprawy?

– Poniekąd, ale to nie wszystko. Czarny jest w pewnym sensie wyjątkowy. To jedyny kolor, który w czystej postaci nie odbija światła, a jedynie je pochłania, przez co silnie kumuluje w sobie ciepło. Dlatego w upalne dni znacznie praktyczniejszy jest jasny ubiór i podróżowanie białymi samochodami. Do tego w naszej kulturze przyjęło się go za symbol władzy. Zwłaszcza w środowisku takim jak nasze. Zauważyłeś, że jakiegokolwiek filmu o gangsterach nie obejrzysz, to szef zawsze jest ubrany na czarno? Oraz jeździ czarnym autem? Sam zresztą takie miałeś. Przypadek?

– Coś w tym jest. O innych kolorach też znasz jakieś ciekawostki?

– Żółty w oczywisty sposób kojarzy się z ciepłem i bezpieczeństwem. Zielony uspokaja, to udowodniono podobno naukowo. Czerwony zaś to swoisty paradoks. Z jednej strony wzbudza agresję. Ktoś zbadał na przykład, że drużyny piłkarskie, które przywdziewają czerwone barwy, są znacznie bardziej narażone na brak sympatii ze strony sędziego i silniejszą niż zwykle motywację w szeregach przeciwnika. Z drugiej strony towarzyszy namiętności. Wszędzie w naturze, w relacji między samicą a samcem, gdzieś w tle pojawia się czerwony kolor. Czy to w prezentacji walorów, czy to podczas samych godów, czy to w walce pomiędzy samcami o względy samiczek, tu w postaci krwi. W naszym gatunku też występuje: podczas rumienienia się. Nieprzypadkowo symbol miłości, jakim jest serce, jest czerwony. Z kolei niebieskiego ponoć panicznie boją się muchy i dlatego zaleca się kupowanie namiotów o takiej właśnie barwie, a także malowanie na ten kolor ścian w domach.

– Mam w domu jeden niebieski pokój. Dla gości, ten, w którym ty albo ktoś z twoich gamoni wybił mi szybę. Jak rozumiem, u siebie masz wszystkie ściany niebieskie?

– Nie zdradzę.

– Nie ufasz mi?

– Właśnie wysadziłem ci w powietrze samochód warty kilkaset kafli. – Zaśmiał się. Śmiały się tylko jego oczy, usta i głos. Reszta w żadnym wypadku. – A ty jesteś po tym zdecydowanie za spokojny i za miły. Coś mi tu nie gra i odpowiedź na to jest tylko jedna: coś kombinujesz. – Wycelował w niego palcem. Nim Marek zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Grzegorz podjął wywód: – Zresztą, nikomu nie ufam. To destrukcyjne. Ufając komuś, powierzasz mu część swojego życia. Potem ten ktoś może to wykorzystać przeciwko tobie. Poznać twoje słabości, słabe punkty. Wiedzieć, gdzie uderzyć, by wygrać. Stajesz się rozpoznany, zbadany. Najbezpieczniejsza jest nieprzewidywalność, wtedy to ciebie się boją, nie ty ich. Tyczy się to zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Po prostu nie są w stanie przewidzieć twoich kroków. W przeszłości zaufałem pewnym osobom i całkowicie mnie zawiodły. Wyciągnąłem wnioski z popełnionych błędów. Jestem już znacznie mądrzejszy. Nie bez powodu mówi się, że historia jest nauczycielką życia.

– Rozumiem, że ja według ciebie jestem przewidywalny?

– Oczywiście, Marku. Chociaż przede wszystkim pokonałem cię tym, że wbrew temu co sądzisz, masz sporo słabości.

– Jakich?

– Wymienię najważniejsze. Masz rodzinę. Wystarczy, że ktoś przyłoży im pistolety do głów i już robisz to, co każe. Nie panujesz nad emocjami. Podobnie jak nad popędem seksualnym.

– A ty panujesz? Myślałem, że każdy szanujący się gangster rucha, kiedy chce. Nasi koledzy po fachu z Pruszkowa swego czasu dmuchali nawet kandydatki na Miss Polski. Nie skorzystałbyś?

– Nie.

– Jakoś w to nie wierzę.

– Pozbyłem się tego problemu.

– Jesteś pedałem?

– Jak to powiedział kiedyś ktoś mądrzejszy ode mnie: „Jeżeli coś jest dla ciebie powodem do grzechu, odetnij to i odrzuć od siebie”.

– Chcesz powiedzieć, że wyciąłeś sobie...?

– Dokładnie tak – odparł spokojnie Grzegorz.

Marek zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Ale po co?

– Pozbyłem się wszystkich swoich słabości. Pod tym względem jestem chorobliwym perfekcjonistą. Tak właściwie, jakby się nad tym zastanowić, pod

każdym względem taki jestem. Popęd seksualny to słabość. W stanach silnego pobudzenia nie myślisz logicznie. Jesteś jak naćpany. Dosłownie o krok od tego, by piękna kobieta sterowała tobą jak marionetką. Ilu już poznano w historii czy to polskiej, czy to światowej mafii gangsterów, którzy tracili głowę dla kobiet i marnie kończyli? Dla mnie nie jest to warte zachodu.

– Czyli rozumiem, że nie masz rodziny?

– Bingo.

– A rodzice? Rodzeństwo?

– Wychowałem się w domu dziecka. Nic o nich nie wiem.

– I nie wierzysz w miłość?

– A ty wierzysz?

– Oczywiście.

– Jesteś hipokrytą, Marku. Doświadczyłeś przemocą, strachem i rozpaczą bardzo wielu ludzi. To według ciebie jest miłość?

– A ty nie doświadczyłeś?

– Oczywiście, że tak! Tyle że, w przeciwieństwie do ciebie, nie wycieram sobie krwi z rąk miłością. Zresztą, rozmawianie o czymś, w co się nie wierzy, jest czystą stratą czasu. Według mnie, w relacjach damsko-męskich istnieje tak naprawdę tylko popęd seksualny, czyli coś, co pozostało w człowieku z jego zwierzęcej natury. Ja, i to ci już mówiłem, chcę iść w stronę człowieczeństwa. Myśleć większą, a nie mniejszą główką.

– Ciekawi mnie w takim razie, jaka jest najwyższa wartość, którą wyznajesz, skoro nie posiadasz nikogo, kogo mógłbyś kochać.

– Moje dobro. Nic dziwnego. Jest to najważniejsza możliwa wartość, jaką wyznaje każdy człowiek na tej planecie. Wszystko, co robimy, podyktowane jest właśnie tym. Liczy się twój tyłek. Niczyj inny. Powiem więcej. Jak się uważnie przyjrzyysz, całe zło na tym świecie to wynik jednego czynnika. Egoizmu właśnie, czyli dążenia do swojego dobra po trupach.

– Ktoś mi już niedawno powiedział dokładnie to samo. Ja mu odpowiedziałem to samo, co ty. Że każdy jest egoistą.

– Jakie „mądre ludzie” z was! Zwróć uwagę, prosty przykład. Załóżmy, że ktoś pracuje uczciwie. Po co? Na pewno nie na chwałę firmy i pracodawcy. Robi to dla siebie, by zarabiać pieniądze. Kiedy pojawi się bezczelna, ale lepsza oferta od konkurencji, nie będzie mieć żadnych skrupułów, żeby ją przyjąć. Jego dobro jest dla niego najważniejsze. Po co ma sobie zawracać głowę fir-

mą? Dla niego mogłaby nawet przynosić same straty, byleby zarabiał. Zgadzasz się ze mną?

– W zupełności.

– Rozważmy nieco bardziej skrajny przypadek. Kobieta przykleja się do bogatego kołesia. Po co? Nie dlatego, że go kocha. Liczy, że zgarnie z tego tytułu profity. Że będzie miała godne życie, będzie mogła pozwolić sobie, na co tylko chce. Co lepsze, będzie mogła chwalić się tym przed koleżankami i rodziną. Bogaty partner to jej marzenie. Ziszczenie jej egoistycznych pobudek. Idźmy dalej. Gwałt. Zaspokojenie psychofizycznej potrzeby gwałciciela bez względu na zdanie ofiary. Egoizm. Wojny. Różne są ich genezy. Chore ambicje rządzących, chęć podporządkowania sobie innych narodów, pieniądze gwarantowane przez występujące na danym obszarze bogactwa naturalne i wiele innych. Wszystkie wynikają z egoizmu! Czy to przywódców, czy to obywateli, którzy popierają ich działania, ponieważ liczą, że te zmienią ich życia na lepsze. Egoizm, egoizm i jeszcze raz egoizm. Oszustwa, kradzieże, kłamstwa, lenistwo, korupcja, rozboje, pobicia, morderstwa, wandalizm, niszczenie przyrody, wpychanie się w kolejkę, walki w sklepach o towary w promocji, używki. Wszystko. Zdrada małżeńska. Uzasadnienie jest zawsze jedno i to samo: „Czegoś mi brakowało”. „Mi”, Marku! Słowo klucz. Dla każdego człowieka tak naprawdę najważniejszy jest on sam. W skrajnych przypadkach ma się gdzieś dobro innych, co prowadzi właśnie do zła.

– Zgadzam się.

– No, a skoro wszyscy ludzie są pod tym względem podobni, to... – Grzegorz sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel tak wypełniony stuzłotówkami, że aż ledwo się domykał. Wyjął jedną. – Bardzo łatwo nimi sterować. Niebywale. Zobacz. – Wskazał podobiznę Władysława Jagiełły na banknocie. – Nie żyje od tylu wieków, a nadal rządzi. Nieprzerwanie.

– Wiem. Każdego da się kupić.

– Dokładnie. Wszystko jest kwestią ceny. Odpowiednia ilość zer i reszta przestaje mieć znaczenie. Każda wartość. Lojalność? Odpowiednia suma na kontrakcie i nawet najbardziej oddany pracownik pójdzie do konkurencji. Nie wspominając o wojnach między gangami, w których nierzadko biorą udział niedawni przyjaciele. Wierność pewnym zasadom czy ideom? Mrzonka. Spójrz na skorumpowanych policjantów czy polityków. Godność? Za miliard złotych nawet ty zgodziłbyś się zjeść na wizji własne gówno. Miłość i wierność? Przy późniejszej gwarancji godnego życia, każda kobieta sprzeda się

przynajmniej na jedną noc. Zdrowie? Za ile sprzedałbyś mi na przykład swoją nogę? Egoizm i pieniądze. Pieniądze i egoizm. Skorelowane ze sobą jak nic innego w naszej rzeczywistości. Ja to doskonale rozumiem.

– Dlatego nie mogłeś się powstrzymać i ukradłeś mi wszystko? – zaatakował Marek.

Samielewicz spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Niczego ci nie ukradłem.

– Cała moja forsa ze szwajcarskich kont. Są puste. Ktoś je wyczyścił. Nie rób ze mnie idioty.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Kłamca.

– To ciekawe. Znowu mi to coś o tobie pokazuje.

– Tak, też jestem egoistą. I chcę zwrotu swojej kapusty.

– Twojej kapusty?

– Mojej! Zarobiłem ją. A ty mi ją ukradłeś.

– Zarobiłeś? Na Beermie? Czy może też ją ukradłeś? Analogicznie mogliby ci jęczeć jej prawowici właściciele.

– Sram na to. Oddaj mi moją forszę!

– To źle, że nawet nie próbujesz nad tym pomyśleć. Zwróć uwagę na śmieszność całej sytuacji. Znowu krytykujesz mnie za coś, co sam robiłeś przez dziesięciolecia. Nie masz do tego prawa. Jeżeli sam coś robisz, uważasz to za słuszne. Jest to zgodne z twoim kręgosłupem moralnym. Czyli jeżeli ktoś robi ci to samo, robi coś, co jest zgodne z twoim kręgosłupem moralnym. Tym samym czyni coś, co sam uważasz za dobre. To czysta logika. Nie oszukasz jej.

– Przymkniesz się w końcu? Filozof się, kurwa, znalazł!

– Tak czy inaczej, niczego ci nie ukradłem.

– I tak ci nie wierzę.

– Pracujesz dla mnie, czy przechodzisz na emeryturę i płacisz mi abonament za ochronę Beermy? – Grzegorz nieoczekiwanie zmienił temat.

– Jaką mam pewność, że mogę ci ufać? Zamordowałeś mi kochankę, okradłeś mnie ze wszystkich pieniędzy i wysadziłeś samochód. Powinienem tu i teraz ukroczyć ci łeb.

– Pewności nie masz żadnej. Ale masz gwarancję, że będziesz częścią doskonale prosperującego przedsiębiorstwa. I zarobisz tyle kapuchy, że z miejsca będziesz mógł sobie pozwolić nawet i na dziesięć takich wózków jak ten, który właśnie poszedł w pizdu.

– To znaczy?

– Wybacz, to co powiem wciąż będzie *ad rem*, a nie *ad personam*, lecz wciąż nie wykorzystywałeś potencjału, jaki zapewnia to miasto i bliskość granic z aż trzema państwami. W całej Polsce nie ma drugiego takiego miasta, równie dużego i równie dobrze umiejscowionego.

– I tak nie narzekałem na wpływy.

– Było ci wygodnie. Zachłysnąłeś się tym, co miałeś. Wygodna, spokojna posiadka szefa lokalnego półświatka w przygranicznej miejscinie, gdzie strzelaniny zdarzają się raz na ruski rok. Krzysztof Jarzyna ze Szczecina, tyle że z Suwałk. Nie podejmowałeś wyzwań. Można i tak. Ja mam inny cel.

– Jaki?

– Chcę stworzyć najpotężniejszą grupę w tej części Europy. Tu wciąż jest pełno nieodkrytych żył złota. Nie samym przemysłem, haraczami czy drobnymi włamami żyje człowiek. Dziwki, prochy, hazard, ustawianie wydarzeń sportowych, większa kontrola nad kradzieżami, uszczelnienie systemu „podatkowego”. Każdy drobny cwaniaczek w promieniu kilkuset kilometrów musi nam ze swoich machlojek odpalać dołę. Inaczej wypada z gry.

– Rozumiem.

– Dobre inwestycje to też innowacyjne pomysły i nisze. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, ilu jest na tym świecie popierdolonych bogatych gości, którzy będą gotowi pofatygować się na naszą ukochaną prowincję i porządnie zapłacić tylko dlatego, że wyłącznie tutaj dostaną to, czego chcą. Dzięki temu upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Zarobimy konkretny hajs, a do tego zyskamy kontakty do ludzi, którzy śpią na pieniądzach i wiele mogą. Politycy, biznesmeni, tym podobni.

– O jakich niszach mówisz?

– Chociażby nielegalne walki, nietypowe upodobania seksualne i wiele, wiele innych. Na razie nie chcę mówić o szczegółach. Dowiesz się w swoim czasie. Jak do tej pory zawsze trafiałem w dziesiątkę, więc jestem dobrej myśli.

– Skoro tak twierdzisz.

– Czy mi się wydaje, czy słyszę sceptycyzm w twoim głosie?

– Nie zrozum mnie źle, twój biznesplan naprawdę wygląda sensownie, ale wydaje mi się, że wciąż nie dostrzegasz w nim jednej, maleńkiej trudności.

– Mianowicie?

– Ludzi i kumpli Polipa. Na pewno wielu chce zająć jego miejsce i komuś

się to w końcu uda. Do tego dochodzi jeszcze czynnik honoru. Jestem pewien, że nie uwierzyli w jego samobójstwo. Otoczył się wieloma lojalnymi przyjaciółmi. Będą węszyć. I dowiedzą się. Oni wciąż wiele mogą.

– Za bardzo przejmujesz się problemami, które jeszcze nie zaszły. Problemami i oczywistościami. Oczywiście, że zawsze znajdą się ludzie, którzy nie będą nas lubić. Ale ludzie wcale nie muszą nas lubić! Ważne, żeby się nas bali. To jest kluczowe.

– Muszę przyznać, że zadziwia mnie twój spokój. Nie jesteś idiotą, więc powinieneś wiedzieć, że będzie gorąco.

– Naturalnie, że zdaję sobie z tego sprawę. Od dawna zdawałem. I na tym właśnie polega moja przewaga. Myślisz, że tylko leżę do góry wentylem i nic w tej kwestii nie robię? Od dawna dzieje się sporo.

– Na przykład co?

– Na razie tylko ich obserwuję. Póki koledzy są grzeczni i mi nie podskakują, nie mam powodu, by ich szczególnie gnębić. Mam pełno wtyk w każdej co większej grupie w Polsce. Już dawno rozesłałem ich po kraju, jeszcze jak siedziałem w pierdłu. Wiem wszystko o każdym ruchu co groźniejszego gangstera w promieniu kilkuset kilometrów.

– W mojej bandzie też miałeś kreta?

– Oczywiście.

– Kogo? – Marek zaryzykował atak. Grzegorz nie dał się zwieść.

– Kompetentną osobę, dzięki której wiedziałem wszystko o tobie i twojej rodzinie.

– Wszystko?

– Tak.

– Wiele osób mogło podejrzewać, że coś kombinuję z Martyną. Wielu na pewno to zauważyło. To nic szczególnego.

– Nie mówię o takich banałach, jak twoja kochanka. Mówię o rzeczach, co do których jesteś przekonany, że wiesz tylko ty i twoja rodzina. Ba, wiem o pewnych rzeczach związanych z twoją rodziną, o których nawet ty nie wiesz.

– Zaskocz mnie.

– Czarna postać przy łóżku twojej córki.

Markowi w jednej sekundzie zrzędła mina.

– Czyżbym znowu trafił w dziesiątkę, Marku? Twój język ciała aż nadto na to wskazuje.

– Pływała w jeziorze, przeziębila się. Miała gorączkę i coś jej się ubzdura-

ło.

– Jesteś pewien?

– Jestem.

– Dlaczego kiedy to powiedziałeś, nie patrzyłeś mi w oczy i podrapałeś się w nos?

– A są jakieś normy obyczajowe co do tego? Nie wolno mi?

– Istnieje wiele sposobów, by poznać, że ktoś kłamie. O oczach nie będę się rozwodził, bo to banał. Kolejną przesłanką jest na przykład nieświadomy gest kierowania dłoni w okolice ust. W twoim wypadku trafiło na nos, choć równie dobrze może być to też broda albo policzek. To pozostałość z naszego dzieciństwa. Wtedy zawsze kiedy kłamaliśmy, zakrywaliśmy sobie usta palcami, czasami całą dłonią. Taki niekontrolowany odruch. Jakby podświadome, automatyczne blokowanie strumienia nieprawdziwych słów wychodzących z małej, dziecięcej buźki.

– Nie jestem pewien – przyznał Marek odnośnie Iwonki. Gość był niesamowity. Naprawdę czytał go jak książkę.

– Wiem. Też wydawało ci się, że to widzisz. Przez ułamek sekundy, kiedy to po krótkich zakłóceniach z powodu burzy w pokoju małej na powrót zapaliło się światło. Wydawało ci się, że zobaczyłeś czarny kontur w miejscu, na które wskazywała.

Skąd ty to wiesz, do kurwy nędzy?! – Marek nie miał już na to, co słyszał, żadnych sensownych wyjaśnień.

– Tak, wydawało mi się. Ale pewnie zadziałała moja wyobraźnia. Siła sugestii albo coś w tym stylu. Byłem też wtedy trochę pijany.

– Być może. Problem w tym, że to nie do końca musiała być bzdura. Coś w tym rodzaju rzeczywiście mogło się do niej przyczepić.

– Dlaczego?

– Ponieważ twoja córka na kolonii, na którą ją wysłałeś, wywoływała duchy.

Na moment w pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytał w końcu oniemiały Marek.

– To proste. Jeden z moich ludzi pracował tam jako opiekun. Nakazałem mu podjęcie tego zajęcia właśnie ze względu na Iwonkę. Tylko na nią, nie Adama, który jest starszy i pewnie z miejsca wyczułby, że coś jest nie tak. I tak na tej kolonii zbyt nie trzymali się razem. Mój człowiek miał ją obserwować i dowiadywać się dla mnie o niej, a przy okazji o tobie, wszystkich możliwych

do wyciągnięcia faktów. Twoja nieobecność w pobliżu znacznie to ułatwiała. Mógł podejść, porozmawiać, popytać co nieco. Sam wiesz, że małe dzieci są bardzo ufne i dla nich nie ma czegoś takiego jak dziwne pytania. Czasem wręcz chlapią ozorem niepytane. A twoja córka przecież taka jest.

– I to on z nią...? On z nią wywoływał te duchy?

– Nie. Samodzielna inicjatywa dzieciaków. Ktoś wymyślił taką zabawę, inni podjęli temat. W nocy, jak już wszyscy spali. Orzech, mój człowiek, akurat pełnił wtedy nocny dyżur i słyszał, co dzieje się w tamtym namiocie. On nie wierzy w takie rzeczy, więc tylko mi o tym wspomniał. Ja jednak, dowiedziawszy się, co potem się u was działo, z łatwością dodałem jedno do drugiego.

– To bzdura. Ja też nie wierzę w takie rzeczy – stwierdził Marek, wymawiając każde kolejne słowo coraz wolniej, coraz ciszej i z coraz większą niepewnością.

– Na pewno?

– Tak.

– Coś cię trapi, Marku.

– Nie, nic mi nie jest.

– Panowie – zwrócił się Grzegorz do pozostałych, obecnych przy tej rozmowie gangsterów. – Opuśćcie z łaski swojej to pomieszczenie. Chcę z nim zostać sam na sam.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

– Napijesz się czegoś? – Samiel wstał i podszedł do barku jeszcze niedawno należącego do Marka.

– Wody. I to dużo.

– Zgodnie z życzeniem.

Boss wyjął z małej zamrażarki soplicę, a z szafki szklanę i nalał do niej ilość napoju odpowiadającą kilku kieliszkom, po czym postawił ją przed Suchym.

– A ty? – zapytał Marek.

– Ja jestem abstynentem. To kolejny z aspektów mojego eliminowania słabości. Nie chcę kiedykolwiek znaleźć się w sytuacji, w której nie do końca kontroluję to, co robię i mówię, nie jestem w pełni skupiony albo, co gorsza, czujny. Nie dotyczy to tylko alkoholu. Dragów też nie stosuję. To powolne samobójstwo. Podobnie jak nałogowe palenie fajek. Rzuć to czym prędzej!

Suchy spojrział niepewnie na szklanę.

– Nie chcę cię otruć, głupku! Nie truję swoich ludzi. Tym bardziej na takich rozmowach. – Zaśmiał się serdecznie Grzegorz. Nieruchomą w trakcie tej czynności twarzą w dalszym ciągu nie wzbudzał zaufania.

Marek jeszcze raz zerknął na naczynie, po czym bez zastanowienia, jednym haustem wypił całą zawartość.

– Jeszcze – wycharczał, krzywiąc się.

– Mów, co nie daje ci spokoju. Widzę to. Masz jakiś problem, o którym z nikim jeszcze szczerze nie rozmawiałeś – powiedział Samiel, ponownie nalewając mu wódki.

– Mam.

– Wal. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Każdy z nas potrzebuje, by od czasu do czasu ktoś go pogłaskał i przytulił. I, co najważniejsze, wysłuchał. Zauważyłeś, że w trakcie naszej edukacji uczy się nas mówić, pisać i czytać, ale w ogóle nie uczy się nas słuchać? Wpadłem na to, chodząc do więziennego psychologa. Oni to umieją po mistrzowsku. Ot, nic szczególnego, zwyczajna rozmowa, a po niej zawsze z niewyjaśnionych powodów czułem się lepiej. To właśnie dzięki ich umiejętności słuchania.

Suchy wciąż milczał. W dalszym ciągu miał wątpliwości, czy powinien z nim o tym rozmawiać. Ale co najdziwniejsze, Grzegorz Samielewicz – ten sam skurwiel, który jeszcze niedawno siłą wyrzucił go z jego własnego pubu, najprawdopodobniej zamordował mu kochankę, okradł go ze wszystkich pieniędzy i właśnie wysadził mu w powietrze bardzo drogi samochód – jednocześnie zdawał się roztaczać wokół siebie jakąś niesamowitą, cholernie przyciągającą aurę. Jakby wydzielał z siebie pełną ciepła, pozytywną energię, która sprawiała, że z jakiegoś powodu Marek stopniowo zaczynał nabierać do niego zaufania. Nie potrafił tego wyjaśnić. Czuł się prawie jak podczas życzliwej rozmowy z ojcem, który ze szczerą troską w oczach i głosie nalega, by syn podzielił się z nim swoimi problemami.

Z ojcem, którego obecności w swoim życiu Marek praktycznie nie doświadczył.

– Opowiedz mi o swoim problemie – zachęcił go Grzegorz.

Marek westchnął. Dwie opróżnione szklanki wódki zrobiły swoje. Kiedy wypowiedział pierwsze słowo, kolejne popłynęły za nim niczym lawina. Wyzbył się wszelkich hamulców i wątpliwości. Poza tym pilnie potrzebował się teraz komuś wygadać. Traf chciał, że padło na osobnika, którego jeszcze przed chwilą gotów był rozszarpać gołymi rękami.

– Od mojego wypadku z udziałem tych dwóch twoich kłoców dzieje się ze mną coś dziwnego.

– To znaczy? – Samielewicz ponownie usiadł w fotelu, oparł łokcie o biurko, a brodę o czubki palców obu rąk, i spojrzał rozmówcy głęboko w oczy. Słowem, przyjął pozycję pilnego słuchacza.

– Widzę dziwne rzeczy. Rzeczy, których nie widziałem przed wypadkiem.

– Jakie?

– Przeróżające.

– Na przykład?

– Jakby dusze zmarłych, demoniczne twarze, jakieś nieokreślone cienie. Do tego mam jakieś popierdolone halucynacje. Na przykład wczoraj w nocy wydawało mi się, że moje dzieci bawią się w berka jak para wielkich pajaków i pełzają po suficie i ścianach!

– Rozumiem.

– Najgorsze jest to, że ja naprawdę nie czuję się źle. To się dzieje jedynie od czasu do czasu. Nie wydaje mi się, by moja percepcja świata była jakkolwiek zaburzona. Postrzegam go dokładnie tak samo, jak przed wypadkiem. Tylko te rzeczy...

– Solidnie uderzyłeś się w głowę. Nie boli cię?

– Nie. Jedynie w niektórych momentach. Jak mam do czynienia z tymi rzeczami. Mam wtedy nasilenie bólu i narasta mi w głowie taki wysoki szum połączony z piskiem. Coś jakby ostrzeżenie, że te rzeczy się zbliżają.

– Mhm. – Samiel słuchał go z najwyższą uwagą.

– Poniekąd właśnie dlatego nie układa mi się z rodziną. Moja schorowana matka wyprowadziłaby z równowagi nawet ciebie. Jest tak nieznośna, że szkoda gadać.

– A Kasia i dzieciaki?

– Myślą, że oszalałem. Kaśka nie pozwala mi nawet zbliżyć się do domu, żebym przypadkiem nie zrobił im krzywdy. To był zbieg okoliczności. Usłyszałem jakiś hałas i... – Po ponownym przetworzeniu tego wspomnienia przypomniał sobie o jeszcze jednej rzeczy. – To nie wszystko.

– Co jeszcze?

– Uznasz, że to nieźle pojebane.

– Mów wszystko. Szczerze.

– Z jakiegoś powodu nie mogę dotykać ścian.

– To znaczy?

– Wiem, jak to brzmi, ale jak tylko jakiejś dotknę, czuję, jakby poraził mnie prąd albo jakbym wsadził dłoń w kwas. Tego się nie da opisać. Ból jest po prostu makabryczny. Zobacz. – Pokazał mu swoje poranione, spuchnięte dłonie. – Nic sobie nie wymyślam. Tu masz dowody.

– I to zostało spowodowane przez dotknięcie ściany? – Grzegorz spojrzał na obrażenia Marka. Ani trochę nie dał po sobie poznać, czy już ma swojego rozmówcę za człowieka niespełna rozumu, czy jeszcze nie.

– Tak, i to jest kolejny popieprzony aspekt. Mam tak tylko ze ścianami.

– No, właśnie widzę. W dupę cię jakoś taboret nie pali.

– Nie wierzysz mi.

– Nie ukrywam, dziwnie to brzmi.

– Mam zademonstrować?

– Nie boisz się?

– Trudno. Jedno poparzenie w tę czy w tamtą nie robi różnicy. – Marek wstał i śmiało podszedł do jednej ze ścian. Wziął głęboki oddech, policzył w myślach do trzech i...

Nic się nie wydarzyło. Pomarańczowa ściana biura w Beermie zachowywała się jak najzwyklejsza ściana. Gładka. Chłodna. Tak, jak powinno to zawsze działać w zacienionym pokoju.

– I co? – Usłyszał za sobą głos Grzegorza.

Nie odpowiedział mu od razu. Dotknął ściany jeszcze raz. Czyżby ostatnie wydarzenia aż tak wyniszczyły mu zakończenia nerwowe, że nie odczuwał bólu? Na koniec dotknął płaszczyzny jeszcze nieuszkodzonym, niezranionym fragmentem skóry na wierzchu dłoni.

Nic.

– Nie rozumiem.

– Zostawmy to na razie.

– Przysięgam ci, że... – przerwał mu Marek.

– Uspokój się, nie mówię, że ci nie wierzę. Na pewno jest na to jakieś wytłumaczenie.

– Ja naprawdę sobie tego nie wymyśliłem. I nie oszalałem. Nic nie rozumiem.

– Marku, nikt nie mówi, że oszalałeś. Zostawmy to, skoro wszystko jest w porządku. Nie skupiajmy się na rozwiązanych problemach, tylko na jeszcze nierozwiązanych. Na przykład z twoją rodziną. Dziwisz się żonie, że zinterpretowała to, co widziała, tak jak zinterpretowała?

– Nie, ale... – westchnął Marek i z powrotem usiadł na taborecie. – Kurde, nie wiem do końca, jak to odkręcić.

– Idź do psychiatry.

– Kurwa, tylko czekałem, aż mi to powiesz! Wszyscy mi to mówią! – wybuchnął Marek i zaczął chodzić w tę i z powrotem z rękami założonymi na biodrach. – I lekarz, i Kaśka, i moja siostra dewotka, a teraz ty.

– Jest taka jedna mądrość ludowa: jeżeli co najmniej dwie osoby mają na coś inny pogląd niż ty, warto go zrewidować. Nie mówię, że zupełnie zmienić, ale chociaż przemyśleć. U ciebie są to już, zdaje się, cztery osoby.

– Nie ześwirowałem! Czuję się dobrze!

– Sam kiedyś powiedziałaś swojej matce, że nie każdy, kto korzysta z usług psychiatry, jest wariatem. I ja się z tym zgadzam. Nie unos się dumą. Skoro potrzebujesz pomocy, idź do kogoś, kto ci ją zapewni.

Skąd ty wiesz, co ja jej powiedziałem, do ciężkiej cholery?! – Marek znowu poczuł, że Samielewicz dysponuje informacjami, których nikt nie byłby w stanie zdobyć.

– Mam propozycję – kontynuował Grzegorz. – Nie będę ukrywał, zależy mi na twoim zdrowiu, psychicznym również. Jesteś jednym z moich najbardziej wartościowych nabytków. Znasz dobrze ten biznes, wiesz, jak nim zarządzać, masz sporo ciekawych kontaktów, a ja potrzebuję odpowiedniego człowieka. Aby ta maszyna dobrze działała, musisz wyzdrowieć. Masz sporo problemów i ktoś ci musi pomóc, bo sam sobie z nimi nie radzisz. Trudno. Każda kosa ma swój kamień.

– Dzięki. – Komplement bossa zaskakująco mocno podniósł Marka na duchu.

– Rozwiązujemy też je po kolei sami, na tyle, na ile umiemy. Musimy wykazać inicjatywę. Kiedy w twoim życiu pojawiają się przeciwności, to należy się ich powoli, po kolei pozbywać, a życie stanie się prostsze. I trzeba to robić samodzielnie. Brać życie w swoje ręce. Nikt za nas tego nie zrobi. Chyba że, tak jak ja, sam zaoferuje pomoc. Co chcesz, bym dla ciebie zrobił? Mów. W czym mogę ci pomóc?

– Wypadałoby uprzątnąć tę kałużę krwi w mieszkaniu Marty. Nie da się ukryć, że nie pasuje do wystroju – mruknął Marek na podstawie pierwszej myśli, która przyszła mu do głowy.

– Mówisz i masz. Zaraz wyślę tam Białego. Co zaś do reszty, zaczniemy od twojej matki. Wyślę też zaraz człowieka, by załatwił jej całodobową, profe-

sjonalną opiekę. Zapłacimy za nią. To grosze.

– Dzięki. Sam chciałem to zrobić, zanim... – stwierdził Marek i urwał, przypominając sobie obrazek płonącego porsche.

– O ile w przypadku naszych konkurentów o wpływy działa zasada, że nie muszą nas lubić, o tyle w kwestii rodzin musi być dokładnie odwrotnie. Bałagan w życiu to bałagan w głowie i na odwrót. Musisz spróbować pogodzić się z matką i uporządkować sprawę z żoną i dziećmi.

– To nie będzie łatwe.

– Jest coś, co twoja matka szczególnie lubi, a czego od dawna jej nie dawałeś?

– Jest. Ma działkę pod Suwałkami. To wręcz jej obsesja.

– Rekreacyjną?

– Coś w ten deseń. Drzewka, krzewy, warzywa, owoce, kwiatki, domek. Taki ogródek działkowy.

– Pojedź tam z nią i poświęć trochę czasu na pomoc przy niej. Zobaczysz, to pomoże.

– A Kaśka i dzieciaki?

– Tak jak powiedziała, idź do tego psychiatry. Zrób sobie jakieś badania. Jeżeli, jak twierdzisz, nic ci nie jest, to nic nie wykryją. Będziesz to mieć na piśmie. Czarno na białym, nie na żółtym. Wtedy pozbawisz ją argumentów.

– Dobra. Może masz rację – westchnął Marek.

– No i jeszcze jedna ważna kwestia.

– Jaka?

– Ty! Musisz się odprężyć. Jeszcze nie będę ci dawać zadań. Daję ci za to urlop. Płatny. – Grzegorz położył na biurku okazały plik banknotów. – Musisz wydobrzeć. To w tej chwili najważniejsze.

– Co proponujesz?

– Mówiłem o uspokajającym działaniu koloru zielonego. Masz jakieś ulubione miejsce na łonie natury, do którego lubisz wracać?

– Mam. Cmentarzysko Jaćwingów w Lesie Szwajcarskim. Ładna miejscówka. Klimatyczna.

– To na dobry początek jedź tam, natychmiast. Zrób sobie spacer. Zaraz poproszę Knizia, żeby cię zawiózł. Sam nie pojedziesz, bo piłeś, a poza tym nie masz czym.

Marek zacisnął zęby. To nie był dobry moment na złośliwości. Ale Polip też od nich nie stronił i ich adresat również musiał gryźć się w język.

Wyglądało na to, że tą rozmową zostało przyklepane, iż Grzegorz Samielewicz, przynajmniej na jakiś czas, stał się jego nowym bossem.

– Ok.

– Połóż tam sobie trochę. A jak już uznasz, że masz dość, zapraszam cię do swojego nowo otwartego przybytku. Arek wie, gdzie to jest. Ruszyliśmy z tematem dzisiaj. Spodoba ci się.

– Co to takiego?

– Lokal nazywa się Harem. Sam rozszyfruj sobie znaczenie nazwy.

CMENTARZYSKO POGAN

– Podobno mam cię gdzieś zawieźć? – zagaił Knizio. W porównaniu do ich ostatniego spotkania, zauważalnie poprawił mu się nastrój.

– Tak, na cmentarzysko Jaćwingów. Dostałem zalecenie, że mam tam iść na spacer.

– Serio?

– Długa historia. Niby mam to zrobić dla zdrowia. Na skołatane nerwy.

– Ja bym mu zaufał. Skoro tak mówi, to pewnie ci to pomoże. Obrzydliwie inteligentny gościu. Widać, że czytany. A mamusi mówiły, czytajcie książki! Trzeba było ich słuchać, może teraz bylibyśmy na jego miejscu.

Podczas gdy Arek mówił dalej, Marek skupił się na mijanym przez nich kościele pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusa. Coś mu w nim nie grało. Jeszcze nie wiedział co, ale coś na pewno, ponieważ w głowie zaczynały narastać mu szum i pisk. A może to nie o kościół chodziło, a coś innego? Coś, co nadchodziło ku niemu z najmniej spodziewanej strony? Zaniepokoił się trochę i zaczął nerwowo rozglądać. Nie umknęło to uwadze Arka.

– Co ci? Czego szukasz?

– Niczego, tak tylko.

Knizio zatrzymał się na światłach przy skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Chłodnej. Ich samochód stał na samym początku kolumny przed przejściem dla pieszych. W pewnym momencie Marek zdał sobie sprawę, że w czekającym na zielone światło tłumku kryje się osoba, która intensywnie mu się przypatruje.

Skądś już kojarzył tę twarz. Choć poprzednio była nieco bardziej fioletowa i zbrukana krwią, teraz była czysta, ze sporą ilością świeżo zaszytych ran ciętych.

Facet, ten sam, którego zobaczył na szpitalnym wózku podczas niedawnej ucieczki ze szpitala, z wyraźnym niepokojem malującym się na obliczu zerkał na niego i Knizia. To był dobry moment na sprawdzenie, czy naprawdę istniał.

– Widzisz go? – zwrócił się do Arka.

– Kogo?

– Tego gościa w szarej koszulce. Całą gębę ma opuchniętą i pokolorowaną pięściami na fioletowo. Wygląda, jakby startował w castingu do reklamy śli-

wek.

– Widzę, a co? Dziwne, ciekawe co mu się stało.

– Pobili go i pocięli.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Knizio.

– Jak uciekałem ze szpitala, to go widziałem. Akurat przywieźli go na oddział ratunkowy i słyszałem, co mówią ratownicy. Znasz go?

– Nie kojarzę.

Gdy tylko mężczyzna zrozumiał, że Suchy i Knizio wskazują na niego, najwidoczniej zmienił zdanie co do przebiegu swojej trasy. Ostrożnie obrócił się na pięcie i powoli, z przyciśniętą do brzucha ręką, ruszył, utykając, z powrotem przez ulicę Chłodną i wkrótce zniknął im z oczu.

– Ja go skądś znam. Jeszcze to pobicie. Za darmo nie dostał. To musi być ktoś z naszego podwórka. I on też mnie kojarzy. Boi się mnie. Zobacz, jak zwiewa.

– Jeżeli aż tak cię to ciekawi, możemy zaparkować i w twoim stylu zapytać, jaki ma problem. Może też podpadł Samielowi? Nic mi nie wiadomo, żeby ktoś z naszych kręgów nawarzył sobie aż tyle piwa w ostatnim czasie. To byłoby coś grubszego, więc na pewno by do mnie dotarło.

– Dobra, w sumie nie jest to aż takie ważne. Jedź. – Suchy machnął ręką.

Chociaż może i jest? – pomyślał. – Skoro on też powoduje u mnie ten szum. A może to nie on? Przecież Arek też go widzi.

Istotnie, wychodziło, że to nie tajemniczy nieznajomy odpowiadał za niepokojące objawy. Im bardziej oddalali się od ulicy Chłodnej, tym głośniejsze stawały się szum wraz z piskiem. Pojawił się też ból. Migrenowy. Dokuczliwy.

Marek złapał się za skronie i jęknął.

– Co ci?

– Niedawno walnąłem się w łeb. Zapomniałeś? Napieprza mnie.

– Chcesz ibuprom?

– Masz? To dawaj.

Akurat zatrzymali się na kolejnych światłach, na skrzyżowaniu ulic Kościuszki i Dwernickiego. Knizio sięgnął do plecaka, który do tej pory leżał na tylnym siedzeniu, i zaczął w nim grzebać. Tymczasem Marek, aby nie myśleć o bólu, po raz kolejny spojrzął przed siebie. I ponownie zobaczył na przejściu dla pieszych znajomą postać.

– O, zobacz kto idzie – rzucił z przekąsem.

Arek spojrział w tamtą stronę.

– Kto?

– W sumie nawet nie wiem, czy kiedykolwiek ci opowiadałem. Kiedyś pode mną mieszkał. Stary komuch i konfident. No co? Co się gapisz, stary przyku? – Marek machnął wyzywająco rękami w kierunku mężczyzny. Dziadek zatrzymał się tuż przed maską, mówił coś i czynił ku niemu dziwne gesty. Suchy dopiero po chwili pojął, że tamten pokazuje mu, iż stare nogi odmówiły mu posłuszeństwa i nie może się ruszyć. Prosił o pomoc.

– Najchętniej bym tę starą konfiturę przejechał. Ja się tym zajmę – mruknął, rozpiął pasy i wysiadł.

– Marek...

– Spoko, pomogę mu, bo nie ruszymy – powiedział i zamknął za sobą drzwi. – No i co, stary durniu? – zwrócił się do staruszka. – Zaskakujące, że spotykamy się akurat w takiej sytuacji, co? Ale znaj łaskę pana. Dzień dobroci dla zwierząt.

Podszedł do niego, wziął pod rękę i pomógł bezpiecznie dotrzeć do drugiego końca przejścia dla pieszych.

– Dziękuję – powiedział po wszystkim stary.

– I tak cię nienawidzę. Oby ktoś w podobnej sytuacji kiedyś przed tobą nie wyhamował. Życzę ci tego z całego serca. Dałbym ci w papę tu i teraz, ale masz szczęście, bo się spieszę – warknął Marek, odwrócił się i wrócił do samochodu. – Masz ten ibuprom? – zapytał już po ponownym zajęciu miejsca i zapięciu pasów.

Arek tylko gapił się na niego z otwartymi ustami. Osłupiał tak bardzo, że nie zauważył, iż już dawno zapaliło się zielone światło i kierowcy za nimi zaczęli trąbić.

– No co? – zdziwił się Marek.

– O kurde – wyszeptał Knizio, ruszając wreszcie pojazd z miejsca.

– Co? O co ci chodzi?

– Stary, przerażasz mnie.

– Niby czym?

– Właśnie przeprowadziłeś przez ulicę powietrze.

Marek poczuł w żołądku ciężar. A jak tylko zdał sobie sprawę, że ibuprom nie jest mu już do niczego potrzebny, ciężar ten tylko się powiększył. Ból stawał się tym słabszy, im bardziej oddalali się od tego skrzyżowania.

Marek spojrział przez tylną szybę auta. Nigdzie nie widział już tamtego face-

ta.

– Nie widziałeś go?

– Kogo?

– Tego starucha. Miał jakiś problem z nogami i prosił, żeby go przeprowadzić przez ulicę. To przeprowadziłem – wymamrotał.

– Stary, nikogo nie widziałem. Nikt nie przechodził przez jezdnię. Myślałem sobie, co ty wyrabiasz. Widziałeś kogoś?

– Widziałem! I dotykałem! Wziąłem go pod rękę.

– Kurwa. Źle z tobą.

– Arek, wręczasz mnie?

– Przysięgam ci, że nie! Naprawdę nikogo nie widziałem!

Marek przełknął ślinę i wlepił wzrok przed siebie.

– Mówiłeś, że kto to był? – Po chwili milczenia ponownie odezwał się Knizio.

– Stary komuch. Mieszkał pode mną kiedyś.

– Nazwisko pamiętasz?

– Żytnicki.

– Jesteś pewien? – Arek brzmiał na coraz bardziej zaniepokojonego.

– Tak, pamiętam. Parę ładnych lat się z nim męczyłem. Czemu pytasz?

– Marek, jakiś staruch o nazwisku Żytnicki zginął w wypadku samochodowym tydzień temu, jak leżałeś nieprzytomny.

– Pieprzysz?

– Przechodził przez jezdnię w deszcz, wieczór, słaba widoczność i te sprawy, ktoś go staranował jak słup. Odleciał podobno na kilka dobrych metrów. Zginął na miejscu. Wszystkie lokalne media o tym trąbiły.

Suchy nie odpowiedział. Myślał. Jeżeli to, co mówił Grzegorz o właściwościach zielonego koloru było prawdą, to potrzebował tego teraz jak niczego innego.

– Jakby co, to dzwoń. Ja idę jeszcze ogarnąć dziuplę. Samiel mi kazał – powiedział Knizio.

Marek już go nie słuchał. Nawet nie przejmował się tym, że kolejna część jego osobistego majątku, którą stanowiły gospodarstwa-atrapy przy Cmentarzysku Jaćwingów (kupił je za bezcen po tym, jak w dwa tysiące jedenastym

roku zostały porzucone przez poprzednich właścicieli, i przerobił na magazyny trefnych fantów) została zagarnięta bez pytania przez jego nowego bossa. Nie miało to teraz znaczenia i nie zawracał sobie tym głowy. Przynajmniej nie wtedy.

Spojrzał na ścianę lasu przed sobą i zaczął powoli człapać pod górkę. Choć nie musiał pokonywać zbyt dużych odległości i wysokości, zasapał się lekko. Tylko czy ze zmęczenia? Jest przecież jeszcze jedna rzecz, która potrafi zupełnie wyssać z człowieka życiową energię. To tak jak z grą w piłkę. Zupełnie inaczej gra się na luzie, a inaczej, gdy dochodzi stawka i idąca za nią presja. Obawa, strach przed przegraną.

O tak, strach to dobre słowo.

Wtedy każdy krok wydaje się dwa razy cięższy do wykonania, pojemność płuc dwa razy mniejsza, sprint dwa razy wolniejszy niż by się chciało. Spadają możliwości fizyczne i organizm nie funkcjonuje tak, jak powinien.

Po wejściu na wzgórze skierował się od razu w lewo, ku polanie zaraz za czerwoną tabliczką z napisem „REZERWAT PRZYRODY CMENTARZYSKO JACWINGÓW”. Nie miał ochoty na spacer. Chciał po prostu sobie usiąść. Usiąść i pomyśleć. Pomyśleć i, choć odwlekał ten moment w czasie jak tylko mógł, nazwać pewne rzeczy po imieniu. Bez owijania w bawełnę.

Zapalił papierosa.

Marek Suchocki widział duchy.

I nie tylko je. Widział wszystko, co duchowe, czego wzrok zwykłego człowieka nie jest w stanie zarejestrować. Z jakiegoś powodu nabył po wypadku zdolności medium. Jego mózg, naturalny komputer, centralny układ, który odpowiada przecież za odbiór wszelkich doznań zmysłowych, zaczął pracować inaczej niż przedtem. Wydajniej? Chyba tak to należało nazwać. W końcu jego właściciel widział więcej niż inni. Nie tylko widział, ale potrafił też z wyprzedzeniem wyczuć obecność tego „więcej”. Dwie nowe funkcje w jednym.

Czy miało to jakikolwiek sens? Teoretycznie nie. Teoretycznie.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał wierzyć.

Jakby jeszcze brakowało strachu i dziwactw, w związku z jego nowymi zdolnościami występowały nieprzyjemne efekty uboczne. Coś, co nie mogło być prawdziwe. Coś, co nie mogło dziać się naprawdę. Coś, co wynikało

z tego, że jego głowa nie pracowała tak, jak powinna. Na przykład tak niedorzeczne sprawy, jak awersja jego skóry do ścian. Żaden z jego podstawowych zmysłów nie działał do końca poprawnie. Szczególnie wzrok, słuch i ten nieszcześnie dotyk. Taka właśnie była cena jego nowych umiejętności. Wysoka.

Marek Suchocki widział duchy.

Albo oszalał.

Trzeciego wyjścia nie było. Albo w tę, albo we w tę. Należało raz na zawsze przyjąć to do wiadomości. Najgorzej, że sam nie wiedział, którą wersję wolałby wybrać.

Zadrżał.

Niepokój, niepewność. Jeżeli coś go przerażało, to chyba najbardziej one. Ta niewiedza, brak przekonania jak potoczy się jego dalsze życie. Brak stabilnego punktu zaczepienia. Brak nadziei, że cały ten koszmar samoistnie się skończy. Potrzebował pomocy. Musiał przyznać się do słabości. Bał się. Jednocześnie stał się jeszcze bardziej zdeterminowany, by się tego pozbyć. Spóśb nie grał roli.

Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i spróbował zupełnie oczyścić umysł. Pomimo skutecznego dotlenienia komórek, nie ogarniało go stopniowe rozluźnienie, a coś zupełnie innego. Jeszcze nie potrafił tego nazwać. Narastało w nim powoli, krok po kroku, jakby kumulując się wraz z każdą uzyskaną przez jego układ oddechowy cząstką powietrza.

Nadchodziło. Powiększało się. Podobnie jak ten ból głowy, szum i pisk.

Wtedy jeszcze nie zdawał sobie sprawy, jak wielki błąd popełnił, że w ogóle tam przyjechał. Że ze swoimi nowymi zdolnościami, z własnej woli przybył do suwalskiego lasu samobójców.

Lasu, który krył w sobie więcej mrocznych tajemnic, niż mogłoby się wydawać.

Zaczęło się niewinnie. Od wrzasku za jego plecami. Czegoś, czego głos przypominał ptasi pisk. Krzyk trwał i trwał. Zamiast stopniowo cichnąć, stawał się donośniejszy. Wkrótce dołączył do niego jeszcze jeden głos. Kolejny. I następny. Kilka, jak nie kilkanaście innych. Każdy z nich brzmiał podobnie, mimo to w pewien sposób inaczej. Wysoko, ptasio, z ogromną ilością bólu.

Chór głosów, który przypominał teraz zbiorowy wrzask dzieci i kobiet, nie przestawał milknąć. Dochodził skądś z oddali, z serca lasu, spomiędzy drzew, i roznosił się echem pośród kniei. Pomimo że był dość głośny, doskonale sły-

szalny i w oczywisty sposób niepokojący, siedzący na trawie Marek wciąż nie otwierał oczu. To coś wciąż znajdowało się daleko stąd.

Uchylił powieki dopiero wtedy, gdy usłyszał w pobliżu coś jeszcze. Trzask naprężającej się liny. Spojrzał przed siebie. Na tle słońca, pośród majestatycznej poświaty przenikających przez rząd masywnych świerków promieni, wisiało ciało. Chyba mężczyzny. Suchy nie zdążył się na nim zbytnio skupić, ponieważ kątem oka dostrzegł obok siebie ruch. Jeszcze jedno ciało, także zawieszona na sznurze.

Przed oczami zaczęły dyndać mu kolejne postacie wisielców. Trzeci, czwarty, piąty, szósty. Jak jakieś chore imitacje dojrzewających na gałęziach owoców. Byli to sami mężczyźni i jedna kobieta. Co czyniło ten żeński rodzynek jeszcze bardziej wyjątkowym? To właśnie ona wyglądała najgorzej ze wszystkich. Miała przeraźliwie brudne włosy w kolorze ciemnego blondu, nieobecne oczy, powykręcane ręce i nogi, ubrana zaś była w postrzępioną, przypominającą dziurawą szmatę białą sukienkę. Jej sine ciało pokrywała niezliczona ilość ran, siniaków i zadrapań, a opuchniętą twarz oplatała granatowa pajęczyna martwych, ale wciąż wypełnionych krwią żył. Wokół ust widniała z kolei brunatna obwódka z zeschniętej posoki.

Paradoksalnie Marek zachował spokój. Czekał, gotowy na wszystko, co miał mu przynieść los. Wieczne uciekanie przed tymi rzeczami zwyczajnie go wyczerpywało. Fizycznie i psychicznie. To był tylko obraz. Przeróżający obraz, ale wciąż obraz. To go nie atakowało. Wystarczyło, że zamykał powieki i się tego pozbywał. Odgradzał się, zamykał, barykadował. Prawie umykał. Te dwa cienkie, dane mu przez matkę naturę w darze kawałki skóry na oczach stanowiły teraz prawdziwe błogosławieństwo. Bariery nie do przebycia dla tych rzeczy. Nawet one nie mogły jej pokonać.

Inaczej było jednak z ręką, która zniemacka wyłoniła się z ziemi i chwyciła go za nogę. Marek raptownie poderwał się, uwolnił i patrzył przed siebie bez słowa. Widok okazał się odrażający, lecz w jakiejś masochistycznej, kompletnie niekontrolowanej przez siebie reakcji nie potrafił oderwać od niego wzroku. Stał jak zamrożony i obserwował.

Ziemia na cmentarzysku zaczęła się poruszać. Z każdego kurhanu, z niskim pomrukiem i żalonym zawodzeniem, zaczęły wyłaniać się kolejne pary martwych rąk, potem przegniłych, trupich głów, na koniec korpusów i nóg. Część z nich zdołała się powoli wyprostować i stanąć. Reszta czołgała się, pełzała jak węże albo wyjątkowo okropne robale.

Każde z tych ciał zmierzało w jednym kierunku.

Ku jedynemu żywemu człowiekowi w okolicy. Zupełnie jakby przyciągał je jak magnes. Albo coś, co miało zaspokoić głód.

Suchy za późno pojął, że ilość tych istot uniemożliwia mu wydostanie się z lasu. Mógł uciekać jedynie w odwrotnym kierunku. Pomiędzy coraz gęstsze drzewa, w paszczę półmroku, coraz dalej od granicy puszczy.

Ubrane w łachmany trupy zbliżały się z zaskakującą szybkością. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, puścił się biegiem przez las. Walczył z bólem nie tylko głowy, ale też i prawej stopy, co znacznie go spowolniło. W którymś momencie musiał podjąć szybką decyzję i błyskawicznie zmienić kierunek biegu. Stało się to tuż po tym, jak dostrzegł stojącą w oddali postać człowieka pozbawionego głowy. Nie oglądał się jednak. Nie wiedział, czy to coś za nim podąża. Nie chciał wiedzieć. Podobnie jak nie chciał się upewniać, czy między drzewami rzeczywiście obserwują go blade postacie ubrane w stare, sowieckie mundury.

Zatrzymał się po kilku minutach szaleńczego sprintu. W żadnym wypadku nie dlatego, że się zmęczył. Obecnie wyczerpanie stanowiło jego najmniejszy problem. Adrenalina dodawała mu energii. Kłopot był inny. Znacznie poważniejszy.

– Co to ma być? Co to, kurwa, w ogóle jest?! – zajęczał ze łzami w oczach. Złapał się za głowę i ścisnął się mocno za skronie. Tracił zmysły. A przynajmniej zaufanie do nich. Tracił zdrowy rozsądek. Tracił siły.

I nadzieję.

Ból głowy w dalszym ciągu był niewyobrażalny.

Niesamowicie śmierdząca trupim odorem rzeka z wodą o kolorze świeżej krwi odcinała mu drogę ucieczki. Jej szerokość wynosiła kilka metrów, co uniemożliwiała przebycie bez przynajmniej częściowego zanurzenia się. Tego Marek w życiu by nie zaryzykował. Mroczna, czerwona toń i bystry, bardzo silny nurt w żadnym wypadku do tego nie zachęcały. Tym bardziej, że dałby sobie rękę uciąć, iż żadnej rzeki nigdy w tym lesie nie było.

To, co rejestrował jego wzrok w trakcie tych widzeń, nie zawierało w sobie choćby cząstki dobra. Zdążył się już tego nauczyć.

Usłyszał za sobą szelesty i trzaski łamanych gałązek. Odwrócił się. Z każdej strony zmierzała ku niemu armia trupów.

– Ratunku! Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! – Uniósł głowę i wydarł się w kierunku nieba. Wtem poczuł jak ziemia, na której stoi, zaczyna silnie drżeć.

Nie zdążył zrobić nawet kroku, gdy w jednej sekundzie wyłoniła się spod jego stóp olbrzymia postać ubrana w ciemnozieloną, wełnianą pelerynę z kapturem naciągniętym na głowę. Jej rozmiary, masa i prędkość sprawiły, że Marek wystrzelił do tyłu niczym z katapulty.

Jak tylko wylądował w czerwonej, śmierdzącej wodzie, opił się jej i błyskawicznie zebrało mu się na mdłości. Od razu porwał go też silny prąd, co jeszcze bardziej utrudniło mu wypłynięcie na powierzchnię. Poczuł, że dłużej na bezdechu nie wytrzyma, więc energicznie pracował rękami i nogami.

– Ratunku! – wrzasnął zaraz po wynurzeniu się.

Z niesamowitą szybkością płynął w dół rzeki jak na jakiejś upiornej zjeżdżalni w aquaparku. Wszechobecny smród uniemożliwiał mu swobodne oddychanie. Rozpaczliwie usiłował dotrzeć do brzegu, ale jego próby w dalszym ciągu spełzały na niczym.

Poczuł nagle, jak coś chwytą go za prawą nogę i zaczyna ciągnąć z powrotem pod wodę. Powtórnie znalazł się pod taflą czerwonej cieczy. Z całej siły szarpnął uwięzioną kończyną i zaraz poczuł jeszcze dotkliwszy ból w stopie. Zdrętwiała mu cała noga. Praktycznie nie mógł nią ruszać.

Jakimś cudem udało mu się wypłynąć na powierzchnię, ale nie na długo. Z czerwonej wody od razu wyłoniło się bowiem kilka par sinych, trupich rąk, które chwyciły go z każdej strony i zaczęły stopniowo ściągać z powrotem w tę mroczną, śmierdzącą toń.

Próbował jeszcze z nimi walczyć, ale z każdą sekundą tracił coraz więcej sił. Przed zanurzeniem się nie zdążył wziąć choćby najmniejszego oddechu.

Po ostatnim, słabym spazmie jego kończyn, unieruchomionych przez ściągające go na dno istoty, poddał się. Zesztywniał. Odpływał coraz dalej i tracił świadomość. Jego płuca napełniły się obrzydliwie śmierdzącą, czerwoną cieczą.

Stał się zupełnie bezwładny. Miał otwarte usta. W jakimś ostatnim odruchu dogorywającego organizmu zamknął powieki.

Te same dwa kawałki skóry, które miały chronić, odgradzać, strzec go przed tymi rzeczami.

UTRATA

„Marek!”

„Marek! Co z tobą? Obudź się, kurwa!”

„Marek!”

Po solidnym uderzeniu otwartą dłoń w twarz, Suchy ocknął się i z miejsca wykrztusił solidną porcję wody, którą za moment doprawił okazałą ilością wymiocin. Drżał, choć temperatura letniego powietrza była bardzo wysoka. Leżał na brzuchu, na trawie.

– Żyjesz! Ale mnie przestraszyłeś, człowieku! Co ci się stało?

Marek z trudnością przewrócił się na plecy. Nie widział do końca wyraźnie, ale po głosie i zarysie sylwetki rozpoznał pochylającego się nad nim Knizia. Potem przypomniał sobie wszystko. Także to, że przebywa w tym samym miejscu, w którym, biorąc pod uwagę jego zdolności (przekleństwo?), w żadnym wypadku być nie powinien. Ani teraz, ani wcześniej, ani później.

– Arek! – wycharczał nagle i, wciąż leżąc, silnie złapał kumpla za koszulkę. Dość drobny w budowie Knizio o mało co nie stracił równowagi.

– Uspokój się! Co ci się stało? Zemdlałeś od słońca czy jak?

– Arek! Błagam cię! Zabierz mnie stąd! Teraz! Natychmiast!

– Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Już druga osoba po wypadku użyła przy nim tego porównania. Naprawdę w pięknej polskiej mowie nie istniało już żadne inne?

– Zabierz mnie stąd! – Marek krzyknął jak najgłośniejszy. Kręciło mu się w głowie. Nie miał siły się podnieść. Gdy w miarę upływu czasu wyostrzał mu się wzrok, rozpoznał, że znowu znajduje się na Cmentarzysku Jaćwingów. Jak tam powrócił? Nie miał zielonego pojęcia. Podobnie nie rozumiał dlaczego zarówno jego ciało, jak i ubranie są zupełnie suche. Nie obchodziło go to teraz.

– Dobra! Spokojnie. Już zabieram. Chodź. – Arek podał mu rękę. – Możesz wstać?

Marek chwycił wyciągniętą dłoń i usiadł. Kiedy spróbował dźwignąć się na nogi, w Lesie Szwajcarskim po raz kolejny tego dnia rozniósł się jego wrzask. Tak bardzo bolała go prawa noga. Czemu? Przecież na pewno jej nie złamał.

Boleśnie ugięła się pod nim i wylądował tyłkiem na ziemi. Usiadł jeszcze raz. Usilnie starał się nie patrzeć na boki. Wyłącznie na Knizia.

– Pomóż mi! Jedźmy stąd! – Wyciągnął ku niemu ręce jak dziecko proszące ojca, by wziął je na barana.

– Co się dzieje? Noga? Skręciłeś?

– Nie wiem, w dupie mam to teraz! Pomóż mi i wynośmy się stąd.

Arek nie zadawał już żadnych pytań. Posłusznie i z niemałym wysiłkiem pomógł Suchemu wstać, po czym pozwolił mu zawiesić się na ramieniu. Z racji znacznej różnicy gabarytów między nimi, z perspektywy kuśtykającego Marka żmudna wędrówka ku wyjściu z cementarzyska trwała całe wieki. Oddychał głęboko i patrzył wyłącznie na ziemię, na którą skapywały z niego kropelki potu. O niczym nie myślał, chciał wyłącznie opuścić ten las. Ignorował nawet lęk, który bez przerwy nim targał.

– Wytrzymasz? Może podjadę. Tak będzie szybciej – zaproponował Knizio. Samochód stał u podnóża wzgórza i dzieliło ich od niego jakieś sto metrów.

– Nie! Nie zostawiaj mnie tu samego! Idziemy.

Gdy schodzili, Markowi przez moment wydało się, że słyszy cichy, odległy odgłos naprężającego się sznura.

– Szybciej! – popędził Arka. Podczas stawiania kolejnych kroków zaczął celowo, jak najbardziej hałaśliwie szurać zdrową nogą o żwir.

Jakimś cudem udało im się dotrzeć do auta. Knizio otworzył drzwi i posadził Marka na siedzeniu obok kierowcy.

– Pomóż mi. Włóż mi nogę. Szybciej, jedźmy stąd!

Arek chwycił jego prawą stopę i średnio delikatnie umieścił ją we wnętrzu samochodu. Suchy zawył z bólu.

– Przepraszam.

– Dobra, już, nic się nie stało – wysyczał Marek, biorąc pokaźne wdechy. – Wynośmy się stąd!

Knizio zajął swoje miejsce, odpalił auto, błyskawicznie wykręcił i po chwili pojazd zmierzał z powrotem w kierunku krajowej ósemki.

Marek zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek i starał się uspokoić, ale miał takie drgawki, jakby naprawdę był mokry i nie mógł wytrzymać z zimna. Poruszył się trochę w fotelu, syknął z bólu i od razu przypomniał sobie o reszcie swoich problemów.

Arek spojrzał na niego.

– Stary, to nie wygląda najlepiej. Chyba poszło ci jakieś więzadło. Jadę do

szpitala.

– Nie! – Marek otworzył oczy. – Nie! Nie do szpitala! Nie chcę!

– Człowieku! Ktoś musi to zobaczyć!

– Ty nic nie rozumiesz. Za to ja nie chcę zobaczyć pewnych rzeczy, które na pewno zobaczę w szpitalu!

– Jakich rzeczy?

– Arek, błagam cię, nie jedź do szpitala.

Knizio zawahał się.

– Zawieź mnie do domu. Na Gołdapską. Lekarza wezwie się tam. Zapłacę mu, ile tylko będzie chciał.

Pomysł ten najwidoczniej nie zabrzmiał w uszach Arka aż tak źle.

– Dobra, jak tam sobie chcesz. Ale nadal uważam, że ktoś to powinien obejrzeć jak najszybciej – mruknął.

Marek dotknął swojego podudzia. Bolało go jak diabli. Przesunął rękę w kierunku stopy i syknął jeszcze głośniej. Uniósł nogę i delikatnie nią pomachał. Na sto procent nie skończyło się złamaniem. Kości były całe, stabilne.

Uniósł nogawkę od spodni. Nic. Zdjął więc but i skarpetkę.

– Arek, zwracaj. Jedź do tego szpitala.

– Co jest? – Knizio odwrócił się w jego stronę, spojrzał na nogę kumpla i rozszerzył oczy.

Stopa Marka nie była sina. Nie była nawet zaczerwieniona.

Była w połowie czarna.

Gniła.

– Jaka miażdżycza tętnic? Jaka martwica? O czym pan w ogóle do mnie pierdoli? – Podczas gdy rzeczywistość i los raz za razem zadawały mu idealnie mierzone ciosy w psychikę, Marek nie potrafił usiedzieć w miejscu i kurczowo zaciskał dłonie na kolanach. Znajdował się w chyba najgorszym możliwym położeniu. Po pierwsze, jednak znalazł się w szpitalu, a więc ostatnim obok cmentarza miejscu, w którym powinien się znaleźć. Po drugie, jego stan pogorszyło dodatkowo niesamowicie długie oczekiwanie na lekarza. Po wywiadzie i krótkich, ale najwyraźniej wystarczających oględzinach nogi, specjalista nie bawił się w okrężne drogi, tylko od razu przekazał mu brutalną prawdę. Już nawet nie prosto, a między oczy.

– Musimy pana jak najszybciej operować, bo istnieje nawet niebezpieczeństwo, że...

– Jakie, kurwa, niebezpieczeństwo?

– Powiem wprost, może pan umrzeć. Może się to skończyć sepsą i wieloma innymi świństwami. To konieczne.

– Ale co wy chcecie zrobić?

– Musimy ją panu wyciąć.

– Jak to wyciąć? Co wy mi chcecie wycinać?

– Kawa na ławę. Musimy amputować panu nogę pod kolanem. Jeśli martwica by się rozszerzyła... Nie chcę nawet sobie wyobrażać skutków. Im szybciej, tym lepiej. Ja nie mam żadnych wątpliwości, że to trzeba zrobić. Jedyne, czego potrzebujemy, to pana decyzji.

– Jak to w ogóle jest możliwe? Przecież rano moja stopa wyglądała normalnie!

– Sam pan mówił, że bolało pana od jakiegoś czasu. Pali pan papierosy? Dużo?

– Palę – przyznał Marek.

– No i mamy związek przyczynowo-skutkowy. Papierosy, miażdżyca, niedokrwienie i martwica. Gdyby przyszedł pan z tym do nas wcześniej, jak tylko pojawiły się te bóle, to byśmy uratowali nogę – urwał nagle. – Cóż. Stało się i nie ma co tego teraz roztrząsać. Martwica może rozwijać się różnie. Ale gdy do niej dojdzie, to zaczyna się dokładnie tak, jak u pana, od palców u stóp, a potem rozszerza się coraz dalej.

– Nie da się zrobić nic innego? Nie możecie po prostu uciąć mi stopy tylko do tego miejsca, gdzie to się kończy? – Głos Marka drżał. Nie takiego zakończenia historii lekceważonego przez siebie bólu się spodziewał. Nawet w najgorszych snach.

– Niestety nie. Przykro mi. Musimy amputować pod kolanem. To normalna procedura. Wtedy będziemy mieli stuprocentową pewność, że nic więcej panu nie grozi. Chyba nie chciałby pan tu kiedyś wracać na drugą operację z podobnym problemem albo nawet z czymś jeszcze gorszym? Wątpię, czy wtedy będziemy umieli jakkolwiek pomóc.

Marek nie wytrzymał. Nie potrafił już patrzeć temu mężczyźnie w oczy. Schował twarz w dłoniach. Przyciskając sobie palce do powiek, z całej siły powstrzymywał się, by zupełnie się nie rozkleić. Zacisnął zęby, ale ten wewnętrzny, dotkliwy ból narastał w nim tak bardzo, że musiał skwitować go

przynajmniej jednym, stłumionym maksymalnie szlochem, który zadziałał jak para ulatniająca się spod korka czajnika wypełnionego wrzącą wodą.

Towarzyszący mu Knizio stał pod ścianą z obydwoma rękami za plecami. Huśtał się w tę i z powrotem na stopach, obserwując tę scenę bez choćby jednego słowa. Marek był mu za to milczenie niewymownie wdzięczny. Nie potrzebował pocieszenia. Nie potrzebował klepania po plecach i zapewniania, że wszystko będzie dobrze. Nie potrzebował zrozumienia. Nie potrzebował ani nie chciał już niczego poza jednym – by cały ten koszmar wreszcie się skończył. By mógł się wreszcie zatrzymać, uspokoić i odpocząć. Wyłączyć się. Przestać się bać. By przestało go boleć coś, na co nie działał żaden lek przeciwbólowy. Dusza we własnej, niewidzialnej osobie.

– To jak? – usłyszał głos lekarza. Jakby z oddali, z samego końca długiego tunelu. No tak, zapomniał, że musi jeszcze podjąć decyzję.

Jedyną słuszną.

– Dobra – odpowiedział w końcu, upewniając się przedtem przed samym sobą, że naprawdę chce to wyartykułować. – Zgadzam się. Bierzcie te wasze skalpele, czy co tam macie, i tnijcie.

Operacja przebiegła bez żadnych problemów. Nie zastosowano narkozy. Marek sam nie wiedział, czy jednak nie wolałby zasnąć i potem obudzić, łudząc się, że wszystko to, co go spotykało, było jedynie wyjątkowo koszmarnym snem. Dostał zastrzyk w kręgosłup, tak zwane znieczulenie zewnątrzoponowe, po którym stracił czucie od pasa w dół, po czym przystąpiono do zabiegu. Na szczęście nie został zmuszony do jego oglądania, odgrodzono go od tego widoku parawanem. Docierały do niego wyłącznie dźwięki. Rozmowy lekarzy, odgłosy cięcia żywego, ludzkiego mięsa, potem stawów, a na końcu kości. Pomińmy że nie doświadczał choćby odrobiny bólu, po policzkach powoli spływały mu łzy.

Po trwającej mniej więcej godzinę amputacji położono go na chirurgii i podłączono do kroplówki zawierającej silne substancje znieczulające. Przy okazji bez owijania w bawełnę powiedziano mu, by przygotował się na silne bóle w kikucie, ale w jego aktualnym załamaniu nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Było mu już naprawdę wszystko jedno. Nie obawiał się bólu, nie obawiał się duchów, nie obawiał się żywych trupów i mógł tam sobie leżeć do

usranej śmierci. Choćby z głodu. Nawet gdyby chciał, to i tak nie miał jak stamtąd uciec. Nawet gdyby chciał, to i tak nie miał po co stamtąd uciekać. Nawet gdyby chciał, to i tak nie miał dokąd.

Gdy tylko zapadł zmierzch, zamknął oczy i spróbował zasnąć.

Na szczęście tym razem leżał w sali sam.

Nie wnikał, kto zawiadomił o wszystkim resztę rodziny Suchockich. Na widok najbliższych poczuł się trochę lepiej. Trochę. Przynajmniej szok, jaki wywołała u nich ta informacja, kompletnie zagłuszył potencjalny strach przed chorym psychicznie ojcem.

Iwonka autentycznie się rozplakała i przytuliła do niego z całej siły, znowu stosując to swoje charakterystyczne duszenie. Tradycyjnie nie ograniczała jego siły i w pewnym momencie Marek musiał ją poprosić, by go puściła. Zszokowany Adam tylko bez ustanku gapił się w miejsce, gdzie pod kołdrą kończył się kikut. Kasia zaś wyglądała tak, jakby zaraz miała go przeprosić. Jakby czuła się współwinna temu, co go spotkało. Ostatecznie nic takiego nie przeszło jej przez usta. Bez przerwy pytała, czy mu w czymś nie pomóc albo czy czegoś nie potrzebuje, nie omieszkując jednak co jakiś czas sięgać po swoją ukochaną komórkę. Fatalny nastrój i depresyjna obojętność Marka spowodowały jednak, że od pewnego momentu zaczął ignorować jej pytania i tym razem nie irytował się, gdy czasem wyłączała się z rozmowy, bo musiała pilnie odpisać na jakiegoś SMS-a. W tej chwili Suchy potrzebował jedynie zamknąć się w swojej jaskini i próbować przełknąć to wszystko samodzielnie. Do jego samotni, jak sama nazwa wskazuje, nie miał wstępu nikt poza nim.

Kiedy sobie poszli, poczuł ulgę. Aby nie myśleć o swoim położeniu, znowu zamknął oczy i zagłębił się w chłodnej pościeli. Potem sekwencja się powtarzała. Wybudzenie się z rana, leżenie bez sensu, odwiedziny bliskich, leżenie bez sensu, ponowna próba zapadnięcia w sen, a tak naprawdę dalsze leżenie bez sensu, tylko z zamkniętymi oczami. I tak w kółko przez trzy tygodnie, podczas których przez wszystkie możliwe komplikacje – złe gojenie się rany, wdanie się zakażenia i wiecznie dokuczające mu bóle – nie mógł opuścić szpitala. Prawie bity miesiąc wyjęty z życia. A może dłużej? W pewnym momencie stracił rachubę, ale nie przejmował się tym ani trochę i całe dni tylko gapił

się na, jak na złość, wypełniony letnimi, wesołymi barwami krajobraz za oknem.

Szkoda, że w życiu człowiek ma wpływ na tak niewiele. Na przykład, w sytuacji jak ta, kiedy nie chce się mieć absolutnie żadnych myśli. Wtedy te złośliwie kłębią się w głowie jeszcze bardziej niż zazwyczaj, niczym najgęstsze możliwe chmury. Ciemne, burzowe, z brakiem perspektyw na przejaśnienia.

Co gorsza, z zapowiedzią rychłej nawałnicy.

ROZMOWA TRZECIA

Marek szedł.

Nie sam.

Towarzyszyła mu najbliższa rodzina. I Kasia, i Iwonka, i Adam.

Sceneria była dość nietypowa. Szli bowiem przez ciemną jaskinię. Tak mu się przynajmniej wydawało, ponieważ nie widział wokół niczego poza bliskimi. Mogło trochę dziwić, że pomimo wszechobecnej ciemności potrafił zobaczyć ich tak bardzo wyraźnie, w całej gamie kolorów, a okoliczności ani trochę ich nie niepokoiły. Jego zresztą też. Nie myślał o abstrakcji tego obrazka. Akurat w tym momencie dla całej czwórki czynność i miejsce, w którym ją wykonywali, stanowiła najnormalniejszą rzecz na świecie. Odbywali najzwyczajniejszy, beztroski, rodzinny spacer. Bez żadnych zmartwień. Tak jak dawniej.

Iwonka z niewyczerpaną energią biegała pomiędzy nimi i jak zwykle hałasowała najwięcej. Adam tradycyjnie trzymał się z boku, trochę naburmuszony, prawdopodobnie dlatego, że ojciec właśnie żartował sobie z jego umiejętności piłkarskich. Kasia była żółtawa, jak zawsze. Trochę wyniosła, grająca lekko niedostępną, przyklejona do swojego telefonu, lecz wciąż trzymająca męża mocno za rękę. Jej dotyk odczuwało się niesamowicie. Ta bliskość. Uwielbiał ten stan. Czerpał z niego całymi garściami, łapczywie, bez opamiętania. Zupełnie jakby lada moment miał się brutalnie zakończyć.

Nagle poczuł, jak coś chwyta go za ramię i tym samym utrudnia dalszy marsz. Odwrócił się. Tuż za nim stała szpetna, obrzydliwa, pomarszczona i pokryta liszajami starucha. Jej twarz „zdobiły” albo puste oczodoły, albo po prostu tak głęboko czarne oczy, że trudno je było odróżnić od złowieszczych dziur. Jej siwe, rzadkie, przetłuszczone włosy kojarzyły się z archetypem szalonego naukowca albo czarownicy. Nie mówiła absolutnie nic, wyłącznie uśmiechała się złośliwie, pokazując resztki swoich zepsutych zębów, połączonych z dziąsłami czymś szarym. Z rozpostartych w tym grymasie ust wydobywał się przeraźliwy smród.

Marek spojrzał za swoją rodziną, która nie zauważyła jego problemów i dalej zmierzała z wesołymi okrzykami przed siebie, a potem znowu na tę przerażającą istotę, która go zatrzymywała. Uśmiechała się jeszcze szerzej. Próbował uwolnić się z uścisku, ale ani trochę mu się nie udawało. Wpadł w panikę.

Próbował krzyczeć, lecz z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Kasia i dzieci oddalały się, a on poczuł, jak stopniowo uginają się pod nim nogi. Ostatkiem sił szarpnął ramieniem, aby pozbyć się z niego tej pomarszczonej i powykręcanej reumatyzmem ręki. Po raz kolejny jego wysiłki spełzły na niczym. To coś, co go trzymało, maksymalnie rozwarło szczękę i zaczęło ją zbliżać do szyi Marka, jakby w zamiarze ugryzienia go.

Zaczął wrzeszczeć. A raczej próbował. Tylko otwierał usta, ponieważ z jego gardła w dalszym ciągu nie wydobył się żaden odgłos.

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział, czy jakiś nieokreślony hałas, czy nieostrożny ruch śpiącej Kasi, czy może sen, którego nie pamiętał. Leżał w swoim łóżku, w domu na Gołdapskiej, z żoną u boku. Na plecach, z oczami utkwionymi w delikatnie rozjaśnionym przez jaskrawe, uliczne lampy suficie. Miał okropnie zeszywniały kark i nie mógł ruszyć głową. Wtem zdał sobie sprawę, że nie tylko głową. Ani ręką, ani nogą. Nawet tą jedną, która mu pozostała.

Kątem oka dostrzegł ruch po swojej prawej stronie. Nie skupił się na nim, ale wydało mu się, jakby spod ciemnego kąta tuż pod sufitem spadło na ziemię coś czarnego. Bezgłośnie, bezszelestnie. Niczym ogromny, abstrakcyjny kleks. Stracił go z pola widzenia. Wciąż nie mógł się ruszyć, toteż nie widział, czy to coś właśnie się do niego nie zbliża.

Wstrzymał oddech.

Tym razem dostrzegł to coś na ścianie, tuż nad sobą. Musiało niczym wąż przepęłznąć obok łóżka i obejść je od tyłu. Zmierzało ku niemu od góry.

– Kaśka? – odezwał się. Jego głos roznosił się dziwnym echem. Nie wiedzieć czemu wypowiedzenie tego słowa sprawiło jego narządom głosowym ogromny ból. Kasia nie reagowała. To coś nad nim, czego co gorsza w dalszym ciągu za dobrze nie widział, najwidoczniej zbierało się właśnie do ataku.

Wiedział, co musi zrobić.

W ogóle nie zastanawiając się, dlaczego nagle odzyskał czucie w rękach, sięgnął jedną z nich do nocnej lampki. Ledwo. Przyszło mu to tym trudniej, że nadal nie był w stanie ruszać ani nogami, ani korpusem, jedynie rękami. Nie dbał już o to, czy gwałtownym ruchem sprowokuje to coś czające się nad nim. Spanikował. Liczyło się tylko to, by zapalić światło.

Dosięgnął do włącznika, ale ręka drżała mu tak mocno, że palec ześlizgnął się z przycisku bez pożądanego rezultatu.

Przeklął i spróbował jeszcze raz. Tym razem mu się udało. Połowicznie. Przycisk został co prawda wciśnięty, lecz żarówka pozostała zimna i martwa.

– No co jest, do chuja? – mruknął rozpaczliwie Marek, kątem oka patrząc na przemian to na lampkę, to na ścianę nad sobą. Bez ustanku przestawiał przycisk z pozycji wyłączonej na włączoną i odwrotnie, jakby wierząc, że urządzenie nagle cudownie zacznie działać.

Gdy pełzający ku niemu cień znajdował się zaledwie kilkanaście centymetrów od niego, zniecka odkleił się od ściany i z niewiarygodną szybkością rzucił się na jego twarz jak drapieźny pasożyt. Marek nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy wszystko przed jego oczami w jednej sekundzie zamieniło się w czerni.

Marek silnie drgnął przez sen i momentalnie się obudził. Był cały zlany potem i głęboko oddychał. Z początku pomyślał, że owija się wokół niego ogromny wąż. Na szczęście okazało się, że to tylko zaplątana kołdra.

Znajdował się w mieszkaniu swojej matki w centrum miasta, na łóżku w jadalni. Aby pojąć to wszystko, potrzebował zaskakująco dużo czasu, tak bardzo było ciemno. Na dojście do siebie i uspokojenie się również. Tak bardzo był przerażony.

Jego wdechy i wydechy mieszały się z tykaniem dużego, okrągłego zegara ze ściany naprzeciwko. Dwadzieścia po północy.

Pamiętał obydwa sny. A raczej ten jeden, w którym śniło mu się, że śnił. Dwa w jednym. Oba łączyło to, że na pewnym ich etapie nie mógł się ruszyć. Na wszelki wypadek sprawdził więc, czy dzieje się tak i teraz. Odetchnął z ulgą. Wciąż był w stanie poruszać i głową, i wszystkimi czterema kończynami, włącznie z każdym z dwudziestu palców, które posiadał.

Wtem znieruchomiał. Dźwięk dobiegł z rozsuwanej szafy wbudowanej w jedną ze ścian jadalni. Jakby szybkie drapanie i ciche szuranie w jednym. Od razu zrozumiał. Mia. Tradycyjnie, albo Maria ją tam zamknęła, albo kocica sama znalazła na to jakiś sposób.

Usiadł, westchnął, wstał i podszedł do szafy.

Już miał ją otworzyć, gdy dobiegł go jeszcze jeden odgłos. Inny. Tym razem jakby słaby jęk. Z łazienki. Postanowił sprawdzić to w pierwszej kolejności. Bądź co bądź, w abstrakcyjnej nierówności priorytetów matka plasowała się nieco wyżej niż kot.

Każdy krok niemiłosiernie mu się dłużył. Prowadzący do łazienki mroczny korytarz zdawał się stopniowo wydłużać, rozciągać niczym guma. Jęki jednak nie ustawały. Kiedy Marek znalazł się wystarczająco blisko pomieszczenia, rozpoznał w nich żalosne miauczenie kota. Wyraźnie inne niż to, które znał do tej pory. Zbolałe, agonalne.

Zapalił światło. Nie działało. Próbował dostrzec zwierzę w ciemności. Pomimo niezbyt dużych rozmiarów pomieszczenia, nie znalazł Mii, dopóki ta nie odezwała się ponownie.

– Nie wierzę.

Okazało się, że kot był zamknięty w pralce, która ledwo co skończyła prac.

– Wariatka. Chora, niedołączna idiotka – cedził przez zęby, gdy doskoczył do urządzenia i otwierał jego drzwiczki. Nieszczęsne, przemoczone zwierzątko nie było w stanie samodzielnie się stamtąd wydostać. Ostrożnie wyjął je z bębna i zaniósł do jadalni.

Gdy tylko położył je na łóżku, na powrót znieruchomiał. Przypomniawszy sobie bowiem o tajemniczych odgłosach z szafy za jego plecami, które właśnie się powtórzyły.

Skoro nie kot, to...?

Zareagował instynktownie. Nim zdążył cokolwiek pomyśleć, podszedł do zasuwanych drzwi i otworzył je. Otoczyło go coś, co wprawdzie wziął za dym, a w rzeczywistości okazało się ogromnym rojem moli. Zaczął wrzeszczeć.

– Uspokój się, Marku, pobudzisz innych pacjentów. – Gdzieś niedaleko rozległ się znajomy, znudzony głos. Pod jego wpływem Suchy pojął, że przeżył kolejny koszmarny sen i od razu zamilkł, choć w dalszym ciągu targały nim zrodzone ze strachu spazmy.

Rozejrzył się. Noc. Ciemność. Sala szpitalna. Puste łóżko obok niego.

Poruszył się. Brakowało mu prawej nogi, od kolana w dół, o czym przypomniawszy sobie właśnie teraz. Dotknął swojej twarzy. Czuł na niej nieprzyjemny świąd od mikroskopijnych kropelek potu drażniących skórę, lecz nic poza tym.

Żadnego pełzania, żadnych owadów. Podrapał się po włosach, pod którymi także swędziało go jak diabli, ale i tam nie znalazł absolutnie niczego.

Dopiero po tym skupił się na będącym oazą spokoju Grzegorzu, który siedział naprzeciwko niego na krześle, z rękami złożonymi za głową i nogami w pozycji amerykańskiej czwórki, z prawą stopą na lewym kolanie. Tradycyjnie ubrany w czarną koszulę, z tym samym kapeluszem na głowie. Po zobaczeniu tego Marka naszała myśl, jak dziwnie musi wyglądać szafa z ubraniami wypełniona ciuchami wyłącznie tego typu. I wyłącznie tego koloru.

Sądząc po wzroku Samielewicza, pod jego żywą maską kryło się niemałe rozbawienie.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha – odezwał się znowu.

– Dowcip ci się wyostrzył, widzę. Ale suche, bo każdy mi to powtarza. Już mnie to wcale nie śmieszy.

– Jak na Suchego przystało, musi być sucho.

– Jak tutaj wszedłeś? O tej porze? – odburknął Marek.

– Proszę cię, ja wchodzę tam gdzie chcę i kiedy chcę. Nie może mnie powstrzymać żadna ochrona.

– Właśnie widzę. Ale to chyba nie jest za dobra pora na odwiedziny.

– Jak się masz? – Grzegorz zignorował jego ostatnią uwagę.

– Fantastycznie. Cudownie. Pełen życiowej energii i motywacji do działania. Nie widać? – warknął Suchy. Naprawdę, ostatnie czego aktualnie pragnął, to widzenie się z kimkolwiek. Jakoś nie miał nastroju.

– Wiesz czemu w języku angielskim przyjęło się to idiotyczne „*how are you?*”, czyli na polski „jak się masz”, podczas każdego powitania?

– Nie mam pojęcia.

– Wywodzi się to z kultury korporacji. Tam masz tego pełno. Ilekroć ktoś się do ciebie odzywa, nawet jak robi to któryś raz dziennie, zacznie rozmowę od „*hi, how are you?*”. Choć brzmi to debilnie, jest w tym pewien sprytny cel.

– Jaki?

– Zauważ, że zawsze, nawet jak czujesz się tak, jak teraz, odpowiesz, że czujesz się świetnie. Sam zresztą tak przed chwilą powiedziałeś, więc mamy przykład z autopsji. To żelazna zasada. Jeszcze nie słyszałem, by ktoś odpowiedział na to pytanie inaczej.

– No i?

– Tym sposobem działasz na swoją podświadomość. Nastawiasz ją pozytywnie na to, co ma się za chwilę wydarzyć. Po co zagaduje się pracownika

w korporacji? Raczej nie po to, by pogadać o dupie Maryny.

– Zazwyczaj czegoś się ode mnie chce.

– Dokładnie! Więc teraz, po tym, jak sam nastawiłeś się pozytywnie do działania, twój rozmówca może przejść do sedna. Co ciekawe, przekonanie cię do spełnienia jego prośby przyjdzie mu znacznie łatwiej, niż gdyby wcześniej nie zapytał cię o samopoczucie. Zadziała tak zwana reguła konsekwencji. W jej myśl jeżeli sam, bez presji, się do czegoś szczerze przyznasz, obiecasz albo zobowiążesz, czujesz wewnętrzny przymus, by się tego trzymać. W naszym przykładzie z korpo, skoro przed chwilą powiedziałeś, że czujesz się dobrze i jesteś generalnie fajnie nastawiony do świata, to, konsekwentnie się tej wersji trzymając, prawie na pewno zgodzisz się zrobić to, o co zostaniesz poproszony. Często niechętnie, ale jednak.

– Sprytne.

– Nieprawdaż?

– Więc czego ty ode mnie chcesz o – Marek spojrział na wyświetlacz telefonu – trzeciej w nocy?

– Tym razem nie ma żadnych ukrytych haczyków. Chcę się dowiedzieć, jak się czujesz.

– Jak się może czuć ktoś, kto właśnie stracił nogę, a do tego obudził się świeżo po trzech koszmarach w jednym śnie?

– Aż trzy w jednym?

– Śniło mi się, że śnię, a w tym drugim śnie też śniłem. I w sumie zastanawiam się, czy teraz też tego nie robię.

– Spokojna głowa. Nie śnisz.

– Tego nie wiem.

– Ale ja wiem.

– W sumie szkoda. Czyli prysła moja ostatnia nadzieja, że to – Marek wskazał kikut pod kołdrą – jest jednak nieprawda.

– Jeżeli nadzieja jest matką głupich, to twoja żona śmiało może nazywać ją teściową. Tym bardziej, że sam jesteś sobie winien.

– Wybacz, ale mentorskie wykłady, że popełniłem w życiu kosztowny błąd, nie są mi teraz do niczego potrzebne. Bo tak się, kurwa, składa, że to wiem.

– Nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się. Jestem spokojny.

– Nie jesteś. Wiesz, po czym to poznałem? Użyłeś bluzgu w sytuacji, gdy to nie było konieczne. To cię zdradziło.

– Muszę chyba zacząć spisywać te twoje wskazówki co do odczytywania myśli ludzi. Widzę, że wiele można się od ciebie nauczyć.

– Może i powinienes. Podobnie jak nie powinienes był lekceważyć sygnałów, które twoja noga ci wysyłała. Bóle, konieczność odpoczynku podczas nieco dłuższych, pieszych dystansów.

– O nodze też wiedziałeś?!

– O wszystkim wiedziałem.

– Kto robił za twojego kreta w mojej grupie? Mów!

– Na pewno chcesz to wiedzieć? Dobrze się zastanów.

– Chcę.

– Przemyślałeś to?

– Aktualnie mam wszystko w dupie, więc nie robi mi to żadnej różnicy. Chcę się tego dowiedzieć.

– Dobrze, ale powiem ci to tylko pod jednym warunkiem. – Grzegorz nachylił się do niego. – Od razu każesz mi go odjechać.

Zapadła głucha cisza. Boss zamilkł i beznamiętnie spojrzał Suchemu prosto w oczy.

– Zabójstwo? – wymamrotał Marek.

– Nie bez powodu tak mówię. Bo to nie było tak, że ja go przekabaciłem na swoją stronę. Nie musiałem go nawet namawiać. Zdziwisz się. On sam się do mnie zgłosił. Monitorował, kiedy nastąpi moje wyjście z więzienia i odezwał się do mnie, jeszcze zanim do tego doszło. Jeszcze w czasach, kiedy nie szczyliłem się tak śliczną buźką, jak teraz. – Wskazał na swoją nieskazitelną twarz, która robiła wrażenie nawet w ciemności. Choć Marek zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział jej w świetle, dałby głowę, że gdyby tak się stało, maska jego nocnego gościa błyszczałaby jak wypolerowana porcelana.

– Co ty pieprzysz?

– Innymi słowy, on drażył pod tobą podkop jeszcze zanim w ogóle dowiedział się, że będę chciał wrócić do Suwałk. Już wtedy mącił. Już wtedy okazał się nielojalny.

– To niemożliwe. Żaden z chłopaków nie mógł mi tego zrobić.

– A jednak.

– Musiałbyś mi to jakoś udowodnić.

– Proszę bardzo. Będzie to dowód i jednocześnie zagadka. Lubisz kryminały? No to zbierzmy wszystkie poszlaki i wykurzmy myszkę z dziurki. Sam odgadniesz, o kogo chodzi. Zacznijmy od tego: jak sądzisz, skąd tak wiele o tobie

wiem? Skąd wiem o rzeczach, które powinieneś wiedzieć tylko ty i twoja rodzina? Skąd wiedziałem o czarnym widmie przy łóżku Iwonki?

– Mówiłeś mi, że ktoś z twoich ludzi pracował na tym obozie i słyszał, jak wywoływała duchy z dzieciakami.

– Tak jest, ale od niego dowiedziałem się tylko o tej zabawie. Straszne widzenia to już co innego. O wiele dalsza, wcale nie tak oczywista konsekwencja tych nieostrożnych działań. Ale nie mogłem tego wydedukować po samych informacjach od Orzecha. Więc?

– Nie mam pojęcia.

– No to może inny przykład. Skąd wiedziałem o tym, że Kasia myślała, że chciałeś zastrzelić Iwonkę? Nie wiem, czy zauważyłeś, ale wcale mi tej historii nie opowiedziałeś. Zacząłeś, ale przerwałeś, jak przypomniawszy sobie o niedotykalnych ścianach.

Marek milczał. Nie, nie zauważył tego.

– Wysył szare komórki. Podpowiem ci: śpię na forsie i nie ma w tym nic nadprzyrodzonego – dodał Grzegorz.

– Nie wiem!

– Ech, Sherlocka z ciebie nie będzie. Dobra, rozwiążę tę część zagadki za ciebie. W całym twoim domu zostały zamontowane kamerki.

– Co?!

– Normalnie. Miniaturowe, niewidoczne, w trudno dostępnych miejscach, za to idealnych do obserwowania cię. Wraz z małymi mikrofonikami. Ciężki sprzęt. Kosztował majątek. Nie jestem pewien, czy nasze służby państwowe używają maszynek takiego kalibru.

– Kiedy? Kiedy to zrobiliście?

– Sam mi powiedz. Za dużo już tych podpowiedzi. Pomyśl.

Marek zastanowił się moment. I nagle doznał olśnienia.

– Jak zakładano mi monitoring! Czyli twoim kretem jest albo Rudy, albo Szafa! Oni przyjmowali majstrów. A goście z tej firmy współpracowali z jednym z nich!

– Pudło. Ale w sumie nie dziwię ci się, że tak pomyślałeś. To pierwsze co się nasuwa.

– No to kiedy?

– Naprowadzę cię inaczej. Czy w ostatnim czasie dawałeś klucz od swojego domu komuś, kto zazwyczaj go nie posiadał?

Marek poczuł gulę w gardle.

– Nie. To nie może być...

– Chyba już wiesz, o kim mówię. – Samiel uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie wierzę.

– Nic dziwnego. To tak zwany efekt twistu. Analogicznie działa to w książkach i filmach. To bardzo proste, a finalnie jakże efektowne! Polega na tym, że osadza się w głowie odbiorcy jakiś aksjomat. Fundament rzeczywistości w danej historii. Czytelnik lub widz zakłada, że to coś w świecie przedstawionym jest nienaruszalne, subtelnie karmi się go tym przekonaniem od samego początku. Tym nienaruszalnym może być na przykład tożsamość jakiejś osoby albo przynajmniej jakaś jej cecha. Przykład: Marek Suchocki, taki abstrakcyjny widz, uczestnik historii swojego życia, przyjął, że Arkadiusz Knizio jest jego przyjacielem. Ufał mu w stu procentach. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ten może go wydymać i dzielił się z nim każdą, choćby nawet najbardziej skrywaną tajemnicą. Tym sposobem Arkadiusz Knizio wiedział o Marku wszystko. I mógł wypaplać to szefowi konkurencyjnej grupy, który już doskonale wiedział, jak tę wiedzę wykorzystać.

– Nie wierzę – mamrotał zszokowany Marek, gapiąc się przed siebie.

– Bardzo często prawa ręka szefa wie nawet więcej niż sam szef. W końcu szef tylko zleca, a prawa ręka wykonuje. On wiedział naprawdę dużo. Także o twoim życiu prywatnym. Która laseczka jest twoją kochanką. To, że twój syn jest nogą, jeżeli chodzi o grę w nogę. Że twoja żona to straszna materialistka, co odziedziczyła po niej również wasza córeczka. Gdzie mieszka twoja matka i jakie masz z nią problemy. Opowiedział mi też o twoim życiu zawodowym. Kto za co odpowiada w twojej grupie. Że Szafa i Rudy są od rozwiązań siłowych. Że Rubik, dzięki swojemu talentowi do gadania, trudni się paserstwem i dystrybucją dragów. Że Sokół to hazardzista. Że Pepe kontroluje fajki, a Knizio sam trzyma za mordę wszystkich suwalskich włamywaczy i złodziei samochodów, a po godzinach bawi się w alfonsa. Wszyscyuteńko, włącznie z ich adresami i informacją, że agresywny rottweiler Rubika lubi kiełbasę podwawelską. Wsypał mi cię niczym prokuratorowi na dołku. Dlatego zaskoczenie was było proste jak konstrukcja cepa.

– To niemożliwe. – Suchy wpatrywał się jak zahipnotyzowany na ścianę przed sobą.

– Los mu sprzyjał i sam podsunął okazję do działania. Twoją matkę zabrano do szpitala i musiałeś pilnie do niej jechać. Mimochodem zaproponował więc, że to on odwiezie twoje dzieciaki do domu. I poprosił o klucze. Dałeś mu je

bez żadnego problemu. Mógł przystąpić do akcji. Wystarczyło, że wcisnął kit Adasiowi i Iwonce, że na wszelki wypadek sprawdzi, czy dom jest czysty, i buszował po nim do woli. Wtedy ukrył kamerki. Poszło jak z płatka. Jeszcze tej samej nocy w moim centrum dowodzenia rozpoczęła się nowa wersja *Truman Show* z twoim udziałem.

– A moje okno?

– To on je wybił. Niezły rzut co? Od razu za trzy punkty.

– Straszanie moich dzieciaków? Pukanie do rolet? Ta litera „S” namalowana sprayem?

– Znowu on! Zadzwońeś do niego z rozkazem, by to sprawdził i bardzo szybko dotarł na miejsce, co? Aż za szybko. Nieźle zagrał zaniepokojonego, co? Trzeba mu oddać, że aktor z niego jest nieprzeciętny. Marnuje się w tej naszej pipidowie. Dawno powinien był wyemigrować do Hollywood.

– To nie może być prawda. Nie wierzę. Wkręcasz mnie.

– Zaskoczę cię jeszcze bardziej. Wiedziałaś, że on ma w Suwałkach dwa mieszkania? Jedno to, które znasz i w którym nieraz się spotykaliście. A drugie...

– Serce Suwałk – Marek wypowiedział na głos myśl, która nasunęła mu się jako pierwsza.

– Bingo.

– Czyli te ruchy, które widziałem wtedy na klatce...

– To znowu on.

– I jak dzwoniłem do niego...

– To żeby się nie zdradzić, wrócił do swojego mieszkania. Potem, jak już wybiegłeś na parking, celowo nie wychodził na zewnątrz, żebyś go nie zobaczył i nie nabrał podejrzeń, co on tam właściwie robi. W końcu chwilę wcześniej powiedział ci, że nie przyjedzie, bo się boi. Nie miał ci zrobić krzywdy, tylko zaniepokoić. To mu zleciłem. To jemu zleciłem wszystkie działania związane z niepokojeniem cię. W końcu znał cię jak nikt.

– Czyli kałuża krwi w mieszkaniu Martyny to część tego?

– Tak, to najpewniej również jego sprawa. Nie potwierdzą ci tego, bo prawdę nie wiem. W każdym razie ja mu nic takiego robić nie kazałem. Może poszedł na żywioł, naprawdę ją zamordował i ciało przeniósł do swojego mieszkania? Nie wiem. Ja polecenie sformułowałem prosto: wytwórz w nim niepokój. Dowolną metodą. Kreatywny jest gość. I niebezpieczny. Umie planować, umie udawać i całkiem nieźle kalkuluje.

Suchy drżał z emocji. Grzegorz miał rację. Jeden z fundamentów jego rzeczywistości istotnie legł w gruzach.

– Gwoli ścisłości, nie powiedziałem ci tego, a sam doszedłeś co i jak. Dlatego daję ci wybór. Darujesz mu życie czy jednak każesz go sprzątnąć? Mi wszystko jedno. Dzięki niemu dostałem to, co chciałem. Nie jest mi już do niczego potrzebny.

Marek myślał gorączkowo. To wszystko brzmiało jak jedna wielka bzdura. Abstrakcja. Fantasy. Ale z drugiej strony: czy Samiel przypadkiem nie miał racji? Czy ślepe zaufanie do Arka nie sprawiło, że Suchy kompletnie stracił wobec niego czujność? Wszystko, co opowiadał Grzegorz, składało się w jedną całość. Bez żadnych wątpliwości.

– Potrzebuję jeszcze jednego dowodu – powiedział ostrożnie. – Zaskocz mnie czymś, co mogłeś zobaczyć przez te kamerki, a o czym mogę wiedzieć tylko ja. Nikt z mojej rodziny, nikt z chłopaków, ani Martyna. Wtedy uznam, że to, co mówisz, jest prawdą.

Grzegorz zmrużył oczy, oparł łokieć o stół, a potem o niego głowę, i ziewnął.

– Czy fakt, że za każdym razem jesteś obsrany, kiedy przechodzisz samotnie nocą przez ten korytarz z lustrami, jest wystarczającym „zaskocz mnie”, czy potrzebujesz czegoś innego? Po twoim języku ciała w tych momentach widać to aż nadto.

– Kurwa mać – wyrwało się Markowi. Nie mógł się powstrzymać.

– Czyli wystarczy. – Samiel uśmiechnął się lekko. Oparł się z powrotem na krzesło w pełnej luzu pozie z szeroko rozłożonymi nogami. Zamilkł. Obserwował Suchego.

Czekał.

Marek kalkulował sobie to w głowie. Knizio. Przyjaźń. Ślepe zaufanie. Lojalność. Kłamstwa. Zdrada. Utrata władzy. Utrata pieniędzy. Utrata wpływów. Klucze. Inwigilacja. Martyna. Kałuża krwi.

Reguła konsekwencji. „Jeżeli dasz mi jeszcze jeden wiarygodny dowód, to ci uwierzę”.

– Sprzątnij śmiecia. Nie chcę go więcej znać. – Usłyszał swój głos jakby z oddali. Jakby zadziałał nieokreślony automatyzm i słowa same wydobywały się z jego ust. Natychmiast ich pożałował, ale było już za późno.

– Zgodnie z życzeniem. – Grzegorz wyciągnął swój luksusowy telefon komórkowy, napisał szybko SMS-a, po czym zgrabnym ruchem schował urządzenie.

nie z powrotem do kieszeni.

– Zaufany kiler. Ten sam, który sprzątnął Polipa, z przeszłością w służbach specjalnych byłego ZSRR. Załatwi to tak, że nikt nie znajdzie nawet włosa. Nie wspominając o naszym związku z tą sprawą – rzekł.

– Niedobrze mi. Słowo daję, chyba się zaraz normalnie porzygam. – Marek ponownie się położył. Od nadmiaru myśli rozboleła go głowa.

– Zmieńmy temat i pogadajmy o czymś przyjemnym. Mam dla ciebie propozycję.

– Jaka?

– Odzyskasz nogę.

– Co? – Marek spojrzał na niego.

– Przeliterować? Odzyskasz nogę.

– Nawet tak nie żartuj. To niemożliwe.

– Kochaniutki, od pewnego momentu w historii świata wszystko jest możliwe. – Grzegorz znowu sięgnął do kieszeni. – Co najmniej od siódmego wieku przed naszą erą, kiedy Fenicjanie wymyślili pieniądze. – Uniósł dłoń, w której między środkowym a wskazującym palcem tkwił dwustuzłotowy banknot.

– Co proponujesz?

– Zafunduję ci najdroższą i najlepszą możliwą protezę na świecie. Istnieją takie, które są w stanie praktycznie zastąpić ci nogę. Tak, jakbyś kupił sobie nową. Co prawda dalej nie będziesz mógł grać w piłkę, ale lepsze to niż nic. Stopa, lej z silikonem, kolano z zarządzającym nim mikroprocesorem i parę innych bajerów. Idziemy na całość. Razem jakieś sto osiemdziesiąt do dwustu kafli. Jak za mieszkanie w Suwałkach.

– Nie mam tyle gotówki. Ukradli mi. Arek mi ukradł! – Marek znowu się wyprostował.

– Całkiem możliwe. Ale o to się nie martw. Jak już będzie wachał kwiatki od spodu, zajmiemy się jego majątkiem. Jeżeli to naprawdę on, odzyskamy twoją kapustę. Nawet jak zajmie nam to trochę więcej czasu, to i tak znajdzie tyle w swoich zasobach. Harem już przynosi nam krociowe zyski.

– Dlaczego to robisz? – zapytał nagle Marek. Musiał zadać to pytanie.

– Co?

– Dlaczego tak mi pomagasz? Jestem teraz nieprzydatny. Dlaczego i mnie nie sprzątniesz? Widzę, że nie masz w tym żadnych skrupułów.

Samieł pochylił się.

– Jesteś zbyt cenny. A po kupnie nowej nogi zadziała tak zwana reguła wza-

jemności. Zbyt dużo będziesz mi zawdzięczał, by kiedykolwiek wbić mi nóż w plecy. Twój wewnętrzny głos ci na to nie pozwoli. Ten sam, co w regule konsekwencji. On ma zawsze rację i jemu najmocniej wierzysz.

Wstał, poklepał Suchego po ramieniu i ruszył do wyjścia.

Kiedy dotarł do drzwi, nagle się zatrzymał.

– Niedaleko jest szpital psychiatryczny. – Odwrócił się. – Może, póki tu jesteś, skorzystałbyś z tej sposobności i zrobił coś w kierunku leczenia swojej dolegliwości?

Marek spojrzał na niego. Już w trakcie ruchu głową wiedział, co tam zobaczy. Po bólu, szumie i pisku w jej wnętrzu.

Zza ramienia Grzegorza spoglądał na niego przeraźliwie blady, ubrany w szpitalną koszulę nocną i łysy od chemioterapii mężczyzna. Uśmiechał się złośliwie.

Marek przełknął ślinę. Już miał zapytać bossa, czy także go widzi, niemniej nie przeszło mu przez usta nic poza:

– Dobrze. Jutro z samego rana.

– Na dole jest kaplica. W chwilach szczególnych kryzysów w naszych życiach warto odwiedzać takie miejsca. Polecam. To naprawdę pomaga. Kuruj się. Do zobaczenia. – Odwrócił się i przeniknął przez postać przed sobą jak przez makabryczny hologram, tym samym opuszczając pomieszczenie. Zjawia zaś wciąż tam stała i obserwowała Marka.

– Czego ode mnie chcesz, umarlaku? – szepnął w jej stronę. – Zostaw mnie w spokoju! Wypierdalaj stąd!

– A, tak przy okazji! – Grzegorz znowu wychylił się zza drzwi i groteskowo przeniknął ręką idealnie przez sam środek klatki piersiowej tego widma. Trzymał w niej telefon.

– Właśnie dostałem zwrotną wiadomość. Z MMS-em. Pana Arkadiusza już nie ma. Dobranoc.

Marek położył się na boku, przodem do okna. Nie zdziwił się wcale, gdy w odbiciu wyjścia na oświetlony korytarz nikogo już nie dostrzegł.

Lecz to wciąż tam stało. Wiedział to. Słyszał to w swojej głowie.

Jakby tego było mało, zaczęły w nim narastać coraz większe wątpliwości, czy aby nie za szybko skazał niedawnego przyjaciela na śmierć.

PRZYJACIEL

Zgodnie z daną sobie i Grzegorzowi obietnicą, gdy z samego rana przyszła do niego pielęgniarka, Marek od razu zapytał o możliwość wizyty u psychiatry w placówce obok. Życzliwie zaproponowała pomoc i wkrótce jechał w jej towarzystwie na wózku inwalidzkim w prażącym, letnim słońcu przez parking pod szpitalem. Zmierzali w kierunku mniejszego, białego budynku nieopodal. Po wjechaniu do środka, kobieta pokazała mu, do jakiego gabinetu zostanie wkrótce zaproszony i zostawiła go pod nim, w jedynym miejscu poczekalni, gdzie dała radę zaparkować wózek, tak bardzo korytarz był zatłoczony.

– Ale wrócić będzie pan musiał samodzielnie. Da pan sobie radę? – zapytała.

– W porządku. Bardzo dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. – Uśmiechnęła się. – Powodzenia.

Kiedy go opuściła, Marek rozejrzał się. Miejsce wzbudzało niepokój. Tak, to było bardzo dobre słowo, w pełni oddające jego atmosferę. W korytarzu panowała głęboka, złowieszcza cisza, która zupełnie nie współgrała z ilością zebranych w nim osób. Przypominało to obrazek rodem z magazynu na manekiny, w tym wypadku o twarzach wyrażających wszelkie możliwe rodzaje zaniepokojenia i przygnębienia. Co prawda większość z tych ludzi nie wyglądała na chorych na umyśle, lecz Suchy i tak odczuwał niemały dyskomfort psychiczny.

Dodatkowo potęgowało go gwałtowne zachowanie pewnego chłopaka, który jak na złość siedział na krześle tuż obok niego i energicznie rysował albo pisał (naprawdę trudno to było rozstrzygnąć) niezrozumiałe kulfony na grubym bloku papieru, który trzymał przed sobą na kolanach. Marek obserwował go kątem oka, zachowując najwyższą czujność. Nie dało się ukryć, że perspektywa nagłego ciosu ołówkiem prosto w gardło nie brzmiała zbyt zachęcająco.

Co najgorsze, chłopaczyna zdał sobie sprawę z obecności sąsiada i z cichym, ale jednocześnie na swój sposób histerycznym chichotem podsunął mu pod nos swoje wypociny. Marek nawet nie spojrział, bez słowa odsunął od siebie papier. Tę rundę chyba wygrał, gdyż tamten wrócił do rysowania, jakby zapominając o jego istnieniu.

Po chwili jednak po raz kolejny uniósł blok przed oczy Suchego. Marek uznał, że może jak coś powie, to młody się od niego odczepi. Wziął papier do

ręki. Ot, nic nie znaczące szlaczki. Charakter pisma – okropny. Poczucie estetyki – do dupy. Talentu – brak. Podsumowując...

– Ładne – rzucił beznamiętnie i oddał dzieciakowi blok. Ucieszony chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i natychmiast wylądowała mu na brzuchu potężna kropla śliny. Prędziutko zabrał Markowi papier i żywiołowo kontynuował tworzenie.

Jako że Suchy pomyślał, iż sprytnym sposobem na zawsze zakończył swoją znajomość z młodym, rozluźnił się nieco i przez to kompletnie stracił czujność. Ani się obejrzał, jak po błyskawicznym ruchu ręką tamtego blok rysunkowy mało co nie odciął mu nosa.

– Młody, bo jak cię zaraz... – zaczął, ale gdy to zobaczył, zamilkł.

Tuż przed nim znajdowała się nowa kartka, na której widniało jedno zdanie. Napisane pięknym, perfekcyjnym, do bólu dopieszczonym charakterem pisma. Bez choćby jednego fałszywego pociągnięcia ołówkiem, jakby ręką mistrza kaligrafii.

„Nazywam się 666”

Marek spojrzał na chłopaka ze zdziwieniem.

– Ty też jesteś jednym z nas. Możemy to wyczuć – rzekł młodzian bardzo pewnym siebie, mocnym i irytująco zbyt donośnym głosem. Nienależącym do obłąkanego człowieka. A tym bardziej do kogoś w jego wieku.

– Nie jestem – odparł Marek, kątem oka zerkając na świadków rozmowy. Wszyscy skupili się na nim i tym chłopaku.

– Nie rozumiałeś. Nie chodzi o to, że jesteś chory psychicznie. Chodzi o to, że też nosisz go w sobie.

Gdyby jakiś naukowiec zbadał skład chemiczny powietrza, które akurat wtedy wypełniało korytarz, najpewniej odkryłby rewolucyjny wzór na gaz zwany „chorobliwą ciekawością”.

– Kogo w sobie noszę? – Nie wytrzymał Marek.

– Złego ducha.

– Co ty pieprzysz, młody?

– Spotkało cię wielkie szczęście. Dzięki temu posiadasz umiejętności, o których nikt inny nie śmie marzyć. Widzisz więcej. Słyszysz więcej. Potrafisz też je wyczuć. To wielki dar.

– Ciszej – syknął Marek, po raz kolejny rzucając okiem na wszystkich wokół. Słuchali, a jakże!

– Wielu uznaje to za przekleństwo. Jak by nie patrzeć, widzisz okropne rze-

czy – ciągnął niewzruszenie chłopak. – Wielu uważa też, że zły duch jest największym wrogiem człowieka. Ja twierdzę inaczej, zupełnie przeciwnie. To nasz największy przyjaciel! Zobacz, jaką wyświadcza ci przysługę. Pozwala ci poznać siebie, jakie granice jesteś w stanie pokonać. Doświadcza cię o cierpienia, które cię wzmacniają. Znasz chyba to przysłowie, że co cię nie zabije, to...

– Dobra, skończ! – warknął Marek i nawet spróbował go ostrzegawczo pchnąć, ale dzieciak spokojnie uniknął jego ręki i kontynuował:

– Czy wiesz, że historia Szatana jest tragiczna? To był tak naprawdę oblubiony anioł Boga. W Niebie zasiadał najbliżej Jego, a przez to, że się od Niego odsunął, został zesłany w najgorsze możliwe miejsce. Tam, gdzie nie ma Boga.

– Młody, do chuja! Zamknij dziób!

– Zwróć uwagę, jaki go spotkał los. Mnie jest go zwyczajnie, po ludzku, szkoda. Te okropieństwa, które widzą opętani: demoniczne twarze, chore halucynacje, koszmary senne, które powodują, że stopniowo popadasz w szaleństwo. To jest dokładnie to samo, co on widzi. To dla niego codzienność. Norma. Jego własny świat. On tak postrzega rzeczywistość wokół siebie. Ciemność, brud, smutek, beznadzieja, brzydota, strach, gniew, robale, smród, gnicie, śmierć, frustracja, ból, choroby... Czy to nie smutne?

– Jeszcze jedno słowo... – zaczął Marek, gdy otworzyły się przed nimi drzwi do gabinetu i... stanął w nich mężczyzna. Nie byle kto. Ten sam facet, którego Suchy zobaczył w ostatnim czasie dwukrotnie: podczas swojej niedawnej ucieczki ze szpitala oraz wespół z Kniziem, na skrzyżowaniu przy ulicy Chłodnej. Ich oczy spotkały się, lecz nie na długo. Tamten jako pierwszy odwrócił wzrok i szybko ruszył w kierunku wyjścia. Marek patrzył za nim do samego końca. Dokładnie tak jak się spodziewał, tuż przed opuszczeniem szpitala facet spojrział na niego jeszcze raz.

– Pan Suchocki? – W drzwiach od gabinetu pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna w okularach.

– Tak.

Wykonał zapraszający gest.

Jak tylko Marek zaczął kręcić kołami od wózka, chłopak zawołał za nim jeszcze:

– Tracisz czas! Jeżeli chcesz się go pozbyć, idź do kościoła. Nie pomoże ci tu żaden lekarz!

Suchy nie odpowiedział. Tylko przyspieszył. Nawet bardziej niż to było konieczne i w żadnym wypadku nie dlatego, że tak bardzo chciał odbyć tę wizytę.

WIARA W BOGA

– Proszę bardzo. – Psychiatra wskazał fotel. Gabinet nie przypominał typowo lekarskiego, prędzej pokój, w którym spokojnie, bez skrepowania dwie osoby mogły porozmawiać.

– Dziękuję, pozostanę na swoim – odparł Marek jadowicie.

– Przepraszam, przyzwyczajenie – zreflektował się mężczyzna.

– Kim był ten facet, który właśnie od pana wyszedł?

– Ale o co pan pyta?

– O imię i nazwisko. Skądś go znam i nie mogę skojarzyć, skąd.

– Przykro mi, ale nie mogę podawać obcym osobom takich danych. Tajemnica lekarska. Tym bardziej należy zachowywać ją w specjalizacji takiej, jak moja. Sam pan rozumie.

– Jasne.

– Ludzie o przypadłościach, którymi zajmuje się moja dziedzina medycyny, mają dość specyficzne problemy. A my chyba spotykamy się, żeby porozmawiać o pańskich, a nie cudzych?

– Ta, o moich.

– Zatem zamieniam się w słuch.

Psychiatra usiadł w swoim fotelu, założył nogę na nogę i na jedną z nich położył podkładkę pod kartki, na których zamierzał robić notatki.

Marek poczuł się dziwnie skrepowany. W odróżnieniu od Grzegorza, przed którym dość łatwo przyszło mu wygadanie się, zainteresowanie tego faceta sprawiało wrażenie nieco sztucznego, wyrachowanego i zawodowego.

Dobra, miejmy to już za sobą – pomyślał.

– Niedawno przydarzył mi się pewien mały wypadek, po którym doznałem silnego wstrząśnienia mózgu. Tak silnego, że przez tydzień leżałem w śpiączce.

– Rozumiem. Ale w takim razie to najpewniej nie było wstrząśnienie, a silny uraz czaszkowo-mózgowy. Po wstrząśnieniu nie traci pan przytomności – poprawił go lekarz.

– Dobrze, ok, jak zwał, tak zwał. W każdym razie, po tym wypadku zacząłem widzieć dziwne rzeczy.

– Rozumiem – powtórzył psychiatra i zaczął coś energicznie pisać. Marek chyba tylko brakowi nogi zawdzięczał fakt, że nie wstał i nie sprawdził, czy

gość nie robi dokładnie tego samego, co tamten młody wariat za drzwiami. Tak bardzo go to ciekawiło.

- Przerazające.
- Co to za rzeczy?
- Wydaje mi się, że widzę duchy.
- Wydaje się panu, czy jest pan tego pewien?
- A jakie to ma znaczenie?
- Bardzo duże.

Suchy nie potrafił z siebie niczego wykrztusić.

– Pomogę panu. Czy uważa pan, że to, co pan widzi, jest prawdziwe, czy też zdaje pan sobie sprawę, że to jakaś anomalia i normalnie człowiek nie powinien tego widzieć?

- Zdecydowanie to drugie.
- Rozumiem. – Kolejna notatka. – Co pan rozumie pod pojęciem ducha?
- Dziwne pytania mi pan zadaje.
- Proszę mi wierzyć, że taka forma wywiadu jest w przypadku takim jak pański zupełnie normalna. Wiem, co robię. Proszę mi zaufać i odpowiadać na moje pytania.

Marek westchnął.

– Co rozumiem pod pojęciem ducha? No normalnie. Duch. Dusza będąca poza ciałem. Wychodząca z niego, kiedy człowiek umiera.

– Jak wygląda? Czy to cień, mgła, kontur, czy też może coś jeszcze innego? – zapytał lekarz. Z każdym jego pytaniem Marek coraz dłużej zastanawiał się, czemu mają one właściwie służyć.

– Wyglądają dokładnie tak samo jak ludzie, z których wychodzą. Są wyraźni. Z mojej perspektywy zupełnie widzialni. Ale tylko ja ich widzę. Jedyna różnica między nimi i żywymi jest taka, że można przez nich przeniknąć jak przez hologram. No i zazwyczaj wyglądają średnio przyjemnie. Błdzi, jakby chorzy i tak dalej.

– Czyli dusze, które wyglądają dokładnie w identyczny sposób jak ich właściciele.

- Tak powiedziałem przecież.
- Sądzi pan, że możliwe jest oddziaływanie duchów na ludzi, tak jak w pana przypadku? Wierzy pan w to?

– Raczej nie. Do tej pory nie. Chociaż teraz, powiem szczerze, już sam nie wiem, co o tym myśleć.

- Czy oprócz duchów widzi pan coś jeszcze?
- Ogólnie takie złowieszcze rzeczy. Duchy, demony, cienie. Mam też koszmarnie sny i dziwne halucynacje.
- Czy to aby na pewno są halucynacje? Czy może złudzenia?
- Wie pan, nie chce mi się teraz za bardzo bawić w naukowe definicje. – Marek tracił cierpliwość.
- Proszę pana, jeżeli chcemy postawić trafną diagnozę, to niestety musimy być do bólu precyzyjni. Bo, widzi pan, halucynacja jako taka ma to do siebie, że jest postrzegana przez chorego... – zamilkł na moment, po czym poprawił się: – Przez pacjenta, oczywiście, jako prawdziwe doznanie zmysłowe. Tymczasem pan nie uważa tego za prawdziwe. Używa pan wyrażen typu „wydaje mi się”, a do tego wyraźnie jest pan świadomy, że to, co pan widzi, jest odchyleniem od normy.
- No tak.
- Złudzenia natomiast to zniekształcona interpretacja istniejących bodźców zewnętrznych. Czyli, na przykład, jakiś kształt w ciemności może panu przypominać sylwetkę człowieka, a po zapaleniu światła okazuje się, że to płaszcz wiszący na drzwiach od szafy. Złudzeń doświadczają też zdrowi ludzie. Główną ich przyczyną jest szczególne pobudzenie emocjonalne i niedostateczne skupienie.
- Fascynujące, ale tego to ja też nie mam. Nic mi się nie przywidziało. Wiem, co widziałem. Kilka tygodni temu na przykład, w lesie za Szwajcarią, goniła mnie z setka trupów, uciekałem przed nimi i wpadłem do rzeki! Z czerwona wodą! Rwącej, śmierdzącej! Takiej rzeki nigdy w tym lesie nie było. Zdawało mi się, że utonąłem w niej, a potem jakby nigdy nic obudziłem się suchy w miejscu, z którego wcześniej uciekłem. Jak to wytłumaczyć? Jak już mamy ściśle trzymać się definicji, to nazwij mi pan stan, w którym mam te idiotyczne zwidy, ale zdaję sobie sprawę, że to nie jest normalne.
- W takim wypadku już zupełnie opuszczamy psychiatrię. W jakiegokolwiek halucynozie, zwłaszcza w początkowym stadium, występuje u pacjenta kompletny brak tak zwanego krytycyzmu wobec doznań. To reguła. Krytycyzmu, czyli tego, co występuje u pana: zdawania sobie sprawy z anomalii w swojej percepcji rzeczywistości wokół.
- Ja pierdolę* – pomyślał Marek.
- To przyjmijmy na moment, że tego krytycyzmu u mnie nie ma. Po czym takie coś występuje?

– Najczęściej po zaburzeniu organicznym, czyli po poważnym uszkodzeniu mózgu w wyniku obrażeń mechanicznych.

– To jesteśmy w domu! Mówiłem przecież, że uderzyłem się w głowę!

– Fakt.

– Nie można było tak od razu?

– Na razie nie chcę rozstrzygać. Trafna diagnoza jest ważna, a ten krytycyzm jednak u pana występuje. Czy ma pan omamy wyłącznie wzrokowe? Czy może występują też słuchowe? A może jakieś jeszcze inne?

– Głównie wzrokowe, ale też ich słyszę. Czasem też czuję. I dotykiem, i węchem. – Drgnął, gdy przypomniał sobie trupie dłonie wciągające go pod taflę śmierdzącej, czerwonej wody.

– Mówił też pan o innych halucynacjach niż widzenie duchów. Jakie to były halucynacje? Proszę podać przykład.

– Na przykład moje dzieciaki ganiające po ścianach jak dwa wielkie pająki. W nocy, w ciemności. Kiedy zapaliłem światło, jakby nigdy nic leżały normalnie w łózkach. Jakby coś w nie wstąpiło. To było tak prawdziwe, tak wyraźne, że do teraz mam wątpliwości, czy to aby na pewno halucynacja, czy może coś jeszcze gorszego.

– I mówi pan, że to wszystko zaczęło się po wypadku. – Bardziej stwierdził niż zapytał lekarz.

– Tak.

– I jest pan pewien, że nic podobnego nie działo się przed nim.

Pauza Marka. Wcale nie dlatego, że musiał szczególnie długo nad czymś pomyśleć.

– Chyba tak.

– Chyba?

– Nawet jeśli, to nie z aż tak dużym nasileniem.

– Czyli pamięta pan też coś sprzed wypadku?

– To właściwie drobiazg. Nic szczególnego.

– Co to takiego?

– Nie chcę o tym mówić.

– Dobrze, skoro pan tak uważa, nie nalegam. Ale to by bardzo pomogło.

– Nie chcę o tym mówić – powtórzył Marek.

– Dobrze, to idźmy dalej. Zmieńmy trochę temat. Proszę mi opowiedzieć co nieco o swojej rodzinie. Najlepiej tej najbliższej, którą znał pan od dziecka. Rodzice, rodzeństwo...

– Ale co ja mam panu powiedzieć?

– Po pierwsze, czy kogoś z pana rodziny leczono już w podobny sposób, czy jest pan pierwszy?

Marek pomyślał o matce. Następnie o Ulce. Potem o sobie i swojej przypadłości. Niezła ferajna. Rodzina Addamsów to był przy tym pryszcz. Jedyne normalne, czyli ojciec, miał nosa, że zawczasu spieprzył z tego świata. Może przeczuwał, jak to się może skończyć?

– Nie, ale niektórym by się to przydało.

– Komu?

– Przede wszystkim mojej matce – westchnął. – Co ja będę panu gadał... Długo by opowiadać. Musiałby pan odwołać wszystkie dzisiejsze wizyty, żeby mogłem wystarczająco dużo opowiedzieć i żeby zrozumiał pan, o co chodzi.

– To zostawmy to na razie. A co z ojcem? Ojciec zachowuje się inaczej niż matka?

– Ojciec zmarł dość wcześnie. Jak miałem jakieś osiem, dziewięć lat.

– Jak pan go wspomina?

– Mgliście. Ale to był dobry człowiek. Mądry. Z zasadami. I nigdy nie podniósł na mnie ręki. Prędeż matka. Jej się to zdarzało.

– Matka pana biła?

– Bywało i tak.

– W jaki sposób?

– A jak może bić kobieta? Typowo. No, i czasem zdarzało mi się zarobić liścia w twarz.

– Czyli krótko mówiąc, od pewnego momentu wychowywała pana sama matka.

– Nie powiedziałbym. Prędeż podwórko i ulica. Rzadko bywałem w domu.

– Czy nie zdarzyło się, że po utracie męża pana matka wywierała na pana swego rodzaju presję typu: „teraz ty jesteś moim mężczyzną, najważniejszym w moim życiu, ty musisz się mną opiekować, masz mi go zastąpić”?

– Nie molestowano mnie za młodu, jeżeli do tego pan zmierza.

– Nie o to mi chodzi, bardziej o to wywieranie presji. Przypisywanie roli, która może dziecko, jakim pan ówczesnie był, trochę przerosnąć. Ciągłe mówienie mu, jakie powinno być, jak powinno się zachowywać i nastawianie go na to, co będzie robić w przyszłości, wbrew jego woli i wbrew temu, co czuje.

– Raczej bym nie powiedział, że tak było.

- W porządku. A rodzeństwo? Ma pan jakieś?
- Siostrę. Młodszą. Nie lubiłem jej i nadal nie lubię. Ciągłe próbowała mnie w czymś poprawiać i ciągle się o coś czepiała. Pouczała mnie, skarżyła na mnie rodzicom i nie tylko im. Znienawidziłem ją za to. Jak tylko wyszedłem z domu, to unikałem z nią kontaktu. I nie żałuję.
- Rodzice jej wierzyli, gdy na pana donosiła, czy bardziej panu?
- Jej oczywiście. Ich oczku w głowie. Córeczce mamusi i tatusia.
- Bał się pan ich reakcji, gdy wiedział, że ona znowu im o czymś powie?
- Można tak powiedzieć.
- Bał się pan, na przykład, wracać do domu ze szkoły?
- Nie wiem, nie pamiętam! Do czego zmierzasz, człowieku? Co to ma do rzeczy?
- Zmierzałem do lęków. Głęboko zakorzenionych w podświadomości, które mogą wywodzić się z naszego dzieciństwa. Często przyczyn naszych problemów w dorosłym życiu należy szukać właśnie w tamtych czasach, w kumulacji złych emocji, które nigdy nie znalazły swojego ujścia. Słyszał pan o czymś takim, jak drabina stanów emocjonalnych człowieka?
- Nie.
- Najgorszym możliwym stanem dla naszej psychiki jest skrajna rozpacz, zaś najlepszym stanem silnego zakochania. Pomiędzy nimi jest oczywiście wiele pośrednich szczebelków, które w pewnym momencie przechodzą ze stanów negatywnych w pozytywne. Chyba nie muszę panu tłumaczyć, że traumy, lęki czy stany silnego stresu są pod kreską. Innymi słowy, dla naszego zdrowia psychicznego powinniśmy wystrzegać się złych emocji w nadmiarze.
- No fajnie, ale co to ma wspólnego ze mną?
- Dobrze, przyspieszę to i zapytam wprost: czy miewał pan wcześniej, jeszcze przed wypadkiem, jakieś nieokreślone, obiektywnie irracjonalne lęki? Czy miał pan do nich szczególną skłonność? Powiedzmy, ogarniał pana nagle paraliżujący przestrah, choć tak naprawdę nie było się czego bać?
- Nie odpuścisz – pomyślał Marek.*
- Szczerze?
- Tylko szczerze.
- Tak.
- Co to za strach? Przed czym? Od jak dawna się pojawiał?
- To głupota. Nic takiego.
- Panie Marku. – Mężczyzna uchylił trochę okulary i spojrzał na rozmówcę

z delikatnie wyczuwalnym zniecierpliwieniem. – Musimy być wobec siebie otwarci i szczerzy. Jedynie wtedy będę potrafił pomóc.

Marek westchnął.

– Dobra. No więc zaczęło się to dość dawno temu. Moje dzieciaki oglądały na kanale z kreskówkami takie dziwne anime. Nie oglądałem z nimi, w pewnym momencie przechodziłem przez salon i natrafiłem na tę scenę.

– Co to była za scena?

– To działo się w nocy. Pojawiał się motyw, że bohater stał tyłem do lustra i w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że ktoś go obserwuje. Jakby czuł na plecach czyjś wzrok.

– Aha. – Mężczyzna znowu zaczął pisać coś w swoim notesie.

– Zaczął się powoli odwracać i okazało się, że jego odbicie jest zupełnie czarne i pomimo że on się rusza, ono pozostaje niezmiennie w tym samym miejscu. Do tego ta istota jakby stała do niego przodem, bo miała czerwone, świecące oczy i białe, ostre zęby. Wyszczерzone w bardzo szerokim, złośliwym uśmiechu. – Marek wzdrygnął się na samo wspomnienie tego obrazka.

Psychiatra wciąż pisał.

– Nic więcej z tej kreskówki nie zapamiętałem. Wiem, że to zabrzmiało debilnie, ale od tamtej pory z jakiegoś powodu zacząłem bać się luster w swoim domu. Nie wszystkich – poprawił się. – Mam taki korytarz, w którym z obu stron są zasuwane szafy z lustrami. Właśnie tych luster się boję. Za każdym razem jak przechodzę pomiędzy nimi w nocy, zaczynam odczuwać bardzo silny lęk. Nie kontroluję tego. Bardzo staram się na nie nie patrzeć. Ani w jedno, ani w drugie.

– Czego się pan obawia? Proszę spróbować to nazwać.

– Nie wiem. Może tego, że w pewnym momencie ja też zobaczę, że moje odbicie, mój czarny kontur pozostaje nieruchomy, ma czerwone oczy i te wielkie zęby? Trudno mi to wyjaśnić.

– To jeszcze ostatnie pytanie. Czym zajmuje się pan na co dzień?

– A co to ma do rzeczy?

– Formalność, która może mi też paradoksalnie coś więcej powiedzieć. Taki przykład: gdyby trudnił się pan, dajmy na to, gangsterką, to od razu założyłbym, że mnie pan okłamuje, bo chce pan wyrobić sobie lewe żółte papiery. Niepoczytalność to bezkarność! – Lekarz zaśmiał się z własnego żartu. – No więc? Słucham.

Marek milczał przez moment i toczył w głowie rozpaczliwą walkę. Prawda

kontra kłamstwo. W końcu uznał, że jednak to pierwsze.

– Jestem biznesmenem. Mam swój pub w centrum. Nazywa się Beerma, może pan słyszał.

– A tak. Brama, rzeczywiście. Znam. Dobrze. To by mi wystarczało. Czyli co nieco mamy. – Doktor stuknął długopisem o podkładkę, jakby triumfalnie, a serce Suchego zaczęło bić szybciej.

– Co mamy?

– Tę historię z lustrem, którą mi pan właśnie opisał, możemy podpiąć pod dolegliwość zwaną zaburzeniami urojeniowymi.

– To znaczy?

– Polega to na usystematyzowanych urojeniach, najczęściej prześladowczych. W pana wypadku prześladowcą jest ta abstrakcyjna, czarna postać z lustra, którą zakodował pan sobie w umyśle, choć tak naprawdę na własne oczy nigdy jej pan nie zobaczył.

– Czy to groźne?

– W początkowym stadium nie. W ogóle w psychiatrii rzadko rozpoznaje się tę dolegliwość. Nie dlatego, że jest tak rzadka, tylko dlatego, że choć występuje dość często, nie uznaje się jej za coś szczególnie dziwnego. Dotknięty nią człowiek normalnie, spokojnie wypełnia swoje role, czy to społeczne, czy to zawodowe. Jego jedyny, że się tak brzydko wyrażę, odchył, to właśnie ta paranoja, którą, jeżeli nie afiszuje się z nią zbyt często, jego najbliżsi uważają po prostu za swego rodzaju ciekawostkę. Chyba każdy z nas zna taką osobę, która ma na punkcie czegoś niezdrową obsesję.

– No dobra, ale mówił pan, że to niegroźne w początkowym stadium. A potem?

– Jeżeli psychoza się pogłębia, może się to skończyć schizofrenią paranooidalną.

– Czym?!

– Schizofrenią paranooidalną. I jeżeli mielibyśmy już cokolwiek u pana rozpoznać, to właśnie to. Wtedy pański wypadek najpewniej nie miał tu nic do rzeczy. W tym szczególnym przypadku choroby dominującymi objawami są właśnie urojenia i halucynacje, zaś objawy tak zwane negatywne, katatoniczne czy zaburzenia myślenia, woli i mowy, których u pana nie widzę, albo w ogóle nie występują, albo występują w śladowej ilości.

– Kurwa – mruknął pod nosem Marek.

– Z ciekawości, czy miewa pan czasami wrażenie, że ktoś czyta panu w my-

ślach?

– Tak! Skąd pan to wie?

Lekarz uśmiechnął się.

– Bo to jedno z urojeń typowych dla tej choroby.

– Jak to leczyć?

– Najlepiej neuroleptykami. Na przykład zypsilą. – Mężczyzna sięgnął na pobliski stół i pokazał Markowi zielono-białe, kartonowe opakowanie. – Tylko w niektórych przypadkach mogą wystąpić skutki uboczne, na przykład tycie.

– Nieważne. Chcę to mieć.

– Jeszcze nie mogę ich panu wypisać. Wciąż nie jesteśmy pewni, co panu dolega.

– Muszę to dostać teraz – cedził przez zęby Marek. Przeciągana od samego początku tej rozmowy struna wisiała już dosłownie na jednym, jedynym włóknie. Stopniowo zaczynały drżeć mu ręce. Lekarz chyba to zauważył, gdyż ponownie obniżył okulary na nosie i zaczął:

– Panie Marku, prosiłbym bardzo o powściągnięcie swoich...

– Słyszysz, co do ciebie mówię? Nie mam na to czasu! Chcę mieć te leki! Teraz! – wybuchnął Suchy. Zacerwienił się na twarzy. Od emocji nosiło go tak bardzo, że podskoczył na fotelu. Przestraszony lekarz skulił się w sobie.

– Kiedy ja naprawdę nie mogę.

– Daj mi to! – Suchy sięgnął po opakowanie, ale wózek inwalidzki i brak nogi mu tego nie ułatwiły, co zakończyło się niepowodzeniem próby.

– Proszę się uspokoić albo zaraz naprawdę będę musiał wezwać pomoc!

– Nie wiesz, z kim zadzierasza! Wiesz, kim ja jestem? Zależy ci na zdrowiu twoim i twojej rodziny? Tak? To dawaj mi to pudełko! Znam pełno ludzi z miasta. Nawet nie pierdniesz, jak ci zrobią wjazd na chatę i zniszczą samochód! Chcesz tego?

Facet zrobił minę, jakby nagle wszystko zrozumiał.

– Jednak gangster. Ale strzał.

– Gangster! Dokładnie tak! Więc już wiesz, że jeżeli nie dasz mi tego pudełka...

– Nie dam panu tych leków. Obowiązuje mnie...

– Dawaj, kurwa! – Kompletnie niepanujący już nad sobą Marek instynktownie wyskoczył z fotela w stronę ręki psychiatry. Ten uchylił się i raptownie wstał ze swojego siedziska, przez co bezwładne ciało Suchego z głuchym ło-

skotem wylądowało na ziemi. Od uderzenia w klatkę piersiową zabrakło mu tchu.

– Dość tego, wzywam sanitariuszy. – Doktor ruszył w stronę drzwi.

– Ty nic nie rozumiesz. – W przypiływie desperacji Marek postanowił zrobić coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie robił.

Błagać.

Zaczął czołgać się do stóp lekarza.

– Jakbyś zobaczył to, co ja, ani trochę byś się już nie zastanawiał. Ja chcę tylko przestać się bać. Nie chcę już widzieć tych rzeczy. Błagam. Nie chodzi tu o żadne lewe papiery. Przysięgam. Chcę się po prostu wyleczyć! Muszę mieć te piguły teraz! Nie za tydzień, czy za kilka godzin, a teraz! Zapłacę ci za nie tyle, ile tylko będziesz chciał. Tylko powiedz ile.

Psychiatra zatrzymał się.

– Zapłacę! Chcę tylko żyć tak, jak dawniej. Nic więcej. Dotykać ścian jak dawniej.

– Ścian? Nie mówił pan nic o żadnych ścianach! O czym pan mówi, do cholery?

– Nie mówiłem, ale jest jeszcze jedna rzecz. Nie mogę dotykać ścian. Parzą mi skórę. Zobacz. – Pokazał mu swoje dłonie, na których wciąż widniały czerwone ślady.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Prędzej bym powiedział, że pokaleczył pan się sam. Za żółte papiery już niejeden gangster gotów był się pokroić.

– To prawda! Mam pokazać?

– A pokazuj pan! Co mi szkodzi popatrzeć. Może być niezły ubaw.

– Zaraz pokażę.

Marek zaczął czołgać się do najbliższej ściany. W pewnym momencie się zawahał. Przecież ostatnia próba, w Beermie, zakończyła się niepowodzeniem! Jak to sobie przypomniał, oblał go zimny pot. Przy identycznym rezultacie za moment, spokojnie mógł się nastawić, że rychło skończy w kaftanie, w pokoju bez klamek.

Wóz albo przewóz.

Dotarł do celu, policzył w myślach do trzech i przyłożył dłoń do ściany.

Nie wiedział, jakim cudem nie wydobył się spod niej dym. Ale wytrzymał te kilka sekund, zanim rozwarł zaciśnięte jak imadło usta.

– Kurwa! – wrzasnął, przyciskając sobie do ciała obolałą rękę.

– Co panu jest?

– Zobacz pan! Zobacz! Mówiłem! O to mi chodziło! – Pokazał mu pokrytą bąblami dłoń. Facet poprawił okulary i przyglądał jej się z niedowierzaniem przez dobrą minutę.

– Rzeczywiście...

– Rozumiesz już, czemu potrzebuję tych leków?

Mężczyzna podszedł do ściany, której przed chwilą dotknął Marek, i także ostrożnie trącił ją dłonią. Nic się nie wydarzyło.

– Niespotykanie.

– Błagam, nie każ mi pan pokazywać tego jeszcze raz. – Suchy oddychał głęboko. Leżał na plecach i krztusił się własnym szlochem.

– Nie ma takiej potrzeby. – Lekarz podszedł do niego. – Proszę mi podać rękę. Drugą. Pomogę panu wstać.

Marek wypełnił polecenie. Po parunastu sekundach tytanicznego wysiłku doktora, ponownie usadowił się w fotelu na kółkach.

– Dasz mi to? Zapłacę – jękał się, oddychając niespokojnie.

– Obawiam się, że to nic nie pomoże.

– Jak to?

– Schizofrenia schizofrenią, parestezja parestezją...

– Mów do mnie po polsku, bo nie rozumiem, o czym mówisz, do kurwy nędzy!

– Parestezje to takie odczucia na naszych częściach ciała, na przykład rękach. Może to być ból, fantomowy też, drętwienie, mrowienie, a czasem nawet silny chłód lub gorąco.

– Czy ja to mam? Czy to się właśnie tak objawia? – Serce Marka waliło jak młotem. Dzielił go już dosłownie kroczek od wyjaśnienia tego wszystkiego w zupełnie racjonalny sposób.

– Problem w tym, że nie. Bo w parestezjach to też jest w pewnym sensie złudzenie. Tym razem w zmyśle dotyku. Czuje pan to, choć fizycznie nic nie ma prawa dziać się z pana ręką. Żadnych oparzeń. Nawet najpotężniejsza paranoja nie jest tak silna, by naprawdę parzyć komuś skórę, gdy dotyka ścian. Siła sugestii to za mało na coś takiego.

– To o co w tym wszystkim chodzi?

– Jeszcze nie wiem. Chociaż... – Doktor spojrzał na Marka ze szczerym niepokojem.

– No powiedz! Cokolwiek! Cokolwiek, co ci teraz przychodzi do głowy!

– Nie wiem, czy to ma sens, ale kiedy to się zaczęło? To ze ścianami?

- Po wypadku. Wcześniej tego nie miałem.
 - I po wypadku obojętnie której ściany by pan nie dotknął, kończyło się to dokładnie w ten sposób?
 - Tak... Nie! Raz zdarzyło się inaczej. Dotknąłem i nic się nie działo. Ale tylko jeden, jedyny.
 - Gdzie to było?
 - W moim pubie. W centrum.
 - Gdzie jeszcze dotykał pan ścian po wypadku?
 - W szpitalu. U mnie w domu, na osiedlu Hańcza. W moim drugim mieszkaniu w Sercu Suwałk. I teraz, tutaj.
- Po przetworzeniu tych informacji, lekarz wytrzeszczył na niego oczy.
- Jasna cholera!
 - Co jest?
 - Jak jest u pana z wiarą w Boga, panie Suchocki? – zapytał zniechęcony. Kompletnie tym Marka zaskoczył.
- Albo i nie.
- „Ty też nosisz go w sobie. My możemy to wyczuć”.
- Średnio na jeża. Dlaczego pytasz? – Z każdym kolejnym słowem coraz bardziej drżał Suchemu głos. Identycznie jak ręce.
 - Bo już chyba rozumiem, co pana spotyka. O co chodzi z tymi dziwnymi wizjami. Halucynacje, koszmary, paranoje. Plus agresja, taka jak przed chwilą. To mi się kojarzy z... Kurczę, aż sam się boję o tym mówić.
 - Mów! Wykrztuś to z siebie wreszcie!
 - Ma pan do wyboru teraz właściwie dwa wyjścia. Albo przyjąć, że to, co pan widzi, nie jest prawdziwe i rozpocząć leczenie psychiatryczne, albo iść do kościoła. Najlepiej od razu do egzorcysty.
 - Gdzie?!
 - Tylko w tym drugim wypadku już bynajmniej nie może pan zakładać, że to, co pan widzi, nie jest prawdziwe. Wręcz przeciwnie.
 - Co ty pierdolisz, człowieku? Do jakiego egzorcysty? Skąd nagle ten wniosek?!
 - Stąd, że łącząc w jedną całość wszystko, co mi pan do tej pory powiedział i co zobaczyłem przed chwilą na własne oczy... Gdybyśmy tak założyli, że na pana skórę oddziałują w ten sposób jedynie ściany budynków, które łączy jedna, podstawowa cecha?
 - Jaka?

– Taka, że w przeszłości w dowolnym miejscu skropiono je wodą święconą?

Marek milczał przez moment, gapiąc się na swojego rozmówcę z nieznacznie otwartymi ustami.

– Ale co? Jak?

– Niech pan pomyśli. Jak mniemam, do pubu pan księdza nigdy na jednego nie zaprosił, ale do domu i mieszkania po kolędzie już tak. Do szpitala też co roku wpadają. I do nas też.

– Co ty za brednie wygadujesz?

– Wie pan co? – Psychiatra niespodziewanie wstał i pośpiesznie ruszył ku jednej z szafek pod ścianą. – Dam panu te leki. Za darmo. Cały zapas, wszystko co mam. – W mig opróżnił jedną z półek i całą jej zawartość wrzucił do reklamówki, którą potem wcisnął skonfundowanemu Markowi w rękę. – Proszę to wziąć i brać zgodnie z treścią ulotki w opakowaniu.

– Skąd ta nagła zmiana? Przecież przed chwilą mówiłeś, że to nie choroba psychiczna, a coś innego.

Lekarz wziął głęboki oddech i pochylił się nad nim. Zbliżył do Marka swoją bladą twarz na odległość może kilkunastu centymetrów.

– Powiem panu tak. – Niemal szeptał. – W moim zawodzie nie wolno mi nikomu mówić w ten sposób. Oficjalnie mogę jedynie delikatnie zasugerować pójście do egzorcysty. Ale jest jeszcze coś takiego, jak prywatne poglądy na temat wiary. Było nie było, w swojej edukacji musiałem też trochę posiedzieć w tematyce opętania. A u pana... Niech się pan modli, żeby okazało się to chorobą psychiczną. Niech pan bierze te leki i obserwuje, czy się panu poprawia. Jeżeli tak, i nastąpi taki moment, że to panu zupełnie zniknie, to super. Niech pan wtedy nawet do mnie przyjdzie i się tym pochwali.

– A co, jeżeli jednak nie zniknie?

– Jeżeli nie zniknie – mężczyzna zawiesił na moment głos, jakby bojąc się wypowiedzieć swoje myśli – wtedy niech pan broń Boże tutaj nie wraca! Niech pan się do mnie nie zbliża! Niech pan się nawet nie zbliża do tego szpitala.

– Dlaczego?

Psychiatra pochylił się jeszcze niżej i ściszył głos tak bardzo, że praktycznie nie dało się go usłyszeć.

– Bo to będzie oznaczać, że mamy do czynienia z siłami, z którymi zwykły człowiek nie powinien zadzierać. Ja samobójcą nie jestem. Mam żonę i dzieci.

I jeżeli to jest tym, czego się obawiam, to będzie o wiele gorsze niż pańscy kumple bandyci. Proszę już iść. – Wyprostował się nagle.

Marek oniemiał.

– Proszę iść! Ma pan te leki. Tak jak pan chciał. Koniec wizyty.

Nie mając innego wyboru, Suchy położył reklamówkę z tabletkami na kolanach, bez słowa odwrócił fotel na kółkach do wyjścia z gabinetu i zaczął się bardzo powoli ku niemu toczyć. Zagłębił się w swoich myślach tak bardzo, że zapomniał się pożegnać i uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy usłyszał za sobą trzask drzwi.

Wyjechał na korytarz. Nie zdziwił się ani trochę, gdy nie zastał w nim tego niepokojącego młodzieńca, z którym uprzednio rozmawiał.

KORYTARZ GWOŹDZI

Kurwa, co za pasztet – rozmyślał gorączkowo, kiedy mozolnie toczył się w stronę szpitala. Z każdą minutą sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna. A co gorsza – nieuchronnie zbliżał się moment, w którym raz na zawsze należało zawyrokować, że nikt nie potrafi mu pomóc. Chyba że te tabletki, jego jedyna nadzieja, jednak zadziałają. Bo jeżeli nie zdadzą egzaminu... Choćby na tę studencką tróję... Nie. Nawet nie chciał rozważać tego scenariusza.

Postanowił wziąć pierwszą porcję tych pigułek tak szybko, jak tylko znajdzie coś do popicia. Z tego co pamiętał, Kasia wczoraj zostawiła mu jakiś sok. Jadąc w kierunku windy, pracował rękami tak energicznie, że wkrótce rozboleły go ramiona i lekko się zdyszał. Po dotarciu do celu nacisnął przycisk i czekał.

– Boli!!

Uniósł głowę i rozejrzał się niespokojnie. Przebywał sam w sporym holu, który nawet pomimo dnia i porządnie przygrzewającego słońca w tym momencie sprawiał wrażenie dość mrocznego i posępnego. Wlepił wyczekująco wzrok w drzwi od windy i zaczął stukać lewą stopą o podłogę.

– Boli!!!

Intensywnie skupił się na swoich odczuciach, aby rozstrzygnąć, czy jego pałający zmysł po raz kolejny nie ostrzega go przed czymś średnio przyjemnym. Nie doświadczał jednak teraz żadnego, choćby najmniejszego bólu ani nie słyszał szumu połączonego z piskiem. Czyli w normie.

– Ratunku! O Jezu! Jak boli!

Wrzask dobiegał zza ściany. Z tego co Marek się orientował, w pobliżu nie było żadnych sal, w których leżeli pacjenci, a blok operacyjny znajdował się daleko stąd.

– Boli! Niech ktoś mi pomoże! – Przeróżliwy jęk rozbrzmiewał w jego uszach coraz wyraźniej.

Zastanowił się przez moment, przeklął w duchu i ponownie odwrócił fotelem bokiem do windy.

– Kto krzyczy?! Gdzie jesteś?! – zawołał.

– Tutaj!

– Gdzie?!

– Za rogiem! Błagam, pomóż! Zrób coś!

Suchy jechał za głosem i wciąż niesłabnącym jękiem bóleści. W końcu pojął, o jaki róg chodziło. Bardzo powoli wyjechał zza niego w oświetlony światłówkami korytarz bez okien, prostopadły do tego z windami.

Jego oczom ukazało się kilka osób. Kobiet i mężczyzn. I o ile o Jezusie Chrystusie przybitym do krzyża mówi się, że jest ukrzyżowany, tak o nich należałoby powiedzieć, że są... „uścianowani”? Kilkoro nagich, wciąż jeszcze żywych ludzi zostało żywcem przybitych gwoździami do ścian. Za ręce i nogi. W identycznej pozycji, jak w klasycznym motywie umierającego na krzyżu Chrystusa.

– Błagam...

Suchy złapał się za głowę. Skala okrucieństwa, jakie rozpościerało się przed jego oczami, to było już za wiele nawet dla tak doświadczonego gangstera, jak on. Wpadł w panikę.

– Pomóż...

Marek przeklął, podjechał do najbliższego mężczyzny i spróbował siłą wyrwać gwoździe z jego stóp. Ani drgnęły. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę ich rozmiar i głębokość wbicia w ścianę. Ponowił próbę, wciąż bez żadnego efektu.

– O Jezu, jak mnie boli!

– Wezwę pomoc! – zawołał i najszybciej, jak się dało, pojechał z powrotem do głównego korytarza. Ponownie nikogo w nim nie spotkał.

– Ratunku! Pomocy! Niech ktoś tu przyjdzie! – wrzasnął. Bez skutku. Jechał więc dalej, tak długo, aż dotarł z powrotem do holu przy głównym wejściu do szpitala. Z trudnością (niewątpliwie nie dało się tego opowiedzieć w taki sposób, by zabrzmiało choć odrobinę sensownie) wytłumaczył ochroniarzom, co się dzieje, i dwóch podążyło za nim.

Z powrotem do tamtego miejsca. Z powrotem do jęków, które się z niego wydobywały.

– Tutaj! – wskazał Marek.

Mężczyźni najpierw spojrzeli w tamtym kierunku, potem na siebie, a następnie na niego. Z dziwnymi minami.

– To ma być jakiś dowcip, tak? – odezwał się w końcu ten po lewej.

– Jaki dowcip? Człowieku! Nie gadaj, tylko coś zrób! W takim stanie ich tu zobaczyłem.

– Ale co mam zrobić?

– Kurwa! Wezwij pomoc, spróbuj wyrwać gwoździe. Nie wiem! Szybciej! Nie widzisz, że oni tu zdychają?

– No właśnie nie widzę.

Marek zamilkł. Jedyne odgłos, jaki pośród ciszy rozniósł się w tle, to ten niecichnący, zbolący jęk.

– Jak to nie widzisz?

– Nie widzę! Co niby mam widzieć? O czym pan mówi?

Marek jeszcze raz spojrział na ścianę, na której wisiał nagi, krwawiący z dłoni i stóp mężczyzna, który płakał i dyszał z bólu. Potem z powrotem na ochroniarza.

– Ty jaja sobie ze mnie teraz robisz? – zapytał w końcu. – Pojechało cię? Pomóż im!

– Panie! To ja powinienem ciebie zapytać o to samo! Pokazujesz nam pan nagi ściany i krzyczysz, żebyśmy komuś pomogli! Chętnie! Tylko komu?

– Wy naprawdę ich nie widzicie? – Z każdym kolejnym słowem Marek coraz bardziej kulił się w sobie. To było chore. Spokój tych dwóch w obliczu tak makabrycznego widoku i odgłosów wokół.

– Ale kogo do cholery?! Nikogo tu nie ma.

W odpowiedzi Suchy ostrożnie sięgnął ku stopie najbliższej wiszącego mężczyzny i dotknął jej. Czuł ją. Żywą (jeszcze), ciepłą (jeszcze) stopę z krwi i kości. Dotknął też gwoźdź. To nie mógł być majak ani halucynacja. To nie mógł być kolejny duch. Tym bardziej, że Markowi wciąż ani nie doskwierał ból głowy, ani nie słyszał szumu połączonego z piskiem.

– Kolego, na przyszłość bez takich żartów, ok? Tu się pracuje – warknął jeden z ochroniarzy i już się odwrócił, gdy Suchy zawołał jeszcze:

– Poczekaj! – Wciąż dotykał tej stopy. – Dotknij tu.

– Gdzie?

– Tu! Gdzie ja trzymam.

– Nic tu nie widzę.

– Dotknij tutaj, dokładnie tam gdzie mam rękę. No dotknij, mówię!

Mężczyźni spojrzeli po sobie, zdezorientowani. W końcu jeden z nich podszedł do ściany i wypełnił polecenie Marka.

Suchy nie dość, że rozszerzył oczy, to jeszcze otworzył usta.

Ręka ochroniarza przeniknęła bowiem przez stopę i najzwyczajniej w świecie dotknęła ściany za nią. Jak przez powietrze.

– Co jest? – Zszokowany Marek wciąż macał krwawiącą kończynę.

– Dobra, dosyć już tych głupot. Chodź, Jasiu. A ty, kolego – ochroniarz wycelował w Marka palcem – jesteś na cenzurowanym. Żeby mi to było ostatni raz. Bo za drugim już tak wesoło nie będzie – dodał i po chwili obaj zniknęli za rogiem.

Z kolei mężczyzna, który wisiał na ścianie i którego stopę Marek wciąż trzymał w dłoni, patrzył na niego, oddychając głęboko i ostatkiem sił walcząc z dotkliwym bólem. Patrzyli sobie w oczy. Bez choćby jednego słowa.

– Kto wam to zrobił? Dlaczego oni was nie widzą? Nie jesteście duchami, bo mogę was dotknąć i nie wyczuwam was w głowie. To kim jesteście? Czym jesteście? – wycharczał gardłowo Marek. Jego głos w tamtym momencie pozabawiony był właściwie jakiegokolwiek barwy.

Nie odpowiadali. Nie mieli już na to siły. Ich błyszczące od potu klatki piersiowe falowały bardzo szybko, niczym u ludzi wydających ostatnie tchnienie. Wciąż wszyscy, co do jednego, patrzyli na Marka. Zupełnie jakby każde z nich chciało, ale już nie potrafiło odpowiedzieć na jego pytanie.

– Kto? Kto wam to zrobił? W szpitalu jest jakiś morderca? Powiedzcie mi!

– M... M... – zaczął jeden z mężczyzn.

– Kto? Powiedz!

– M... Ma...

– No dawaj! Wykrztuś to! Mów!

Było już jednak za późno. Wszystkie pięć par oczu w tej samej chwili zdało się zupełnie nieprzytomnymi, choć pozostawały otwarte. Ciała zawisły bezwładnie, mimo że w dalszym ciągu drżące. Jakby od ostatnich spazmów, iskiełek życia, chłodu dusz, które z nich ulatywały. Z każdego z nich, kropelka po kropelce, na ziemię spadała przemieszana z potem krew. Marek słyszał każdą kolejną kroplę lądującą na posadzce. Każdy idący za tym cichutki, ale niezmiernie nieznośny dla uszu plusk. Co do jednego. Wciąż trzymał w dłoni tę stopę. Nie wiedział, czy mu się zdawało, ale odnosił wrażenie, że z każdą sekundą stawała się coraz zimniejsza.

PRZYNALEŻNOŚĆ

Podjąwszy męską decyzję, najprędzej jak się dało wrócił do windy. Nadszedł na to najwyższy czas. Zamiast na swoje piętro, pojechał nią jednak na poziom minus jeden. Świadomie, na własne życzenie.

I zastał tam kolejny pusty, zacieniony korytarz.

Na samym jego końcu, a więc tam gdzie zmierzał, przywitał go jeszcze gęstszy mrok. Starał się jednak o tym nie myśleć. Zacisnął zęby i wytrwale kręcił kołami, kierując wózek do celu. Skrzypiały irytująco za głośno. Od wypełniającego napięcia kark zeszywniał Markowi tak bardzo, że nawet gdyby chciał się odwrócić (a nie chciał), to najpewniej by się to nie udało.

Z duszą na ramieniu wjechał w półmrok. O ile dobrze pamiętał, miejsce, do którego chciał dotrzeć, znajdowało się nieco po lewej. Nie pomylił się.

Dojechał do tych drzwi i nacisnął klamkę.

Przeklął.

Zamknięte. Dopiero po chwili dostrzegł wiszącą na nich kartkę. Napisano na niej: „Kaplica zamknięta z powodu remontu. Przepraszamy”.

Przepraszacie. To tak jak z przeprosinami za spóźnienie pociągu z megafonu na dworcu. Jedno i drugie ma w sobie tyle polotu i emocji, co transmisja na żywo wzrostu trawy. Jedno i drugie szczere jak uśmiech niepełnoletniego, wypryszczonego sprzedawcy z budki z hamburgerami, który pracuje w niej za karę – pomyślał.

Nagle znieruchomiał. Z kilku powodów.

Po pierwsze, wyglądało na to, że w mrocznym korytarzu przez cały czas było włączone światło. Do tej pory nie działało, ale właśnie w tym momencie zaczęło migać, na ułamki sekund rozświetlając cały łącznik.

Po drugie, wraz z każdą krótką chwilą, w trakcie której mógł zobaczyć w świetle drzwi od kaplicy, coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że coś z nimi było nie tak. Nie potrafił jednak się na tym skupić, ponieważ w gło-wie zaczęły narastać mu ból, szum i pisk, po trzecie.

No i wreszcie, po czwarte, kątem oka zobaczył to coś stojące w... kącie.

Nagle zrozumiał. Skojarzył też, co nie pasowało mu w widoku kościoła Najświętszego Serca Jezusa, który niedawno wraz z Kniziem mijał autem.

W jasne, słomkowe drzwi do kaplicy wbudowano dwa spore, ciemnobrązowe, ozdobne krzyże. Kojarzył je, widział je tam już wcześniej. Problem w tym, że zmieniła się w nich jedna istotna rzecz.

Mianowicie obydwie te krzyże były odwrócone do góry nogami. Podobnie jak ten na szczycie wieżyczki wspomnianej świątyni.

Jego ręce zaczęły drżeć. Nic z tego nie rozumiał, lecz wiedział jedno. Nie powinno go tu teraz być. Problem stanowiła jednak ta postać stojąca twarzą do kąta tuż obok jedyne go wyjścia z korytarza.

Odetchnął głęboko i odważył się na nią spojrzeć. Na tyle, na ile pozwalało mu wciąż migające światło, stwierdził, że to naga, trupio blada kobieta. Stała w bezruchu, jak manekin, z opuszczonymi rękami. Ból, szum i pisk coraz bardziej narastały mu w czaszce i powoli stawały się nie do wytrzymania.

Jęknął żałośnie i chwycił się za skronie. Wiedział, że beczynne czekanie spowoduje, że będzie z nim tylko gorzej. Musiał wydostać się z tego korytarza. Jak najprędzej.

Nie odrywając wzroku od złowieszczej postaci w kącie, zaczął powoli i ostrożnie toczyć się w jej stronę. W kierunku upragnionego wyjścia.

Gdy dzieliło go od celu już zaledwie parę metrów, duch tej kobiety zaczął się powoli ku niemu odwracać. Nie wahał się już, dalej wytrwale posuwał się naprzód. Teraz albo nigdy.

Gdy dostrzegł te obrzydliwe plamy czerwieni na jej skórze, obwisłe piersi i gnijącą, częściowo zakrytą brudnymi włosami twarz, a także ten napis na jej udzie, nie wytrzymał i przyspieszył. Na ile tylko pozwalały mu mięśnie rąk. Wręcz ponad ich możliwości. Niesamowicie szybko wszedł w zakręt i przestraszył się nie na żarty, że jego wózek się przewróci. Na szczęście do tego nie doszło, ale i tak nie przestawał intensywnie pracować rękami. Słyszał kroki tego czegoś za sobą. Te obrzydliwe, wilgotne plaski pożeranej przez jakąś chorobę skóry wypełnionej kośćmi i niedomagającymi narządami.

Dojechał do windy i natychmiast wdusił przycisk. Z przyspieszonym pulsem i drżąc na całym ciele, nieprzytomnie gapił się na drzwi przed sobą. Widział to coś kątem oka po swojej prawej stronie, widział jak stopniowo się do niego zbliża. Nie odważył się spojrzeć na to jeszcze raz.

– Szybciej, do chuja! – wystękał, wciąż nie przestając wciskać guzika, jakby miało to jakkolwiek przyspieszyć pracę windy. A to było coraz bliżej.

Trzy metry.

Dwa.

Jeden.

Wciąż bał się na to spojrzeć.

Metalowe drzwi niespodziewanie rozwarły się przed nim, ukazując wnętrze windy. Nawet nie próbował wjechać do kabiny, po prostu rzucił się do przodu całym ciałem, odbijając się od ziemi zdrową nogą i pozostawiając wózek inwalidzki na zewnątrz. Po upadku nie zważał na dotkliwy ból, jaki poczuł w skaleczonym kikucie, doczołgał się do ściany windy i błyskawicznie wcisnął przycisk zamknięcia drzwi oraz ten z numerem piętra, na którym mieściła się jego sala.

W tej kolejności.

REGUŁA NIEDOSTĘPNOŚCI

Podróż na górę dłużyła się w nieskończoność. Kiedy wreszcie otworzyły się przed nim drzwi, wyczołgał się na korytarz i zaczął wrzeszczeć:

– Ratunku! Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

Minęła chwila i na miejscu pojawiły się dwie pielęgniarki.

– Pomóżcie mi! Błagam!

Marek wyglądał jak wrak człowieka. Jak na wpół martwy szaleniec. Był przeraźliwie blady, spocony, o zmierzwionych włosach. Odstraszał wręcz nieprzytomnym, przerażonym spojrzeniem przekrwionych oczu. Jego ubranie wyglądało, jakby ledwo co wyciągnięto je z pralki, a czerwona plama na kikucie prawej nogi wciąż się powiększała.

– Skąd się pan tu wziął? Gdzie jest pana wózek? Jezu! – Jedna z kobiet dostrzegła krew.

– Wózek! Tak! Na dole! Na ostatnim piętrze, w piwnicy, tuż przy windzie. Wózek i leki! – wypluwał z siebie słowa jak obłąkany.

– Jest pan pewien?

– Wózek i leki! Muszę mieć te leki! Muszę je wziąć!

– Pojadę – mruknęła jedna z pielęgniarek i przywołała windę.

– Błagam – wyjąkał Marek do kobiety, która z nim została – niech pani mnie nie zostawia. Niech pani nigdzie nie idzie.

– Nie zostawię. Już, spokojnie. – Pogłaskała go po głowie jak dziecko, które boi się zasnąć w obawie przed potworem spod łóżka.

– O kurwa. O kurwa. Ona była... Ona już nie żyła. Ona się rozkładała – wybełkotał Marek i z całej siły przytulił się do kolan pielęgniarki. Nie broniła się, ale też wyraźnie z utęsknieniem wyczekiwała powrotu koleżanki, który ostatecznie nastąpił. Druga z kobiet przywiozła ze sobą wózek i reklamówkę z lekami.

– Co to jest? – Zajrzała do torebki.

– Moje leki! Nie dotykaj! Daj mi je! Muszę je jak najszybciej wziąć!

– Przecież to są bardzo silne leki psychotropowe.

– Tak, bo jestem chory! Na schizofrenię! Oddawaj!

Kobieta zwróciła mu torebkę, a on przycisnął ją sobie do piersi jak pluszowego misia. W tej właśnie pozycji pielęgniarki z trudem posadziły go na wóz-

ku i zawiozły do łóżka.

- Strasznie się pan spocił, może weźmie pan prysznic?
- Nie! Nie trzeba! Wyjdźcie! I zamknijcie drzwi!
- Proszę pana, naprawdę uważam...
- Już! Wynocha!

Spłoszone kobiety jak najprędzej wyszły z sali.

Marek niezwłocznie wyjął z torebki jedno opakowanie zypsili. Błyskawicznie pozbył się kartonika i zaczął gorączkowo czytać ulotkę. W końcu dotarł do magicznego słowa „dawkowanie”.

Doustnie. Dawkę i częstotliwość stosowania leku ustala lekarz. Lek należy przyjmować w trakcie posiłku, w miarę możliwości o stałej porze dnia. Kapsułki należy połykać w całości, popijając wodą. Aby leczenie było skuteczne i jak najbardziej bezpieczne, należy przestrzegać zaleceń lekarza prowadzącego. Zapoznaj się z właściwościami leku opisanymi w ulotce przed jego zastosowaniem. Przed zastosowaniem leku należy sprawdzić datę ważności podaną na opakowaniu (etykiecie). Nie należy stosować leku po terminie ważności. Przechowuj lek w szczelnie zamkniętym opakowaniu, w miejscu niedostępnym i niewidocznym dla dzieci, zgodnie z wymogami producenta. Lek ten został przepisany przez lekarza prowadzącego celem leczenia konkretnego schorzenia. Nie należy go odstępować innym osobom ani używać w innych okolicznościach bez konsultacji z lekarzem.

– Nie wierzę. No po prostu, kurwa, nie wierzę – jęknął. Oczywiście, że tak. Oczywiście, że pieprzony konował nie powiedział mu, jak ma to dawkować. Wziął do ręki pakiet kapsulek, przyjrzał mu się przez moment, po czym wyjął z niego trzy tabletki i od razu połknął je jedna po drugiej, popijając sokiem, który stał na półce przy łóżku.

Gdy tylko odstawił kartonik z napojem, chwycił za telefon i wybrał numer do Samiela. Nie odbierał. Kutas. Postanowił, że będzie do niego dzwonił tak długo, aż ten odbierze. Do skutku. Grzegorza cechowała jednak większa cierpliwość niż Marka (albo korzystał z niewątpliwego udogodnienia w telefonie, jakim było wyciszenie dzwonka), bowiem nie raczył przyjąć połączenia ani za dziesiątym, ani za dwudziestym razem. Suchy napisał więc SMS-a.

Ty skurwysynu! Nie wiem, co mi zrobiłeś, ale wiem, że masz coś z tym wszystkim wspólnego! Odbierz i rozmawiaj ze mną jak mężczyzna!

Nie odpisywał, więc Marek wciąż dzwonił. Wciąż i wciąż. W pewnym momencie poczuł jednak, że zaczyna stopniowo tracić łączność ze światem. Jego

powieki stały się tak ciężkie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Ponownie wziął do ręki ulotkę. Zasnął dokładnie w tym samym momencie, w którym na długiej liście skutków ubocznych przeczytał słowo „senność”.

ROZMOWA CZWARTA

Obudził się już w nocy. Zarówno za oknem, jak i we wciąż zamkniętej sali panowała ciemność. Niewiele brakowało, a wrzasnąłby, gdy dostrzegł, że nie przebywa w pomieszczeniu sam. Na szczęście w porę rozpoznał czarny kapelusz i typową dla Grzegorza pozycję siedzącą z nogami ułożonymi w amerykańską czwórkę, i dosłownie w ostatniej chwili się powstrzymał.

– No, nareszcie. – Samielewicz uniósł głowę, którą do tej pory miał trochę pochyloną. Z jakiegoś powodu Marek był pewien, że boss nie drzemał, a czuwał. Ogólnie jakoś tak nie potrafił sobie wyobrazić Grzegorza śpiącego. Kto wie, czy leżenie na brzuchu nie byłoby dla jego nowej buźki niewskazane.

– Dzwoniłem...

– ...i napisałeś. W takich kwestiach wolę jednak rozmowę w cztery oczy. W poważnych kwestiach. Dlatego tu jestem. Kiedy ludzi dzieli wiele kilometrów, każdy nagle nabywa odwagi, której próżno u niego szukać przy spotkaniu twarzą w twarz.

– Co mi zrobiłeś?

– Ja?

– Ty! Co mi zrobiłeś?!

– Nic ci nie zrobiłem. Co niby miałbym ci zrobić?

– Nie wciskaj mi kitu. Wiem, że maczałeś palce w tym, co się ze mną teraz dzieje! To przez ciebie mam te wizje.

– Poniekąd masz rację, w końcu to podczas dżentelmeńskiej rozmowy z moimi ludźmi zdarzył ci się ten wypadek.

– Nie o tym mówię! – przerwał mu Marek. – Nie udawaj durnia!

– Poza wypadkiem nie mam z twoim aktualnym stanem absolutnie nic wspólnego. – Samiel uniósł ręce w obronnym geście, ukazując otwarte dłonie.

– Tak? To ciekawe jak wytłumaczysz mi się z tego, co ostatnio zobaczyłem.

– Słucham z uwagą.

– Zobaczyłem w tym szpitalu kobietę. Ducha kobiety dotkniętej jakimś śmiertelnym, obrzydliwym chorobą. Wyglądała tak makabrycznie, że jestem obrsany nawet teraz, jak sobie ten widok przypominam.

– No i?

– No i wiesz, co ta kobieta miała wytatuowane na udzie?

- Nie mam pojęcia.
- Że jest twoją własnością.

Na moment zapadła cisza. Twarz Grzegorza jak zwykle nie zmieniła się jednak ani na moment. Wciąż siedział w tej samej pozycji, z głową podpartą o rękę z rozczapierzonymi na policzku kciukiem, palcem wskazującym i środkowym. To, co Marek przed chwilą powiedział, nie spowodowało u niego choćby najmniejszego nerwowego tiku. Dosłownie nic nie świadczyło o tym, że zrobiło na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Poza tą kilkusekundową ciszą.

- Ale co konkretnie miała napisane? – zapytał w końcu.
- Jak na tak inteligentnego gościa, zadajesz podejrzanie idiotyczne pytania. Cytuję słowo w słowo. Miała napisane, że jest własnością Samiela. Teraz kumas, czy mam ci to wyjaśnić jeszcze dokładniej?
- Poszedłeś do tego psychiatry, tak jak mówiłem? – zmienił niespodziewanie temat Grzegorz.

Ty coś kręcisz, cwaniaku! – Suchy już nie wątpił.

- Tak. Dał mi leki. – Pokazał mu kartonik zypsieli na komodzie, a potem reklamówkę z resztą identycznych opakowań. – I już wzięłem pierwszą partię.
- Dobrze.
- Zszedłeś z tematu.
- Nie będę się wypierał. Taki tatuaż nie jest mi obcy.
- No, nareszcie rozmawiamy ze sobą szczerze! – Marek poczuł niesamowity przypływ pewności siebie. Zagonienie w kozzi róg tak twardego zawodnika, jak Samielewicz, stanowiło nie lada wyczyn. Wyprostował się na łóżku, złożył ręce w pełnej wyniosłości pozie i czekał. Poczul się prawie jak dawniej, kiedy rugał któregoś ze swoich podopiecznych.
- Tak właśnie, że tak powiem, stemplowałem w dawnych czasach swoje prostytutki. Jeszcze zanim poszedłem do puchy.
- Chcesz mi powiedzieć, że robiłeś dziwkom kody kreskowe?
- Coś w tym stylu. Znak jakości, który firmowałem własnym pseudonimem.
- To chore. Lekka przesada.
- Zdziwisz się. Nigdy nie zmuszałem kobiet do takiej pracy. Zawsze miały wybór, a że zarabiałały u mnie godnie i ogólnie miały jak u Pana Boga za piecem, to same lgnęły do mnie jak muchy do miodu. Same chciały mieć taki tatuaż! Zapewniałem im dobrą opiekę, więc w ten sposób okazywały mi lojalność.

Były mi wierne aż po grób. Wiem, jak to brzmi w kontekście dziwek, które za pieniądze dałyby ci się nawet obszczać, lecz taka jest prawda.

– To kim była ta kobieta, którą widziałem?

– Jaki miała kolor włosów?

– Czarne.

– Samanta.

– Aż tak dobrze pamiętasz fałszywe imiona swoich dawnych kurew? – zapytał podejrzliwie Marek.

– Nie wiem na sto procent, czy ją widziałeś, ale tak obstawiam. Bo to właśnie Samanta bardzo dawno temu złapała od jednego klienta HIV. Idiotka, oferowała anal bez zabezpieczenia, kiedy to jest pod tym względem najbardziej ryzykowny stosunek. Chyba tylko bezpośrednio wstrzyknięcie sobie zakażonej krwi jest bardziej niezawodne, jeżeli chcesz zarazić się tym syfem. W każdym razie stało się to bardzo dawno temu. A ja regularnie badałem dziewczyny. Z polecenia służbowego raz na miesiąc obowiązkowo miały robić sobie wszystkie możliwe badania pod kątem chorób wenerycznych. Gdyby przyjmowały u mnie chore dziwki i to by się rozniosło, mój biznes byłby skończony, a reputacja bezpowrotnie zepsuta. Wprowadziłem więc tę zasadę w moim burdelu. Żelazną.

– I co?

– U niej pewnego dnia wyszedł plus.

– I co zrobiłeś?

– Jak to co? Wyrzuciłem ją z roboty i zadbałem też, by nie pracowała w taki sposób nigdzie indziej. Przynajmniej u tych ludzi, których znałem. Słowem, była skończona w tej branży.

– I co się z nią stało?

– Skoro ją zobaczyłeś, to obstawiam, że już nie żyje. Nie obserwowałem na bieżąco jej losów, w końcu w ciupie miałem znacznie ciekawsze zajęcia. Od tamtych czasów minęło jakieś piętnaście lat, więc to by akurat pasowało. AIDS może nie dawać objawów nawet przez dziesięć. Owszem, istnieją leki, dzięki którym możesz w miarę normalnie żyć, nawet są w Polsce refundowane, ale znając jej inteligencję, nie zdziwiłbym się, gdyby totalnie olała temat i za późno podjęła leczenie.

– Czemu się nią nie zaopiekowałeś? Stać cię.

Grzegorz parsknął śmiechem.

– Czy ja wyglądam na niańkę? Mówiłem ci już, nikogo do tego nie zmuszam.

Każda z nich ma wybór. A skoro tak, to powinna brać odpowiedzialność. Uprzedzę twoje pytanie: ciebie niańczy, bo wciąż jesteś mi potrzebny.

Dobrze wiedzieć – pomyślał Marek.

– Chora prostytutka jest już nic niewarta. Tym bardziej mojej forsy.

Podczas gdy Suchy milczał, Samielewicz wyprostował się na krześle.

– Wiesz, jestem trochę zdziwiony jak bardzo pochopne wnioski wyciągasz, a nie nasuwają ci się inne, bardziej oczywiste – powiedział i złączył przed sobą czubki palców w wieżyczkę.

– To znaczy?

– Zobaczyłeś ducha, a tak przynajmniej twierdzisz, bo ja wciąż mam wątpliwości, czy tak się naprawdę stało, jakiejś pracującej dla mnie wieki temu panienki, zobaczyłeś u niej wytatuowany napis z moją ksywką i od razu założyłeś, że mam cokolwiek wspólnego z twoją przypadłością. Tymczasem nie dostrzegasz wielu innych swoich ryzykownych zachowań, które mogły, choć nie musiały, doprowadzić cię do takiego stanu. Dalej jesteś bardzo nieostrożny.

– Trudno mi ocenić, czy dalej jestem nieostrożny, za to na pewno dalej nie rozumiem o co ci chodzi.

– Skąd wiesz, że to, co właśnie płynie do twojej żyły, naprawdę jest tym, czym powinno? – zapytał nagle Grzegorz, wskazując na kroplówkę. – Kolejny nienaruszalny fundament twojej rzeczywistości?

Zaskoczył tym pytaniem Marka tak bardzo, że ten tylko otworzył usta.

– Skąd wiesz, że tabletki, które wzięłeś, naprawdę są tym, czym powiedziałano ci, że są? – Samiel nie przestawał celować palcem, tym razem w reklamówkę.

– No, dał mi je psychiatra.

– Psychiatra ten może współpracować z kimś, kto chce zrobić ci kuku. Skąd wiesz, że cię nie oszukał? Skąd wiesz, że dobrze zdiagnozował twój problem? Skąd wiesz, że nie rozegrał tego w taki sposób, by koniec końców i tak ci je dać? Skąd wiesz, że na przykład nie wisiał kasy jakiemuś gościowi z miasta i ten nie zmusił go do zrobienia czegoś wbrew idei Hipokratesa?

– To chyba zbyt daleko posunięta teoria spiskowa. Poza tym dziś wzięłem je pierwszy raz, a wizje miałem już wcześniej – powiedział ostrożnie Marek, choć w głębi ducha nie mógł powstrzymać coraz bardziej narastających w nim wątpliwości.

– To, że zacząłeś brać je dopiero teraz, nie ma nic do rzeczy. Skąd wiesz, że to nie jakaś grubsza, starannie zaplanowana, długotrwała intryga? Skąd wiesz,

że wszystkie leki i zastrzyki, jakie podano ci od początku twojego leczenia po wypadku, nie zawierały jakiegoś halucynogennego gówna, które miało cię stopniowo doprowadzać do szaleństwa? Skąd wiesz, że podczas operacji użyto na tobie wyłącznie znieczulenia?

– Nie wiem – przyznał Marek.

– A teraz spałeś. Skąd wiesz, że nikt tu nie wszedł i nie podmienił ci tabletek?

Albo, że nie podmieniła mi ich pielęgniarka, która zjechała po nie na dół? – pomyślał niespodziewanie Marek. Pokręcił głową. To jakaś kosmiczna głupota! Tego nie było sensu nawet rozważać!

– Nie wiem! – podniósł głos.

– Otóż to. Dalej jesteś nieostrożny.

– Gdybym ciągle myślał w takich kategoriach, to dopiero bym sfiksował.

– I być może nigdy w życiu nie zobaczyłbyś żadnego ducha – dokończył za niego Grzegorz.

– Skończmy już te opowieści science fiction. Nie wierzę w ani jedną z nich. Zresztą, jak jesteś taki mądry, to powiedz mi, co niby zrobiłbyś na moim miejscu?

– Na pewno nie pozwalałbym sobie wstrzykiwać substancji niewiadomego pochodzenia i nie spuszczałbym tych pigułek z oczu. – Samiel po raz kolejny wskazał reklamówkę. – No i przede wszystkim unikałbym sytuacji prowokujących takie wydarzenia. – Spojrzał znacząco na jego kikut.

– Daruj sobie. Już ci mówiłem, że nie potrzebuję na ten temat wykładów. Stało się. Trudno. I tak nie jestem z tego powodu zadowolony. Bynajmniej.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy. Z rana zabieram cię do Warszawy. Jedziemy po twoją nową nogę.

– Już? Tak szybko? – zdziwił się Marek. – Co prawda już usunęli mi szwy, ale...

– Grunt to konkrety. Niezdecydowanie i wątpliwości są dla miękkich gości. Kikut już praktycznie ci się zagoił. Wszystko już zostało załatwione, zresztą ta proteza to najnowszy krzyk techniki i będzie pozwalała ci się poruszać nawet w obecnym stanie. Poza tym, chce ci się tu leżeć?

Marek przywołał w myślach obraz ludzi przybitych do ściany, potem ducha chorej na AIDS prostytutki.

– Nie. Gdybym miał obie nogi, to zawinałbym się stąd drugi raz.

– Tak myślałem. Wszystko będzie ok. Bierz te leki. Jeżeli rzeczywiście

przesadzam i nikt ich nie dotykał, to jestem pewien, że pozbędziesz się problemu. Dostaniesz tę nogę i tym sposobem rozwiążemy kolejny. Czy są jeszcze jakieś?

– Miałem godzić się z Kaśką, dziećmiakami i matką. Odwiedzają mnie codziennie, poza matką oczywiście. Wygląda na to, że jest coraz lepiej.

– Świetnie. Matkę odhaczysz po Warszawie. Tak przy okazji – Grzegorz sięgnął do kieszeni, chwycił między kciuk i palec wskazujący swój smartfon, odblokował go, trochę w nim poszperał, po czym rzucił Markowi na kołdrę – żebyś nie gadał, że tylko cię okłamuję, oszukuję, manipuluję tobą i mieszam w głowie. Tu masz dowód, że problem nazywający się Arkadiusz Knizio również został rozwiązany.

Marek spojrział na zdjęcie na ekranie. Przedstawiało Arka wiszącego na sznurze na tle swojego salonu, który Suchy bardzo dobrze znał, ponieważ w przeszłości obalili w nim razem niejedną flaszkę. Bez żadnych wątpliwości, to na pewno był on i jego mieszkanie. Na pewno też na zdjęciu już nie żył, kolor jego skóry świadczył o tym aż nadto. Z jakiegoś powodu obrazek ten wcale nie sprawił, że Marek poczuł się lepiej. Wątpliwości, czy aby na pewno dobrze zrobił, nie dając Arkowi choćby najmniejszej szansy na wytłumaczenie się, a sobie na poznanie jego wersji zdarzeń, tylko przybrały na sile.

– Seryjny samobójca? – zapytał w końcu. Grzegorz stał przy oknie, tyłem do niego, z rękami splecionymi na plecach. Nie odpowiedział.

– Samiel?

Samielewicz poruszył się, ale wciąż się nie odwracał.

– Mówiłeś coś?

– Pytałem... A zresztą, nieważne.

– Właśnie! – Samiel stuknął się w czoło, wciąż stojąc przodem do okna. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem! Należało na Arku zastosować stary numer „jeżeli coś mi powiesz, to daruję ci życie” i dowiedzieć się, co stało się z twoją śliczniutką kochanką. A potem i tak go sprzątnąć.

– Szczerze? Nie byłem do niej jakoś szczególnie przywiązany. Ot, panienka do zrzucania z siebie napięcia. Pączek, który nadziewałem lukrem.

– Jesteś okrutny – skarcił go Grzegorz. – Naprawdę ani trochę nie ruszyło cię jej zniknięcie oraz fakt, że najpewniej nie żyje?

– Lubiłem ją. Ale nic poza tym. Jak miałem potrzebę, to z jej pomocą ją zaspokajałem. To wszystko. Bardziej szkoda mi jej ze względu moich planów na przyszłość, które z nią wiązałem.

– Jakich?

– Jak to jakich? Przecież ta buźka i ciało to była gwarancja dużej kasy! Ona byłaby gwiazdą show-biznesu północno-wschodniej Polski! Najlepiej zarabiającą dziwką w regionie. Dałbym sobie za to rękę uciąć. Jestem też pewien, że nie trzeba byłoby jej szczególnie długo namawiać.

Samiel znowu mu nie odpowiedział. Zdawał się w ogóle nie słuchać. Uśmiechał się tylko lekko pod nosem, wciąż wyglądając przez okno. Marek wreszcie zdał sobie sprawę, że jego nocny gość od dobrych kilku minut wpatruje się w jedną, konkretną rzecz na zewnątrz i to właśnie z jej powodu wciąż stoi odwrócony do niego tyłem. Przesunął się więc na brzeg łóżka i także spojrział w tamtym kierunku.

Na samym środku pustego, oświetlonego parkingu pod szpitalem stał samotnie i wpatrywał się w nich jakiś mężczyzna. Zaraz Marek uświadomił sobie jednak, że nie żaden „jakiś”, a ktoś, kogo ostatnimi czasy zaskakująco często spotykał na swojej drodze.

Za często...

Facet po brutalnym pobiciu, którego potem zobaczył także w mieście i u psychiatry.

Jak tylko Suchy go rozpoznał, spojrzął z kolei na Samiela. Grzegorz wpatrywał się w tamtego jak zahipnotyzowany, z nieprzerwanym, ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

– Kto to jest? Znasz go? – zapytał Marek.

– Nie mam pojęcia. Pierwszy raz w życiu go widzę na oczy. – Zaśmiał się boss.

I o ile wcześniej, jeżeli kiedykolwiek mijał się z prawdą, naprawdę trudno to było rozpoznać, tak teraz, Suchy dałby sobie odciąć drugą nogę, że Grzegorz Samielewicz nie jest wobec niego ani trochę szczerzy.

Ani trochę.

Grzesznik skłamał.

Mężczyzna na parkingu w pewnym momencie obrócił się na pięcie i szybkim krokiem oddalił, przyciskając przedramię do brzucha. Już po chwili zniknął w ciemności nieoświetlonego pola nieopodal szpitala.

SPRAWA PIERWSZA I DRUGA

Następny dzień Marek rozpoczął (bez niemałego, spowodowanego wczorajszym niepotrzebnym gadaniem Grzegorza wahania na samym początku) od ponownego wzięcia tabletek. Tym razem wziął nie trzy, a dwie. Ponieważ nie ogarnęła go ponownie senność, uznał to za optymalną dawkę i postanowił, że od tej pory będzie przyjmował właśnie taką.

Życzliwe towarzystwo Kasi i dzieciaków sprawiło, że z minuty na minutę czuł się coraz lepiej. Poinformował ich oczywiście, że tego dnia planował opuścić szpital i udać się do Warszawy celem zafundowania sobie protezy, co przyjęli ze zrozumiałą radością i, na szczęście, bez niewygodnych pytań. Ucieszył się też, że nie uparli się, by mu towarzyszyć. Jakoś nie miał ochoty zapoznawać Iwonki z wujkiem Grzesiem.

Zgodnie z zapowiedzią, Samiel przyjechał po niego w towarzystwie swoich dwóch nieodłącznych skrzydłowych, Czarnego i Białego, około dwunastej, już po opuszczeniu szpitala przez rodzinę Suchockich. Po wypisaniu się Marka na żądanie (przy sporym proteście bezpośrednio odpowiedzialnych za niego lekarzy i pielęgniarek), za pomocą pożyczonego wózka inwalidzkiego dostarczyli go do czarnego range rovera.

– Żebyś się nie zdziwił, zanim wyruszymy, chcę jeszcze załatwić trzy sprawy. Może nam to trochę zająć, ale liczę, że uporamy się raz, dwa – oznajmił Grzegorz, gdy wszyscy zajęli swoje miejsca w aucie.

– Jakie sprawy?

– Biznesowe.

– A mam jakiś wybór?

– Nie masz.

– No to po co pytasz?

– Nie zadałem w naszym krótkim dialogu ani jednego pytania, Marku.

– Może i tak.

Po wyjeździe z parkingu pod szpitalem, prowadzący samochód Czarny skierował go na krajową ósemkę. W kierunku przeciwnym do Warszawy.

– Dokąd jedziemy? – Mimo wszystko Marek wciąż podchodził do sprawy ostrożnie. Zdał sobie sprawę, że jest totalnie bezbronny, bez giwery i bez nogi, na domiar złego w towarzystwie trzech gangsterów, z których jeden zamienił

się na mózgi z Einsteinem, a dwóch pozostałych było maszynami do zabijania, które najpewniej gołymi rękami poradziłyby sobie nawet z suwalskimi niedźwiedziami polarnymi. Wciąż wzbraniał się przed stwierdzeniem, że stuprocentowo im ufa.

– Do Puńska. Umówiłem się tam z jednym młodym człowiekiem na transakcję kupna używanego samochodu.

– Samochodu? Używanego? Po co ci używany?

– Jakieś zastosowanie mu się znajdzie.

Puńsk to małe miasteczko na północny wschód od Suwałk znane z tego, że zamieszkują je głównie Litwini. Po sprawnym pokonaniu dzielących go od stolicy Suwalszczyzny trzydziestu kilometrów, nie wjechali jednak bezpośrednio do niego, a w pewnym momencie skręcili w połą drogę do lasu.

Niepokój Marka narastał.

Jak się miało wkrótce okazać, słusznie, ale nie miało to związku z jego obawami.

Czarny zatrzymał auto w lesie, w średnio widocznym z oddali miejscu, po czym zgasił silnik.

– No i co teraz? – zapytał Marek.

– Czekamy – odparł spokojnie Grzegorz.

Wkrótce na polnej drodze pojawił się kolejny samochód. Nie pierwszej już nowości peugeot 208. Zielony. Model, który na wtórnym rynku można było obecnie kupić za mniej więcej dwa, trzy tysiące złotych.

Do czego ci ten grat, cwaniaku? – pomyślał Suchy.

– O, jest i nasz kontrahent. Zaczekaj w wozie. Chyba, że chcesz się w tym czasie trochę przespacerować po lesie – zwrócił się do Marka Grzegorz, na co siedzący przed nim Biały zaśmiał się szydlerczo, po czym wespół z Czarnym wysiedli i zaczęli kroczyć w kierunku przybysza. Samiel oczywiście w środku i odrobinę z przodu. Gdy tylko chłopak wysiadł z peugeota, Suchy skojarzył go z widzenia i już po chwili przypomniał sobie, skąd. Był to ten sam gówniarz, z którym starł się po pierwszym meczu na turnieju beach soccera w Gawrych Rudzie. Radek.

Aby dobrze słyszeć, o czym rozmawiają, Suchy uchylił drzwi range rovera.

– Witam. Pan Zackiewicz, tak? – przywitał się przyjaźnie młodzian.

– Tak jest – odparł Grzegorz. – Co tam masz dla nas ciekawego? Pokaż.

– Sam pan widzi, autko prawie nówka. – Chłopak wskazał samochód i gestem zachęcił ich, by podążyli za nim.

– Piękny, leśny kolor – stwierdził Samiel. Marek dałby głowę, że tylko on i ewentualnie dwóch towarzyszących Grzegorzowi osiłeków wyczuło, iż boss mówi to z niemałą ironią. Chłopak na pewno nie.

– Ważne, że nie obleśny – zaśmiał się serdecznie młody.

– Jaki silnik?

– Jeden dwa. Na gaz i benzynę. Co prawda chodzi jak stara kurwa, ale chodzi. Homologacja na butlę ważna jeszcze trzy lata. Na wszystko są oczywiście papiery.

– Super.

– Dbałem o niego, przeprowadzałem regularne przeglądy, drobne naprawy, wymiany olejów i reszty płynów. Ostatnio wydałem półtora koła na nowe progi, bo poprzednie już zardzewiały. – Chłopak wskazał podwozie.

– Ładnie – przyznał Samiel po uprzednim nachyleniu się i sprawdzeniu tego osobiście. Kapelusz sprawiał, że jego nieruchoma twarz aż tak bardzo nie rzucała się w oczy nawet w świetle dnia. Nie wzbudził więc żadnych podejrzeń młodego.

– Klocki i tarcze hamulcowe też niedawno wymienione. Jeszcze trochę wcześniej rozrząd. Chodzi bez problemów. Wiem, że wiekowy, ale sprawuje się dobrze.

– A czemu sprzedajesz? – Z ust Grzegorza padło w końcu to tradycyjne pytanie, towarzyszące każdej sprzedaży używanego samochodu.

– Chcę sobie sprawić trochę nowszy. I pięcio-, a nie trzydrzwiowy. Moja kobieta ostatnio wydała mi na świat córeczkę, więc trzeba się rozejrzeć za czymś wygodniejszym.

– Gratulacje! – Samiel poklepał go po ramieniu.

– Dzięki. – Uśmiechnął się młody. Aż kipiał ze szczęścia.

– No dobra. Spieszę się trochę, więc przejdźmy do konkretów. Auto wygląda dobrze, tylko znasz ten dowcip, że wszystkie samochody na „f” są do dupy? Fiaty, fordy i francuskie?

– Nie znałem. – Chłopak się zaśmiał.

– Dlatego moja oferta jest następująca: zabieram go od ciebie.

– Super!

– Dajesz mi go z własnej, nieprzymuszonej woli.

– No tak. Wystarczy mi, jak da mi pan za niego cztery koła i jest pana.

– Nie zrozumiałeś. Zabieram. Za darmo. Nie płacę.

Uśmiech zszedł z twarzy młodego w ułamek sekundy. Spojrzał niepewnie

nie na Samiela, a na dwóch towarzyszących mu kulturystów, którzy, choć Marek tego nie widział, z całą pewnością znowu szczerzyli te swoje buźki w szerokich uśmiechach i świdrowali chłopaka wzrokiem.

– No, ale jak? Nie oddam go za darmo. Chcę go sprzedać. Wyraźnie napisałem w ogłoszeniu.

– Wiem, co napisałeś. I wiem, co mówię. Masz pecha, młody. Dawaj kluczyki i spierdalaj. – Grzegorz wciąż mógł służyć za wręcz podręcznikowy przykład oazy spokoju.

– Nie dam.

– Nie masz wyboru. Wyskakuj z kluczy.

– Nie dam! – Chłopak chyba wreszcie pojął, co się tutaj wyrabia, i zaczął uciekać. Nie zdążył zrobić kilku kroków. Przy sprawności fizycznej osiłków Samiela, co oczywiste, okazało się to próżnym staraniem. Biały błyskawicznie go dogonił, wykręcił ręce do tyłu tak silnie, że młody aż wrzasnął z bólu, po czym podprowadził z powrotem przed oblicze Grzegorza.

– Szkoda mi na to czasu – mruknął ledwo słyszalnie Samielewicz, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i w tym samym czasie, w którym Marek pomyślał: *dwa razy były po dobroci*, wyciągnął pistolet z małym tłumikiem, odbezpieczył go i strzelił prosto w czoło chłopaka. Zdarzyło się to tak szybko, że tamten nawet nie zdążył zrobić porządnie zdziwionego wyrazu twarzy. Z dziurki na czole pociekł mu mały strumień krwi, a oczy w mig stały się puste. Bezwładne ciało wciąż podtrzymywał od tyłu Biały.

Grzesznik zabił.

– Sprzątnij to i ładunek z bagażnika. A ty odstaw autko do dziupli. Widzimy się za kilka dni – poleciał beznamiętnie Samiel kolejno Białemu i Czarnemu. Jakby nigdy nic skierował się z powrotem do range rovera. Wciąż trzymając jedną ręką za fraki ciała chłopaka, potężny blondyn wyjął z bagażnika najpierw łopatę, a potem owinięte w folię zwłoki Knizia, które zarzucił sobie na ramię, po czym zagłębił się w las. Czarny zaś wsiadł do nieco przyciasnego jak na jego rozmiary peugeota, odpalił go, wykręcił i odjechał z powrotem w stronę drogi na Puńsk.

– Uff, jak gorąco. To jest właśnie minus ubierania się na czarno. – Samiel wsiadł z powrotem na miejsce obok Suchego, zdjął kapelusz i trochę się nim powachlował.

– Nie za ostro to rozwiązałeś? I tak by ci pewnie koniec końców oddał ten samochód. Chyba nie zasłużył na... – zaczął ostrożnie Marek.

– Chcesz mnie uczyć gangsterskiego rzemiosła?

– Nie, po prostu...

– Konkrety, Marku. Nie mam czasu na przepychanki. Oczywiście, że by od-
dał. Ale potem wezwałby psiarnię. Naturalnie z łatwością byśmy się z tego
wylizali. Zwyczajnie nie chciało mi się z tym cackać. To, co zrobiłem, było
znacznie wygodniejsze.

Koniec dyskusji. Zresztą Suchy nie miał już ochoty na jej kontynuowanie.
Przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

Po jakimś czasie z lasu wrócił Biały. Wrzucił łopatę do bagażnika i pod nie-
obecność Czarnego tym razem on zajął miejsce na kółkiem.

– No, to dwie sprawy już za nami. Teraz do Magdalenowa – rzekł Samiel.
A Marek znowu poczuł niepokój.

SPRAWA TRZECIA

Jak się spodziewał, podjechali pod niedokończoną budowę zajazdu, którą jakiś czas temu odwiedził wspólnie ze swoimi ludźmi. Gdy tylko Zabłocki dostrzegł z oddali efektowne auto, z wyprzedzeniem wyszedł na podwórko.

– Wsiadamy – zarządził Grzegorz. Marek, który sądził z początku, że boss, jak poprzednio, zwraca się do wszystkich pasażerów oprócz niego, bardzo się zdziwił, gdy zniecka otworzyły się przy nim drzwi i dwie makabrycznie silne ręce bez choćby krzty delikatności wywlokły go na zewnątrz.

– Ej! Co jest?

– Spokój – uciął Samiel. Wszyscy trzej (choć gwoli ścisłości tak naprawdę szło ich tam dwóch, z których jeden niósł trzeciego) podeszli do starca.

– Witaj, Marianie. – Podczas gdy Grzegorz uściśnął dłoń staruszkowi, Biały niemal rzucił Markiem o ziemię, zmuszając go do klęknienia na jednym kolanie. Suchy wrzasnął z bólu, ponieważ uderzył o podłogę idealnie swoim kikutem.

– Marku, to jest mój serdeczny przyjaciel, Marian Zabłocki. – Samielewicz stanął ramieniem w ramię z mężczyzną i wskazał na niego. – Chyba zdążyliście się już poznać?

– Oj tak, aż za dobrze – przyznał Zabłocki, podczas gdy Marek ciężko oddychał, walcząc z bólem.

– Marian poskarżył mi się, że wynikło między wami jakieś drobne nieporozumienie? Czy to prawda? Chcę podejść do sprawy uczciwie i poznać też twoją wersję – zwrócił się do Suchego Grzegorz. Ten milczał, patrząc na niego spod łba. Czuł się upokorzony jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

– Przyjechał tu z kumplami i zastrasza mi. Żądali haraczu za ochronę. Że albo zapłacę, albo mi spalą lokal. Grozili, że wywiozą mnie do lasu, żebym mógł sobie wykopać własny grób – zrelacjonował Zabłocki.

– Nieładnie. – Zacmokał z dezaprobatą boss. – Mówiłeś mi, że mnie znasz?

– Mówiłem! Co prawda wyleciało mi z głowy twoje przezwisko, rozumiesz, starca demencja, ale na pewno powiedziałem, że znam szefa. Na sto procent.

– I co, nie wystarczyło?

– Powiedział, że to on jest szefem.

– Nigdy więcej – odpowiedział mu Samiel, patrząc z wyższością na Suchego. – Marku, pan Zabłocki to mój dobry znajomy i jego podatek od ochrony nie obowiązuje. I nigdy nie będzie. Mogłeś tego nie wiedzieć, ale właśnie po to tu przyjechaliśmy, żeby cię o tym poinformować.

– Fajnie – mruknął pod nosem Marek.

– Przyjechaliśmy też, żebyś osobiście przeprosił Mariana za nieprzyjemności, jakie spotkały go z twojej strony.

– Co?!

– To co słyszałeś. Przeproś, tylko szczerze, i miejmy to już za sobą.

– Nie mam zamiaru.

– Bielik – Samiel skinął na Białego, a ten jeszcze silniej wykręcił Markowi od tyłu rękę i docisnął kikut do ziemi. Suchy zawył z bólu.

– Przeproś.

– Zapomnij. Nie będę nikogo przepraszał – warknął Marek, patrząc na ziemię. Po tym Biały szybko go obszedł i wymierzył soczystego sierpowego, po którym Suchy stracił równowagę i wylądował twarzą w żwirze. Poczł też, że ma porządnie rozciętą wargę.

– Mówiłem ci o swojej zasadzie proszenia dwa razy po dobroci, kulturalnie? Dwa, i ani razu więcej. No i te dwa już wykorzystałeś. Lubię cię, więc wyjątkowo proszę po raz trzeci. Przeproś.

Wciąż leżąc, Marek przenosił wzrok to na Samiela, to na triumfującego Zabłockiego, to na Białego, który wciąż stał nad nim z gębą wykrzywioną szerokim uśmiechem i aż gotował się do bitki. Samielewicz nie okazywał nawet cienia emocji. Tylko patrzył Suchemu głęboko w oczy. Czekał.

Oni chyba nie blefowali – pomyślał Marek. Kurwa, oni naprawdę mieli zamiar go pobić, okaleczyć, może nawet zabić, jeżeli...

– Przepraszam – wymamrotał ze spuszczonego wzrokiem.

– Głośniej, wyraźniej. I gdy to mówisz, patrz na pana Zabłockiego – nakazał Grzegorz.

– Przepraszam! – niemal wykrzyczał Marek, spoglądając, gdzie trzeba.

– Panie Marianie, chyba mamy skruchę. Przyjmujesz przeprosiny? Jak dla mnie zabrzmiały szczerze.

Zabłocki ponownie skrzyżował wzrok z Suchym i uśmiechnął się cwaniacko. Kusiło go, by zaprzeczyć. Oj, kusiło.

– Tak. Ale żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

– Nie powtórzy się. Masz moją gwarancję. I ja ze swojej strony przepra-

szam za niego.

– Dobrze to słyszeć.

– Sporo jeszcze roboty przed tobą! – Grzegorz zmienił temat i odwrócił się w stronę budowy.

– Niestety – przyznał Zabłocki. – I niestety, cholera, wychodzi drożej, niż się spodziewałem. Ceny materiałów ostatnio podskoczyły. No i – ściszył trochę głos – ci robotnicy strasznie się opieprzają. Pół dnia siedzą i nic nie robią. A czasem bez żenady walą wodę.

– Rozumiem. Ale tacy ludzie też są na świecie potrzebni, na przykład żeby zamiatać chodniki. Gdyby to byli inteligenci, to pracowaliby inaczej. Musimy to przeżyć.

– Tak, ale jak czasem widzę, co tu się wyrabia, to normalnie mnie...

– Chyba, że chcesz, żebym z nimi też pogadał? Problem zniknie. To też mogę ci zagwarantować.

– Nie trzeba. Jakoś to przeżyję. – Uśmiechnął się starzec.

– Jak uważasz. Jakbyś miał problemy z kasą na dokończenie budowy, to też możesz do mnie uderzyć. Dla ciebie jak zawsze preferencyjne warunki. Jesteś moim zaufanym klientem, zawsze zwracasz na czas bez żadnych problemów. Doceniam to.

– Dzięki. Zobaczmy, kto kogo szybciej wykończy: my tę chałupę, czy ona nas. – Zabłocki wyszczerzył zęby, a Grzegorz się roześmiał.

– Miło było cię znowu zobaczyć, ale czas nas goni. Powodzenia! – Samiel poklepał swojego rozmówcę po plecach, po czym ruszył z powrotem do samochodu. Nie musiał nawet nic mówić. Biały doskonale wiedział, co ma robić. Chwytał Suchego obydwiema rękami pod pachami i zaniósł do auta. Otworzył drzwi, wrzucił go do środka (ponownie nie starając się robić tego zbyt ostrożnie), po czym zamknął je za nim.

Grzegorz usiadł obok Marka, który bał się nawet ruszyć, o odezwaniu się czy spojrzeniu na niego nie wspominając. Z kącika ust Suchego wciąż spływał strumyczek krwi.

– No, to odfajkowaliśmy już wszystko, co mieliśmy do zrobienia. Teraz do Warszawy. Po twoją nową nogę – Samiel zwrócił się do Suchego i uśmiechnął się życzliwie. Jego oczy cieszyły się wraz z ustami, co teoretycznie świadczyło o stuprocentowej szczerości tego grymasu. Nawet pod maską.

Marek nie odpowiedział. Nie odezwał się nawet słowem jeszcze przez bardzo długi czas.

Ale z jednego nie zdawał sobie jeszcze sprawy.
To był dopiero początek.

PODZIEMNY KRĄG

Cała akcja z załatwieniem mu protezy przebiegła bardzo szybko i sprawnie, jak na wszystko, co związane ze znakiem jakości Grzegorza Samielewicza przystało. Na miejscu czekało już na Marka kilka gotowych egzemplarzy i po wybraniu idealnego do jego wzrostu plus dopełnieniu wszelkich formalności, wkrótce mógł cieszyć się praktycznie nową nogą z pięcioletnią gwarancją. Skomplikowany implant stanowił niemal idealny substytut jego utraconej kończyny i z czasem czuł się z nim coraz swobodniej. Powrót umiejętności samodzielnego poruszania się smakował niesamowicie, tym bardziej że Suchy nie potrzebował szczególnie długiej rehabilitacji.

Szlachetne zdrowie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił... i odzyskał!

– Ciesz się, Marku! Trzeba szukać jasnej strony księżyca! Gangster z ubytkami ma z automatu większy szacunek. Bo od razu widać, że ludzie go nie lubią! Jak nie lubią, to znaczy, że się boją! Dlatego warto hodować blizny czy rozkwaszone nosy. I kolekcjonować protezy. Zyskasz poważanie w środowisku – powiedział Grzegorz w trakcie drogi powrotnej do Suwałk.

– Tak? To czemuś tak sobie odpicował buźkę? Dopiero byś miał szacunek – odparł Suchy.

– To proste. Wyobrażasz sobie, że ze swoją mielonką na ryju spotykam się na przykład z tym chłopaczkiem od zielonego peugeota i on na sam mój widok nie spierdala, gdzie pieprz rośnie? Wyglądałbym niereprezentacyjnie.

Suchemu wyraźnie poprawił się nastrój. Tym bardziej, że w trakcie pobytu w Warszawie Grzegorz zapewnił jemu i Białemu cały szereg innych atrakcji. Można więc było powiedzieć, że wypad ten robił jednocześnie za coś w rodzaju wyjazdu integracyjnego. W niemalże sułtańskich warunkach. Zamieszkali w najdroższych apartamentach w Sheratonie, a czas w nich spędzany uprzyjemniały im cztery wynajęte na tę okazję luksusowe prostytutki. Z ich pomocą Marek pozbył się nie tylko napięcia seksualnego, ale też i tego w głowie.

Niemniej, aby nie zepsuć sobie dobrego samopoczucia, wciąż nie ryzykował dotykania ścian. Kiedy zdarzało się, że przejazdem mijali kościoły albo cmentarze, odwracał wzrok.

Zaraz po powrocie do Suwałk, Grzegorz zaprosił go na pierwszą edycję gali sztuk walki swojej własnej, nielegalnej federacji. Brzmiało tajemniczo, a że Marek dodatkowo i tak na co dzień interesował się wszelkimi sportami, których nieodłączny element stanowiło pranie się po gębach ku chwale mamony, nie trzeba go było długo namawiać. Tym bardziej, że podobno udział w wydaniu zapowiedzieli też Pepe, Rubik i cała reszta, z którymi z różnych powodów nie miał okazji widzieć się od wypadku. Czyli nadeszła pora na „legalną” reaktywację wesołej kompanii. Bez jednej osoby oczywiście.

O odpowiedniej, późnowieczornej godzinie pod dom Suchego na ulicy Gołdapskiej podjechał czarny range rover, którego samotnie prowadził Biały. Wszystkich gości gali dostarczali na miejsce ludzie Samiela. Odbывała się na kompletnym odludziu. Duża liczba chętnych do uczestnictwa w niej oznaczała sporą ilość, być może nawet kilkuset samochodów, które mogły wzbudzić podejrzenia zarówno okolicznych mieszkańców, jak i przypadkowych wędrowców.

Kiedy Biały w końcu zatrzymał auto, Marek, pomimo kilkunastu innych pojazdów, które zastali na miejscu, z początku myślał, że to jakaś pomyłka. Nie dostrzegając bowiem w pobliżu żadnego budynku. Dopiero po opuszczeniu range rovera zauważył w ziemi sporą, metalową klapę.

– Podziemny krąg. – Biały wyszczerzył zęby. – Zapraszamy.

Pod włazem kryły się szerokie, betonowe, skręcające w lewo schody, oświetlone paroma naściennymi żarówkami. Przypominało to wejście do bunkra. Zresztą, biorąc pod uwagę całokształt surowego, szarego wnętrza, porównanie do wojskowego schronu brzmiało jak najbardziej zasadnie.

Na samym końcu schodów oczom Marka ukazała się główna hala, po której roznosił się gwar głosów blisko dwóch tysięcy osób, które dotarły tu przed nim. Pod ziemią wydrążono i zabudowano wysokie, okrągłe i jaskrawo oświetlone pomieszczenie, w którego centralnym punkcie, na obniżeniu, znajdował się ogrodzony siatką ring. Klatka rodem z popularnych w Ameryce i coraz bardziej w Polsce walk MMA. Wokół niego wznosiły się kilkunastorzędowe trybuny.

– Te, kuternoga! – Gdzieś niedaleko rozległ się głos Rubika. Marek rozejrzał się i wkrótce dostrzegł na lewo od siebie całą grupkę znajomych mu osób.

– Cześć, przystojniaczki! – zawołał dziarsko, podszedł do nich i każdemu z nich mocno uściskał dłoń.

– Dobrze wyglądasz jak na współczesną wersję kapitana Haka – zaśmiał się Pepe.

Na to Marek omiótł go wzrokiem od stóp do głów, z przedłużonym zatrzymaniem się na jego piwnym bebecchu, i odpowiedział:

– Niestety ja tego samego tobie, jako współczesnej wersji Ludwiczka Andersona, powiedzieć nie mogę.

Cała grupa wybuchnęła gromkim śmiechem.

– A tak już poważnie, dobrze cię widzieć, stary. – Rubik poklepał go po plecach. – I szczerze współczucie z powodu nogi. Fatalna sprawa. Przynajmniej możesz szcycić się tym, że zakończyłeś karierę piłkarską w szczytowym momencie. Przynajmniej jeżeli chodzi o futbol plażowy. Aczkolwiek, biorąc pod uwagę, jak skopali nam dupę w trakcie naszej ostatniej wspólnej gierki na sztucznej, trudno powiedzieć, byś zszedł ze sceny zupełnie niepokonany.

– Weź mi tamtego meczu nawet nie przypominaj!

– Gdyby nie to, że grałem wtedy z tobą w jednej drużynie i sam dołożyłem cegiełkę do tego historycznego wyniku, nie miałbyś życia. Tak, masz szczęście. Tylko błagam, nie namaszczaj na następcę syna. Jest jakaś szansa, że to – wskazał jego nogę – jest dziedziczne? Pomyśl, ile by na tym zyskał światowy futbol!

Po kolejnej salwie śmiechu Marek odniósł wrażenie, jakby czegoś mu brakowało i już zaraz zrozumiał, że chodzi o Knizia. O tę drobną sylwetkę, która zawsze w podobnych sytuacjach stała gdzieś z boku i w milczeniu przysłuchiwała się ich jakże inteligentnym dialogom. Jakby stanowiła swego rodzaju nieodłączny element tła, fragment scenografii, którego brak zauważało się dopiero wtedy, gdy znikał. Przez moment poczuł nawet drobne ukłucie żalu, że Arka z nimi nie ma. Tylko przez moment, bowiem za wszelką cenę chciał oczyścić podświadomość z rosnącego poczucia winy.

Znamienne też, że nikt z towarzystwa nie poruszał jego tematu, jak gdyby stanowił jakieś tabu. Podobnie jak Samiel. Marek postanowił, że jako pierwszy wyłamie się z tej zмовy milczenia i podjął:

– Jak rozumiem, poznaliście już osobiście nowego szefa? Następcę Polipa? – wyraźnie to podkreślił, aby zrozumieć, że Samiel nie pozbawił go władzy nad nimi.

– Ba!

– I jak wrażenia?

– Powiem ci tyle, jeżeli człowiek miał do tej pory jakieś wyobrażenie co do swojej inteligencji i smykałki do interesów, to po poznaniu gościa następuje brutalne zderzenie z ziemią. Łeb na karku i wcale bym się nie zdziwił, gdyby kiedyś ziścił te swoje plany o nowym Pruszkowie w trzech-czterech krajach – powiedział Rubik. – Ambitne, ale jedno mu trzeba oddać. Ma rozmach, skubany. Popatrz sobie chociażby na tę galę! Ile narodu tu naniósł! I to nie byle kogo. Rozejrzyj się. Wiele mordek na pewno rozpoznasz.

Zgodnie z sugestią Rafała, Marek zaczął wodzić wzrokiem wokół. Dostrzegł sporo znajomych twarzy z tak zwanych wyższych sfer. Zarówno politycznych, jak i biznesowych. I to nie tylko z suwalskiego podwórka. Niektórych kojarzył, może nie z pierwszych, ale z drugich, trzecich i czwartych stron gazet. Ogólnopolskich oczywiście.

– Lepszy goście.

– Dziwisz się? My co prawda po znajomości mamy promocję i wchodzimy za darmo, ale wiesz, ile liczyli sobie za wjazd na tę galę dla postronnych? Najtaniej za tysiąka. Ile tu jest luda? Dwa koła głów? Dwa i pół? Myślę, że spokojnie dwa miliony zysku z tego wyciągnie. W jedną noc! Koleś jest genialny!

– Fakt. Oddaję mu co jego. Ma wiele dobrych pomysłów.

Rubik rozmarzył się.

– Gdybym ja zarabiał dwie bańki dziennie, to już dawno leżałbym na Bahamach, na prywatnej bezludnej wyspie, ze swoją osobistą niewolnicą seksualną.

– Tysiąk za wejście? I przyszło aż tylu ludzi? Ciekawe. Czasem nawet na poważne gale bokerskie są tańsze bilety – zdziwił się Marek.

– Bo to nie jest typowa gala. To jest *underground*. Bez komercji. Tu ma być prawdziwe mordobicie, a nie głaskanie się po ryjach.

– Tym lepiej.

– Idę po piwko. – Pepe wskazał w stronę suto zaopatrzonego baru na samym szczycie trybun. – Idzie ktoś ze mną? Komuś coś przynieść?

– Byś odstawił to wreszcie i zaczął pić coś mniej kalorycznego! Do niedawna był u ciebie ósmy miesiąc, ale jak widać na załączonym obrazku, zbliża się szczęśliwe rozwiązanie! – zadrwił Suchy.

– Spokojnie. Zasada jest następująca: najpierw masa, potem rzeźba. Wciąż jestem na tym pierwszym etapie.

– Pepcio, uroczyście ślubuję, że jeżeli kiedykolwiek dorobisz się sylwetki kulturysty, to codziennie sam, osobiście, będę robił ci laskę.

– I to jest dopiero motywacja do pracy nad ciałem, Piotrek! Przemyśl to! – zawołał Rubik, co reszta skwitowała kolejnym wybuchem rechotu. Najgłośniej śmiał się Marek. Tak bardzo mu tego brakowało od wypadku.

– Chyba antymotywacja. A tak poza tym to pieprzę was serdecznie – odciął się Pepe. – To mamy przynieść, czy nie?

– Mi lecha mocnego – poprosił Rubik.

– Dla mnie też – dodał Marek.

Podczas gdy wszyscy, oprócz Suchego i Rafała, poszli na górę, ten drugi zwrócił się do tego pierwszego.

– Głupia sprawa z Arkiem, co?

– Należało mu się – zaczął Marek, ale po chwili przerwał. Na szczęście wyglądało, że Rubik nie dosłyszał go w gwarze.

– Co?

– Chodziło mi o to, że jedyne co wiem, to to, co powiedział mi Samiel. Nie znam szczegółów. A wam co powiedział? – W swoim mniemaniu, Suchy rozegrał to pytanie po mistrzowsku.

– No, że Knizio mącił pod nim, udawał lojalnego, ale Grzechu miał dowody, że tak nie jest, więc go od razu sprzątnął. Podobno nawet nie dał mu się wytłumaczyć. Najpierw strzela, potem pyta. Ale on zawsze taki był. Kiedyś sam odbębniałem dla niego różne drobne robótki. Dilerka, stanie na czatach w trakcie transportu fantów i tak dalej. Nic się nie zmienił. U niego liczyły i nadal liczą się jakość i konkrety. Zresztą, sam najpewniej słyszałeś też historię z zamachem i Kmicicem, więc wiesz.

– Czekał. Znaczący Knizio mącił pod Samielem? – upewnił się Marek, wracając do pierwszych zdań Rafała.

– No tak, tak. A co? Tobie powiedział coś innego?

– Nie, to samo – skłamał Suchy, będąc jednocześnie wdzięcznym bossowi za wersję zdarzeń rozpuszczoną wśród jego kumpli. Kto wie, jak by zareagowali, gdyby poznali prawdę.

– Kumam. Hej, hej! – Rubik zwrócił się do atrakcyjnej, skąpo ubranej hostessy, która akurat zmierzała w dół po schodach obok nich. – Przyszłaś tu się zabawić? – zagaił i karykaturalnie zaczesał sobie na bok kosmyk swej długiej blond grzywki. Dziewczyna zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Chyba nie zaaprobowała kandydatury.

– Nie, przyszedłam załatwić pogrzeb swojego tatusia – odparła z lodowatą ironią.

– A co? Umarł i dzięki temu już możesz spotykać się z chłopcami, bo wcześniej ci nie pozwalał? – zripostował rezolutnie Rafał. Dziewczyna nie zdążyła odpowiedzieć mu nic więcej, bowiem w tym samym momencie na hali zgasły światła, pozostawiając oświetlony jedynie ring, na co wypełniająca w komplecie trybuny publiczność zareagowała gromkim „łooo!”. Marek i Rubik zajęli swoje miejsca. Po niedługim czasie dołączyli do nich też Pepe, Rudy, Sokół i Szafa. Ten ostatni zajął oczywiście dwa siedziska naraz. Dwa półdupki, każdy z nich warty tysiąc złotych.

Na ring wyszedł trzymający mikrofon Samiel. Niezależnie od okazji, ubrał się tak jak zawsze, w czarną koszulę, a na głowę włożył swój nieodłączny czarny, młodzieżowy kapelusz, który teraz uniósł w powitaniu.

– Witajcie, przyjaciele! – Z głośników rozległ się jego donośny, czysty, przypominający wręcz zawodowego lektora, głos.

Publiczność odpowiedziała mu z entuzjazmem. Nie dało się nie zauważyć, że Grzegorz czuł się teraz jak ryba w wodzie. To był jego żywioł. Centrum uwagi, bycie podziwianym. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, kto robił za największą gwiazdę tej gali. Na pewno nie zawodnicy.

– Witajcie na pierwszej gali sztuk walki, którą firmuję swoim własnym nazwiskiem. Nie przedłużając, życzę wam wszystkim udanej zabawy! Przygotujmy się na wielkie grzmoty! – zawołał, pomachał wszystkim i, kiedy schodził z ringu, z trybun rozległa się ogromna owacja.

Już po chwili, bez żadnej kiczowatej zapowiedzi czy przesadnie celebrowanego wejścia z wzniosłą muzyką w tle, do klatki weszło dwóch pierwszych zawodników. Obydwaj ogromni, ogoleni na łyso i pokryci licznymi tatuażami. Obaj ubrani wyłącznie w krótkie spodenki – jeden niebieskie, drugi czerwone. Nie mieli nawet rękawic ani butów. Ponieważ Marek siedział w miejscu zapewniającym świetną widoczność, w pewnym momencie zauważył też, że połowę tego, co pierwotnie wziął za tatuaże, w rzeczywistości stanowiły blizny.

Rozbrzmiał pierwszy gong, po którym zawodnicy rzucili się na siebie jak dzikie zwierzęta, a Suchy ze zdziwieniem uświadomił sobie, że oprócz nich na ringu nie ma nikogo innego. Na przykład sędziego, który kontrolowałby czystość zawodów i mógłby ich w odpowiednim momencie rozdzielić.

Czerwony już od samego początku uzyskał wyraźną przewagę i zmusił niebieskiego do rozpaczliwej obrony. W ruch szło wszystko, co się dało: pięści,

łokcie, kolana, łydki, stopy. Po jednym szybkim kopnięciu w krocze, niebieski zawodnik skulił się w sobie, po czym zarobił ogromnego sierpowego i padł bez życia na ring, czym wywołał wrzawę na trybunach. Koniec walki jednak jeszcze nie nastąpił. Zachęcony dopingiem publiczności czerwony usiadł przeciwnikowi na brzuchu i zaczął z całej siły okładać mu twarz pięściami, na przemian z lewej i prawej strony. Niebieski już nawet nie próbował się bronić. Chyba stracił przytomność.

Marek rozejrzał się raz jeszcze po widowni. Skupił się na jednym nieznanym mu mężczyźnie kilkanaście rzędów na prawo od niego, który obserwował ring z szerokim uśmiechem w stylu Białego lub Czarnego. Wraz z momentem, w którym tamten zaczął powoli odwracać się w jego stronę, Suchy poczuł w głowie nagłe ukłucie bólu.

Przeklął cicho i chwycił się za skronie. Tym samym na chwilę oderwał wzrok od tamtego mężczyzny, a kiedy z powrotem na niego spojrzął, ten wpastrywał się prosto w niego. Nie w ring, a w niego, nikogo innego. Ani trochę nie obchodziła go już ta walka. Połowa jego twarzy widoczna w świetle sączącym się znad klatki była połową twarzy szaleńca. Wciąż szeroko uśmiechniętego maniaka.

Marka przeszył drobny dreszcz. W dodatku pojął, że w głowie znowu zaczyna narastać mu szum i pisk. To nigdy nie zapowiadało niczego dobrego. Oderwał wzrok od tamtego mężczyzny i spojrzął z powrotem na ring. Wyglądało, że czerwony zlitował się nad przeciwnikiem i dopełnił swojego dzieła zniszczenia, ponieważ wreszcie, przy aplauzie publiczności, wstał i uniósł ręce w geście triumfu. Narastający ból głowy zaczął przyprawiać Marka o coraz większe mdłości. Pochylił się, wziął głęboki oddech i kaszlnął.

Kątem oka dostrzegł to po swojej lewej.

Jak okiem sięgnąć, cała publiczność stamtąd gapiła się teraz właśnie na niego. Z początku myślał, że to przez kasznięcie, ale chyba nie, tym bardziej, że w hałasie czynionym przez resztę widzów sam ledwo je usłyszał.

Nie to było jednak najdziwniejsze.

Wszyscy oni uśmiechali się w dokładnie taki sam sposób jak tamten mężczyzna. Posyłali mu kilkaset szaleńczych, identycznych grymasów.

Ból, szum i pisk stawały się nie do zniesienia. Podobnie jak to rytmicznie, zsynchronizowane z biciem serca Marka pulsowanie rzeczywistości i łzawienie oczu, przez które nie widział już do końca wyraźnie. Łzy zniekształcały ob-

raz w jego perspektywie, a uśmiechnięte twarze stopniowo zmieniały się w... demoniczne? Wykrzywione? Zdeformowane?

Upiorne.

Marek jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Choć w głębi obawiał się tego, co zobaczy po swojej prawej, ciekawość okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. Walcząc z gnieceniem w czaszce, spojrzał przez palce. I zastał tam dokładnie identyczny widok jak po lewej. Coś w rodzaju chorego lustrzanego odbicia w krzywym zwierciadle. Odbicia, z którego gapiło się na niego teraz kilkaset zdeformowanych twarzy uśmiechniętych szaleńców.

Nagle uświadomił sobie, że w hali od jakiegoś czasu panuje cisza. Spojrzał przed siebie, w kierunku ringu. Ludzie w rzędach przed nim także byli odwróceny w jego stronę, ale światło za nimi uniemożliwiało jakikolwiek wgląd w ich twarze. W klatce zaś... Czerwony zawodnik także dołączył do publiki i wpatrywał się teraz prosto w niego. Też z tym pieprzonym uśmiechem i obłąkanym wzrokiem. Suchy zebrał się w sobie i spojrzał jeszcze na niebieskiego. Jego leżąca na poplamionym krwią ringu twarz była zwrócona w jego stronę. Zmasakrowana, opuchnięta, zakrwawiona i zniekształcona. W taki sposób, że usta na niej także układały się w szaleńczy uśmiech.

Gdy to zobaczył, jego żołądkiem targnął silny, odruchowy skurcz i Marek zwymiotował pod siebie. Zakręciło mu się w głowie tak bardzo, że aż stracił równowagę i zsunął się z siedziska na kolana, prosto na swoje rzygi. Na szczęście proteza wciąż trzymała się jego kolana, więc od razu podniósł się i, nie zważając na słyszane za plecami pytania chłopaków, zaczął biec z powrotem w kierunku schodów. Czuł, że dla poprawy samopoczucia musi wyjść na powietrze. Chciało mu się wyć z bólu. Ze dwa razy, przez niewyraźne widzenie i zawroty głowy, niebezpiecznie się zatoczył i boleśnie obił biodrem o poręcz.

– O kurwa! – wyrwało się z jego ust, gdy odetchnął pełną pierśią na zewnątrz. Czuł się tak, jakby właśnie wypłynął na powierzchnię po długotrwałym przebywaniu pod wodą. Rześkie, wiejskie, nocne powietrze bardzo dobrze mu zrobiło. Oparł się o któryś z samochodów plecami, zamknął oczy, odchylił głowę i powoli, czyniąc głębokie wdechy, próbował dojść do siebie. Ból, szum i pisk stopniowo ustępowały, ale i tak nie potrafił powstrzymać nieustannego drżenia ciała, a zwłaszcza spazmów ledwo co opróżnionego żołądka.

Spojrzał w dół. Spodnie były brudne od wymiocin i kiedy tylko to sobie uświadomił, do jego nozdrzy jakby dotarł też ich obrzydliwy zapach.

Spojrzał też w stronę metalowej klapy. Paranoja. Przysięgłby, że ból, szum i pisk od tego wracają. Od samego ruchu głową w tamtym kierunku. Zupełnie jakby podziemną halę wypełniała ogromna ilość złej energii.

Czym prędzej wyciągnął telefon i zadzwonił po taksówkę.

MASKOTKA

Ignorując telefony od Rubika i reszty, Marek dotarł do domu mniej więcej po drugiej. Pozbył się brudnych ciuchów, z duszą na ramieniu przemierzył korytarz, który zawsze przemierzał z duszą na ramieniu, i ostrożnymi krokami, jakby wciąż jeszcze nie do końca ufając swojemu poczuciu równowagi, zaczął wchodzić na górę.

– Ciii. Bo jeszcze obudzisz mamę. I wtedy już nie będę mogła się z tobą bawić.

Gdy dobiegł go głośny szept Iwonki, zatrzymał się. Zdziwiony wyteżył słuch.

– Ja też cię kocham. Jesteś moją ulubioną, najukochańszą maskotką. A ty mnie kochasz?

Brak odpowiedzi. Na całe szczęście zabawki nie nabyły zdolności odpowiadania właścicielom. Jeszcze by tego brakowało, żeby słyszał głosy pluszowych misiów.

– Zawsze ze mną będziesz? Nigdy mnie nie zostawisz? Zawsze będę mogła się do ciebie przytulić?

Dotarł do szczytu schodów i na palcach ruszył ku pokojowi córki. Już stanął u progu. Już miał zapalić światło. Już ją widział. Już miał się do niej odezwać, skarcić i nakazać iść spać.

Ale nie zrobił ani jednej z tych rzeczy. Po prostu stał. I patrzył. Coraz bardziej zdziwiony, potem niedowierzający, wreszcie zszokowany.

Tuż przy łóżku Iwonki stał czarny, ludzki kształt. Doskonale widoczny na tle światła latarni z zewnątrz, lecz nie do końca wyraźny. Jakby zamazany, lekko mglisty. I to właśnie z nim rozmawiała dziewczynka. Jakby nigdy nic gawędziła sobie z czarnym panem, którego jeszcze niedawno tak bardzo się bała. Czarnym panem, którego Marek, dzięki zdolnościom nabytym po wypadku, wreszcie mógł zobaczyć w jego całej, czarnej okazałości.

– Chodź tu do mnie. – Iwonka wyciągnęła czule ręce w stronę widma, na co to położyło się przy niej na łóżku. Objęła je z całej siły.

W Marku coś pękło. Wewnątrz. Z zewnątrz nie objawiło się to w nim niczym gwałtownym. Nie chciało mu się zapalać światła. Nie chciało mu się nawet budzić Kaśki czy Adama i gorączkowo pytać, czy widzą to samo co on.

Po prostu uśmiechnął się od ucha do ucha.

Gdyby mógł siebie teraz zobaczyć, najpewniej wyglądałby dokładnie tak samo jak każdy z tych kilkuset widzów, którzy podczas kolejnej chorej wizji gapili się na niego na tej nieszczęsnej gali. Jak wariat. Jak człowiek niespełna rozumu. Jak pomyłony, obłąkany, szalony, niepoczytalny, szurnięty, nienormalny, niezrównoważony, stuknięty, zbzikowany, chory psychicznie.

Jak opętany?

Zaniósł się gromkim, psychopatycznym rechotem. Śmiał się tak intensywnie, że aż zaczął boleć go brzuch, więc skulił się w sobie, by ostatecznie usiąść na podłodze. Nie mógł przestać. Śmiech był szczery. Naturalna, z jakiegoś powodu normalna reakcja jego organizmu na to, co go spotykało.

Co musiało w końcu nadejść, zapaliło się światło i w drzwiach od sypialni stanęła zaniepokojona Kasia. Jej wyraz twarzy idealnie współgrał z miną czającego się przy drzwiach od swojego pokoju Adama. Podobnie jak u leżącej (co oczywiste) samotnie w łóżku Iwonki. Ależ oni byli teraz do siebie podobni! Cała trójka! Niesamowite!

Marek wciąż się śmiał. Głośno. Chcąc nie chcąc, będąc jeszcze dodatkowo bez spodni, które przecież uprzednio wrzucił do brudów, wyglądał teraz jak świr.

W końcu podniósł się i, w dalszym ciągu nie mogąc powstrzymać śmiechu, wykrztusił:

– Nic... Hah! Nic nie mówcie. Wiem, że się boicie. Wiem, co myślicie. Że jestem pomyłony. Może i tak!

– Marek... – zaczęła Kasia.

– Cisza! – zagrzmiął i znowu zachichotał. – Ale wiecie co? Już nawet nie mam siły was przekonywać, że jest inaczej! Bo sam już chyba w to nie wierzę! Nie musisz mnie znowu wyrzucać z domu, kochanie, sam stąd sobie pójdę! Nic się nie martw! Nie mam pistoletu, zobacz! – Uniósł obie dłonie. Obie pokryte bliznami po oparzeniach.

Wciąż zanosząc się śmiechem i przez to nie bardzo zastanawiając się nad tym, co robi, zszedł z powrotem na dół, wyciągnął ze skrzynki na brudy swoje zarzygane spodnie, ponownie je założył i wyszedł z domu. Gdy, zataczając się, szedł w nieokreślonym kierunku, po milczącym, śpiącym już od dawna osiedlu Hańcza roznosił się jego szaleńczy chichot.

PRZEKLĘTY

– Mareczek?

Brutalnie wyrwany ze snu Suchy wziął głęboki oddech przez nos i dopiero wtedy otworzył oczy. Leżał na łóżku, pod kocem, z wciąż założoną protezą, w jadalni, w mieszkaniu swojej matki. I to właśnie ona, stojąc u progu pokoju, obudziła go.

Kompletnie nie pamiętał, jak się tutaj znalazł, ale stopniowo wracały wspomnienia z ostatniej nocy. Najpierw krążenie od monopolowego do monopolowego celem kupienia porządnej flaszki, aż w końcu znalazł taki, który najwidoczniej za nic miał hasło, które wisiało nad ladą w każdym tego typu sklepie. „Nietrzeźwym alkoholu nie sprzedajemy”. Gwoli ścisłości, Marek był przecież zupełnie trzeźwy, lecz patrząc na jego aparycję szalonego pijaka, zachowanie szalonego pijaka oraz zarzygane spodnie szalonego pijaka z protezą za dwieście kafil pod spodem, nie dziwne, że sprawiał dokładnie odwrotne wrażenie.

Po kupnie zero-siedem soplicy bardzo szybko opróżnił butelkę, siedząc na ławeczce nad miejskim zalewem Arkadia, o czym stosownie poinformował go ból głowy, tym razem ani trochę nie związany z duchami. Nie, odpowiadał za niego najzwyklejszy kac.

Ludzki umysł to jest potęga. W skrajnych sytuacjach wznosi się na wyżyny, a wtedy dla organizmu, którym steruje, nie ma rzeczy niemożliwych. I Suchy takiej rzeczy dokonał. Widzenie duchów? Pfff! To pryszcz przy wypiciu całej butelki wódki ani bez zapojki, ani bez zagrychy! Po prostu walił z gwinta jak leci i nawet ani razu się nie porzygał (przynajmniej z tego, co pamiętał). Tak czy inaczej – grunt, że bardzo mu to pomogło.

Ostatnim wspomnieniem, które zachował w pamięci z poprzedniej nocy było to, jak kompletnie pijany nie trafił pustą butelką do kosza na śmieci, machnął na to ręką (dosłownie), co poskutkowało upadkiem na tyłek. Następnie, już po wstaniu (co udało mu się bodajże dopiero za czwartym razem) wyruszył niczym Indiana Jones na poszukiwanie skarbów w krucjacie wymierzonej w kolejny sklep monopolowy. Film „Markana Suchs i Królestwo Kryształowej Flaszki”, który urwał mu się niedługo potem. Nie pamiętał już, czy udało mu się kupić następną butelkę.

Dokonał kolejnej niesamowitej rzeczy. Stracił świadomość gdzieś nad rzeką Czarną Hańczą, a obudził się tutaj, jakiś kilometr, półtora dalej. Przteleportował się do mieszkania swojej matki. Magia.

Maria wciąż stała w drzwiach i z nieśmiałym uśmiechem czegoś wyczekiwała.

- No, co tam?
- Gotowy?
- Na co?
- Jedziemy na działkę.
- Jaką działkę?!
- Obiecałeś, że pojedziemy z samego rana.
- Kiedy?
- W nocy, jak przyszedłeś.

Czyli do listy rzeczy niesamowitych, których ludzki umysł nie ogarnie, a których potrafił dokonać wczoraj po pijaku, należało dodać obiecanie matce czegoś, czego nigdy w życiu nie powinien był obiecać.

Magia eliksirów.

Westchnął. Widział w oczach Marii tak szczerą radość i nadzieję, że zwyczajnie nie miał serca jej odmówić. Poza tym czuł wewnętrzny przymus do wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny. Obiecał? Obiecał. Reguła konsekwencji, o której opowiadał Grzegorz, znowu zadziałała. Zresztą i tak miał tam kiedyś jechać. Na zgodę z matką. Czyli promile we krwi zrobiły za niego pierwszy krok. Uznał ponadto, że na skołatane nerwy trochę ruchu dobrze mu zrobi, więc nawet dobrze się stało. Działka to nie cmentarz czy szpital. Niemniej, wspomnienia jego wczorajszych paranormalnych przeżyć, po przefiltrowaniu ich przez siedemset, a może i więcej mililitrów wódki, wydawały się teraz czymś tak abstrakcyjnym i nierealnym, że zaczynał mieć szczerą wątpliwość, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę.

- Dobra – powiedział w końcu.
- No to szybko! Ubieraj się i jedziemy. – Po jego słowach prawie podskoczyła z radości.
- Moment. Poczekaj jeszcze trochę. Daj poleżeć.
- Nie poczekaj, tylko się szykuj! Już wezwałam taksówkę!

Cwana jest. Zdecydowanie miał to po niej. Tatę zapamiętał jako grzeczniejszego i mniej kombinującego. Podniósł się z trudem. Apetytu na śniadanie i tak nie miał. Myć się za bardzo też nie musiał, bo za jakiś czas czekało go brodze-

nie w ziemi, a zdanie taksówkarza na temat jego aktualnego zapachu miał serdecznie gdzieś.

À propos „gdzieś”. Czyli wychodziło, że przed wyjazdem należało zrobić jeszcze tylko jedną rzecz. Stały punkt programu poranka świeżo po porządnym pijaństwie. Pozbycie się toksyn z organizmu.

– Już się zbieram, tylko daj mi jeszcze usiąść na tronie.

Ogródek działkowy Marii, jej oczko w głowie od kiedy tylko Marek pamiętał, mieścił się w zespole Oaza, pomiędzy Suwałkami a Przebrodem, na samym początku trasy na Olecko.

– Jak tam twoja opiekunka? – zagadał już w taksówce. Przez całe zamieszanie związane z amputacją i odzyskaniem nogi kompletnie zapomniał o tej sprawie. Nie wątpił, że Grzegorz z typową dla siebie solidnością zrobił to, co wcześniej obiecał, ale nie zaszkodziło się upewnić.

– Fajna. Bardzo mi pomaga. Sprząta, gotuje, zakupy mi robi. Dzisiaj akurat ma wolne, ale ja się dobrze czuję.

Marek odwrócił się do okna i kpiąco uśmiechnął. Bardzo ciekawe w Marii Suchockiej było to, że za każdym razem, gdy tylko zbliżał się wyjazd na działkę, cudownie zdrowiała i większość jej dolegliwości znikła, jak ręką odjął.

Matka Suchego to nie człowiek, to stan umysłu.

– Na działkę też ją ciągasz?

– Pytałam, ale nie mogła.

Mądra kobieta. Winszuję inteligencji. Kimkolwiek jest – pomyślał.

Taksówkarz dowiózł ich na miejsce, skasował dwie i pół dychy, i tyle go widzieli.

– Ach, jak pięknie na polu! Ach, kurza melodia! – zawołała dziarsko Maria. Marek nie podzielał jej entuzjazmu. Ogród wyglądał obiektywnie na całkiem zaniedbany. Minęło sporo czasu, od kiedy Suchy odwiedził to miejsce i już na pierwszy rzut oka widział różnicę na niekorzyść. Gęsty, zarośnięty i zachwaszczony obszar, a ścieżki między kolejnymi grządkami już praktycznie znikły pod sąsiadującymi z nimi, niepoprzycinanymi krzakami. Nie dziwiło to jednak Marka. Zazwyczaj wyglądało to tak, że ilekroć stara Suchocka namówiła kogoś do pomocy na działce, to jego wizyta tam była pierwszą i zarazem ostatnią. Wcale nie z powodu przesadnie ciężkiej harówki, w końcu są ludzie, dla

których praca w ogródku to czysta przyjemność i sposób na odstresowanie się, a z zupełnie innego. Powodu, o którym Marek miał przekonać się po raz kolejny w swoim życiu jeszcze dzisiaj.

– Dobra, to na razie opiel mi tę grządkę. – Maria wskazała na pobliską łączkę. Bez błędu. Łączkę. Tak gęsto ten skrawek ziemi porastały chwasty.

– Potem trzeba zebrać truskawki – dodała. – A teraz zaprowadź mnie do domku. – Wyciągnęła rękę, by Marek ją pod nią chwycił. Suchy westchnął w duchu. Szykowała się niezła próba dla jego cierpliwości. Wiedział już teraz, że jej nie zaliczy.

– Mogę mieć do ciebie niedyskretne pytanie, mamó?

– Słucham.

– Po co ci te wszystkie owoce i warzywa?

– Ale ty mądry. Jak to po co? Do jedzenia!

– Ja wiem, że do jedzenia, ale po co, zamiast jak normalni ludzie kupić je sobie w sklepie, ty uprawiasz je na działce? To niewarte zachodu. Więcej wyda się na paliwo za dojazd tutaj. Ile kosztuje kilogram marchwi teraz? Złoty dwadzieścia?

– Już, już! Nie filozofuj! Dzień dobry! – To ostatnie zdanie wypowiedziała w kierunku starszej kobiety z sąsiedniej działki, która wpatrywała się w nich podejrzliwie. Nie odpowiedziała na powitanie.

Jako że Markowi skończyły się argumenty, nie pozostało mu już nic innego, jak tylko doprowadzić Marię do domku i zgodnie z jej życzeniem zabrać się za wykarczowywanie dżungli, którą wcześniej wskazała. Pomyślał, że niezłym pomysłem w tej sytuacji będzie użycie wideł. Przy okazji dobrze mu to zrobi na bicepsy. Okrążył więc domek i dotarł do beczki, w której stara Suchocka trzymała narzędzia ogrodnicze. Po raz kolejny oczy jego i kobiety z sąsiedniej działki spotkały się.

– Dobry. – I on się przywitał. I jemu nie odpowiedziała.

Gdy ją mijał, usłyszał wypowiedane zawziętym szeptem:

– Nędznik.

– Słucham? – Zatrzymał się.

– Nawet na mnie nie patrz, grzeszniku!

Najprawdopodobniej miał właśnie niewymowną przyjemność poznać nawiedzoną staruchę z działki obok, o której Maria wspominała niegdyś przy obiedzie. Postanowił ją zignorować. I broń Boże się do niej nie zbliżać. Kto

wie, czy to nie zaraźliwe? Problemów z głową doświadczał w ostatnim czasie aż nadto.

– Pozdrawiam – odpowiedział spokojnie.

– Spłoniesz w piekle, grzeszniku! Już jesteś przeklęty!

– Dziękuję pani za ten wybitnie niepotrzebny komentarz. Poza tym w domu wszyscy zdrowi?

– Módl się o łaskę do swojego Pana, póki nie jest za późno! Złe siły skupiają się wokół ciebie. Twoja ostateczna zguba jest blisko!

– Długo jeszcze tak pani może? – Marek nawet na nią nie patrzył, próbował skupić się na znalezieniu wideł.

Próbował. To dobre słowo.

– Tylko miłosierny Bóg jest w stanie ochronić cię przed zakusami złego ducha! Zejdź z wcześniej obranej drogi! Zło dobrem zwyciężaj!

Po wielu nieudanych próbach skoncentrowania się na tym, po co tam przyszedł, Markowi udało się znaleźć wypatrywane narzędzie.

– Jesteś zły do cna. Już dawno zatraciłeś się w spirali grzechu, której nie kontrolujesz! Zły duch cię przejął, ma nad tobą władzę absolutną.

– Nara. – Machnął ręką w jej kierunku, wyjął widły z beczki i ruszył w stronę chaszczki, których miał się pozbyć.

– Marek!

Westchnął.

– Tak?

– Pomóż mi wstać i zaprowadź mnie do rabarbaru.

Westchnął po raz drugi.

Zapowiadał się długi dzień.

Motywacji do starannego wykonywania pracy wystarczyło mu na jakieś dziesięć minut. Poza tym robota sprawiała mu niemałą trudność, jako że do wbijania wideł w ziemię mógł używać tylko jednej nogi, która wkrótce zaczęła go boleć. Jakby tego było mało, niedługo potem dobiegł go głośny jęk i krzyk:

– Mareczek! O Jezus! Chodź tu szybko!

Westchnął po raz milionowy tego dnia i, przesadnie się nie spiesząc, ruszył za jej głosem. Leżała bezwładnie twarzą do ziemi i machała wokół rękami jak

karykatura odwróconego do góry nogami żuka gnojara. Wyglądało na to, że straciła równowagę i upadła.

– Pomóż mi, bo nie wytrzymam!

– Już, spokojnie.

– Co spokojnie?! Szybko!

Chwytał ją pod pachami i pociągnął do góry. Choć choroba sprawiła, że nigdy porządnie otyła Suchocka wyglądała nieco szczuplej, i tak wydało mu się, że jest makabrycznie ciężka. Cięższa, niż można by się po niej spodziewać. Zaraz zrozumiał jednak, skąd to wrażenie.

– Ej, ale pomóż mi! Podeprzyj się nogami! – warknął.

– Żebym to ja mogła! – zajęczała płaczliwie.

– Możesz!

– Nie mogę! Nie mogę ruszyć nogami.

Chciało mu się wyc z bezsilności i irytacji. Z niesamowitym wysiłkiem wreszcie udało mu się ją podnieść, ale gdy się wyprostował, jego krzyż trzasnął złowieszczo.

– Podprowadź mnie do ławeczki – zawodziła Maria z nieadekwatną do jej stanu boleścią w głosie. Spełnił jej życzenie i ustawił tyłem do ławki. Trzymając go za ręce, stopniowo obniżała pośladki, by w końcu niezgrabnie walnąć się o drewniane szczelki siedziska.

– No to co? Fajrant? – zaryzykował.

– Żartujesz? To ma być robota? Ty pracuj, a ja na razie sobie odpocznę.

Bez słowa wrócił więc do swojej łąki. Próbował popracować nad nią jeszcze jakieś pół godziny, ale w końcu uznał, że to bez sensu. Tego fragmentu zwyczajnie nie dało się oczyścić do gołej ziemi. Chwasty zdawały się odrastać szybciej, niż się ich pozbywał.

– Dobra, skończyłem! – zawołał po jakimś czasie. – Jedziemy? – zaryzykował po raz drugi.

– Ale ty dowcipny! Zbierz truskawki.

Marek wziął z domku mały taboret i wiaderko, położył oba na ziemi i usiadł. Następnie przystąpił do żmudnego wyszukiwania owoców pomiędzy liśćmi. Jego irytacja narastała z każdą sekundą.

Po pierwsze, bo niewygodnie.

Po drugie, bo dużo truskawek okazywało się w połowie czerwonych, a w połowie białych.

Po trzecie, bo raz za razem musiał przestawiać taboret, gdyż w zasięgu ręki

żadnych nie znajdował.

Po czwarte, bo te cholerne komary.

Po piąte, bo to cholerne słońce, spiekota, pot i idące za nim swędzenie, także na głowie.

Po szóste, bo ten cholerny ból pleców od schylania się.

Po siódme...

– Skończyłeś?

– Jeszcze nie.

– To co tak długo?

– A co ty robisz oprócz siedzenia i wydawania rozkazów? – zawołał, podniósł się, odszukał ją wzrokiem i zobaczył, że istotnie, w opisie jej bieżącego zajęcia ani trochę się nie pomylił, co tylko wezbrało w nim jeszcze większą złość.

– Ja nie dam rady – rzuciła na odczepnego.

– Nie dasz rady. Dobra. No to mam do ciebie kolejne pytanie. Z czysto logicznego punktu widzenia, po co ci jest ta działka? Serio pytam. Z głodu nie umieramy, a poza tym warzywa i owoce możemy kupić o wiele taniej w Biedronce. Czyli ten powód odpada. No to może dla hobby, dla samej przyjemności z pracy w ogródku? To też nie, bo „nie dajesz rady”. Po co w takim razie? Odpowiedz mi!

– Nie gadaj tyle.

– Ciągasz tu biednych ludzi, żeby ci, jak to sama nazywasz, „pomogli”, a koniec końców wygląda to tak, że siadasz jak ta królowa i wydajesz polecenia. To ma być pomoc? To nie pomoc, tylko niewolnictwo. A ty co się gapisz, sturuchu?! – zawołał w stronę bardzo otyłego dziadka, który przysłuchiwał się ich rozmowie ze swojej działki po drugiej stronie drogi. Spłoszony mężczyzna od razu odwrócił się i wrócił do swoich zajęć.

– Ale ty zapracowany – zaszczekała z przekąsem Suchocka.

– Widzisz, i znowu to samo. Myślisz, że marzeniem każdego człowieka na tej planecie jest pracować u ciebie na działce? Nie. Każdy ma swoje hobby, do którego nie powinien zmuszać innych. To twoja indywidualna sprawa, nie nasza. Czy ja cię kiedykolwiek zmuszałem do gry w piłkę? – zapytał i od razu poczuł wewnątrz bolesne ukłucie żalu, jak tylko przypomniał sobie, że w co jak co, ale w piłkę to raczej w swoim życiu już nie zagra. – Nie zmuszałem! – odpowiedział sam sobie. – A teraz straciłem nogę... – zaczął, ale przerwała mu.

– Jaką nogę?

Skojarzył od razu, że ta stara idiotka nawet nie wie, co się ostatnio działo.

– Wycięli mi nogę, noszę protezę. Proszę, zobacz. – Podeszedł do niej, uniósł nogawkę spodni i pokazał, co musiał. Maria spojrzała nieprzytomnie na jego ubytek, ale nie zrobił na niej żadnego wrażenia, co tylko jeszcze bardziej go zirytowało i utwierdziło w przekonaniu, jak bardzo oderwana jest od rzeczywistości. – I co? Przyjmuję do wiadomości, że już pewnych rzeczy robić nie mogę. Na przykład grać w piłkę. Trudno. Zdarza się. Godzę się z tym i nie proszę nikogo na siłę, żeby ze mną grał. Tak samo ty powinnaś wreszcie pogodzić się z faktem, że jesteś stara, chora, niedołęzna i nie możesz pracować na działce, więc nie ma najmniejszego sensu nawet tu przyjeżdżać! Proste! Niech to do ciebie w końcu dotrze! – Ostatnie zdania niemal wykrzyczał jej w twarz i prawie opryskał śliną.

Przez moment świdrowali się spojrzeniami.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? – zapytał w końcu.

Przez parę sekund jeszcze milczała, gapiąc się na niego, i w końcu powiedziała półprzytomnie:

– Kwiatki mi podlej, bo wszystko mi uschnie.

Poddał się.

– Zobacz mamó – rzekł. – Widzisz to? To są ręce. – Uniósł obie. – Widzisz?

– Widzę.

– A to są ręce, które opadają. – Rozluźnił ramiona, a dłonie plasnęły mu o oba boki. – Idę, nie mam już nawet siły się z tobą kłócić.

Skapitulował. Stara jak świat mądrość głosi: jeśli nie możesz pokonać wroga, należy się do niego przyłączyć. Właśnie taką taktykę obrał. Z Samielem wyszła mu na dobre, w miarę bezboleśnie, więc może zadziała z matką?

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i powłókł się do rosnących pod płotem choinek, pomiędzy którymi Maria chowała przed złodziejami gumowe węże. Wyciągnął jeden i zaczął ciągnąć po ziemi do kranu znajdującego się w centralnym punkcie działki.

– Uważaj! Kwiatki mi połamiesz! – dobiegł go agresywny skrzek.

Sokole oko.

Westchnął i wziął brudny od ziemi wąż w obie ręce, przy okazji porządnie paskudząc nim sobie spodnie. Podłączył go do kranu, odkręcił wodę i zaczął podlewać grządki.

Marek podlał cały ogród, przyciął sekatorem winorośle, ściał siekierą i porąbał na mniejsze kawałki martwą jabłoń, opielił całą resztę grządek, zebrał do końca truskawki, reszkę zachowanych po ataku szpaków czereśni, ogórki, fasolę, groszek, czerwoną porzeczkę i agrest. Posprzątał w domku, narwał marchwi i pietruszki, zasadził buraki, sałatę i kłącza jakichś nieokreślonych krzewów kwiatowych. Pomalował impregnatem drewnianą huśtawkę (Bóg wie, po co pomalował i Bóg wie, po co ona tam w ogóle stała, skoro nikt z niej nie korzystał) i narwał trochę kwiatów. Wszystko to na życzenie Marii, która jak usiadła tamtego przedpołudnia na tyłku, tak nie raczyła podnieść go z ławki do wieczora. Obiecał sobie jednak, że to wytrzyma, choć, słowo honoru, parę razy dzielił go dosłownie krok od wzięcia łopaty i zdzielenia nią Suchockiej przez łeb.

– Błagam, możemy już jechać? – jęknął w okolicach dwudziestej pierwszej, tuż po tym, gdy położył na stoliku kilka kolorowych kwiatów. Ledwo mu się to udało, gdyż ten zapełniały inne, zebrane przez niego wcześniej dary natury.

– Możemy – odrzekła dobrotliwym tonem Maria. Czyli chyba ją zadowolili. Czyli to jednak było możliwe.

– Kocham cię! – wydyszał i usiadł na ławce obok niej. Paradoksalnie, nie gniewał się już na nią ani trochę. Tytaniczny wysiłek fizyczny, którego tego dnia doświadczył, bardzo pozytywnie na niego wpłynął. Pokłady adrenaliny w mózgu skutecznie ostudziły zarówno niepokój potęgowany ostatnimi wydarzeniami, jak i całą złość. Odchylił głowę na oparciu, zamknął oczy i głęboko oddychał. Czuł, że stopniowo odpływa. Ile by dał, żeby móc wyłożyć się teraz na jakimś hamaczku. Taka możliwość istniała, bowiem hamak spoczywał w piwnicy domku, ale Marek przezornie ugryzł się w język. Priorytet stanowiło wreszcie stąd wyjechać. Nic więcej.

Maria zamówiła taksówkę. Po jej przybyciu potrzebowali kilku rundek do stołu i z powrotem, by załadować zbiory do bagażnika. Marek zamknął domek, tradycyjnie pomógł matce usadowić się na przednim siedzeniu („pomóż mi, bo nie dam rady”) i cudownym w jego uszach trzaskiem samochodowych drzwi przypieczętował upragnione opuszczenie tego miejsca.

– Ale dalim po robocie! – zawołała zadowolona Suchocka, tuż po tym jak taksówkarz ruszył z miejsca.

– „Dalim”? Chyba „dałeś ukochany synku i bardzo, ale to bardzo ci dziękuję za pomoc. Jestem ci tak wdzięczna, że wzruszenie wręcz odbiera mi mowę”.

– A już tam! Strasznie się napracowałeś! Wszystko widziałam. Tej grządki,

co cię prosiłam, wcale nie opielileś!

Ukatrupię ją kiedyś. Słowo daję – obiecał sobie Suchy.

Mijali właśnie sąsiednią działkę. Tę, na której urzędowała nawiedzona starszka-dewotka. Ona i jej mąż także szykowali się już do powrotu do domu. Kobieta dostrzegła Marka i wlepiła w niego obojętny wzrok. Wodziła za nim oczami tak długo, jak to możliwe. Nawet nie mrugnęła. I to Suchy jako pierwszy odwrócił spojrzenie. Wzdrygnął się.

– To ta dziwna kobieta, o której niedawno opowiadałaś? Ta z sąsiedniej działki? – zagadał Marię.

– Tak.

– I na mnie dzisiaj wrzeszczała. Że jestem nędznikiem, grzesznikiem i w ogóle spłonę w piekle.

– Sam widzisz, że sobie tego nie wymyśliłam. Jakaś chora psychicznie.

– A pamiętam, że na tej działce urzędowała kiedyś taka inna pani. Sprzedała ją? Czy co?

– Nie, umarła i ta działka została wolna, to ją wydzierżawili komuś innemu.

– Jakaś choroba?

– Nie, na atak serca. Przestraszył ją taki jeden gruby dziad. Miał działkę naprzeciwko mojej, po drugiej stronie drogi. Przestraszyła się tak bardzo, że jej serce nie wytrzymało i umarła. Szkoda. Bardzo fajna pani była. Miła, pomocna.

– Przestraszył ją? Jak przestraszył?

– Ukraść coś chciał. Myślał, że nie ma jej w domku, to przyszedł na jej działkę późnym wieczorem, jak prawie nikogo na polu nie ma, i grzebał jej w szopie. Ona nie wiedziała, że on tam jest, chciała schować narzędzia, otworzyła drzwi, a tam w ciemności wielki, gruby dziad. Sobie pomyśl.

– No, nie dziwię się, że się przestraszyła. A co z tym dziadem? Miał jakąś sprawę sądową za to? Karetkę chociaż wezwał?

– Miał mieć, ale nie dożył.

– Jak to nie dożył? – Marek poczuł wewnątrz nieprzyjemne ukłucie.

– No, sam też umarł. Tydzień później. Podobno na miażdżycę. Gruby był, to i nic dziwnego.

CIEMNOŚĆ

Taksówkarz dostarczył ich na żądane miejsce, pomógł im wypakować z bagażnika toboły, skasował dwie i pół dychy, i tyle go widzieli. Marek przytrzymał matce drzwi i zapalił światło na klatce schodowej.

– Wchodź sobie powoli. Ja będę to partiami wnosił na górę.

Zrobił trzy rundki w tę i z powrotem, podczas każdej z nich mijając Marię w zupełnie innej części schodów, podczas gdy ta, kurczowo przytrzymując się poręczy, mozolnie człapała pod górę. Dopiero podczas ostatniego wejścia na trzecie piętro zauważył, że żarówka nad nim w dalszym ciągu nie jest wymieniona i miejsce to znowu spowija półmrok. Z jakiegoś powodu widok ten spotęgował w Marku nieprzyjemne uczucie, które urodziło się jeszcze w taksówce, wraz ze zrozumieniem, że po raz kolejny zobaczył ducha. Teoretycznie nie było już żadnego powodu do strachu, w końcu od działki dzieliło ich wiele kilometrów, ale czuł, że wciąż coś jest nie tak. Nie potrafił tego wyjaśnić. Tego silnego przeświadczenia, że lada moment wydarzy się coś okropnego. Jakby było to nieuniknione i pozostało mu tylko czekać. A ta niedziałająca żarówka miała stanowić przed tym nieuniknionym i przerażającym swoiste ostrzeżenie.

Wziął głęboki oddech i stanął przed drzwiami od mieszkania numer sześć. Choć sam nie wiedział, czemu miałyby to służyć, przyłożył do nich ucho. Nie usłyszał niczego dziwnego. W tle, gdzieś niżej, wciąż roznosiło się jedynie szuranie i mlaskanie. Wyjął więc z kieszeni klucz, wsadził w dziurkę i przekręcił.

Szczęk zamka rozniósł się z upiornym pogłosem po całej klatce schodowej.

Marek wziął w rękę największe z przyniesionych wiaderk i, jak zazwyczaj po otwarciu drzwi, zablokował nim drogę ucieczki kotu. Po zamknięciu go w jednym z pokoiów, wniósł do środka wszystkie pozostałe fanty. Gdy położył na blat w kuchni ostatnią partię zebranych warzyw i owoców, usłyszał z zewnątrz kolejne odgłosy szurania po posadzce, po czym skrzyp zawiasów i gromkie:

– Kiciuńka?

– Zamknąłem ją w twoim pokoju! – zawołał.

– Chodź, Kiteczka, moja kochana, śliczna dziewczynka. Się stęskniłaś?

– Nie wiem, czy się stęskniła, za to wiem na pewno, że to cud, że nie zdechła od tego smrodu!

– Jakiego smrodu?

– Nie czujesz, jak tu śmierdzi żarciem dla kotów? Toż to powinna być broń biologiczna! Obrzydliwość!

– Ja nic nie czuję!

Nie czuje – pomyślał Marek. – *Nie no, skąd! Wcale! Tak właśnie pachnie poranne, rześkie, leśne powietrze! Brise Mini Spray. Audycja zawiera lokowanie produktu.*

Opuścił sobie kolejną polemikę na ten temat. I nie tylko na ten.

– Idę spać jak coś. Jestem padnięty. Sama musisz sobie poradzić! – zawołał i nie czekając na odpowiedź Marii, powłókł się do jadalni. Był tak zmęczony, że machnął ręką totalnie na wszystko: kolację, wykąpanie się, umycie zębów, podanie Marii wieczornych leków i przygotowanie nocnych. Podobnie potraktował taką drobnostkę, jak rozebranie się do spania czy ściągnięcie protezy. Po prostu walnął się na łóżko, jak stał. Zasnął praktycznie w tym samym momencie, w którym przyłożył głowę do poduszki.

Pomimo tego niepokoju. Tego lęku. Tego uspiętego strachu, który w dalszym ciągu gnieździł mu się w żołądku niczym pasożyt.

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział, czy nieostrożny ruch buszującej po nocy Mii, czy jakiś nieokreślony hałas, czy może sen, którego nie pamiętał.

Na pewno nie stało się to przez ten wysoki cień, który właśnie teraz, niesamowicie szybko i bezszelestnie, przemknął przez korytarz pośród nocnej ciemności. Marek leżał tak, że nie mógł go widzieć.

Wciągnął powietrze, wdychając swój smród złożony z zapachowych pozostałości wydarzeń kilku ostatnich dni, po czym zamknął oczy, by na nowo spróbować zasnąć, ale zaraz otworzył je ponownie.

Nocne leki.

Podniósł się i potarł zmęczone oczy, po czym z głębokim westchnięciem dźwignął się na nogi. Z pokoju Marii dobiegał głośny szum śnieżącego telewizora, więc należało go wyłączyć.

Szum... i coś jeszcze.

Przystanął i nasłuchiwał. Ludzki głos. Ochrypłej, grubej i niskiej barwy. Wciąż kobiecej. Nigdy wcześniej takiego nie słyszał. Nie były to słowa, po prostu zawodzenie. Jakby narastający, nieprzerwany krzyk.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, Marek ruszył ku źródłu podejrzanych hałasów.

W całym mieszkaniu wciąż panowały egipskie ciemności i jego wzrok potrzebował trochę czasu, by się do nich przyzwyczaić. Niskie zawodzenie wciąż nie ustawało.

Zaspany i tym samym wciąż niezbyt przytomny Marek dopiero na ostatnich metrach przed jej pokojem, zdał sobie sprawę z tego, co widzi. Gdy tak stał jak sparaliżowany, z pokoju wybiegła Mia, jakby przed czymś uciekając, ale on skupił się na widoku przed sobą tak bardzo, że nawet nie drgnął.

Tylko patrzył. I słuchał.

Tapczan jego matki był pusty, a pościel na nim w idealnym ładzie. Zaraz nad nim wisiał przyklejony plecami do sufitu ciemny, ludzki kształt w pozycji ukrzyżowanego Chrystusa. Tym kształtem była Maria Suchocka. To ona posługiwała się tym grubym, kompletnie innym od jej codziennego głosem. Miała szeroko otwarte usta i białe, puste oczy. Włosy i koszula nocna spoczywały na sklepieniu, jakby umocowane do niego taśmą klejącą. Albo to nie Maria, a Suchy poruszał się nie według tego prawa ciężenia, co trzeba.

– Co jest...? – mruknął do siebie zszokowany Marek, wymawiając każde kolejne słowo coraz wolniej i coraz ciszej. Musiał śnić jakiś kolejny pokręcony, koszmarny sen. Bez żadnej dyskusji. Nawet mimo nocnego mroku zbyt dobrze widział tę postać; jej kształt, znajome rysy twarzy i ubiór. Zbyt wyraźnie słyszał okropny odgłos wydobywający się z jej gardła przemieszany z wciąż hałasującym telewizorem, co dawało efekt dźwiękowy podobny do przebiegającej z zakłóceniami relacji z egzorcyzmów.

Niczym chory masochista-zboczeniec, Marek wpatrywał się w ten abstrakcyjny widok nad sobą coraz dłużej i dłużej, tak jakby miało to zaspokoić jego potrzeby cielesne i duchowe. Pomimo jego wydłużającej się obecności w progu pokoju, postać na suficie nawet przez moment nie dała po sobie poznać, że go zauważyła. Trudno było w ogóle stwierdzić, czy jest przytomna, czy też może jej ciało stanowi po prostu czyjeś narzędzie. Czyjaś własność.

W końcu Suchy ocknął się i sięgnął do kontaktu po swojej prawej stronie. Po chwili pokój rozświetlił blask trzech sporych kloszy spod sufitu.

Marek wciąż stał niczym posąg w tym samym miejscu. Bez ruchu, nieprze-

rwaniu trzymając dłoń na kontakcie. Choć z pozoru w widoku przed nim nie dało się już znaleźć niczego przerażającego, zaczął drżeć tak mocno, że nawet parkinson matki wypadał przy tym już tylko jak drobne drgawki.

Ona leżała teraz w łóżku. W łóżku, nie na suficie. Nie w żadnej pozycji imitującej krzyż, tylko zwykłej, tak jak zawsze. Na plecach, pod kołdrą naciągniętą aż pod samą szyję. Spała. Miała zamknięte oczy, lekko otwarte usta i całym głosem pochrapywała.

Przecież jeszcze przed chwilą... Dosłownie ułamek sekundy wcześniej...

Znienacka przypomniał sobie ten gruby, wiedźmowaty, kompletnie nienależący do niej głos i wzdrygnął się.

Poruszył palcami po kontakcie. Kusiło go, by znowu go nacisnąć. Kierowała nim teraz jakaś nienormalna, patologiczna wręcz ciekawość. Niemal szczerą chęć, by zobaczyć to jeszcze raz (choć chyba niczego w tym momencie tak nie pragnął, jak wyrzucić ten obrazek ze swojej pamięci) i przekonać się, czy jest w tym szaleństwie jakaś logika. Na przykład taka, że widzi te okropieństwa jedynie w ciemności...

Co oczywiste, jaskrawe, świecące prosto w twarz Marii światło w końcu ją obudziło. Zmrużyła powieki, skrzywiła się i przesłoniła sobie oczy. Uszu Suchego dobiegł jej znany mu cienki, denerwujący głos.

– Po co włączyłeś to światło? Nie mogę spać. Zgaś! – jęknęła pełnym pretensji tonem.

Taki przynajmniej usłyszał, kiedy w panice nakładał buty i uciekał z tego mieszkania.

KRZYŻE

Biegł tak szybko, na ile pozwalała mu proteza. Już po chwili dotarł do placu Marii Konopnickiej, naturalnie o tej porze zupełnie opustoszałego. Przeciawszy go po skosie, przebył ulicę Noniewicza. Następnie musiał pokonać deptak na ulicy Chłodnej, co jego tempem udało mu się mniej więcej w minutę. Po tym przystanął, by odpocząć i uspokoić oddech. Po kilkudziesięciu sekundach wyprostował się i spojrzął na budynek, do którego zmierzał.

Na kościół pod wezwaniem Świętego Aleksandra.

Dotarłszy do świątyni, od razu dopadł drzwi. Co oczywiste, w nocy były zamknięte, ale wtedy zwyczajnie nie miał głowy, by się zastanawiać. Od razu doskoczył do następnych i także je pchnął, ale ani drgnęły. Podobnie jak trzeci.

Jęknął, przeklął i zszedł po schodach. Na szczęście masywną, metalową bramę na ogrodzone wysokim murem podwórko pozostawiono otwartą. Na samym końcu należącego do parafii terenu, już za kościołem, znajdował się spory budynek przypominający internat, w którym mieściła się plebania.

Rozpędzony, dotarł do drzwi, ale i tym razem nawet nie pomyślał, że mogą być zamknięte na klucz. Boleśnie uderzył w nie ramieniem. Nie zwracał jednak ani trochę uwagi na ból i raz jeszcze spróbował otworzyć je siłą. Zamknięte. Na sto procent. Nie wytrzymał i z całej siły kopnął je zdrową nogą.

– Kurwa mać! – wrzasnął i zaczął walić w nie pięścią, nie oszczędzając knykci. – Pomocy! Ratunku! Otwórzcie mi! Niech ktoś mi pomoże! – wydierał się. Kopnął drzwi jeszcze raz. Wreszcie zobaczył nad sobą rozbłysk i cofnął się o kilka kroków.

– Czego pan chce? Proszę stąd iść, bo wezwę policję! – zawołała w jego kierunku kobieta w nocnej koszuli. Stała w otwartym oknie na drugim piętrze.

– Błagam. – Marek nie dbał już o nic. Najzwyczajniej w świecie klęknął przed nią na bruku i uniósł złączone ręce. – Pomóście mi.

– Czego pan chce? Proszę przyjść rano!

– Nie mogę rano! Nic nie rozumiesz! Muszę zobaczyć się z jakimś księdzem! Teraz!

– Ksiądz śpi. Czy to aż takie pilne?

– Tak!

– O co chodzi? – wydobyło się z innego okna, tym razem męskim głosem.

– Błagam, pomóżcie mi – bełkotał roztrzęsiony Marek. – Już dłużej nie wytrzymam. Jeszcze chwila i oszaleję. Potrzebuję pomocy i to szybko. – Głos mu drżał, choć z całej siły powstrzymywał się, by się nie rozkleić.

Ksiądz i zakonnica spojrzeli na siebie niepewnie. W końcu ten pierwszy powiedział:

– Dobrze, już, tylko się ubiorę. Siostrzo, siostra wpuści tego pana.

– Ale, proszę księdza – zaczęła i spojrzała na niego znacząco. On tylko uniósł rękę i uspokoił ją.

– Spokojnie. Niech siostra otworzy. Jak ktoś prosi o pomoc, to trzeba mu pomóc.

– Dziękuję! – zawołał Marek. Gdy obydwójce zniknęli w swoich pokojach, potajemnie otarł łzy desperacji. Czekanie dłużyło mu się niemiłosiernie. Jakiś czas potem usłyszał upragniony trzask zamka, po którym powoli, ostrożnie otworzyły się drzwi.

– Spokojnie, niech się siostra nie boi, nic siostrze nie zrobię – starał się wypowiedzieć to jak najbardziej dobrotliwym i wzbudzającym zaufanie tonem. Niestety średnio mu wyszło. Wyjrzała ku niemu podejrzliwie zza drzwi. Uchyliła je nieco szerzej, robiąc mu miejsce.

– Dokąd mam iść? – zapytał, gdy obydwójce znaleźli się wewnątrz posępnego budynku.

– Do biura, tędy prosto, ostatnie drzwi. – Wskazała jeden z korytarzy, a on wbił wzrok prosto w jej pierś. Po prostu patrzył, nieprzerwanie. Zauważyła to i trochę się cofnęła. To nie wyglądało nawet dwuznacznie. Tym bardziej biorąc pod uwagę jego wygląd, zapach i zachowanie.

Ludzie, czy wy już wszyscy do końca ześwirowaliście?! – pomyślał Marek.

Musiał to sprawdzić osobiście. Nie mógł się powstrzymać. Bez żadnego ostrzeżenia sięgnął ku jej piersi, na której wisiał naszyjnik zakończony sporym krzyżykiem. Odwróconym. Jak każdy, co do jednego, który Suchy widział po wypadku.

– Co pan robi?! Proszę mnie zostawić! – Odskoczyła od niego i odepchnęła jego dłoń.

– Spokojnie, krzyżyka tylko chciałem dotknąć! – Uniósł ręce w uspokajającym geście.

– Krzyżyka? Po co?

– Dlaczego nosi siostra odwrócony krzyżyk?

– Jaki odwrócony krzyżyk? Co pan wygaduje, na Boga? – Ze szczerym zdziwieniem spojrzała na swoją pierś, po czym wzięła symbol w dłoń i zaczęła mu się uważnie przyglądać.

Marek miał dość. To było kompletnie popieprzone i zwyczajnie nie mógł już na to patrzeć. Jak tylko zobaczył, że kobieta chwyciła krzyż dokładnie w miejscu, w którym w jego oczach symbol miał ramiona i te przeniknęły jej przez palce, poddał się.

– To biuro – dopytał – to tam, tak? Idę. – Odwrócił się na pięcie. Akurat z pobliskich schodów schodził już ubrany w sutannę ksiądz.

– Już, otwieram. – Kapłan podszedł do drzwi, wyciągnął klucz i otworzył je. Wpuszczony przez niego Marek od razu zajął miejsce na krześle naprzeciwko biurka.

– No to słucham pana. Mam nadzieję, że to coś naprawdę poważnego, skoro o drugiej w nocy kazał mi pan zwalić się z łóżka. – Duchowny usiadł, założył okulary i przyglądał mu się badawczo. Marek zaś ścisnął pomiędzy kolanami złożone dłonie i nerwowo rozglądał się po pomieszczeniu. Nie bez powodu. Znajdowała się w nim ogromna ilość krzyży. Czy to stojących, czy to wiszących, czy to na świętych obrazkach, czy nawet na grzbietach stojących na regale ksiąg. I wszystkie je widział w identyczny sposób. Czyli nie tak, jak powinien.

– Proszę pana? – odezwał się ksiądz.

– Mogę go dotknąć? – Suchy wskazał na najbliższy krucyfiks, który stał przed nim na biurku.

– Proszę. Ale po co?

Marek sięgnął po symbol. I im dłużej go dotykał, tym silniej drżała mu żuchwa. Oczy zaś stawały się coraz bardziej przekrwione i wilgotne.

Czuł je.

Czuł w pokrytych bliznami dłoniach ramiona, które znajdowały się w tym krzyżu o wiele niżej, niż powinny. Czuł pod palcami zawieszoną do góry nogami figurkę Jezusa Chrystusa. Przysięgłby na wszystko co mógł, że tak było.

– A może pan... Przepraszam, ksiądz. Może ksiądz teraz dotknąć? – wyjął.

Duchowny popatrzył na niego ze zdziwieniem i z niepewną miną, ostrożnie dotknął krzyża w dokładnie tym samym miejscu, co Marek przed chwilą. Podobnie jednak jak stało się to w przypadku zakonnic, także i jemu ramiona krucyfiksów przeniknęły przez dłoń.

– A wyżej? Może ksiądz wyżej?

Kapłan powoli przesunął palce ku górze krzyża i natrafił na niewidzialną w oczach Marka przeszkodę, którą następnie nimi objął.

Suchy zaczął oddychać coraz szybciej. Zupełnie przestał panować nad drżeniem ciała.

– Co się dzieje? O co chodzi? Dlaczego jest pan tak przerażony?

– Proszę księdza, ja potrzebuję pomocy.

– Jak mogę panu pomóc?

– Ja chyba jestem opętany.

Ku jego zdziwieniu, ksiądz roześmiał się życzliwie i wyraźnie rozluźnił.

– Opętany?

– Proszę się nie śmiać! Mi wcale nie jest do śmiechu!

Siedzący naprzeciwko niego duchowny spoważniał. Ale po twarzy wciąż błąkał mu się cień rozbawienia.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Ostatnio dzieją się ze mną dziwne rzeczy. Przerażające.

– Na przykład?

– Na przykład to, że widzę ten pieprzony krzyż przed księdzem odwrócony! – Marek podniósł głos. Widząc jego stan, kapłan zupełnie pozbył się uśmiechu.

– Był pan u psychiatry? – zapytał.

– Oczywiście! I on sam wysłał mnie do księdza. Brałem jakieś tabletki na schizofrenię, ale nic nie pomogły. To, co się ze mną dzieje, tylko się wzmaga i jest coraz gorsze.

– Co jeszcze się z panem dzieje?

– Widzę duchy. Widzę dusze zmarłych. Nikt inny ich nie widzi. Tylko ja.

– Rozumiem.

– Mam też jakieś dziwne wizje, halucynacje, także z udziałem moich bliskich. Jakby i w nich coś wstąpiło. To się dzieje zawsze w nocy, w ciemności. Kiedy zapalam światło, znika. Do tego nie mogę dotykać ścian. Parzą mnie jak rozżarzone żelazo. Ten psychiatra, który mnie do pana... księdza przysłał, powiedział, że to może dlatego, że poświęcono je na kolędzie wodą święconą.

– Jest pan pewien, że te wizje to nie sny?

– Jestem pewien! Właśnie przybiegłem, bo coś podobnego przytrafiło mi się teraz, przed chwilą, jak nocowałem u matki. Widziałem jak coś ją... Nie wiem, posiada? Jakby coś w nią weszło! Opętało! Wisiała przyklejona do su-

fitu w pozycji, jakby była ukrzyżowana i wydawała z siebie taki dziwny, wrzaskliwy, charczący odgłos!

– Dobrze. – Już w stu procentach poważny ksiądz złożył dłonie na biurku i uważnie mu się przyjrzał. – Od jak dawna to się dzieje ?

– Od jakiegoś miesiąca, może dłużej? Miałem wypadek z silnym wstrząśnieniem mózgu, spadłem ze schodów i przez tydzień leżałem w śpiączce. To zaczęło się dopiero, jak się z niej wybudziłem. Od tamtej pory jestem w stanie wyczuć w pobliżu obecność ducha. Czuję ból głowy, słyszę szum i taki narastający pisk. To takie jakby ostrzeżenie. Zawsze kończy się tak samo.

Chociaż? Nie zawsze. A ci ludzie przybici do ściany? A ten dziad na działce? Przy nich nie bolała mnie głowa. Może ta zdolność jakoś ewoluuje? – przeanalizował Marek w myślach.

– A, czyli jednak uderzył pan się w głowę. – Z kapłana znowu zauważalnie zeszło napięcie.

– Tak, ale to nie ma nic do rzeczy! To znaczy, może i ma, ale to nie choroba psychiczna!

– Teraz boli pana głowa?

– Nie! Czuję się normalnie. Wszystko jest dobrze, gdyby nie te wizje i cała reszta. Chcę się tego pozbyć raz na zawsze. Niech mi ksiądz pomoże, bo czuję, że zaraz mi odbije! Nie chcę już widzieć tych rzeczy!

– No cóż. – Duchowny podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie z dłońmi złączonymi za plecami. – Nie bardzo wiem, jak miałbym panu pomóc.

– Jak to jak? Niech ksiądz odprawi na mnie egzorcyzm!

– Egzorcyzm? – Zatrzymał się. – To nie takie proste.

– Niby dlaczego?

– Od zgłoszenia takiego jak pańskie do egzorcyzmu jest bardzo długa droga. To nie tak, że ktoś do nas przychodzi, mówi, że jest opętany, a my, naszym superbohaterowie, wyciągamy krzyże i pozbywamy się czarnego charakteru. To tak nie działa.

– To co jeszcze musi się zdarzyć?

– Najpierw musimy być pewni, że naprawdę mamy tu do czynienia z aż tak poważną działalnością złego ducha. Czy jednak nie jest to jakaś choroba psychiczna. Kościół musi potwierdzić, że stawiamy czoła opętaniu.

– A nie jesteśmy pewni? Przecież mówiłem, że nie jestem chory! Nawet ten psychiatra to potwierdził. Jest wierzący, wręcz wyrzucił mnie z gabinetu, jak

tylko zdał sobie sprawę, że coś może we mnie siedzieć. Jeżeli nie choroba, to co innego?

– To, że pan tak mówi, to żaden dowód. Tak samo zdanie tego psychiatry w ogóle nie ma nic do rzeczy. Jeżeli mam być szczery, to jestem zdziwiony, że tak prosto z mostu powiedział panu coś takiego. Psychiatrzy nie mają prawa tego rozstrzygać. Ewentualnie – zaakcentował to słowo – mogą zasugerować kontakt z nami.

– Co za różnica? On właśnie zasugerował. Też nie był tego pewien i sam powiedział, że nie wolno mu mówić tego wprost. Mówiłem przecież, że brałem leki psychotropowe i nic mi to nie pomaga, więc ostatnią deską ratunku dla mnie jest egzorcyzm.

– Ja z kolei panu mówiłem, że to nie takie proste. Najpierw muszą zostać przeprowadzone stosowne badania, oczywiście musi też przy nich czuwać doświadczony lekarz psychiatra.

– Nie jestem chory psychicznie – wycedził Marek. Powoli zaczynał tracić cierpliwość.

– Co najważniejsze, musi pan też wiedzieć, że opętanie to skrajny przypadek. Zły duch może oddziaływać na nas także na inne, łagodniejsze sposoby. Zazwyczaj jest tak, że branie we władanie ciała człowieka przebiega etapami. Od najłagodniejszego do najgorszego.

– Co to za etapy?

– Po pierwsze – ksiądz uniósł kciuk – kuszenie. Zły duch stopniowo oddala człowieka od Boga poprzez sprowadzenie go na drogę grzechu. Tego właściwie doświadcza każdy z nas. Nasza przewaga polega na tym, że Szatan nie czyta naszych myśli. Jedynie nas obserwuje, nasze reakcje na pewne bodźce, i ukierunkowuje rzeczywistość wokół w taki sposób, by do tego grzechu jednak doszło. Czasem wręcz w tym pomaga. Na przykład, jeśli ktoś ma słabość do alkoholu, to może zobaczyć w telewizji same reklamy piwa. Ktoś niepanujący nad swoją seksualnością – półnagie kobiety. Wszędzie, gdzie tylko się da.

– I Szatan niby wpływa na kolejność i treść reklam w telewizji?

– Oczywiście. Może działać na tego, kto te reklamy odtwarza.

Co za bzdura – pomyślał Marek.

– Dobra, przyjmuję to do wiadomości. A następne etapy?

Ksiądz uniósł palec wskazujący, który dołączył do sterczącego kciuka.

– Dręczenie. Zły duch działa na człowieka poprzez doświadczenie go o różne złe i przykre zdarzenia. Choroby, ogromny pech w życiu osobistym i zawo-

dowym, pogorszenie się sytuacji materialnej. Takie wyraźne niesprzyjanie losu.

– Ja to mam! I to szczególnie mocno w ostatnim czasie!

– Na przykład?

– Amputowano mi nogę. – Marek uniósł nogawkę i pokazał rozmówcy protezę. – Przez te wizje i moje zachowanie od nich, moja rodzina myśli, że oszalałem i boi się do mnie zbliżyć. Do tego ostatnio straciłem dużo pieniędzy, bo... No i obniżono mi stanowisko w mojej... firmie. A! I jeszcze wysadzi... ukradziono mi samochód.

– Akurat na te niepowodzenia recepta jest bardzo prosta. – Ksiądz uśmiechnął się słabo.

– Jaka?

– Modlić się! – Rozszerzył uśmiech. – Poprzez szczerą modlitwę pełną wiary otrzymujemy pomoc silnego sojusznika, jakim jest Bóg. Jego moc jest o wiele większa niż złego ducha.

– Dobra – uciał Marek, który ostatni raz modlił się przy zaliczaniu na pamięć formułek na lekcjach religii przed pierwszą komunią świętą i nawet nie pamiętał ich treści. – Mamy to dręczenie. Co jest po nim?

Tym razem u kapłana w górę powędrował palec środkowy.

– Obsesje. To zaburzenia w zachowaniu człowieka, które polegają na braku równowagi duchowej, psychicznej i emocjonalnej wskutek ataków złego ducha. Ich objawy to natarczywe myśli, koszmary senne, tendencje samobójcze, samookaleczenia i tak dalej.

– Mam koszmary i natarczywe myśli! Co dalej?

– Nawiedzenie. Są to różnorakie formy zewnętrznego nękania przez złego ducha, jak na przykład niewytłumaczalne zjawiska, halucynacje, widma, hałasy, przemieszczanie się przedmiotów, odgłosy niewiadomego pochodzenia, czasem też zapachy. Najczęściej ma to podłoże w niebezpiecznych zabawach z czarami, jakichś praktykach okultystycznych, może w dotykaniu przedmiotów, których używano jako różdżki, symbole, amulety. Przyczynić się do tego może też na przykład klątwa rzucona na miejsce, zwierzę czy przedmiot.

– Przecież mówiłem, że mam halucynacje i widzę dziwne rzeczy! Czyli się zgadza!

– Bawił się pan czarami? Rzucił jakieś zaklęcia? Odprawiał rytuały? Przesadnie przejmował się pan horoskopami? Interesował się magią i tym podobne?

– Szczerze mówiąc nie. Nie przypominam sobie.

– A ktoś z pana bliskich?

– Też nie. Chociaż... Niedawno wysłałem moją córeczkę na obóz, taką kolonię, i tam podobno razem z innymi dziećmi wywoływała duchy. Nie wiedziałem tego, więc nie wiem, czy to prawda, ale ktoś mi powiedział i powiedzmy, że mu wierzę. Innym razem moja matka powiedziała, że kobiety, z którymi leżała w jednej sali w szpitalu, modliły się w nocy do samego diabła. Znajac jej tendencję do przeinaczania faktów, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że tak naprawdę to ona się do niego modliła. Ale po co miałyby to robić, nie mam pojęcia. Zawsze była z niej normalna katoliczka.

– To, co pan mówi, byłoby już jakąś tam poszlaką. To niebezpiecznie i lepiej się tak nie bawić, bo można sobie napytać naprawdę poważnej biedy. Jeżeli ma to coś z panem wspólnego, to i tak byłoby dosyć dziwne, bo w tej sytuacji zły duch powinien raczej skupić się na nich, nie na panu. Tym bardziej że to dziecko i starsza osoba, je o wiele łatwiej jest zmanipulować i oszukać.

– Nie wiem, no. Mówię, co wiem.

– Po nawiedzeniu dochodzimy do ostatniego i najgorszego etapu, czyli opętania. To wejście złego ducha w ciało człowieka i totalne zawładnięcie nim. Może się to stać wskutek dobrowolnego oddania się diabłu, na przykład poprzez podpisanie cyrografu, długotrwałe trwanie w grzechu, rzucanie przekleństw i uroków.

– A objawy?

– Dziury w pamięci. Budzenie się w innym miejscu, niż się zasnęło. Agresja, zwłaszcza na widok krzyża, czego u pana nie widzę. Woda święcona parzy skórę takiego człowieka. Gdy przebywa on w pobliżu kościoła, czuje wewnętrzny niepokój, o samym wejściu do świątyni nie wspominając. Jeżeli się tam jakimś cudem znajdzie, to poci się ze zdenerwowania, złorzeczy, bluźni. Czasem mogą zdarzyć się bardziej nietypowe przypadki, z wypluwaniem dziwnych rzeczy włącznie.

– Na przykład czego?

– Gwoździ. Takie skojarzenie z ukrzyżowaniem Chrystusa.

– Zgoda, nie mam awersji do krzyży, ale kurde, widzę je odwrócone! Przy sięgam! No i te ściany mnie parzą. Jak jest w kościele, nie wiem. Dawno w nim nie byłem, a po wypadku to już na pewno.

– Zrobimy próbę? – Ksiądz podniósł się z miejsca.

– Jaką?

– Mam w tej fiolce wodę święconą. – Podszedł do szafki i wyciągnął mały, szklany flakonik. – Spryskam nią pana i zobaczymy, co się stanie.

Marek zawahał się. Nie miał najmniejszej ochoty na kolejne oparzenia. Z drugiej strony, jeżeli w zagadce swojego przypadku chciał jakkolwiek posunąć się naprzód...

– Dobra, niech ksiądz pryska. Tylko, tutaj, na rękę. I nie za dużo. – Z ociąganiem wyciągnął przedramię, podwinął rękaw od bluzy i położył je na biurku.

– Gotowy? – upewnił się kapłan.

– Tak. Lej pan. Miejmy to już za sobą – odpowiedział Marek, wstrzymał oddech i odwrócił wzrok. Po chwili poczuł na ręce najzwyczajszą wilgoć i chłód kilku spływających kropel wody. Nie wystąpił ani żaden ból, ani oparzenia. Najmniejsze. Nic z tego nie rozumiał.

– Jest ksiądz pewien, że to woda święcona?

– W stu procentach. Mam wziąć inną fiolkę dla pewności?

– Dobrze by było.

– Jak pan chce, ale jestem prawie pewien, że to nic nie zmieni.

Jak ksiądz powiedział, tak zrobił. Nie pomylił się. Woda. Najzwyczajsza w świecie. Ha dwa o. Skóra Marka zrobiła się po prostu mokra. Nic więcej. Mimo że w tej sytuacji Suchy powinien był poczuć coś w rodzaju ulgi, dało to dokładnie odwrotny rezultat. A to dlatego, że wciąż nic nie wiedział.

– Proszę mi powiedzieć. Jest pan ochrzczony? – Ksiądz powtórnie zajął miejsce za biurkiem.

– Raczej tak. Nie byłem świadomy, kiedy to się działo, bo oczywiście zdarzyło się to za niemowlaka, ale rodzice zawsze mówili, że tak. Do komunii musiałem dostarczyć zaświadczenie o chrzcie.

– Chrzest jest najskuteczniejszą ochroną przed działaniem złego ducha. Podpisywał pan świadomie jakiś cyrograf?

– Nie. Na pewno nie. Nie przypominam sobie.

– To może w inny sposób dobrowolnie oddawał się pan w posiadanie Szatanowi? Na przykład wypowiadając to na głos?

– Nie!

– A może utożsamiał się pan z nim?

– Ja? To znaczy? Co ma ksiądz na myśli?

– Na przykład używa pan wśród przyjaciół pseudonimu, który ma coś wspólnego ze złym duchem i sam ich prosił, żeby tak pana nazywali. Dajmy na to diabeł, demon, bies, mefisto, antychryst albo coś w tym stylu.

– Nie. Co prawda mam przezwisko, ale wzięło się od nazwiska, a na nazwisko mam... – urwał. – No, w każdym razie nic wspólnego z diabłem. Prędzej powiedziałbym, że kojarzy się z kacem.

– Więc na pewno nie jest pan opętany. Do tego nie parzy pana woda święcona, nie reaguje pan agresją ani na krzyż, ani na mnie, a za księżmi zły duch też za bardzo nie przepada. Nic panu nie jest! – Ksiądz rozłożył ręce w uroczystym geście i uśmiechnął się.

– Jest! – zareagował gwałtownie Suchy. – Może – zamilkł na moment, aby skupić się na znalezieniu w myślach najbardziej prawdopodobnego scenariusza – może ten demon, szatan czy co tam we mnie siedzi, wykorzystał ten moment jak leżałem w śpiączce i właśnie wtedy we mnie wszedł? Nie byłem wtedy świadomy. Nie mogłem się obronić.

– To strasznie naciągane.

– Chłopie! Słyszysz ty mnie? Coś jest ze mną nie tak! Na sto procent! Coś mnie nawiedza. I chcę się tego pozbyć!

– Z tym już niestety nie do mnie, bo ja nic panu nie pomogę. Może jednak ten psychiatra.

Wyprowadzony z równowagi Marek zerwał się na równe nogi i zamasyżystycznym ruchem ręki zwałił wszystko z biurka. Chyba już nadeszła najwyższa pora na skorzystanie ze sprawdzonych, niezawodnych, gangsterskich metod...

– Odpraw na mnie egzorcyzm – wycodził przez zęby.

Ksiądz, zaskoczony nagłym napadem szału gościa, znieruchomiał w fotelu.

– Przecież mówiłem, że to nie jest takie proste i tak szybko się nie da.

– Nie obchodzi mnie to. Masz odprawić na mnie egzorcyzm. Teraz, zaraz. Jeżeli tego nie zrobisz, to cię połamię. – Marek wycelował w adwersarza poparzoną palcem.

Duchowny znacząco spojrzał najpierw na leżący na ziemi telefon stacjonarny, a potem w kierunku drzwi.

– Zapomnij. – Suchy zauważył to i doskoczył do aparatu, aby wyrwać ze ściany kabel.

Ksiądz najwidoczniej uznał to za swoją jedyną szansę, ponieważ błyskawicznie rzucił się do ucieczki z drugiej strony biurka. Marek był jednak szybszy. Pchnął uciekiniera prosto na zamknięte drewniane drzwi tak mocno, że duchownemu zabrakło tchu i zwałił się na ziemię. Od uderzenia rozbiły mu się okulary, ale na szczęście obyło się bez żadnych poważniejszych obrażeń na

twarży. Suchy chwycił go od tyłu, odwrócił przodem do siebie, oparł plecami o drzwi i syknął:

– Rób, co mówię, dziadek, a włos ci z głowy nie spadnie. Po pierwsze, nie krzycz, nie wzywaj pomocy, bo będzie to ostatni krzyk w twoim życiu. Po drugie, odpraw ten cholerny egzorcyzm! Nic więcej od ciebie nie chcę! Zrób to i daję ci spokój.

– Nie mogę – wycharczał kapłan.

– Możesz! Po prostu przyjmij, że Kościół potwierdził u mnie opętanie, a lekarz zgodził się, że to nie żadna choroba psychiczna. I zrób to, co wtedy robisz!

– Ale to nie tak.

– Chcesz, żebym ci spalił plebanię, a potem kościół? Wiesz, kim ja jestem? Wiesz, jakie mam znajomości? Nie chciałbyś z nimi zadzierać. Mogę zamienić twoje życie w piekło. Rób, co ci każę!

Po tych słowach ksiądz wyraźnie zbladł i po kilku sekundach walki z samym sobą wyjąkał:

– Dobrze, zrobię to.

– Dobra odpowiedź. – Marek puścił sutannę, którą do tej pory trzymał za poły tuż pod brodą mężczyzny. – Do roboty.

– Niech pan usiądzie. – Duchowny wskazał krzesło.

– Siadam. Tylko bez numerów. Jeden fałszywy ruch i zarobisz latarę w łeb, ostrzegam.

Kiedy Suchy usadowił się na siedzisku, ksiądz założył na szyję stulę. Następnie otworzył jakąś wysłużoną księgę, w drugą rękę chwycił krucyfiks (co wyglądało zaiste groteskowo, jako że w oczach Marka ramiona krzyża w dalszym ciągu przenikały duchownemu przez palce). Przeżegnał się, po czym zrobił znak krzyża także przed Suchym. I zaczął mówić:

*O Jezu Zbawicielu,
Panie mój i Boże mój,
Który poprzez ofiarę krzyża odkupiłeś nas
I zwyciężyłeś Szatana,
Proszę Cię o uwolnienie tego człowieka
Od wszelkiej obecności diabelskiej
I od wszelkiego wpływu Szatana.
Proszę Cię o to w Twoje imię.*

*Proszę Cię o to przez Twoje rany.
Proszę Cię o to przez Twoją krew.
Proszę Cię o to przez Twój krzyż.
Proszę Cię o to przez wstawiennictwo Maryi,
Niepokalanej i Bolesnej Twojej Matki.
Krew i woda, które wypływają z Twego boku,
Niech spłyną na twego sługę,
Aby go oczyścić, wyzwolić i uzdrowić. Amen.*

Po tych słowach spryskał Marka wodą święconą i przyjrzał mu się uważnie. Nic się nie działo. Suchy nie odczuł też nic szczególnego wewnątrz ciała. W głowie też nie.

– No i? – zapytał w końcu.

– To jest tak zwana modlitwa ogólna o uwolnienie od złego ducha. Jest to ostatni test, czy człowiek naprawdę jest opętany. Jeżeli tak, zły duch powinien się po niej jakkolwiek ujawnić. Czuje pan coś?

– Nie.

– Mówiłem panu, że nic panu nie jest!

– Kontynuuj, nie gadaj! – warknął Marek.

– Ale to nie ma żadnego sensu!

– To ja decyduję, czy coś ma tutaj sens, czy nie. Zrób to!

Nie mając innego wyboru, ksiądz kontynuował rytuał. Trwał on do samego ranka. Najpierw czytał z księgi niesamowicie długie modlitwy wstępne, po czym jeszcze raz skropił Suchego wodą święconą. Następnie odmówił litanie, czytał psalmy i Ewangelię. Od czasu do czasu kładł ręce na ramionach egzorcyzmowanego, prosząc w modlitwach, by zły duch od niego odszedł. Podczas tej czynności parę razy chuchnął prosto na twarz Marka (a że niechybnie zbliżał się ranek, nie było to zbyt przyjemne doświadczenie dla Suchego), ponieważ wymagał tego rytuał. Potem recytował wyznanie wiary i nakazał Markowi odnowić przyrzeczenia chrzcielne. Po tym nastąpiła Modlitwa Pańska, jeszcze raz uniósł krzyż i pobłogosławił nim Suchego. Wypowiedział formułę błagalną skierowaną do Boga oraz formułę rozkazującą, wyrzucającą diabła w imię Jezusa Chrystusa. Gdy śpiewał pieśń dziękczynną, odmawiał modlitwę oraz błogosławieństwo, co miało w założeniu zakończyć egzorcyzm, słońce wisiało już wysoko na niebie.

Marek w dalszym ciągu nie czuł żadnej różnicy. Jedynie narastający ciężar,

spowodowany wyłącznie tym, że właśnie nic się nie działo. Wciąż był stuprocentowo przytomny i czuł się zupełnie normalnie. Nie rejestrował bólu głowy ani nie słyszał szumu połączonego z piskiem. Słowem, nie wydarzyło się absolutnie nic, co mogłoby świadczyć, że rytuał się powiódł.

Albo że był w ogóle potrzebny.

– Amen – zakończył ksiądz, po czym oparł dłonie o kolana i pochylił się z ciężkim oddechem. – Błagam – wydyszał. – Sam pan widzi, że nic panu nie jest. W ogóle nie reaguje pan na moje modlitwy. Czy może pan już sobie iść? Jestem wykończony.

– Nie wyjdę stąd, dopóki nie dowiem się, jak się tego pozbyć.

– Nie wiem, jak ma pan się tego pozbyć! Nie mam pojęcia! – wrzasnął ksiądz.

– Może coś zrobiłeś nie tak.

– Wszystko robiłem jak należy. Co do słowa! – Wskazał na księgę.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Słucham?

– Zrób to jeszcze raz. Lepiej niż poprzednio. I tym razem się przyłóż.

– Pan chyba żartuje!

– Nie! Jestem teraz jak najbardziej poważny. Do roboty.

– Nie.

– Co powiedziałaś?

– Nie zrobię tego. Niech pan sobie idzie i da mi wreszcie spokój.

– Ja widzę, że ty chyba wciąż tutaj czegoś nie rozumiesz. – Suchy podniósł się z krzesła i bardzo powoli podszedł do staruszka. W miarę, jak się do niego zbliżał, ksiądz coraz bardziej kulił się w sobie. Nie miał odwagi na niego spojrzeć i odwracał wzrok w stronę podłogi, na przemian z upragnionymi drzwiami za Markiem.

– Ty nie masz tu nic do gadania – wycodził Suchy, zbliżając twarz kapłana do jego własnej na odległość zaledwie kilku centymetrów. Duchowny wciąż nie patrzył mu w oczy, więc Marek chwycił go za brodę i siłą do tego zmusił.

– Ej! – zaprotestował ksiądz.

– Rób to jeszcze raz albo pożałujesz.

– Siostrze, teraz! – zniecka zawołał. Nim zaskoczony Marek zdołał się choćby ruszyć, poczuł silny cios w głowę, po którym od razu stracił przytomność. Gdy padał zemdłony na ziemię i stopniowo tracił łączność ze światem,

zdążył zobaczyć stojącą nad nim zakonnice. Tę samą, która wpuściła go do tego budynku.

Trzymała w ręce Pismo Święte.

MOWA NIENAWIŚCI

– Przepraszam pana. Wszystko w porządku?

Marek ocknął się. Leżał na bruku, tuż pod drzwiami na plebanię pod konkatedrą świętego Aleksandra. Pochyliła się nad nim jakaś młoda dziewczyna.

– Wszystko ok? Nic panu nie jest?

Poruszył głową, którą wciąż opierał o drzwi, i dotknął się o nie miejscem, w którym wytworzył mu się pokaźny guz. Syknął z bólu.

– Wezwać karetkę?

– Nie! Nie trzeba! Wszystko jest dobrze! – Po tych słowach momentalnie odzyskał jasność umysłu. Wstał, lecz zrobił to trochę za szybko. Zakręciło mu się w głowie, zachwiał się lekko i musiał się przez to oprzeć o drzwi. Już w następnej sekundzie dziękował w duchu opatrznosci, że to właśnie je miał przy sobie, a nie żadną ścianę.

– Skoro tak, to ok. Życzę zdrowia. – Wzruszyła ramionami dziewczyna i ruszyła w stronę świątyni, znikając wkrótce w tylnym wejściu.

Marek nacisnął klamkę od drzwi do plebanii. Zamknięte.

– Otwieraj! – wrzasnął i kopnął je z całej siły. – Otwieraj! Nie odpuszczę ci, stary durniu! Ciebie już nie ma! Jesteś martwy... – urwał, jak tylko usłyszał za sobą odgłos policyjnego koguta. Furgonetka wjechała z piskiem opon na parking tuż przed kościołem.

– Kurwa – mruknął i czym prędzej rozejrzał się za jakąś dobrą kryjówką. Wobec braku czasu jedyne, co mu przyszło na szybko do głowy to kościół, więc zaczął biec w kierunku tych samych drzwi, z których uprzednio skorzystała dziewczyna. Jak się okazało, należała ona do chóru, który stał teraz w komplecie przed ołtarzem i w skupieniu obserwował ruchy machającego rękami dyrygenta. Odbywali próbę.

Marek minął ich i podszedł do jednej ze stojących pod ścianą ław. Wybrał taką, wobec której istniało najmniejsze prawdopodobieństwo, że ktokolwiek go w niej zobaczy, i ukląkł. Zamierzał udawać pogrążonego w modlitwie wiernego. Oparł łokcie o górną część klęcznika, złożył pokryte bliznami ręce i położył na nich czoło.

Chociaż, w sumie, czy musiał tak naprawdę cokolwiek udawać? Czy pozostało mu już cokolwiek innego?

Zdał sobie sprawę, gdzie właśnie się znalazł. W kościele. Czyli jeżeli coś by w nim siedziało, już dawno powinien był to jakkolwiek odczuć. Jakiś niepokój, gniew, agresję. Cokolwiek. Nic takiego się jednak nie działo. A to oznaczało tylko jedno. Stary klecha miał rację.

W pewnym momencie pojął, że w tle roznosi się przyjemny dla ucha, wykonywany z wielką celebrą śpiew chóru. Brzmiało to tak pięknie, że po plecach przeszły mu ciarki. Wsłuchał się w słowa. Pieśń miała nieco smutną, lecz nie-samowicie wzniosłą melodię.

*Witaj pokarmie, w którym niezmierny
Nieba i ziemię Twórcą jest zamknięty
Witaj napoju zupełnie gaszący
Umysł pragnący*

*Witaj krynico wszystkiego dobrego
Gdy bowiem w sobie masz Boga samego
Znasz ludziom wszystkie jego wszechmocności
Niesiesz godności*

*Witaj z niebiosów manna padająca
Rozkoszny w sercu naszym smak czyniąca
Wszystko na świecie co jedno smakuje
W tym się znajduje...¹*

Marek jęknął i złapał się za skronie. Znienacka uderzyło go bowiem kolejne ukłucie bólu głowy i stopniowo narastający szum z piskiem. Były tak głośne, że dalsze słowa pieśni stawały się praktycznie niesłyszalne. Być może to dlatego zarejestrował je następująco:

*Witaj rozkoszne z ognia piekielnego
Drzewo owocu złego i martwego
Kto cię skosztuje ciemności się oddaje
Przeklętym się staje*

Witaj jedyna serc ludzkich wartości

*Witaj strapionych beznadziejo, złości
Zła i nienawiści dziś słudzy szukają
Ku tobie wołają*

Marek jęknął i czym prędzej wstał ze swojej kryjówki. Wciąż trzymając się obydwoma rękami za głowę, na moment kompletnie zapomniał o policji i wybiegł z kościoła głównym wyjściem. Dopiero tam, zaraz po tym jak spojrzał w prawo i spostrzegł pustą furgonetkę, skręcił w lewo, w stronę ulicy Kościuszki. Zszedł po schodach i przyspieszył kroku.

Znamienne, że im bardziej oddalał się od świątyni, tym bardziej słabły ból, szum i pisk.

Znajdował się w kropce. Kompletnie nie wiedział, co ma teraz zrobić. Nie wiedział, dokąd ma iść. Nie wiedział, gdzie powinien szukać dalszej pomocy.

Po prostu nie wiedział absolutnie nic. Był zagubiony jak dziecko we mgle.

I naturalnie się bał. Jak cholera.

Drżącymi rękami wyciągnął telefon i raz jeszcze wybrał numer do chyba ostatniej osoby na tym świecie, która mogła cokolwiek tutaj działać.

SAMOTNOŚĆ

Ula nie odbierała. Nie ustawał w próbach. Postanowił, że będzie dzwonić do niej tak długo, aż odbierze albo tak długo, dopóki nie padnie mu bateria. W końcu, w trakcie mniej więcej dwudziestej próby połączenia, odezwał się męski głos.

– Zostaw nas w spokoju! Zostaw Ulkę w spokoju!

Sławomir Giedrojć. Jego ukochany szwagier.

– Daj mi ją! Muszę z nią porozmawiać.

– Ale ona nie chce z tobą rozmawiać.

– Daj mi ją do telefonu, powiedziałem.

– Daj nam spokój.

– Daj mi ją albo słowo daję, przyjdę tam do was osobiście i wyważę drzwi.

Chcesz tego, Giedrojć?

– Nie pozwolę ci skrzywdzić mojej rodziny. Masz to więcej niż pewne.

– Ty? – zapytał kpiąco Marek. O ile nic się nie zmieniło, Sławek Giedrojć był co prawda wysokim, ale bardzo szczupłym facetem o wyglądzie podstarzałego studenta informatyki, który siłownię w swoim życiu widział chyba jedynie w telewizji.

– Tak, ja.

– Może sprawdzimy? Co powiesz na mały sparing? Teraz, zaraz? – warknął Suchy. Wyglądało, że nie da się tej sprawy załatwić dyplomatycznie. Może warto uczyć się od najlepszych i tak jak oni stosować zasadę „dwa razy po dobroci, a za trzecim już grzmocić”?

– Jeżeli do nas przyjdiesz...

– To co mi zrobisz? No, mów, odważniaku! Wezwiesz psy na szwagra? No, powiedz to! Powiedz, że wezwiesz psy! Czy sam mnie pobijesz?

– Nie wezwę policji. Wezwę kogoś innego.

– Kogo? No, pochwal się, kogo znasz.

– Znam Grześka Samielewicza od dziecka. Praktycznie od piaskownicy. To mój dobry kolega. Nie odmówi mi przysługi.

Zaskoczył Marka tym wyznaniem. Nim Suchy zdążył odpowiedzieć, Sławek dodał bardzo spokojnym, opanowanym tonem:

– A ty? Spójrz na siebie. Wciąż myślisz, że wszyscy się ciebie boją, a to nieprawda. Nic już nie znaczysz. Nie masz ani ludzi, ani pieniędzy. Jesteś sam jak palec. Przez cały czas budowałeś relacje z innymi na zasadzie zastraszania, względnie przekupywania i teraz zbierasz tego owoce. Dopóki ludzie się ciebie bali, jakoś się to kręciło. Ale teraz, kiedy nie wzbudzasz już strachu, a jedynie śmiech, okazuje się, że na nikogo nie możesz liczyć, bo każdy wspomina cię jak najgorzej. Nie masz już przyjaciół. Nawet twoja żona i dzieci myślą, że zblizkowałeś i chcą trzymać się od ciebie jak najdalej. Jesteś nikim. Nikomu już na tobie nie zależy. Po prostu zejźdź nam z oczu i zniknij. Nie jesteś nikomu potrzebny.

– Zamknij pizdę! – wrzasnął Marek. Odpowiedziała mu cisza. Sławek przerwał połączenie. Suchy już miał zadzwonić jeszcze raz, gdy rozbrzmiał dzwonek jego telefonu.

Nieznany numer. Odebrał.

– Halo?

– Dzień dobry. Czy rozmawiam z panem Suchockim?

Kobieta. Nie kojarzył głosu.

– Tak, to ja.

– Jest pan sam? Może pan rozmawiać? Nie przeszkadzam?

– Tak, a o co chodzi?

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. Od razu uprzedzam, że to, co panu zaraz powiem, może być dla pana szokiem, ale dla mnie też było. Myślę jednak, że powinien pan wiedzieć.

– Kim pani jest?

– Nazywam się Marzena Serafin.

– Nie znam nikogo takiego. To chyba jakaś pomyłka.

– Nie! Nie pomyłka! Nie znamy się, nie widzieliśmy się nigdy w życiu. Numer zdobyłam od dziewczyn z pana pubu. Z Bramy...

– Beermy! Beermy, nie Bramy! Ludzie, nauczcie się w końcu!

– A tak, rzeczywiście, przepraszam.

– Czego pani chce?

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że pańska żona pana zdradza?

Marek znowu przystanął.

– Co to za brednie jakieś?

– To nie żadne brednie. Czyli nie wiedział pan.

– Co mi pani za bzdury opowiada?!

– Sama nie mogłam w to uwierzyć. Też wydawało mi się to niemożliwe, ale to prawda.

– Kim pani jest, do cholery?

– Jestem żoną faceta, z którym pańska żona to zrobiła. Nazywa się Jacek. Jacek Serafin.

– To niemożliwe. To musi być jakieś nieporozumienie... – zaczął, ale przerwała mu:

– Odkryłam to przypadkiem. Zostawił na wierzchu telefon. Zapomniał go zablokować. Na ekranie akurat był SMS od niej. Ona nazywa się Kasia, prawda? Kasia Suchocka?

– Tak – mruknął Marek. Wciąż stał w tym samym miejscu, z bezwładnie opuszczoną ręką. Nogi miał jak z waty.

– Mam zacytować, czy nie chce pan tego słuchać?

– No, słucham.

– Napisała mu: „Dziękuję ci, bejbe, za ostatnią noc. Było bosko! Zrobiłeś mi dobrze, jak nikt inny”.

– Nie wierzę w to! – zagrzmiał. – To jakaś bzdura! To niemożliwe!

– Obawiam się, że jednak możliwie. Jak to zobaczyłam, zaczęłam przeglądać inne SMS-y. Nie dzwonili do siebie. Tylko pisali, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Marek milczał, przypominając sobie nagle wiadomości, na które Kasia „musiała pilnie odpisać” nawet w trakcie odwiedzin w szpitalu świeżo po jego amputacji.

– Proszę mi powiedzieć, czy pana żona jechała niedawno do Warszawy? – kontynuowała kobieta.

– Tak. – Kamień w żołądku Suchego rósł niczym ciasto w piekarniku.

– I co panu powiedziała?

– Jechała do siostry. Ma tam jedną.

– To powiem panu, że nieźle pana okłamała. Tak naprawdę spędzała tam czas z moim mężem. On też mnie okłamał. Mówił wtedy, że jedzie w jakąś delegację.

– Nie wierzę.

– Pisali o tym! Pisali o tym wyjeździe. Pisali o tym, jak to będzie im cudownie. Mówię panu! Mieli zatrzymać się w jakimś hotelu i tam się pieprzyć. Przez bity tydzień.

– To nieprawda!

– Czy niedawno nie zdarzyło się pana żonie nocować poza domem?
– Chyba nie. Nie, moment! Tak! – Marek przypomniał sobie poranek, podczas którego uciekł ze szpitala i potem nie zastał całej swojej rodziny w domu. – Ale powiedziała mi wtedy...
– ...że nocowała u rodziców? – dokończyła za niego kobieta.
– Tak. Skąd pani wie?
– Bo o tym też pisali. Uwaga, cytuję: „Mało brakowało! Dobrze, że mi uwierzył w tę bajeczkę z noclegiem u rodziców! W sumie to było zabawne, że zadzwonił do mnie akurat wtedy, kiedy jeszcze leżałam z tobą w łóżku, bejbe. Podniecało mnie to, jak nie wiem co! To trzymanie w jednej dłoni telefonu i rozmawianie z nim, a w drugiej twojego”...
– Dość! – przerwał jej Marek. – Gdzie on jest? Gdzie jest ten kutas? Adres! Gdzie mieszkanie? Zajebię go! – krzyczał. Kompletnie niespodziewany emocjonalny wstrząs zwałił go z nóg. Zaciskał wolną pięść tak mocno, że aż zbiegły mu knykcie i trzaskały kości.
– Kto? Mój mąż? Nie mam pojęcia. Jak mu zrobiłam awanturę i wyrzuciłam z domu, to pojechał gdzieś w siną dal. Może do swojej kochanki? – zapytała z przekąsem kobieta.
Marek nie zastanawiał się już ani chwili dłużej. Ruszył na najbliższy postój taksówek.

Musiał to zobaczyć. Na własne oczy. Inaczej nie potrafiłby w to uwierzyć. Musiał zarejestrować ten obrazek własnymi oczami, nawet jeżeli ostatnio nie miał do nich zaufania. Musiał przetworzyć go w mózgu. Wszystko po to, by zeszło z niego poczucie winy. Winy i upokorzenia, że w oczach jego żony jakiś dupek okazał się atrakcyjniejszy niż on.

Jeżeli Kasia robiła właśnie to, co podejrzewał, że mogła, zamierzał ją przyłapać na gorącym uczynku. Wsiadł więc ulicę wcześniej i stamtąd, zachowując ciszę, dotarł do domu. Po dotarciu ostrożnie podszedł do drzwi i delikatnie, powoli nacisnął kłamkę. Zamknięte. Zerknąwszy więc, czy nikt go nie obserwuje, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej klucz, którego na szczęście nie zostawił, kiedy po raz ostatni z szaleńczym śmiechem opuszczał ten dom.

Wsadził go w dziurkę i przekręcił. W zaaferowaniu kompletnie zapomniał o alarmie, który po otwarciu drzwi rozbrzmiał z donośnym piskiem, oznajmia-

jąc mu, że ma dokładnie trzydzieści sekund na wklepanie w klawiaturkę odpowiedniego kodu. Oznaczało to też, że w domu nikogo nie ma.

Albo, że ktoś zabezpieczał się podwójnie i w ten sposób chciał zyskać na czasie, aby ewentualnie się ukryć. Marek przypomniał sobie, że alarm umożliwiał przecież ustawienie czujnika jedynie na parter.

Po rozbrojeniu systemu, nawet nie zdjął butów. Wszedł głębiej.

– Kaśka? Kiwi? Adek? – zawołał. Nikt mu nie odpowiadał. Dla upewnienia się obszedł wszystkie możliwe pomieszczenia, ale nikogo w nich nie zastał. Istny paradoks. Z jednej strony trochę go to uspokoiło, ale z drugiej bardziej zaniepokoiło. O ile wcześniej w podobnej sytuacji obawiał się o bezpieczeństwo swojej rodziny, o tyle teraz bał się, że właśnie teraz jest im wręcz za bezpiecznie.

Wybrał numer do Kaśki. Nie odbierała. Spróbował jeszcze kilka razy, ale z identycznym skutkiem. To samo działo się, gdy dzwonił do córki i syna.

Poddał się i schował telefon do kieszeni. Nie wiedział, co ze sobą począć. Jednocześnie, im więcej czasu mijało, tym ta zdrada zaczynała brzmieć coraz bardziej niedorzecznie. To nie mogła być prawda.

W oczekiwaniu na powrót rodziny, postanowił poszukać w domu czegokolwiek podejrzanego. Istniały na to małe szanse, ale bardziej potrzebował pretekstu, by się czymś zająć. Najgorsze co mógł teraz robić, to siedzieć na tyłku i rozmyślać.

Zaczął od sypialni. Zajrzał pod łóżko, do szafki nocnej Kasi, nie omieszkał nawet sprawdzić jej bielizniarki w obawie, czy nie znajdzie tam specjalnego zestawu seksownej bielizny, którego nie będzie kojarzył z widzenia. Nic takiego się nie zdarzyło, toteż za następny cel w swoich poszukiwaniach obrał łazienkę na piętrze. W przeczuciu postanowił zerknąć najpierw do małego kosza na śmieci.

– Nie.

Zaczęło kręcić mu się w głowie. Musiał przytrzymać się umywalki. Gdyby nie to, byłby zwyczajnie stracił równowagę.

Na samym wierzchu wypełniających pojemniczek odpadków leżała czerwona, zawiązana na supełek prezerwatywa.

Zużyta.

*Z nim będziesz szczęśliwsza
Dużo szczęśliwsza będziesz z nim
Ja cóż – włóczęga, niespokojny duch
Ze mną można tylko
Pójść na wrzosowisko
I zapomnieć wszystko
Jaka epoka, jaki wiek
Jaki rok, jaki miesiąc, jaki dzień
I jaka godzina
Kończy się
A jaka zaczyna²*

Choć nastawił głośność na swoim drogim, luksusowym zestawie hi-fi połączonym z kinem domowym na najwyższy możliwy poziom, Marek, śpiewając razem z wokalistą, wydierał się nawet jeszcze głośniej. Siedział po turecku na podłodze, kołysał się do przodu i do tyłu i płakał jak małe dziecko. Normalnie nie byłoby siły, by się tak rozkleił, ale kilka wypalonych skrętów najlepszego haszyszu od Rubika i walająca się przy nim na ziemi butelka wódki, którą właśnie opróżnił, usunęły wszelkie zapory dla jego emocji. Połączenie to zawsze robiło za uniwersalny lek przeciwbólowy, lecz w tym beznadziejnym przypadku nawet on zawodził. Marek nie miał już ani siły, ani ochoty iść do sklepu czy dzwonić do Rafała po kolejną jego dawkę bez recepty.

Podczas gdy w domu na cały regulator rozbrzmiewały inne smutne piosenki o zawodzie miłosnym przemieszane z agresywnym heavy metalem, zaczął więc się po podłodze. Jęczał, zawodził, bezustannie zmieniał pozycje, gdyż w żadnej z nich nie było mu wystarczająco wygodnie. Trzymał się za twarz, momentami wściekał się, wrzeszczał i rzucał przekleństwami w kierunku sufitu. Kiedy indziej popadał w jeszcze większą rozpacz i beznadzieję, a czasem wybuchał pełnym niedowierzania, szaleńczym śmiechem.

W pewnym momencie przypomniał sobie o zamontowanych przez Arka kamerkach, które, o ile Grzegorz nie kłamał, najpewniej w dalszym ciągu kryły się gdzieś w zakamarkach domu. Bez wyraźnego powodu zaczął czołgać się po podłodze w nieokreśloną stronę, podciągając się samymi otwartymi dłońmi.

– Gdzie jesteś? – zapytał w losowym kierunku. – Gdzie się ukryłeś? Tu? Tu? A może tam? – Leżąc na brzuchu, wskazał na sporą jukę, która stała przy

telewizorze. – Gdzie jesteś, piękniśiu? Dobrze się bawisz? Śmiejesz się? Dobry serial, co? Lepsze niż brazylijska telenowela! Patrz sobie do woli. Możesz się nawet do tego pałować! Coś ci pokażę. – Dźwignął się na nogi, zachwiał się lekko, ale gdy tylko odzyskał równowagę, rozpiął spodnie i spuścił je w dół wraz z bokserkami. – O! Tu cię mam, pedale! Tu cię mam! – wrzasnął do juki, wskazując na swoje krocze – Tu! Przyjrzyj się uważnie. – Odwrócił się w stronę półek z książkami. – To wszystko twoja wina! To wszystko zaczęło się przez ciebie! Dlaczego cię w tym pierdlu nie zajebali?! Byłby spokój! Dlaczego musiałeś tu wracać? Dlaczego, kurwa? Nienawidzę cię! Słyszysz?! Nienawidzę cię, szmato! Zniszczyłeś mi życie!

– Marek? – Przez głośną muzykę i swoje wrzaski, kompletnie nie usłyszał powrotu do domu Kasi i dzieci. Stali teraz w korytarzu i wpatrywali się w niego z mieszaniną lęku, zdziwienia i niepokoju. Tym bardziej, że nadal miał na wierzchu genitalia.

– Dzień dobry – wybełkotał i niezgrabnie podciągnął spodnie.

– Co ty wyrabiasz?! Jak ty wyglądasz? Co ty z siebie zrobiłeś? – Kasia wzięła pilota i ściszyła muzykę.

– Ja? – zapytał ze szczerym pijackim zdziwieniem, wskazując na siebie obydwoma rękami. – Lepiej powiedz mi, co ty robisz!

– O co ci chodzi?

– Dobrze się bawiłaś z Jackiem, bejbe? – Kiedy wypowiedział to imię, wyraźnie drgnęła.

– Jakim Jackiem? – spróbowała. O kilka sekund za późno, niż powinno się to normalnie zdarzyć. Nie patrzyła mu w oczy. Podrapała się po policzku. Ton jej głosu nie wyrażał szczerego zdziwienia. Werdykt: negatywny. Lekcje czytania ludzi z Grzegorzem S. już przynosiły konkretne rezultaty.

– Zaraz. Jak mu tam? Serafin? Tak! Z Serafinem! Z tą męską dziwką, z którą mnie zdradzałaś! Wiem wszystko!

– Skąd wiesz?

– Czyli to prawda?! Jezu – jęknął i walnął się na kanapę. Intensywnie przyciskał sobie drżące dłonie do skroni, tym razem nie z powodu bólu głowy.

Kasia nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w niego z miną wyrażającą poczucie winy.

– Jak długo? – zapytał w końcu Marek.

– Dwa miesiące.

– Kto to jest?

– A czy to ważne?

– Mów! Kto to jest?

– Dawny kolega z liceum.

– Zajebię szmatę! On już nie żyje! Gdzie on mieszka? Mów! – Marek gwałtownie wstał i zaczął iść w jej kierunku, niczym rozjuszony byk.

– Marek! – Kasia uniosła rękę i zatrzymała go.

– Przeżyje takie tortury, jakich nigdy w życiu...

– Marek, uspokój się!

– Ile razy się z nim pieprzyłaś? Ile?! Robiłaś mu dobrze? Obciągałaś mu? Lizałaś po jajach?

– Uspokój się! – zawołała, patrząc znacząco na przysłuchujące się kłótni dzieci.

– Niech się uczą! Zobaczcie! Tak wygląda dorosłość! – wrzasnął. – Wasza ukochana mamuska okazała się kurwą! Dupodajką! Nie wytrzymała! Dlaczego to zrobiłaś? Błagam, wytłumacz mi, dlaczego to zrobiłaś? Jak mogłaś mi to zrobić? Tak ci było ze mną źle?

Kasia wyprostowała się nagle w pewnej sobie pozycji. Kompletnie zmienił się jej wyraz twarzy.

– Bo mi czegoś brakowało – oświadczyła ze spokojem.

– Czego ci brakowało? Miałaś przecież wszystko! Wszystko czego chciałaś!

– Potrzebowałam odmiany, ot co. Ciebie ciągle nie było w domu. Szlajałaś się gdzieś z kumplami. Krążyły też plotki, że przystawiasz się do jednej ze swoich barmanek. Zanedbywałeś mnie i dzieci. No, to sobie znalazłam kogoś, kto mi tę lukę wypełnił.

– Co? Co ty w ogóle pieprzysz?

– Do tego zaczynało się robić niebezpiecznie. Przez twoje interesy i porachunki bałam się o siebie i dzieciaki. Miałam tego dość. Nie chcę takiego życia. Owszem, chcę wysokiego standardu, ale nie takim kosztem. Wszystko ma swoje granice.

– Pan Jacek jest fajny – zniecka odezwała się Iwonka. Idealnie wtedy, kiedy skończyła mówić Kasia. Marek zauważył coś jeszcze, ale na razie nie potrafił stwierdzić z całą pewnością, czy aby nie zdarzył mu się przypadkiem jakiś omam. Poza tym, aktualnie na rozważanie tego był zbyt pijany, naćpany i roztrzęsiony. – Jest śmieszny. Zna dużo dowcipów. Pokazał mi też parę magicznych sztuczek. I ja też je już umiem. Będę mogła pochwalić się koleżankom! – dodała dziewczynka. – Kupił mi nowe zabawki i pozwala mi jeść sło-

dycze. Jest fajniejszy od ciebie. Bawi się ze mną. Nie krzyczy. Przytula. Czytał mi bajki na dobranoc. Z nikim się nie kłóci, nikt nie wybija szyb w jego domu. Chciałabym, żeby to on był moim tatusiem.

– Ja też go lubię – kontynuował myśl Iwonki Adam. I zdarzyło się dokładnie to samo, co poprzednio. Naprawdę wydało się Markowi, że ilekroć któreś z nich milkło, wyskakiwało z niego coś, co przypominało czarny, żywy dym. Niewyraźny, półprzezroczysty cień, który pojawiał się i znikał za plecami osoby, która w danym momencie zaczynała mówić. Przeskakiwał z jednego na drugie jak żaba albo konik polny. – Ma firmę, która jest jednym z głównych sponsorów Wigier. Obiecał mi, że będę grał częściej, że pogada z prezesem, żeby ten specjalnie porozmawiał o tym z trenerem. I już wyrzucił z drużyny Chmielaka. Tego, co mnie pobił po meczu z Grajewem. Ty niby jesteś takim kozakiem, niby wszyscy się ciebie boją, a nic z tym nie zrobiłeś. Wszyscy się ze mnie śmiali. Dokuczali mi. A ty nic. Sam tylko ciągle pokazywałeś mi, jaki to ja jestem słaby. Zabroniłeś mi grać z twoimi kolegami na orliku. Jacek też tam gra. W suwalskiej lidze zakładowej. Pozwolił mi dołączyć do drużyny. Nikt tam na mnie nie wrzeszczy. On sam mi podpowiada. Wie, że jeszcze nie gram najlepiej, ale podnosi mnie na duchu. Mówi, żebym się nie przejmował, że z każdym meczem będzie coraz lepiej. I jest lepiej. Jacek jest świetny. Mega pozytywny gościu.

– To moja dawna miłość. – Kolejny przeskok tego cienia i znowu zaczęła mówić Kasia. – W liceum szalałam za nim bez pamięci. Był najfajniejszym chłopakiem w całej szkole. Miał najlepsze oceny, był najbardziej wysportowany, najpopularniejszy. Żebyś zobaczył, jaki przystojny. Wysoki, z zarostem, zadbane włosy. No i ten nieziemski tyłeczek. Facet-marzenie. Wiem, że i ja mu się podobałam, ale nigdy nie miałam odwagi okazać mu, co czuję. Onieśmiał mnie. Taki tajemniczy, niedostępny. I te jego ciemne oczka. Ten łobuzerski wzrok. Miał w sobie jednocześnie coś z drania. Ilekroć patrzył mi prosto w oczy, to normalnie ugiwały się pode mną nogi.

– A ja bym chciała mieszkać z Jackiem. – Iwonka. – Pozwolił mi mówić do siebie po imieniu. Pozwala mi oglądać bajki do późna. Wczoraj byliśmy w kinie i kupił mi popcorn!

– Inne chłopaki mają normalnych ojców! Czemu to akurat mi musiał przytrafić się wrzeszczący czubek? Jesteś chory psychicznie i zwyczajnie się ciebie boimy, rozumiesz, człowieku? – Adam.

– Cała ta historia z twoim wypadkiem. Po tym wszystkim jeszcze bardziej

żałowałam, że wcześniej nie powiedziałam Jackowi, jak bardzo go kocham. Popełniłam błąd. Gdyby nie to, wyszłabym za niego i bylibyśmy szczęśliwą rodziną. Nie mielibyśmy z tobą nic wspólnego. Żylibyśmy w dobrobycie. On jest bogatszy nawet od ciebie. Ma większy dom niż ten i jeszcze lepszy samochód niż twoje porsche. Stać go na wszystko! I osiągnął to wyłącznie ciężką, uczciwą pracą, a nie przekrętami. To stuprocentowy, pewny siebie mężczyzna z jajami, dla którego dobro najbliższych jest najważniejsze na świecie. Nigdy nie pozwoliliby, by spotkało nas to samo co z tobą! Nigdy nie pozwoliliby, byśmy się bali! – Kasia.

– To. – Iwonka.

– Wszystko. – Adam.

– Twoja. – Kasia.

– Wina.

– Wszystko.

– Przez.

– Ciebie.

– Nienawidzimy.

– Cię.

– Dość! – wrzasnął Marek. Nie mógł już tego słuchać. Niezależnie, czy naprawdę wypowiadali to oni, czy też coś innego. Bolało równie mocno. Wystarczył sam widok. Samo spojrzenie w te pełne żalu i złości oczy. Sam ton ich głosów i słyszalna w nim odradza.

Pękł. Wybuchł. Jego psychika została właśnie rozerwana na strzępy. Dosłownie zrównana z ziemią. Ani trochę nie kontrolował tego, co mówi.

– To wypierdalajcie stąd! Wszyscy! To mój dom! Zbudowany wyłącznie za moje pieniądze! I już nie wasz! Jedźcie sobie do tego waszego Jacka! Droga wolna! Wynocha! Ale już!

– I tak mieliśmy zamiar jeszcze dzisiaj się wyprowadzić – stwierdziła Kasia zimnym, obojętnym tonem. To stwierdzenie plus kompletny brak emocji w jej słowach dobiły go jeszcze bardziej. Jej lodowate wyrachowanie bolało przeokropnie.

– To wynocha! – wrzasnął, opluwając podłogę.

– Uspokój się, czubku! Pół godziny i nas nie ma. A jutro wnoszę pozew o rozwód i wyłączną opiekę nad dziećmi. Biorąc pod uwagę twoją profesję i fakt, że nigdy nie było cię w domu, osiągnięcie tego nie powinno być aż takie trudne. Chodźcie – zwróciła się do dzieci i wspólnie poszli na górę. Marek

znowu usiadł na podłodze przed telewizorem, maksymalnie pogłośnił muzykę i ukrył twarz w dłoniach, usilnie walcząc, by znowu się nie rozkleić.

Po mniej więcej trzydziestu minutach, tak jak zapewniła Kasia, wszyscy troje stali w korytarzu, taszcząc ogromne walizy. Wyglądało to tak, jakby mieli je od dawna przygotowane, tylko gdzieś ukryte.

– Pożegnajcie się z tatą – poleciła obojętnym tonem. Jako że stali za jego plecami, Marek odwrócił się nieznacznie. Kątem oka dostrzegł, że żadne z jego dzieci... Że żadne z tych cholernych, niewdzięcznych małych trolli, za które on jeszcze niedawno dałby się pokroić, nie zamierza ruszyć się z miejsca. Zacisnął pięści z wściekłości i żalu.

– Kiwi? – upewniła się Kasia. Iwona spojrzała na nią, po czym niechętnie powłóczyła w stronę ojca. Dotarłszy do jego pleców, wtuliła się w nie od tyłu i objęła mu szyję. Z początku nawet trochę mu to pomogło.

Do czasu, gdy poczuł, że w sile tych czułości jego córka stanowczo przesadza.

– Kiwi? – wycharczał i kaszlnął. Zaczynał się dusić. – Kiwi! Nie rób tak! Przestań!

Nie zważała na jego krzyki i z całej siły zaciskała mu ramiona na gardle tym swoim charakterystycznym, zapaśniczym chwytem. Zaczął więc wierzgać i tym sposobem próbować się z niego uwolnić, ale był zbyt odurzony używkami, a poza tym odnosił wrażenie, że siła dziewczynki jest nieproporcjonalna do jej rozmiarów.

Jakby demoniczna?

– Iwona! Puść mnie! – krzyknął.

Próbował jej dosięgnąć, ale nie potrafił, gdyż umiejętnie unikała jego rąk. Nie mógł też wstać, ponieważ przyciskała go od góry. Stopniowo słabł i z paniką stwierdził, że nie może złapać oddechu. Jego twarz stawała się coraz bardziej nabrzmiała i czerwona, a przed przekrwionymi oczami robiło mu się coraz ciemniej.

– Iwona, dlaczego to robisz? – Spróbował ostatni raz, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Poruszał nimi bezgłośnie jak ryba.

Puściła go dosłownie w ostatniej chwili, tuż zanim straciłby przytomność. Upadł na plecy i biorąc głębokie, bolesne wdechy, jedną ręką trzymał się za gardło, a drugą próbował złapać to coś. To coś, co właśnie teraz siedziało w jej małym, dziecięcym ciele.

Iwona jakby nigdy nic podbiegła do Kasi i Adama, chwyciła za uchwyt od

swojej plastikowej, różowej walizki na kółkach i we troje, zostawiwszy uprzednio na półce wszystkie komplety kluczy, jakie posiadali, bez słowa opuścili dom.

Na zawsze.

KŁAMCY

Dojście do siebie zajęło Markowi trochę czasu. Gdy po długotrwałym płaczu poczuł się nieco lepiej i odzyskał w miarę swobodny oddech, wstał. Akurat zadzwonił leżący na stole telefon. Sprawdził go z drobnym promykiem nadziei, że być może...

Przeklął pod nosem. Matka. Odrzucił połączenie i chwiejnie ruszył do łazienki, aby przemyć twarz i opróżnić pęcherz.

Kiedy stamtąd wyszedł, po raz kolejny usłyszał dzwonek telefonu. Na ekranie znowu widniał napis „Matka”. Ponownie nie odebrał.

– Sram na to – mruknął i dodał jej numer do listy numerów zablokowanych w specjalnej aplikacji na smartfony, którą kiedyś zainstalował celem automatycznego odrzucania niechcianych połączeń od wirtualnych wrogów. Posiadała ona jednak ten defekt, że po każdym takim telefonie operator wysyłał na komórkę stosownego SMS-a.

I teraz przychodziły. Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty. W końcu przestały.

Odezwał się burczący żołądek Suchego, który od wczoraj nie przyjął żadnego sensownego posiłku. Istny paradoks. Marek był głodny jak wilk, ale po zrobieniu sobie prowizorycznej kolacji już po pierwszym kęsie doszedł do wniosku, że to bez sensu i wyrzucił kanapkę do śmietnika. Nie przeszłaby mu przez gardło. Przyczyna tego mogła być dwojaka. Jego rozzalenie i rozpacz albo poważnie ograniczona drożność przełyku po niedawnych wydarzeniach.

Westchnął i powlókł się na górę. Położył telefon na biurku, na wypadek gdyby...

Nie. Żadnego „na wypadek gdyby”. Koniec tematu.

Był tak senny i zmęczony od alkoholu, płaczu, wyczerpania psychicznego i ubytku energii spowodowanego głodem, że ściągnął protezę i padł na łóżko. Skulił się do pozycji embrionalnej i zamknął oczy. Czarne myśli nie zamierzały dać mu spokoju, jakby postawiły sobie za cel, by bez litości dręczyć go w nieskończoność. Próbował zmienić ten stan zasunięciem zasłon, szybkimi oddechami i kolejnymi zmianami pozycji, lecz w niczym to nie pomagało. W końcu, w nagłym impulsie, podniósł się i pogrzebał w podręcznej szufladzie Kasi, gdzie trzymała tabletki na sen. Siłą wepchnął sobie kilka naraz do ust. Nawet

nie popił, od razu połknął. Jęknął, gdy pigułki boleśnie otarły się o jego podrażnione wrzaskami, wódką i duszeniem gardło.

Po tym położył się, jeszcze raz zamknął oczy i rozpoczął rewanż w pojedynku z natarczywymi myślami. Tym razem wygrany przez niego na punkty niejednogłośnym werdyktem sędziów.

Już w nocy obudził go gwałtownie głośny trzask, który dobiegł gdzieś z głębi domu. Brzmiało to tak, jakby ktoś uniósł sporych rozmiarów regał, a potem zrzucił go na ziemię z dużej wysokości. Po chwili usłyszał kroki i znieruchomiał w pozycji leżącej.

Wiedział, że te odgłosy wydawało coś, co w żadnym wypadku nie było człowiekiem. Przynajmniej nie żywym. Tym bardziej, że nie szło po podłodze, a ścianach. Tak, te powolne, stopniowo zbliżające się do niego uderzenia otwartych dłoni zdecydowanie o tym świadczyły. Jakby tego było mało, dopełniał je złośliwy, cienki, dochodzący na przemian z różnych stron chichot. Chichot, który brzmiał w jego uszach dziwnie znajomo.

Zesztywniał jeszcze bardziej, gdy u góry futryny drzwi do sypialni zniecka pojawiła się ręka i „chwyciła” sufit już wewnątrz pokoju. Tuż po niej ukazała mu się głowa z długimi blond włosami, pustymi oczodołami i dużą, bezzębną dziurą zamiast ust, a także kolejna ręka. Jeszcze później cała reszta jej kobiecego ciała.

Pełzająca po suficie niczym jakaś potężna jaszczurka, do tego kompletnie naga Kasia – a raczej coś, co wyglądało jak częściowo wypełniony worek z należącej do niej niegdyś skóry – znalazła się w całości w pomieszczeniu i zaczęła się do niego zbliżać. Jak pająk, drapieźnik robiący cierpliwe podejście do swojej ofiary. Chciało mu się wyc, chciało mu się wziąć jedną z poduszek, zakryć nią sobie twarz i głośno jęknąć, ale bał się nawet ruszyć. Oddychał głęboko przez nos. Choć kompletnie nie ufał już swoim zmysłom, nie mógł oderwać wzroku od tego czegoś nad sobą i leżał jak sparaliżowany.

A to posuwało się naprzód.

W pewnym momencie zamknął oczy i zaczął do siebie rozpaczliwie szeptać:
– To nie jest prawdziwe. To tylko moje halucynacje albo kolejny koszmar sen. Ona nie istnieje. Ona nie ma prawa tak chodzić po suficie. To niemożliwe. To przeczy prawom fizyki. Jestem chory. Jestem pijany i po haszu. Nic mi nie zagraża. Nie mam się czego bać. Wiem, że to nie jest możliwe. Jej tu tak naprawdę nie ma. Nie ma!

Kiedy ponownie uniósł powieki, zakwilił z przerażenia. Pomimo jego desperackich prób przekonania samego siebie co do słuszności pewnych rządzących tym światem praw, to wciąż nie zamierzało zniknąć. Pusta twarz monstrum zwisała mu nad głową w odległości może kilkunastu centymetrów. Zaczął oddychać jeszcze szybciej.

To zbliżyło się do niego, obwączało jak padlinożerca, po czym otworzyło usta i zaczęło lizać go po czole i twarzy swym długim, oślizgłym, zimnym językiem. On to wszystko czuł. Ten obrzydliwy odór wydobywający się z ust stworzenia. Ten oddech, ten smród. Tę wilgoć, ten mokry, szorstki dotyk.

To nie jest prawdziwe. To nie jest prawdziwe. To nie jest prawdziwe!

Nagle zadzwonił leżący na komodzie telefon. Wzdrygnął się, ale to i tak było niczym przy reakcji istoty, która z krótkim, wysokim rykiem błyskawicznie uciekła z pokoju tą samą drogą, którą do niego weszła. Nie sądził jednak, by przestraszyła się dzwonka. Prędeż jaskrawego światła sączącego się z wyświetlacza smartfona.

Marek względnie doszedł do siebie i drżącą ręką chwycił za urządzenie.

Nieznany numer.

Znowu.

Kurwa, czyżby jego zamiary znało już całe miasto?

Zapalił lampkę i dopiero gdy rozświetliła pokój, odebrał połączenie. Wciąż patrzył niepewnie na otwarte drzwi od sypialni i czającą się za nimi ciemność.

– Halo?

– Halo? Czy to pan Marek Suchocki?

Kolejny nieznajomy głos. Tym razem dla odmiany męski.

– Tak. O co chodzi? Jest środek nocy!

Nawet nie wiesz, człowieku, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że zadzwoniłeś! – pomyślał Marek.

– Przepraszam najmocniej, zdaję sobie sprawę z godziny, ale mam ten sam problem co pan. Nie mogę spać – wypalił facet po drugiej stronie ostrym, zirytowanym, ale jak najbardziej poważnym tonem. Wdzięczność Marka momentalnie zaczęła ustępować innemu uczuciu. Zdecydowanie takiemu znajdującemu się pod kreską w drabinie stanów emocjonalnych człowieka.

– To ma być jakiś dowcip czy jak? – zapytał Suchy.

– Żaden dowcip. Po prostu liczę, że dzięki temu wczuje się pan w moją sytuację i zrozumie, jakie to jest męczące.

– Ale o co ci w ogóle chodzi, koleś?!

– O pana matkę.

– Co się dzieje? Kim ty w ogóle jesteś?

– Jestem sąsiadem spod piątki w jej bloku. Ja wiem, tak, przyznaję, daliśmy jej kiedyś numer telefonu na wypadek, gdyby potrzebowała pomocy. Wiemy, że jest schorowana i tak dalej, ale na Boga! W środku nocy? I to pod jakim pretekstem! Przez telefon wydawało się, że umiera, a na miejscu okazało się, że jedynie nie może wstać. To już chyba drobna przesada, sam pan przyzna.

Marek westchnął i złapał się drugą ręką za skronie. Zaczynała mu coraz bardziej drzeć. W żadnym wypadku nie ze strachu. Po drabinie stanów emocjonalnych w dalszym ciągu nie wspinał się tam, gdzie powinien, a schodził. Nawet nie to. Zsuwał się jak strażak na rurze.

– Dzwonię do pana, ponieważ powiedziała, że wcześniej dzwoniła do syna, ale nie odbierał. Czy mogę prosić, by jednak to pan się tym zajął i przy okazji trochę przemówił jej do rozumu? No, bo jednak, z całym szacunkiem, ale to pana matka, a nie moja. My też chcielibyśmy trochę pospać.

– Zaraz tam będę! – rzucił Marek, przerwał połączenie, czym prędzej założył protezę i zerwał się z łóżka.

Zaciskał trzaskające pięści tak mocno, że paznokcie wbijające mu się we wnętrza dłoni rozcięły skórę aż do samej krwi. Bolała go głowa. Zgrzytał zębami, cały drżał i intensywnie oddychał przez nos, lecz wraz z każdym wdechem i wydechem kumulowała się w nim tylko jeszcze większa ilość złej energii. Zupełnie jakby unosiła się w powietrzu i szukała w nim ciepłego, bezpiecznego schronienia.

Ten szał. Ten amok. Ta dzika, ślepa, zwierzęca furia sterowała nim teraz jak marionetką. Władła nim. Posiadła go na własność. Na wyłączność. Robił już wyłącznie to, co mu kazała. Bez najmniejszego zająknięcia.

Zupełnie jakby stanowiła żywy, świadomy byt.

Potężny. Silny.

I zły.

Po dotarciu do centrum (już nawet nie pamiętał jak – czy piechotą, czy wyjętym z garażu rowerem, czy taksówką, czy może ukradzionym komuś autem, które przedtem zatrzymał na drodze i z którego siłą wywłócił kierowcę) niemal wyrwał z zawiasów drzwi od klatki schodowej. Nie zauważył, że z jakiegoś

powodu nie były zablokowane zamkiem, który zwalniało się za pomocą domofonu. Zapalił światło na schodach i od razu wbiegł na górę. Nie zwrócił uwagi na migotanie mijanych przez siebie żarówek. Nie myślał o niczym, tylko o swoim celu. Był tak chorobliwie zdeterminowany, że nie mógł go powstrzymać ani żaden duch, ani żaden demon, ani żadna inna pierdolona siła, która istniała czy to w tym, czy to w innym wymiarze.

Drzwi od mieszkania Marii Suchockiej także nie były zamknięte za zasuwkę. Machnął nimi tak silnie, że aż z łoskotem uderzyły o ścianę. Nie zawracał sobie głowy takimi drobnostkami, jak zamknięcie ich z powrotem, z czego chętnie skorzystała Mia. Od razu ruszył do tamtego pokoju. Maria siedziała na łóżku. Wyglądała jak zawsze, a na jej twarzy błąkał się nawet nieśmiały uśmiech. Widok ten, te wylewające się z niego litrami bezczelność i egoizm ostatecznie przesądziły jej los.

– Mareczek? No nareszcie! Wydzwaniam do ciebie, a ty nie odbierasz. Musiałam aż prosić sąsiadów o pomoc! Pomóż mi wstać – urwała, gdy bez słowa podszedł do niej, silnie pchnął na łóżko, skoczył na brzuch, zacisnął obie dłonie na szyi i zaczął dusić.

– Marek! Co ty? Co ty robisz?! – krzyknęła, usiłując się przed nim rozpaczliwie bronić. Ze swoimi starczymi pozostałościami po mięśniach nie miała z nim żadnych szans. Jeszcze mocniej zwarł palce na jej gardle, z którego zamiast krzyku wydobywało się już tylko charczenie, tłumione jęczenie i zawođenje. Wkrótce jej ręce stały się kompletnie bezwładne i zupełnie przestała walczyć.

– Ty stara ruro. Ty dziwko. Jebana egoistko. Jesteś najgorszą zakałą tego świata. Nie mam już na ciebie siły. Nie wytrzymam dłużej. Nie wytrzymam. Nie wytrzymam! – cedził przez zęby, opluwając się. – Zgiń, przepadnij, zgnij, zniknij z mojego życia raz na zawsze! Nienawidzę cię! Tak bardzo cię nienawidzę! Słyszysz, kurwo?!

Grzegorz mówił: kiedy na twojej drodze pojawiają się problemy, to należy się ich pozbywać, a życie stanie się prostsze. Trzeba to robić samemu. Brać życie w swoje ręce. Nikt za nas tego nie robi i nie warto liczyć na los. Jakże mądre to były słowa! Zatem Marek właśnie się do nich stosował. Dosłownie – brał życie w swoje ręce.

Z gardła Marii dobywało się bulgotliwe rżenie, podczas gdy stopniowo traciła zdolność oddechu. Z każdym urwanym jękiem jej głos stawał się coraz grubszy i niższy. Marek tak bardzo skupił się na jej szyi, że kompletnie nie za-

uważył, iż od pewnego momentu Suchocka patrzy na niego zupełnie inaczej niż do tej pory. Jej ból i zdziwienie nie wiadomo kiedy zamieniły się w ekstazę.

– Tak! Duś mnie mocniej! Skończ to! Nie ma już twojej żony i dzieci, siostra nie chce się z tobą zadawać, więc teraz przyszła kolej na matkę! Zabij mnie, tak jak zabiłeś swojego najlepszego przyjaciela, który niczym nie zasłużył na śmierć! – zawołała w jego stronę skrzekliwym, ochrypłym, ani trochę nie należącem do niej głosem. Gdy to usłyszał, puścił ją przerażony. Wstał i odszedł od niej na bezpieczną odległość.

A ona, jakby nigdy nic, usiadła na łóżku. Sama. Bez żadnego „podaj mi rękę, bo nie dam rady”. Z obojętną miną poruszała trochę głową, trzasnęły jej uszkodzone przed chwilą kręgi, po czym spojrzała na niego z dyskretnym uśmiechem. Grymas, choć ledwo zauważalny, z jakiegoś powodu wyglądał jednocześnie na tak niewysłowienie złośliwy, że Marek nabrał pewności, iż nie rozmawia teraz ze swoją matką.

– Co powiedziałeś? – Celowo użył zwrotu jak do mężczyzny.

– „Powiedziałaś”, jak już. Wciąż. Mimo wszystko. Nie dosłyszałeś? Zabiłeś swojego przyjaciela, najbardziej lojalnego ci człowieka, który był niewinny, głupcze!

– Nie wierzę ci. To kłamstwo. Kim jesteś?

– Nazywam się Lilit.

– Czym jesteś?

– Jestem czymś, co wie i może znacznie więcej niż ty. Czymś o wiele mądrzejszym, sprytniejszym i starszym.

– Jesteś demonem? Opętałaś ją?

– Nie. Wcale. To przecież wciąż ja, Mareczku. Twoja niedołączna, ćwierćinteligentna matka! – Zaśmiała się szyderczo.

– Czego ode mnie chcecie? Dlaczego mnie dręczycie?

– Jeszcze tego nie wiesz? Naprawdę tego nie pojąłeś? Jak sądzisz, co tak naprawdę przyciąga zło? Działa to jak magnes, w którym dla odmiany przyciągają się jednoimienne bieguny. To wszystko jest naprawdę bardzo proste! – szydziła Lilit.

Marek przypomniał sobie niedawne słowa księdza: „Opętanie. Może się to stać wskutek dobrowolnego oddania się diabłu, długotrwałego trwania w grzechu, rzucania przekleństw i uroków”. Poczł się nagle, jakby sam posiadał teraz ciało Josepha Wilsona Swana i właśnie odkrył, jak stworzyć wynal-

lazeł, który kiedyś zostanie nazwany żarówką. Już wiedział. Odnalazł to w czterech słowach tamtej wypowiedzi. To było to! Na sto procent!

Długotrwałe trwanie w grzechu. Długotrwałe trwanie w grzechu, do kurwy nędzy! Opętana, a więc dręczona przez demony będzie osoba, która z własnej woli, permanentnie i przewlekłe czyni zło. Przecież one właśnie się tym karmią i dzięki temu rosną w siłę.

– O to chodzi? To przez to? – powiedział, nie wątpiąc, że demon będzie wiedzieć, co ma na myśli.

– Ciepło, ciepło, Mareczku. Ale chyba nie sądzisz, że będę ci podpowiadać? Wystarczy mi, że z każdym kolejnym dniem robisz wszystko, byśmy stawali się coraz silniejsi. Właśnie w wyniku napadu szału prawie zabiłeś matkę. Wcześniej uwierzyłeś w każdą bzdurę, jaką Samiel naopowiadał ci o Arku i zleciłeś jego zabójstwo. Dałeś się podejść jak dziecko, podczas gdy Knizio tak naprawdę nie miał nic wspólnego z tym, co cię spotkało! Uwierzyłeś nie tej osobie, co trzeba. W pierwszej kolejności powinieneś być wierzyć przyjacielowi. Twoja pycha i rozgoryczenie po utracie władzy okazały się silniejsze od zdrowego rozsądku.

– A więc jak od tego odejdę, dacie mi spokój?

– Kombinuj, Mareczku, kombinuj.

– Mów!

Demon w ciele Marii zaśmiał się złośliwie.

– Nie masz nade mną żadnej władzy. Nie możesz sprawić mi bólu. Co najwyżej jej. Niczym nie możesz mi zagrozić!

– Na pewno? – Marek rozejrzał się po pokoju i dojrzał na półce różaniec. Wciąż widział kończący koronkę krzyż do góry nogami, ale liczył, że może przynajmniej w oczach tego czegoś będzie zgoła odmiennie. – Tego też się nie boisz? – Chwycił różaniec i uniósł przed nią.

Lilit spojrzała na niego i znowu się roześmiała.

– Głupcze, krzyż stanowi dla mnie zagrożenie wtedy, gdy trzyma go człowiek głęboko wierzący. Ty wciąż, nawet pomimo, że ze mną rozmawiasz, masz wątpliwości. Czuję to. Wiem to!

– A ja wiem, że skoro karmicie się złem i ono was przyciąga, to pozbywając się go ze swojego życia, pozbędę się także i was. Wiem to – zawołał z zacięciem Marek.

– To nie jest wcale takie proste, jak ci się wydaje.

– Gadaj sobie do woli. Dlaczego akurat w tej kwestii miałabyś mówić

prawdę? Twoją naturą jest kłamać! Będziesz łączyć i próbować mną manipulować, żeby nic się nie zmieniło. To ci jest na rękę. Ale ja jestem sprytniejszy. Nie pozwolę, by trwało to choćby chwilę dłużej! – oznajmił Marek i, nie czekając na odpowiedź, wybiegł z mieszkania. Jeszcze na schodach wyciągnął telefon i wybrał numer do Grzegorza. Nie odbierał. Tradycyjnie. Skorzystał ze sprawdzonego sposobu i napisał mu SMS-a:

Chcę się spotkać. Jak najszybciej.

ROZMOWA PIĄTA

Zadziałało. Gdy wrócił do domu i wszedł na górę do sypialni, Samiel już tam na niego czekał. Siedział na krześle od biurka w typowej dla siebie, wyluzowanej pozycji, niezmiennie ubrany na czarno i ze swoim kapeluszem na głowie. Suchy uśmiechnął się lekko pod nosem, bo spodziewał się go tam zastać. Dokładnie tam, dokładnie o tym czasie, dokładnie w takim ubiorze i dokładnie w takiej pozie. Czyżby pan Grzegorz zaczynał się robić przewidywalny?

– Słucham cię – odezwał się Samiel.

– Dosyć tego nawijania makaronu na uszy, gościu. Przejdźmy do rzeczy. Wiem, że okłamałeś mnie z Arkiem. Wiem, że wcale nie kopał pode mną dołków. Sprytnie zmanipulowałeś mną, grałeś pewnymi faktami, bym ci uwierzył i zlecił jego zabójstwo. Po co to zrobiłeś?

Samiel nieznacznie uniósł brwi. A więc jednak był w stanie to robić. Język ciała. Drobną oznaką zdziwienia. Marek szybko się uczył.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że cię okłamałem?

– Powiedział mi to zaufany informator.

– Kto?

– Nazywa się Lilit. – Suchy z niemalą satysfakcją celowo użył tego imienia. Bo wiedział, co usłyszy w odpowiedzi. I nie pomylił się.

– I kto to niby jest? Nigdy o kimś takim nie słyszałem. Skąd miałby dysponować takimi informacjami?

– Jest to ktoś, kto może znacznie więcej niż ja czy ty! Ona, bo to kobieta, wie bardzo dużo.

– Jakaś jasnowidzka, medium? Cyganka? Tak by wynikało z twoich słów. Wierzysz tym szarlatanom? Nie załamuj mnie.

– Ktoś o znacznie większych możliwościach.

– Czekaaj, czekaaj. Już wiem. Powiedział ci to pewnie jeden z duchów albo demonów, które widzisz. Mam rację?

Zaskoczył Suchego i trochę odwiódł z wcześniej obranego kursu. Z początku Marek nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zdecydował się na prawdę. Kiedy nie przychodzi do głowy wystarczająco wiarygodne kłamstwo, nic innego już nie pozostaje.

– Tak. Tak było.

Samiel zaśmiał się głośno i serdecznie. Gdy się uspokoił, zapytał:

– Bierzesz leki?

– Biorę – skłamał Marek.

– Czym popiłeś ostatnią dawkę?

– Sokiem.

– Jakim?

– Pomarańczowym.

– Kłamiesz. I, co ciekawe, to mi zarzucasz kłamstwo.

– Nie kłamię.

– Zapamiętaj to, co ci teraz powiem, bo tę metodę stosują nawet psy w czasie przesłuchań. Pytania pomocnicze to idealny sposób na sprawdzenie, czy ktoś kłamie. Chodzi o to, że pytam cię o z pozoru banalne rzeczy, na które powinienś odpowiadać bez zastanowienia. Wystarczy jednak jedno zawahanie i wiem, że zmyślasz. Potrzebujesz tej sekundy czy dwóch, żeby wymyślić, a nie przywołać z pamięci odpowiedź. Do tego, choć doceniam, że starałeś się utrzymywać ze mną kontakt wzrokowy, zdradziło cię drapanie się po szyi. To kolejny z najpopularniejszych gestów kłamców. Oznacza „nie jestem pewien, czy zgadzam się z tym, co mówię”. Innymi słowy to, co mówisz, jest sprzeczne z tym, co myślisz. Jak możesz nie być pewien, czy bierzesz leki albo czym je popiłeś? To absurd. Stąd wniosek, że kłamiesz. Zresztą, i tak wiem, że nie brałeś. Dzięki kamerkom.

– Nie nocowałem ostatnio w domu, a u matki, więc nie mogłeś nic takiego zobaczyć.

– Mogłem za to zobaczyć, jak, śmiejąc się jak wariat, poszedłeś sobie stąd w zarzyganych spodniach i raczej nie pomyślałeś wtedy, żeby zabrać ze sobą tabletki. Nikt nie sprzedałby ci nowych bez recepty. Na czarno też byś ich nie zdobył, bo bym o tym wiedział. Kontroluję wszystkie czarne interesy w tym mieście. Skończ ściemniać.

Marek milczał.

– Coś ci powiem. Po raz kolejny wychodzi na wierzch twoja hipokryzja. Znowu krytykujesz coś, co rzekomo czynię wobec ciebie, a sam to robisz. Moje relacje z ludźmi opierają się na zasadzie partnerstwa. Dopóki nie zaczynają mi podskakiwać, w każdej sprawie traktuję ich jak równorzędnych współników. Chcesz prawdomówności z mojej strony? Masz ją. Ale sam też mi ją dawaj! Bo inaczej to moje zaufanie wystawiasz na poważną próbę. Nie okłamałem cię w kwestii Arka. Słowo harcerza.

Powiedziawszy to, spojrział Markowi prosto w oczy. Ten wytrzymał jego wzrok przez zaledwie dziesięć sekund i wybuchnął:

– Kurwa, już nie wiem, komu mam wierzyć! Wszyscy mieszacie mi w głowie! Ostatnio wszyscy mnie oszukują i okłamują. Wszyscy wbijają mi nóż w plecy i dymają bez żadnych skrępowań. To co ja mam zrobić?!

– No cóż, gdybym był na twoim miejscu, to na pewno ostatnią osobę, której bym wierzył, stanowiłby wytwór mojego chorego umysłu. Nawet zakładając, że naprawdę rozmawiałeś z demonem... Przyjmijmy na moment, że ci wierzę. Wiesz, czym jest demon? To byt, który składa się wyłącznie ze złej energii. W jego naturze jest kłamać, wytwarzać bałagan w twojej głowie. Chodzi o to, by niszczyć cię od środka. Pomyśl, jaki miał interes w mówieniu ci tego, co ci powiedział? Twoje dobro? To sprzeczne z naturą demona. Zły duch nie robi przysług człowiekowi, na pewno nie za darmo. Jego celem zawsze jest zerowanie na nas jak pasożyt. Stopniowe osłabianie, wyciśnięcie jak cytryny, wysysanie z nas całej życiowej energii i wytwarzanie chaosu. I zobacz! Udało mu się! Miał być bałagan i jest! W twojej głowie! Stałeś się nieufny wobec jednej z niewielu pozostałych w twoim życiu osób, które są ci życzliwe. Co, nie mam racji?

– Nie wiem. Może po prostu potrzebowałem czegoś, co zbliży mnie do rozwikłania tajemnicy mojej przypadłości i chwyciłem się pierwszej lepszej brzytwy. Chcę się tego pozbyć. Jestem zdesperowany. Tak, przyznaję. Ostatnio dzieje się wiele złego.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że to dla ciebie trudny czas. Rozumiem, że jesteś sfrustrowany. To zupełnie normalne.

– Kaśka mnie zdradzała. Kompletnie mnie to wytrąciło z równowagi. Żeby jeszcze żałowała tego, co zrobiła. Nie, wcale. Wczoraj jakby nigdy nic wyprowadziła się z dziećmi. Nawet nie wiem gdzie. Może do tego gostka. Jacek Serafin się nazywa.

– Jacek? Serafin? Znam Jacka, mój dobry kolega. Ocieka kasą. Jeden z najbogatszych suwałczan. Podejrzewam, że nawet zajmuje pod tym względem drugie miejsce. Po mnie.

Wszystkich znasz – pomyślał Marek. – Jeszcze powiedz, że...

– To mój partner w interesach, więc przykro mi, Marku, jeżeli myślałeś, bym w twoim imieniu pokazał mu, że nie należy stukać cudzych żon, to niestety muszę odmówić. Zbyt wiele miałbym do stracenia.

Powiedziałeś to! A jakże!

– Czyli jest chroniony przez ciebie, jak rozumiem? Włos nie może mu spaść z głowy?

– Coś w tym stylu. – Uśmiechnął się Grzegorz.

– Dlatego nie powiedziałeś mi, co się dzieje? Musiałeś to wiedzieć. Pieprzyli się też tutaj. Wiem to. Pewnie sam widziałeś to i owo przez kamerki i możesz mi zdradzić więcej pikantnych szczegółów. Dlaczego mi tego nie powiedziałeś? To jest ta twoja lojalność, o której tak lubisz nawijać?

– Brzydę się donoszeniem – odparł spokojnie Samiel.

Ta, brzydzisz się. Arka z jakiegoś powodu mi zagoniłeś – pomyślał natychmiast Marek.

Uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Tak, jak każdy człowiek, Grzegorz Samielewicz patrzył na świat subiektywnie. Czyli jedni (jak poważny partner w interesach) mieli u niego specjalne względy, inni (jak póki co mało znaczący pionek na szachownicy jego grupy) już gorsze.

– Tak czy inaczej, wiem że przechodzisz teraz trudne chwile. I współczuję ci. Szczerze. Na pewno nie jest przyjemnie doświadczać czegoś takiego – dodał Samiel. Rzeczywiście brzmiał szczerze.

Marek westchnął. Potrzebował się wygadać. Tak się dziwnie składało, że zawsze przy takich okazjach Grzegorz był gdzieś w pobliżu.

– Żebyś wiedział. Jak sobie przypominam wczorajsze sceny, to aż mną trzęsie. Zadzwoniła do mnie jego żona i o wszystkim powiedziała. Nie chciałem jej uwierzyć, ale potem w domu znalazłem w koszu na śmieci zużyty kondom. No sorry, ale jakoś nie podejrzewałbym, że to Adka. Zresztą i tak mi się potem przyznała.

– Rozumiem.

– Żebyś ich słyszał. Jaki to ja okropny nie jestem, a Jacek jaki wspaniały. Jaki przystojny, ile ma kapusty, ile to im nie nakupował i nie naobiecował. Miałeś rację. Kasa i egoizm. Tylko to się liczy. Żaden zapach nie podnieca ludzi tak jak wyciąg z konta. Suka. Nienawidzę jej! – Im dłużej mówił, tym bardziej na powrót narastał w nim gniew, niemniej wyraźnie czuł, że jest mu to potrzebne i wkrótce poczuje się lepiej.

– To banał, ale z rodziną, którą kochasz i na której ci zależy, tak właśnie jest – powiedział Samiel. – Kiedy ktoś naprawdę bliski mówi ci coś takiego, pękasz i nie myślisz logicznie. Wymiękają nawet najtwardsze chłopaki z miasta. Choćbyś się zapierał rękami i nogami, nie obronisz się przed tym. Uczuć

nie da się kontrolować. To nasza naturalna reakcja na bodźce i objawia się kompletnie niezależnie od naszej woli.

– Bo mi zależało. Sam nie wiedziałem, że aż tak bardzo, ale kiedy po ich słowach jedyne czego zapragnąłem, to zrównać coś z ziemią, zrozumiałem. I byłem zaskoczony. Myślałem, że po latach kręcenia lodów nic w tym stylu nie jest już w stanie mnie złamać. Myliłem się.

– Sam jesteś sobie winien – wypalił znieczeka Grzegorz.

– Ja?

– Czego się spodziewałeś, wiążąc się z kobietą, która nawet nie ukrywała, że jest z tobą dla pieniędzy? Czego się spodziewałeś, wychowując dzieci w kulcie posiadania, rozpieszczając je do granic możliwości i tym samym utwierdzając w przekonaniu, że lepszym człowiekiem jest ten, kto ma więcej? To normalne, że teraz poszły za tym „ojcem”, który zaoferował im lepsze warunki. Przekupił ich, ot co. Ułatwiłeś mu to i tym sposobem urobił je, jak chciał. Sam sobie wychowałeś takie potworki.

– Zapewniałem im dobrobyt. Ich dobro zawsze stało u mnie na pierwszym miejscu.

– Zapewniać dobrobyt też trzeba umieć robić z głową.

– Jesteś też ekspertem od wychowania dzieci? Co możesz o tym wiedzieć, skoro sam ich nie masz?

– Równie dobrze możesz pytać, co może wiedzieć o piłce nożnej dziennikarz sportowy, który nigdy w nią zawodowo nie grał. Co może wiedzieć o polityce felietonista tygodnika opinii, który sam nigdy nie dostał się do Sejmu. Co może wiedzieć o sztuce krytyk, który sam nigdy niczego nie stworzył albo jak na temat związków międzyludzkich może wypowiadać się seksuolog, który nie dmuchnął wszystkich kobiet na ziemskim padole. Odpowiedź na wszystkie te pytania jest bardzo prosta. Wystarczy używać mózgu. I wyciągać wnioski ze swoich i cudzych błędów. – Samiel popukał się palcem o skroń.

– Tak. Mój ojciec też mi to powtarzał i wbiłem to sobie do głowy. Mózgu używamy!

– Mądre słowa. Mądry facet. Momentami wciąż odnoszę wrażenie, że i tak go nie słuchasz.

– Dobra, odpuść już sobie.

– Dlaczego masz za złe swojej żonie, że się z kimś puściła?

– Co to w ogóle ma być za pytanie?

– Nie powinno go być, w ogóle nie powinno być tej rozmowy, bo sam po-

winieneś zauważyć, z jak bardzo dziwną sytuacją mamy teraz do czynienia. Kiedy ty pieprzyłeś swoją barmankę, wszystko było ok. Kiedy to twoja żona zdecydowała się na skok w bok, nazywasz ją kurwą. Wytłumacz mi to, ponieważ nadal nie rozumiem. Wybacz mi, Marku, ale dla mnie żadnej logiki w tym nie ma. I ty, i ona robiliście dokładnie to samo, tylko punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Ja mam to szczęście, że mogę spojrzeć na to z boku. Na chłodno. I uczciwie.

– Dobra, możemy skończyć już ten temat? Nie chcę o tym rozmawiać.

– Zgodnie z życzeniem.

Na moment zapadła między nimi niezręczna cisza, którą tym razem, o dziwo, jako pierwszy przerwał Suchy. Przygnębienie związane z odejściem Kaśki i dzieciaków wróciło do niego ze zdwojoną siłą.

– Ten twój lokal. Jak on tam się nazywał?

– Harem?

– Tak. Wciąż działa?

– Działa. Bez zarzutu. – Uśmiechnął się Grzegorz.

– Można skorzystać? Potrzebuję tego teraz. Już nawet nie chodzi tu o spuszczenie się. Skoro i tak ze mnie teraz słomiany wdowiec.

– Czytasz w moich myślach. I zgadzam się, dobrze ci to robi. Nawet ci to postawię. Terapia relaksacyjna na koszt pracodawcy – zadeklarował boss. – Spodoba ci się. Co prawda pewnie znowu powiesz, że co ja mogę o tym wiedzieć z wyciętymi jajami, ale jestem zdania, że nie ma nic lepszego na zapomnienie o kobiecie, niż porządne wydupczenie innej kobiety. Cipa jest cipą i każda jest inna, każda smakuje inaczej.

– Wszystko mi już jedno – mruknął Marek z rezygnacją w głosie.

– Szykuj się. Jedziemy tam od razu.

– Od razu? – zdziwił się.

– Lokal jest otwarty całodobowo. Nasz klient, nasz pan.

HAREM

Przed wyjściem Marek oznajmił jeszcze Samielowi, że musi skorzystać z toalety. Ku jego zadowoleniu, Grzegorz odpowiedział:

– Ok, będę czekać na dole. Jakbyś potrzebował pomocy, to krzycz.

Suchy szybko załatwił potrzebę, po czym po cichu wrócił do sypialni i, korzystając ze sposobności, że przebywał tam sam, pogrzebał w jednej z komód. Odnalazł to, czego potrzebował i schował z tyłu za pasem w spodniach, a od góry przykrył koszulką.

Na parkingu czekał na nich czarny range rover Grzegorza, tradycyjnie z Czarnym za kierownicą. Po opuszczeniu osiedla Hańcza i dotarciu do ulicy Wojska Polskiego od razu skierowali się na wschód. Jak się okazało, Harem mieścił się poza Suwałkami, na przedłużeniu ulicy Sejneńskiej, w samotnie stojącym przy drodze budynku przed miejscowością Krzywe, w którym to kilka lat wcześniej działała dyskoteka o nazwie Red Lights. Marek kojarzył to miejsce i to nieźle, ponieważ swego czasu dość często w nim bywał. Nie tylko po to, by odbierać należne mu haracze. Także, aby dobrze się zabawić, z niezadką nadzieją na dodatkowe atrakcje w postaci porządnego mordobicia na parkingu. Wiązał z tym przybytkiem wiele pięknych wspomnień i rozbitych głów. Cudzych, oczywiście. Niemniej pamiętał, że ten spory budynek nigdy nie zachęcał od zewnątrz swoim wyglądem i w miarę upływu czasu stan ten tylko się pogłębiał. Brud na białej elewacji, liczne zacieki, odpadający tynk, a otoczenie, poza zwirowym parkingiem, obficie porośnięte chwastami i wysoką trawą. Słowem, klub widmo. Czyżby to dlatego ostatecznie nie przetrwał?

Chyba nie dlatego, że Suchy co miesiąc pobierał należny podatek?

– Znam ten budynek. Kiedyś działał tu Red Lights. Nadal obleśnie wygląda. Zamierzasz coś z tym zrobić? – odezwał się Marek.

– Nie, dlaczego?

– Myślisz, że nie odstraszy klientów i będzie ruch?

– Nie oceniaj książki po okładce. To celowo, by nie wzbudzać zbytnej ciekawości wśród tych, którzy nie powinni interesować się cudzymi sprawami. Wici zostały rozpuszczone. Gwarantuję ci, że ten, kto tam wejdzie, na pewno wróci. Sam zobaczysz.

– Wyobrażam sobie. Po tobie spodziewam się tylko rozmachu.

– Słusznie.

Po opuszczeniu auta skierowali się do ciężkich, metalowych drzwi, które przypominały wejście do magazynu lub bunkra. Grzegorz nie musiał pukać ani dzwonić, bowiem jak tylko przed nimi stanął, te zostały otwarte od wewnątrz przez ogromnego, umięśnionego, ogolonego na łyso faceta z hiszpańską bródką.

– Dzień dobry, szefie.

– Chyba dobrej nocy, Pajmon.

– Remanent?

– Coś w tym stylu. Zaprosiłem przyjaciela, żeby trochę zabawił się na mój koszt. – Boss wskazał Marka. Ochroniarz posłusznie przepuścił ich i wreszcie mogli wejść do przybytku rozkoszy Samiela.

Suchy rozejrzał się z uznaniem. W porównaniu z tym, co zapamiętał z Red Lights, wnętrze bardzo się zmieniło. Lśniło nowością, ale nią nie pachniało. W jego nos uderzyła za to delikatna, przyjemna woń kobiecych perfum, a w uszy dość głośna muzyka, ale nie na tyle, by jakoś szczególnie przeszkadzała w rozmowie. Odpowiednie proporcje zostały zachowane.

Całość rozświetlały naścienne lampy stylizowane na zabytkowe, ale panował tam półcień o czerwonej poświacie, za którą odpowiadał taki właśnie kolor ścian. W głównym, okrągłym pomieszczeniu przypominającym gigantyczny domowy salon, stało kilka wygodnych, skórzanych kanap, pomiędzy którymi rozstawiono niskie, szklane stoły. Na siedziskach tych, w towarzystwie wielu pięknych kobiet, relaksowało się przy drinkach kilku gangsterów, których Marek kojarzył z otoczenia Grzegorza, chociażby z ich rozmów w Beermie. Na samym końcu lokalu urządzono z kolei bogato wyposażony bar. Nie brakowało też tu i ówdzie podestów z rurami, aktualnie nieużywanych.

– Rozgość się. – Samiel pokazał palcem jedną z kanap, po czym sam usiadł na drugiej, stojącej do tej pierwszej pod kątem prostym. Od razu dosiadły się do niego dwie skąpo ubrane dziewczyny. Jedna była wysoką blondynką o fenomenalnym, krągłym ciele i ogromnych, naturalnych piersiach. Druga zaś szczyliła się ciemnoczerwonymi, ognistymi włosami i nieco drobniejszą budową, ale i tak prezentowała się świetnie. Pomimo różnic w gabarytach, obie łączyło za to jedno. Twarze. Bez żadnej przesady, pod względem urody zdecydowanie plasowały się na najwyższej półce. Światowej. Niesamowite. Po prostu piękne. Jakby żywcem wyjęte ze zdjęć z czasopism dla facetów. Choć trudno w to

było uwierzyć, pod tym względem odpowiadały Markowi nawet bardziej niż Martyna.

Suchy zauważył jeszcze jedną rzecz. Obie miały identyczne tatuaże na udach. Znajome napisy, których przeczytanie przywołało pewne wspomnienia i tym samym sprawiło, że delikatnie się wzdrygnął.

– Cześć, Samiel – zawołała kokieteryjnie blondyna i obdarzyła bossa soczystym buziakiem w policzek. W tym samym czasie czerwonowłosa położyła brzuch na jego kolanach i zaczęła więc się niczym kot, ocierając się o jego nogi. Miała do tego niewątpliwy talent, to Marek musiał jej oddać.

– Cześć, dziewczyny. Marku, przedstawiam ci. To jest Karolina. – Grzegorz wskazał tę o ognistych włosach i klepnął ją w tyłek, na co zareagowała głośnym jękiem rozkoszy. – To jej cycki. – Wskazał jej piersi. Dziewczyny zaniosły się głośnym chichotem.

– Natomiast to jest Natalia i jej cycki... Pardon, to są cycki i ich Natalia oczywiście. – Zreflektował się i zademonstrował obfity biust blondynki. Ta trzepnęła go lekko w rękę i znowu się zaśmiała.

– Wariat.

– Jestem trochę zaskoczony – stwierdził Marek. – Myślałem, że...

– Że skoro wyciąłem sobie to i owo, to mnie w takiej sytuacji nie zastaniesz? Dlaczego nie? Lubię otaczać się tym, co najlepsze. Poza tym takie cuda fajnie przy mnie wyglądają, co nie dziewczyny?

Przytaknęły mu ze śmiechem. Oniemiały Marek patrzył to na jedną, to na drugą z wzrastającym podnieceniem. Najchętniej z miejsca wziąłby obie naraz.

– Dziewczyny, przynieście nam coś do picia. Marku, na co masz ochotę?

– Dzięki, na razie odpuszczę sobie alkohol. Dałem sobie dziś ostro w szyję i wystarczy.

– Bezalkoholowych napojów też ci u nas dostatek. Nie zapominaj, że szef jest niepijący.

– To sok pomarańczowy.

– Ten sam, którym popiłeś ostatnie leki? – dopytał kpiąco Samiel, ale nie rozwijał tematu. – Dwa razy – dodał, po czym dziewczyny posłusznie wstały i krokiem charakterystycznym dla wybiegów skierowały się w stronę baru. Marek jeszcze długo wodził za nimi wzrokiem. Grzegorz zauważył to i się roześmiał.

– Dobre sztuki, co? U mnie w lokalu są tylko takie. Rozejrzyj się.

Marek spojrział po wszystkich prostytutkach w polu widzenia. Samiel nie kłamał. Każda z nich była istną boginią.

– Skąd ty je wytrzasnąłeś?

– Mniej więcej w ten sam sposób, w jaki wytwórnice porno szukają nowych aktorek. Po prostu uderzają do modelek. Proponują im nową ścieżkę kariery. Nie wszystkie się zgadzają, to oczywiste, ale niektóre, jak widzisz, tak. O tym już rozmawialiśmy. Wszystko jest kwestią ceny. Dlatego towarzystwo dziewczyn, które tu widzisz, nie jest tanie. Nie jest to stowa za godzinę. Nie są to nawet dwie stowy. Zaczynamy od tysiąca.

– Od tysiąca? W Suwałkach?

– Dokładnie tak.

– Jeszcze w Warszawie bym zrozumiał, ale tutaj?

– Wiesz co to jest marketing szeptany?

W tym samym czasie Karolina i Natalia przyniosły im napoje i ponownie przykleiły się do Grzegorza z obu stron, masując go po klatce piersiowej.

– No, polega to na tym, że zadowoleni klienci polecają firmę swoim znajomym? Sami robią im reklamę?

– Otóż to. Nas interesują tylko klienci biznesowi z grubym portfelem, a nie płotki. Z całej Polski, z Litwy, Rosji, Białorusi. Tacy, dla których nie jest żadnym problemem przylecieć tu na przykład prywatnym śmigłowcem. Tylko po to, by sobie poruchać. Są tacy, wierz mi. To do nich skierowana jest nasza oferta, nie dla lumpów spod budki z piwem. To luksusowy lokal.

– Rozumiem.

– Poza tym oferujemy też coś, czego nie ma żaden inny burdel w Polsce.

– Co to takiego?

– Usługi dodatkowe, dostępne wyłącznie tutaj.

– To znaczy?

– Dopij soczek, to cię oprowadzę i pokażę, a na koniec doprowadzę do twojego pokoju. W końcu chyba przyszedłeś tu się zabawić, nie gadać?

– No pewnie.

– To w drogę.

Kiedy opróżnili szklanki, Grzegorz skierował Marka do długiego korytarza, w którym panował jeszcze większy czerwony półmrok niż w głównej sali. Po obu jego stronach znajdowało się po kilka par drzwi.

– Tak zwany korytarz usług specjalnych. Przekroczenie progów tych pokoi jest jeszcze droższe niż standardowa godzina z jedną z naszych dziewczyn.

– Masaże? Jacuzzi? – upewnił się Marek.

– Lepiej.

Samiel otworzył pierwsze drzwi. Ku zaskoczeniu Suchego, kryło się za nimi obskurne, ponure, wilgotne pomieszczenie, bardzo kontrastujące z kolorystyką i schludnością korytarza poza nim. Pod surowymi, szarymi, betonowymi ścianami stały półki z różnego rodzaju narzędziami: młotkami, szczypcami, śrubokrętami, sekatorami. Zaś w centralnym punkcie pokoju wisiała dziewczyna w samej bieliźnie. Jej ręce i nogi związane łańcuchami przymocowanymi do sufitu. Miała oczy zakryte przepaską, w ustach knebel. Co było jednak w tym widoku najgorsze, jej ciało pokrywały liczne zadrapania i siniaki, a na udzie widniał ten sam tatuaż, co u pozostałych prostytutek Samiela. Gdy usłyszała, że otwierają się drzwi, zaczęła niespokojnie wierzgać i rozpaczliwie jęczeć.

– Poznaj Weronikę. Naszą gwiazdę uległości.

Dziewczyna w dalszym ciągu próbowała uwolnić się z łańcuchów. Bezskutecznie. Płakała i wkrótce spod opaski zaczęły spływać jej łzy. Krzyczała, ale przez gruby knebel wrzask stawał się praktycznie niesłyszalny.

– Oferta przeznaczona dla klientów, którzy mają skłonności do sadyzmu i potrzebują miejsca, gdzie mogą do woli wyżyć się wszelkich hamulców. My im to zapewniamy. Mogą z nią robić, co tylko chcą. Zgwałcić, pobić, kaleczyć, dręczyć fizycznie i psychicznie. Do wyboru, do koloru.

Marek spojrzał niepewnie na uwiązaną dziewczynę. Jej reakcja na ich obecność raczej nie świadczyła o tym, że robiła to dobrowolnie.

– Nie wygląda na zadowoloną. Robi to z własnej woli?

– Oczywiście, że nie.

– Mówiłeś, że wszystkim dziewczynom dajesz wybór.

– Też akurat nie dałem. *Business is business*.

– Dobra, nie wnikam.

– Chcesz skorzystać?

– Nie, wybacz, jeszcze nie dorosłem do takich zabaw. Wolę bardziej tradycyjne klimaty.

– Jak chcesz. – Uśmiechnął się Grzegorz i zamknął drzwi, wreszcie odgradzając ich od tego widoku. Marek przyjął to z zaskakującą nawet dla siebie samego, niemałą, ale skrywaną ulgą. Choć torturowanie ludzi stanowiło dla niego codzienność, nigdy nie czerpał z tego satysfakcji seksualnej. Taki obrazek tutaj trochę go zaskoczył. I wyglądał dość złowieszco.

– A teraz poznasz Szafira. – Grzegorz stanął przed kolejnymi drzwiami.

– Szafira? To facet? Masz też ofertę dla gejów? Wybacz, w takim układzie nawet nie chcę na to patrzeć. Jestem hetero, a pedałów nie lubię.

– Spokojnie, to nie to co myślisz. – Samiel otworzył drzwi. Pomieszczenie, jego kolorystyka i oświetlenie miały już więcej wspólnego z typowym burdelem, lecz dwie rzeczy się wyraźnie nie zgadzały. Po pierwsze, próżno w nim było szukać jakiegokolwiek łóżka czy stołu do masażu, o wannie nie wspominając. Po drugie, świeciło pustkami, a jedyny w nim obiekt stanowił uwiązany sznurem do ściany koń. Żywy. Piękny, gniady rumak.

– I co to niby jest?

– Oferta dla zoofilów.

Marek popatrzył na towarzysza z niedowierzaniem, czując, jak stopniowo zaczynają ugiąć się pod nim nogi.

– Ty mnie wręczasz teraz, mam nadzieję? – zapytał, choć miał niemal stu-procentową pewność, że zadając to pytanie najzwyczajniej w świecie tracił czas. Grzegorz Samielewicz raczej nie zwykł żartować w jego obecności.

– W żadnym wypadku.

– Przecież to jest chore, człowieku!

– Oj tam, oj tam... – Grzegorz zbył Marka jego własną odzywką. – Może i tak, nie zmienia to faktu, że Szafirek już zarobił dla nas krocie. Prawda, stary? – zwrócił się do zwierzęcia boss. Szafir parsknął tylko w jego kierunku i wyszczerzył zęby.

– Dobry konik – zacmokał Samiel.

– Ej, dobra, bo to już dla mnie trochę za wiele. Możemy już iść? Jak to sobie wyobrażam, to normalnie zbiera mi się na pawia.

– Oczywiście. Rozumiem, że nie chcesz skorzystać?

– Co? W życiu!

– Rozumiem. No to idziemy dalej.

Szczerze mówiąc, Marka już dawno opuściła ochota na eksplorowanie zawartości kolejnych pokojów. Nie wspominając już o wcześniejszej gotowości do łóżkowych zabaw.

– W tym pokoju urzęduje Bella. – Samiel podszedł do następnych drzwi.

– Imię znowu brzmi podejrzanie. Czy tym razem to klacz? Dla odmiany dla tych, którzy preferują inną intymną relację niż ta z Szafirem?

– Nie. Bella to człowiek.

– Już lepiej. Gdzie jest haczyk?

– Sam zobacz. – Grzegorz otworzył przed Suchym drzwi i z miejsca uderzy-

ły w nich dwie rzeczy. Chmara uwięzionych w pokoju much oraz obrzydliwy, trupi odór.

Tym razem w pomieszczeniu wreszcie zastali łóżko i to na nim leżała Bella. Okazała się najzwyklejszą w świecie kobietą. Problem w tym, że martwą od wielu dni. Jej skóra nabrała już bladozielonego odcienia i wyraźnie się rozkładała.

– Oferta dla nekrofilów – stwierdził Samiel tonem, jakby właśnie oznajmiał komuś, która jest godzina.

Marek nawet nie odpowiedział, bowiem błyskawicznie zebrało mu się na mdłości, wybiegł na korytarz i zwymiotował na sam jego środek.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Grzegorz.

– To chyba ja powinienem zadać ci to pytanie. Co to ma być? Jak można robić takie rzeczy? Sam widok jest nie do zniesienia. To jest chore! Ty jesteś zdrowo pojebany! Kasa kasą, ale są jakieś granice, na litość boską!

– Z tym byciem chorym na głowę to by się nawet zgadzało. W końcu wyszedłem z pierdła na zwolnienie lekarskie! – Zaśmiał się Samiel. W obliczu tego, co prezentował, jego nieruchomej, niewyrażającej choćby szczątków emocji twarzy nie dało się już nazwać tylko niepokojącą. Była zwyczajnie przerażająca. – Chodź, jeszcze tylko jeden pokój i idziemy do twojego. – Wskazał ostatnie drzwi w tej części korytarza, który potem zakręcał w lewo. Ruszył ku nim energicznie.

– Poczekaj! – zawołał Marek, który wciąż walczył z mdłościami, stojąc i pochylając się nad kałużą własnych wymiocin. Przez to pozostał trochę w tyle. Grzegorz już położył dłoń na klamce. – Czekaj! Zanim otworzysz, powiedz mi najpierw, do kogo skierowana jest oferta tego pokoju i sam zdecyduję, czy chcę to w ogóle widzieć.

– Do pedofilów – odparł Grzegorz i nacisnął klamkę. Podczas gdy drzwi powoli się uchylały, uszu Suchego dobiegł zza nich jeden z najbardziej makabrycznych dźwięków, jakie mógłby usłyszeć w tej sytuacji, w tym miejscu i po wypowiedzianym przed chwilą przez bossa zdaniu.

Płacz dziecka.

Niemowlęcia.

Nim ten okrutny widok zdołał im się choć po części ukazać, Marek podbiegł do Samiela, wyrwał mu klamkę z ręki i na powrót zamknął drzwi. Głośny trzask z upiornym pogłosem odbił się od ścian mrocznego korytarza.

– Dość! Wystarczy! Nie chcę na to patrzeć.

– Jak uważasz. Rozumiem, że...

– Tak! Dobrze rozumiesz! Nie mam zamiaru korzystać. Powiem ci nawet więcej. Zajebałbym każdą skrzywioną ludzką gnidę, która by tam weszła! Czyje to dziecko? – Marek zbliżył się do Grzegorza. Przez moment patrzyli sobie w oczy, bez choćby jednego mrugnięcia. – Odpowiadaj! Ukradłeś je komuś? Nie sądzę, by jakakolwiek matka była aż tak okrutna, żeby dać ci je z własnej woli.

– Niech cię to nie interesuje – odpowiedział spokojnie boss.

– Będzie mnie to interesować, bo nie zamierzam się pod tym obrzydlistwem podpisywać! To chore.

– I nie podpisujesz się. To moje dzieło.

– Dzieło. Przyjemniejsze w odbiorze dzieła tworzył Hitler w obozach koncentracyjnych!

– Marku, zaczynasz być agresywny. To elegancki lokal i nie potrzebujemy tu awantur. Idziemy do twojego pokoju, czy mam cię stąd wyprosić?

Suchy spojrział kątem oka ku wyjściu z korytarza. Stało tam już dwóch ogromnych ochroniarzy, jakby pomimo głośnej muzyki usłyszeli całe zajście i gotowi byli ruszyć szefowi z pomocą. Krótko mówiąc, średnio trafiony moment na szamotaninę. Jeszcze przez jakiś czas uważnie lustrował Grzegorza i w końcu się odezwał:

– W moim pokoju też przygotowałeś niespodziankę tego typu?

– Nie. Twój pokój to miejsce w stu procentach dopasowane do ciebie.

– Mam nadzieję.

– Zapraszam zatem.

Weszli w dalszą część mrocznego korytarza, prostopadłą do tej, którą poruszali się do tej pory. Samiel prowadził Marka ku następnym zamkniętym drzwiom, tym razem na samym końcu łącznika.

– To tutaj.

– Pozwolisz, że najpierw sprawdzę zawartość?

– Oczywiście.

Marek otworzył drzwi. W nieznacznie, ale bez przesady przyciemnionym pokoju, pośród czerwonej poświaty słabych, naściennych lamp, znajdowało się łóżko, w którym leżała na boku uśmiechnięta kobieta, będącą pod względem urody czarnowłosym odpowiednikiem Karoliny i Natalii. Przypominała trochę Martynę, ale natura obdarzyła ją zdecydowane większymi piersiami.

– Może być?

– Jak najbardziej.

– Ok, w takim razie zostawiam cię z Joasią na godzinę. Miłej zabawy.

Gdy za Markiem zamknęły się drzwi i został z dziewczyną sam na sam, usłyszał za sobą szcęknięcie zamka. Odwrócił się zdziwiony.

– Nic się nie martw, kochanie. To normalne. Wypuszczą cię za godzinę. Tym sposobem klienci mają gwarancję, że godzina to zawsze godzina, a nie jak w normalnych burdelach, gdzie dziewczyny czasem potrafią wyrzucić cię po piętnastu minutach – odezwała się Joasia.

– Tak, znam doskonale ten burdelowy relatywizm z przyspieszoną miarą czasu. Widzę, że działasz już w branży jakiś czas i znasz realia?

– Nie zaprzeczam – odpowiedziała zmysłowo kobieta i zaczęła dotykać się po ciele. – Chodź tu do mnie. Nie sądzisz, że jest tu trochę gorąco? Trochę duszno. I porno. – Zagrała słowami i powoli ściągnęła biustonosz, ukazując mu fenomenalne, ogromne piersi.

Nieco już rozluźniony Marek ruszył ku niej. Mniej więcej w połowie drogi do łóżka zatrzymał się.

– Nie – mruknął ledwo słyszalnie.

Humor Grzegorza Samielewicza miał jeszcze ciemniejszą barwę niż jego ubiór. Oferta pomieszczenia dopasowana do Marka w stu procentach. W stu, kurwa, pięćdziesięciu.

– Coś się stało? – zapytała niewinnie Joasia.

– Ty nie masz nogi.

Istotnie tak było. Gdy stał u progu pokoju, swoją pierwotną pozycją na łóżku dziewczyna sprytnie uniemożliwiła dostrzeżenie tego na pierwszy rzut oka. Brakowało jej prawej nogi, od kolana w dół. Zupełnie jak w przypadku Marka.

– Tak – odpowiedziała – Samiel pozbawił mnie jej kiedyś za nieposłuszeństwo. Należało mi się. Czy to problem?

– Samiel? Samiel odciął ci nogę? – Świadomość Marka, choć po wypadku rejestrowała niejedną rzecz, której widoku zwykły śmiertelnik by nie wytrzymał, wciąż miała ograniczoną tolerancję względem makabry i okrucieństwa, które jej serwowano.

– Tak. Nie mówmy już o tym. Chodź tu do mnie.

– Chyba sobie kpisz.

– Czy to aż taka przeszkoda? Nie podobam ci się? – Odgarnęła włosy z ramion i uśmiechnęła się dziwnie. Marek pojął, że najprawdopodobniej jest cał-

kiem porządnie naćpana.

– Zdecydowanie straciłaś w moich oczach na atrakcyjności. Nie będę z tobą tego robił. Nie chcę.

– To może chociaż oral? Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Nie! Bez żadnej dyskusji! Nie chcę! To obrzydliwe! Chcę stąd wyjść! – wrzasnął i doskoczył do drzwi. Na pewno były zamknięte. – Samiel! – krzyknął i walnął w nie pięścią. – Otwieraj, sukinsynu!

Zero odpowiedzi. Zaczął trochę panikować. Tym bardziej, jak pojął, że zaczyna dotkliwie boleć go głowa, narastać szum i pisk. Zdał też sobie sprawę, że po raz pierwszy w podobnej sytuacji nie ma dokąd uciec.

– Samiel! – kopnął zdrową nogą w drzwi. – Ty chory pojebie!

– Kochanie! Uspokój się. Nie ma po co aż tak się unosić. Drzwi otworzą się za godzinę. A ja jestem gotowa zrobić dla ciebie wiele.

– Niczego od ciebie nie chcę, słyszysz?

– Jakie masz fantazje? Opowiedz o nich.

– Nie mam żadnych fantazji. Samiel! – krzyknął i po raz kolejny kopnął w drzwi.

– Chcesz mnie wziąć od tyłu? Na jeźdźca? Wolisz łagodnie czy na ostro?

– Przymknij się w końcu. – Panika Marka narastała. Czuł, że nie powinno go tu teraz być. Za moment miało wydarzyć się coś bardzo złego. Było to podobne do niepokoju, który dopadł go tuż przed ostatnią nocą spędzoną u matki.

– Może wolisz brutalnie? Masz takie fetysze? Głębokie gardło, duszenie, ostre rżnięcie, gwałt. Możesz zrobić ze mną, co tylko zechcesz.

– Niech ktoś mnie stąd wreszcie wypuści, do chuja! – wydarł się najgłośniej, jak tylko się dało. Rozpędził się i spróbował staranować drzwi barkiem. Ani drgnęły, nabawił się tylko ostrego bólu ramienia. Syknął i złapał się za obolałe miejsce. Zmęczył się walką z drzwiami na tyle, że przynajmniej na moment musiał ją przerwać. Pochylił się i oparł o kolana, ciężko dysząc.

I właśnie wtedy Joasia powiedziała:

– Mam też fajne zabawki. Zobacz.

Spojrzał na nią mimochodem i momentalnie się wyprostował. Joasia bowiem uśmiechała się szeroko w jego stronę, trzymając w ręce potężny nóż. Sam nie wiedział, co było gorsze, jej obłąkany uśmiech czy słowa, które przed chwilą wypowiedziała.

– Odłóż to – rozkazał Marek.

– Chodź, zabawimy się. – Rozszerzyła grymas i mrugnęła do niego.

– Odłóż to, powiedziałem! – Marek sięgnął za pas i wyjął pistolet, który niepostrzeżenie schował tam przed wyjściem z domu. Odbezpieczył go i wycelował prosto w nią.

– Czegoś takiego jeszcze nie przeżyłeś – mówiła niewzruszona kobieta.

– Ostrzegam cię, zrobisz choć krok w moją stronę, a strzelę! Zostaw ten nóż!

– Nóż? – zdziwiła się. – Boisz się noża? On nie jest dla ciebie.

– A dla kogo? – zaczął, ale zaraz odpowiedziała, a raczej zrobiła coś, co rozwiało wszelkie wątpliwości.

Poderżnęła sobie gardło.

Każdy centymetr tej regularnie wydłużającej się rany podwajał jego ból, szum i pisk.

Po dopełnieniu makabrycznego dzieła, Joasia odrzuciła nóż gdzieś w bok, wyprostowała się, klęcząc na łóżku, i zaczęła smarować się po piersiach własną krwią, niczym balsamem do ciała. Wyglądałoby to nawet zmysłowo, gdyby nie postępujące drgawki, te przedśmiertne, niespokojne spazmy i czerwony strumień, który coraz obficiej pokrywał jej klatkę piersiową.

Marek nie wytrzymał. Niemal to czuł. Niemal słyszał, jak w jego głowie coś trzaska, pęka, urywa się. Przestał myśleć o czymkolwiek. Ostateczna granica w jego umyśle została przekroczona.

Nie mogąc opanować drżenia rąk, skierował lufę pistoletu na zamek od drzwi i kilkoma strzałami rozbił go w drzazgi. Jak tylko wydostał się z tego pokoju, zaczął biec na oślep przed siebie. Gdy dotarł do zakrętu korytarza, usłyszał znajomy płacz niemowlęcia i raptownie się zatrzymał.

Pierdolił to.

Pierdolił ochroniarzy Samiela i resztę jego przydupasów. Pierdolił konsekwencje. Pierdolił wszystko. To, co działo się w tym budynku, przechodziło wszelkie pojęcie. Wszelkie wyobrażenia. Nie mógł na to pozwolić.

Czym prędzej podszedł do tych drzwi i nacisnął klamkę.

Zamknięte.

Zesztywniał. To oznaczało, że ktoś właśnie tam, za nimi... Z tym dzieckiem... Sam na sam... Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, przestrzelił także i ten zamek, po czym otworzył drzwi jednym kopnięciem. Chyba zdążył na czas. Dosłownie w ostatniej chwili. Mężczyzna stojący nad łóżkiem, na którym leżało płaczące, bezbronne, przerażone i nagie niemowlę, dopiero zaczął się rozbierać.

– Ty skurwielu jebany! Zajebię cię, ty gnido! Ty skrzywiona, zboczona ście-

ro!

Ogarnął go tak ogromny, przemieszany ze strachem szal, że się nie kontrolował. Zdał się na zwierzęcy instynkt, który kierował teraz absolutnie wszystkim, co robił. Ludzka racjonalność działań aktualnie nie istniała. Zamiast sterroryzować faceta giwerą, rzucił ją na ziemię i ruszył dziko do ataku. Był od mężczyzny większy i silniejszy, poza tym tamten już spuścił spodnie, więc miałby trudności z ucieczką, a co dopiero z walką.

Marek powalił go jednym pchnięciem, usiadł mu na brzuchu, skutecznie unieruchamiając, i zaczął z całej siły okładać po twarzy pięściami. Od lewej do prawej. Raz za razem. Jak czerwony zawodnik niebieskiego na gali Samiela. Bez najmniejszej taryfy ulgowej. Bił tak długo, aż poczuł na tyle dokuczliwy ból w nadgarstku, że uniemożliwił mu kontynuowanie. Nie wcześniej. Gdyby nie to, masakrowałby tę plugawą facjatę jeszcze dłużej.

W końcu wstał z pobitego do nieprzytomności mężczyzny i chwiejnie podszedł do łóżka. Aż go nosiło, drżał na całym ciele. Miał wytrzeszczone szokiem oczy i nieprzytomny wzrok. Włożył w to, co przed chwilą zrobił, tak dużo siły i energii, że ogarnęły go drobne zawroty głowy, tym bardziej, że przecież od dłuższego czasu nic nie jadł.

– Już. Dobrze. Spokojnie. Zabiorę cię stąd. Nie płacz.

Ściągnął z jednej z poduszek poszewkę i owinał nią zziębniętą dziewczynkę. Wciąż nie przestawała płakać. Darła się tak głośno, że była już porządnie zaczerwieniona na twarzy, spocona i zaczynała się wręcz dusić.

– Sukinsyn – mruknął Marek, gdy zauważył, że Samielewicz nie odpuścił wiadomego tatuażu nawet temu dziecku. Nie dowierzał, że naprawdę uczestniczy w czymś takim. Łudził się, że to kolejny senny koszmar. To niemożliwe, żeby jakikolwiek człowiek, żeby nawet najbardziej bezwzględny gangster był zdolny do czegoś takiego.

Nawet największy grzesznik.

Wziął niemowlę na ręce, pozwolił mu się do siebie przytulić, po czym ostrożnie podniósł z ziemi pistolet.

Przerażone dziecko z całej siły objęło Suchego za szyję i przycisnęło do niej główkę. Gdy poczuł na sobie dotyk jego rączek, ciepło czółka i wilgoć łez, ogarnęło go dziwne, pozytywne, krzepiące uczucie, które niemal zupełnie wyparło ze świadomości strach.

Niemniej wziął głęboki oddech i zadrżał. Najgorsze bowiem dopiero nadchodziło.

Najgorsze, czyli złożenie wypowiedzenia z tej firmy.

– Ani mi, kurwa, drgnij, pajacu – wycedził. Trzymając w jednej ręce w dalszym ciągu płaczące niemowlę, wkroczył do zatłoczonego salonu i zauważył go pierwszy z ochroniarzy Haremu. Marek wycelował w niego pistolet. Dostrzegła go też reszta towarzystwa. Grzegorz także. Gwar i muzyka z miejsca ucichły, uśmiechy i beztroska na twarzach zebranych zniknęły w jednej sekundzie.

– Ty chory psychicznie okrutniku! Oprawco! Satrapo! Szuj! Przekroczyłeś wszelkie granice! – krzyknął Suchy w stronę bossa. Ten powoli wstał ze swojego miejsca.

– O co chodzi, Marku?

– Nie nabierzesz mnie już na ten swój niewinny ton! Nie nabierzesz mnie już na nic! Jesteś potworem! Przebiłeś w swoim barbarzyństwie każdego zbrodniarza, jaki tylko istnieje. Wszystkich. I tych żyjących, i tych, którzy od dawna robią za pożywienie robakom. To koniec! Mam dość! Wypisuję się.

– Co to znaczy „wypisuję się”?

– To znaczy, deklu, że opuszczam ten twój kurwidolek i nie mówię o tym budynku. Nie mam zamiaru dla ciebie pracować. Ani teraz, ani w przyszłości. Nie jesteś moim szefem. Nigdy nim nie byłeś.

– Wiesz o tym, że jeżeli chcesz wojny, to nie masz szans? A w tym biznesie, kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam. Zawsze – oznajmił spokojnie Samiel.

– Wiem. Ale wiesz co? Szczerze? Zwisa mi to i powiewa. Możesz mnie zabić, torturować, droga wolna. I tak nie mam już nic. Nie mam ludzi. Nie mam pieniędzy. Nie mam samochodu. Moja rodzina ma mnie w dupie, calutka, w komplecie. Moja kochanka najpewniej nie żyje, a ja zleciłem zabójstwo najlepszego przyjaciela. Straciłem wszystko. Rozumiesz? Wszystko! I teraz jestem taki jak ty. Nie mam już słabych punktów, w które mógłbyś mnie uderzyć.

Grzegorz milczał, więc Marek niestrudzenie kontynuował monolog.

– Popełniłeś błąd. Nie zauważyłeś tego. Stopniowo odbierałeś mi wszystko, by mnie złamać. Wiem, że to ty okradłeś mnie z kasy. To ty wysadziłeś mi samochód, zastraszyłeś kumpli. Wiem też, że to ty jesteś odpowiedzialny za zagnięcie Marty. Wiem to! Nie udowodnię tego, ale wiem, że to ty. To twoi lu-

dzie sprawili, że jebnąłem się w głowę i zacząłem widzieć rzeczy, o jakich nie śniło się nawet największym filozofom. Więc to ty sprawiłeś, że dzień po dniu popadałem w szaleństwo i to przez ciebie odwróciła się ode mnie moja rodzina. Zabrałeś mi wszystko. Wszystko, czym tylko kiedykolwiek się cieszyłem. Sam tak to określiłeś w trakcie naszej pierwszej rozmowy.

– Marku... – zaczął Samielewicz.

– Zamknij dziób i nie przerywaj mi! – Suchy wycelował w niego lufę pistoletu, na co Grzegorz cofnął się trochę i uniósł ręce w uspokajającym geście.

– Zabrałeś mi to, choć obiecałeś, że jak dobrowolnie dołączę do twojej grupy, to się tak nie stanie. Kłamałeś. Ciągłe mnie okłamywałeś. Nigdy nie powinienem był ci uwierzyć. Manipulowałeś mną od samego początku. Od samego początku chciałeś mnie zniszczyć.

– Mylisz się. Ale szczerze, nawet nie chce mi się już cię przekonywać, że jest inaczej.

– Sram na to. Wypisuję się. Od tej pory robię same dobre uczynki. Wiem, że to zadziała i te okropieństwa zostawią mnie w spokoju. Zaczynam od zaraz. Nie powstrzymasz mnie przed uratowaniem tego dziecka.

– Coś się nagle taki szlachetny zrobił? Skąd u ciebie nagle miłość do dzieci? Kiedy Martyna nosiła twoje dziecko, zupełnie inaczej śpiewałeś.

– Zamknij pysk!

– A nie, czekaj. Wiem. Znowu objawił ci się jakiś demon i nagadał ci głupot? – zapytał kpiąco Samiel, na co wszyscy w sali zareagowali szyderczym śmiechem.

– Nie. Ale wiesz co? Wolę wszystkie demony na tym świecie razem wzięte od ciebie. Wolę już wierzyć im niż tobie. Bo to nie one są definicją zła, a ty. Ty, Grzesiu. Wyniosłeś to pojęcie na niespotykany dotąd poziom.

– We wszystkim jestem najlepszy. – Uśmiechnął się.

– Nie do końca. Nie przewidziałeś tej sytuacji, w której znajdujemy się właśnie teraz. Zgubiła cię pycha. Gdzie podziała się legendarna ostrożność, którą tak się szczyciłeś? Dlaczego ten twój Sajmon...

– Pajmon – poprawił go Samiel.

– Jeden pies! Dlaczego nie przeszukał mnie przy wejściu? Od początku miałem przy sobie klamkę. Wziąłem ją wtedy, jak powiedziałem ci, że idę szczać, jeszcze w domu. Na wszelki wypadek i, jak widać, dobrze zrobiłem. Aż sam się dziwię, że dałeś się tak łatwo podejść.

– Owszem. Popełniłem błąd. Przyznaję. Nie przewidziałem tego.

– Kosztowny.

– I co teraz zamierzasz?

– Na początek twój stary druh odda mi kluczyki od pewnego pięknego autka. Należy mi się rekompensata za moje porsche. – Marek niespodziewanie wycełował lufę w Czarnego, który, zaskoczony takim obrotem sprawy, zesztyniał i cofnął się o krok. Wyglądał nienaturalnie i nadzwyczaj dziwnie bez charakterystycznego, szerokiego uśmiechu.

– Jazda! Wyskakuj z kluczyków! – ponaglił go Suchy. Czarny spojrział w stronę Grzegorza, który ledwo zauważalnie skinął głową. Wyciągnął więc z kieszeni kluczyki i rzucił je w stronę Marka. Ten, nie odrywając od wszystkich wzroku, schylił się po nie i zawiesił brelok na małym palcu lewej dłoni. Tej samej, w której trzymał pistolet.

– A teraz stąd wyjdę. Idąc do samochodu, wciąż będę celował w drzwi. Jeżeli ktokolwiek stąd wyjdzie, dopóki nie wyjadę, dostaje kulkę. Zrozumiano? Dopiero potem możecie zacząć mnie gonić.

– Lubię wyzwania i dobrą zabawę, a nade wszystko wciąż lubię ciebie, więc mam lepszy pomysł – zaproponował Samiel. – Daję ci dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie tego miasta. Dwadzieścia cztery godziny spokoju. Możesz uciekać, dokąd chcesz. Po tym czasie uruchamiam wszelkie możliwe środki, by cię znaleźć i ukarać. Co ty na to?

– Znając cię i twoje zwyczajowe robienie z prawdy damy lekkich obyczajów, spodziewam się co najwyżej dwunastu godzin takiego komfortu.

– To już twój wolny wybór, czy mi wierzysz, czy nie.

– Wybór czy nie wybór, mam tylko jeden. Stoi. Nie będzie mnie tu już za parę godzin.

– Umowa stoi. Mamy – Samiel spojrział na zegarek – dokładnie trzecią piętnaście w nocy. Jutro, o trzeciej piętnaście, jesteś już martwy.

– Chapaj tam dzidę, dupku – wycedził Marek i odwrócił się do drzwi.

– Marku, jeszcze jedno. – Nim zdążył nacisnąć klamkę, dobiegł go jeszcze za plecami głos bossa.

– Czego? – warknął.

– Taka mała rada na przyszłość. Nigdy nie odwracaj się, gdy masz za plecami lustro. – Grzegorz uśmiechnął się szeroko. Tak bardzo, że jego maska zdawała się rozciągać.

Z początku Suchy nie zrozumiał o co mu chodzi, ale po chwili pojął, że o korytarz w jego domu i związane z nim lęki. Ostatnia złośliwość przed poze-

gnaniem?

Czy może groźba?

Nie silił się już na szukanie ciętej riposty, tylko otworzył drzwi łokciem i opuścił Harem prosto w nocną ciemność.

POGRZEB

Trzymając w jednej ręce bez ustanku przeraźliwie płaczące i krztuszące się niemowlę, Marek z trudnością na powrót zabezpieczył pistolet, schował go za pas, po czym otworzył auto pilotem od kluczyków. W trakcie tych czynności dosłownie co pięć sekund zerkał w stronę drzwi budynku, upewniając się, czy Grzegorz dotrzymuje danego słowa (które w jego ustach znaczyło tyle, co nic) i nikt go nie goni. Na szczęście nic takiego się nie działo. Kiedy położył dziecko na fotelu obok kierowcy, wpadł na pewien pomysł. Ponownie odbezpieczył pistolet i przezornie przestrzelił po dwie opony w każdym z pozostałych na parkingu aut. Po jednym, precyzyjnym strzale na każdy z samochodów, tak aby uczynić niezdatnymi do użytku oba koła naraz. Po wszystkim sprawdził magazynek.

Przeklął. Pusty.

– Już. Spokojnie, młoda. Już jesteś bezpieczna – mówił do zziębniętej dziewczynki, ostrożnie przypinając ją pasami do przedniego siedzenia. Nie miał innego wyboru, o dziecięcym foteliku w samochodzie należącym do samotnego psychopaty mógł jedynie pomarzyć.

Po wyjechaniu na drogę w kierunku Suwałk, zdał sobie sprawę, że nie ma właściwie żadnego planu dalszego działania. Planu, który musiał zakończyć się jak najszybszym opuszczeniem miasta. Najpierw chciał jednak bezpiecznie odstawić gdzieś to niemowlę. Szybko rozważył wszystkie możliwe propozycje. Szpital, dom dziecka, kościół? Wreszcie przypomniał sobie o jeszcze jednym miejscu. Budynku, do którego przy zdrowych zmysłach nigdy w życiu nie pojechałby z własnej woli i wcale nie chodziło tu o jego nowe zdolności.

W dupie to mam – stwierdził.

Zrobił zawziętą minę i przyspieszył.

Po wjechaniu na parking pod sporą siedzibą suwalskiej policji przy alei Pułaskiego i zgaszeniu samochodu, uświadomił sobie, iż tak intensywnie myślał nad swoimi następnymi ruchami, że kompletnie zapomniał o dziecku. Tym sa-

mym nie zauważył, że to jakiś czas wcześniej zupełnie przestało płakać i od tamtej pory milczy. Spojrzał na nie, przeklął i westchnął.

Podobno znane są przypadki medyczne, w których dzieci tak małe jak to, niedoświadczające miłości ze strony matki, zniecka umierają. Dzieje się to nagle, kompletnie niespodziewanie i bez wyraźnego powodu. Po prostu jakby świadomie i z własnej woli traciły chęć do życia, co skutkuje prawdziwą, wydawałoby się upragnioną śmiercią. Jeżeli nie to było powodem, dla którego ta biedna dziewczynka już nie żyła, to na pewno pomogły jej w tym zimno, stres, strach i wyczerpanie wydarzeniami zarówno z tej, jak i być może poprzednich nocy, na myśl o których Markowi aż zjeżyły się włosy na głowie.

Zacisnął pięści.

To Grzegorz Samielewicz. Grzegorz Samielewicz, którego już dawno należałoby przechrzcić na Grzegorza S. To wszystko jego wina. To jest bestialskie morderstwo bezbronnego dziecka, za które należy mu się dożywocie. A on jest na zwolnieniu warunkowym. O tyle czasu za długo, ile minęło go, od kiedy o milimetr przekroczył bramę pierdła w Czarnem.

Marek wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył drzwi od strony pasażera. Choć sytuacja już tego właściwie nie wymagała, ostrożnie wyswobodził drobne ciało z pasów bezpieczeństwa i ponownie, zupełnie jakby miało to przywrócić niemowlęciu życie, szczelnie owinał je ukradzioną z Haremu poszewką od poduszki. Następnie wziął je do ręki i, mając serdecznie gdzieś fakt, że za chwilę po raz pierwszy w życiu robi z siebie konfiturę, ruszył ku wejściu na komendę.

– Słucham pana – zwrócił się do niego dyżurny z okienka. Na szczęście złożyło się tak, że Marek był tam z nim sam na sam. Wiele to ułatwiało.

– Wiesz, co właśnie trzymam w rękach?

– Nie mam pojęcia.

– Martwe dziecko – oznajmił bez owijania w bawełnę Suchy, ostrożnie położył zawiniątko na blat przed okienkiem i ukazał mężczyźnie fragment główki.

Policjant zeszywniał i wyraźnie zbladł.

– Ale... Zaraz. Jak to? Co mi pan tu przynosi? O co chodzi?

– Wiesz, czyja to sprawa? – kontynuował Marek, nie zważając na jego, delikatnie mówiąc, zakłopotanie.

– Czyja?

– Mówi ci coś ksywka Samiel? Grzesznik? Albo imię i nazwisko Grzegorz Samielewicz?

Dyżurny wyraźnie drgnął po usłyszeniu jednego i drugiego.

– Oczywiście, że wiesz. Wszyscy tutaj o nim wiecie, sprzedawczyki. Wiecie też, że jest na zwolnieniu warunkowym i powinien wrócić do puchy po choćby najdrobniejszym wykroczeniu. No więc proszę, macie. Wykroczenie. Tutaj. Wiesz, do czego potrzebował tego dziecka? – Marek wskazał zwłoki. – Do gwałcenia przez klientów. Pedofile płacili mu i mogli robić z tą dziewczynką, co tylko chcieli. Chcesz więcej? Wiesz, gdzie mieścił się dawny klub Red Lights? Kojarzysz pewnie. Na wylocie z Suwałk, jak się jedzie na Krzywe. No, więc tam Samiel zrobił sobie burdel i to właśnie stamtąd wyniosłem to dziecko. Czerpie korzyści z nierzędu. W jednym z pokoiów przetrzymuje też, wbrew woli, niewinną kobietę, którą każdy, jeżeli zapłaci, może sobie zgwałcić i brutalnie dręczyć, jak mu się tylko żywnie podoba. W innym zaś przetrzymuje rozkładające się zwłoki, które daje do zabawy nekrofilom. W tej chwili powinienes tam jechać i go zapuszkować. Lokal nazywa się Harem. Jest otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc spokojnie możecie złapać tego dupka na gorącym uczynku. Myślę, że wciąż tam jest.

– Kim pan jest? – wymamrotał dyżurny.

– Świadkiem koronnym – rzucił na odczepnego Marek i ciągnął wywód. – Być może już zgłosili wam zaginięcie takiego młodego chłopaczka z Puńska. Wyjechał, żeby dopiąć sprzedaż samochodu i nie wrócił do domu. Nic dziwnego, że nie wrócił. Jak miał to zrobić, jak leży zakopany w lesie? Samiel go zamordował. Z zimną krwią. Strzelił mu w głowę i kazał swojemu człowiekowi pozbyć się ciała.

– Zaraz, zaraz...

– Czy zważywszy na fakt, że dałem ci właśnie materiał na co najmniej dwa dożywocia, zamierzasz coś z tym zrobić, czy nie? Może chcesz coś jeszcze? Pamiętasz ten wybuch samochodu niedawno w centrum?

Młody policjant nagle się wyprostował, jego twarz momentalnie zmieniła wyraz. Ze złkniętego na bardzo spokojny i wręcz tryskający pewnością siebie.

– Ja wiem, kim ty jesteś. Ty jesteś Suchy. Marek Suchocki. Szef suwalskiego półświatka. Gruba ryba na mieście. Przynajmniej do niedawna. Słyszałem o tobie.

– Cieszę się bardzo, ale rozdawania autografów tej nocy nie przewidziałem. Nie o mnie teraz gadamy! Skup się, młody!

– Grunt ci się pali pod nogami, to zacząłeś sypać, co cwaniaku? Straciłeś wpływy, to postanowiłeś je odzyskać z naszą pomocą? – zapytał spokojnie policjant, a Marek spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Czy was już wszystkich do reszty pojebało? Nawet mi to do głowy nie przyszło! A nawet jeśli, to i tak twoim zaszranym obowiązkiem jest się tym zająć. Mówimy tu o dwóch zabójstwach! A ja nigdy nikogo nie zabiłem.

– Coś ci powiem. Konfidentów nie lubię chyba nawet bardziej niż przestępców – wycedził mężczyzna zza szyby i zbliżył się do niej z wyzywającą miną. Suchy spojrzał mu głęboko w oczy i w końcu pojał. Po prostu połączył to, co w nich zobaczył, ze świeżym wspomnieniem tej nagłej zmiany w zachowaniu dyżurnego.

Po tym demoniczna, przerażająca twarz, która przez ułamek sekundy mignęła mu za szybą, nie była już właściwie żadnym większym zaskoczeniem.

– Jak ci na imię? Lilit już poznałem. Teraz ty mi się przedstaw, śmieciu – syknął Marek.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Beliar.

– Nie powstrzymacie mnie. W końcu was pokonam. W ten, czy inny sposób.

– Próbuj, Suchy, próbuj. Ale chyba nie myślisz, że będziemy ci w tym pomagać? To na pewno nie leży w naszym interesie. Twój strach, frustracja, rozpacz i gniew są dla nas zbyt pożywne.

– Do czasu. Już ja wymyślę, jak się was pozbyć. Gwarantuję ci to.

– Tylko szybko, bo dosłownie ostatkami silnej woli powstrzymuję się, by nie wezwać kolegów na służbie i nie oskarżyć cię o zabójstwo tego dziecka. Jest tu kilku takich jak ja. Od razu opisalibyśmy tę sprawę dokładnie jak trzeba. Na przykład, że skruszony przyszedłeś na komendę i sam się przyznałeś. Co ty na to? Byłbyś już kompletnie skończony. Piękna perspektywa. Ale dam ci szansę, bo świetnie się z tobą bawimy, jak biegasz sobie na wolności. Daję ci dziesięć sekund na wymyślenie, co zrobić z tym ciałem i wyjście stąd. Inaczej wzywam chłopaków. Wybieraj.

Marek postanowił, co robi, w mniej więcej szóstej sekundzie danego mu czasu.

– Pochowam je. Oszczędzę tego widoku jego rodzicom. Lepiej, żeby nawet nie poznali prawdy.

- To bardzo szlachetne. Dobrze kombinujesz.
- Prawda? Zawsze uważałem myślenie za swoją mocną stronę. Mózgu się używa. – Marek popukał się palcem w głowę.
- Pochowaj, pochowaj. To naprawdę dobry pomysł. Byleby nie na cmentarzu. – Beliar uśmiechnął się złośliwie.
- Myślisz, że się was boję? – Zagotował się Suchy. – Oczywiście, że na cmentarzu. Na Bakalarzewskiej. Możecie tam na mnie czekać. Wszyscy. I nie zapomnij zabrać ze sobą całej armii umarłaków. Liczę na rozmach.
- Mówisz i masz. – Uśmiech. – Ale jakby co – ostrzegałem.
- Marek posłał mu ostatnie, pełne nienawiści spojrzenie, po czym chwycił z blatu zawiniątko i zebrał się do wyjścia z komendy.
- Aha, jeszcze jedno – zawołał za nim Beliar.
- Suchy przystanął i odwrócił się.
- Nie zapomnij o wzięciu ze sobą latarki.

Po wyjściu na zewnątrz, gdy rozważył wszystko na chłodno, stwierdził, że pogrzeb istotnie jest najlepszym możliwym rozwiązaniem. Najlepszym, bo jedynym, w którym nie potrzebował pomocy nikogo z zewnątrz i mógł działać zupełnie sam. Z jakiegoś powodu przeczuwał, że dokądkolwiek by teraz nie pojechał, czy to do szpitala, czy do domu dziecka, do kościoła czy do ośrodka pomocy społecznej, zastałaby go tam identyczna sytuacja, co przed momentem, a więc coś, co go nawiedzało i za nim podążało, maksymalnie utrudniłoby mu życie.

Ale w sumie, czy mogło jakkolwiek dziwić, że demony stanęły po stronie Grzegorza Samielewicza? Ta sama strona barykady. Zła strona. W każdym znaczeniu tego słowa.

Marek obmyślił szybki plan. Postanowił, że najpierw pogrzebie to dziecko, a potem ucieknie do Warszawy, w nadziei, że przygarnie i ochroni go ktoś ze znajomych gangsterów z grupy Polipa. Zajechał więc do domu celem spakowania się, by od razu z cmentarza wyruszyć na południe.

Po dotarciu na osiedle Hańcza, postanowił zacząć od wzięcia łopaty, którą wyjął z własnej skrzynki na narzędzia ogrodnicze i siarczyście przeklął, gdy po doniesieniu jej na miejsce okazało się, że identyczna spoczywa w bagażniku range rovera. Ta sama, której Biały użył do zakopania Knizia i chłopaczka

od zielonego peugeota. Bezcenne dwie minuty życia, które Marek mógł wykorzystać znacznie efektywniej, zostały bezpowrotnie zmarnowane.

Do tego nie mógł pozbyć się wrażenia, że ten stary pindol w czarnym kapeluszu nawet to przewidział. Że ta łopata krzyczy, wrzeszczy wręcz w jego stronę szyderczym głosem Grzegorza: „ha, ha, ha, ha, ha!”.

Dość tych bzdur – zreflektował się.

Wrzucił do bagażnika też swoją. Co dwie łopaty to nie jedna.

Co oczywiste, po wejściu do domu najpierw zapalił w nim wszystkie możliwe światła. Następnie włączył komputer i od razu uruchomił program obsługujący monitoring. Po to, by mieć kilka par oczu naraz i ewentualnie dostrzec z wyprzedzeniem zbliżających się intruzów.

Zabrał się za pospieszne pakowanie. Po zebraniu do torby najpotrzebniejszych rzeczy, wśród których nie zabrakło dużej latarki i kilkudziesięciu tysięcy złotych zaskórniaków w gotówce, które trzymał ukryte w domu na czarną godzinę i których na szczęście do tej pory mu nie ukradziono, wszedł jeszcze do łazienki celem spakowania kosmetyczki.

Wtem znieruchomiał. Akurat tak się złożyło, że stanął tyłem do dużego, szerokiego na dwa metry lustra zamontowanego nad dwiema umywalkami.

„Nie odwracaj się, gdy stoisz tyłem do lustra”.

Głośno przełknął ślinę, ale już po chwili energicznie pokręcił głową i pomyślał: *Czego się tak boisz? Chlapał ozorem, to wszystko. Nic tam nie ma.*

Postanowiwszy raz a dobrze wziąć się w garść, wziął głęboki oddech i odwrócił się.

Odetchnął z ulgą. Żadnych niespodzianek. Odbicie tak jak zawsze.

Prawie.

Coś w nim jednak nie grało. Z początku nie wiedział co, więc ponownie się odwrócił i powtórzył ruch.

Już wiedział. Tym razem zobaczył to w całej okazałości.

– Co?!

Podszedł tyłem do lustra i z niedowierzaniem przyjrzał się swojemu karkowi, na którym, niczym kod kreskowy, niczym pieczętkę na ciele świni, wytatowano mu komunikat. Przerazająco znajomy manifest. Obwieszczenie przynależności, bycia własnością osoby, którą znał.

Znał, ale nie chciał znać.

Choć nie miało to właściwie większego sensu, Marek zdjął koszulkę i wło-

żył kark pod strumień gorącej wody, którą wymieszał z pokaźną ilością żelu pod prysznic, jakby w nadziei, że napis głoszący, iż należy do Samiela, okaże się ponurym żartem. Dowcipem. Efektem zabaw zielonym markerem jakiegoś chorego psychicznie dowcipnisia.

Płonnie.

Tatuaż pozostał dokładnie taki sam, jak poprzednio. Tak samo wyraźny, tak samo niezmienny, tak samo ciemnozielony. Tak samo złowieszczy w swej treści.

– Sukinsyn – mruknął i raz jeszcze przejrzał się w lustrze, zastanawiając się, kiedy mu to właściwie zrobiono. Jak stracił przytomność po wypadku? Jak zasnął po pierwszej, za dużej dawce psychotropów? Jak leżał zemdłony na cmentarzysku Jaćwingów? Jak nie kontaktował po środkach znieczulających po amputacji nogi? Jak urwał mu się film nad Czarną Hańczą po obaleniu z gwinta całej flaszki wódki? Kiedy? No kiedy, do kurwy nędzy? I jak to się stało, że nie bolał go po tym kark? Posiadał już na ciele kilka tatuaży, wiedział, z jakim bólem wiąże się proces ich tworzenia. Jak to możliwe, że akurat tego w ogóle nie czuł?

Jak, jak, no jak? Tam też go znieczulili?

I jeszcze ostatnie pytanie. Czy ten psychol naprawdę stemplował w ten sposób nie tylko swoje prostytutki, ale nawet i podwładnych?

Zadrzał na tę myśl. Grzegorz Samielewicz był niczym iluzjonista. Posiadał zadziwiającą zdolność zaskakiwania Marka za każdym razem, kiedy wydawało się, że bardziej się już tego zrobić nie da.

Debil. Co ja teraz w ogóle wyrabiam? Pakować się i w nogi! – skarcił się Suchy. Jest tatuaż. Trudno. Stało się i się nie odstanie. Nie czas na podziwianie go. Najpierw obowiązki, a potem (nie)przyjemności.

Wziął z łazienki ręcznik oraz uprzednio napełnioną kosmetyczkę i wrócił do pokoju. Gdy szedł do laptopa, aby dołączyć go do swoich bagaży, kątem oka dostrzegł za oknem ruch i spojrzał w tamtą stronę.

„Idą po ciebie, tato. Jest ich bardzo dużo”.

Z horyzontu, z każdej strony, jak okiem sięgnąć, powoli i chwiejnym krokiem zmierzała ku jego domowi armia umarłych. Biorąc pod uwagę ich wygląd i sposób chodzenia, przypominało to obrazek rodem z filmów o zombie, ale Marek wiedział, że patrzył na dusze i tylko on mógł je zobaczyć. Wystarczyło zerknąć na ekran laptopa, który wciąż pokazywał obraz z kamer. Na nim z kolei nie widział ani jednej z tych postaci.

No, a poza tym ból, szum, pisk itede...

Beliar go nie zawiódł. Miał być rozmach, to dostarczył mu rozmachu.

Dupek.

Nie było czasu do stracenia. Suchy wyłączył komputer i wraz z ładowarką włożył go do torby, którą zapiał i założył na ramię, po czym zbiegł na parter.

Już miał otworzyć drzwi, już sięgał do klamki, już miał uczynić ten jeden, ostatni krok, lecz nagle przystanął. Zrobił to niezależnie od siebie, tak jakby coś kazało mu się zatrzymać. Nie do końca rozumiał, dlaczego tak się stało, podobnie jak z początku nie pojmował, dlaczego właśnie w tym momencie tak silnie narasta w nim strach. Coraz bardziej i bardziej.

W końcu jednak dotarło do niego, gdzie jest.

Korytarz luster.

„Nie odwracaj się, gdy masz za sobą lustro”.

Było to jednak zbędne. Bo te lustra znajdowały się z obu stron łącznika, równoległe do siebie. I patrząc w jedno, widziało się to, co ma się za plecami, na drugim.

Marek ten czarny kształt widział.

Wreszcie.

Wreszcie, ponieważ, gwoli ścisłości, gdzieś tam z tyłu głowy nieustannie zastanawiał się, kiedy wobec swoich nowych, powypadkowych zdolności go tam zobaczy. Bo to musiało prędzej czy później nastąpić. Wręcz się tego spodziewał. Intuicja go nie myliła, a chwila prawdy nadeszła teraz. W najgorszym możliwym momencie, kiedy szczególnie naglił go czas.

Zesztywniał, jakby zamarł. Oddychał głęboko i bał się ruszyć, drżał teraz jak osika. Nie próbował już nawet z tym walczyć. Wiedział, że nie ma szans, a siła tego wielokrotnie przebijała jego mentalne możliwości. Siła czegoś od dawna głęboko zakotwiczonego w jego umyśle, od kiedy tylko obejrzał z dziećmi to pieprzone anime. Gorszego niż cokolwiek, co tylko w swoim życiu zobaczył, wliczając w to niewyjaśnione wypadki w ostatnim czasie. Co do jednego. Gorszego niż duchy. Gorszego niż demony biorące w posiadanie członków jego rodziny, a potem pełzające lub wiszące na suficie. Gorszego niż widok piątki ludzi żywcem przybitych gwoździami do ściany. Gorszego niż widok duszy umarłej na AIDS prostytutki. Gorszego niż Harem i to, co się w nim działo. Gorszego niż odwrócone krzyże i parzące mu skórę ściany.

Gorszego niż wszystko. Niż każda inna rzecz na tym świecie, jaką widział albo kiedykolwiek sobie wyobraził.

Czuł na plecach wzrok tego czegoś. Czuł te czerwone oczy przenikające go na wylot, jak rentgen. Czuł też, że to coś się uśmiecha i ukazuje te swoje białe, drapieżne, ostre zęby. Że żyje własnym życiem i doskonale zdaje sobie sprawę z psychozy, która właśnie w tym momencie kompletnie odebrała Markowi rozum.

Suchy jakimś cudem zdołał się odrobinę poruszyć, ale czarny kształt jego konturu pozostał w lustrze nieruchomy. Ta postać nie wyglądała tak, jak ją sobie do tej pory wyobrażał. Bo wyglądała gorzej. Znacznie, znacznie gorzej.

Właśnie wtedy dostrzegł w odbiciu przed sobą, jak to coś nieznacznie mruży ślepią, czyniąc swój uśmiech jeszcze bardziej złośliwym.

Przeraźliwie wrzeszcząc, Suchy niemal staranował solidne, antywłamaniowe drzwi. W swoim amoku zapomniał się tak bardzo, że z początku biegł po prostu przed siebie i dopiero, gdy dostrzegł naprzeciw pierwszy rząd zmierzających ku niemu upiorów, trochę się uspokoił i zatrzymał. Bo też po tym, co przed chwilą przeżył, te śmieszne duszki nie mogły robić na nim żadnego wrażenia. Tak czy inaczej, wciąż drżąc z emocji, potrzebował się mocno skupić, by w ogóle sobie przypomnieć, co ma tej nocy dalej czynić.

No tak. Dziecko. Pogrzeb. Cmentarz. I w długą.

Korytarz luster. Czarny kontur. Czerwone oczy. Ostre, drapieżne zębiska. Złośliwy uśmiech.

Wzdrygnął się.

– Dość. Dość. Koniec – szeptał do siebie z sercem walącym mu jak młotem.

Dopiero teraz zauważył, że w dalszym ciągu ścisnął uchwyt od torby, której w trakcie swojej rozpaczliwej ucieczki na szczęście nie porzucił. Ucieszył się też, że kluczyki od samochodu wciąż trzymał w kieszeni. Na myśl o tym, że miałby tam jeszcze wrócić...

Nie. Dość. Koniec.

Naturalnie w trakcie swojego desperackiego sprintu nie zamknął drzwi na klucz. Ba, wciąż były otwarte na oścież. Machnął już na to ręką. Trudno. Jeżeli wszystko poszłoby zgodnie z planem, miał tu nigdy nie wrócić, a nawet jakby jakimś smutnym panom (w niebieskich mundurach albo w czarnych, gangsterskich skórach) zachciało się sprawdzić jego dom, i tak nie znaleźliby tam niczego ciekawego. W trakcie pakowania się pamiętał, by zabrać ze sobą

wszystkie naboje, jakie tylko posiadał na zbyciu, magazynek pistoletu na powrót naładował co do jednej, ostatniej komory.

Nie zważając na wciąż zmierzające ku niemu (niegdyś) ludzkie kształty, czym prędzej dobiegł do range rovera, wrzucił torbę na tylne siedzenie, odpałił auto i reflektory, po czym ruszył w długą podróż ku przeznaczeniu, zaczynając się od cmentarza przy ulicy Bakalarzewskiej. Rozpoczął od slalomu między duszami.

Zatrzymał się na parkingu tuż przy sporej, betonowej bramie cmentarza od strony ulicy Grunwaldzkiej. Co mogło dziwić o tej porze, zastał tam jeszcze jeden samochód, też dość drogi, ale zbytnio się nad tym faktem nie zastanawiał. Po opuszczeniu auta rozejrzał się uważnie, potem wyciągnął z bagażnika jedną z łopat, a z siedzenia obok kierowcy zabrał zawinięte w poszewkę małeńkie zwłoki. Nie zapomniał o sporej latarce o dużej mocy, którą uprzednio wyjął z torby. Przeczuwał, że przyda mu się zaraz nie tylko do oświetlania sobie drogi.

Po wejściu na teren cmentarza rzuciło się mu w oczy, że pośród niektórych mogił, podobnie jak to działo się przy kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła, stoją nieruchomo jak słupy ciemne, ludzkie kształty. Zignorował je jednak. Zapalił latarkę, wyprostował się, wypiął pierś i śmiało ruszył przed siebie. Wiedział, że światło go chroni. One miały do niego wstręt. Przekonał się o tym już wiele razy.

No dobra, nie wiedział. Liczył na to. Miał taką nadzieję. I byłoby mu bardzo przykro, gdyby założenie to okazało się jednak błędne.

Starął się patrzeć wyłącznie przed siebie, mimo to kątem oka widział te ludzkie posągi pomiędzy mijanymi przez siebie grobami. Czasami też postacie te się poruszały. Bardzo szybko i bezszelestnie przemykały pomiędzy pomnikami. Co go jednak nieco zaskoczyło, pomimo ich sporej ilości, nie dało się nie zauważyć, że było ich znacznie mniej niż samych grobów.

Postanowił pochować niemowlę tuż pod stalowym płotem, który odgradzał cmentarz od terenów należących do suwalskiego klubu sportowego Wigry.

Zadrżał. Noc była chłodna. Przez moment wydało mu się, że po każdym oddechu z ust wydobywa mu się para.

Wkrótce znalazł pod ogrodzeniem odpowiednie miejsce na grób – dzięki sąsiadującemu z nim pomnikowi prawie niewidoczne, jednocześnie na tyle wygodne, by mógł w nim w miarę swobodnie kopać. Nieprzypadkowo położył latarkę na pobliskim nagrobku w taki sposób, by świeciła nie na efekt jego pracy, a prosto na niego, i zabrał się do roboty. Ziemia w tamtym miejscu była ubita i zarośnięta pokazną ilością chwastów, do tego kopanie wciąż utrudniała jego proteza, zatem robota zajęła mu trochę czasu. Kiedy dołek uzyskał wystarczającą głębokość, Marek umieścił w nim poszewkę od poduszki wraz z zawartością, po czym zakopał go i z powrotem przykrył trawą, której płaty wyrywał wcześniej wraz z korzeniami. Gdy potem oświetlił sobie latarką stworzoną przez siebie mogiłę, stwierdził, że wygląda zadowolająco, ale na wszelki wypadek doprawił ją jeszcze paroma gałązkami urwanymi z pobliskich krzaków i małą stertą zeschniętych liści.

Na sam koniec wziął jeszcze dwie nieco grubsze szczapy i dłuższą z nich wbił w ziemię, a drugą, korzystając z małego sęka, oparł na tej pierwszej i fragmencie płotu, tak by w całości tworzyły krzyż. Normalny, nie odwrócony.

Konstrukcja wytrzymała może pięć sekund i mniejsza z gałązek spadła na ziemię. Marek nie próbował jej odbudowywać. Wiedział, że nie uda mu się skonstruować krzyża, choćby nawet okleił te patyki taśmą albo w odpowiednim miejscu złączył gwoździem. Po prostu nie i już. Taka reguła. Prawo fizyki wręcz. Wcale nie z powodu wiatru, grawitacji czy słabej jakości materiałów użytych do stworzenia tego symbolu.

À propos krzyża, modlitw. Wypadałoby jakąś odmówić. Przynajmniej w myślach. Uświadomił sobie nagle, że doskonale pamięta formułkę na tę okazję. Pomimo że tak dawno jej nie używał.

Wieczny odpoczynek racz temu dziecku dać Panie. A światłość wiekuista niechaj mu świeci i niech odpoczywa w pokoju wiecznym. A tego skurwiela, Samiela, niech piekło pochłonie.

Amen.

Przeżegnał się na koniec i coś go tknęło.

Naprawdę, nawet czyniąc ręką znak krzyża, niezależnie od siebie wykonał go tak, jakby ten krzyż był odwrócony?

Spróbował jeszcze raz. Znowu to samo.

– Nie. Nie będziecie mi mówić, jak mam się żegnać – wycedził i z całej siły skupił się, by wykonać ten ciąg gestów należycie. Pierwsze dwa ruchy poszły jak z płatka, ale kiedy miał dotknąć swoich ramion, pomimo największych sta-

rań, nie potrafił. Coś wtedy kierowało jego dłoń brutalnie w dół. Jakby była zdrętwiała.

Zaparł się, by jednak dotknąć tego miejsca na ciele, które chciał, ale jego próby w dalszym ciągu spełzały na niczym.

– Zostawcie mnie w spokoju – syczał, pomiędzy kolejnymi próbami walki ze swoją ręką. W końcu jednak, kiedy ta zaczęła go boleć, poddał się.

Walnął tyłkiem o ziemię, zupełnie jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa, i zaczął beznamiętnie gapić się na prowizoryczną mogiłę, w której ledwo co pochował bezimienną dziewczynkę, ale tak naprawdę w ogóle już o niej nie myślał. Z każdą mijającą sekundą jego oczy stawały się coraz bardziej wilgotne, zuchwa drżała coraz intensywniej.

Znienacka przypomniał sobie spotkanie z Beliarem na komendzie i nie wytrzymał.

– Bardzo zabawne, wentylu! – krzyknął w kierunku rozgwieżdżonego nieba, z błyskawiczną późniejszą myślą, że może jednak powinien krzyczeć nie w górę, a w dół.

Zacisnął zęby, podczas gdy usta nie przestawały mu drżeć.

Czuł pustkę, załamanie i nieziemskie przygnębienie. Nie miał już siły uciekać ani dłużej z tym walczyć. Nie posiadał w rękach żadnych asów, jedynie błotki. Został pokonany. Kiedy poczuł, że zbliża się kolejny wybuch złych emocji, kurczowo zacisnął usta, ale okazało się to za słabym zabezpieczeniem. Zaszłochał i otarł z oczu łzy.

„Tak skończył Suchy”.

Było mu już właściwie wszystko jedno. To, czy Samiel go znajdzie i ukarze (a znajdzie i ukarze, nie miał co do tego żadnych wątpliwości), czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Kasię, Iwonkę i Adama... Stracił wszystko. Przez tak krótki okres od swojego wypadku stracił wszystko, co kiedykolwiek sprawiało mu radość. Rodzinę, kochankę, władzę, szacunek, pieniądze, kumpli, w tym najlepszego, nogę, a co za tym idzie możliwość gry w ukochany futbol, samochód, pub, dom... Wszystko. Wisienką na torcie, a raczej gwoździem do trumny w całym tym bałaganie były jego nowe zdolności. Ta umiejętność widzenia okropieństw. Na swój sposób przejrzenie na oczy, które wykorzystywały wszystkie niewidzialne byty, jakie na co dzień otaczają człowieka. Zwłaszcza złe, bezlitosne, nienawidzące ludzi i karmiące się cierpieniem.

Na domiar złego był sam jak palec. Osaczony, przeraźliwie samotny, odrzucony przez bliskich i bezsilny wobec przewagi liczebnej swoich wrogów po-

łączonej z wielokrotnie większym od ludzkiego sprytem. Bezwzględnością. Przebiegłością. Okrucieństwem. Jednoosobową armią, a w dodatku o mniejszych niż nieprzyjaciół możliwościach, jeszcze nikt nigdy nie wygrał żadnej wojny. Gdyby jeszcze przynajmniej posiadał w tamtym wymiarze jakiegokolwiek sprzymierzeńca. Gdyby znał choć jedną przyjazną mu istotę z tamtego świata, która rozumiałaby go, nieobce byłyby jej panujące w nim zasady i umiałaby naprowadzić Marka na właściwy kierunek. Byt, który dałby mu choć jedną, choćby najdrobniejszą wskazówkę, jak ma postąpić, jak powinien tę sytuację rozwiązać, oczywiście o ile to było możliwe.

Nagle wyprostował się. Doznał olśnienia. I ukłucia narastającego w nim podniecenia z jednoczesnym połączeniem lekkiej złości i niedowierzania, że nie wpadł na to wcześniej.

No tak.

Czym prędzej podniósł się na nogi, wziął łopatę i latarkę, po czym zwałow ruszył przez cmentarz w konkretnym kierunku, do miejsca, które właśnie przyszło mu do głowy.

Wciąż drżał. Tym razem nie ze strachu.

– Tato? – szepnął, gdy tylko dotarł do grobu. Położył przy nim łopatę i zaczął się uważnie rozglądać.

– Tato? Jesteś tutaj?

Wciąż nikt mu nie odpowiadał. Nie oznaczało to oczywiście, że był tam sam. Cienie wokół towarzyszyły mu przez cały czas. W nadziei, że może za jednym z nich kryje się osoba, a raczej dusza osoby, której szukał, Marek kierował ku nim światło latarki. Gdy tak robił, istoty zbiegały przed nim do najbliższego miejsca pogrążonego w mroku, kwitując to krótkim, wysokim rykiem.

– Tato. Błagam cię. Jeżeli mnie słyszysz, ukaż mi się. Musisz mi pomóc. Proszę cię...

Cisza.

– Jesteś moją ostatnią nadzieją. Błagam. Jesteś tu? Błagam cię, bądź tutaj. – Marek zaczął już się kompletnie rozklejać. – Dlaczego cię tu nie ma? Dlaczego nie ma cię tu, kiedy potrzebuję cię jak nigdy w życiu? Dlaczego nigdy cię nie było? Dlaczego tak wcześnie odszedłeś?

Pękł jak przebity balon. Podobnie jak nadzieja, której fala ogarnęła go przed chwilą. To było to. To światełko w tunelu, które nie zdążyło jeszcze porządnie rozblysnąć, a już bezlitośnie zgasło. Ostatnie sensowne rozwiązanie. Tylko on, Stanisław Suchocki, mąż Marii, mógł mu pomóc. Tylko on mógł być jednym z nich, jednocześnie przychylnym Markowi. Nikogo więcej z jego rodziny nie pochowano na tym cmentarzu.

Marek usiadł na ławeczce przy grobie ojca, zaszlochał cicho i wciągnął powietrze przerywanym przez tłumiony płacz wdechem. Skulił się i skrzyżował ręce na brzuchu, walcząc z potężnym, dotkliwym, nieznośnym bólem duszy. Kiwał się w przód i w tył, kiedy nagle...

Znieruchomiał, szybko przetarł oczy i zaczął nasłuchiwać. Kroki. Bardzo szybkie. Ktoś szedł w jego stronę. Nie, to było złe słowo. Prawie biegł. Rozejrzał się, ale póki co nikogo nie zauważył. Dźwięk trzeszczącego pod czymiś stopami żwiru stawał się jednak coraz głośniejszy. A bicie serca Marka coraz szybsze.

Czyżby jednak?

Wreszcie go dostrzegł. Szedł w jego kierunku jedną z cmentarnych ścieżek. Widok ten spowodował, że z Marka momentalnie zeszło powietrze. To nie był żaden duch. W sumie Suchy mógł się tego spodziewać, ponieważ w przeciwieństwie do cieni, kroki tamtego słyszał doskonale. Poza tym, podobnie jak Marek, niósł on latarkę. Zwyczajny człowiek. Z krwi i kości. Mężczyzna. Gdy znalazł się już wystarczająco blisko Sucheego, rozstrzygnęło się, że z pewnością nie spotkał właśnie ducha Stanisława Suchockiego. Inna sylwetka, inna twarz.

Znajoma?! Przez chwilę tak mu się wydawało, ale ponowny jej ogląd uniemożliwiało oślepiające światło trzymanej przez mężczyznę latarki.

Obserwując nieznanego, Marek zwrócił uwagę na coś jeszcze. Facet wyraźnie wyglądał na czymś zaniepokojonego. Dawał o tym znać jego język ciała, zdecydowanie zbyt szybki, ale jednocześnie niezbyt płynny krok i cała reszta. Podobnie jak wcześniej Marek, mężczyzna skupiał się na drodze przed sobą, lecz nie dało się nie zauważyć, że także, podobnie jak wcześniej Marek, kątem oka zerka pomiędzy okoliczne groby. Jakby na te cienie.

Czyżby?

– Ej! – zawołał Suchy w kierunku przybysza. Facet drgnął, zatrzymał się i niespokojnie rozejrzał. – Ty też je widzisz? Widzisz te cienie? – zapytał bez owijania w bawełnę Marek. Dopiero po drugim okrzyku mężczyzna wreszcie

go zauważył. Przystanął i obserwował go bez słowa. Jakby nieufnie. Póki co nie zdecydował się mu odpowiedzieć.

– Widzisz je... Widać to po tobie. Odpowiedz mi! – Marek skierował na niego światło swojej latarki i w końcu go rozpoznał.

Niegdyś brutalnie pobity facet. Ten, którego po wypadku Suchy kilka razy spotkał na swojej drodze. Który wyraźnie miał z nim jakiś problem. Jakby coś o nim wiedział. I to więcej niż on sam.

Mężczyzna chyba także pojął, kogo właśnie spotkał, gdyż puścił się biegiem w kierunku wyjścia z cmentarza. Uciekał! Jak tylko do Marka to dotarło, nie zastanawiał się ani chwili dłużej.

– Stój! – krzyknął i także zaczął biec. Nie wiedział, dlaczego było to takie ważne. Po prostu to czuł. Tak jak w przeszłości przeczuwał, że za chwilę wydarzy się coś złego, tak teraz wypełniało go przeświadczenie, że nie może pozwolić temu gościowi odejść. Musiał wreszcie dowiedzieć się, kto to jest. I co o nim wie. Czuł, że było to coś bardzo ważnego. Kluczowego. Rzucającego nowe światło na to, co go spotykało.

– Stój, mówię! Nie chcę ci zrobić krzywdy!

Zaiste, obsada uczestników tego wyścigu zakrawała o groteskę. Człowiek po okropnym pobiciu, co prawda sprzed kilku tygodni, ale wciąż odczuwający jego przykre konsekwencje, kontra kuternoga z protezą. Jako widzowie dziesiątki cieni, ukrytych w ciemności pomiędzy pomnikami.

Choć trudno byłoby wskazać faworyta, Marek do końca nie utracił sprawności i kondycji, które nabył wraz z rekreacyjnym graniem w piłkę i wkrótce dogonił mężczyznę.

– Stój! – Postawiwszy wszystko na jedną kartę, wybrał dogodny moment i rzucił się uciekinierowi pod nogi. Gdy obaj wylądowali na ziemi, trochę się zakotłowali. Do tego upuścili latarki. Kiedy to nastąpiło, wśród otaczających ich cieni zapanowało coś w rodzaju nagłego, entuzjastycznego poruszenia. Niczym wśród czatujących drapieżników, które tylko czekały na odpowiedni moment do ataku.

Moment, który najwyraźniej nadszedł właśnie teraz.

Marek skorzystał ze swoich lepszych warunków fizycznych i skutecznie unieruchomił mężczyznę. Na nic zdały się rozpaczliwe próby uwolnienia się nieznanego.

– Puszczaj!

– Nie chcę ci zrobić krzywdy! Chcę tylko pogadać. Uspokój się!

– Ale ja nie chcę z tobą gadać! Puszczaj mnie, bo...

– Też widzisz te cienie? Też widzisz duchy? Demony? Masz jakieś przerażające halucynacje? To dlatego poszedłeś do psychiatry? Powiedz mi!

Po słowach Marka tamten zamilkł ze zdziwioną miną.

– Mów!

Mężczyzna spojrział mu prosto w oczy i miał coś odpowiedzieć, ale spojrział mimochodem za jego plecy i krzyknął:

– Latarki! Weź je, bo zaraz...

Marek odwrócił się i rozszerzył oczy. Cienie wokół zaczęły poruszać się jak rój wielkich owadów, z pozoru bez ładu i składu, niemniej wyraźnie z zamiarem zaatakowania obu mężczyzn w odpowiednim momencie. Niechybnie zbliżał się czas, w którym chaos ten miał zamienić się w zsynchronizowany, morderczy klucz czarnych postaci zmierzający już tylko w jednym kierunku.

Suchy dopadł na czworakach do swojej latarki i skierował jej światło prosto na postacie, na co te zareagowały paniczną ucieczką z dala od jaskrawego strumienia fotonów połączoną z wysokim rykiem. Zaczął więc wywijać trzymanym przez siebie przedmiotem jak mieczem świetlnym rodem z *Gwiezdnych wojen*, aż wreszcie postacie wyraźnie się cofnęły. Jedynie cofnęły. Wciąż czatowały w pobliżu, jakby w oczekiwaniu na kolejną szansę.

Marek przypomniał sobie o mężczyźnie za sobą i odwrócił się, w przeświadczeniu, że tamten skorzystał z okazji i uciekł, ale mylił się. Facet wciąż leżał na ziemi i trzymał się za brzuch.

– Pomóc ci? – Suchy podszedł do niego, podał mu jego latarkę i wyciągnął rękę.

– Dzięki, dam sobie radę.

– Wsadź se w dupę swój męski honor i daj mi rękę! Przecież widzę, że nie dasz.

Facet spojrział na niego obrażonym wzrokiem, po czym wyciągnął dłoń. Gdy podnosił się na nogi, skrzywił się z bólu.

– Widzisz je. Tak jak ja. Myślałem, że to tylko ja – powiedział Suchy.

– Widzę. I też myślałem, że tylko ja widzę te debilizmy.

– To po co tu przyszedłeś?

– A ty?

– Długa historia.

– U mnie też.

– Skąd mnie znasz? Spotkaliśmy się kilka razy. Widziałem, że mnie koja-

rzysz przynajmniej z widzenia. Jesteś gangsterem? Kto cię tak urządził?

Facet popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– To ty nie wiesz, kim ja jestem? Ty tak na serio?

– Nie wiem! Naprawdę. Kojarzę skądś twarz, ale nie mam pojęcia, kim jesteś.

– To ciekawe. Bo pobił mnie z ferajną twój człowiek. Ty jesteś Suchy. Marek Suchocki, tak? Znam cię. Do niedawna stałeś na czele całej suwalskiej gangsterki.

– Tak. Ale ja nic o tym nie wiem! Przecież nawet nie wiem, kim ty jesteś, człowieku! Ktokolwiek cię napadł, nie mam z tym nic wspólnego! Nie robię sobie wrogów bez powodu.

– Jakoś ci nie wierzę.

– Kto to zrobił? Jak wyglądał? Ubrany na czarno? W kapeluszu? Może takich dwóch ogromnych goryli z wiecznym uśmiechem na mordzie? Jeden blondyn, drugi brunet.

Facet rozejrzał się niespokojnie.

– To nie jest za dobre miejsce na takie rozmowy. One wszystko słyszą.

– Kto słyszy? Cienie? Demony?

Mężczyzna zacmokał z dezaprobatą.

– Ciszej! Jeżeli serio mnie nie wkręcasz i naprawdę nic o tym nie wiesz...

– Nie wiem! Nic nie wiem! Jak wyglądał ten gość?

– Dość niski, szczupły, brunet, chłopięca uroda, włosy zaczesane na bok. Zresztą, jechałeś z nim niedawno samochodem! Zobaczyłem was razem, wtedy, jak stałem przy przejściu dla pieszych na Kościuszki. Wy też mnie widzieliście i pokazywaliście na mnie.

– Knizio. – Marek skojarzył. Nic z tego nie rozumiał. Przypomniał sobie od razu słowa Arka, który twierdził wtedy, że nie zna tego faceta. Okłamał Suchego? W jakim celu? Czyżby kolejny dowód na potwierdzenie słów Samielewicza, że jednak nie można mu było ufać? Co to za intryga, do ciężkiej cholery? O co w tym wszystkim chodziło?

– Słuchaj, nas naprawdę nie powinno tu być! Jedźmy do mnie. Tam nie będą nas słyszeć. Powiedzmy, że ci ufam. Bo też widzisz te rzeczy. Przynajmniej mogę być pewien, że nie ochujałem.

– I *vice versa*.

– Dawaj, spadamy stąd! Byle szybko.

Marek przypomniał sobie o łopacie, którą zostawił przy grobie ojca, ale da-

rował sobie. Idąc ramię w ramię z tajemniczym mężczyzną, wziął na siebie ciężar odstraszenia latarką otaczających ich cieni, które w ostatnich próbach zatrzymania ich tutaj poczynały sobie coraz odważniej. Mężczyźni przyspieszyli kroku i w końcu udało im się opuścić cementarz. Wyszli na bezpieczny, oświetlony latarniami z ulicy Grunwaldzkiej parking.

– Jedź za mną – powiedział nieznajomy.

– Dokąd?

– Na Emilii Plater.

Była to jedna z suwalskich ulic, całkiem niedaleko stąd.

– Dobra. Tylko mam nadzieję, że nie chcesz mi wyciąć jakiegoś numeru.

– Ani mi w głowie teraz żarty – odburknął tamten, po czym obydwaj wsiedli do swoich samochodów. Po zsynchronizowanym odpaleniu aut, na miejscu byli po kilku minutach.

– Szybko. – Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie. To samo uczynił Marek, następnie obaj ruszyli ku wejściu do klatki schodowej w jednym z pobliskich bloków. Już wewnątrz facet natychmiast zapalił światło.

– Boją się światła. Też to zauważyłeś?

– Tak. Trochę mi to zajęło. I przez przypadek. Mój telefon zadzwonił i rozświetlił...

– Dobra, opowiesz mi o tym za moment. Nie gadajmy tutaj. W domu.

Po wejściu na ostatnie, czwarte piętro, towarzysz Marka wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i otworzył środkowe na tej kondygnacji drzwi. Kiedy obaj znaleźli się w sporym mieszkaniu, jego właściciel zamknął je na wszystkie możliwe zamki i pospiesznie obszedł każdy z pokoi, zapalając w nich lampy. To było jeszcze nic. Po tym wszedł do kuchni i wrócił, trzymając w jednej ręce miskę z wodą, a w drugiej kropidło.

– Dzięki temu nie będą nas słyszeć.

– Woda święcona? – Zrozumiał wreszcie Marek, podczas gdy mężczyzna obchodził wszystkie pokoje i kropił ściany zawartością naczynia.

– Tak. Zwinąłem z kościoła. Pijesz coś?

– Nie, dzięki, będę prowadził – odpowiedział Suchy i przypomniał sobie, że właśnie teraz powinien był grzać do Warszawy, ile taryfa dała. Ciekawość okazała się silniejsza. I wciąż taką pozostawała.

– Nie to nie. A ja sobie strzelę piwko. Wejdz, rozgość się, zaraz przyjdę – oznajmił mężczyzna i wskazał mu wejście do dużego pokoju.

Marek rozejrzał się. Choć blok, w którym się ukryli, nie lśnił nowością, wy-

gląd tego mieszkania kontrastował z tym, co mogli zobaczyć poza nim. Było zadbane, ładne, z drogimi, stylowymi meblami i innymi kosztownymi ozdobami, w tym kryształowym żyrandolem. W salonie stały skórzane kanapy i najnowocześniejszy, superpłaski telewizor z efektownym kinem domowym. Obok niego znajdowała się ściana pokryta sporą ilością oprawionych w ramki fotografii. Marek podszedł do nich i przyjrzał im się. Na żadnej z nich nie znalazł swojego nowego znajomego. Zazwyczaj przedstawiały w komplecie czwórkę szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi. Kobietę i trójkę dzieci. Można było śledzić, jak wszyscy zmieniali się z biegiem czasu.

– Błagam, nie patrz na nie i nie przypominaj mi, że tu są. I tak od dłuższego czasu zbierałem się, żeby je stąd wypieprzyć. – Marek usłyszał za sobą głos. Mężczyzna stał u progu pokoju z butelką piwa w ręku.

– Dlaczego? Fajna rodzinka. Zazdroszczę.

– Nie ma czego. Odeszli. Zostawili mnie. Nie byli ze mną, kiedy najbardziej ich potrzebowałem. Wzięli mnie za czubka. To od widzenia duchów i reszty. Tylko ja je widziałem. Pytałem ich, czy też tak mają, to gapili się na mnie jak na świra. Nie wierzyli mi. I uciekli.

– Uciekli? To znaczy?

– Normalnie. Pewnego dnia stanęli mi we czwórkę w drzwiach, jak tu stoję teraz, i oświadczyli, że dłużej tak nie wytrzymają, że się mnie boją, że jestem wariat i że odchodzą. Bolało strasznie. Byłem wierny żonie całe życie, za dzieciaki dałbym się pokroić. A tu wyszło coś takiego. Kto by się spodziewał. – Pociągnął łyk piwa.

– Czekaj, czekaj – odezwał się Marek po nagłej myśli, która właśnie przyszła mu do głowy. – Ty mi właściwie opowiadasz moją historię!

– A co? Ciebie też zostawiła familia?

– Tak! Z tego samego powodu! Ta scena odejścia wyglądała identycznie jak u ciebie.

– Szczerze? Sam się zastanawiałem, czy nie mają racji. To, co widziałem... To, co widzę nadal. Nadal nie mogę w to uwierzyć. To jest zdrowo pojebane. Niby trwa trochę czasu, może nawet powinienem się w pewien sposób przyzwyczaić, ale wciąż mnie zaskakuje. I boję się tak bardzo, że jeszcze moment, a osiwieję nawet na jajach. Nie wytrzymałem. Rodzinka mnie namawiała, to dałem za wygraną i poszedłem do tego psychiatry. Powiedział, że najpewniej cierpię na jakąś odmianę schizofrenii...

– Paranoidalną?

– Tak! Skąd wiesz?

– Bo i mi to samo powiedział – mruknął Marek, a z tyłu głowy coś w tej rozmowie zaczynało mu się coraz bardziej nie podobać. Wcale nie dlatego, że nie wierzył temu facetowi. Wręcz przeciwnie.

– Choć rozpoznanie u ciebie takiego choróbka zazwyczaj nie jest powodem do skakania z radości, ja się ucieszyłem. Skoro cokolwiek u mnie zdiagnozował, to znaczy, że można było te wizje jakkolwiek racjonalnie wyjaśnić. Nawet leki mi dał. – Nieznajomy wskazał na półkę, na której leżało opakowanie zypsili. – Ale nic nie pomagały. Sprawdziłem w necie objawy tej schizofrenii. Żeby się upewnić, czy doktorek aby się nie pomylił. I coś mi zaczęło śmierdzieć. Nie zgadzał się jeden istotny szczegół, o którym ten kolo, jako doświadczony psychiatra, musiał pamiętać.

– Jaki?

– Fachowo nazywa się to krytycyzmem.

– Czekaj. Mi też coś o tym wspominał. Chodzi o to, że zdajesz sobie sprawę, że twoje zwidy to jedna wielka abstrakcja i że to nie może być prawdziwe. Mówił mi o tym i na tej podstawie wykluczył u mnie jakąś inną chorobę.

– Widzisz, czyli na pewno wiedział o czymś takim! No więc nie wiem czy wiesz, ale brak krytycyzmu to też objaw schizofrenii paranoidalnej. Czyli powinniśmy być święcie przekonani, że te idiotyzmy, które widzimy, to najnormalniejsza rzecz na świecie. Owszem, może powinniśmy się ich bać, tak jak się boimy, ale powinniśmy też twierdzić, że takie rzeczy są częścią naszej rzeczywistości. Tak nie jest. Przynajmniej u mnie. To istotny szczegół.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że...

– Tak, wygląda na to, że ziomek celowo nas okłamał. Obu. W ten sam sposób.

– Ale dlaczego? – Marek zagryzł wargi.

– Nie mam pojęcia. Może współpracował z kimś, kto nas nie lubi? Powiem ci jedno, jak tylko odkryłem tę niezgodność, od razu odstawiłem leki. Na wszelki wypadek. Nawet chciałem do niego wrócić, żeby to wyjaśnić, ale gościu przepadł gdzieś jak kamień w wodę. Nikt w szpitalu nie wiedział, gdzie jest. Chciałem mu jeszcze pokazać to, o czym zapomniałem podczas pierwszej wizyty, czyli akcję ze ścianami. Chociażby dla samego widoku jego zdziwionej buźki. Na pewno szczena wylądowałaby mu na podłodze. – Mężczyzna uniósł dłoń, a Marek dopiero wtedy zauważył, że jego rozmówca ma ją zabandażowaną i w pewnych miejscach zaklejoną plastrami.

- Naprawdę?
- Co naprawdę?
- Parzą cię ściany, jak je dotkniesz? Jakbyś oblał łapy kwasem? I tylko ściany? Nic innego?
- Dokładnie. A ty skąd wiesz? Kazałeś mnie śledzić czy jak?
- Tym razem to Marek uniósł swoje dłonie.
- Zobacz.
- No nie gadaj. Serio? To samo?
- Tak!
- Ciekawe.
- Od kiedy to masz? Te wizje, ściany i tak dalej?
- Jak to od kiedy? Od napadu i tego pobicia. To po nim zacząłem widzieć te rzeczy. Nie wcześniej. – Nieznajomy spojrzał znacząco na Marka.
- Też uderzyłeś się w głowę? – Ta liczba zbiegów okoliczności wydawała się Suchemu wręcz niepojęta. Coś mu tu brzydko pachniało.
- Tak. A raczej to mnie uderzyli. Zrobili mi wjazd na chatę, była mała zadyma i skończyła się kopem tego małego, czarnego w mój łeb. Straciłem przytomność i ocknąłem się w karetce, jak mnie dobudził jeden z ratowników. No i po tym się zaczęło. Jeszcze w szpitalu. Szczęście, że nie połamali mi nóg i mogłem stamtąd uciec następnego dnia.
- Kurde. Nic z tego nie rozumiem. Nie mam pojęcia, dlaczego Arek to zrobił. Przysięgam. To się wydarzyło tego samego dnia, w którym przywieźli cię do szpitala? – upewnił się Marek.
- Tak, tej samej nocy.
- Jesteśmy w domu. Knizio zaszedł do mnie dzień wcześniej. Odwiedzał mnie w szpitalu. Oświadczył mi wtedy, że zmienia banderę i przyznał się, że zaczął pracować dla tego gościa w kapeluszu, o którym ci mówiłem na cmentarzu. Nie wiem, czy go w ogóle kojarzysz.
- Oczywiście. Sam miałem z nim do czynienia.
- No, czyli jak Arek przyszedł do ciebie, to już robił nie dla mnie, a dla niego! Czyli to na pewno było jego zlecenie! On musiał o tym wiedzieć! On wie o wszystkim! A poza tym to kłamca i wredna gnida. Chciał cię sprzątnąć? Za co? Czym mu podpadłeś?
- A ja wiem? Niczym! Więc może za przeszłość? Kiedyś też sporo znaczyłem w tym mieście i może chciał się pozbyć potencjalnych zagrożeń? Bo wciąż mam mnóstwo fajnych kontaktów i wpływowych znajomości. Raczej miałem,

bo z tego co wiem, to wszyscy moi dawni kumple, którzy akurat nie są pod celą, robią teraz dla kapelusznika, tak jak ten twój Knizio. Wiedziałem, kim jesteś i kojarzyłem was obu z ryja. Wiedziałem, że do tej pory pracował dla ciebie. I dlatego myślałem, że to ty masz do mnie jakiś problem. Dopiero później się dowiedziałem, że to Mastema teraz trzęsie Suwałkami, nie ty. Nawet nie wiedziałem, kto to jest. Wyskoczył jak Filip z konopi.

Marek przestał słuchać. Myślał. Próbował ułożyć sobie to wszystko w głowie. Chodziło o jedno, kluczowe słowo z tego wyводу.

– Mastema? Jaka Mastema znowu? Pierwszy raz słyszę taką ksywkę na uszy.

– Nie jaka, a jaki. No jak to, jaki? Gość, o którym cały czas rozmawiamy! Nieruchoma buźka po operacji plastycznej, czarny kapelusz, czarna koszula. Tak mi się przedstawił.

– Coś ci się musiało pomylić. On nie ma ksywki Mastema, a Samiel, jeszcze bardziej znany jest jako Grzesznik. Jestem pewien, że tak na niego mówią. Od imienia i nazwiska. Grzegorz Samielewicz, tak się nazywa.

– Samiel? Grzesznik? – upewnił się mężczyzna, spoglądając dziwnie na Marka.

PRÓBA

Miejsce, do którego teraz zmierzał Marek, przyszło mu do głowy zaskakująco szybko. Do swojej próby potrzebował kompletnego odludzia i pewności, że nikt mu nie przeszkodzi. Ulubione zadupia, które wykorzystywał do celów biznesowych i związanych z nimi rozmów z opornymi, miał dwa. Las Szwajcarski, z którego z oczywistych względów nie mógł teraz skorzystać, oraz Pustynię: piaszczysty obszar mieszczący się na południe od Suwałk, przyległy do żwirowni Sobolewo. Bywał na niej równie często, co w tej pierwszej lokacji. Co za tym szło, znał ją jak własną kieszeń. Każdą wydmę, każde ziarenko piasku, każde wyrastające na nim samotne drzewo czy krzew i każdą kroplę wody ze znajdującego się przy niej sztucznego jeziora. Akwen ten, choć bardzo piękny i dzięki błękitowi wypełniającej go wody oraz bieli piasku przypominający latem tropikalną lagunę, był jednocześnie bardzo niebezpieczny, a kąpiel w nim zabroniona.

Marek zaparkował range rovera w lesie, tam, gdzie zaczynała się Puszcza Augustowska. Punkt ten wybrał nieprzypadkowo z jeszcze jednego powodu. Tuż przy nim zaczynała się ścieżka, którą można było dostać się bezpośrednio na piasek. Kiedy ją pokonał, podłoże stało się miększe, pod butami zachrząścił mu żwir. Ruszył raźnie przed siebie, uważnie się rozglądając. Księżycowa noc była chłodna, bezwietrzna, z oddali dobiegał hałas pracującej nawet w środku nocy żwirowni. Odgłos ten bez żadnej przesady przypominał dźwięki rzezi dokonywanej na płaczących niemowlętach.

Marek wzdrygnął się, choć w żadnym wypadku nie z powodu nieprzyjemnych hałasów. Był tak pogrążony w myślach i skupiony na swoim celu, że nie słyszał dźwięków z otoczenia.

Wkrótce dotarł na najwyższy możliwy punkt terenu, z którego roztaczał się efektowny widok na jezioro. Dzięki jasno świecącemu i odbijającemu się od tafli księżycowi doskonale widział akwen nawet w środku nocy. Blask srebrnego globu okazał się tak mocny, że wytworzył na piachu nawet długi, złowieszczy cień sylwetki Sucheego.

Marek wziął głęboki oddech, raz jeszcze uważnie się rozejrzał i upewniwszy się, że na pewno jest sam, sięgnął do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

Nie miał wyboru. Był to jego autorski pomysł na przekonanie się, co się z nim właściwie dzieje. Wóz albo przewóz, z dala od cywilizacji, z dala od ludzi, z dala od służb medycznych, które mogłyby mu przeszkodzić. Tylko w tak brutalny i bezkompromisowy sposób mógł pozbyć się wszelkich wątpliwości i upewnić się co do swoich podejrzeń.

Brutalny i bezkompromisowy, więc typowo gangsterski.

Kiedy odbezpieczał pistolet i wsadzał sobie lufę do ust, miał umysł czystym niczym niezapisana kartka. Wreszcie, w ogóle się już nie zastanawiając, pociągnął za spust.

MASTEMA

Nic dziwnego. To tak zwany efekt twistu. Analogicznie działa to w książkach i filmach. To bardzo proste, a finalnie jakże efektowne! Polega na tym, że osadza się w głowie odbiorcy jakiś aksjomat. Fundament rzeczywistości w danej historii. Czytelnik lub widz zakłada, że to coś w świecie przedstawionym jest nienaruszalne, subtelnie karmi się go tym przekonaniem od samego początku. Tym nienaruszalnym może być na przykład tożsamość jakiejś osoby albo przynajmniej jakaś jej cecha.

Pół godziny wcześniej. Mieszkanie przy ulicy Emilii Plater w Suwałkach.

– Samiel? Grzegorz Samielewicz? Naprawdę? – konsternacja mężczyzny bardzo szybko zamieniła się w śmiech. Tak głośny i długi, że Marek poważnie rozważał, czy jego rozmówca aby zwyczajnie nie oszalał.

– Dobra, może skończysz już rzeć i powiesz mi, co cię tak niby śmieszy?

– Chłopie, nie wiem, co brałeś, najwyraźniej to bardzo dobry towar, więc podziel się nim ze mną. Ja widzę, że ty totalnie nie kumasz, co tu się kraje. Tamten gościu nie nazywa się Grzegorz Samielewicz i jestem tego pewien tak samo jak tego, że po piątku wypada sobota.

– Niby skąd?

– Ponieważ Grzegorz Samielewicz to ja.

Marek spojrzał na niego nieprzytomnie i dopiero gdy połączone z uszami zakończenia nerwowe z zaskakująco niską prędkością dostarczyły usłyszaną informację jego mózgowi, poczuł, jak pod jej wpływem stopniowo uginają się pod nim nogi. Same z siebie. Aż musiał oprzeć się o oparcie krzesła.

– Co ci?

– Ty jesteś Grzegorz Samielewicz? Samiel? Gangster? – wycharczał ochryple, ledwo słyszalnie Marek.

– I jeszcze Grzesznik, choć chyba nie sposób opisać, jak wielkim inwalidą umysłowym jest dziennikarz, który mi to wymyślił – odpowiedział z przekąsem mężczyzna. – I, gwoli ścisłości, były gangster. Skończyłem z tym. Przesta-

wili mnie w pierdłu. Ostre pranie mózgu, ale skuteczne. W sumie gadali rozsądnie i uwierzyłem im, że taki żywot w gruncie rzeczy nie popłaca. Bo, koniec końców, kończysz albo w piachu, albo za kratami, mówili. Taka prawda. Wskaż mi choć jednego poważnego gangstera w historii, który skończył inaczej. Zerwałem wszystkie kontakty z dawnymi znajomymi z tego środowiska i bardzo długo nikt z Suwałk nie wiedział, że tu wróciłem.

– Gdzie siedziałeś? – dopytywał się Marek. Nie potrafił w to uwierzyć. Musiał. Wciąż musiał się upewniać, że nie ma do czynienia z jednym wielkim wariactwem.

– W Czarnem. Miejscowość nazywa się Czarne, tak się śmiesznie odmienia. Niedawno wyszedłem ze względu na zły stan zdrowia. Wykorzystałem fakt, że byłem obleśny niczym Quasimodo i przydałaby mi się jakaś renowacja facjaty, choć żebyś wiedział, jaki dzięki niej miałem szacunek w kiciu. Słyszałeś pewnie, co mi się przydarzyło. Skoro siedzisz w tym temacie, to musiałeś. Porachunki, zamach, ryj obłany kwasem, moja zemsta, trochę mnie poniosło, przyznaję, ale należało się skurwielom. Poszedłem siedzieć. Skorumpowałem kogo trzeba i obniżono mi wyrok z dwudziestu pięciu do piętnastu lat. Dobrze się sprawowałem, jeszcze wyszła sprawa z tą operacją plastyczną, to mnie wypuścili warunkowo na zdrowotny. I nie wrócę tam. Żyję jak przykładowy obywatel. Koniec z gangsterką. Co prawda brudnej forsy nie mam zamiaru zwracać, ale przymierzam się do otwarcia na nowo mojego pubu czy czegoś w tym stylu, będzie to w stu procentach uczciwy biznes. Trochę kapusty mi zostało, choć żeby ponownie przywrócić moją mordę do stanu używalności, musiałem nieźle zabulić.

Marek przyjrzał mu się uważnie, tak jakby dopiero teraz robił to pierwszy raz. No tak. To dlatego kojarzył tę twarz! Ponieważ widział ją parę razy na żywo przed kilkunastoma laty, na początku swojej przygody z przestępczością, gdy dodatkowo otaczały ją ciemne włosy, a nie na wpół siwe jak teraz, a do tego była w naturalnym stanie, nie po retuszu. Knizio się mylił. On nie zrobił sobie buźki od zera, a zadbał, by jego nowy wizerunek był jak najbliższy poprzedniemu. Marek dopiero zwrócił uwagę, że podobnie jak w przypadku Samiela...

Nie, Samiel stał przecież przed nim!

W jego przypadku też twarz wyglądała nie do końca naturalnie. Jak maska. Maska, której istnienie bardzo trudno było dostrzec na pierwszy rzut oka.

Wcześniej przez purpurę siniaków, opuchliznę i cięte rany, a teraz przez blizny po nich.

Raz jeszcze spojrzął na ścianę pokrytą fotografiami. Czy podczas ich pierwszej rozmowy o Samielewiczu Knizio nie mówił przypadkiem, że ten po pierwszej operacji przeszczepu skóry ukrywał się nawet przed swoją rodziną? Mówił! Marek doskonale pamiętał to słowo. Czyli miał żonę i dzieci, a także nie mógł wychować się w domu dziecka.

– Nie wierzę. To nie dzieje się naprawdę. To nie może być... – mruknął.

– Wyszło po raz kolejny, że w tym zawodzie przeszłość ciągnie się za człowiekiem aż do śmierci. Pojawił się jakiś nowy kolo, który chciał iść z tobą na rozkminkę, to się przy okazji upewnił, że ci, którzy rządzą w tym mieście przed tobą, nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia. Przyszedł i do mnie. Ma to sens. Dobry plan. On zorganizowany i kumaty jest, trzeba mu to oddać – kontynuował Grzegorz i wziął kolejny łyk piwa.

– Ty naprawdę jesteś Grzegorzem Samielewiczem? Czy może kolejnym demonem, który miesza mi we łbie? Przedstaw się!

Samiel spojrzął na niego ze zdziwieniem.

– Co żeś się tak nadał? Tak, to ja. Mam pokazać ci dowód osobisty czy jak?

– Pokaż.

– Dobrze, panie kanar. Proszę bardzo. – Podeszedł do półki, wyjął z portfela dokument i rzucił mu na stół. Widniało na nim jego zdjęcie. Imię i nazwisko: Grzegorz Samielewicz.

– Teraz mi wierzysz, czy mam sobie jeszcze zrobić badania DNA?

Marek już go nie słuchał. Próbował poskładać sobie to wszystko w jedną całość, bezskutecznie. Cała historia pozbawiona była najmniejszego sensu. Wiele pytań wciąż wymagało odpowiedzi.

– Widzisz duchy tak jak ja, zgadza się? – zapytał.

– Głuchy jesteś czy Alzheimer? Tak, widzę. Duchy, jakieś cienie, czasem demoniczne twarze, halucynacje. Zazwyczaj w ciemności. I wszystko to dzieje się od tej akcji z tym twoim, jak mu tam było? Kniziem? Dokładnie od wtedy. Nie wcześniej i nie później.

– I jesteś pewien, że też uderzyłeś się w głowę?

– Tak. Ostatniego widoku zbliżającej się do mnie stopy tego kolesia nigdy nie zapomnę.

– Też pamiętałeś wszystkie szczegóły z tamtego zdarzenia? Przecież to podobno tak nie działa! – zapytał Marek, przypominając sobie, że u niego było

identycznie.

– Pamiętałem. Bez problemu. A ja wiem, czy to aby na pewno tak działa? Nie mam pojęcia.

– Najbardziej śmierdzi mi to, że mamy dokładnie to samo po totalnie różnych wydarzeniach! Co prawda z podobnym zakończeniem, ale jednak innych. Ilu ludzi na świecie ma dziennie identyczne wypadki i nic podobnego się z nimi nie dzieje? Nie uważasz, że to dziwne?

– Chłopie, sam codziennie zadawałem sobie to pytanie. Skąd się to wzięło. Wiesz w ogóle, czemu dzisiaj poszedłem na ten cmentarz? Bo wcześniej, wieczorem, zapukały do mnie jakieś świry i mówią mi, że słyszały, że mam zdolność widzenia duchów, czyli że jestem medium i czy mógłbym im pomóc skontaktować się z ich córką, co to niedawno umarła na raka. Popatrzyłem na nich jak na czubków, czułem się, jakby mnie jacyś Jehowi odwiedzili. Zamknąłem im drzwi przed nosem, ale potem, już w nocy, pomyślałem, że kurde, to może być dobry pomysł. Skoro mam zdolność widzenia duchów, to może warto pogadać z jakimś, który mnie lubi i on mi wytłumaczy, o co w tym wszystkim chodzi. Kto, jak nie on? Jak mi to przyszło do głowy, to od razu poszedłem na grób matki, nie traciłem czasu. Nie spotkałem jej. To porzucałem trochę mięsem i jak wracałem do samochodu, natknąłem się na ciebie.

– Człowieku, kurwa, ja pojechałem tam w identycznym celu. To znaczy pierwotnie w innym, ale potem przyszło mi do głowy dokładnie to samo!

– No, to wiele nas łączy, widzę.

– Nie widzisz, że coś tu nie gra? Zbyt wiele! Za dużo tych zbiegów okoliczności. Obaj jesteśmy lub byliśmy gangsterami. Mieliśmy wypadki, po których zaczęliśmy widzieć więcej niż inni. Obaj widzimy dokładnie to samo, czyli raczej nie są to nasze wymysły. Obaj mamy wstręt do dotykania ścian. Nas obu opuściła rodzina. Nam obu tamten psychiatra powiedział te same farmazony, nas obu oszukał, do tego jeszcze w mojej obecności zachowywał się tak, jakby słyszał takie rewelacje pierwszy raz. Na nas obu też Samiel...

– Samielewicz to ja – wszedł mu w słowo Grzegorz z nutą niecierpliwości w głosie.

– Nieważne! Na nas obu tamten gościu z jakiegoś powodu szczególnie się uwziął! Też cię zapraszał na takie dziwne rozmowy?

– Panie, pewnie że tak. Przyjeżdżali jego ludzie, brali mnie siłą i jechaliśmy zawsze w to samo miejsce. Do mojego pubu. Zajął go siłą, pewnie chciał mnie

w ten sposób jeszcze bardziej upokorzyć. Nie powiem, że nie bolało. Sadzał na takim małym stołeczku.

– Mnie też!

– Potem, jak już zaczynał gadać, to normalnie czułem się, jakby mi otwierał banię na oścież i wiercił tam młotem pneumatycznym, a na sam koniec dobił jeszcze to wszystko młotkiem.

– Miałem dokładnie to samo!

– Jakby jeszcze mało było kłopotów. Kurde, chciałem rozpocząć nowe życie, a tu nie dość, że to wszystko, napad z pobiciem, duchy i ten dupek depczący mi po piętach, to jeszcze ukradli mi jeden z samochodów, a tydzień temu umarła mi matka. To dobra, złota, kochana kobieta była. Bardzo to przeżyłem. Szkoda gadać. Powiem ci, stary, coś jeszcze. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że kapelusznik jakoś macza w tym wszystkim palce.

– Ja też – zaczął Marek i momentalnie zamilkł. Coś zaświtało mu w głowie. Przez moment mignął mu w niej motyw, który spajał z pozoru niezwiązane ze sobą fakty w jedną całość. Przemknęło mu to tak szybko i zarazem brzmiało tak niewiarygodnie, że paradoksalnie uwierzył w to niemal natychmiast.

– Mogę zobaczyć twój kark? – zapytał znienacka. Grzegorz spojrział na niego z zaskoczeniem.

– Możesz. Ale po co?

– Chcę tylko coś zobaczyć. Pokaż.

Wstał i podszedł do Samielewicza. Ten z niemałym ociąganiem i jakby nieufnością odwrócił się do niego tyłem. Na jego karku Marek przeczytał dokładnie to samo, co miał napisane na swoim, tyle, że tym razem z użyciem imienia Mastema.

„Jestem własnością”...

– No i co? Wypatrzyłeś coś ciekawego? – zapytał Grzegorz. Marek drżał. Równie mocno drżał mu głos, gdy zapytał:

– Powiedz mi. Jak trzymałeś tu wszystkich za mordę. Miałeś wtedy w Suwałkach swój burdel? Zatrudniałeś jakieś panienki, które miały robić lachę bogatym facetom i dzielić się z tobą tym, co zarobiły?

– Burdel? Nie. Chłopie, gdzie burdel w Suwałkach? To nieopłacalne. Tu połowa ludzi biedna jak mysz kościelna. W Warszawie albo chociaż w Białymstoku, to jeszcze bym rozumiał, ale tu?

Marek przestał go słuchać po samym „nie”. W pewnym momencie przerwał mu słowami:

- Idź do łazienki i zobacz, co masz na karku.
- Co mam na karku?
- Idź, sam zobaczysz.
- Powiedz, nie wydurniaj się!
- Robiłeś tam sobie jakiś tatuaż?
- Nie, w ogóle nie robiłem sobie żadnych tatuaży. Nigdy. Nie mam ani jednego.
- To już masz.
- Co?!
- Idź, zobacz sobie.

Grzegorz postawił piwo na stole i czym prędzej pobiegł od łazienki. Po chwili po mieszkaniu rozległ się jego okrzyk:

– O kurwa! Co to ma być?! Kiedy? Kiedy ten skurwibąk mi to zrobił?!

Tatuaże o identycznej treści stanowiły kolejną rzecz, która ich łączyła. Marek myślał gorączkowo, wszystko kotłowało mu się w czasce z temperaturą wrzenia. Tatuaże. Wypadki. Nowe zdolności. Widma. Demony. Cienie. Strach. Halucynacje. Ciemność. Nieszczęścia. Choroby. Ból. Samotność. Utrata. Cierpienie. Brak Szczęścia. Beznadzieja. Rozpacz.

Płacz i zgrzytanie zębów.

Utonięcie w czerwonej rzece w Lesie Szwajcarskim, po którym jakby nigdy nic obudził się z powrotem na cmentarzysku Jaćwingów?

I ten ktoś w czarnym kapeluszu.

I duchy.

Ale nie wszystkie. Nie spotykali na swojej drodze wszystkich duchów, jakie mogli. Nie widzieli na przykład Stanisława Suchockiego czy pani Samielewicz senior. Na działce ukazał się Markowi tylko gruby dziad, a kobieta, którą kiedyś przestraszył na śmierć, już nie. Na cmentarzach nie przy wszystkich grobach stały cienie.

Widzieli tylko te duchy, które łączyła jedna podstawowa cecha.

Były to dusze wyłącznie osób, które za życia czyniły źle.

– Skąd wiedziałeś o tym tatuażu? Też masz coś takiego? – Grzegorz wyszedł z łazienki, ale nie zastał już Marka w mieszkaniu. Ten bowiem dobiegał do swojego samochodu.

Z jednym zamiarem.

Pół godziny później. Pustynia przy żwirowni Sobolewo.

Marek drgnął i ocknął się. Leżał na brzuchu i wciąż trzymał w ręce pistolet. Kiedy poruszył głową, poczuł, że do ust dostało mu się sporo piasku, więc dźwignął się na łokciach i krztusząc się, wypluł go.

Od razu przypomniał sobie co się niedawno wydarzyło i dotknął tyłu głowy, w poszukiwaniu...

Nic nie znalazł.

A więc jednak.

– Witaj, Marku. – Wzdrygnął się, gdy gdzieś za nim rozległ się ten niski, znudzony, co gorsza znajomy głos. Obejrzał się gwałtownie jak osaczone zwierzę i w końcu dojrzał stojącą w oddali i ubraną w całości na czarno postać w młodzieżowym kapeluszu na głowie. Stała pomiędzy nim a jeziorem, na samym środku piaskowej, stopniowo opadającej w stronę wody równiny. Coś w jej widoku Markowi nie grało i w końcu zdał sobie sprawę, że pomimo sączącego się zza niej światła księżyca, nie rzuca ona na ziemię żadnego cienia. Zupełnie, jakby w rzeczywistości była przezroczysta.

W mieszance paniki, strachu, rozpaczy, frustracji i gniewu oraz w ogóle nie zastanawiając się nad konsekwencjami swoich czynów, Marek wycelował w nią pistolet i zaczął ku niej biec. Z jego oczu biło szaleństwo, a z ust wydobył się wściekły wrzask. Opróżnił cały magazynek, bez wątpienia wielokrotnie trafiając w cel, ale mężczyzny przed nim ani trochę to nie wzruszyło. Kiedy Suchy zużył wszystkie naboje, było za późno. Postać uczyniła tylko ku niemu ruch ręką, w którym ścisnęła dłoń w powietrzu w takim układzie palców, jakby łapała Marka za szyję. Poczuł, jak jakaś niewidzialna, potężna siła chwyta go pod brodą w identyczny sposób i unosi dobry metr nad ziemią. Zrobiła to tak perfekcyjnie, złapała w tak odpowiednim miejscu, że Suchy nawet się nie dusił.

– Ty cwelu jebany! Ty dziwko – charczał z trudnością, nie odrywając od swojego adwersarza coraz bardziej łzawiącego wzroku. To coś pod postacią mężczyzny podeszło do niego i, wciąż unosząc dłoń w tej samej pozycji, powiedział:

– Oszuści, złodzieje, dziwki, kłamcy, gwałciciele, pedofile, poganie, mordery, samobójcy, gangsterzy, pewni politycy też. Wszyscy oni tu trafiają. Dlaczego nie miałbyś trafić ty?

Marek milczał, wijąc się bezwładnie jak ryba na końcu haczyka. Musiał się

trochę wysilić, by w ogóle widzieć to coś przed sobą, ponieważ niewidzialna ręka, która go trzymała, unosiła mu głowę lekko w górę.

– Niedawno powiedziałaś swojej żonie, że z twoją profesją jest tak: jeżeli raz się w nią wejdzie, to przeszłość ciągnie się za tobą aż do śmierci i nie da się przed nią uciec. Myliłaś się. I to podwójnie. Bo każda przeszłość ciągnie się za człowiekiem, nie tylko taka jak twoja. W nieskończoność. Niezależnie jaka, dobra czy zła. Przyczepia się do ciebie jak rzep do psiego ogona i nigdy cię nie opuści. Bo to coś stowarzyszonego z tobą na stałe. Część ciebie. Twoja własna, unikalna historia, sekwencja wyborów, strategia twojego życia, która skutkuje tym, jak skończysz. Owoc twoich postępowań w danych sytuacjach, które decydują, czy koniec końców będziesz potępiony, czy wywyższony na ołtarze. Na całą wieczność. Również i na czas po twojej śmierci. Ty jesteś tego doskonałym przykładem.

– Kim ty jesteś? Czym ty jesteś?

– Tego, kim jestem, myślę, że się akurat domyślasz. Zresztą, założę się, że doskonale słyszałaś, jak inni się do mnie zwracają.

– Tak, domyślałam się i słyszałam. Ale oni albo grali i cały czas kłamali, albo sami nie wiedzieli, że nie jesteś Grzegorzem Samiełowiczem. Spotkałem tego prawdziwego.

– Nie jestem, to prawda. Ale nigdy tego nie powiedziałem. Na imię mi Samiel. Zresztą, mam ich o wiele więcej. Moje inne imiona to też anioł Edomu, Mastema, Gadriel, Satanael, Samael, Siegel, Satan, czasem też Lucyfer, Ojciec Kłamstwa. Albo po prostu Szatan.

Wolę wszystkie demony na tym świecie razem wzięte od ciebie. Wolę już wierzyć im niż tobie. Bo to nie one są definicją zła, a ty. Ty, Grzesiu. Wyniosłaś to pojęcie na niespotykany dotąd poziom.

– Jeszcze Beliar, Lilit...

– Nie, akurat oni to jedne z moich najbardziej zaufanych demonów. Moi bezpośredni podwładni. Pajmon także. Coś jak Knizio, Rubik i reszta dla ciebie. Zresztą, w swojej dotychczasowej przygodzie z tym miejscem spotkałaś ich znacznie więcej.

– Kogo? Pod kogo jeszcze się podszywały?

– Może zaprosimy je do nas i same ci powiedzą? – Diabeł uśmiechnął się i pstryknął palcami drugiej ręki. Po tym z piachu zza niego zaczęło wyłaniać się z chórem złośliwego chichotu kilkaset ciemnych postaci, które wkrótce, niczym armia, stanęły za swoim panem. W tych, które stały najbliżej, Marek roz-

poznał ciemne kontury Kasi, Adasia i Iwonki. Potem matkę. W idealnie wyprostowanej pozycji i z przebijającym się przez ciemność uśmiechem wyglądała wybitnie nienaturalnie. Za nimi z kolei stali jego kumple. Pepe, Knizio, Rubik i wszyscy pozostali. A gdy spojrział jeszcze dalej, zobaczył...

– Wszystkich! – triumfalnie zakrzyknął Samiel. – Wszystkich, którzy nie znaleźli się tu z tego samego powodu co ty, a których spotkałeś na swojej drodze. Wszyscy oni to w rzeczywistości moje zaufane, upadłe anioły. Każdy lekarz i pielęgniarka, którzy cię leczyli, psychiatra też. Twoja matka, wszyscy członkowie twojej najbliższej rodziny, twoi kumple, włącznie z Kniziem, głosy twojej siostry i jej męża przez telefon. Ekspedientka w sklepie, której twarz w odbiciu pomyliłeś ze stosem wątróbek. Ksiądz, którego zmusiłeś do egzorcyzmów. Zakonnica, chórzysci. Głos żony Jacka Serafina, Biały, Czarny, moje dziewczyny w Haremie, wszyscy goście mojej gali, zawodnicy MMA, taksówkarze, nawiedzona kobieta na działce. Wszyscy! Co do jednej osoby! Zleciłem im jedno zadanie. Mieszać ci w głowie. Dezorientować. Zwodzić. Oszukiwać. Okłamywać. Byś jak najpóźniej zdał sobie sprawę, że od dawna nie żyjesz – oświadczyła postać w kapeluszu, po czym zmieniła głos, który brzmiał teraz identycznie jak u Kasi: – *Tak, tylko, że jak ktoś będzie chciał ci naprawdę porządnie zaszkodzić, to myślę, że ani trochę nie zawaha się wykorzystać do tego nas. Nie pomyślałeś o tym?* – powiedziała i od razu wróciła do swojego. – Mądre słowa rzekła babka, prawda? I jakże prawdziwe. Ale w zupełnie inny sposób, niż mógłbyś się spodziewać. – Szatan zaśmiał się złośliwie. Był to śmiech autentycznie wzbudzający strach. Brzmiał w uszach Marka nawet gorzej niż płacz niemowlęcia z Haremu. Mimo że wciąż wisiał w powietrzu, jego ciało przeszył gwałtowny dreszcz, jakby usłyszał szorowanie kredą po tablicy. Nie mógł oderwać wzroku od tłumu stojących za diabłem postaci. Wyglądało, że ustawiły się nieprzypadkowo, od najbliższych do najdalszych mu osób. Choć niewątpliwie nie miał teraz do tego głowy, nie mógł pozbyć się wrażenia, że kogoś mu w tej grupie brakuje. I nie chodziło tu bynajmniej o prawdziwego Grzegorza Samielewicza, którego zresztą też tam nie dostrzegł.

– Co to za miejsce? Piekło?

– Niektórzy lubią je tak nazywać. Żył sobie kiedyś taki koleś, który nazywał się Jan Bosko. Z zawodu klecha. Opisał je jako „miejsce, gdzie nie ma Boga”. Ja się z tym zgadzam. Bo ono tak naprawdę nie wygląda tak, jak wy, ludzie, je sobie wyobrażacie. – Samiel po raz kolejny pstryknął palcami, po czym mentalnie zniknęły wszystkie towarzyszące im demony i zmieniła się sceneria

wokół. Znajdowali się teraz w ogromnej, rozświetlonej ogniem i rozżarzoną lawą pieczarze, w której unosiło się echo żalostnego zawodzenia i jęku. Przez całą jej długość biegła brukowana kamieniem droga, tak szeroka, że właściwie stanowiła plac. Po niej czołgały się niezliczone rzędy niewyraźnych, połączonych ze sobą łańcuchami ludzkich kształtów i to one wydawały te jęki. Pomiedzy nimi Marek dojrzał też wielkie, szkaradne, rogate, czarne postacie, które ze złośliwym uśmiechem poganiały ślaniające się dusze potępionych za pomocą bicia. Po bokach drogi znajdowały się jeziora płynnej lawy, z których bezskutecznie próbowali wydostać się kolejni topieni w nich przez demony i wrzeszczący z bólu grzesznicy, zaś jeszcze dalej, w ścianach tej ogromnej groty, wydrążono duże, skalne klatki, których kraty były rozgrzane do czerwoności. Spomiędzy nich wychodziły na zewnątrz setki bezbronnych rąk, jakby ich właściciele błagali o pomoc i litość.

– To byłoby zbyt trywialne. Zbyt oczywiste. Dla każdego z was miejsce to wygląda inaczej, jego natura jest specjalnie dopasowana – kontynuował Samiel, postawił w końcu Marka na ziemię, po raz kolejny pstryknął palcami, po czym plac z czołgającymi się kształtami i demonami zamienił się w opustoszały plac Marii Konopnickiej w Suwałkach. Byli tam sami, tylko we dwóch. Świtało. Na niebie panowała depresyjna szarówka, w powietrzu przenikliwy chłód, jak na środek lata w Suwałkach raczej niespotykany. – Bo piekło to tak naprawdę synonim cierpienia. Kary. To ma być najgorsza, najstraszniejsza dla ciebie rzecz. A kara, żeby była karą, musi boleć. I być adekwatną do przewinień. Bo choć z Bossem wiele nas dzieli, to jednak łączy przynajmniej jedno. Obaj jesteśmy sprawiedliwymi sędziami. Z tą różnicą, że on wynagradza za dobre, a ja wyłącznie karzę za złe.

– Więc tak właśnie wygląda moje własne piekło?

– Dokładnie. Ale nie tylko twoje. Oprócz moich braci w misji, spotkałeś tu też wielu innych potępionych. I to też jest ich piekło. To dlatego, że ludzie są generalnie do siebie podobni i każdemu sprawia cierpienie praktycznie to samo. Samotność, ból, zarówno ten fizyczny, jak i psychiczny, strach, upokorzenie, brak nadziei, bezsilność, nasilenie się wydarzeń, które doświadczają cię o złość i frustrację, oraz stopniowa utrata wszystkiego, co sprawiało, że czułeś się szczęśliwy. Kroczonek po kroczoneku, kiedy myślisz, że gorzej już być nie może. Nic tak nie boli dumnego, pewnego siebie, uchodzącego za ważnego człowieka, jak umniejszenie go do roli mrówki. Jak brutalne ukazanie mu, że

nikomu już na nim nie zależy. Zdegradowanie go do pozycji nic nie znaczącego śmiecia.

– Dlaczego się tu znalazłem? Nie było już dla mnie żadnej nadziei? Gdzie Sąd Boży? Nie pamiętam niczego takiego. Co z czyścćem?

Samiel znowu zaśmiał się śmiechem, który początkowo brzmiał jak najzwyczajniejszy, serdeczny i ludzki, ale stopniowo zamieniał się w przerażający, demoniczny, złośliwy rechot.

– Kwestia twojego umieszczenia tutaj była tak oczywista, że nawet nie potrzebowaliśmy Sądu Bożego! To byłaby strata czasu! Popełniłeś, i to wiele razy, chyba każde możliwe przewinienie. Twoje pytanie tylko świadczy o tym, jak bardzo oderwałeś się od rzeczywistości i jak bardzo ci to wszystko spowszedniało. To była norma, twoja własna okropna codzienność i rutyna.

– Gdzie to mityczne boże miłosierdzie? Wpaja się nam je od zawsze do głów, a jak przyszło co do czego...

– Miłosierdzie Bossa jest zawsze. Ale doświadczysz jego łaski tylko wtedy, gdy żałujesz za grzechy, głupcze! Tego nie ma i za życia nigdy nie było ani u ciebie, ani u pana Grzegorza, skatowanego na twoje zlecenie przez Arka Knizia. Stało się to krótko po twojej śmierci na klatce schodowej w bloku twojej mamusi. Twój przyjaciel jeszcze nawet o niej nie wiedział, po prostu robił to, co mu wcześniej kazałeś. Szukał, znalazł i posłał Grzesznika pod ziemię. Największy chichot losu tej historii polega na tym, że Samielewicz zginął niesłusznie.

– Jak to niesłusznie?!

– Nie pamiętasz? Rozmawialiście. I wszystko ci powiedział. Powiedział ci, że wszystko, co spotkało jego wrogów po zamachu, należało im się. Zdążył ci też powiedzieć, że wzruszająco nawrócił się w więzieniu i w żadnym wypadku nie interesował go powrót na przestępczy szczyt w Suwałkach. Z tym, co cię niepokoiło, nie miał nic wspólnego! Ani z wybitą szybą, ani z telefonami po nocach, ani z przebijaniem opon w twoim autku czy straszeniem twoich dzieci.

– Skoro nie on, to kto? Kto to robił i kto nasłał na mnie Czarnego i Białego? Kto przyczynił się do mojej śmierci? Ty? Nękałeś mnie jeszcze za życia?

– Nie, Marku. Sam się do niej przyczyniłeś. Siałeś wokół siebie zniszczenie, robiłeś wszystko, by coraz więcej ludzi cię nienawidziło i w końcu się doigrałeś. Pragnienie zemsty połączone ze strachem to potężna siła, która odbiera zdrowy rozsądek. Są jednak granice, cienkie linie, po przekroczeniu któ-

rych człowiekowi staje się wszystko jedno i nie myśli logicznie. Takim człowiekiem był Karol Misiak, który za to, jak go upokarzałeś i dręczyłeś, nienawidził cię jak nikogo na tym świecie. W końcu coś w nim pękło. Odpłacenie ci za doznane krzywdy stało się jego obsesją, wręcz celem życia. Szarżował jak dzikie zwierzę i kompletnie odjęło mu rozum. Działał po omacku, bez konkretnego planu. Najpierw wybił ci okno, potem nękał telefonami, przerabiając swój głos za pomocą specjalnej aplikacji na smartfony, na koniec, pod twoją nieobecność, zrobił najazd na twój dom, chcąc porwać dla okupu Adasia i Iwonkę. Nie udało mu się to, ponieważ po twoim telefonie w porę przybył na miejsce Arek i go przepłoszył. Bardzo przeżył to niepowodzenie, a że był w gorącej wodzie kąpany i zdeterminowany, by ci dokopać, to postawił wszystko na jedną kartę. Sprzedał wszystko, co miał i dowiedziawszy się, że Grzegorz Samielewicz właśnie opuścił więzienie, wykorzystał tę sytuację i zlecił twoje porwanie tym dwóm gangsterom z Trójmiasta, których wygląd stanowił pierwowzór Czarnego i Białego. Przyczyną rozkminki miała być ponowna chęć przejęcia władzy przez dawnego króla suwalskiego półświatka i takiej też wersji się trzymali. Misiak wiedział, że jesteś pyszny i w sumie charakterny. Że się nie zesrasz i nie złamiesz. Że się dobrowolnie, pokornie przed nimi nie unizysz. Mieli więc ci tylko trochę przetrącić ryja, a potem porwać i doprowadzić do niego, by sam mógł się tobą zająć tak, jak tylko sobie zamarzy. Jak sam już dobrze wiesz, cały plan spalił na panewce przez twoją śmierć, niemniej i tak mam dziwne wrażenie graniczące z pewnością, że Karol tak czy inaczej jest z takiego rozwiązania bardzo zadowolony. W końcu dzięki niemu ostatecznie odzyskał wolność.

– A kto odpowiada za zabicie Martyny? Bo ona też nie żyje, prawda?

– Ty, Marku! Ty i tylko ty! Bo to ty kazałeś jej usunąć ciążę! I to przez ciebie, gdy tylko po dostarczonych przez ciebie tabletkach krwawo pozbyła się swojego nienarodzonego dziecka, popadła w taką rozpacz, że w końcu podcięła sobie żyły. Popęłniła tym samym grzech śmiertelny. I dlatego też tutaj jest.

– Jest tutaj? – Marek zeszywniał.

– Oczywiście, że jest. Powiem ci nawet więcej. Spotkałeś ją na swojej drodze.

– Kiedy?

W odpowiedzi Samiel uniósł otwartą dłoń wnętrzem do dołu, po czym zmaterializowała się pod nią postać, którą Marek skojarzył niemal natychmiast.

Zresztą, trudno byłoby tak przerażającą istotę wyrzucić z pamięci.

– Boli. Boli, o Jezu, jak boli. Zimno mi. Dlaczego mi pan to zrobił?! Dlaczego okazał się pan tak okrutny?! Błagam, niech pan mnie zabije! Nie dam już rady! Niech ten ból wreszcie się skończy! Już nie mogę go wytrzymać. Nie chce przestać. Jest nie do zniesienia. Wypełnia. Pożera mnie. Niszczy. A to wszystko przez pana – wykrzyczała w jego stronę chuda jak anorektyczka poczwarą, z rzadkimi, pojedynczymi kępkami czarnych włosów opadającymi na jej szkaradną twarz. Marek cofnął się trochę. Wciąż nie potrafił przyzwyczać się do tego widoku i nie chodziło tu wyłącznie o aspekty wizualne. To nie mogła być prawda. Nie mógł w to uwierzyć. Nie chciał w to wierzyć. Próbował nim manipulować sam Szatan. On musiał kłamać. Taką ma naturę.

Wtedy jednak dostrzegł nad wargą postaci ten charakterystyczny dla Martyzny diamentowy kolczyk.

– Nie – szepnął.

– A jednak – odpowiedział Samiel i opuścił dłoń, a postać pod nią zniknęła.

– Dlaczego ona tak wygląda? Tak wyglądała na krótko przed samobójstwem?

– Nie. Tak wyglądała jej dusza na krótko przed samobójstwem. Wyniszczona, przeżarta, strawiona i wydalona przez poczucie winy. Z zewnątrz to wciąż była ta sama, piękna kobieta, którą tak lubiłeś dupczyć. Co prawda pogrążona w depresji, nie jedząca posiłków, niedbająca o siebie od wielu dni, zamknięta w swoim mieszkaniu i bez przerwy płacząca, ale jednak.

– Przepraszam – szepnął zszokowany Marek. Bardziej do siebie i tej postaci, która przed chwilą zniknęła pod dłoń Szatana, niż do swojego rozmówcy.

– To jeszcze nie wszystko. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale swoje trzecie dziecko również tutaj spotkałeś.

– Kiedy?!

– Pomyśl. – Uśmiechnął się Samiel. Nawet kiedy się ujawnił, jego twarz wciąż była nieruchoma, przypominająca maskę.

Marek pomyślał i od razu skojarzył. Jedyne dziecko, jakie spotkał po wypadku to...

– Nie. To nie może być...

– Tak, dokładnie to samo niemowlę. To miała być dziewczynka. Śliczna notabene. Odziedziczyłaby po mamie sporo urody. Miałem wgląd w jej teoretyczną przyszłość i wiem, jak by wyglądała, gdybyś pozwolił jej żyć. Byłaby jeszcze piękniejsza niż Martyna. Wyrosłaby z niej naprawdę zjawiskowa kobieta.

– Dlaczego ona tutaj jest? Niczym nie zawiniła!

– Ona nie, ale zawiniłeś ty i twoja kochanka. Dziewczynka powstała jako owoc grzechu pierworodnego, nie zdążono jej ochrzcić, więc wylądowała tutaj. I też cierpi. Za wasze winy. Sam zresztą widziałeś, jak. – Oczy Samiela rozbliły się złośliwie.

– Pochowałem ją przecież.

– I co z tego? Tutaj cierpi się na okrągło, czasem wręcz umiera, oczywiście na niby. Potem po prostu budzisz się w tym samym miejscu i dalej jedziemy z tematem. Ty też „umarłeś” tu dwa razy. Kiedy utopiłeś się w czerwonej rzece niedaleko cmentarzyska Jaćwingów i przed chwilą, kiedy strzeliłeś sobie w łeb. A mimo to jakoś chodzisz. Nie da się tego przerwać. To niemożliwe.

Marek nie potrafił go słuchać. Czuł się okropnie. Trapiły go tak ogromne wyrzuty sumienia, jak nigdy w życiu. I po śmierci zresztą też. Rozpaczliwie i z całej siły oddalał od siebie tę myśl, ale niezależnie od siebie ponownie przywołał sobie w pamięci zapłakaną i przerażoną twarz bezbronnego niemowlęcia. To było wstrętne. Nieludzkie.

Złe.

– Zostaw je w spokoju – powiedział w końcu.

– Słucham?

– Zostaw je obie w spokoju. I Martynę, i to dziecko. Przenieś ich wszystkie cierpienia na mnie. To mi się one należą. One niczym nie zawiniły. Tylko ja. Dobrowolnie poddaję się karze. Tylko zostaw je w spokoju.

– Teraz jest już za późno na skruchę, Marku. Cała wieczność przed tobą. W ciemności. W zapomnieniu. W samotności. W bólu i cierpieniu. Przed nimi zresztą też. Nie zmienisz tego w żaden sposób.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie mówię tego, by polepszyć swoją sytuację. To nie jest egoizm. Wiem, że to koniec i nie ma dla mnie żadnej nadziei. Ale bardzo żałuję tego, co im uczyniłem. I wszystkiego innego złego, co kiedykolwiek wyrządziłem innym ludziom. Błagam cię. Odpuść im i...

– W tej sytuacji bezsilny żal i współczucie po fakcie to już właściwie jedyne, co ci pozostało. Wewnętrzny ból, kiedy już wiesz, że im nie odpuszczę, będzie kolejnym z twoich cierpień – rzekł Samiel i rozplynął się w powietrzu.

Marek został na tym posępnym placu zupełnie sam.

DOBRY UCZYNEK

Siedział skulony w kącie w swoim domu na osiedlu Hańcza, a raczej jego piekielnym odpowiedniku. O dziwo, ściany już go nie parzyły, ale nie próbował się już w tym doszukiwać żadnej logiki, ponieważ taka nie istniała. Podobnie działo się w przypadku próby wyjaśnienia, dlaczego w przeszłości niektóre wizje (czy aby na pewno wizje? Już sam nie wiedział jak je nazywać) powodowały u niego ból głowy, szum i pisk, a inne nie. Nie rządziła tym żadna prawidłowość, chyba, że za taką uznać odgórne ukierunkowanie wydarzeń, aby Marek ostatecznie cierpiał, by narastały w nim coraz większe wątpliwości, by się zastanawiał, za dużo myślał, by może ciągle łudził się, że jednak istnieje dla niego jakiś ratunek.

W miejscu, gdzie nie ma Boga.

Miał łzy w oczach. Nie myślał o niczym, tylko tępo wpatrywał się w ścianę naprzeciwko i jedną ręką nieświadomie szarpał się za włosy. Wokół niego panowała gęsta ciemność i cisza. Już nie chciało mu się rozważać, czy to z powodu tego, że siedział tu cały dzień i nastawała już noc, czy też dlatego, że takie barwy rzeczywistości, czyli szarość i czerń, miały tu nastać na stałe.

Z otępienia wyrwał go leżący na biurku smartfon, którego dzwonek przerwał ciszę, a wyświetlacz rozświetlił mrok. Marek wzdrygnął się. Już nie dawał się na to nabrać. Jednakże, zupełnie jakby miało to robić za jakiś sygnał, kompletnie się rozkleił i wybuchnął płaczem. Jego szloch przemieszał się z intensywnym pociąganiem nosem, na ręce i podciągnięte pod samą brodę kolana kapały mu łzy.

Telefon nie przestawał dzwonić. Suchy postanowił nie ułatwiać demonom ich misji niszczenia go od środka i po prostu wyłączyć smartfon, więc powłókł się na czworakach do biurka i chwycił go w dłoń.

Ulka.

Przez moment patrzył na wyświetlacz, nie myśląc absolutnie o niczym. Zanim ta jeszcze racjonalnie myśląca część jego umysłu zdążyłaby go od tego odebrać, odebrał.

– Dlaczego po prostu nie zostawicie mnie w spokoju? – zapytał cicho.

– Marek? – Jej głos brzmiał bardzo niewyraźnie i jakby z bardzo, bardzo daleka. Silnie zakłócał go też szum.

– Ja. A ty jak masz na imię? Zdradź. Będę zbierać was jak pokemony.

– To ja. Ulka.

– Aha. Ale zdajesz sobie sprawę, że wiem już o wszystkim? Nie dam się nabrać. Cokolwiek mi teraz powiesz, nie zrobi to na mnie wrażenia. I tak ci nie uwierzę.

– Marek, to naprawdę ja.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– Bo nie masz innego wyboru, jeżeli chcesz się stamtąd wydostać.

Na moment rozszerzył oczy, aczkolwiek po chwili przypomniał sobie, że o to im właśnie chodzi. O nieoparte niczym rozbudzenie nadziei. Udało się. Na sekundę.

– Stąd nie da się wydostać – stwierdził ze spokojem.

– Da się, o ile jest się w podobnej sytuacji co ty.

– Czyli w jakiej?

– Jeszcze nie umarłeś. Twoje ciało wciąż żyje, tylko opuściła je dusza. Jesteś długotrwale nieprzytomny po silnym wstrząśnieniu i masz krwiaka mózgu. Lekarze właśnie cię operują, by go usunąć.

Marek momentalnie poderwał się z podłogi i zaczął chodzić po pokoju. Ciepło, które poczuł wewnątrz, pojawiło się niezależnie od niego. Jego serce zaczęło walić jak młotem, ale wciąż z całej siły próbował przekonać sam siebie, że do sprawy należy podchodzić na chłodno. Po to, aby ewentualny upadek z wysokości mniej bolał.

– Musisz mi jakoś udowodnić, że jesteś osobą, za którą się podajesz.

– Wiesz, że to niemożliwe. Oni wiedzą o nas wszystko. Zresztą, i tak nie mogę się tam pojawić. My się tam nie zapuszczamy. Jedyne sposoby na mój kontakt z tobą to ten, który stosuję właśnie teraz.

– Jacy my? – zapytał Marek i od razu nasunęła mu się cała lawina innych, jak najbardziej zasadnych pytań. – Zaraz. Powoli. Jeżeli jesteś prawdziwą Ulką, to skąd ty w ogóle dzwonisz? Jak ty dzwonisz? Jak to możliwe, że ja cię w ogóle słyszę? I skąd w ogóle wiesz, gdzie ja jestem? Wytłumacz mi to.

– Wiem to i mogę to wszystko z jednego, prostego powodu.

– Niby jakiego?

Osoba podająca się za jego siostrę nie odpowiedziała. Tylko westchnęła z rezygnacją.

– No, słucham?

– Czy wyrażę się wystarczająco jasno, jak powiem, że jestem kimś w rodza-

ju osobistego opiekuna, którego przydzieliła ci góra?

– Co? Jaka znowu góra?

– I że każdy człowiek takowego posiada?

– Co ty pierdolisz, do kurwy nędzy?

– Ale z ciebie tępak... – westchnęła, tym razem z dezaprobatą. – Jestem twoim aniołem stróżem, Marek! Teraz jaśniej? Wcielonym. Zawsze nim byłam. Skoro może istnieć diabeł wcielony, to anioł też. W twoim wypadku przyjął postać twojej siostry.

Z Marka momentalnie zeszło napięcie.

– Widzę, że tracę czas – mruknął z rezygnacją.

– Poczekaj! Wiem, jak to brzmi, wiem, że mi nie wierzysz, ale zwróć uwagę na jedną rzecz. Czy tam, gdzie jesteś, widziałeś mnie kiedykolwiek?

– Nie widziałem – odparł Marek, przypominając sobie, że to właśnie jej brakowało mu w Samielowej prezentacji jego demonicznego inwentarza.

– Ale widziałeś na przykład swoją żonę, dzieci, mamę, kumpli.

– Tak.

– I nic dziwnego. Demony nie mogą udawać aniołów ani dusz umarłych, którzy już poszli do Nieba. Byłoby to totalnym zaprzeczeniem ich natury. Jedy-ny sposób, w jaki mogłyby próbować, to na odległość, ale nawet to nie wychodzi im zbyt dobrze.

– Co to znaczy na odległość?

– Przez telefon, maile, tradycyjne listy i tak dalej. Nigdy pod postacią osoby i nigdy w bezpośrednim kontakcie twarzą w twarz. Dam głowę, że nigdy nie spotkałeś tam też pani Halinki.

– Tak. Tak było – przyznał jej rację Marek po krótkim zastanowieniu.

– Bo ona jest z kolei aniołem stróżem naszej mamy! Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego musisz się tam zajmować mamą sam? Czemu żadna z nas ci nie pomaga?

– Jakoś nie zwróciłem uwagi. Miałem inne rzeczy na głowie – warknął z przekąsem.

– Nie znasz swojej siostry? Od wczoraj masz rodzeństwo? Myślisz, że ot tak zostawiłabym cię samego z mamą? Z moją obsesją pilnowania jej, by nie robiła głupot? Obudziłeś się dzisiaj na tym świecie, czy jak? Pomyśl, człowieku! Mózgu używamy! – Wraz z usłyszeniem tych kilku zdań Marek momentalnie uwierzył, że naprawdę rozmawia z Urszulą Giedrojc. Sam Szatan nie potrafił-

by z taką perfekcją podrobić jej charakterystycznego, tak pełnego politowania tonu.

I jej głos.

Marek skojarzył, że gdy rozmawiał z nią przez telefon przy okazji awantury z matką, nożem do papieru i słojem pełnym moli w rolach głównych, brzmiał trochę inaczej. Teraz należał w stu procentach do niej.

– Zejdź już ze mnie, Ulka. Nie potrzebuję być dobijanym. Nie, nie myślałem o tym. Zresztą, co by to zmieniło?

– Nic, ale wtedy być może szybciej zauważyłbyś, że ze światem, w którym się znalazłeś, coś jest jednak nie tak. Rozmawiałaś tam z moją podróbką?

– Tak. Przez telefon. Tylko przez telefon. Innym razem odebrał twój mąż i powiedział, że nie chcesz mnie znać i że bym spadał na drzewo.

– Typowa zagrywka demonów. Pozorują nagłą niechęć osoby, w której ukrywa się anioł, do tego, komu stróżuje, by jakkolwiek uwiarygodnić fakt, że nie spotykają się twarzą w twarz. Miała chociaż ten sam głos co ja?

– Nie miała. Podobny, ale nieco inny.

– No widzisz!

– Skoro jesteś moim opiekunem – słowo na „a” w dalszym ciągu nie chciało przejść Markowi przez gardło – to dlaczego pozwoliłaś, by to wszystko się wydarzyło? Wiedziałaś już wcześniej, co stanie się wtedy, na klatce?

– Oczywiście, że wiedziałam! I dlatego tamtego wieczoru sugerowałam ci, byś nie nocował u mamy. Wiedziałam, że tam po ciebie przyjdą. Bardziej ci tego okazać nie mogłam. Nie posłuchałeś. Niczego nie zauważyłeś.

– To może, zamiast zmuszać mnie do domysłania się czegokolwiek, trzeba mi to było powiedzieć wprost?! Do czego wymyślono mowę i języki na tej planecie, jak nie do sprawnej komunikacji międzyludzkiej?

– Typowy Marek. Wyjaśnię ci to, bracie. Po pierwsze, nie możemy się ujawniać. Taka jest, że się tak wyrażę, wytyczna dla nas z góry. Zrobiłam to teraz w drodze wyjątku, ponieważ wciąż jest nadzieja, że cię stamtąd wyciągniemy i musimy chwycić się wszelkich możliwych sposobów. Po drugie, jakoś sobie nie wyobrażam, że gdybym powiedziała: „Marek, jestem twoim aniołem stróżem i wiem, że dziś możesz stracić życie, a że ogólnie się zbyt fajnie nie prowadzisz, to na pewno trafisz w mało przyjemne miejsce”, to byś mi uwierzył. Prędzej spojrziałbyś na mnie jak na wariatkę i najchętniej od razu zapakował w kaftan bezpieczeństwa.

– Może tak, może nie. Nie wiemy tego i nie ma co teraz gdybać – odpowie-

dział Suchy, choć doskonale wiedział, że Ula ma rację.

– No i wreszcie po trzeciej, nie zrzucaj na mnie odpowiedzialności za to, że tam trafiłeś, bo akurat ja od zawsze robiłam wszystko co w mojej mocy, żeby jednak do tego nie doszło. Wszystko! Przypomnij sobie, jak przez całe życie przesadnie okazywałam ci, że nie podoba mi się to, co robisz. Przypomnij sobie, jaka byłam do bólu czepialska, jak od najmłodszych lat bezustannie cię poprawiałam, jak próbowałam ukierunkowywać na właściwe tory. Wszystko to robiłam w słusznej sprawie. Ty jednak zupełnie to ignorowałeś. Gdybyś mnie posłuchał, gdybyś mnie zawsze słuchał, to twoje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ty na złość babci odmrażałeś sobie uszy i robiłeś wszystko, byleby skończyło się odwrotnie, niż ja mówię. Teraz już wiesz, czym to się kończy. To jednak naučka, z której być może nie będziesz już w stanie wyciągnąć żadnych wniosków. Nie będzie ci to dane.

– Może gdybyś robiła to inaczej, a nie ciągle przypierdalała się do mnie o byle pierdołę – warknął z wyrzutem Marek. – Wiesz co? Szatan to niezły skurwiel, wujek samo zło, ale jednego mogłabyś się od niego nauczyć. Technik manipulacji. Nawet tutaj dawałem się im nabrać i wywierał na mnie wpływ po mistrzowsku. To po prostu niesamowite. Robił ze mnie szmatę, poniżał, okradał, okłamywał, a i tak wzbudzał moje zaufanie i za plecami wprowadzał w moje życie, wróc, stan, w którym znajduję się teraz, więcej chaosu. I to tak, że nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy! Nawet się nad tym nie zastanawiałem! Mówił coś, a ja to robiłem. Wygadywałem mu się, zdradzałem sekrety, słuchałem jego rad. Nie potrafię tego wyjaśnić, może mnie hipnotyzował albo coś w tym stylu? Tak czy inaczej, jakbyś podeszła do tego jak on, to być może wszystko skończyłoby się po twojej myśli.

– Typowo ludzkie podejście. Kiedy coś pójdzie nie tak, zwalmy winę na kogoś innego. A najlepiej Boga, który złośliwie dał nam wolną wolę. To my, cudowni, nieskazitelni ludzie jesteśmy najmniej winni! Wszyscy wiemy najlepiej, wszyscy jesteśmy specjalistami od każdej dziedziny życia. Nie popełniamy błędów, wszystko robimy doskonale. Otóż nie, Marek! To tak nie wygląda. Wy robicie, co chcecie. My możemy jedynie podpowiadać, pouczać, krytykować, sugerować, ale nie zmuszamy was do niczego. Wybór należy do was. Kiedy zbieracie żniwo z jego ziarna, to do jasnej cholery weźcie za to odpowiedzialność. Choć raz uderzcie się w piersi i przyznajcie: „tak, dałem ciała, popełniłem błąd. Ja, nikt inny”. Ty nie mówisz tego nawet wtedy, kiedy konsekwencje twoich i tylko twoich decyzji okazały się najgorsze z możliwych.

Choć raz przyznaj się do błędu! Korona ci z głowy nie spadnie. Ludzką rzeczą jest być słabym i ulegać pokusom.

– Dobra, Ulka, doceniam, że dalej z przyzwyczajenia chcesz mnie pouczać, ale jakbyś nie zauważyła, nie ma to żadnego sensu. Mleko się rozlało. Rozmawiając teraz o tym, najzwyczajniej w świecie tracimy czas.

– Nie tracimy. Tak jak ci mówiłam, jest dla ciebie jakaś nadzieja.

– Operacja musi się udać, tak? A potem muszę wybudzić się ze śpiączki? Wtedy wrócę do swojego ciała?

– Tak, ale musisz pamiętać, że ten zabieg to ryzykowna rzecz, tym bardziej, że krwiak jest ogromny. Można wręcz powiedzieć, że tak naprawdę niewiele zależy już od lekarzy, a więcej od ślepego trafu. Możesz umrzeć. Robią, co mogą. Walczą. Ale czarno to widzą.

– Super. Ty to wiesz, jak podnieść człowieka na duchu. Od razu czuję się lepiej – odparł jadowitym tonem Marek.

– Póki jest nadzieja, trzeba wierzyć. Modlę się za ciebie, bracie. Bez ustanku. Sławek też.

– No! To już mnie naprawdę uspokoiło! Jak cholera!

– Ależ ty jesteś idiotą! Niewyobrażalnym. Nawet jak już się tam znalazłeś, pozostajesz sceptykiem? Dalej nie wierzysz? Nie wierzysz w siłę modlitwy? Jest większa, niż mogłoby ci się wydawać... – zamilkła na moment. – Czekaj! Modlitwa! No tak. Jest chyba jeszcze jedno wyjście!

– No?

– Najprzedniejsze dobre uczynki.

– Możesz to przełożyć na polski? Bo lekcje religii to ja ostatni raz miałem w zawodówce, a i tak uciekałem z nich na węgry.

– Modlitwa, post i jałmużna. Trzy, tak zwane najprzedniejsze, czyli najwyższej cenie przez Szefa dobre uczynki. Za ich pomocą można próbować wyciągnąć cię z piekła. Tylko one mają taką moc. Są silniejsze niż jakiegokolwiek zło, które jesteś w stanie w życiu wyrządzić.

– Na czym to polega?

– To tak jak w sprawach sądowych. Jak celem rozstrzygnięcia pewnych procesów szuka się podobnych przypadków z przeszłości, tak tu szukamy dowodu, że jednak byłeś dobrym człowiekiem. To może zmienić twój wyrok i nawet jeżeli się nie obudzisz, to trafisz w najgorszym przypadku do czyścica.

Marek myślał gorączkowo z sercem bijącym mu jak młotem.

– Nie wiem, na przykład pojechałem z mamą na działkę! Z własnej woli!

Przeprowadziłem starca przez ulicę, choć go osobiście nie cierpię. Wiem, uratowałem dziecko z tego chorego, okrutnego burdelu! Co prawda potem i tak umarło, ale nie z mojej winy! Zrobiłem wszystko, co mogłem. I chciałem dobrze. To się musi liczyć na moją korzyść.

– To, że uratowałeś podstawione ci przez Szatana dziecko, który stworzył i który panuje nad rzeczywistością, w której aktualnie przebywasz, się nie liczy. Wszystko, co wymieniłeś, wydarzyło się już po twojej śmierci. Tfu! Po wypadku i opuszczeniu twojego ciała przez duszę, oczywiście. Do tego nie jest to ani modlitwa, ani post, ani jałmużna, a takich szukamy.

– Nic mi nie przychodzi do głowy! Zdarzało mi się tutaj modlić, ale, jak rozumiem, to też...

– Spokojnie. Nie histeryzuj. Skup się i pomóż mi, bo na ten moment ja też sobie niczego takiego nie przypominam. Ale może ty coś pamiętasz? Daj mi cokolwiek. Jakikolwiek punkt zaczepienia. Coś sprzed wypadku, najlepiej z niedawna, co można podpiąć pod jedno z tych trzech. Musimy chwycić się każdej możliwości sukcesu, nawet tej najmniej realnej.

Suchy zamilkł i znowu zaczął gorączkowo analizować. Modlitwa? Ostatni raz na poważnie podczas pierwszej komunii. Bierzmowanie, ślub i wszelkie uroczystości związane z jego dziećmi były czystą prowizorką na odwal się i najważniejszą w nich kwestię stanowił wybór prezentów i organizacja imprez, nie jakiegokolwiek przeżycia duchowe. Post? Litości. Głupota. Lubił mięso, lubił jeść, nigdy się nie hamował. Jałmużna? Do kościoła i tak nie chodził, żebrakom z zasady nie dawał...

– Wiem! Mam! – Choć wydawało się to niemożliwe, łopotanie serca Marka wzmogło się.

– Mów.

– Niedługo przed wypadkiem dałem żebrakowi sweter!

– Jaki sweter?

– Zrobiony przez mamę. Chciałem go wyrzucić na śmietnik, zaczepił mnie taki jeden bezdomny, to mu go dałem. I jeszcze nie zamykałem wysypiska, żeby mógł sobie nabrać puszek, jak chce.

– To już brzmi znacznie lepiej! – Zaraz po usłyszeniu tych słów Marek poczuł w sobie stopniowo rozlewającą się falę ciepła. – Kiedy to było? – zapytała Ula.

– Czekaj, niech się zastanowię. Konkretniej daty ci nie podam, tego samego dnia, w którym mamę położono do szpitala. Ty byłaś jeszcze na swojej wy-

cieczce. Tego dnia odbywał się też turniej beach soccera w Gawrych Rudzie. Którąś sobota. I wtedy też Misiak straszył moje dzieciaki. A, i jeszcze dowiedziałem się... – urwał, jakby obawiając się, że wypowiadając to na głos, pogorszy swoją sytuację i jakby istniało ryzyko, że Ulka pod wpływem tego zmieni zdanie.

Dowiedziałem się, że Martyna jest ze mną w ciąży.

– Dobra, tyle mi wystarczy. Jakoś znajdę ten dzień i ten moment.

– Jak to znajdziesz?

– Normalnie. Spojrzymy z Szefem w przeszłość i spróbujemy coś w twojej sprawie zaradzić. To wygląda mniej więcej jak oglądanie filmu i analizowanie dowodów. W tym wypadku na twoje dobre serce.

– Z szefem? Znaczący z kim? Z Bogiem?

– Czekać na telefon ode mnie – rzuciła tylko i od razu przerwała połączenie.

W oczekiwaniu na werdykt każda sekunda mijała mu jak godzina. Chodził po pokoju w tę i z powrotem, raz za razem spoglądając na telefon i tym sposobem o mało co nie wydeptał w podłodze pokaźnej dziury. Nie wątpił przy tym, że Samiel doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co się święci, i ma przy tym niezły ubaw. Najpierw ten głuchy telefon od niego, który Marek odebrał zaraz po pobiciu rekordu świata i piekła w sprincie na kilka metrów, myśląc, że to Ulka. Zaraz potem SMS z tego samego numeru o lakonicznej treści:

Ha, ha, ha, ha!

Z drugiej strony, skoro nie reagował bezpośrednio, to coś musiało być na rzeczy. Ta myśl pokrzepiła Suchego jeszcze bardziej.

Po kilkunastu godzinach intensywnego czuwania w ciemności przegrał ze swoją sennością i położył się do łóżka. Komórkę położył sobie tuż przy twarzy i starannie zadbał, by leżała ekranem do góry.

Dzwonek smartfona gwałtownie wyrwał go ze snu. Chwycił za telefon i odebrał. Nawet nie patrzył, kto dzwoni.

– Halo?

– Bracie, przynoszę nowiny.

Ulka.

Natychmiast się rozbudził, wytarł oczy i usiadł na łóżku.

– Mów!

– Podjęliśmy decyzję o próbie wyciągnięcia cię stamtąd.

– Kocham cię!

– Czekaj. Nie podpalaj się tak. Podkreślam, to próba. Wcale nie musi się skończyć sukcesem. Bo nawet my wciąż nie jesteśmy pewni, czy to zadziała. To jedyna szansa. Szukaliśmy nawet w twojej najbliższej przeszłości innych najprzedniejszych dobrych uczynków, tak na wszelki wypadek, ale znaleźliśmy tylko ten jeden. Jeden jedyny.

– Nieważne! Próbujemy wszystkiego!

– Naprawdę zaznaczam, że...

– Ulka, skończ już krakać. Tak, przyjmuję do wiadomości, że to może się nie udać. Ale próbujmy! Co mam robić?

– Najpierw wyjdź na podwórko.

Wyrzął przez okno na mroczną, choć całkowicie rozświetloną latarniami ulicę. Ot, paradoks wizualny. Piekło – niemożliwe nie istnieje.

Po raz kolejny ku jego domowi zmierzała z każdej strony armia duchów. Wróc, jakich duchów? Nazywał je tak z przyzwyczajenia. Armia jego towarzyszy niedoli, to brzmiało właściwiej.

– Po co? Przecież właśnie teraz idzie do mnie cały dziki tłum umarłaków.

– To znaczy, że chcą nas powstrzymać. Czyli to może się udać! Nie pytaj. Zobaczysz. Nie mamy czasu!

– Dobra, idę.

Jak powiedział, tak zrobił i wkrótce znalazł się na ulicy.

– Co teraz?

– Teraz spójrz w górę.

Spojrzał. I na jego oczach, na nocnym niebie zaczęła rozrastać się coraz większa, kolista jasność. Jakby stopniowo powiększająca się dziura w czarnym materiale, w której wreszcie ujrzał swoją siostrę. Przypominało to obrazek, jakby Ulka zniemacka pojawiła się w uszkodzonym fragmencie teatralnej scenografii, mającym służyć za sztuczne sklepienie niebieskie. Wyglądała pięknie. Miała nieskazitelną, jaśniejącą twarz, a jej lśniące, złote, postawione na baczność, krótkie blond włosy jaśniały pełnym blaskiem. Ubrana była w suknię, oczywiście białą. Gdy jaskrawa dziura w niebie stała się już wystarczająco szeroka, weszła w nią i zaczęła powoli ku niemu zlatywać, jakby nagle nabyła właściwości płatka kwiatu, liścia albo nasionka dmuchawca.

– Chwyć się! – Zatrzymała się jakieś dwa, trzy metry nad nim i spuściła ku

niemu dziwną, krótką, ale dość grubą linę.

– Jak mam się za to chwycić? Nie dosięgnę! Przecież to jest za krótkie.

– Spróbuj! Podskocz. Niżej nie mogę.

Marek rozejrzał się gorączkowo, próbując pomyśleć o tym, o czym musiał, a nie o murze złowieszczych postaci, który regularnie zaciskał wokół niego pętlę tworzonego przez siebie kręgu. W pierwszym pomysle, jaki przyszedł mu do głowy, błyskawicznie podbiegł do stojącego przy jego posesji kubła na śmieci na kółkach i podprowadził go pod wciąż wiszącą w powietrzu śnieżno-białą postać.

– Szybciej! Idą!

– Już.

Z trudnością wszedł na plastikowy pojemnik i obwiązał sobie linę za nadgarstek. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie jest to żaden sznur, tylko rękaw swetra. Tego samego, który niegdyś podarował bezdomnemu.

– To ten sweter.

– Tak, to on! Tylko nim mogę próbować cię stąd wyciągnąć! Trzymaj się! – zawołała Ula, po czym zaczęła powoli wznosić się z powrotem ku tej jasności, ciągnąc go ze sobą. Gdy znajdował się mniej więcej na wysokości trzech metrów, morze dusz potępionych dotarło do kubła i z niskim zawodzeniem zaczęło wyciągać ku Markowi setki dłoni. Na szczęście już nie były w stanie go dosięgnąć.

Odetchnął głęboko i kurczowo chwycił się swetra. Nie chciał chwalić dnia przed zachodem, usilnie bronił się przed wyrażeniem entuzjazmu, który targał teraz jego drżącym z podniecenia ciałem, ale...

– Udaje nam się! – zawołał. Nie wytrzymał.

– Wiem.

– Dziękuję ci! Tak bardzo ci dziękuję!

– Nie dziękuj, dopóki... Cholera!

Marek zamarł, kiedy uszu ich obojga dobiegł odgłos rwania, połączonego z pruciem się zmechaconej wełny. Długość swetra znacznie powiększyła się w ramionach i to bynajmniej nie dlatego, że aż tak bardzo się rozciągnął.

– Szybciej!

– Robię, co mogę!

– Błagam cię, Ulka, zabierz mnie stąd! – zawołał rozpaczliwie Marek, a jego przekrwione, złknięte oczy na powrót zaczęły łzawić. Patrzył na sio-

strę, bojąc się spojrzeć czy to pod siebie, czy na sweter. Dzielił go już zaledwie krok. Kroczek. Tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

– Obiecuję ci, że jeżeli kiedykolwiek się z tego wybudzę, to się zmienię. Porzucę to. Zerwę wszystkie kontakty z tymi ludźmi. Wynagrodzę wszystkich, których kiedykolwiek skrzywdziłem. Rozdam wszystkie pieniądze. Będę opiekował się mamą. Zrobię wszystko, co tylko mi każesz. Przysięgam. Tylko mnie stąd wyciągnij! Błagam. – Im dłużej mówił, tym bardziej jego łyzy dopełniało pełne łęku łkanie.

– Chcę tego, Marek, wierz mi, że chcę tego najbardziej...

Nie wiedział.

Nie wiedział, czy to ktoś wyłączył dźwięk, czy może nie zdołał już usłyszeć jej dalszych słów, zagłuszonych przez ten przeraźliwy odgłos rwania, po którym zaczął spadać. Po nim nie słyszał już niczego. Ani jej krzyku, ani jęku potępionych pod sobą, ani świstu powietrza, ani swoich myśli. Spadał. Spadał w ciszę. W pustkę.

Kiedy uderzył o ziemię, nie zdążył nawet poczuć bólu. Utonął w gęstej, nieprzeniknionej, wszechobecnej ciemności.

Poruszył się niespokojnie i ocknął. Leżał w swoim łóżku. W dalszym ciągu otaczał go nocny mrok. Czy to był tylko sen? Czy może trzecia piekielna „śmierć”? Po raz kolejny wykonał ruch całym ciałem i syknął.

Zdecydowanie nie sen. Kręgosłup bolał go jak sto diabłów, ale na pewno nie był złamany. Co do tego Marek miał dziwną pewność. Wcale nie dlatego, że wysokość, z której spadł, okazała się niewystarczająca.

Podniósł się z trudnością i od razu zauważył, że jego leżący na biurku smartfon krótkimi błyskami daje mu znać o nieodebranych połączeniach. Sięgnął po niego. Kilka prób i wszystkie od Ulki. Już miał wybrać do niej numer, gdy zwrócił uwagę, że na przeczytanie czekał także jeden MMS. Otworzył go. Okazał się bardzo długą wiadomością tekstową, której rozmiar zamienił ją w multimedialną. Też od niej.

Marek, starałam się. Naprawdę. Robiłam wszystko co w mojej mocy, by Cię stamtąd wyciągnąć, chwyciłam się ostatniej szansy na uratowanie Cię przed niebytem, ale nawet i ona zawiodła. Szczerze mówiąc, spodziewałam się

tego. Obawiałam się, że właśnie tak się to może skończyć i niestety się sprawdziło. Nie chciałam jednak mówić Ci tego przed akcją, żeby Cię nie niepokoić. Przy okazji łudziłam się, że być może Szeff i ja się mylimy. Że Twój dobry uczynek w rzeczywistości był czymś zupełnie innym niż to, na co wyglądał. Nie udało się jednak. Z prostego powodu.

Wiesz, dlaczego sweter się porwał?

Ponieważ to śmieć.

I nie chodzi tu wcale o jego jakość czy umiejętności robienia na drutach naszej mamy, a o kontekst. Ty nie dałeś go temu bezdomnemu dlatego, że go potrzebował i chciałeś tym samym uczynić coś dobrego. Dałeś mu go, żeby samemu pozbyć się problemu. Czyli kierowałeś się wyłącznie swoim dobrem i swoim wygodnictwem. To był dla Ciebie tylko niepotrzebny odpadek, nie stanowiło dla Ciebie różnicy, czy wyląduje w koszu, czy na ciele tego człowieka. To nie był żaden ludzki odruch, a po raz kolejny twój egoizm, podobnie jak chwilę potem, kiedy zwyczajnie nie chciało Ci się zamykać tego śmietnika i dlatego zostawiłeś mu otwartą bramkę. Spieszyłeś się do swojej kochanki. W takim układzie nie było to żadną jałmużną. To nie był czyn zrobiony od serca, bezinteresownie, dla dobra tego mężczyzny.

Więcej czynów, które przynajmniej mogły wyglądać na najprzedniejsze dobre uczynki, nie popełniłeś. To była nasza jedyna szansa na sukces, na którą mieliśmy realny wpływ. Teraz już nic nie zależy od nas. A właściwie zależy tylko tyle, że możemy się modlić. Mówiłam Ci już, że moc modlitwy jest większa, niż Ci się wydaje, ale pod warunkiem, że z wiarą modli się za Ciebie więcej osób. Nie da się ukryć, że ja, Sławek, moi teściowie i pani Halinka to trochę za mało. Moje dzieci jeszcze nie rozumieją wiary, na razie traktują to na zasadzie: „modlimy się, bo rodzice mówią, że tak trzeba”. Mamie z kolei jeszcze nie mówiłam, że jesteś właściwie na wpół umarły, bo obawiam się, że mogłaby tego nie przeżyć. I tak ma wystarczająco dużo problemów. Powiem szczerze, nie bardzo wiem, do kogo jeszcze miałabym się w tej sprawie zwrócić. Do twojej rodziny, która ma mnie za dewotkę i wariatkę? Do twoich kumpli przestępców? Sam chyba wiesz najlepiej, że to się nie uda.

Będę modlić się za Ciebie tak długo, jak długo będzie jeszcze istnieć dla Ciebie jakakolwiek nadzieja. Nie przestanę wierzyć. To wszystko, co w tej chwili mogę dla Ciebie zrobić.

Nie trać wiary, bracie. Kocham Cię. Choć pewnie trudno Ci w to uwierzyć, zawsze kochałam i zawsze będę.

Ula

Marek przeczytał tę wiadomość jeszcze kilka razy, za każdym z nich doświadczając coraz większych trudności z odbiorem treści. Aż tak drżały mu ręce i łzawiły oczy. Po ostatnim ścisnął telefon w dłoni tak mocno, że aż pękł w nim ekran.

Nie czuł już jednak strachu. Nie czuł już jednak smutku.

Tylko ten gniew. Tę czystą, bezgraniczną, wypełniającą go wściekłość. Ten szósty grzech główny, który w swoim obecnym położeniu mógł już popełniać do woli.

ROZMOWA SIÓDMA

– Samiel! – wrzasnął w ciemność swojego domu, w nieokreślonym kierunku. Zrobił to zaraz po tym, gdy w szaleńczym amoku zdemolował kilka pokojów na piętrze, co jednak wcale mu nie pomogło.

– Pokaż się, ty dupku!

Zero odpowiedzi.

– Wiem, że mnie słyszysz, mendo! Pokaż mi się! Gdzie jesteś?

Wciąż odpowiadała mu cisza. Wtem przypomniał sobie o niezawodnym sposobie przywoływania go. Chwycił więc za telefon, wysłał za jego pomocą SMS-a na numer, którego w ostatnim czasie używał tak często, że znał go na pamięć i z całej siły cisnął aparatem o podłogę, a ten rozbił się na małe kawałeczki.

Nie zawiódł się.

Dosłownie po sekundzie na ścianie pokoju, w którym akurat przebywał, zaczęła pojawiać się stopniowo ciemniejąca, wilgotna plama, która z czasem nabrała zupełnie czarnego koloru i ludzkiego kształtu. Kształtu człowieka z młodzieżowym kapeluszem na głowie.

Samiel wyszedł ze ściany. Najpierw wyglądał jak stuprocentowo wiarygodna ludzka płaskorzeźba, by po chwili wyłonić się w całości z białej płaszczyzny, jakby spod lustra wody.

– Jak to powiedział jeden biblijny bohater o imieniu dość podobnym do mojego: „oto jestem” – rzekł, rozkładając ręce w uroczystym geście.

– Kłamać to może i umiesz po mistrzowsku, ale nad dowcipami to musisz, chłopie, jeszcze trochę popracować – syknął Marek.

– Dziękuję za tę życzliwą poradę. Konstruktywna krytyka zawsze w cenie – odparł spokojnie.

– Do rzeczy. Wypuść mnie stąd.

– Słucham?

– Wypuść mnie stąd. Jeszcze nie umarłem. Ulka, mój opiekun, mi to powiedziała. Jeszcze nie powinno mnie tu być. Kiedy naprawdę umrę, wtedy możesz robić ze mną, co ci się żywnie podoba, ale nie wcześniej. – Ku swojej satysfakcji, Marek zauważył, że gdy tylko wypowiedział imię siostry, twarz Samiela na jeden krótki moment wykrzywił grymas pogardy i nienawiści. Tak wyraż-

ny, tak nienaturalny dla jego nieruchomej twarzy, że spowodował pojawienie się na niej ogromnej zmarszczki. Dopiero po chwili Szatan odpowiedział Markowi:

– Teraz ty z kolei mówisz do mnie jak jakiś kiepski komik na emeryturze.

– Wypuść mnie! – Suchy ruszył ku niemu, ale Samiel spokojnie zniknął, po czym zmaterializował się na drugim końcu pokoju.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym skopać ci tyłek – wycedził Marek. – Tylko to umiesz. Tworzyć iluzję. Oszukiwać, zwodzić. Uciekać i wyręczać się swoimi przydupasami. Gdybyś nie korzystał ze swoich mocy, nie czułbyś się taki silny.

– Już ci mówiłem, że moją siłą jest intelekt, nie mięśnie. To o wiele cenniejsze.

– Intelekt? Intelekt? Dupa nie intelekt! Właśnie spieprzyłeś przede mną nie siłą swojego intelektu, a nadprzyrodzoną mocą, której ja nie posiadam i nigdy nie będę. Jesteś żaloszny. Mocny w gębie, nic więcej. Jedyne co potrafisz robić, to dręczyć ludzi, którzy są wobec ciebie bezbronni. Taki jesteś cwaniak? Podskocz do kogoś przynajmniej równego tobie. Albo silniejszego. Srasz w gacie przed, jak ty go nazywasz, Bossem. Nawet boisz się wymawiać jego prawdziwe imię.

– Przed nikim nie sram w gacie – ożywił się Samiel.

– Oczywiście, że srasz! To już nawet nie jest półpłynna trójka, a czwórka, czyli dwie dwójki naraz, które utknęły ci w jelitach tak szczelnie, że aż zrobił się zator. Zatwardzenie. Dobrze się bawisz, kiedy ty albo twoi funfle dręczą słabszych? Kiedy wchodzą w ludzi, doświadczają ich o nieszczęścia, kuszą do złego? Do czasu. Kiedy ludzie proszą o pomoc Boga, nie masz nic do gadania. Spierdalasz w podskokach, do następnej ofiary. Przeskakujesz z kwiatka na kwiatek. Jesteś tchórzem. Śmierdzącym, żaloszny tchórzem.

– Dobra, skończ już – zaczął Samiel, ale Marek po raz kolejny wszedł mu w słowo.

– Do tego chwalisz się tym swoim intelektem, twoim perfekcjonizmem, masz się za najsprytniejszy byt jaki istnieje. Najinteligentniejszy, najbardziej zwodniczy. Liżesz się sam po jajach aż do przesady. Tymczasem ja cię pokonałem. Tak, pokonałem cię! Przechytryłem. Okazałem się sprytniejszy. Ja, zwykły, maluczki, uniżony gangster z małego, przygranicznego siedemdziesięcioletniego miasta.

– Co ty, za przeproszeniem, pierdolisz teraz?

– Przejrzałem cię! Sam doszedłem do prawdy! Niczym nie możesz mnie już zaskoczyć, a twój misterny, w twoim mniemaniu doskonały plan okazał się nieskuteczny! Bo gdyby było inaczej, to nigdy nie zrozumiałbym, gdzie jestem, nigdy nie dowiedziałbym się, że nie jesteś prawdziwym Samielewiczem, nie zauważyłbym, że widzę duchy wyłącznie złych ludzi i w dalszym ciągu zachodziłbym w głowę, czy mi odbiło, czy może coś mnie opętało, czy może coś jeszcze innego. Ale nigdy więcej! – Machnął ręką w jego stronę. – To już koniec! Wiem wszystko! Nic z tego, co mi pokażesz, nie robi już na mnie wrażenia. Bo wiem, że to oszustwo. Aktorstwo. To jest granie. Kiepska opera mydlana. Ty mi nie pokazujesz mojej prawdziwej rodziny, więc nic, co powiedzą twoje demony, już mnie nie zaboli. Moje pieniądze zostały na Ziemi i są bezpieczne! Podobnie jak mój samochód. Ludzi nigdy nie utraciłem i wiem, że w dalszym ciągu są mi lojalni. Wciąż też to ja rządę Suwałkami. Jeszcze nie umarłem. Nigdy oficjalnie nie abdykowałem, a prawdziwy Grzegorz Samielewicz, jedyna osoba, która mogłaby mi zagrozić, nie dość że tego nie chce, to jeszcze naprawdę nie żyje. Nic nie jest tak, jak próbujesz mi wmówić. To mistyfikacja. Kłamstwo! – wrzeszczał jak nakręcony.

– Nie wiesz o czym mówisz, pionku. Błędnie. Moje dzieło jest doskonałe – wycedził z wściekłością Samiel. Marek z niemałą satysfakcją stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział go w takim stanie. Pierwszy raz udało mu się wyprowadzić z równowagi samego Szatana. To mu dodało energetycznego kopa. Wychodziło bowiem, że niechcący znalazł jego słaby punkt.

Przerośnięte ego. Jednak nie, jak twierdził, pewność siebie, a zwyczajna arogancja. Chyba nieprzypadkowo to właśnie pycha jest pierwszym z grzechów.

– Do stworzenia wspaniałego, doskonałego dzieła potrzeba kreatywności, a ty nawet tego nie posiadasz. Popełniasz błędy fabularne w moim scenariuszu. Czy to przez pośpiech? Czy przez niedbalstwo? Czy może brak wszechmocy, którą posiada jedynie Bóg?

– Nie wymawiaj tego słowa – wysyczał przez zęby Samiel, prężąc się niczym kot. Zmarszczka na jego masce zaczynała zamieniać się w pęknięcie. Coraz większe.

– Dlaczego w pierwszej scenie tego teatryku położyłeś mnie w jednej sali z chorym na nowotwór staruchem, skoro normalnie powinien on leżeć na zupełnie innym oddziale? Dlaczego po wybudzeniu się doskonale pamiętałem swój wypadek? Dlaczego głos demona udającego Ulkę był inny niż jej praw-

dziwy? Dlaczego postać ta nie posiadała ważnych cech pierwowzoru i totalnie wypięła się na matkę? Gdzie nagle podziała się pani Halinka, która codziennie ją odwiedzała? Jakim cudem moja niedołączna, na wpół niepełnosprawna matuśka zdołała wyjąć ze śmietnika ten słój z molami? Dlaczego dla zmylenia mnie nie podszyłaś mi demonów udających z kolei duchy dobrych ludzi? Dlaczego twój demon psychiatra źle zdiagnozował przypadłość, która mogła mnie spotkać? Dlaczego trzymał w swoim gabinecie leki, skoro nie wolno mu tego robić? Dlaczego, inaczej niż w prawdziwej martwicy, mojej nodze wystarczyło pół dnia, by zgnić? Dlaczego przedtem nawet nie stała się blada, skoro rzekomo dolegało jej niedokrwienie? Dlaczego w ogóle skrzyżowałaś moją drogę z prawdziwym Grzegorzem Samielewiczem? Dlaczego nie zapobiegłaś naszemu spotkaniu? Nie przewidziałaś, że razem rozgryziemy twoją intrygę? Dlaczego pierwowzór lubi sobie golnąć i posiada rodzinę, a ty twierdziłaś, że jesteś abstynentem i nie masz ani żony, ani dzieci, do tego nie znasz swoich rodziców? A twoje rzekome wycięcie sobie jaj? Na wszystkie te pytania istnieje prosta odpowiedź: nie jesteś tak doskonała, jak się tym szczycisz! Albo nie posiadasz wystarczających możliwości! Idziesz na łatwiznę, unikasz utrudnień w swoich piekielnych historiach, które byłyby zbyt skomplikowane w zarządzaniu. Kozak w gębie, a rzeczywistość już tak różowo nie wygląda. Nawaliłaś, panie kochany!

– Jestem najdoskonalszym stworzeniem w każdym wymiarze tego wszechświata!

– Do tego – niewzruszony Marek kontynuował monolog – powtarzasz się. Robisz kopiuć i wklej. Moje własne piekło jest kalką piekła prawdziwego Grzegorza Samielewicza. Spotykało nas dokładnie to samo. To ma być kreatywność? Nie rozśmieszaj mnie. Ten numer przed chwilą z armią duchów robiącą najazd na mój dom? To już było. To już się robi nudne, koleś. Z początku robi wrażenie, ale kiedy stosuje się ciągle te same chwytły, to powoduje jedynie śmiech.

– Zamknij mordę! – wrzasnął Samiel. Jego głos na moment stał się wyższy i znacznie donośniejszy niż do tego przyzwyczał. A pęknięcie na twarzy nie przestawało się powiększać. Przebiegało pod skosem, przez sam jej środek.

– Spokojnie, diabełek, spokojnie. Nie denerwuj się tak, bo złość piękności szkodzi, a chyba nie chciałbyś, żeby twoją nieskazitelną facjatkę pokryły zmarszczki? Ups! Chyba jest już za późno! Masz na nią w ogóle jakąś gwarancję w razie czego?

– Jestem spokojny. Jak skurwysyn.

– Jesteś? Nie sądzę. Twój język ciała mówi mi coś zupełnie innego. No i użyłeś słowa powszechnie uważanego za wulgarne, kiedy to nie było konieczne. To cię zdradziło. – Marek przeszedł do szachu.

– Bo mnie wkurzasz. Bardzo nie lubię, jak ktoś mi podskakuje. Nawet nie masz pojęcia, z jaką siłą właśnie zadzieraszaś – warknął Samiel.

A Suchy zamatował:

– Czekaj, czekaj. Bo czegoś tu nie rozumiem. Krytykujesz mnie za coś, co sam czynisz ludziom od wieków? Albo w tę, albo we w tę, Samiel. Jeżeli uważasz coś za złe i wkurwiasz się na to, sam nie powinieneś tego robić. Jesteś hipokrytą.

Choć usta diabła rozdarł po tych słowach gardłowy, drapieźny ryk, Marek nie przejął się tym ani trochę. Dopiął swego. Doprowadził go do wściekłości i tylko to się teraz liczyło. Dopiero gdy mu się to udało i tym samym wystarczająco mocno połechtał swoje ego, zaczął zastanawiać się, na co mu to właściwie było.

– A więc twierdzisz, że nie istnieje już tutaj rodzaj cierpienia, które jest w stanie sprawić ci ból, Marek? – syczał Szatan, oddychając głęboko. Jego głos stopniowo przekształcał się w grubszy. Jakby należący do potwora.

– Tak twierdzą. Czemu nagle przestałeś zwracać się do mnie w wołaczu? – Suchy już nie kalkulował. Jak do końca, to do końca. Reguła konsekwencji.

– Mylisz się. Istnieje jeszcze jeden typ bólu, który zawsze odniesie spodziewany skutek. Uniwersalny. Niezależnie od człowieka.

– Jaki?

– Ból fizyczny.

– No nareszcie! Czy dostąpię wreszcie zaszczytu dżentelmeńskiej solowy z samym diabłem?

– Jakbyś zgadł.

– Piszę się, szmaciarzu. Wyjaśnijmy sobie to nieporozumienie w stary, tradycyjny, wypróbowany, gangsterski sposób. Po męsku. Tylko ty i ja. Na gołe ręce. Bez sprzętu, bez pomocy innych, bez twoich nadzwyczajnych mocy. Tylko to, co w tobie ludzkie. Twoja prawdziwa powłoka.

– Umowa stoi. Tylko niestety, Marku, zapomniałeś o jednej, podstawowej rzeczy.

– Niby jakiej?

– To nie jest i nigdy nie była moja prawdziwa powłoka. Bo o ile Bóg stwo-

rzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, o tyle we mnie jest tak mało człowieczeństwa, jak tylko się da. Na każdej płaszczyźnie.

Jak tylko skończył mówić, na oczach Suchego zaczęła dokonywać się jego przemiana. Gdy rósł, rwało się na nim ubranie. Z tyłu wyrósł mu długi, masywny ogon. Kawałek po kawałku pękała też jego nieskazitelna twarz i w końcu jej pokaźny fragment oderwał się i wylądował tuż przed stopami Marka. Reszta, w okolicach lewego oka i czoła nad nim, wciąż pozostawała na swoim miejscu, tuż nad stopniowo wydłużającym się pyskiem. Kapelusz spadł z głowy Samiela tuż po tym, gdy wyrosły na niej dwa masywne rogi.

Wkrótce stanęła przed Markiem istota tak ogromna, tak odrażająca i tak szkaradna, że bez żadnej przesady nie potrafił wskazać, czy kiedykolwiek w swoim życiu (także po śmierci) zobaczył coś równie okropnego. Kontrastujący z czarnym cielskiem, pęknięty pod skosem fragment ludzkiej maski na jej pysku zdawał się jaśnieć w ciemności. Marek zaczął żałować, że w ogóle do tego doprowadził. Nogi drżały mu tak bardzo, że ledwo utrzymywał równowagę.

– Pozwolisz, że zanim zaczniemy, jeszcze odbiorę ci to, co sam ci dałem? – zapytał potwór przystającym swą upiornością do jego wyglądu głosem. Nawet nie czekał na odpowiedź, machnął w powietrzu swą ogromną, zakończoną szponami łapą, co sprawiło, że bez żadnego ostrzeżenia zdematerializowała się Markowa proteza. Zaskoczony tym Suchy stracił równowagę i upadł.

– Poznałeś już pięknego, więc nadszedł czas na bestię – zagrzmiął nienawistnie Szatan. – Czas, w którym wykrwawisz z siebie grzechy – ryknął i rzucił się na Marka. Działo się to wszystko tak szybko, że Suchy nie zdążył się nawet poruszyć. Choćby o centymetr. Wrzasnął, gdy poczuł jak potwór wbija mu szpony głęboko w plecy i podnosi jak lalkę bezpośrednio za kręgosłup.

– Puszczaj mnie – jęknął, próbując zapanować nad tym dotkliwym bólem, który wypełniał teraz cały jego grzbiet.

– Teraz błagasz mnie o litość? – Marek poczuł obrzydliwy, cuchnący oddech bestii, gdy ta zbliżyła się do niego. – Już za późno! – ryknęła i wymierzyła mu drugą łapą potężny cios w twarz, po którym ta w całości pokryła się krwią i zaczęła stopniowo puchnąć, a potem sinieć. Marek miał roztrzaskaną kość policzkową w drobny mak. Zamroczony, wypluł na ziemię kilka zębów, zmrużył oczy i prawie wyszeptał ochryple w stronę diabła:

– Prędzej piekło zamarznie, niż nadejdzie taki dzień, w którym będę cię o cokolwiek błagać, pajacu.

– Milcz! – ryknął potwór i z niewyobrażalną siłą rzucił nim prosto przez całą długość korytarza do garderoby. Prędkość była tak duża, że bezwładne ciało Marka zamieniło drzwi jednej z szaf w stos desek. Zachowawszy jakieś marne resztki przytomności, po wygrzebaniu się z nich Suchy próbował się jeszcze rozpaczliwie czołgać w nieokreślonym kierunku, ale tym razem na pewno miał złamany kręgosłup, bowiem ani trochę nie czuł nóg. Obydwu. Poczł za to pod sobą i doskonale usłyszał ciężkie kroki swojego prześladowcy, który wkrótce doskoczył do niego, chwycił potężną łapą za głowę i w całości uniósł w powietrze. W ostatniej chwili Marek zdołał chwycić za dwa drewniane szczebelki ze zniszczonych drzwi, które uformował w krzyż i w złudnej nadziei, że symbol ten zapewni mu jakąkolwiek ochronę, ostatkiem sił uniósł go w stronę Szatana.

– Tu nie ma Boga, głupcze! Nie jest w stanie cię przede mną ochronić! – Jednym uderzeniem łapy Samiel wytrącił mu szczebelki z rąk. Po tym całe ciało Marka stało się zupełnie bezwładne. Nie miał już nawet siły, by chociaż unieść ręce i próbować wyrwać się napastnikowi.

– Masz mi jeszcze coś ciekawego do powiedzenia zanim ścisnę i zgniotę ci czaszkę jak kurze jajko? – warknęła bestia, a z nozdrzy wydobyła jej się czerwona para.

– Ae... – odpowiedział niewyraźnie Suchy.

– Co tam bełkoczesz? Wyraźniej! Nie słyszę cię!

Stopniowo tracący kontakt z rzeczywistością Marek zebrał w sobie całą energię, jaką jeszcze posiadał, by te dwa ostatnie słowa wypowiedzieć jak najwyraźniej, jak najgłośniej i z jak największą celebrą.

– Amen, cwelu!

Szatan zaryczał wściekle jak stado tyranozaurów i już miał zacisnąć swą ogromną, szponiastą dłoń, tę samą, w której trzymał głowę Suchego, w pięść, gdy nagle...

– Co jest? – zagrzmiął. Marek z trudnością zdołał unieść powieki i dostrzegł, że całe jego ciało zaczyna to pojawiać się, to znikać, zupełnie jakby stanowiło wytwór jakiegoś nie do końca dobrze działającego projektora. Po tym spojrzął na Samiela. Jego szkaradne, częściowo ukryte za fragmentem rozdartej maski oblicze wykrzywiało się w zauważalnym wyrazie zdziwienia i niedowierzania.

– Co to ma być?! Ty nie możesz opuścić tego miejsca! Należysz już do mnie, na zawsze! Nie pozwolę ci odejść!

Dalsza część jego słów nie doszła do uszu Suchego, bowiem pulsowanie widoku jego ciała ustąpiło pulsowaniu obrazu rzeczywistości wokół, która wyglądała raz jak piekielny odpowiednik domu Suchockich, a raz jak nieprzebrana ciemność, w której Marek się unosił.

Nic więcej ani nie usłyszał, ani nie zobaczył, ponieważ jego skatowane ciało poddało się i stracił przytomność. Nie wiedział już, czy wściekły, unoszący się echem ryk bestii fizycznie słyszał, czy też roznosił się on gdzieś głęboko w jego podświadomości, kiedy to Suchy stopniowo odpływał.

Zamknął oczy.

NOWY POCZĄTEK...

Gdy ponownie się ocknął, wciąż unosił się w powietrzu. Tak mu się przynajmniej wydawało, gdyż wokół w dalszym ciągu nie było niczego poza wszechobecną czernią. Nie potrafił stwierdzić, czy po prostu lewituje w miejscu, czy spada, czy leci w górę, czy może zmierza gdzieś w poziomie. Czuł się, jakby unosił się na wodzie, z tą różnicą, że był zupełnie suchy i mógł swobodnie oddychać. Nigdzie w pobliżu nie widział już Samiela, obrażenia po walce z nim zniknęły.

Nagle tuż przed nim pojawił się ogromny, jaskrawy, bardzo kontrastujący z otaczającym go mrokiem prostokąt i Marek zrozumiał, że powstał on w wyniku samoistnego otwarcia się wrót od ogromnego budynku, w którym do tej pory był uwięziony. Jak tylko pojawiła się ta światłość, natychmiast, bez żadnej kontroli, zaczął lecieć w jej stronę i wkrótce znalazł się na zewnątrz gmachu, na powrót nad mroczną doliną, u stóp stromego, najeżonego ostrymi skałami wzniesienia, z którego swego czasu schodził w snach.

Nim zdążył cokolwiek pomyśleć, poczuł, że leci nad zboczem, jakby wsysany, przyciągany przez coś z nieba, które z ciemnego i pokrytego gęstymi, burzowymi chmurami zamieniało się w pogodne i przejrzyste. Niebieskie. Rozświetlone słońcem.

Wylądował na brukowanej drodze, w miejscu, od którego mógł już spokojnie poruszać się piechotą. Niemal natychmiast dostrzegł obok siebie na ziemi wielki, ostry nóż. Schylił się po niego i chwycił go pewnie w dłonie. Tym razem, nauczony błędami z przeszłości, z łatwością zawczasu dostrzegł sidła, które albo zgrabnie omijał na swej drodze, albo, kiedy nie było to możliwe, przecinał jednym machnięciem ostrza. Przebycie tej części kamiennego traktu zajęło mu trochę czasu, ale pokonał ją bez choćby jednego upadku, bez choćby jednej, najmniejszej rany.

Uniósł głowę. Przed nim, w oddali, na samym środku drogi stała jakaś postać. Wytężył wzrok. Była niska, bosa, o złotych, krótkich, postawionych na baczność włosach i w białej szacie. Rozpoznał ją. Pomimo że jej serdeczny, ciepły uśmiech jawił się w jego oczach dość dziwnym, wręcz nienaturalnym. Wkrótce pojął dlaczego. To dlatego, że tak rzadko z jej strony go doświadczał. Nic dziwnego, skoro tak rzadko dawał ku niemu powód.

Porzucił nóż i zaczął biec w jej stronę najszybciej, jak tylko dał radę. Uśmiechnięta Ula wciąż stała w tym samym miejscu, a im bardziej się do niej zbliżał, tym mocniej zaczynała promienić. Nie tylko na twarzy, z wyraźnej radości na jego widok, ogólnie. Jej skóra i włosy błyszczały w pustynnym słońcu niczym najdroższe, najszczęśliwsze złoto. Szata przybierała kolor jeszcze bardziej nieskazitelnej, fosforyzującej wręcz bieli.

– Ulka – wydyszał, na ostatnich metrach ślaniając się na nogach. Chciał rzucić jej się na szyję, lecz od wysiłku i ciężkiego powietrza zakręciło mu się w głowie. Padł jej do stóp, oddychając z trudnością i próbując dojść do siebie. Wkrótce poczuł na głowie jej delikatne palce, które głaskały jego gęste, kruczoczarne, przepocone teraz włosy. Wzdrygnął się i spojrzał na nią. Jednocześnie chciał ją błagać, by nie przestawała go dotykać, tak bardzo było to cudowne. Chyba zrozumiała go bez słów, bowiem wciąż muskała go czubkami palców. Odnosił też wrażenie, że jej bliskość stopniowo przynosi mu ulgę i niszczy w nim resztki wszelkich złych emocji niczym program komputerowy, który kasuje wirusy.

– Udało nam się? – zapytał w końcu. Nie odpowiedziała. Wciąż się uśmiechając, wyciągnęła tylko ku niemu drugą rękę. Nie zastanawiał się ani chwili dłużej, tylko chwycił ją z całej siły. Rzeczywistość wokół wypełnił ten oślepiający, przyjemny, ciepły blask, w wyniku którego zupełnie stracił ją z oczu. Żółty, zapewniający mu poczucie bezpieczeństwa nie tylko ze względu na swój kolor.

Nie lękał się. Wciąż ją czuł. Jej gładką, miękką, ale jednocześnie mocno zacisniętą na jego własnej dłoń. Jej ciepło. Jej dobro. Jej spływającą na niego miłość.

Po chwili poczuł jak znowu wznosi się nad ziemię. Towarzyszyło temu cudowne doznanie, jakby w jego brzuchu zniemacka poderwał się do lotu cały rój motyli. Niczym w najwspanialszym, najsilniejszym uczuciu świeżego zakochania. Sam szczyt drabiny ludzkich stanów emocjonalnych, nawet coś ponad nim.

Wracał do domu.

Ciałem Marka targnął intensywny skurcz. Nie mógł ruszać szyją, ale stanowiło to najmniejszy problem. Pękała mu głowa, oczy obficie łzawiły. Nie widział

wyraźnie, jak ledwo co narodzone dziecko. Miał ogromne mdłości i gdy to sobie uświadomił, zwymiotował pod siebie i zaczął żałośnie zawodzić.

– Mamo! Obudził się! – dobiegł go głos Iwonki.

– Jezu Chryste, Marek! Nie wierzę. Wróciłeś. Panie doktorze! Szybko! On się obudził! Niech ktoś tu przyjdzie! – krzyk Kasi.

– Panie doktorze! Pacjent wrócił do życia! Szybko! – Stopniowo oddalający się głos Knizia z pospiesznymi krokami w tle.

Marek próbował dojrzeć, kto jeszcze czuwał przy jego łóżku, lecz nie pozwoliło mu na to jaskrawe światło słoneczne sączące się z okna, przy którym leżał. Jaśniało tak nieprzyjemnie, że spotęgowało w nim nudności i ten przenikliwy ból w czaszce.

Po jeszcze jednej serii wymiotów stracił przytomność. Nie wiedział, czy dudnienie, które pod koniec usłyszał, dochodziło bezpośrednio z jego głowy, czy były to kroki kogoś, kto właśnie wbiegał do szpitalnej sali.

– Panie Suchocki! Żyje pan?

Marek poczuł, jak ktoś dotyka jego policzka, a potem niezbyt mocno uderza otwartą dłoń. Chciał błagać tego kogoś, by go nie ruszał, a tym bardziej w taki sposób, kiedy to każdy milimetr, o który przesuwawała się unieruchomiona kołnierzem ortopedycznym głowa, powodował zwielokrotnienie się bólu co najmniej dziesięciokrotnie. Problem w tym, że jednocześnie czuł, że kiedy otworzy usta, to znowu się porzyga.

Pozostała mu więc jedynie pierwsza w życiu próba brzuchomówstwa.

– Mmm – zamruczał. Wciąż nie otwierał oczu.

– Żyje! Tata! – krzyknęła Iwonka.

– Słyszysz mnie pan? – spytał nieznajomy, męski głos.

– Mhm – potwierdził kolejnym mruknięciem. Po tym ktoś znowu chwycił go za twarz, uniósł mu czubkiem kciuka powiekę i podświetlił oko małą latarką. Następnie to samo zrobił z drugim.

– Proszę nic nie mówić, tylko poruszać okiem, jeżeli pan mnie słyszy.

Marek posłusznie wykonał polecenie, modląc się w duchu, by lekarz nie wymagał od niego żadnych innych potwierdzeń.

– Niech mnie szlag. Nie wierzę! On naprawdę odzyskał przytomność. Odzyskaliśmy go! – zawołał z entuzjazmem i zarazem największym możliwym nie-

dowierzaniem medyk.

– Tata!

– Nie, nie, Kiwi! Jeszcze nie. Daj tacie spokój. Na razie nie wolno go dotykać – powiedziała Kasia, drżącym głosem.

– Siostrze, proszę natychmiast podać pacjentowi dożylnie metoclopramid. Czy w kroplówce ma już mannitol?

– Ma, panie doktorze – odrzekł kobiecy głos.

– Świetnie. Będzie tego potrzebował. Proszę mu jeszcze wstrzyknąć relanium, na sen.

– Na sen? Przecież ledwo co się obudził! Znowu chcecie go usypiać? – spytał Knizio, podejrzliwie.

– Szanowni państwo, jak najbardziej rozumiem państwa radość, ale póki co...

Więcej słów Marek już nie usłyszał, gdyż po ukłuciu igłą poczuł intensywną senność i odpłynął.

Gdy ponownie otworzył oczy, jako jedyny w sali siedział z nim Knizio. Czytał jakąś lokalną, suwalską gazetę. Marek mruknął bełkotliwie, patrząc na niego przez zmrużone, załzawione oczy i z całej siły walcząc z mdłościami.

– Jestem, jestem. – Arek natychmiast odłożył gazetę i przysunął krzesło jak najbliżej niego.

Suchy próbował pytać, choć trudno było rozszyfrować sylaby wypływające z jego ust.

– Nic nie pamiętasz? Spadłeś ze schodów. Uderzyłeś się w głowę. Miałeś silny uraz mózgu. Organiczny. No, tak to nazywają w każdym razie, nie wiem, czym to się różni od zwykłego wstrząśnienia, ale lekarz generalnie ciągle to powtarza. Operowali ci krwiaka. Podobno był ogromny i nie dawano ci zbyt dużych szans. Kurde, Marek, ale nas przestraszyłeś. Myślałem, że... – urwał.

Marek zamknął oczy. Szukał w pamięci wspomnienia o tym wypadku, ale niczego nie potrafił sobie przypomnieć. Ostatnie, co świtało mu w głowie, to obraz jakichś dwóch postaci. Ogromnych. Jednej o blond, drugiej o czarnych włosach.

Jęknął. Jego mózg nie był jeszcze gotowy na aż tak ciężką pracę.

– Dze Kaka i dzecaki? – zapytał w końcu.

– Pojechali na moment do miasta, żeby coś zjeść. Ale jak znam życie, to zaraz wrócą. Codziennie wracają. Nic nie robią, tylko tu z tobą siedzą. Non stop. Kochającą masz rodzinę. Codziennie przychodziła też twoja siorka, ale nie siedziała długo i miałem wrażenie, że to przeze mnie. Ciągle tylko łypała na mnie z taką dziwną miną. Chyba mnie nie lubi.

– A chopaki?

– Też byli. I też codziennie. Ciągle piszą do mnie i pytają, czy się obudziłeś. À propos, daj mi chwilę. Wyślę im wszystkim radosne info. – Arek wyciągnął telefon i zaczął pisać, a Suchy wykorzystał ten moment, by rozejrzeć się po sali. Po lewej, na półce obok niego, stało sporo produktów do jedzenia i picia, już napoczętych, a więc najpewniej służących do bieżącego zaspokajania potrzeb żywnościowych wszystkich przy nim czuwających. Po prawej zaś miał jeszcze jedno łóżko, na którym leżał jakiś młody mężczyzna z zabandażowaną głową. Spał.

– A jemu co się stało?

– W porównaniu z tobą właściwie duperela. Sprzeczka z dziewczyną i kobieta potraktowała go młotkiem po łbie. Mają wypisać go lada dzień – opowiedział Arek, wciąż skupiając się na ekranie swojego smartfona. – Marek – schował telefon do kieszeni i nieco ściszył głos – ja wiem, że to pewnie nieodpowiedni moment i tak dalej, ale musimy działać. Im szybciej, tym lepiej. Naprawdę nic nie pamiętasz? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że ot tak zleciałeś sobie ze schodów. Generalnie znalazłem tam też rozbity słoik. Kto cię zaatakował? Samiel? Ludzie Samiela?

Samiel. Przez moment Marek miał szczerą ochotę zapytać, kto to właściwie jest, ale po chwili przypomniał sobie wszystko.

Prawie wszystko.

– Pamiętam dwóch typków. Zaatakowali mnie na klatce.

– A więc jednak. Kurwa. Mówili, od kogo są?

– Czekał. Prawie nic nie pamiętam – mruknął, zamknął oczy i po raz kolejny się zastanowił. – Tak – stwierdził w końcu. – Chyba mówili, że są od niego.

– Czyli jednak wrócił. To będziemy mieli rozkminkę. Może polać się krew. Niepotrzebne nam to ani trochę. Będzie nieprzyjemnie.

– A co z wami? Was nikt nie zaatakował?

– Ja praktycznie cały czas siedzę tutaj, przy tobie. Twoja rodzinka też, więc nie musisz się o nią obawiać, Rudy i Szafa jakby co wciąż pilnują twojej chałupy i umierają tam z nudów. A reszta chłopaków... Nic mi nie mówili. Piszą

do mnie wszyscy, więc chyba żyją i mają się dobrze. Ale i tak tego tak nie zostawimy.

– Zostawimy – przerwał mu zniecka Marek. Sam się zdziwił, bowiem wypowiedział to słowo niezależnie od siebie.

– Jak to zostawimy? Chcesz to olać? Ty? To do ciebie niepodobne. – Zaskoczony Knizio uniósł brwi.

– Tak. Na razie nie chcę nic z tym robić – potwierdził Marek. Wciąż nie potrafił wyjaśnić, dlaczego mówi tak, a nie inaczej. Arek miał rację. Do tej pory nie zwykł pozostawiać takich spraw nierozwiązanych. Nie wiedział też, dlaczego kolejne słowa podsuwa mu jakiś cichy, ale za to niesamowicie silny wewnętrzny głos. Dochodził jakby bezpośrednio z jego głowy. Brzmiał tak przekonująco, tak stanowczo, że nie potrafił mu odmówić. Co było jednak najbardziej idiotyczne, dałby głowę, że jego barwa brzmiała dokładnie tak samo jak... Ulki? Naprawdę?

– A twoje okno? Przebite opony? A jak straszył twoje dzieciaki? Zamierzasz to tak zostawić? Przecież miałem go szukać i doprowadzić do ciebie. A jakby się stawiał, sprzątnąć.

– Na razie nic z tym nie robimy – powtórzył Marek. – Jak pojawi się problem, to wtedy będziemy myśleć. Póki co wstrzymaj się z czymkolwiek. Sam mówiłeś, że konfrontacja nam niepotrzebna.

– No tak, ale...

– Nic nie rób. I to samo powiedz chłopakom. – Suchy z trudnością uniósł palec wskazujący.

– No dobra, skoro tak mówisz. Ty tu rządzisz. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz. Może jak trochę ochłoniesz i wydobrzejesz, to coś ci się odmieni.

Akurat w tym samym momencie do sali wkroczyli Kasia, Adam i Iwonka. Marek spojrzał na ich rozpromienione, pełne ulgi twarze i mruknął w odpowiedzi tak cicho, że nawet on nie słyszał swojego głosu:

– Możesz być pewien, że nie.

Po czułościach ze strony żony i córki, Marek poprosił Knizia, by ten zostawił ich samych, na co Arek zareagował z pełnym zrozumieniem i, pożegnawszy się ze wszystkimi, opuścił salę.

– Tato, a dlaczego ty tak długo spałeś? – zapytała po jakimś czasie śmiertelnie poważnie Iwonka.

Suchy spojrział kątem oka na Kasię, napotkał jej spojrzenie i obydwójce w tym samym momencie parsknęli śmiechem.

– Wiesz, Kiwi, to dlatego, że byłem taki niesamowicie zmęczony – udał ziewnięcie.

– Ale tak długo? Ja to bym tyle nie umiała. Najwięcej to chyba spałam – przerwała na moment i zaczęła liczyć na palcach – dziesięć godzin.

– Myślę, że masz znacznie większy potencjał. Musisz po prostu dużo ćwiczyć i kiedyś na pewno pobijesz ten rekord. – Zmierzył jej blond loczki, na co zareagowała tak ukochanym przez niego, słodziutkim:

– Ej! To moje włosy!

– Śniło ci się coś chociaż? Pamiętasz coś? – odezwał się niespodziewanie głównie milczący do tej pory Adam.

– Nie. Nic nie pamiętam – odparł.

Zgodnie z prawdą.

Choć upierali się, że chcą z nim zostać, jakimś cudem zdołał ich przekonać, by zrobili sobie urlop od niańczenia go i wrócili do domu. Gdy tylko wyszli z sali, natychmiast chwycił za telefon i wybrał numer do Szafy.

– Hola, hola! Proszę to odłożyć! W pana wypadku to niezdrowe! – Pielęgniarka, która akurat przechodziła, wkroczyła do pomieszczenia z groźną miną. Wyglądała jak jastrząb tuż przed atakiem na swoją ofiarę.

– Już, już... – Pokornie zakończył połączenie, nim to zdążyło się rozpocząć. – A SMS-y chociaż mogę?

– Może pan. Ale jak jeszcze raz zobaczę to, co przed chwilą, to normalnie nakopię w tyłek. – Pogroziła mu palcem. Z aparycji i rozmiarów przypominała idealną partnerkę życiową dla Szafy właśnie, więc wołał z nią nie zadzierać. Jakby mu przydzwoniła z tej piąchy wielkości patelni...

– Nie będę, obiecuję.

– Trzymam za słowo – rzuciła i poszła dalej. Marek odczekał moment, po czym jeszcze raz wybrał ten sam numer co poprzednio.

– Ostatnie ostrzeżenie. – Prawie podskoczył na łóżku, kiedy zza framugi ponownie wychyliła się jej złowroga, ptasia twarz.

– Dobrze, już! Tym razem naprawdę. Same SMS-y. Tylko niech pani nie bije!

– I tak będę cię uważnie obserwować. Masz to u mnie jak w banku. – Wycełowała w niego palcem i znowu zniknęła z pola widzenia.

Przez moment rozważał nawet szalony pomysł, czy nie spróbować wprowadzić działań dywersyjnych przeciw jej reżimowi po raz trzeci, ale w końcu uznał, że nie będzie igrał z ogniem i zgodnie z obietnicą napisał SMS-a.

Janek, moja rodzina właśnie wychodzi ze szpitala. Włos ma im z głowy nie spaść. 24/7. Bo jak nie, to pogadamy.

Odpowiedź od Szafy przyszła niemal natychmiast.

Jasna sprawa, Szeffie. Nie spuszczę ich z oka ani na moment. Dobrze, że Szef wrócił, bo już się nudno robiło! :)

Gdy zaczynało się już powoli ściemniać, do jego sali niespodziewanie weszła wysoka, zgarbiona, szczupła postać z rękami w kieszeniach. Ubrana była w różową bluzę z naciągniętym na głowę kapturem. Bez słowa usiadła przed nim na krześle i patrzyła na przemian na niego i na podłogę z zimną, pełną żalu miną. Trochę kiwała się przy tym do przodu i do tyłu. Do tego drżała. Z każdą sekundą coraz silniej. Zupełnie jakby wiele kosztowało ją samo zdobycie się na odwagę, by tu przyjść.

– Nie patrz tak na mnie – powiedział w końcu cicho Marek. Widok tych pełnych bólu oczu, które przywodziły na myśl ślepiec psa dręczonego przez swojego pana, ale jednocześnie wciąż bezgranicznie mu wiernego, był nie do zniesienia. Co więcej, po słowach Marka dodatkowo zaczęły błyszczeć od łez.

Martyna nie odpowiedziała. Wciąż tylko siedziała ze złożonymi rękami i kiwała się, powstrzymując się od płaczu. Jej usta zaczęły niebezpiecznie dygotać. Strasznie zmizerniała. Schudła chyba nawet bardziej niż Marek po dłuższym czasie na samej kropłówce, jej włosy były brudne i w ogromnym nieładzie, twarz oczywiście bez makijażu, choć jego rozmazane łzami resztki wciąż pozostawały na oczach dziewczyny.

Wyglądała jak wrak człowieka.

Albo matka, która ledwo co utraciła swoje dziecko.

– Gdybyś czegoś potrzebowała... – zaczął Marek. Martyna tylko szybko podniosła się z krzesła i wybiegła z sali. A on dałby głowę, że zdążył jeszcze

usłyszeć jej oddalający się szloch.
Spuścił wzrok.

– Dzień dobry. Możemy zająć moment?

Do sali wkroczyło dwóch mężczyzn. Marek zaniepokoił się trochę ich obecnością, ale tylko do czasu, gdy obaj pokazali mu policyjne legitymacje. Jakoś mniej bał się psów niż gangsterów. Z nimi zawsze sobie jakoś radził.

– Jesteśmy z policji. Pan Suchocki, tak? – zapytał jeden z przybyszów, po czym zerknął na kartę pacjenta i tym sposobem sam odpowiedział sobie na pytanie.

– Tak, to ja.

– Przepraszamy, że tak pana nachodzimy, kiedy się pan kuruje.

– To nic szczególnego. Spadłem ze schodów. Bez jakiegokolwiek udziału osób trzecich, jeżeli o to pytacie, panowie. Nie mam w tej sprawie nic więcej do powiedzenia, poza tym, że napieprza mnie łeb i chętnie bym się teraz prześpał – zakończył znacząco.

– Rozumiemy, ale my nie w tej sprawie.

– Nie w tej? – zdziwił się Marek.

– Co pan robił w sobotę, trzynastego lipca, o około dwudziestej trzeciej?

– Panie, za trudne pytania mi pan zadajesz. Właśnie wybudziłem się po kilkudniowej śpiączce, moja pamięć szwankuje i nic dziwnego, bo twardej potrzebuje jeszcze sporo czasu, by na powrót zacząć działać jak należy. Może więc przyspieszmy to i powiedzcie mi, o co chodzi.

– Chodzi o sprawę ciężkiego pobicia piłkarza Wigier, Adriana Prześlakiewicza.

– Adriana Prześlakiewicza? Piłkarza Wigier? – upewnił się Marek i od razu przypomniał sobie o wszystkim. Jego szczelnie obwiązana bandażem, opuchnięta głowa i kołnierz ortopedyczny, który krępował mu ruchy, także twarzy, w tym momencie okazały się jednak prawdziwym błogosławieństwem. Język ciała nie powinien był go zdradzić. Choć zważywszy na to stopniowo rozchodzące się po jego ciele zimno, pozostawanie w bezruchu sprawiało mu coraz większą trudność.

– Tak. Został zaatakowany przez nieznanego, zamaskowanego napastnika właśnie w tamtą sobotę, po dwudziestej trzeciej, jak wracał przez Świerkową

rowerem do domu.

– Rozumiem.

– Słyszał pan o tym?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Czyli nie wie pan też, że chłopak ma już właściwie pograne i najpewniej do końca życia będzie jeździć na wózku? Zrobili mu z nóg puree ziemniaczane. Tam nawet nie było co składać ani nastawiać.

– Naprawdę? Paskudna sprawa. Szkoda chłopaka.

– Nic pan na ten temat nie wie?

– Nie, już mówiłem, że pierwsze słyszę, od panów. Skąd w ogóle pomysł, że mogę mieć cokolwiek z tym wspólnego?

– Stąd, że on powiedział, że to najpewniej pana sprawka. Że tego samego dnia graliście turniej w Gawrych Rudzie i wydarzyło się między wami małe spięcie. Że o mało się nie pobiliście, ale was rozdzielono. Jak pytaliśmy go, czy przypadkiem komuś niedawno nie podpadł, to w pierwszej kolejności wskazał właśnie na pana. Stąd tu jesteśmy. To bardzo poważny zarzut, na pewno zdaje pan sobie z tego sprawę.

Marek patrzył to na jednego, to na drugiego. Normalnie nie miałby żadnych problemów z odpowiedzią, ale teraz toczył wewnętrzną walkę z samym sobą. Wszystko przez ten irytujący głos Ulki w jego głowie, który nieprzerwanie podpowiadał mu, by...

W końcu wziął się w garść, nabrał oddechu i powiedział:

– Owszem, pamiętam tego chłopaka. Tak, mieliśmy spięcie. Ale nie mam z tym nic wspólnego. To co wydarzyło się na boisku, zostaje na boisku, a po meczu jest przybicie piątek i żyje się dalej. To tylko sport i nie ma się o co spinać. Sam jestem kibicem Wigier, ba, nawet jednym ze sponsorów. Możecie panowie nawet sobie sprawdzić na oficjalnej stronie internetowej klubu. Pub Beerma.

– A to ciekawe – odezwał się jeden z policjantów. – Nawet nie wiedziałem, że Brama sponsoruje Wigry. W takim razie będzie trzeba częściej tam bywać!

Usłyszawszy to, Marek jęknął w duchu, ale powstrzymał się od komentarza. Kontynuował swoją wypowiedź.

– Poza tym i tak właśnie sobie przypominałem, że tamtego dnia, mniej więcej o tamtej godzinie, przebywałem najpierw u swojej kochanki w Sercu Suwałk, potem taksówką wróciłem od razu do siebie, do domu, na Gołdapskiej, na osiedlu Hańcza. I ona, i taksówkarz, któremu sporo zapłaciłem, więc powi-

nien mnie pamiętać, i moje dzieciaki, które były wtedy na miejscu, mogą to potwierdzić. Tylko błagam, żonie ani mru mru, bo to z kolei ona robi mi puree, ale nie ziemniaczane, a pomidorowe, i to nie z samych nóg. – Wysilił się na rozbijającą szczerłość i wstrzymał oddech, licząc, że zrobi nią należyte wrażenie. Policjanci obserwowali go z uwagą, jakby przetwarzając informacje, które właśnie usłyszeli. Potem równocześnie spojrzeli na siebie.

– Słowem, to nie mnie szukacie – dopowiedział i od razu tego pożałował. Lepsze jest wrogiem dobrego. Piękna i jakże prawdziwa mądrość ludowa. Szlag by to trafił.

Czekał w napięciu.

– No dobrze, skoro pan tak mówi – odezwał się w końcu funkcjonariusz po jego prawej. Marek ledwo powstrzymał się, by w wyrazie ulgi nie wypuścić głośno powietrza.

– W takim razie nic tu po nas. Dziękujemy za poświęcony czas i już nie niepokoiemy.

– Nie ma sprawy. Przykro mi z powodu tego chłopaka. Zapowiadała się fajna kariera...

– Panie Suchocki, czy możemy mieć jedną małą prośbę, ale to już tak na marginesie?

– Słucham z uwagą.

– Różne plotki krążą po mieście na pana temat. Że w ciekawych kręgach pan się obraca. Czasem słyszy się nawet, że trzęsie pan całym półświatkiem w Suwałkach.

– To kłamstwa i krzywdzące oszczerstwa. Szerzą je zazdrośni, zawistni ludzie. Jestem biznesmenem z głową na karku. To wszystko. I mam sporo serdecznych, biznesowych znajomości. Wszyscy na tym zyskujemy. Uczciwe interesy chyba nie są zabronione?

– Rozumiemy. Mimo wszystko, jakby coś się panu w tej sprawie obilo o uszy, to bardzo prosimy o kontakt.

– Jasne. Natychmiast.

– Numer na policję mamy nadzieję pan zna?

– Ba, najpiękniejszy możliwy trójwyrazowy ciąg cyfr. Nie da się go zapomnieć.

– Nie wiem, czy najpiękniejszy. Sześć, sześć, sześć również ma swój urok! – zaśmiał się jeden z policjantów. – Ok, nie niepokoimy już. Życzymy zdrowia. Do widzenia – pożegnali się i wyszli.

A on w dalszym ciągu zachodził w głowę, dlaczego z każdą sekundą coraz bardziej narasta w nim to dziwne napięcie.

Jakby wywołane przez wspomnienie wydarzeń, których nigdy w życiu nie przeżył.

Wcale nie chodziło tu o to, że grzesznik po raz kolejny skłamał.

Pepe, Rubik i Sokół odwiedzili go wraz z Arkiem następnego dnia. Słyszał ich wszystkich z oddali, od kiedy tylko opuścili windę. W czynieniu hałasu i zwracaniu w ten sposób na siebie uwagi nie mieli sobie równych.

– Jest i nasz zakuty łeb! – zawołał głośno Rafał. Rozłożył ręce w pełnym miłości, ojcowskim wręcz geście i Marek zobaczył, że w jednej z nich trzyma flaszkę wódki. Szykowała się chyba niezła balanga z okazji jego powrotu.

– Ciszej, ludzie! Nie jesteśmy tu sami. – Marek wskazał znacząco na wyraźnie speszonego młodzieńca z łóżka obok.

– Oj tam, oj tam! – Nawet nie zapytawszy go o zdanie, Rubik jakby nigdy nic usiadł na materacu chłopaka. Na szczęście nie okazał się na tyle bezczelny, by sadzać swoje tłuste dupsko na jego nogach. A może to tamten miał szczęście, że akurat tam nie leżały.

– Młody też pewnie golnie sobie jednego za twoje zdrowie, prawda młody?

Onieśmielony chłopak nie odważył się odpowiedzieć, więc Rafał wspaniałomyślnie dał mu spokój i skupił się z powrotem na Marku.

– Jak tam? Tęskniliśmy.

– Generalnie cudownie. Nie widać?

– Widać. Wprost promieniujesz szczęściem. Wypadniesz z formy. A sezon piłkarski trwa w najlepsze.

– Ja, w przeciwieństwie do was, grubasy, przynajmniej chudnę, a nie hoduję mięsień piwny. Niech zgadnę, skorzystaliście z windy, a nie ze schodów, jebane tłusciuchy?

– Tobie chyba, Wąski, to jednak porządnie sufit na łeb musiał się spaść. Na piąte piętro?

– Ja wiem, że po próbie pokonania tej drogi piechotą oddychałbyś mniej więcej jak Ryszard Kalisz po pięciu minutach meczu politycy kontra gwiazdy TVN.

– Co tu się dzieje? – Ich głośną rozmowę niespodziewanie przerwał kobiecy głos. Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, w których stała ta sama pielęgniarka, która swego czasu zmyła Markowi głowę za używanie telefonu.

– Odwiedzamy kolegę. Dzień dobry! – odpowiedział przyjaźnie Rubik. Niestety, wyglądało na to, że akurat ona nie da się nabrać na jego gadane.

– Wizyty na dziś już się skończyły. Proszę już iść i tak nie hałasować!

– Siostró, proszę dla kolegów zrobić wyjątek. Tyle się nie widzieliśmy – zaczął Marek, ale urwał, gdy podeszła do niego z miną krwiożerczej lwicy.

– Ty już i tak masz u mnie od wczoraj przechlapane. Chcesz mnie znowu zdenerwować?

– Znowu? Czyli już mi pani tamto wybaczyła? – zapytał niewinnym tonem. Nie potrafił się powstrzymać. Cały oddział zatrzęsł się od głośnego rechotu jego kumpli.

Butelka wódki została opróżniona po mniej więcej dwóch godzinach. Tyle też czasu u niego zabawili. On jednak zachował na tyle zdrowego rozsądku, by nie wypić ani jednego kieliszka. Na świętowanie miał jeszcze nadejść odpowiedni moment. W międzyczasie towarzyszyli mu też w wyprawie do szpitalnego bufetu, w którym zamierzał zjeść kolację. Co mogło napawać optymizmem, odzyskiwał apetyt, a kolejne posiłki nie powodowały u niego żadnych mdłości. Do tego żarcie serwowano w tej jadłodajni naprawdę w porządku. Jediną zawiadzoną menu osobą był Rubik, który, zerkając znacząco na Pepego, śmiertelnie poważnie zapytał barmankę, czy podają tam danie z wieprzowiny zwane „żelipapą pepą”. Ta jednak nie załapała dowcipu i patrzyła na nich dziwnie, podczas gdy cała piątka (bez Piotrka oczywiście) niemal tarzała się po podłodze od szaleńczego śmiechu.

Suchy spędził z kumplami naprawdę przyjemny wieczór.

Kiedy wreszcie go opuścili, był na siebie trochę zły. Dlatego, że parę razy nawet się przymierzał, by pokierować rozmową w taki sposób, żeby im finalnie oświadczyć: „rezygnuję, chłopaki. To nie na moje nerwy. Bezpieczeństwo rodziny jest dla mnie najważniejsze. I tak nazbierałem już wystarczająco dużo papieru, żeby rozwijać uczciwe biznesy, więc przechodzę na emeryturę. Tylko nie pobijcie się o przejęcie schedy po mnie. Zróbcie wieloosobowy zarząd, bez lidera. Poradzicie sobie”.

Stchórzył. Jednak.

Byli tak roześmiani, rozentuzjasmowani jego powrotem do świata żywych, że zwyczajnie nie potrafił im zepsuć nastroju. Podobnie jak w przypadku picia, i na takie nowiny miał się znaleźć odpowiedni moment. Kiedyś, w przyszłości. Prędzej czy później. Tak to sobie potem, już po ich wyjściu, tłumaczył, gdy rozmyślał, wpatrując się jak zahipnotyzowany w wiatraki na horyzoncie. Pięły się na tle stopniowo ciemniejącego nieba.

A może po prostu u każdego samca alfa, nawet takiego jak on, istnieje jakaś granica? Coś, czego nawet on się lęka? Każdy z nas jest tylko człowiekiem. Każdy z nas ma swoje słabości, czułe punkty, w które można uderzyć. Nie-wzbudzające zaufania, delikatne filary w konstrukcji jego osobowości, które można złamać zaledwie pchnięciem. Wbrew pozorom, ważne filary. Podtrzymujące wszystko w ryzach. I to takie, z których najczęściej nie zdajemy sobie sprawy.

Każdy z nas się czegoś boi.

Coś sprawiło, że Marek się obudził. Nie wiedział, co. Tylko z początku, bo-wiem już po chwili dostrzegł tę siedzącą przed nim postać. Drgnął. Nie dlatego, że nie spodziewał się o tej porze żadnych gości. Co zaskoczyło nawet jego samego, wcale nie zdziwił się czyjąś obecnością. Jednocześnie nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego miał przeświadczenie, że zobaczy przed sobą mężczy-znę.

W czarnej koszuli i kapeluszu tego samego koloru.

Wiedział o tajemniczym nieznanym znacznie więcej. Był piekielnie inteli-gentny, kipiący chorobliwą pewnością siebie, a jego twarz z niewiadomych powodów przypominała maskę. Choć Marek nie miał pojęcia, kto to jest i cze-mu akurat teraz przyszedł mu na myśl, bał się go. Tak bardzo, że gdy wyobraził go sobie, zaczęły drżeć mu ręce. Jakże ucieszył się więc, gdy okazało się, że jednak się w swoim przeczuciu pomylił.

– Cześć – odezwała się cicho siedząca w ciemności Ula. Wyglądała, jakby od dłuższego czasu czekała na jego przebudzenie. Jakby cierpliwie czuwała nad nim całą noc, od kiedy po raz pierwszy zamknął dziś powieki.

– Cześć. Co ty tutaj robisz o tej porze? – szepnął Marek, choć w gruncie rzeczy z jakiegoś powodu cieszył się na to spotkanie. Tego też nie potrafił wy-

jaśnić.

– To jedyny czas, kiedy stary niedźwiedź... Przepraszam, moje dzieciaki mocno śpią i mogę sobie pozwolić na chwilę dla siebie. To pomyślałam, że przyjadę.

– No niby tak, ale to dopiero pierwsza z przeszkód do pokonania. Zostali jeszcze...

– Wpuścili mnie. Musiałam trochę nakłamać, że mój brat jest umierający. Uwierzyli. – Uśmiechnęła się.

– Wzbudzasz zaufanie. Mnie by pewnie w analogicznej sytuacji nie wpuścili. Z moją niewyjściową gębą?

– Przez grzeczność nie zaprzeczę.

– Ale pierwszemu czy drugiemu i trzeciemu zdaniu?

Obydwoje w tym samym momencie parsknęli śmiechem.

– Co słytać? – zapytał Marek.

– Na początek przeprosiny.

– Za co?

– Za to, że dopiero dziś cię odwiedzam. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że ostatnio mam naprawdę sporo na głowie. Dzieciaki normalnie nie dają mi żyć. Są wakacje, więc trzeba im jeszcze organizować czas. Praktycznie dzień w dzień, od rana do wieczora, siedzimy ze Sławkiem nad zalewem. Nie mamy życia. Powiem ci szczerze, czasami dopadają mnie myśli, że od urlopu z dziećmi wolę jednak chodzenie do pracy.

– Rozumiem. Ale ogólnie wszystko w porządku?

– Wszystko dobrze. Jestem tylko padnięta od tego ciągłego ganiań w wodzie za Matim – westchnęła i rozczesała palcami swoje niemalże białe, postawione na baczność włosy. – Non stop trzeba mieć na niego oko. Trochę boli mnie głowa od siedzenia na słońcu. Muszę chyba zaraz wziąć jakąś tabletkę.

– Chcesz? Przeciwbólowych pigułek u mnie dostatek. Tylko generalnie nie powinienem chomikować tu leków, więc nie sprzedaj mnie pielęgniarce. Jedna z nich tylko czeka na pretekst, żeby mnie pożreć żywcem. – Marek wyciągnął z podręcznej szafki opakowanie ibupromu, wyjął pakiet tabletek i podał siostrze.

– Nie odmówię. Dzięki – powiedziała, a potem wzięła też karton soku, który podsunął jej do picia.

– Co u mamy?

– Tradycyjnie. Nic nowego. Sama radość. Niedawno zostawiłam ją samą, to

jakimś cudem zeszła samodzielnie na dół, po zakupy, oczywiście nikogo przedtem nie informując. Do Biedronki na Noniewicza.

– Do Biedronki? Przecież to dobre kilkaset metrów od jej klatki.

– I zgadnij co? Nie potrafiła sama wrócić! Bez żadnego wstydu zaczęła na ulicy pierwszego lepszego faceta, żeby doprowadził ją do domu i wniósł jej na górę zakupy. Ot tak. A miała tego cały wózek. Jezu. Jej może i to nie ruszyło, za to ja najadłam się wstydu za nas dwie.

– Troje. Mnie też dolicz do tego grona – poprawił ją Marek.

– Ostatnio na nowo zaczął się u niej bek z powodu wyimaginowanego bólu. To jej zagroziłam, że jak tak dalej pójdzie, to położę ją do szpitala. Z miejsca jej przeszło. Magia! I żebyś widział, jak wczoraj zasuwała na działce! Jak mały samochodzik.

– Pojechałaś tam z nią?

– Tak. Katorga. No, ale nieważne. Dobrze cię znowu widzieć. Cieszę się, że jednak nam się udało.

– Nam? Udało? Co się udało? – zdziwił się Marek.

Ula milczała przez moment, patrząc mu głęboko w oczy. Sprawiała wrażenie, jakby zdała sobie sprawę, że powiedziała o jedno słowo za dużo i usilnie szukała w głowie innego sposobu na poprowadzenie tego dialogu. Wydało się ono Markowi znajome, lecz na razie nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

– Nam, wszystkim. Lekarzom. I tym, którzy się za ciebie modlili. Czyli na przykład mnie. Dopóki istniała nadzieja, że się obudzisz, dopóki twoje serce wciąż biło, nie przestawałam prosić Najwyższego, by przywrócił nam cię do świata żywych. Wierzyłam, że tak się stanie. Naprawdę – stwierdziła w końcu.

– I myślisz, że masz w tym swój udział?

– Jestem tego pewna.

– Niech ci będzie.

– Jak się czujesz? Wiesz już mniej więcej, kiedy cię wypiszą?

Suchy milczał. Wpatrywał się tylko tępo przed siebie.

– Marek?

Wciąż nie odpowiadał. Leżał nieruchomo, zeszywniały, jakby nagle zamienił się w posąg. Bał się odezwać. Bał się nawet ruszyć.

– Marek? Co się stało? O co chodzi?

Kompletnie nie rozumiał tego stopniowo narastającego w nim strachu. Zniecka pojawił się w nim i wyraźnie nie zamierzał ustąpić. Mało tego. Z każdą sekundą stawał się coraz silniejszy. I powodował coraz szybsze bicie serca,

coraz bardziej przyspieszony oddech, coraz więcej kropeł potu na ciele i coraz większe drżenie dłoni.

Marek czuł coś w rodzaju *déjà vu*. Rozejrzał się po sali.

Obiektywnie nie było się czego bać. Morderczej kobiety w pielęgniarskim fartuchu nigdzie nie widział. W drzwiach nikt nie stał, w całym szpitalu panowała głucha cisza. Stolik pod ścianą, przy którym siedziała Ula, i krzesła obok niezmiennie ustawione były w tym samym, wzorowym ładzie. Zaś rzeczy na półce po jego lewej leżały w komplecie na swoim miejscu. Za oknem panowała ciepła, letnia, bezchmurna, gwieździsta, spokojna noc.

Tylko to ciało.

Ciało chłopaka z łóżka obok, które widział kątem oka.

Korpus, który właśnie, bardzo powoli, prostował się z pozycji leżącej ku siedzącej.

I ten ból. Ten cholerny, nieznośny, narastający ucisk w czaszce.

I szum.

I pisk.

...WIECZNEJ KARY?

Dziś byłam w przepaściach piekła, wprowadzona przez Anioła. Jest to miejsce wielkiej kaźni, jakież jest obszar jego strasznie wielki. Rodzaje mąk, które widziałam:

Pierwszą męką, którą stanowi piekło, jest utrata Boga;

Drugą – ustawiczny wyrzut sumienia;

Trzecią – nigdy się już ten los nie zmieni;

Czwarta męka – jest ogień, który będzie przenikał duszę, ale nie zniszczy jej, jest to straszna męka, jest to ogień czysto duchowy, zapalony gniewem Bożym;

Piąta męka – jest ustawiczna ciemność, straszny zapach duszący, a chociaż jest ciemność, widzą się wzajemnie szatani i potępione dusze, i widzą wszystko zło innych i swoje;

Szóstą męką jest ustawiczne towarzystwo Szatana;

Siódma męka – straszna rozpacz, nienawiść Boga, złorzeczenia, przekleństwa, bluźnierstwa.

Są to męki, które wszyscy potępieni cierpią razem, ale to nie jest koniec mąk, są męki dla dusz poszczególne, które są mękami zmysłów: każda dusza czym grzeszyła, tym jest dręczona w straszny i nie do opisania sposób. Są straszne lochy, otchłanie kaźni, gdzie jedna męka odróżnia się od drugiej; umarłabym na widok tych strasznych mąk, gdyby mnie nie utrzymywała wszechmoc Boża. Niech grzesznik wie, jakim zmysłem grzeszy, takim dręczony będzie przez wieczność całą, piszę o tym z rozkazu Bożego, aby żadna dusza nie wymawiała się, że nie ma piekła, albo tym, że nikt tam nie był i nie wie, jak tam jest. Ja, siostra Faustyna, z rozkazu Bożego byłam w przepaściach piekła na to, aby mówić duszom i świadczyć, że piekło jest. O tym teraz mówić nie mogę, mam rozkaz od Boga, abym to zostawiła na piśmie. Szatani mieli do mnie wielką nienawiść, ale z rozkazu Bożego musieli mi być posłuszni. To, co napisałam, jest słabym cieniem rzeczy, które widziałam.

Jedno zauważyłam: **że tam jest najwięcej dusz, które nie dowierzały, że jest piekło.**

Siostra Faustyna Kowalska

1 Paweł Bębenek, *Witaj pokarmie.* [\[powrót\]](#)

2 Stare Dobre Małżeństwo, *Z nim będziesz szczęśliwsza.* [\[powrót\]](#)

POSŁOWIE

Należy Ci się, Drogi Czytelniku, jedno małe wyjaśnienie. Na pewno zauważyłeś, że broniłem się rękami i nogami przed zacytowaniem wprost treści tatuaży – zarówno tych z karków Marka i Grzegorza, jak i tych na nogach prostytutek Samiela. Stało się tak z prostego powodu: uczę się na popełnionych błędach.

Na potrzeby powieści została nieco zmieniona topografia budynków parafialnych przy kościele pod wezwaniem świętego Aleksandra w Suwałkach. W rzeczywistości ich układ (położenie biura oraz pokojów, w których mieszkają zakonnice i księża) wygląda trochę inaczej, niż zostało to opisane w książce. Podobnie sprawa ma się ze szpitalną kaplicą.

Oprócz Beermy tak naprawdę nie istnieją i nigdy nie istniały Red Lights/Harem oraz gospodarstwa-dziuple przy cmentarzysku Jaćwingów. Reszta obiektów i miejsc istnieje naprawdę. Uniwersum powieści jest identyczne z tym opisanym w mojej poprzedniej książce *Galęziste*.

Motywy pustyni, brukowanej drogi z dwoma ukwieconymi żywopłotami na poboczach, sideł, noży, ostrych skał, mrocznej doliny, wielkiego budynku u podnóża góry i wreszcie parzących ścian zaczerpnałem z wizji piekła księdza Jana Boski. W ramach uzupełnienia lektury tej książki zachęcam Cię do jej przeczytania. Znajdziesz ją z łatwością w Internecie.

Proponuję Ci dwie zabawy. Pierwsza: spróbuj wypisać sobie wszystkie techniki manipulacji i wywierania wpływu, które pojawiają się w niniejszej książce (nie tylko te nazwane wprost, jak przykładowo reguła wzajemności). Druga: znajdź jak najwięcej odniesień do mojej poprzedniej powieści *Galęziste*. Tym sposobem wywieram na Ciebie wpływ, byś przeczytał *Grzesznika* jeszcze raz.

Zagadnieniem, które nie zostało wyjaśnione, a powinno, jest obecność duchów sowieckich żołnierzy w Lesie Szwajcarskim. Ma to związek z historią Suwałk. Chodzi o zbiorową mogiłę w głębi lasu, pamiątkę po nazistowskim obozie jenieckim, który w czasie wojny mieścił się w obecnej północnej części miasta. Podobno spoczywa tam kilkadziesiąt tysięcy ciał. Dobry załążek pod szukanie inspiracji na kolejne powieści, nie sądzicie?

Do zobaczenia!

O AUTORZE

Artur Urbanowicz (urodzony w 1990) – z wykształcenia matematyk, z zawodu informatyk i wykładowca akademicki, z charakteru chorobliwy perfekcjonista. Smykałkę do wymyślania różnych historii odkrył w sobie jeszcze w dzieciństwie, co poskutkowało napisaniem pierwszej powieści do szuflady w wieku czternastu lat. Zafascynowany gatunkiem horroru pod każdą postacią, w swoich opowieściach nie stroni jednak od wątków obyczajowych i skłaniających do głębszych przemyśleń. Wnikliwy obserwator i słuchacz. Wychodząc z założenia, że literatura powinna pełnić funkcję przede wszystkim rozrywkową, w tekstach stawia na lekkość, bawienie czytelnika, manipulowanie nim i obowiązkowe zaskoczenie na końcu. Zadebiutował słowiańską powieścią grozy pod tytułem *Gałężiste* z fabułą osadzoną na jego ukochanej, rodzinnej Suwalszczyźnie. Książka ta zdobyła „Złotego Kościeja”, została nominowana do Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego, jak również znalazła się w finałowej czwórce walczącej o Nagrodę Polskiej Literatury Grozy imienia Stefana Grabińskiego.



© Copyright by Wydawnictwo GMORK Świątkowska Ryba sp.j.
© Copyright by Artur Urbanowicz
Wrocław 2017

*Wszelkie prawa zastrzeżone.
All Rights Reserved.*

Redakcja:
MAREK GRZYWACZ

Korekta:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
KAMIŁA ŚWIĄTKOWSKA
JUSTYNA MASERAK

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
(ebook) PRZEMYSŁAW RYBA

Ilustracja i projekt okładki:
DAREK KOCUREK

Wydanie I

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp.j.
ul. Domeyki 16, 53-209 Wrocław
tel: 795 626 546
www.gmork.pl
wydawnictwo@gmork.pl

ISBN: 978-83-945604-5-4
ISBN (ebook): 978-83-945604-6-1

Zrealizowano w ramach stypendium Miasta Suwałki



**POGODNE
SUWAŁKI**

Patroni medialni:



Kupując wspierasz:

